

stephen king

W PORZUCONYM MIASTECZKU DZIEJE SIĘ COŚ DZIWNEGO...

desperacja



Pejzażem jego poezji pozostaje pustynia

Salman Rushdie: *Szatańskie wersety*

Część I

**Szosa numer pięćdziesiąt:
w domu wilka, w domu skorpiona**

Rozdział 1

1

- O Boże! Jezu przenaświętszy, co za obrzydlistwo!

- Mary? Co się stało... Mary?

- Nie widziałeś?

- Niby czego?

Obrzuciła go spojrzeniem. W ostrym słońcu pustyni jej twarz była bardzo blada, cała oprócz czerwonych plam opalenizny na policzkach i na czole, gdzie skóry nie zdołał obronić jej krem z najmocniejszym protektorem. Cerę miała jasną, bardzo delikatną.

- Tego znaku. Ograniczenie prędkości.

- No i co?

- Ktoś powiesił na nim martwego kota, Peter. Przybił go, przykleił, wszystko jedno!

Peter mocno wcisnął hamulec, ona jednak natychmiast złapała go za rękę.

- Nie waż się zawracać, słyszysz!

- Ale...

- Co "ale"? Chcesz mu zrobić zdjęcie? Nic z tych rzeczy, skarbie. Jeśli znów go zobaczę, zwymiotuję.

- To był biały kot?

We wstecznym lusterku widział ciemny znak, pewnie to ograniczenie prędkości, o które jej chodziło... i nic więcej. Gdy je mijali, patrzył akurat w przeciwnym kierunku, na jakieś ptaki lecące w stronę najbliższego pasma gór. Tu kierowca nie musiał poświęcać przesadnej uwagi drodze; stan Nevada nazwał ten odcinek szosy numer pięćdziesiąt "najmniej uczęszczaną z dróg Ameryki" i - zdaniem Petera Jacksona - była to nazwa w pełni słuszna. Oczywiście, Peter był nowojorczykiem z krwi i kości, a poza tym podejrzewał, że w tej chwili doświadcza kumulatywnego efektu strachu. Agorafobia Pustynna, Syndrom Sali Balowej, coś w tym rodzaju.

- Nie, pręgowany. O co ci chodzi?

- Myślałem o satanistach na pustyni. Podobno mieszka tu kupa wariatów, czy nie to przypadkiem próbowała nam wmówić Marielle?

- Ludzi o niezwykłych poglądach. Tak to, zdaje się, określiła. Cytuję: "W środkowej Nevadzie mieszka mnóstwo ludzi o niezwykłych poglądach". Koniec cytatu. Gary był bardzo podobnego zdania. Tylko, że od czasu przekroczenia granicy z Kalifornią nie spotkaliśmy jeszcze nikogo i...

- A Fallon?

- Stacje benzynowe się nie liczą. Zresztą nawet tam, ci ludzie... - spojrzała na niego jakoś dziwnie, beznadziejnie; ostatnimi czasy nieczęsto widział na jej twarzy ten szczególny wyraz, choć poznał go doskonale przez kilka miesięcy po poronieniu. - Co tu robią ludzie, Peter? Vegas i Reno rozumiem, rozumiem nawet Winnemucca i Wendover...

- Ludzie, którzy przyjeżdżają tu z Utah, żeby sobie pograć, nazywają Wendover "Wężowe" - powiedział z uśmiechem Peter. - Wiem od Gary'ego.

Zignorowała jego żart.

- ...ale reszta stanu? Przecież mieszkają tu ludzie... po co przyjechali, dlaczego nie wyjeżdżają? Wiem, urodziłam się i wychowałam w Nowym Jorku, więc chyba nic nie rozumiem, ale...

- Jesteś pewna, że to nie był biały kot? Albo czarny?

Zerknął w lusterko, ale ciągnął równe sto dziesięć i przy tej prędkości znak wtopił się już w plamiste tło piachu, kaktusów i bladobrazowych wzgórz. No, ale nareszcie pojawił się za nimi jakiś samochód - dostrzegł oślepiający błysk słońca odbitego w przedniej szybie. Samochód jechał o jakieś dwa kilometry z tyłu. Może trzy.

- Nie. Pręgowany, przecież ci mówiłam. I może odpowiedziałbyś mi wreszcie na pytanie. Kim są podatnicy ze środkowej Nevady i dlaczego nie opuszczą środkowej Nevady przy pierwszej sprzyjającej okazji?

Wzruszył ramionami.

- No, nie mieszka tu aż tak wielu podatników. Największym miastem przy pięćdziesiątej jest Fallon, poza tym są tu przeważnie farmy. W przewodniku napisali, że tama na jeziorze umożliwiła irygację. Uprawiają głównie melony. I zdaje się, że w pobliżu jest baza wojskowa. Fallon było stacją na trasie Pony Expressu*, wiesz o tym?

- Mam to w nosie - stwierdziła. - Mam to w nosie razem z melonami. Prawą rękę położył na moment na jej lewej piersi.

- Bardzo fajne ma pani melony.

- Dziękuję. I nie chodzi mi o Fallon. Mam w nosie każdy stan, w którym z drogi nie widać ani jednego domu, ani jednego drzewa i gdzie do znaków ograniczeń prędkości przybija się koty.

- No, wiesz, jest to kwestia zakresu percepcji - powiedział, uważnie dobierając słowa. Z Mary było czasami tak, że człowiek nie wiedział, kiedy mówi poważnie, a kiedy się po prostu nakręca. - Komuś przyzwyczajonemu do wielkiego miasta Wielka Niecka nie mieści się w zakresie percepcji. To wszystko. Nie chodzi tylko o ciebie. O mnie też. Samego nieba jest tu tyle, że mam pietra. Od rana, kiedy ruszyliśmy w drogę, czuję, jak przydusza mnie do ziemi.

- Ja też. Po prostu jest go za wiele.

- Żałujesz, że wybraliśmy tę drogę?

Zerknął w lusterko. Jadący za nimi samochód wyraźnie się zbliżył. To nie ciężarówka, których kilka widzieli już od chwili wyjazdu z Fallon (wszystkie jechały zresztą w przeciwnym kierunku, na zachód), tylko samochód osobowy. Gnał na złamanie karku.

Myślała przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Nie. Miło było zobaczyć Gary'ego i Marielle, a Lake Tahoe...

- Piękne, prawda?

- Nieprawdopodobnie piękne. Nawet to... - Mary wyjrzała przez okno. - ...nawet to jest przecież bardzo piękne, nie mówię "nie". Pewnie zostanie mi w pamięci do końca życia. Piękne, ale...

- "przerażające - dokończył za nią. - Przynajmniej dla nowojorczyka.

- Słusznie. Miejski zakres percepcji. Zresztą, gdybyśmy pojechali osiemdziesiątą, to tam też jest tylko pustynia.

- Racja. I chwasty po asfalcie się toczą...

* Pony Express - słynna poczta konna funkcjonująca między Missouri i Kalifornia w latach 1860-1861.

Zerknął w lusterko. Szklą okularów, które wkładał, siadając za kierownicą, błysnęły w słońcu. Doganiał go policyjny radiowóz. Miał co najmniej sto pięćdziesiąt na liczniku. Peter odbił w prawo, aż prawymi kołami zjechał na betonowe pobocze, wzniesając chmurę kurzu.

- Pete, co ty wyprawiasz?!

Kolejny rzut oka w lusterko. Wielka chromowana atrapa niemal dotykała ich zderzaka. Promienie słońca odbijały się od niej z dziką wściekłością, musiał zmrużyć oczy, ale mimo to był przekonany, że samochód jest biały - więc to nie radiowóz policji stanowej.

- Znikam z pola widzenia. My, małe, zwinne chytruski, uważamy, żeby nikomu nie rzucić się w oczy. Mamy na tyłku gliniarza, który cholernie się gdzieś spieszy. Pewnie ściga...

Radiowóz wyprzedził ich błyskawicznie. Acura, własność siostry Petera, zakołysała się na resorach od podmuchu. Był biały, a właściwie szary od kurzu, przynajmniej od klamek w dół. Na drzwiczkach miał znak, ale wyprzedził ich tak szybko, że Peter zdołał odczytać wyłącznie DES.... Pewnie od Destry. Dobra nazwa dla zagubionego w środku niczego miasteczka w Nevadzie.

- ...tego kogoś, kto przybił do znaku kota - dokończył Peter.

- Dlaczego jedzie tak szybko bez świateł i syreny?

- A po co mu tu światła i syrena?

- No... - zawahała się i znów spojrzała na niego jakoś dziwnie. - ...przecież właśnie nas wyprzedził.

Już miał powiedzieć coś mądrego, otworzył nawet usta... lecz zamknął je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Miała rację. Gliniarz musiał ich widzieć co najmniej od chwili, kiedy oni dostrzegli jego, pewnie zauważył ich znacznie wcześniej, więc dlaczego nie włączył świateł i syreny, choćby dla świętego spokoju? Och, oczywiście Peter prowadził wystarczająco dobrze, by z własnej inicjatywy zjechać na bok, zostawić mu tyle miejsca, ile to tylko możliwe na tej drodze, ale...

Światła stopu radiowozu nagle błysnęły. Peter odruchowo, instynktownie kopnął hamulec, chociaż zwolnił już do dziewięćdziesiątki, a policjant znajdował się wystarczająco daleko, więc nie było nawet mowy o zderzeniu. W chwilę potem radiowóz zjechał na lewy pas.

- Co on robi? - spytała Mary.

- Właściwie to... no, właściwie nie wiem.

Lecz, oczywiście, wiedział. Jadący przed nimi samochód zwalniał. Z "a niech was wszyscy diabli" przyzwoitej stopięćdziesiątki do osiemdziesiątki. Marszcząc czoło, bo wcale nie chciał się do niego zbliżyć, choć nie wiedział dlaczego, Peter także zwolnił. Igła prędkościomierza należącej do Deirdre acury zatrzymała się na siedemdziesiątce.

- Peter? - W głosie Mary brzmiał niepokój. - Peter, to mi się wcale nie podoba.

- Nic się nie dzieje - uspokoił ją, ale czy rzeczywiście nic się nie dzieło?

Wpatrywał się w policyjny wóz toczący się teraz powoli lewym pasem i myślał. Bardzo chciał zobaczyć siedzącego za kierownicą człowieka, lecz nie mógł. Tylna szyba radiowozu była niemal czarna od kurzu.

Światła stopu, zakurzone tak samo jak tylna szyba, rozbłysły znowu. Teraz radiowóz jechał nie więcej niż pięćdziesiąt. Na szosie pojawił się skoczek stepowy - wielkie radialne opony radiowozu splaszczyły go na placek. Pod acurą znalazł się, gdy przypominał już wyłącznie siatkę z połamanych palców. Petera przeraziło to nagle, nagle niemal odchodził od zmysłów z przerażenia, nie mając przy tym najmniejszego pojęcia, czego się boi.

Bo Nevada pełna jest ludzi o zdecydowanych poglądach. Przynajmniej według Marielle, a Gary się z nią zgodził. Ludzie o zdecydowanych poglądach zachowują się w pewien szczególny sposób. Mówiąc po prostu, zachowują się dziwnie.

Bzdura, oczywista bzdura, nic dziwnego się tu nie dzieje, nic a nic, chociaż...

Błysk stopu. Peter nacisnął hamulec. Ani przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, co robi. Zerknął na prędkościomierz. Jechał nędzne czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Czego on od nas chce, Peter?

Odpowiedź na to pytanie nie nastroczała najmniejszych kłopotów.

- Chce znów znaleźć się za nami.

- Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć?

- Dlaczego po prostu nie stanie na poboczu?

- Nie wiem.

- Co masz zamiar...?

- Wyprzedzę go, dobra? - I, nie wiedząc, skąd mu się wzięły te słowa, Peter dodał: - W końcu to nie my przybiliśmy tego kota, prawda?

Przycisnął gaz. Niemal natychmiast zrównali się z brudnym radiowozem, jadącym teraz nie więcej niż trzydzieści na godzinę. Mary złapała męża za rękaw niebieskiej flanelowej koszuli wystarczająco mocno, by poczuł przez materiał nacisk jej krótkich paznokci.

- Nie. Nie wyprzedzaj go.

- Mary, a to jakim cudem!

Dalsza rozmowa na temat gliniarza i radiowozu nie miała po prostu sensu. Już go wyprzedzili. Prawie. Acura zrównała się z białym caprice i prawie natychmiast znalazła się przed nim. Przez dwie brudne szyby Peter prawie nic nie widział. Dostrzegł sylwetkę, sylwetkę wielkiego faceta, i tyle. Miał także wrażenie, że policjant patrzył w jego kierunku. Przy okazji odczytał znak na drzwiach: "Komisariat Policji w Desperation" i herb miasteczka - górnik i jeździec ściskający sobie dłonie.

Desperation - pomyślał. - To lepsze od Destry. O wiele lepsze.

Gdy tylko acura znalazła się przed nim, radiowóz przyspieszył, zjechał na właściwy pas i uczeplił się jej zderzaka. Jechali tak w tandemie przez pół minuty, może czterdzieści sekund, choć dla Petera trwało to znacznie dłużej. Niebieski kogut na dachu caprice przebudził się wreszcie do życia. Peter poczuł, jak żołądek kurczy mu się, ale nie ze zdziwienia. Niczemu się nie dziwił. Niczemu.

2

Mary nie zdjęła dłoni z rękawa jego koszuli i teraz, gdy Peter zjechał na pobocze, kurczowo ścisnęła go za ramię.

- Peter, co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz!?

- Muszę się zatrzymać. Włączył koguta, więc muszę się zatrzymać.

- Nie podoba mi się to. - Rozejrzała się nerwowo. Niewiele tu było do oglądania: pustynia, wzgórza i mnóstwo błękitnego nieba. - Przeskrobaliśmy coś.

- Prawdopodobnie przekroczyliśmy dozwoloną prędkość.

Spojrzał w boczne lustro. Nad napisem UWAGA! MOGĘ BYĆ BLIŻEJ, NIŻ SĄDZISZ! dostrzegł otwierające się, zakurzone białe drzwiczki. A potem wielką nogę w spodniach khaki. W ślad za gigantyczną nogą objawił się powoli cały kierowca, wkładający właśnie na głowę szerokoskrzydły, typowy policyjny kapelusz (zdaniem Petera nie był w stanie prowadzić w kapeluszu, bo i bez niego głową dotykał podsufitki). Mary odwróciła się tymczasem. Obserwowała policjanta z szeroko otwartymi ustami.

- Jezu Chryste, facet jest wielki jak zawodowy futbolista!

- Większy - poprawił ją Peter.

Używając dachu samochodu jako punktu odniesienia (mniej więcej metr pięćdziesiąt) wyliczył szybko, że idący niespiesznie w stronę acury facet ma co najmniej dwa metry wzrostu. Ważył najmarniej ponad sto dwadzieścia kilogramów, a może nawet ponad sto pięćdziesiąt.

Mary puściła ramię męża i wtuliła się w drzwiczki, by jak najdalej odsunąć się od wielkoluda. Policjant miał na biodrze kaburę z rewolwerem pasującym do niego wymiarami, ale jego ręce były puste. Nie trzymał w nich ani notesu, ani książeczki mandatowej. Peterowi mocno się to nie podobało. Nie wiedział, o co chodzi, ale i tak mocno mu się to nie podobało. W całej swej karierze kierowcy, podczas której otrzymał między innymi cztery mandaty za złe parkowanie i ostrzeżenie za prowadzenie po alkoholu (trzy lata temu, po wydziałowej Wigilii), policjant nigdy nie podszedł do niego z pustymi rękami. Puste ręce tego policjanta strasznie mu się nie podobały. Serce, już pracujące bardzo szybko, przyspieszyło mu jeszcze odrobinę. Nie waliło w piersiach, przynajmniej jeszcze nie, ale próbowało dać do zrozumienia, że może zacząć walić. Że bez problemu może zacząć walić bardzo mocno.

Jesteś durniem i doskonale o tym wiesz - powiedział sobie. - Chodzi o przekroczenie dozwolonej prędkości, o nic więcej tylko o przekroczenie dozwolonej prędkości. Nawet na tej drodze obowiązuje pewnie ograniczenie do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę i chociaż to żart, wszyscy wiedzą, że to żart, ten facet ma przecież normę do wykonania. A jeśli chodzi o przekroczenie prędkości, najlepiej wlepić mandat komuś spoza stanu. Przecież wiesz. Więc... jak brzmiał tytuł tego starego albumu Van Halen? "Żryj i uśmiechaj się"?

Gliniarz zatrzymał się przy oknie od strony kierowcy. Sprzączka pasa à la Sam Browne* znajdowała się mniej więcej na wysokości oczu Petera. Gliniarz nie zadał sobie trudu, by się pochylić; po prostu zwinął dłoń w pięść - wielkości sporego bochna chleba - i zakręcił nią w powietrzu.

Peter zdjął okrągłe okulary bez oprawki, wsadził je do kieszeni i powoli opuścił szybę. Doskonale świadom był dobiegającego go z głębokiego pasażerskiego siedzenia sportowego samochodu ciężkiego oddechu Mary. Oddychała tak, jakby właśnie skakała na skakance albo kochała się.

Gliniarz ugiął kolana, równiutko i gładko. W okienku pojawiła się jego wielka, poważna twarz. Czoło przecinała linia cienia rzucanego przez szerokie rondo kapelusza. Skórę miał niezdrowo zaróżowioną. Zapewne - pomyślał Peter - mimo swych imponujących rozmiarów podobnie jak Mary nie najlepiej znosi słońce pustyni. Jasnoszarych oczu nie odwracał wprawdzie, ale nie było też w nich żadnych uczuć, w każdym razie żadnych, które Peter potrafiłby odczytać. Czuł tylko jakiś zapach. Prawdopodobnie old spice.

* Sam Browne (1824-1901) - brytyjski generał, wynalazca pasa na broń białą z biegnącą przez pierś szarfą.

Gliniarz za ledwie na niego zerknął, po czym powiódł wzrokiem po wnętrzu samochodu. Najpierw z klinicznym zainteresowaniem obejrzał sobie Mary (typ: Amerykańska Żona, ładna buźka, dobra figura, niewielki przebieg, żadnych widocznych blizn), a potem zlustrował leżące na tylnym siedzeniu aparaty fotograficzne, kamerę wideo i torby. Nie zdążyli zaśmiecić wnętrza; z Oregonu wyjechali za ledwie trzy dni temu, a półtora dnia spędzili z Garym i Marielle Soderersonami, słuchając starych płyt i rozmawiając o dawnych czasach.

Nieco dłuższej inspekcji poddana została wysunięta popielniczka. Zdaniem Petera policjant szukał w niej niedopałków skrętów, pewnie też próbował wywęszyć zapach haszu lub marihuany. Poczł przejmującą ulgę; nie palił trawki od piętnastu lat, nigdy nawet nie spróbował kokainy, a po ostrzeżeniu za prowadzenie po alkoholu właściwie przestał pić. Zapach marychy czuł ostatnio na jakimś koncercie rockowym - oto zasię jego współczesnych narkotykowych doświadczeń. Mary w ogóle nie zażywała - czasami mówiła o sobie "narkotykowa dziewczina". Całą zawartość popielniczki stanowiło kilka zgniecionych sreberek po gumie do żucia, na tylnym siedzeniu nie wałały się puszki po piwie lub butelki wina.

- Wiem, jechałem trochę za szybko.

- Gaz do dechy, prawda, panie kierowco? - odparł gigant wyjątkowo sympatycznym głosem. - Gaz do dechy! Mogę prosić pana o prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

- Oczywiście! - Peter wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. - Ale to nie mój samochód - uprzedził. - Należy do mojej siostry. Odwozimy go do Nowego Jorku. Z Oregonu. Studiowała w Reed. W Reed College, w Portland.

Zdawał sobie sprawę z tego, że plecie od rzeczy, nie był jednak całkiem pewien, czy potrafi przestać. Dziwne, że przy gliniarzu człowiek zawsze bredzi, jakby w bagażniku wiózł poćwiartowane zwłoki albo porwane dzieci. Pamiętał, iż podobnie bredził, kiedy zatrzymano go na przelotówce Long Island, po tym wigilijnym spotkaniu. Gadał i gadał, słowa po prostu się z niego wylewały, policjant natomiast milczał jak zakłęty, zajmował się swoimi sprawami, najpierw sprawdzał papiery, a potem wynik testu alkoholomierzem.

- Mare? Mogłabyś wyjąć dowód rejestracyjny? Jest w skrytce. W małej plastikowej kopercie, razem z ubezpieczeniem.

Mary nawet nie drgnęła. Widział ją kątem oka; siedziała nieruchomo, on zaś otworzył portfel i rozpoczął poszukiwanie prawa jazdy. Powinno być tu, za plastikową wkładką, tuż obok przegródki na banknoty, powinno od razu rzucić mu się w oczy, ale jakoś nie chciało.

- Mare? - powtórzył nieco ostrzej, lekko zniecierpliwiony i znów mocno przestraszony.

A co, jeśli to cholerne prawo gdzieś mu się zapodziało? Wypadło na podłogę u Gary'ego, na przykład, podczas gdy przekładał wszystkie te śmieci (w czasie podróży w kieszeniach gromadzi się tyle śmieci) z jednej pary dzinsów do drugiej. Nie wypadło, oczywiście, ale gdyby wypadło, jakie byłoby to typowe...

- Mary, mogłabyś mi pomóc? Wyciągnij ze skrytki ten cholerny dowód rejestracyjny! Proszę.

- Och, dowód! Tak, już.

Pochyliła się; przypominała przy tym jakąś starą, zardzewiałą maszynę, pobudzoną do życia przez prąd pod sporym napięciem. Otworzyła skrytkę. Zaczęła się przekopywać przez jej zawartość, której część musiała wyjąć - na pół pełną torebkę prażynek, taśmę Donnie Raitt, która zniknęła w radiomagnetofonie acury, mapę drogową Kalifornii - żeby dogrzebać się do dalszych skarbów. Na jej lewej skroni Peter dostrzegł krople potu. Pasma krótkich, ciemnych włosów były wręcz mokre od potu, choć klimatyzacja dmuchała jej wprost w twarz.

- Nie wiem... - I nagle z wielką ulgą w głosie: - ...o, jest!

W tym samym momencie Peter znalazł wreszcie prawo jazdy, ukryte wśród wizytówek. Nie pamiętał, by je tam chował - po co, na litość boską, miałby to robić? - ale przynajmniej wreszcie się znalazło. Na zdjęciu nie wyglądał wcale na adiunkta na wydziale anglistyki Nowojorskiego Uniwersytetu Miejskiego, lecz raczej na bezrobotnego robotnika rolnego (a także, być może, seryjnego mordercę). Przypominał jednak na nim siebie samego, to był on, niewątpliwie on i na duszy zrobiło mu się wyraźnie źzej. Mieli konieczne papiery, istniał Bóg na niebie, a świat nadal był w porządku.

Poza tym - pomyślał, wręczając gliniarzowi prawo jazdy - przecież to nie Albania, prawda? Być może Nevada nie mieści się w sferze pojmowania normalnego człowieka, ale bez najmniejszych wątpliwości nie jest Albanią.

- Peter?

Odwrócił się, wziął plastikową kopertę i przy okazji puścił oczko do Mary. Próbowała docenić ten żart uśmiechem, ale nie wyszło to najlepiej. Powiał wiatr, niesione nim drobinki piasku użądliły Petera w policzek. Zmrużył oczy. Nagle zapragnął znaleźć się trzy tysiące kilometrów od Nevady. Obojętne w jakim kierunku.

Wziął dowód rejestracyjny i próbował oddać go gliniarzowi. Gliniarz nadal jednak wpatrywał się w prawo jazdy.

- Widzę, że zarejestrował się pan jako dawca - zauważył, nie podnosząc wzroku. - To mądre posunięcie, tak pan uważa?

Petera to pytanie straszliwie zaskoczyło.

- No cóż, przecież...

- Czy to dowód rejestracyjny? - przerwał mu różnym głosem wielki glina. Patrzył na świstek kanarkowóżółtego papieru.

- Tak.

- Poproszę.

Peter podał mu dowód przez okno. Gliniarz, kucając w słońcu niczym Indianin, miał teraz zajęte obie dłonie. Przyglądał się to jednej, to drugiej; trwało to, przynajmniej pozornie, bardzo długo, za długo. Peter poczuł delikatny nacisk na udzie; aż podskoczył, lecz zaraz zorientował się, że to ręka Mary. Ujął ją i poczuł, jak jej palce zaciskają się kurczowo.

- Pańska siostra? - spytał w końcu policjant, podnosząc głowę i przesywając ich spojrzeniem szarych oczu.

- Tak, bo...

- Jej nazwisko brzmi Finney. Pańskie, Jackson.

- Deirdre przez rok była mężatką, przez rok między szkołą średnią a studiami - wtrąciła Mary pewnym, spokojnym, lecz miłym głosem, w którym nie było ani śladu strachu. Wyłącznie po głosie Peter bez zastrzeżeń uwierzyłby, że się nie boi... gdyby nie te wbijające mu się w ciało palce. - Pozostała przy nazwisku męża. To wszystko.

- Rok, co? Między szkołą średnią a studiami? Mężatka. Tak! Pochylił się nad dokumentami. Peter widział, jak kiwa się rondo jego szerokoskrzydłego kapelusza. Nie czuł już ulgi.

- Między szkołą średnią a studiami - powtórzył gliniarz.

Głowę trzymał pochyloną, nie widzieli jego twarzy. Peter usłyszał w głowie inne jego słowa. "Jest pan dawcą? To mądre posunięcie, tak pan uważa? Tak!"

Gliniarz podniósł głowę.

- Czy byłby pan uprzejmy wysiąść z samochodu, panie Jackson?

Mary ścisnęła go jeszcze mocniej, wbiła paznokcie w jego ciało, ale spowodowany jej uściskiem ból prawie do Petera nie docierał. Nagle skurczyły mu się jądra i znów poczuł się jak dziecko, dziecko, które niczego nie jest pewne, wie tylko, że coś przeskrobało... ale co?

- Co...

Gliniarz z miasteczka Desperation powoli wstał. Oboje mieli wrażenie, że patrzą na wznoszącą się winę. Najpierw zniknęła głowa, potem kołnierzyk rozpiętej pod szyją koszuli i lśniący znaczek, potem skośna linia paska. I znów Peter patrzył na klamrę, na kaburę tudzież wszywkę spodni khaki, w której mieścił się rozporek.

Tym razem znad dachu acury doleciał go głos, w którym nie było ani śladu prośby.

- Proszę wysiąść z samochodu, panie Jackson.

3

Peter ujął klamkę. Gliniarz cofnął się o krok, by umożliwić mu otwarcie drzwiczek. Nie widzieli jego twarzy ukrytej za samochodowym dachem. Mary ścisnęła dłoń męża tak mocno jak nigdy przedtem, więc Peter odwrócił się do niej. Czerwone plamy na policzkach i czole odznaczały się wyraźniej niż przed chwilą. Zbladła. Aż tak.

- Nie wysiadaj - zasygnalizowała poruszeniem warg.

- Muszę - odparł w ten sam sposób i postawił nogę na asfalcie szosy numer pięćdziesiąt.

Przez moment Mary czepiała się go jeszcze, jeszcze zaciskała dłoń, ale wyrwał się i do jednej nogi dostawił drugą. Kiedy się wyprostował, zdał sobie sprawę, że czuje je tak, jakby były bardzo daleko.

Gliniarz patrzył na niego z góry. Przynajmniej dwa pięć - pomyślał sobie. - Przynajmniej. I nagle oczami wyobraźni dostrzegł niczym na przyspieszonym filmie: policjant wyciąga broń, naciska spust, uczony mózg Petera Jacksona rozpryskuje się cienką warstwą na dachu acury, facet wyciąga Mary z samochodu, rzucając twarzą na bagażnik, przechyla i gwałci tu, na drodze, w palących promieniach słońca, nie zdejmując nawet szerokoskrzydłego kapelusza, kiwa się przy tym i wrzeszczy: "Chcesz dawcy? Masz dawcę! Masz dawcę!"

- O co chodzi, panie władzo? - spytał. Wargi i gardło zrobiły mu się nagle bardzo, bardzo suche. - Sądzę, że mam prawo wiedzieć...

- Proszę podejść do samochodu od strony bagażnika, panie Jackson.

Gliniarz odwrócił się i ruszył wokół samochodu, nie sprawdzwszy nawet, czy Peter usłuchał jego polecenia. Peter go oczywiście usłuchał. Szedł sztywno, pewny, że nogi przyjmują polecenia mózgu wyłącznie dzięki jakiejś formie telekomunikacji.

Policjant już czekał. Kiedy Peter do niego dołączył, wskazał mu coś wielgachnym, grubym paluchem. Z tyłu samochodu Deirdre nie było tabliczki z numerem rejestracyjnym - pozostał po nim wyłącznie nieco mniej zakurzony prostokątny ślad.

- A, cholera! - zaklął Peter.

Zdenerwował się naprawdę i naprawdę wkurzył, ale też naprawdę poczuł wielką ulgę. A więc tylko o to chodziło? Dzięki Bogu! Spojrzał wzdłuż boku samochodu. Nie zaskoczyło go, że drzwi, przez które wysiadł, są

zamknięte. Mary je zamknęła. Tak głęboko przejął się tym... zdarzeniem... łańcuchem zdarzeń... obojętne... że nie usłyszał nawet, jak się zamykają.

- Mare! Hej, Mare!

Wychyliła się przez okno, zwracając ku niemu czerwoną od słońca, napiętą twarz.

- Odpadł nam ten cholerny numer rejestracyjny!

- Co?

- Nie, nie odpadł - powiedział spokojnie gliniarz z miasteczka Desperation.

Przysiadł jak przed oknem acury - miękkim, swobodnym, lekkim ruchem i sięgnął pod zderzak. Przez kilka krótkich chwil gmerał za nie istniejącą już tablicą, szarymi oczami wpatrując się w linię horyzontu. W tym spojrzeniu było coś, co Pete'owi wydało się przeraźliwie znajome - oto zatrzymał ich na drodze facet z reklamy Marlboro.

- Ach! - westchnął gliniarz, podnosząc się.

Dłoń, przedtem gmerając pod zderzakiem, zwiniętą miał w pięść. Wyciągnął ją ku Peterowi i wyprostował palce. Na wielkiej łapie leżał, sprawiając wrażenie maleńkiego, kawałek ubłoconej, zakurzonej śruby. Czysty był tylko jej zerwany koniec.

Peter spojrzał mu w twarz.

- Nie rozumiem - powiedział.

- Zatrzymywał się pan w Fallon?

- Nie...

Drzwi od strony pasażera otworzyły się ze skrzypnięciem. Mary wysiadła, zatrzasnęła je za sobą; słyszał szuranie butów po zasypanym piaskiem poboczu. Szła w ich kierunku.

- Przecież się zatrzymywaliśmy - sprostowała, patrząc na leżący na wielkim łapsku kawałek śruby (dowód rejestracyjny i prawo jazdy zajmowały drugą rękę gliniarza). Podniosła wzrok na jego twarz. Nie sprawiała wrażenia przerażonej - w każdym razie nie aż tak przerażonej - co Petera ucieszyło. On sam już wymyślał sobie od paranoicznych idiotów i nie tylko, musiał jednak przyznać, że bliskie spotkanie trzeciego stopnia z tym facetem miało swoje

(sądzi pan, że to mądre posunięcie)

szczególne aspekty.

- Stacja benzynowa, Peter. Nie pamiętasz? "Nie potrzebujemy benzyny", powiedziałaś, "ale sporo wypiliśmy, więc weźmiemy benzynę, bo to głupio tylko skorzystać z toalety".

Spojrzała na gliniarza, usiłując się uśmiechnąć. Musiała mocno zadzierać głowę. Na Peterze sprawiała wrażenie małej dziewczynki próbującej skłonić do uśmiechu tatę, który właśnie wrócił do domu po parszywym dniu w pracy.

- Łazienka była bardzo czysta - pochwaliła.

Glina skinął głową.

- Zatrzymali się państwo w "Fill More Fast" czy w "Berk's Conoco", u Alfiego? - spytał.

Niepewnie spojrzała na Petera. Peter szeroko rozłożył ręce.

- Nie pamiętam. Chryste, przecież zapominałem, żeśmy się tam w ogóle zatrzymali!

Policjant niedbałym gestem wyrzucił resztkę śruby przez ramię, w pustynię. Miała tam leżeć przez kolejny milion lat - chyba że zainteresowałby się nią jakiś bystry ptak.

- Założę się, że pamiętają państwo kręcące się tam dzieciaki. Przeważnie starsze dzieciaki. Kilka z nich może za starych, by w ogóle nazywać je dzieciakami. Młodsze miały rolki i deskorolki.

Peter skinął głową. Przypomnił sobie, że Mary pytała go, co tu robią ludzie, skąd się wzięli, po co zostają?

- "Fill More Fast" - stwierdził gliniarz. Peter zerknął, by sprawdzić, czy wielkolud nie ma czasem blachy z imieniem i nazwiskiem na kieszonce koszuli. Nie miał. Na jakiś czas będzie więc musiał pozostać po prostu gliniarzem. Gliniarzem wyglądającym jak facet z reklamy Marlboro. - Alfie Berk postanowił się ich pozbyć. Nakopał im po tyłkach. Skubane szczeniaki.

Mary przechyliła głowę. Przez chwilę na jej ustach gościł leciuteńki uśmiech.

- To jakiś gang? - Peter nadal nie wiedział, do czego to wszystko zmierza.

- Prawie. Taki gang, na jaki może sobie pozwolić miejscina wielkości Fallon. - Gliniarz podniósł do twarzy prawo jazdy Petera, przyjrzał się mu, przyjrzał się samemu Peterowi i opuścił rękę. Nie oddał mu jednak dokumentu. - Przeważnie wywalono ich ze szkoły. Jedną z ich rozrywek jest zrywanie tablic rejestracyjnych z samochodów spoza stanu. W ten sposób udowadniają sobie, jacy to są odważni. Rozumiem, że pańską zerwali, kiedy kupowaliście napoje albo korzystaliście z łazienki.

- Pan o tym wie, a oni nadal to robią? - zdziwiła się Mary.

- Fallon to nie moje miasto. Nigdy tam nie jeżdżę. Ich drogi nie są moimi drogami.

- To co mamy teraz zrobić? - spytał Peter. - Boże, co za cholerny bałagan! Samochód zarejestrowany jest w Oregonie, ale moja siostra przeniosła się do Nowego Jorku. Nienawidziła Reed...

- Doprawdy? - spytał gliniarz. - Jejku jej!

Peter dostrzegł, jak Mary patrzy na niego, prawdopodobnie spodziewając się, że będzie rozbawiony do łez. Jemu jednak uśmiech nie wydał się najlepszym pomysłem. W rzeczywistości wydał mu się bardzo złym pomysłem.

- Twierdziła, że uczyć tam to jak uczyć w środku koncertu Grateful Dead - wyjaśnił. - W każdym razie postanowiła wrócić do Nowego Jorku. Samolotem. Pomyśleliśmy z żoną, że przyjemnie byłoby przywieźć jej samochód. Deirdre zapakowała bagażnik swoimi rzeczami, przede wszystkim ciuchami...

Czuł, że znów zaczyna głądzić. Sporo wysiłku musiał włożyć w to, żeby przestać.

- Więc co mamy teraz zrobić? Nie bardzo możemy jechać przez cały kraj bez tablicy rejestracyjnej, prawda?

Gliniarz okrążył samochód powolnym krokiem. Stał przed jego maską. W dłoni nadal trzymał prawo jazdy i kanarkowożółty dowód rejestracyjny. Pas przecinający jego pierś zaskrzypiał. Policjant założył ręce na plecy, pochylił się i długo badał coś w skupieniu. Przypominał Peterowi wielbiciela sztuki studiującego w galerii interesujące dzieło i zastanawiającego się, czy go przypadkiem nie kupić. Skubane - pomyślał. - Skubane dzieciaki. Miał wrażenie, że nie słyszał tego określenia od wieków.

Gigant wracał. Mary przysunęła się do męża, lecz nie ze strachu - jej strach zniknął gdzieś, jakby go nigdy nie było. Przyglądała się wielkoludowi z zainteresowaniem.

- Przednia tablica jest w porządku - oznajmił wielkolud. - Trzeba ją przenieść na tył. W ten sposób nie powinni mieć państwo kłopotów z dostaniem się do Nowego Jorku.

- Ach! Jakie to proste! Świetny pomysł - ucieszył się Peter.

- Ma pan klucz i śrubokręt? Moje narzędzia leżą, zdaje się, na półce w miejskim garażu.

Policjant uśmiechnął się. Uśmiech rozjaśnił jego twarz, wypełnił humorem szare oczy, zmienił go w innego człowieka.

- Ach, przecież to należy do państwa - powiedział, oddając im prawo jazdy i dowód.

- Narzędzia powinny być w bagażniku. - Głos Mary drżał. Brzmiał słabo, Peter zaś czuł się słabo. Ulga potrafi wstrząsnąć człowiekiem. - Widziałam je tam, kiedy wkładałam kosmetyczkę na miejsce. Między kołem zapasowym a ścianką wnęki.

- Pragnę bardzo panu podziękować - stwierdził Peter.

Gliniarz grzecznie skinął głową, nie patrzył jednak na niego, lecz nieco w bok, na góry.

- Taką mam pracę - odparł.

Peter podszedł tymczasem do drzwi od strony kierowcy, dziwiąc się, czego właściwie tak strasznie się bali.

Co za nonsens - ofuknął się w duchu, wyjmując kluczyki ze stacyjki. Kluczyki wisiały na breloczku ukazującym uśmiechniętą twarz, która całkowicie zaspokajała zainteresowania Deirdre. Pan Uśmiechnięta-Bużka (siostra tak go nazywała) w formie Pani Uśmiechnięta-Bużka znacznie lepiej by do niej pasował. Żółte nalepki z uśmiechniętą buźką nalepiała nawet na listy, a kiedy miała akurat zły dzień, nalepiała na list naklejkę zieloną, smutną bużkę z wysuniętym językiem. Tak naprawdę wcale się nie bałem. I Mary też się nie bała.

Biiip - cholerne kłamstwo. Bał się. Mary zaś... Mary była wręcz przerażona!

Dobra, dobra, trochę się baliśmy. I co z tego? Jak chcecie, możecie nas zaskarżyć! - myślał, wracając do Mary i gliniarza z kluczykiem do bagażnika. Kiedy na nich patrzył, miał wrażenie, że doświadcza złudzenia optycznego - czubek jej głowy zaledwie sięgał początku mostka faceta.

Otworzył bagażnik. Po lewej, porządnie spakowane i przykryte plastikowymi torbami, by nie zakurzyły się po drodze, leżały ubrania Deirdre. Pośrodku kosmetyczka Mary i dwie walizki - jego i jej - opierające się o zapasowe koło. Słowo "koło" nie pasowało zresztą do rzeczywistości. Zamiast koła acura miała kawał nadmuchanej cienkiej gumy, w sam raz, by w przypadku złapania kaptura dojeżdżać do najbliższej stacji benzynowej. Jeśli szczęście dopisze. Zerknął między owo koło a ściankę wnęki.

- Mary, nie widzę...

- O tam. - Pokazała palcem. - To szare pudełko. To narzędzia. Wsunęły się za koło.

Mógłby je wygrzebać, mógłby, ale miejsca nie było za wiele, łatwiej już wyjąć nie napompowane "koło". Opierał je o tylny zderzak, kiedy usłyszał sapanie Mary. Brzmiało tak, jakby ktoś ją szturchnął. Albo uszczypnął.

- Oho? - powiedział spokojnie gliniarz. - A co my tu mamy?

Oboje patrzyli w głąb bagażnika. Gliniarz sprawiał wrażenie niezbyt zaciekawionego i może z lekka zmieszanego, Mary wytrzeszczała oczy ze strachu. Usta jej drżały. Peter podążył wzrokiem za ich spojrzeniem. We wgłębieniu, ukryte pod kołem zapasowym, coś leżało. Przez moment nie uświadamiał sobie - a może nie chciał sobie uświadomić - co to takiego, a potem poczuł, jak ściska mu się żołądek. Jednocześnie mięśnie odbytu nie tyle się rozluźniły, co przestały istnieć, jakby postanowiły właśnie teraz uciąć sobie drzemkę. Świadom był, że rozpaczliwie zaciska pośladki, ale i to wrażenie dobiegało z daleka, jakby z innej strefy czasowej. Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, był całkowicie pewien, że to sen, to musi być sen...

Wielkolud spojrział na niego; szare oczy znów miał tak dziwnie puste, po czym wyciągnął rękę i z wgłębienia wyjął plastikową torbę, dużą, trzylitrową, wypchaną jakimiś zielonobrazowymi ziołami. Zaklejono ją taśmą, a z przodu przyklepiono żółty okrągły znaczek - uśmiechniętą bużkę. Doskonały symbol takich głupków jak

jego siostra, której życiowe przygody dałoby się opublikować w książce pod tytułem: "Przez najciemniejszą Amerykę ze skretem i zapasem marychy". Deirdre zaszła w ciążę naćpana, z całą pewnością naćpana zdecydowała się poślubić Rogera Finneya, Peter wiedział też, że rzuciła Reed (z oceną o nędzny punkt większą od minimalnej), ponieważ za dużo było tam zielska, a ona po prostu nie umiała odmawiać. Sama mu to powiedziała, pod tym względem przynajmniej była szczerą, a on przed wyjazdem z Portland przetrząsnął acurę - spodziewając się raczej, że o czymś zapomniała, nie, że coś próbowała rzeczywiście przemycić. Zajrzał pod torby, w które spakowała ubrania, a Mary obmacała ciuchy. (Nie przyznawali się przed sobą do tego, co robią, nie zamienili ani słowa, ale przecież wiedzieli bez słów.) Nie przyszło im jednak do głowy zaglądać pod koło.

Cholerna guma!

Gliniarz nacisnął torbę wielkim kciukiem, jakby sprawdzał świeżość pomidora. Z kieszeni wyjął scyzoryk. Otworzył najmniejsze ostrze.

- Panie władzo - powiedział Peter słabym głosem. - Panie władzo, nie wiem jak...

- Ciii... - I pan policjant zrobił na torbie maleńkie nacięcie.

Peter poczuł, że Mary ciągnie go za rękaw. Tym razem to on ścisnął jej dłoń. Oczami wyobraźni dostrzegł bladą, ładną twarz Deirdre, dostrzegł jej jasne włosy, opadające na ramiona w naturalnych lokach upodabniających ją do Stevie Nicks, dostrzegł jej zawsze lekko nieprzytomne oczy.

Ty durna mała suko - pomyślał. - Bądź szczęśliwa, że nie jestem w stanie dostać cię w swoje łapy.

- Panie władzo... - spróbowała Mary.

Pan władza uniósł dłoń, by ją uciszyć. Podniósł torbę do nosa i powąchał zawartość przez rozcięcie. Zamknął oczy. Po chwili otworzył je powoli i wyciągnął ku Peterowi wielkie łapsko.

- Będzie pan uprzejmy oddać mi kluczyki - powiedział.

- Panie oficerze, mogę to wszystko wytłumaczyć...

- Poproszę kluczyki.

- Jeśli tylko...

- Głuchyś pan! Kluczyki!

Gliniarz właściwie nawet nie podniósł głosu, ale Mary i tak zaczęła płakać. Czując się jak ktoś, kogo dusza przemocą wyrwała się z ciała, Peter wrzucił kluczyki w ręce giganta. Objął drżące plecy żony.

- Obawiam się, że muszą państwo pojechać ze mną - oznajmił gliniarz.

Spojrzał na Petera, potem na Mary, a potem znowu na Petera; Peter nagle zdał sobie sprawę, co go niepokoiło w oczach tego człowieka. Błyszczały wprawdzie jak krople wody przed wschodem słońca w mglisty ranek, były jednak w jakiś sposób martwe.

- Proszę, błagam... - wybąkała Mary przez łyzy. - Przecież to pomyłka. Jego siostra...

- Proszę do środka - gliniarz skinieniem głowy wskazał im radiowóz. Kogut błyskał niezmordowanie, jasny nawet w jaskrawych promieniach słońca. - W tej chwili, państwo Jackson.

4

Siedząc na tylnym siedzeniu, nie mieli praktycznie miejsca na nogi. Oczywiście - pomyślał Peter mimochodem - taki wielki facet musi odsuwać fotel do końca. Podłoga za siedzeniem kierowcy zasłana była

papierami, podobnie jak półka pod tylną szybą. Peter wziął którąś kartkę - pozostał na niej brązowy krąg rozlanej kawy. Była to ulotka DARE. Na górze przedstawiono dziecko siedzące w drzwiach domu i patrzące przed siebie nieprzytomnym wzrokiem... wyglądało, prawdę mówiąc, dokładnie tak, jak Peter się czuł. BIORĄC, TRACISZ - głośił podpis pod rysunkiem.

Tylne siedzenie odgradzała od przedniego siatka, w drzwiach nie było ani klamek, ani korbek do otworzenia okna. Peter już przedtem czuł się jak bohater filmu (do głowy przyszedł mu przede wszystkim *Midnight Express*) i te szczegóły wzmogły tylko owe wrażenia. Zdrowy rozsądek podpowiedział mu, że gadał za wiele, że wraz z Mary najlepiej zrobią, po prostu siedząc cicho przynajmniej dopóty, dopóki nie dojadą tam, dokąd zawiezieni zostaną przez własnego, prywatnego Przyjaznego Policjanta; był to prawdopodobnie rozsądny pomysł, z trudem jednak przyszło mu dostosować się do pomysłów podsuwanych przez zdrowy rozsądek. Czuł, że musi, po prostu musi wyjaśnić ich prywatnemu Przyjaznemu Policjantowi, iż zdarzyła się straszna pomyłka, iż jest przecież profesorem filologii angielskiej specjalizującym się w powojennej prozie amerykańskiej, że właśnie opublikował uczoną rozprawę pod tytułem "James Dickey i nowa rzeczywistość Południa" - rozprawę, która głośnym echem odbiła się od niektórych obrośniętych bluszczem murów, no i że od lat nie palił trawki. Bardzo pragnął powiedzieć panu gliniarzowi, że może jest trochę zbyt uczony jak na standardy środkowej Nevady, ale przecież w głębi duszy pozostał fajnym facetem.

Spojrzał na Mary. W jej oczach dostrzegł łzy i nagle zawstydził się swych myśli - ja, ja, ja, nic tylko ja. Żona wpadła w to bagno razem z nim, nie powinien ani na chwilę o tym zapominać.

- Peter, tak bardzo się boję - wyszeptwała. Jej szept był jak jęk.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Skórę miała lodowato zimną.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - wyszeptał w odpowiedzi.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

Ulokowawszy ich w radiowozie, gliniarz powrócił do acury. Już jakieś dwie minuty wpatrywał się w bagażnik. Nie przeszukiwał go, niczego nawet nie dotknął, po prostu stał jak zaczarowany, z rękami założonymi na plecy. Nagle drgnął, jak ktoś gwałtownie przebudzony z drzemki, zamknął klapę, wyjął kluczyki, schował je do kieszeni i wrócił do radiowozu. Samochód przechylił się w lewo pod jego ciężarem, amortyzatory jęknęły, nieszczęśliwe, lecz najwyraźniej zrezygnowane. Siedzenie kierowcy wyrzuszyło się, Peter syknął, czując nacisk na kolana.

Po tej stronie powinna usiąść Mary - pomyślał, za późno już jednak było na to, by zamieniać się miejscami. Za późno było także na parę innych rzeczy.

Silnik radiowozu pracował od kilku chwil. Gliniarz wrzucił bieg i wyjechał na drogę. Mary odwróciła głowę, obserwując ich oddalający się samochód, a kiedy znów spojrzała przed siebie, Peter dostrzegł, że przepelniające jej oczy łzy pociekły po policzkach.

- Proszę, niech pan mnie wysłucha - powiedziała do krótkich jasnych włosów porastających tył gigantycznej czaszki. Gliniarz zdjął szerokoskrzydły kapelusz; Peter miał wrażenie, że między czubkiem jego głowy a dachem caprice pozostało najwyżej pół centymetra. - Proszę, dobrze? Niech pan spróbuje zrozumieć, że to nie nasz samochód! Sam pan przecież wie, widział pan dowód rejestracyjny. Samochód należy do mojej szwagierki. Głupiej szwagierki... już prawie zupełnie odmóżdżonej.

- Mare... - Peter położył jej dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją.

- Nie! Nie mam zamiaru siedzieć w komisariacie w jakiejś dziurze i cały dzień odpowiadać na pytania, nie mam zamiaru siedzieć w celi, bo twoja siostra jest samolubna, głupia i cała... cała... popieprzona!

Peter wyprostował się na siedzeniu. Nadal czuł nacisk na kolana, niemal bolesny, ale przecież musi z tym żyć. Wyrzwał przez zakurzone boczne okno. Od acury dzieliły ich już jakieś dwa-trzy kilometry, przed nimi zaś, na poboczu prowadzącego na zachód pasa stał jakiś samochód. Duży samochód. Być może nawet ciężarówka.

Mary przeniosła wzrok z tyłu głowy policjanta na wsteczne lusterko; prawdopodobnie próbowała złapać w nim jego wzrok.

- Połowa komórek mózgowych Deirdre zmarła śmiercią tragiczną - mówiła - a druga połowa wybrała się na permanentne wakacje w Szmaragdowym Grodzie. Termin kliniczny brzmi "wypalenie", przecież musiał pan widzieć ludzi takich jak ona nawet tu, na pustyni. Pod zapasowym kołem w jej samochodzie prawdopodobnie rzeczywiście znalazł pan trawkę, ale to nie jest nasza trawka! Czyżby nie potrafił pan tego pojąć?

Stojący na poboczu samochód, przydymiona, szybą wskazujący kierunek na Fallon, Carson City i Lake Tahoe, nie okazał się jednak ciężarówką, lecz kamperem. Nie tym z gatunku dinozaurów, ale nadal całkiem sporym. Na bokach kremowej karoserii widniał zielony pas, na masce zaś, tą samą zieloną farbą, wypisano słowa "Czwórka Szczęśliwych Włóczęgów". Samochód pokryty był kurzem i stał dziwnie, jakby krzywo. Kiedy się do niego zbliżyli, Peter dostrzegł osobliwą rzecz - kamper miał kaptcie we wszystkich kołach, które znajdowały się w zasięgu jego wzroku. Zdawało mu się też, że powietrza nie ma w oponach podwójnych tylnych kół po stronie pasażera. Tyle kaptci - oczywiste, że stoi tak dziwnie pochylony, ale jakim cudem komuś udało się przedziurawić naraz prawie wszystkie opony? Gwoździe na drodze? Odłamki szkła?

Spojrzał na żonę, Mary nadal jednak intensywnie wpatrywała się we wsteczne lusterko radiowożu.

- Gdybyśmy to my wsadzili torbę do bagażnika - tłumaczyła - gdyby ta torba była nasza, dłaczegóż, na Boga, Peter miałby wyjmować zapasowe koło, żeby sięgnąć po narzędzia? Przecież mógł to zrobić i bez tego. Nie byłoby to najwygodniejsze, ale miejsca by mu wystarczyło.

Minęli stojący na poboczu wóz. Boczne drzwi miał zamknięte, lecz nie na kluczyk, stopnie opuszczone. Pod nimi, na ziemi leżała lalka. Jej sukienka powiewała na wietrze.

Peterowi opadły powieki. Nie był pewien, czy zrobiły to na jego życzenie, czy też samodzielnie podjęły decyzję, i nie bardzo go to obchodziło. Obchodziło go jednak to, że Przyjacielski Policjant przemknął obok, nie zwalniając, jakby nie widział kampera albo wiedział o nim wszystko. Przez głowę przeleciały mu słowa starej piosenki: "Coś się tu dzieje... nikt nie wie co..."

- Czy sprawiamy na pana wrażenie idiotów? - spytała retorycznie Mary. Kamper oddalał się, nikał... podobnie jak przedtem oddalała się, nikała acura. - A może narkomanów? Czy sądzi pan, że...

- Zamknij się - warknął gliniarz, cicho, ale nie sposób było nie zauważyć jadu w jego głosie.

Mary siedziała pochylona, z rękami wczepionymi w siatkę między przednim a tylnym siedzeniem. Ręce jej opadły, zdumiona, zszokowana, spojrzała na Petera nic nie rozumiejącym wzrokiem. Była żoną naukowca, była poetką, która od momentu, gdy - przerażona - zadebiutowała przed ośmioma laty, zdążyła opublikować swe wiersze w dwudziestu magazynach, dwa razy w tygodniu uczestniczyła w spotkaniach kobiecych grup dyskusyjnych i na serio rozważała, czy nie włożyć sobie kolczyka w nos. Kiedy po raz ostatni w życiu kazano się jej zamknąć? - pomyślał Peter. - Czy w ogóle ktoś kiedyś kazał jej się zamknąć?

- Co? - spytała. Może chciała, by zabrzmiało to agresywnie, może pragnęła, by w jej głosie pojawiła się nawet nutka groźby, ale tak naprawdę kryło się w nim wyłącznie zdumienie. - Co pan powiedział?

- Jesteście z mężem aresztowani pod zarzutem posiadania marihuany w celach handlowych - oznajmił gliniarz.

Mówił głosem monotonnym, spokojnym - głosem robota. Peter patrzył przed siebie. Dopiero teraz dostrzegł, że na desce rozdzielczej, za kompasem, obok czegoś, co prawdopodobnie było cyfrowym licznikiem radaru, siedzi niedźwiadek. Mały niedźwiadek jak zabawka z automatu. Łebek miał na sprężynie, wpatrywał się w niego martwymi oczkami.

To jakiś koszmarny sen - pomyślał Peter, wiedząc doskonale, że to nie jest koszmarny sen. - Przecież to musi być koszmarny sen. Wiem, wiem, bardzo rzeczywisty, ale to przecież musi być koszmarny sen.

- Pan nie mówi poważnie. - Głos Mary był cienki, pełen zdumienia; wiedziała, że rzeczywistość zadaje kłam jej słowom. W oczach znów miała łzy. - Przecież nie może pan mówić poważnie!

- Macie prawo zachować milczenie - recytował gliniarz tym samym mechanicznym głosem. - Jeśli zdecydujecie się zeznawać, wszystko, co powiecie, może być użyte przeciwko wam. Macie prawo do pomocy adwokata. Zabiję was. Jeśli nie stać was na adwokata, zostanie wam przyznany z urzędu. Czy rozumiecie wasze prawa tak, jak zostały wam przedstawione?

Mary patrzyła na Petera wielkimi, przerażonymi oczami, pytając go wzrokiem, czy usłyszał to jedno zdanie wplecione w formułę recytowaną równym głosem robota. Peter skinął głową. Usłyszał je, jasne, że je usłyszał. Przyłożył dłoń do krocza, pewny, że pod palcami poczuje wilgoć, ale nie zsiąkał się, no przynajmniej jeszcze nie. Objął Mary; czuł, jak jego żona drży. Nie potrafił przestać myśleć o stojącym na poboczu kamperze. Nie zamknięte na zamek drzwi, laleczka leżąca na szosie buzią w dół, zbyt wiele złapanych gum. I jeszcze ten kot, którego Mary widziała przybitego do znaku ograniczenia prędkości.

- Czy rozumiecie wasze prawa?

Zachowuj się normalnie. On chyba nie ma najmniejszego pojęcia, co powiedział, więc zachowuj się normalnie.

Co to znaczy "normalnie", kiedy siedzi się na tylnym siedzeniu radiowozu prowadzonego przez policjanta, który najoczywiściej w świecie jest szalony jak marcowy zając, przez policjanta, który właśnie zapowiedział, że ma zamiar cię zabić?

- Czy rozumiecie wasze prawa? - spytał ich mechaniczny głos robota.

Peter otworzył usta. Nie potrafił wykrztusić słowa, jęknął tylko.

I gliniarz wreszcie odwrócił głowę. Jego twarz, zaróżowiona od słońca, kiedy ich zatrzymał, była teraz śmiertelnie biała. Oczy miał wielkie, wręcz ogromne. Przygryzł wargę, jakby powstrzymywał wybuch wściekłego, niepohamowanego gniewu; krew cienkim strumykiem ciekła mu po brodzie.

- Czy rozumiecie wasze prawa?! - wrzasnął. Z głową zwróconą do tyłu pędził pustą szosą przeszło sto dwadzieścia na godzinę. - Czy rozumiecie wasze prawa, czy ich nie rozumiecie? Rozumiecie czy nie rozumiecie? Rozumiecie czy nie rozumiecie? Rozumiecie czy nie? Odpowiedz mi, ty cwany nowojorski Żydku!

- Rozumiem! - wrzasnął Peter. - Rozumiem, rozumiemy, niech pan patrzy na drogę, na litość boską, niech pan patrzy na drogę!

- O mnie się nie martwicie - powiedział gliniarz głosem, który znów był spokojny, łagodny. - Jejku jej! Mam oczy naokoło głowy. Naokoło całutkiej głowy, możecie mi wierzyć. Lepiej, żebyście to sobie zapamiętali.

Odwrócił się nagle, znów patrzył przed siebie. Zwolnił; jechali spokojnie, dziewięćdziesiątką. A jego fotel znów boleśnie uciskał kolana Petera. Nie mógł się ruszyć.

Ujął w dłonie rękę Mary. Przycisnęła twarz do jego piersi, czuł, jak wstrząsa nią z trudem powstrzymywany szloch. Drżała niczym liść na wietrze. Nad jej ramieniem spojrzał przed siebie, przez siatkę. Siedzący na desce rozdzielczej miś ruszał łebkiem.

- Widzę dziury niczym oczy - ostrzegł gliniarz. - Mam ich pełną głowę.

Przez resztę drogi do miasta milczał.

5

Następne dziesięć minut wydawało się Peterowi Jacksonowi bardzo długie. Ciężar cielska na fotelu kierowcy i nacisk na kolana rósł najwyraźniej z każdym ruchem sekundowej wskazówki zegarka - wkrótce Peter stracił czucie w łydkach. Stóp właściwie nie miał; nie był pewien, czy - gdy wreszcie dojadą na miejsce - będzie w stanie o własnych siłach wysiąść z samochodu. Pęcherz mu pękał, głowa bolała. Wiedział, że wraz z Mary znaleźli się w najgorszych kłopotach, jakie im się w życiu przytrafiły, ale w żaden sposób nie pojmował, co za skutki praktyczne mogą mieć te kłopoty, a gdy tylko zbliżał się do zrozumienia, w jego mózgu następowało krótkie spięcie. Wracali do Nowego Jorku. Spodziewano się przecież, że wkrótce tam wrócą. Ktoś podlewał im kwiatki. Dzieje się coś, co się nie może dziać, absolutnie nie może się dziać.

Mary trąciła go łokciem. Wskazała za okno, na drogowskaz, na którym wypisane było jedno słowo: DESPERATION, a pod nim widniała wskazująca w prawo strzałka.

Caprice zwolnił, ale niewiele. Przechylił się mocno; Peter dostrzegł, że Mary wzięła głęboki oddech, jakby zaraz miała wrzasnąć. Przykrył jej usta dłonią i szepnął do ucha:

- Uda mu się, zobaczysz, że mu się uda, nie będziemy dachować.

Sam nie był jednak całkiem tego pewien, radiowóz wpadł w poślizg, ale tylne koła szczęśliwie złapały przyczepność i już gnali wąską drogą, na której nie pofatygowano się nawet wymalować białej środkowej linii.

Przejechali z półtora kilometra, nim po prawej pojawiła się tablica: KOŚCIOŁY I ORGANIZACJE SPOŁECZNE DESPERATION WITAJĄ - Słowa KOŚCIOŁY I ORGANIZACJE SPOŁECZNE były czytelne, choć ktoś pokrył je warstwą żółtej farby w sprayu. Nieco wyżej, tą samą farbą, nierównymi wielkimi literami ktoś wypisał ZDECHŁE PSY. Na tablicy zmieściła się nawet lista kościołów i organizacji społecznych, ale Peter nie miał zamiaru jej przeczytać. Przeszkadzał mu powieszony wilezur, tylne łapy psa kołysały się zaledwie kilka centymetrów nad ziemią, ciemną i rozmiękłą od krwi.

Mary ścisnęła mu rękę jak imadło. Cieszył go uścisk jej palców. Pochylił się, wdychając słodki zapach perfum i kwaśną woń potu. Dotknął wargami jej ucha.

- Nic nie mów, nie waż się odezwać - szepnął. - Skinij głową, jeśli rozumiesz, co powiedziałem.

Skinęła głową. Peter wyprostował się.

Mijali osiedle przyczep kempingowych, stojących za ogrodzeniem z siatki. Większość przyczep była mała i najwyraźniej widziała lepsze dni mniej więcej wtedy, gdy w telewizji pojawiły się pierwsze odcinki *Cheers*. Na gorącym pustynnym wietrze między kilkoma przyczepami powiewało nędzne pranie. Na jednej wisiał napis:

KOCHAM BROŃ I W GARDŁO LEJĘ.

CZYTAM BIBLIĘ I CLINTONA LEJĘ.

JESTEM SUKINSYNEM.
PIES TO NIC, STRZEŻ SIĘ WŁAŚCICIELA.

Na starej airstream, zaparkowanej blisko drogi, ustawiono czarną antenę satelitarną, na niej zaś, na arkuszu pomalowanej na biało, lecz mimo to przeżartej rdzą blachy wypisano:

WŁASNOŚĆ TELEKOMUNIKACJI.
PARKING GRZECHOTNIKA.
NIE CHODZIĆ! POLICJA CZUWA!

Za parkingiem stał długi barak z blachy falistej, również mocno zardzewiała, ozdobiony oznaczeniem: KORPORACJA GÓRNICZA DESPERATION. Z boku, na popękany asfalcie parkingu stało kilkanaście samochodów, w tym kilka półciężarówek.

W chwilę później minęli "Desert Rose Café" i znaleźli się w mieście. Na Desperation w Nevadzie składały się dwie ulice, przecinające się pod kątem prostym. Ze wszystkich czterech stron umieszczonej nad skrzyżowaniem sygnalizacji mrugało żółte światło. Budynki użyteczności publicznej wypełniały przestrzeń między dwiema przecznicami. Większość z nich najoczywściej miała fałszywe frontony. Była tu kawiarnia i kasyno "Owl's Club", sklep samoobsługowy, automatyczna pralnia, bar, zapraszający gości wywieszonym w oknie napisem: CIESZ SIĘ NASZĄ ALKOHOLOWOŚCIĄ, sklep przemysłowy i sklep spożywczy oraz kino "The American West" plus kilka innych domów. Żaden biznes nie sprawiał wrażenia kwitnącego, kino zaś wyglądało, jakby nikt nie otworzył jego podwojów od bardzo, bardzo dawna. Z brudnej, porwanej markizy zwisało krzywe O.

Na osi wschód-zachód stało kilka domów i jeszcze trochę przyczep. Poruszał się tu tylko radiowóz i zabłąkany biegnący stepowy, podskakujący leniwie główną ulicą.

Ja też zszedłbym z drogi, gdybym wiedział, że zbliża się ten facet. Możecie roztrąbić światu, że zwałbym, gdzie pieprz rośnie - pomyślał Peter.

Tuż za miastem znajdował się ogromny wał ziemny, na który dwoma ostrymi zakrętami wspinała się ubita gruntowa droga, najmarniej czteropasmówka. Reszta nasypu, co najmniej stumetrowej wysokości, pocięta była głębokimi wyjeżdżonymi koleinami, kojarzącymi się Peterowi ze zmarszczkami na skórze starca. U stóp znajdującego się za wałem krateru, prawdopodobnie pozostałości po kopalni odkrywkowej, przy budynku z blachy falistej, z którego w obie strony biegły taśmociągi, stały zaparkowane ciężarówki. Przy tej nieprawdopodobnej ścianie ziemi wyglądały jak zabawki.

- Grzechotnik Numer Dwa, znany też pod nazwą Chińskiej Jamy. - Policjant przemówił po raz pierwszy, odkąd oznajmił im, że głowę ma pełną dziur czy coś takiego. Powiedział to tonem przewodnika, któremu praca jeszcze się nie znudziła. - Stary Numer Dwa zaczęto eksploatować w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Mniej więcej od sześćdziesiątego drugiego do końca lat siedemdziesiątych była to największa kopalnia odkrywkowa miedzi w Stanach Zjednoczonych, jeśli nie na świecie. Złoże zostało wybrane i kopalnię zamknięto tylko po to, by otworzyć ją dwa lata temu. Dzięki nowym technikom opłacało się nawet wydobywanie resztek. Ach, ta nauka. Jejku, jej.

Kopalnia z pewnością jednak tego dnia nie pracowała, choć przecież nie była to ani sobota, ani niedziela. Na górze nie widać było żywej duszy. Ciężarówki stały sobie po prostu wokół czegoś, co mogło być sortownią. Ktoś zostawił pikapa zaparkowanego na poboczu szerokiej, prowadzącej na sam szczyt zwirowej drogi. Oba taśmociągi stały.

Radiowóz przejechał przez centrum miasteczka. Gdy mijali skrzyżowanie, Mary dwukrotnie ścisnęła dłoń Petera. Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Pośrodku uliczki krzyżującej się z główną ulicą stały trzy rowery, nieco oddalone od skrzyżowania, ustawione na kierownicach i siodełkach, ze sterzącymi do góry kołami. Koła obracały się na pustynnym wietrze jak wiatraki.

Mary spojrzała na niego; oczy miała wielkie, większe niż dotychczas. Peter uściśnił jej dłoń.

- Ciii...

Wielki policjant włączył migacz, sygnalizując skręt w lewo - w tych okolicznościach było to nawet zabawne - i wjechał na mały, niedawno wyasfaltowany parking, odgradzony z trzech stron ceglany murem. Na asfalcie wymalowano błyszczącą białą farbą miejsca na samochody. Na ścianie z tyłu wypisano ostrzeżenie: TYLKO DLA SAMOCHODÓW URZĘDU MIEJSKIEGO LUB JEGO GOŚCI. PROSIMY, ZOSTAW WOLNE MIEJSCE.

Tylko w Nevadzie nadal proszą, żeby zostawić wolne miejsce do parkowania - stwierdził w duchu Peter. - W Nowym Jorku podobny napis głosiłby zapewne: SAMOCHODY OSÓB NIE UPOWAŻNIONYCH ZOSTANĄ SKRADZONE, A WŁAŚCICIELE RZUCENI LWOM NA POŻARCIE.

Na parkingu stały może ze cztery wozy. Jeden z nich, stary, zardzewiały ford kombi ozdobiony był na drzwiach napisem: DOWÓDCA ODDZIAŁU STRAŻY POŻARNEJ. Obok niego stał inny policyjny radiowóz, w nieco lepszym stanie, starszy jednak od caprice, którym przyjechali. Tylko jedno miejsce zarezerwowano dla osób niepełnosprawnych i na nim właśnie stanęli. Przyjacielski Policjant wyłączył silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. Głowę miał opuszczoną, palcami wystukiwał na kierownicy jakąś melodię, nucąc ją jednocześnie martwym głosem. Peterowi zdawało się, że to *Last Train to Clarkesville*.

- Niech pan nas nie zabija - powiedziała nagle Mary zduszonym od łez, drżącym głosem. - Zrobimy, co pan chce, tylko niech pan nas nie zabija!

- Zamknij tę swoją żydowską kłapaczkę - odparł gliniarz.

Nie uniósł nawet głowy. Palcami wielkości parówek nadal wybijał na kierownicy rytm piosenki.

- Nie jesteśmy Żydami - odezwał się ku swemu wielkiemu zdumieniu Peter. W jego głosie nie było strachu, już raczej brzmiał zaczepnie, gniewnie. - Tylko... no... chyba prezbiterianami. O co tu w ogóle chodzi?

Przeżona Mary zerknęła na męża i przez siatkę wpatrzyła się w policjanta niepewna, jak przyjmie tę uwagę. Policjant nie zareagował, siedział ze zwieszoną głową, stukając w kierownicę. Po chwili przestał, zabrał kapelusz z fotela pasażera i wyszedł z samochodu. Peter pochylił się, by móc obserwować, jak wkłada ten kapelusz. Cień wielkiego stojącego mężczyzny nadal był krótki, lecz nie otaczał już wyłącznie jego stóp. Peter zerknął na zegarek - prawie wpół do trzeciej. I pomyśleć, że przed niespełną godziną jego największym zmartwieniem było, gdzie się tej nocy prześpią, a jedyną troską to, że nie ma już gumy do żucia.

Gliniarz pochylił się i otworzył lewe tylne drzwiczki radiowozu.

- Proszę wysiąść z samochodu - powiedział uprzejmie.

Wysiedli, Peter pierwszy. Stali na parkingu w gorących promieniach słońca, niepewnie przyglądając się gigantowi w mundurze, przecinającym pierś pasie i szerokoskrzydłym kapeluszu.

- Przejdziemy teraz do frontowego wejścia do budynku Urzędu Miejskiego - oznajmił im wielkolud. - Chodnikami na lewo. Oboje wyglądacie mi na Żydów. Macie te charakterystyczne wielkie nosy.

- Panie władzo... - spróbowała Mary.

- Nie. Ruszajcie i na chodniku skróćcie w lewo. Nie nadużywajcie mojej cierpliwości.

Ruszyli. Szli po świeżo wyasfaltowanym parkingu, mając wrażenie, że ich kroki rozlegają się bardzo głośnym echem. Peter nie mógł przestać myśleć o misiu siedzącym na desce rozdzielczej. O jego kołyszącym się łebku, jego malowanych ślepkach. Kto dał go temu człowiekowi? Ulubiona siostrzenica? Córka? Przyjacielski Policjant nie nosił obrączki, co łatwo było dostrzec, kiedy stukał palcami w kierownicę, ale nie oznaczało to przecież, że nigdy nie był żonaty. Fakt, że żona tego szczególnego mężczyzny mogła w którymś momencie zapragnąć rozwodu, nie wydał się Peterowi dziwny. O, nie.

Gdzieś z góry dobiegał ich monotony zgrzyt. Peter spojrzał wzdłuż ulicy. Nad barem "Bud's Suds" kręcił się kurek przedstawiający gnoma, który trzymał pod pachą dzban złota i uśmiechał się wszytkowiedzącym uśmiechem. To on zgrzytał tak przeraźliwie.

- W lewo, osłe - burknął gliniarz głosem nie tyle gniewnym, co zrezygnowanym. - Nie wiesz, która to lewa strona? Nie uczą was znaku krzyża, wy cholerni nowojorscy homoprezbiterianie?

Peter skrócił w lewo. Szedł ramię przy ramieniu z Mary, trzymając ją za rękę. Dotarli tak do wejścia - trzech stopni prowadzących wprost w nowoczesne podwójne drzwi z przydymionego szkła. Sam budynek był znacznie mniej nowoczesny. Biała tablica na wyblakłej cegle oznajmiała: URZĄD MIEJSKI DESPERATION. Poniżej, na drzwiach, wyliczono wszystkie dostępne chętnemu wydziały: Biuro Burmistrza, Komitet Szkolny, Policja, Wydział Oczyszczania Miasta, Urząd Pracy, Wydział Kopalni i Mineralów. U dołu na prawym skrzydle zainteresowanych poinformowano jeszcze: PODANIA O ZASIŁKI PRZYJMOWANE SĄ W PIĄTKI OD 13.00 PO UPRZEDNIM ZGŁOSZENIU.

Gliniarz zatrzymał się u stóp schodów i z wielkim zdumieniem przyjrzał się Jacksonom. Choć upał był nieznośny, dobrze ponad trzydzieści pięć stopni, najwyraźniej wcale się nie pocił. Zza jego szerokich ramion dobiegał monotony, przeraźliwy w panującej ciszy zgrzyt kurka.

- Ty jesteś Peter? - spytał.

- Tak, Peter Jackson. - Peter obliznął wargi.

Gliniarz spojrzał na Mary.

- A ty Mary, tak?

- Tak.

- A gdzie się podział Paul? - zainteresował się, patrząc na nich łagodnym, pogodnym spojrzeniem.

Kurek nad barem ze zgrzytem obracał się na wietrze.

- Jak to? - zdumiał się Peter. - Nie rozumiem?

- Przecież nie możecie śpiewać *Five Hundred Miles i Leavin on a Jet Plane* - stwierdził rozsądnie wielkolud, otwierając prawe skrzydło drzwi.

Owiała ich chłodne powietrze z klimatyzowanego wnętrza. Peter poczuł na twarzy jego powiew, zdążył jeszcze pomyśleć, jakie jest przyjemne, miłe, chłodne... i w tym momencie Mary wrzasnęła przeraźliwie.

Jego oczy ułamek sekundy dłużej przyzwyczajały się do mroku panującego wewnątrz urzędu miejskiego, ale przecież przyzwyczały się i dostrzegł to, co wcześniej zobaczyła Mary. Dostrzegł leżącą u stóp schodów dziewczynkę - miała może sześć lat i była rozciągnięta na czterech najniższych stopniach. Jedną rączkę zarzuconą

miała nad głowę, dłonią do góry, jasne włosy związane w kucyki. Jej głowa przechylona była na bok pod nienaturalnym kątem, oczy szeroko otwarte. Peter nie miał już najmniejszych wątpliwości, do kogo należała lalka, leżąca na ziemi obok kampera. CZWÓRKA SZCZEŚLIWYCH WŁÓCZĘGÓW - głosił wypisany na jego masce napis, ale w swym optymizmie zdecydowanie nie pasował do współczesnych czasów. Co do tego Peter też nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Jejku jej! - krzyknął wesoło wielki glina. - Zupełnie o niej zapomniałem! No, ale przecież nie da się pamiętać o wszystkim, prawda? Choćby człowiek nie wiem jak próbował!

Mary znów wrzasnęła. Zaciśnięte w pięści dłonie podniosła do ust. Próbowwała się cofnąć.

- Ależ nie, skąd, co za kiepski pomysł - skrzywił się gliniarz.

Złapał ją za ramię i pchnął. Mary przeleciała przez cały krótki korytarz, wymachując ramionami w rozpaczliwym wysiłku, by utrzymać się na nogach i nie wpaść na dziewczynkę w dzinsach i koszulce MotoGlin 2200.

Peter skoczył, by podtrzymać żonę. Gliniarz złapał go w niedźwiedzim uścisku, pośladkami przytrzymując zamykające się drzwi. Przytulił go do piersi. Twarz miał szczerą, przyjacielską, a przede wszystkim, co za szczęście, wyglądał teraz zupełnie zwyczajnie - sprawiał wrażenie całkiem normalnego, jakby przeszedł na stronę dobrych facetów, przynajmniej chwilowo. Peter poczuł przypływ nadziei i nie od razu skojarzył nagły ucisk na brzuchu z monstualnym rewolwerem gliniarza. Nie; pomyślał o ojcu, który czasami szturchał go palcem, zwłaszcza gdy udzielał mu dobrych rad. Szturchnięcia dodawały siły sentencjom w rodzaju: "Żadna dziewczyna nie zajdzie w ciążę, jeśli chłopaki jak ty zapną spodnie na wszystkie guziki, Petie".

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że policjant szturcha go lufą, nie paluchem, póki Mary nie krzyknęła:

- Nie! Boże, nie!

- Nie... - zdążył się jeszcze zdziwić.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś Żydem czy Hindusem - stwierdził gliniarz, tuląc go do piersi. Lewą ręką otoczył mu ramiona, prawą odwiódł kurek czterdziestkiątki. - My tu, w Desperation, nie przejmujemy się takimi drobiazgami.

Nacisnął spust co najmniej trzykrotnie. Co najmniej, bo dalszych strzałów Peter Jackson nie zdołałby już usłyszeć. Mimo iż stłumione przez jego żołądek i tak rozległy się przeraźliwie głośno. Fala nieprawdopodobnego gorąca sięgnęła mu jednocześnie do stóp i piersi, usłyszał, jak coś mokrego rozpryskuje mu się na butach. Słyszał też krzyk Mary, ale Mary krzyczała już z bardzo, bardzo daleka.

A teraz obudzę się w łóżku - zdążył jeszcze pomyśleć. Kolana ugięły się pod nim, świat zaczął się oddalać, świat jaskrawy, rażący oczy jak odbicie popołudniowego słońca na chromowej powierzchni wagonu ruszającego ze stacji pociągu. - Teraz obudzę się i...

Przestał myśleć. Zapadał się w ciemność w towarzystwie nie myśli, lecz obrazu - obrazu misia siedzącego obok kompasu na desce rozdzielczej policyjnego radiowozu. Misia kiwającego łebkiem, wpatzonego w niego nieruchomymi, malowanymi ślepkami. Ślepka zmieniły się w dziury, z dziur trysnęła ciemność i Peter Jackson przestał być.

Rozdział 2

1

Ralph Carver spoczywał głęboko w ciemności i wcale nie pragnął się z niej wynurzyć. Czuł oczekujący na niego niecierpliwie ból, ma prawdopodobnie kaca, potężnego kaca, skoro głowa boli go nawet przez sen, ale chodzi nie tylko o kaca. Chodzi o coś jeszcze, o coś

(Kirsten)

co stało się rano. Coś związanego z

(Kirsten)

z wakacjami. Upił się chyba, urządził jakiś cholerny cyrk, Ellie jest z całą pewnością wkurzona jak cholera, ale jeśli nawet, to i tak nie powinien się czuć aż tak fatalnie...

Krzyk. Ktoś krzyczy. Z daleka.

Ralph próbował jeszcze głębiej pogrzebać się w ciemności, tylko że ktoś złapał go teraz za ramiona, ktoś zaczął nim potrząsać, cholera, każdy ruch przeszywał mu głowę strzałą bólu, co za kac...

- Ralph! Ralph! Obudź się, Ralph! Obudź się!

Ellie nim potrząsa. Czyżby spóźnił się do pracy? Jak może spóźnić się do pracy, przecież pojechali na wakacje!

Otoczającą go ciemność przeszyły strzały niczym potężne snopy światła. Trzy, przerwa, i jeszcze jeden. Ralph otworzył oczy i usiadł, nie mając przez chwilę pojęcia, gdzie jest, co się dzieje. Wiedział tylko, że łeb mu pęka, że łeb ma jak balon Macy'ego podczas parady w dzień Święta Dziękczynienia. Twarz zaklejało coś lepkiego... syrop? Dżem? Ellen przyglądała mu się z napięciem, jedno oko miała szeroko otwarte, przerażone, drugie zasłaniał wielki sinowisniowy siniak.

Krzyki. Skąd. Kobieta. Z dołu. Może...

Próbował wstać, ale z jakiegoś powodu nie mógł utrzymać kolan w pozycji wyprostowanej. Spadł z łóżka, na którym siedział (tylko, że nie było to łóżko, lecz prycza), lądując na dłoniach i kolanach. Ból niemal rozłupał mu czaszkę, przez chwilę miał wrażenie, że pękła na połówki jak skorupka jajka. Nagle stwierdził, że przez pasma włosów widzi swe oparte o podłogę dłonie, obie pokryte krwią, przy czym lewa była znacznie czerwiejsza od prawej. Patrzył na nie i nagle

(Kirsten o Jezu Ellie łap ją)

w głowie niczym zepsuty fajerwerk eksplodowały wspomnienia i sam zaczął wrzeszczeć, wrzeszczeć na zakrwawione dłonie, a to, co pragnął pogrzebać w pamięci, rozdarło jej powierzchnię niczym rzucony w wodę kamień. Kirsten spadła ze schodów...

Nie. Została zepchnięta ze schodów...

Ten zwariowany sukinsyn, który ich tu przywiózł, zepchnął ze schodów jego siedmioletnią córeczkę. Ellie próbowała ją złapać i wtedy ten zwariowany sukinsyn podbił jej oko, Ellie przewróciła się na schody, a Kirsten z nich spadła. Oczy miała szeroko otwarte, pełne nieprzytomnego zdumienia, pewnie nawet nie wiedziała, co się dzieje. Jeśli on, Ralph, ma jeszcze w życiu jakąś nadzieję, będzie czepiał się właśnie tego, że ona chyba nie

wiedziała, co się dzieje, że wszystko działo się dla niej za szybko, przewróciła się, fiknęła kozła, uniesione nóżki i ten dźwięk - ten obrzydliwy trzask jak łamiącej się pod ciężarem śniegu gałęzi - w jednej chwili całkiem się zmieniła, zatrzymała się u stóp schodów, leżała tam nie jak dziewczynka, lecz lalka, wypchana gałgankami lalka...

Nie myśl, nie myśl, ani mi się waź myśleć.

Ale musiał myśleć. Tak upadła... leżała u stop schodów z przekrzywioną główką...

Ralph dostrzegł krople krwi kapiące mu na lewą dłoń. Najprawdopodobniej coś jest nie tak z tą stroną jego twarzy. Co się stało? Czy gliniarz dał w pysk i jemu, być może rękojeścią tego swojego monstrualnego rewolweru? Może, ale ta część przeżyć dzisiejszego dnia jakoś umknęła jego pamięci. Pamiętał tylko, jak jego córeczka robi salto na schodach, ześlizguje się z kilku stopni i nieruchomieje z przekrzywioną na bok główką. Tylko to. Chryste na niebie, wystarczy tych wspomnień!

- Ralph! - Ellen szarpała go za ramię, dysząc ciężko. - Ralph, wstawaj! Wstań, proszę.

- Tato? Tato, proszę, oprzytomniej. - Głos jego syna Davida dobiegał Ralpha z dalszej odległości. - Mamo, czy wszystko z nim dobrze? Znowu krwawi, prawda?

- Nie... Nie, tata...

- Tak, mamo, krwawi. Przecież widzę. Tato, tato, dobrze się czujesz?

- Dobrze - wykrztusił.

Przyklęknął na jedno kolano, złapał się pryczy i z wysiłkiem dźwignął na nogi. Lewe oko zalane miał krwią. Lewa powieka sprawiała wrażenie zalepionej cementem portlandzkim. Wylał ją grzbietem dłoni i skrzywił się, kiedy czoło przeszła mu fala bólu; ciało nad lewą powieką miał miękkie jak świeże bitki. Spróbował obrócić się w stronę, z której dobiegał go głos syna, i omal się nie przewrócił. Miał wrażenie, że płynie łodzią. Zmysł równowagi diabli wzięli - nawet kiedy przestał się obracać, coś w głowie próbowało przekonać go, że kręci się nadal w kółko, w kółko. Ellie złapała go, podtrzymała, pomogła mu zrobić krok do przodu.

- Nie żyje, prawda? - spytał Ralph. Zdławiony głos wydostał mu się z gardła niczym w strumieniu krwi. Nie potrafił uwierzyć w to, co powiedział ten głos, ale przypuszczał, że z czasem uwierzy. To właśnie było najgorsze. Z czasem uwierzy. - Kirsten nie żyje, prawda?

- Tak, chyba rzeczywiście nie żyje - odparła Ellen. Tym razem to ona się zataczała. - Złap się za kraty, Ralph, dobrze? Zaraz mnie przewrócisz.

Siedzieli w celi aresztu. Przed sobą, tuż poza zasięgiem wyciągniętej ręki, Ralph dostrzegł zakratowane drzwi. Krata pomalowana była na biało - grubo, bo w niektórych miejscach farba zastygła w głębokie, nierówne linie. Zrobił jeden chwiejny krok i złapał się kraty.

Przed sobą miał biurko stojące pośrodku niewielkiej kwadratowej przestrzeni niczym jedyny rekwizyt w jakiejś minimalistycznej sztuce. Na biurku leżały papiery oraz dubeltówka, wokół której rozsypane były grube zielone patrony. Przysunięte do niego staroświeckie drewniane krzesło wmontowane miało kółka, na jego siedzeniu zaś leżała spłowiała niebieska poduszka. Palila się wprawiona w sufit żarówka w osłoniętym siatką kloszu. Muchy, którym udało się tam dostać i paść, rzuciły na podłogę i ściany groteskowo wielkie cienie.

Trzy ściany pomieszczenia zajmowały cele. Pośrodku znajdowała się największa, prawdopodobnie przeznaczona dla pijaków. Ralph i Ellie Carver zajmowali jedną z mniejszych. Druga mała cela, po ich prawej ręce, była pusta. Naprzeciw nich znajdowały się jeszcze dwie, bliźniacze. W jednej zamknięty był ich jedenastoletni syn, David, wraz z siwowłosym mężczyzną. Tyle tylko Ralph potrafił o nim powiedzieć;

mężczyzna ten siedział na pryczy z opuszczoną, ukrytą w rękach głową. Kiedy z dołu rozległ się kobiecy krzyk, David obrócił się w jego kierunku, w kierunku otwartych drzwi, które prowadziły na schody

(Kirsten, Kirsten spadła z tych schodów, skręciła sobie kark, trzasnęła jak łamiąca się galęz...)

i na poziom ulicy, siwowłosy mężczyzna nawet się jednak nie poruszył.

Ellie podeszła do Ralpa i objęła go w pasie. Ralph zaryzykował i poruszył jedną ręką. Zdjął ją z kraty, ujął dłoń żony.

Na schodach rozległy się kroki, coraz bliżej, słyszeli też szuranie. Prowadzono im kogoś do towarzystwa... kogoś niezbyt chętnie dającego się prowadzić.

- Musimy mu pomóc! - krzyżała kobieta. - Musimy pomóc Peterowi! Musimy...

Jej krzyk urwał się, gdy została wepchnięta do środka. Leciała od drzwi z dziwną, baletową wręcz lekkością, obracając się na czubkach palców, białe tenisówki nawet podobne były do baletek, wyciągała ręce, włosy powiewały, miała na sobie dzinsy i spłowiałą niebieską koszulę. Wpadła na biurko, uderzyła w nie udami z siłą wystarczającą, by przesunęły się w stronę krzesła i nagle ze swej celi David rozkrzyżał się na nią piskliwie jak ptak, ścisnął kraty, podskakiwał na palcach, krzyżał panicznie, cienko, Ralph nie słyszał jeszcze tak krzyżającego syna, nie podejrzewał nawet, że jego syn potrafi tak krzyżać.

- Strzelba! Strzelba! Proszę pani, strzelba, strzelba, strzelba...! Weź strzelbę i zastrzel go! Niech pani go zastrzeli!

Siwowłosy podniósł wreszcie głowę. Twarz miał starą, ciemną od słońca pustyni, głębokie worki pod załzawionymi żółtymi oczami upodabniały go do wyżła.

- Kobieto! - wychrypiał. - Dubeltówka!

Kobieta w dzinsach i spłowiałej koszuli spojżała w kierunku krzyżającego chłopca, potem, przez ramię, na schody. Słuchała chyba ciężkich, zbliżających się kroków.

- Bierz strzelbę! - wrzasnęła stojąca obok Ralpa Ellie. - Zabił naszą córeczkę, zabije nas wszystkich, bierz strzelbę! Kobieta w dzinsach i spłowiałej koszuli sięgnęła po dubeltówkę.

2

Aż do Nevady wszystko było fajnie.

Szczęśliwi włóczędzy wyruszyli z Ohio do Lake Tahoe. Ellie Carver i dzieciaki mieli przez dziesięć dni pływać, spacerować i w ogóle napawać się urodą okolicy, a Ralph Carver miał grać - niespiesznie, dla przyjemności, absolutnie skoncentrowany. Miała to być ich czwarta wizyta w Nevadzie, druga nad jeziorem, Ralph zaś postanowił jak zawsze przestrzegać swych żelaznych zasad głoszących, że przerywa, gdy: a) przegra tysiąc dolarów lub b) wygra dziesięć tysięcy. Podczas trzech poprzednich wizyt nie udało mu się osiągnąć ani jednej, ani drugiej granicy. Raz wrócił do Columbus z przeznaczonymi na grę pięciuset dolarami w ogóle nienaruszonymi, raz miał ich zaledwie dwieście, a raz w lewej wewnętrznej kieszonce myśliwskiego bezrękawnika, który nosił na szczęście, zgromadził aż trzy tysiące dolarów. Podczas tej podróży zatrzymywali się w Hiltonach i Sheratonach, a nie na kempingach, a także kochali się każdej nocy, co Ralph uważał za fenomen, jako że oboje dobiegali czterdziestki.

“Kasyna już ci się pewnie znudziły - powiedział żonie w lutym, kiedy zaczęli planować wakacje. - Może tym razem pojechalibyśmy do Kalifornii? Albo do Meksyku?”

“Jasne. I wszyscy dostaniemy sraczkę. Będziemy podziwiać Pacyfik pomiędzy biegami do *casa del kupa* czy jak to tam nazywają”.

“A Teksas? Dzieciaki zobaczyłyby Alamo...” “Za gorąco, za dużo historii. Tahoe będzie chłodne, nawet w lipcu. Dzieci je kochają. Ja też. A póki nie prosisz o moje pieniądze, kiedy już przegrasz swoje...”

“Wiesz, że tego bym nigdy nie zrobił! - W głosie Ralpha zabrzmiało zdumienie i żal”.

Ralph rzeczywiście był zdumiony i trochę rozżalony. Siedzieli w kuchni swego podmiejskiego domu w Wentworth pod Columbus, obok brązowej lodówki, na drzwiczkach której rozsiane były namagnetyzowane stokrotki, przed nimi na barku rozrzucone były prospekty biur podróży; nie zdawali sobie sprawy z tego, że gra już się rozpoczęła, że jako pierwszą przegrają córkę. “Pamiętasz, co ci powiedziałem...”

“Że kiedy zaczniesz zachowywać się jak nałogowy hazardzista, przestajesz grać. Wiem. Pamiętam. Wierzę ci. Lubisz Tahoe, ja lubię Tahoe, dzieci lubią Tahoe, niech będzie Tahoe”.

Dokonali więc rezerwacji i dziś - jeśli nadal rzeczywiście było to dziś - jechali US 50, zwaną “najmniej uczęszczaną z dróg Ameryki”, kierując się na zachód, przez Nevadę w High Sierra. Kirsten bawiła się swą ulubioną lalką, Melissą Sweetheart, Ellie drzemała, a siedzący obok ojca David wyglądał przez okno, podpierając brodę dłońmi. Przedtem czytał Biblię, którą dał mu nowy przyjaciel, wielebny Martin (Ralph miał tylko nadzieję, że wielebny Martin nie jest pedałem; był wprawdzie żonaty, co dobrze o nim świadczyło, ale przecież, cholera, to jednak żaden dowód), ale potem zaznaczył miejsce i schował ją na półce. Ralph po raz kolejny przyznał przed sobą, że może warto byłoby spytać go, o czym myśli, o co właściwie chodzi z tą Biblią, ale równie dobrze mógłby przecież pytać słup, o czym myśli. David (nienawidził, kiedy mówiono na niego Dave) był pod tym względem dziwnym dzieckiem, zupełnie nie przypominającym rodziców. Ani młodszej siostry, jeśli już o to chodzi. Nagle zainteresowanie religią - to, co Ellie nazwała “podróżą do Boga” - było tylko jednym z objawów. Prawdopodobnie minie mu, a tymczasem przynajmniej nie oświecał ojca cytatami na temat hazardu, przeklinania i niegolenia się w weekendy. I dobrze. Ralph nadal kochał chłopca, a miłość wybaczca wiele. Prawdopodobnie po to jest, by wybaczac - pomyślał.

Właśnie miał spytać syna, czy nie miałby ochoty pograć w dwadzieścia pytań - od chwili opuszczenia Ely, dziś rano, praktycznie nie było na co patrzeć i Ralph nudził się wręcz przeraźliwie - kiedy kierownica nagle zmiękła mu w rękach, a równy szum opon na asfalcie przeszedł w nieregularne kłapanie.

“Tata? - w głosie Davida brzmiała obawa, lecz nie panika. Doskonale. - Wszystko dobrze?”

“Trzymaj się - odparł Ralph, pompując hamulce. - Może być niebezpiecznie”.

Teraz, trzymając się krat celi, patrząc na oszołomioną kobietę, która być może stanowiła ich jedyną szansę przeżycia tego koszmaru, pomyślał: wtedy nie wiedziałeś nawet, co to znaczy niebezpiecznie, prawda?

Głowa bolała go od krzyku, ale mimo to krzyknął, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jego głos przypomina głos syna.

- Zastrzel go, kobieto, zastrzel, proszę...!

Mary Jackson pamiętała jedno - i to wspomnienie spowodowało, że sięgnęła po dubeltówkę, chociaż w życiu nie miała w ręku broni ani długiej, ani krótkiej. Pamiętała, jak gliniarz odczytywał im ich prawa i wplótł w nie słowa: "Zabiję was".

Miał taki zamiar. Na Boga, z pewnością miał zamiar ich zabić.

Obróciła się, trzymając strzelbę w dłoniach. Wielki jasnowłosy gliniarz stał w prowadzących do aresztu drzwiach i przyglądał się jej błyszczącymi, szarymi pustymi oczami.

- Zastrzel go, kobieto, zastrzel go, proszę! - krzyknął mężczyzna.

Zamknięty był w celi po jej prawej ręce. Stał obok kobiety z podbitym okiem; krwawiła podskórnice, sine nitki spływały jej na policzki jakby pod skórę wstrzyknięto tusz. Mężczyzna wyglądał jeszcze gorzej; cała lewa strona jego twarzy pokryta była grubą skorupą na pół zaschłej krwi.

Gliniarz podbiegł do niej, tupiąc butami po drewnianej podłodze. Mary cofnęła się, odsunęła od niego w stronę wielkiej pustej celi, jednocześnie odciągając kciukiem oba kurki dubeltówki. Podniosła ją do ramienia. Nie miała zamiaru ostrzegać tego człowieka. Właśnie z zimną krwią zabił jej męża. Nie miała zamiaru go ostrzegać.

4

Ralph pompował hamulce, mocno trzymając kierownicę. Łokcie odsunął od ciała - pozwalał jej pracować, ale lekko, bardzo lekko. Czuł, jak jego wóz próbuje zyzakować. Mówiono mu, że jeśli w samochodzie tych rozmiarów przy dużej szybkości strzeli opona, sekret polega na tym, żeby pozwalać mu chodzić na boki, byle nie za bardzo. Nie wyglądało jednak na to, żeby - mam dla was kiepską nowinę, kochani - strzeliła jedna tylko opona.

Zerknął we wsteczne lusterko. Kirsten nie bawiła się już z Melissą Sweetheart. Mocno przytuliła do piersi ukochaną laleczkę. Wiedziała, że coś się dzieje, choć nie wiedziała co.

"Kirsten, siadaj! - krzyknął Ralph. - Zapnij pas".

Tyle że tymczasem niebezpieczeństwo minęło. Zdołał sprowadzić samochód na pobocze. Wyłączył silnik i grzbietem dłoni otarł pot z czoła. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, miał wrażenie, że nieźle sobie poradził. Stojący z tyłu kampera dzbanuszek z pustynnymi kwiatami, nazbieranymi tego ranka przez Ellie i Kirsten przed motelem w Ely, podczas gdy on i David najpierw pakowali rzeczy, a potem sprawdzali samochód, nawet się nie przewrócił.

"Świetna robota, tato" - stwierdził rzeczowo David.

Ellie usiadła, rozglądając się niezbyt przytomnie.

"Przerwa na siusianie? - spytała. - Ralph, dlaczego stoimy tak krzywo?"

"Złapaliśmy..."

Ralph umilkł i zerknął w boczne lusterko. Doganiał ich jadący szybko, świecący kogutem policyjny radiowóz. Z piskiem opon zatrzymał się jakieś sto metrów za nimi. Wskoczył z niego - niemal jak gazela - największy gliniarz, jakiego Ralph widział w życiu. Dostrzegł, że wyjął on broń, i poziom adrenaliny we krwi nieco mu się podwyższył.

Gliniarz spojrział w prawo, spojrział w lewo; broń trzymał na poziomie ramienia, z lufą celującą w bezchmurne niebo poranka. Potem wykonał najprawdziwszy w świecie piruet, obracając się dookoła własnej osi.

Zatrzymał się twarzą do samochodu Ralpa. Spojrzał w lusterko; na moment ich oczy się spotkały. Policjant podniósł ręce nad głowę i opuścił je gwałtownym gestem, podniósł i opuścił. Nie sposób było nie zrozumieć tego, co przekazywał. “Zostańcie w środku! Zostańcie tam, gdzie jesteście!”

“Ellie, zamknij tylne drzwi” - powiedział Ralph, wduszając guzik przy drzwiach od strony kierowcy.

David, obserwujący go uważnie, powtórzył jego gest bez rozkazu.

“Co? - Ellen spojrzała niepewnie na męża. - Co się dzieje?”

“Nie wiem, ale za nami zatrzymał się policjant. Sprawia wrażenie zaniepokojonego”.

Zatrzymał się tam, gdzie złapałem gumę - pomyślał Ralph, a potem poprawił się: - Gummy.

Gliniarz pochylił się i podniósł coś z szosy. Podniósł pas czegoś, co iskrzyło się w słońcu niczym cekiny z wieczorowej sukni w świetle żyrandoli. Zaniósł ten pas do samochodu, trzymając go w jednej ręce, a drugi koniec wlokąc po ziemi. W drugiej ręce miał broń gotową do natychmiastowego użycia. Wydawało się, że próbuje patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

Ellen zamknęła tylne drzwi i główne drzwi wejściowe do kabiny. Przeszła do przodu.

“Słuchaj, co się tu, u diabła, dzieje?” - spytała.

“Mówiłem przecież, że nie wiem. Ale, jak by to powiedzieć... cokolwiek się tu dzieje, nie wygląda najlepiej”. - Wskazał boczne lusterko.

Ellie pochyliła się, opierając dłonie na ugiętych kolanach. Wraz z mężem obserwowała, jak gliniarz rzuca pas na siedzenie pasażera, po czym cofa się i przechodzi na stronę kierowcy. Broń trzymał teraz w obu dłoniach. Dopiero poniewczasie Ralph zorientował się, jak starannie wyreżyserowany był ten niemy film. Kirstie stanęła za matką. Lekko uderzała Melissę w jej wypiętą pupę.

“Pupa, pupa, pupa - zaśpiewała cicho. - Kochamy dużą mamę pupę...”

“Daj spokój, Kirstie”.

W zwykłych okolicznościach podobne ostrzeżenie trzeba było powtarzać malej dwa, może nawet i trzy razy, coś w tonie głosu matki spowodowało jednak, że tym razem dała sobie spokój natychmiast. Spojrzała na brata, wpatzonego w swoje lusterko wsteczne równie zachłannie jak rodzice wpatrywali się w swoje. Podeszła do niego i próbowała wspiąć mu się na kolana. David postawił ją na nogach łagodnie, lecz stanowczo.

“Nie teraz, Słodyczku” - powiedział.

“Ale o co chodzi? Co się stało?”

“Nic. Nic się nie stało” - odparł chłopiec, nie odrywając wzroku od lusterka.

Gliniarz wsiadł do radiowozu i podjechał nim do ich (Unieruchomionego kampera. Wysiadł; broń nadal trzymał w ręku, tym razem jednak lufa celowała w ziemię. Jak poprzednio spojrzał w prawo i w lewo, po czym podszedł do okna od strony Ralpa. W kamperze kierowca siedział znacznie wyżej niż w normalnym samochodzie, ale facet był wielki - co najmniej dwa dziesięć - i patrzył na Ralpa nieco z góry.

Wolną ręką wykonał taki ruch, jakby czymś kręcił. Ralph opuścił szybę do połowy.

“Co się stało, panie władzo?” - spytał.

“Ilu was jest?” - odpowiedział pytaniem policjant.

“Co się dzie...”

“Ilu was jest!?”

“Czworo. - Ralph dopiero teraz naprawdę się przestraszył. - Moja żona, dwójka dzieci, ja. Złapałem gumę i...”

„Proszę pana, przebite zostały wszystkie opony pańskiego samochodu. Najechał pan na kawałek dywanu drogowego”.

“Nie ro...”

“Kawałek drucianej siatki nabitej setkami krótkich gwoździ - wyjaśnił mu policjant. - Gdy to tylko możliwe, używamy jej do zatrzymania uciekających bandytów. Bije na głowę długi pościg samochodem”.

“Co ten... dywan... robił na drodze?” - zainteresowała się Ellen.

“Otworzę teraz tylne drzwi mojego radiowozu - powiedział policjant, nie zwracając uwagi na jej pytanie. - Te najbliższe waszego samochodu. Kiedy zobaczycie, że są otwarte, macie wysiąść i przenieść się na jego tylne siedzenie. Szybko”.

Wyciągnął szyję, zobaczył Kirsten, która trzymała mamę za nogę i ciekawie zza niej wyglądała. Uśmiechnął się.

“Dzień dobry, panienko”.

Dziewczynka odpowiedziała uśmiechem.

Gliniarz zerknął teraz na Davida. Skinął mu głową, chłopiec odpowiedział mu skinieniem.

“Ktoś się tu czai? - spytał. - Kto?”

“Zły człowiek. Na razie wystarczy ci ta informacja, synu. Bardzo zły człowiek. *Tak!*”

“Panie władzo...” - wtrącił Ralph.

“Z całym szacunkiem, proszę pana, czuję się jak tarcza na strzelnicy. Gdzieś tu kryje się niebezpieczny przestępca. Ma broń i wie, jak jej używać. Drogowy dywan sugeruje, że jest niedaleko. Możemy porozmawiać, kiedy nasza sytuacja się poprawi, prawda? Rozumie pan?”

Tak? - zdziwił się Ralph. - Czy to imię tego bandyty?

“Oczywiście, ale...”

“Pan pierwszy, dobrze? Proszę wziąć córeczkę na ręce. Chłopiec pójdzie za panem. Żona przejdzie ostatnia. Ciasno będzie, ale jakoś się pomieścimy”.

Ralph rozpiął pas i wstał.

“Dokąd pojedziemy?” - spytał jeszcze.

“Do Desperation. To górnicze miasteczko niespełna piętnaście kilometrów stąd”.

Ralph skinął głową, zakręcił szybę i wziął Kirsten na ręce. Córeczka patrzyła na niego przestraszonymi oczami, oczami, w których kręciły się łzy.

“Tatusiu, czy to jest Wielkie Straszdyło?” - spytała.

Wielkie Straszdyło było potworem, o którym wiedzę przyniosła pewnego dnia ze szkoły. Ralph nie miał pojęcia, który to kolega przedstawił jego łagodnej, siedmioletniej Kirsten słynnego, zamieszkującego szafy dzieciennych pokoiów potwora, po prostu założył, że musiał to być chłopak, zadanie przedstawiania dziewczynkom potworów na boiskach amerykańskich szkół zawsze spadało na chłopców, i gdyby kiedykolwiek udało mu się dostać go w swe łapy, z radością udusiłby sukinsyna. Dwa miesiące trwało, nim Kirsten oswoiła się jakoś z jego nieistnieniem. A teraz to!

“Nie, kochanie, to nie jest Wielkie Straszdyło. Pewnie po prostu jakiś urzędnik pocztowy ma kiepski dzień”.

“Tatusiu, ale przecież ty jesteś urzędnikiem pocztowym” - zaprotestowała mała, kiedy niósł ją w stronę drzwi umieszczonych pośrodku kabiny kampera.

“Słusznie - powiedział, kątem oka widząc, że David, a za nim trzymająca dłoń na jego ramieniu Ellen podążają w tym samym kierunku. - To tylko taki żart, wiesz?”

“Jak powiedzieć puk-puk, kiedy się nie puka?”

“Słusznie”.

Wyjrzał przez szybę w drzwiach prowadzących do kabiny kampera. Gliniarz otworzył tylne drzwiczki radiowozu. Stał tak blisko, że gdy on otworzy swoje, powstanie osłaniająca ich ściana. Doskonale.

Jasne, świetnie. Chyba że ten szczer pustyni znajduje się za nami. Chryste przenajświętszy, czemu nie pojechaliśmy do Atlantic City?

“Tato?” - spytał David, inteligentny, choć trochę dziwny chłopiec, który zeszłej jesieni zaczął chodzić do kościoła.

Zaczął chodzić do kościoła po tym, co spotkało jego przyjaciela Briana. Nie do szkółki niedzielnej, nie na czwartkowe spotkania grupy młodzieżowej, po prostu do kościoła. A niedzielne popołudnia spędzał na rozmowach z nowym przyjacielem wielebny. Tak przy okazji powiedzmy sobie szczerze, że wielebny zginie powolną i bolesną śmiercią, jeśli dzielił z Davidem cokolwiek oprócz myśli. Chłopiec twierdził wprawdzie, że tylko rozmawiają, a po tym, co stało się z Brianem, potrzeba mu było pewnie właśnie rozmowy, szkoda tylko, że nie rozmawia z mamą albo z tatą, tylko z tym świętym Jasiem, żonatym wprawdzie, ale to przecież niczego...

“Tato? Wszystko w porządku?”

“Tak, oczywiście”.

Ralph nie wiedział, czy wszystko jest w porządku, nie wiedział przecież nawet, z czym mają do czynienia, ale tak się mówi do własnych dzieci, prawda? Jasne, kochanie, wszystko w porządku. Pomyślał, że gdyby siedzieli w samolocie, w którym akurat wysiadły silniki, objąłby syna i przez całą drogę do ziemi powtarzał mu, że wszystko jest w największym porządku.

Otworzył drzwi. Stuknęły o drzwiczki radiowozu.

“No, już - ponaglił ich policjant, rozglądając się nerwowo dookoła. - Pospieszmy się, dobrze?”

Ralph zszedł po schodkach. Kirsten siedziała mu na zgiętej lewej ręce. Kiedy schodził, zgubiła lalkę.

“Melissa! - krzyknęła. - Upuściłam Melissę Sweetheart. Podnieś ją, tato. Proszę”.

“Nie! - krzyknął policjant. - Wsiadajcie do samochodu, do samochodu, już! Ja podniosę lalkę!”

Ralph wślizgnął się do radiowozu, osłaniając dłonią głowę córki i zmuszając ją, żeby się pochyliła. Za nim wsiadł David, po Davidzie zaś Ellie. Tylne siedzenie zasłane było papierami, oparcie siedzenia kierowcy wygięło się w łuk pod ciężarem wielkiego gliny. Gdy tylko Ellen wciągnęła nogi, policjant zatrzasnął drzwiczki i pędem obiegł samochód.

“Lissa! - krzyknęła Kirsten i w jej głosie brzmiało prawdziwe cierpienie. - Zapomniał o Lissie!”

Ellie sięgnęła do klamki, zamierzając uchylić drzwi i złapać laleczkę - z pewnością żaden psychopata nie jest wystarczająco szybki, by wymierzyć i strzelić w czasie potrzebnym do podniesienia lalki - a potem wyprostowała się i spojrzała na Ralpha.

“Gdzie tu są klamki?” - zdumiała się.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się z trzaskiem. Gliniarz wpadł do radiowozu jak bomba. Oparcie jego siedzenia wygięło się jeszcze trochę, przyciskając Ralphowi kolana. Ralph skrzywił się; dobrze przynajmniej, że nóżki Kirsten wisiały między jego nogami. Nie to, by mała zachowywała się spokojnie, o nie. Wiła się i wyrwała mu, wyciągając rączki do matki.

“Lala, mama, lala, moja Melissa...”

“Panie władzo...” - spróbowała Ellen.

“Nie mamy czasu - odparł policjant. - Nie mogę. *Tak!*”

Zawrócił pośrodku drogi i w chmurze kurzu ruszył na wschód. Radiowóz przez chwilę jechał w poślizgu. Kierowca szybko odzyskał nad nim kontrolę, przyspieszył jeszcze i w tym momencie Ralph uświadomił sobie, jak szybko wszystko się zdarzyło. Przecież niespełna dziesięć minut temu siedział jeszcze za kierownicą kampera i właśnie miał zaproponować synowi grę w dwadzieścia pytań. Nie dlatego, że bardzo chciało mu się zagrać, ale dlatego, że tak strasznie się nudził.

No, nuda minęła jak ręką odjął.

“Melissa Sweeetheaart!” - krzyknęła Kirstie i rozplakała się.

“Spokojnie, Słodyczku” - powiedział David. Zawsze tak nazywał siostrę. Była to jedna z tych dziwnych, a tak licznych jego cech, rodzice bowiem nie wiedzieli, skąd się wzięło to imię. Ellen myślała, że uważa siostrę za słodką istotkę, ale kiedy pewnego wieczoru spytała go o to otwarcie, jej syn tylko uśmiechnął się tym swoim zniewalającym, krzywym uśmiechem.

“Nie uważam, żeby była aż tak słodka” - powiedział i nie chciał dodać nic więcej.

“Ale przecież... Lissa leży w tym okropnym... w tym brudnym brudzie!” - siostra spojrzała na niego załzawionymi oczkami.

“Wrócimy i zaraz ją umyjemy, wiesz?”

“Obiecujesz?”

“Aha. Pomogę ci nawet umyć jej głowę”.

“Prellem?”

“Aha” - powtórzył David i pocałował ją w policzek.

“A co będzie, jak przyjdzie zły człowiek? - nie dawała mu spokoju Kirsten. - Zły, brzydki człowiek jak to Wielkie Straszdyło? Co będzie, jeśli porwie Melissę?”

David zakrył usta dłonią, by mała nie dostrzegła na nich cienia uśmiechu.

“Nie porwie - powiedział, spoglądając we wsteczne lustro radiowozu. Próbował uchwycić wzrok gliniarza. - Prawda?”

“Nie porwie - potwierdził gliniarz. - Człowiek, którego szukamy, nie porywa laleczek”.

W jego głosie Ralph nie zdołał wychwycić nawet cienia humoru. Gliniarz mówił jak Joe Friday. Interesują nas wyłącznie fakty, proszę pani.

Zwolnili lekko przy drogowskazie z napisem Desperation, a potem przyspieszyli, skręcając jednocześnie w prawo. Ralph zaparł się w siedzeniu błagając opatrność, by okazało się, że wielkolud jednak wie, co robi, by nie fiknęli koła. Lewe koła uniosły się chyba lekko, opadły i już mknęli na południe. Na horyzoncie wznosił się w niebo wielki ziemny wał; nie oświetlona słońcem strona pocięta była krętymi wykopami jak bliznami.

“Więc kim jest? - spytała Ellen. - O co chodzi z tym kimś? I jakim cudem wszedł w posiadanie tego czegoś, czego wy używacie do zatrzymywania uciekających samochodów? Tego... tego...”

“Drogowego dywanu, mamó” - podpowiedział jej David.

Przesuwał palcami w górę i w dół po oddzielającej ich od kierowcy metalowej siatce i wcale się nie uśmiechał. Na jego wargach nie było śladu uśmiechu.

“W taki sam sposób, w jaki wszedł w posiadanie samochodu, którym jeździ, i broni, z którą się obnosi, proszę pani. - Mijali parking Grzechotnika, a teraz za oknami samochodu przemknęła kwatery główna Korporacji Górniczej Desperation. Przed nimi stało te kilka budynków użyteczności publicznej miasteczka. Żółte światło błyskało nad skrzyżowaniem, pod setkami tysięcy kilometrów kwadratowych niebieskiego niczym sprane dzinsy nieba. - Jest policjantem. A jedną rzecz, Carverowie, mogę wam powiedzieć na pewno: kiedy macie przed sobą szalonego gliniarza, macie kłopoty”.

“Skąd zna pan nasze nazwisko? - zainteresował się David. - Nie prosił pan taty o prawo jazdy, więc skąd zna pan nasze nazwisko?”

“Zobaczyłem je, kiedy twój tata otworzył drzwi, młodzieńcze. - Gliniarz rzucił jedno szybkie spojrzenie we wsteczne lustro. - Nad stołem była taka mała plakietka: »Niech Bóg błogosławi nasz ruchomy dom. Carverowie«. Fajne”.

Coś mu tu nie pasowało, ale Ralph na moment odłożył tę sprawę na bok. Bał się do tego stopnia, że jego strach przerodził się w przecucie nieszczęścia - tak silne, a jednocześnie tak nieokreślone, iż miał wrażenie, że połknął śmiertelną truciznę. Miał wrażenie, że gdyby wyciągnął dłoń, palce by mu nie drżały, pozostawało jednak faktem, że teraz bał się bardziej niż wtedy, kiedy siedział jeszcze w swym domku na kółkach, skąd ten gliniarz wyłuskał ich z tak nieprawdopodobną łatwością. Nie był to najwyraźniej strach, od którego drżą ręce (strach na trzeźwo - pomyślał z drobnym i jakże nietypowym dla niego okrucieństwem humoru), lecz mimo to wydawał się bardziej rzeczywisty niż sama rzeczywistość.

“Glina” - powiedział z namysłem, przypominając sobie film, który wypożyczył na niedzielę, nie tak znów dawno temu.

“Maniakalny Gliniarz”. Slogan reklamowy nad tytułem brzmiał: “Masz prawo zachować milczenie. Wieczne milczenie”. Zabawne, jak często takie właśnie bzdury pozostają człowiekowi w pamięci. Tylko że teraz wcale nie wydawało się to zabawne.

“Słusznie, glina” - stwierdził ich glina. W jego głosie brzmiał uśmiech.

Och, a to jakim cudem? - pomyślał Ralph. - No, bo jak uśmiech może brzmieć? Zdawał sobie sprawę z tego, że Ellen patrzy na niego z podszytą niepokojem ciekawością, ale chwila nie wydawała mu się odpowiednia na odwzajemnienie jej spojrzenia. Nie był pewien, co odczytują w swych oczach, i nie był też pewien, czy chce sprawdzić, co to będzie.

Ich gliniarz musiał się uśmiechać. Był całkiem pewien, że się uśmiechnął.

A z czego niby miałyby się cieszyć? Co jest radosnego w tym, że na twoim terenie szaleje zwariowany policjant, w tym, że złapało się na raz sześć kapi, w tym, że jedzie się w rozgrzanym policyjnym radiowozie bez klamek od środka tylnych drzwi, w tym, że ukochana lalka córeczki leży z buzią w ziemi piętnaście kilometrów stąd? Co jest w tym takie wesołe?

Nie miał zielonego pojęcia. Ale mógłby przysiąc, że gliniarz się uśmiechał.

“Mówi pan, policjant stanowy?” - spytał Ralph, kiedy przejeżdżali przez skrzyżowanie.

“Mamo, patrz - ucieszyła się Kirsten, przynajmniej na razie całkiem zapominając o Melissie Sweetheart. - Rowery na ulicy, rowery stoją na głowie na środku ulicy. Ale śmieszne!”

“Tak, kochanie. Widzę”.

Jej mama wyraźnie nie uznała rowerów stojących pośrodku ulicy do góry kołami za tak strasznie zabawne, za jakie uznała je córka.

“Stanowy? Nie, nie powiedziałem, że stanowy. - W głosie siedzącego za kierownicą wielkoluda nadal brzmiał uśmiech. - Wcale nie stanowy, to miejski glina”.

“Doprawdy? - zdziwił się Ralph. - Ooo! A ilu macie policjantów w takim małym miasteczku, panie władzo?”

“Cóż, było nas trzech - stwierdził ich glina i uśmiech w jego głosie zabrzmiał jeszcze wyraźniej. - Było nas trzech, ale dwóch zabiłem”.

Odwrócił głowę, spojrzął na nich przez siatkę i nie, nie uśmiechał się, lecz wręcz szerzył zęby w wyrazie obrzydliwej radości. Zęby miał tak wielkie, że wyglądały jak łopaty z kości. Pokazywał je całe, a na dodatek jeszcze hektary różowych dziąseł.

“Na zachód od Pecos ja teraz jestem prawem” - dodał jeszcze.

Ralph gapił się na niego z otwartymi ustami. Gliniarz nadal szerzył zęby w uśmiechu. Prowadził z odwróconą głową, równo, porządnie zaparkował przed budynkiem Urzędu Miejskiego i ani razu nie spojrzął, gdzie jedzie.

“W imieniu obywateli Desperation witam w miasteczku rodzinę Carverów” - powiedział, nie przestając promiennie się uśmiechać.

5

W godzinę później ten sam wielki gliniarz biegł do kobiety w dzinsach i spłowiałej dzinsowej koszuli, tupiąc po drewnianym parkiecie kowbojskimi butami. Ręce miał wyciągnięte, ale teraz się nie uśmiechał i Ralph poczuł, jak gardło zaciska mu niczym obcęgami wielka, wściekła radość. Facet poruszał się szybko, ale kobieta w dzinsach, prawdopodobnie dzięki szczęściu, a nie żadnej świadomej decyzji, zdołała odgradzić się od niego biurkiem i to miało odmienić sytuację. Ralph widział, jak odciąga kciukiem kurki porwanej z biurka dubeltówki, jak podrzuca ją do ramienia w chwili, gdy plecami uderzyła o kraty największej z cel aresztu, widział, jak zaciska palec na podwójnym spuście.

Gliniarz pruł przed siebie jak huragan, ale nie miało mu to pomóc.

Zastrzel go, kochanie - pomyślał. - Nie po to, żeby nas ocalić, ale dlatego, że zabił moją córkę. Odstrzel chujowi łeb.

W chwili gdy Mary ściągała spust, gliniarz padł za biurko, zupełnie jakby klęknął, żeby się pomodlić. Huk strzału ogłuszył wszystkich zamkniętych w niewielkim pomieszczeniu. Dubeltówka rzygnęła płomieniem z obu luf. Ralph usłyszał krzyk żony - wrzeszczała najwyraźniej z tryumfem, lecz jeśli był to tryumf, to przedwczesny. Szerokoskrzydły kapelusz gliniarza sfrunął mu z głowy, ale strzał poszedł za wysoko. Patrony trafiły w przeciwległą ścianę pomieszczenia, wyładowując swą energię na gipsowej ścianie klatki schodowej, za drzwiami, stukając niczym ulewny deszcz w okiennicę. Po prawej stronie drzwi wisiała tablica ogłoszeniowa; Ralph dostrzegł nowe czarne dziury w przypiętych do niej kartkach. Szerokoskrzydły kapelusz gliniarza został nieodwołalnie zrujnowany; w kupie trzymał go wyłącznie cienki pasek wokół ronda. Dubeltówka załadowana była na jelenia, nie na ptaki. Gdyby trafiła gliniarza w brzuch, przecięłaby go na pół. Ralph zdawał sobie z tego sprawę... i wiedza ta tylko pogorszyła jego samopoczucie.

Gliniarz-gigant rzucił się na biurko; popchnął je w kierunku celi, która, zdaniem Ralph, musiała być celą dla pijaków. Przesunął je w stronę kobiety z dubeltówką, i tak już opartej o kraty. Krzesło nadal przy nim tkwiło, kiwało się w przód i w tył i skrzypiało. Kobieta próbowała odgrodzić się od niego strzelbą, próbowała uniknąć przygniecenia, ale nie poruszała się wystarczająco szybko. Oparcie przygniotło do kraty jej biodra i żołądek, rzuciło ją na kraty pustej celi; krzyknęła ze zdumienia i bólu.

Wielki glina rozpostarł ramiona szeroko, niczym Samson zwalający sobie na łeb świątynię. Złapał biurko za boczne ścianki. Choć w uszach nadal dzwoniło mu od strzału, Ralph słyszał, jak puszczają szwy jego mundurowej koszuli. Popchnął biurko.

- Rzuć broń! - krzyknął. - Rzuć broń, Mary!

Kobieta odepchnęła krzesło, podniosła dubeltówkę i jeszcze raz ściągnęła oba spusty. Szlochała z bólu... i z wysiłku. Kątem oka Ralph widział, że jego żona zakrywa dłońmi uszy, widząc palec tej kobiety zginający się na spuście, lecz tym razem nie było huku, tylko suchy trzask. Ralph poczuł, jak gardło wypełnia mu żółć niczym rozczarowanie, które czuł w tej chwili. Od razu, na oko, zorientował się, że nie jest to strzelba automatyczna ani powtarzalna, jednak z jakiegoś powodu wiedział, że i teraz wypali, że musi wypalić, jakby sam Pan Bóg Wszchemogący najpierw wypełnił magazynek amunicją, a potem dokonał jeszcze cudu Winchestera.

Gliniarz popchnął biurko jeszcze mocniej. Gdyby nie krzesło - zorientował się Ralph - kobieta bezpiecznie zmieściłaby się we wnęce na kolana, krzesło tkwiło w niej jednak, uderzyło kobietę w żołądek, aż zgięła się i zaczęła dławić.

- Rzuć broń, Mary. Rzuć broń! - wrzasnął gliniarz.

Mary nie chciała jednak rzucić broni. Gliniarz odsunął biurko (dlaczego nie odbierze jej strzelby? - dziwił się Ralph. - Przecież wie, że nie jest nabita!), patrony rozsypały się na podłodze, ona zaś złapała broń za lufę, rękojęścią uderzając przez biurko niczym maczugą. Wielki gliniarz próbował usunąć się z jej zasięgu, dostał jednak po ramieniu. Chrząknął; Ralph nie potrafił powiedzieć, czy ze zdziwienia, czy z bólu, czy też po prostu z irytacji; w każdym razie to jego chrząknięcie wywołało radosny ryk z celi po przeciwnej stronie wnętrza. David stał w niej zaciskając dłonie na prętach, twarz miał bladą, spoconą, oczy mu płonęły. Dołączył do niego siwowłosa mężczyzna.

Gliniarz jeszcze raz odsunął biurko - cios w ramię najwyraźniej nie odebrał mu siły - i jeszcze raz je pchnął. Krzesło uderzyło kobietę, przycisnęło ją do krat. Kobieta wydała z siebie ochryply krzyk.

- Odłóż broń! - krzyknął wielkolud. Było w jego głosie coś dziwnego, Ralph łudził się przez chwilę, że facet może jednak być ranny, po czym zorientował się, że nie, że po prostu się śmieje. - Odłóż broń, albo zleję cię na miazgę, naprawdę zleję cię na miazgę!

Ciemnowłosa kobieta, Mary, podniosła broń, ale tym razem jakby bez przekonania. Koszula wyszła jej ze spodni; na białej skórze talii i brzucha widać było czerwone ślady. Ralph uświadomił sobie, że gdyby zdjęła koszulę, dostrzegłby negatyw krzesła odbity na jej ciele aż po biustonosz.

Dubeltówka przez chwilę wisiała w powietrzu. Potem jej intarsjowana kolba zadrżała i Mary odrzuciła ją na bok. Strzelba z trzaskiem uderzyła o podłogę i przeleciała po niej pod kraty celi, w której zamknięci byli David i siwy mężczyzna. David spojrział na nią tęsknie.

- Nie ruszaj, synu - ostrzegł go siwowłosa. - Na nic już się nikomu nie przyda. Zostaw ją, gdzie leży.

Gliniarz zerknął na nich, a potem, uśmiechając się radośnie, spojrział na kobietę przyciśniętą plecami do krat celi dla pijaków. Odciągnął biurko, obszedł je, po drodze kopiąc jeszcze krzesło, które przejechało na

piszczących kółkach aż pod celę sąsiadującą z tą, w której siedzieli Ralph i Ellen. Podszedł do kobiety. Objął ją, przyglądając się jej niemal czule. Kobieta spojrzała na niego z wściekłością, jakiej Ralph nie widział jeszcze w żadnym spojrzeniu.

- Możesz chodzić? - spytał troskliwie. - Nic sobie nie złamałaś?

- A co to za różnica - szczeęknęła. - Zabij mnie i niech to się wreszcie skończy!

- Zabić? Zabić ciebie? - gliniarz sprawiał wrażenie zaskoczonego, sprawiał wrażenie człowieka, który w życiu nie zabił niczego większego od komara. - Nie mam zamiaru cię zabijać, Mare. - Przytulił ją na moment, spojrzał na Ralpha i Ellen, na Davida, na siwego mężczyznę. - Nie zabiję cię. Jejku jej, nie teraz, kiedy wreszcie zrobiło się ciekawie.

Rozdział 3

1

Mężczyzna, którego zdjęcie pojawiło się niegdyś na okładce *People*, *Time'a* i *Premiere* (z okazji małżeństwa z aktorką od całej kupy szmaragdów), na okładce *The New York Timesa* (kiedy dostał National Book Award za powieść "Rozkosz" oraz rozkładówce *Inside View* (z okazji aresztowania za pobicie trzeciej żony, tej przed aktorką z kupą szmaragdów), musiał się wysikać.

Zjechał na pobocze tego pasa szosy numer pięćdziesiąt, który prowadził na zachód, i zaczął hamować, metodycznie redukując biegi sztywną lewą stopą, aż wreszcie zatrzymał się praktycznie na poboczu. Dobrze, że nikt tu nie jeździ, bo nie da się zaparkować motoru na poboczu drogi w Wielkiej Niece, nawet jeśli pieprzyło się kiedyś najsławniejszą aktorkę Ameryki (choć trzeba przyznać, że wówczas gdy on ją pieprzył, była towarem już nieco przechodzonym), nawet jeśli było się wymienianym w kontekście kandydatury do literackiego Nobla. Gdyby się spróbowało, motocykl zapewne najpierw zachwiałby się na podpórce, a potem przewrócił na bok. Pobocze wyglądało tak, jakby mogło nawet być twarde, ale głównie wyglądało - pod tym względem przypominało pewnych znanych wielkiemu człowiekowi ludzi, także tego, którego obejrzeć mógł wyłącznie w lustrze. A potem, panie i panowie, spróbujcie tylko podnieść trzystupięćdziesięciokilogramowego harleya-davidsona, zwłaszcza jeśli macie pięćdziesiąt sześć lat i dawno temu wyszliście z formy. Spróbujcie, panie i panowie! Ja sobie popatrzę!

Nie do zrobienia, jak sądzę - pomyślał wielki człowiek, patrząc na czerwono-kremowego harleya softail, wulgarną maszynę, na widok której puryści pokręciliby tylko nosem. Słuchał rozlegającego się głośno w panującej tu ciszy tykania ochładzającego się silnika. Oprócz niego słyszał wyłącznie szum gorącego wiatru i szelest piasku na skórzanej kurtce - tysiąc dwieście dolarów u Barneya w Nowym Jorku. Kurtce jak żadna inna skrojonej i uszytej do tego, by znaleźć się w *Interview* na zdjęciu zrobionym przez jakiegoś cholernego pedała.

Sądzę, że tę kwestię odpuścimy sobie całkowicie. Zgoda, przyjacielu?

Dobry pomysł - odpowiedział sam sobie. Zdjął kask i położył go na siedzeniu harleya. Przesunął dłonią po twarzy, gorącej jak wiatr, lecz w odróżnieniu od wiatru spalonej słońcem. Nie przypuszczał, by kiedykolwiek w życiu był równie zmęczony i by kiedykolwiek w życiu czuł się równie nie na miejscu.

2

Lew literatury poszedł sztywno na pustynię. Długie siwe włosy opadały mu na opięte skórą ramiona, pod skórzanymi kowbojskimi butami (także od Barneya) trzaskały niskie krzaczki i kaktusy. Rozejrzył się; i z jednej, i z drugiej strony nie nadjechał nikt. Dwa, trzy kilometry dalej stał zaparkowany na poboczu samochód - ciężarówka, być może kamper - lecz nawet jeśli byli w nim ludzie, nie sądził, by zdołali bez lornetki przyjrzeć się wielkiemu sikającym człowiekowi. A nawet jeśli mieli lornetkę, co z tego? Wysikać się potrafią prawie wszyscy, nie?

John Edward Marinville - człowiek, którego *Harper's* nazwało kiedyś "pisarzem, jakim zawsze chciał być Norman Mailer", człowiek, o którym Shelby Foote napisała raz, że jest "jedynym żyjącym pisarzem amerykańskim kalibru Johna Steinbecka" - rozpiął rozporek i wyjął na światło dzienne swój organ niezawodowy. Chciało mu się łać tak strasznie, że mógłby sikać dalej niż widzi, ale przez minutę nie działało się po prostu nic. Talent najwyraźniej mu wysechł.

Nie do końca. Udało mu się jednak siknąć i zakurzone, szare liście mesquite nabrały głębokiej lśniącej zieleni.

- Chwała Jezusowi, dzięki ci Panie! - ryknął głębokim, melodyjnym głosem Jimmy'ego Swaggarta. Odnosił dzięki niemu wielkie sukcesy na przyjęciach; Tom Wolfe, słysząc jego wersję głosu popularnego kaznodziei, śmiał się raz tak strasznie, że omal nie dostał zawału. - Woda na pustyni, oto cud Mojżesza! Halo, Julia!

Czasami sądził, że to ta jego wersja okrzyku "Alleluja!", a nie nienasycony apetyt na whisky, narkotyki i młodsze od niej kobiety skłonił wielką aktorkę do wepchnięcia go do basenu podczas pijackiej konferencji prasowej... a potem do zmiany towarzystwa, w jakim obracały się jej szmaragdy.

Incydent ten nie oznaczał początków jego upadku, lecz raczej moment, od którego upadku tego po prostu nie dało się już zignorować, od którego trudno już było mówić o złym dniu czy złym roku i trzeba było zacząć mówić o złym życiu. Zdjęcie, gdzie uchwyciono go, jak z szerokim pijackim uśmiechem wyłazi z basenu w przemoczonym białym garniturze, pojawiło się w wydaniu *Esquire* poświęconym "wątpliwym osiągnięciom", a potem wzmianki o lwie literatury coraz częściej ukazywały się w magazynie *Spy*. Lew literatury wierzył głęboko, że *Spy* to miejsce, w które dobra opinia człowieka udaje się wyłącznie po to, by zdechnąć.

Tego popołudnia, gdy wielki człowiek szczał na pustyni odwrócony twarzą na północ i patrzył na swój rozciągnięty po prawej cień, myśli te nie bolały go już aż tak. W Nowym Jorku bolały, w Nowym Jorku ostatnio wszystko go bolało. Pustynia sprawiała, że Szekspirowska "nadęta reputacja" wydawała się nie tylko nadęta, lecz wręcz nieistotna. Dla kogoś, kto stał się literackim odpowiednikiem Elvisa Presleya - starzejącego się, grubego, z uporem tańczącego na przyjęciu, z którego dawno powinien wynieść się do domu - była to dobra nowina.

Szerzej rozstawił nogi, odchylił się lekko, puścił penisa i zaczął masować sobie krzyż. Ktoś powiedział mu, że dzięki tym zabiegom da się sikać odrobinę dłużej. Racja, może to i racja, ale wiedział, że będzie się musiał zatrzymać na długo przed Austin, kolejnym małym plackiem gówna na długiej drodze do Kalifornii. Prostata najwyraźniej nie służyła mu jak niegdyś. Kiedy teraz o niej myślał (a zdarzało się to całkiem często), wyobrażał ją sobie rozdętą, porytą niczym porażony promieniowaniem jądrowym mózg z któregoś z tanich horrorów lat pięćdziesiątych. Powinien dać ją sobie sprawdzić, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że powinien dać ją sobie sprawdzić... i nie tylko ją. Powinien dać się sprawdzić cały, od stóp do głów. Powinien, oczywiście, ale przecież nie sikał krwią i w ogóle, a poza tym...

Dobrze, zgoda. Poza tym sprawa była prosta. Bał się. Był przerażony, bo w ciągu ostatnich pięciu lat działy się z nim rzeczy gorsze niż zwykła utrata dobrej opinii w literackim świecie.

Rzucił narkotyki, nie pił, ale to wcale nie poprawiło sytuacji, a pod pewnymi względami zdecydowanie ją pogorszyło. Johnny szybko odkrył, na czym polega problem z trzeźwością - na tym mianowicie, że pamięta się rzeczy, których trzeba się bać. Bał się, że kiedy doktor wetknie mu palce w dolne regiony ciała, znajdzie nie prostatę wielkości mniej więcej "Mózgu z Planety Arous", lecz prostatę czarną i zgniłą jak... jak... jak prostata Franka Zappy. A jeśli rak nie krył się akurat tu, może spokojnie kryć się gdzie indziej.

Na przykład płuca, czemu nie? Przez dwadzieścia lat palił dwie paczki cameli dziennie, przez kolejne dziesięć zaś trzy paczki cameli lights, jakby palenie cameli lights miało jakoś wszystko naprawić, jakby camele lights miały oczyścić mu oskrzela, wypolerować krtań na wysoki połysk, przetkać biedne zatkane smołą płuca. Co za gówno! Dziesięć lat temu rzucił palenie, rzucił i ciężkie papierosy, i lekkie papierosy, a do tej pory co najmniej do południa dyszał jak dorożkarska szkapa, a własny kaszel budził go czasami w środku nocy.

Albo żołądek? Oczywiście, żołądek! Miękkie, różowy, ufny... wspaniała kolebka dla wszystkich możliwych nieszczęść. Dorastał w rodzinie wściekle mięsożernej. Niezbyt wysmażony oznaczało dla jej członków, że kucharz chuchnął na stek, zaś pojęcie "dobrze wysmażony" nie istniało w ich słowniku. Uwielbiał ostre przyprawy i meksykańską paprykę, nie wierzył w owoce i sałatki, chyba że jako lekarstwo na poważne zaparcia, jadł tak przez całe swoje cholerne życie, nadal tak je i zapewne będzie tak jadł, aż wreszcie trafi do szpitala, gdzie zaczną go żywić zdrowo, prawidłowo, higienicznie... i przez plastikowe rurki.

Mózg? Możliwe. Całkiem możliwe. Guz albo, powiedzmy (i myśl ta należała do weselszych w katalogu jego myśli), nietypowo wczesny atak Alzheimera.

Trzustka? No, trzustka przynajmniej szybko leci, ekspresowa usługa, nie będziesz pan czekał ani chwili. Atak serca? Marskość wątroby? Zawał? Jak sensownie brzmią te prognozy! Jakie to wszystko logiczne! W wielu wywiadach wielki pisarz opisywał siebie jako człowieka, którego myśl o śmierci doprowadza do wściekłości, lecz stwierdzenie to tak naprawdę niczym nie różniło się od gówna, które sprzedawał w ciągu całej swej kariery. Śmierć go przerażała, oto prawda i tylko prawda, całe życie ćwiczył sobie wyobraźnię na śmierci i teraz widział, jak atakuje go ona z wszystkich czterdziestu stron świata... a podczas bezsennych nocy atakowała go z tych czterdziestu stron naraz. Odmowa złożenia wizyty lekarzowi, niezgoda na to, by pan doktor zajrzał pod maskę nie powstrzyma żadnego z wyżej wymienionych nieszczęść ani przed tym, żeby go dopadło, ani przed tym, żeby go rozłożyło (jeśli dopadło go wcześniej), lecz unikając lekarzy i ich diabelskich maszyn, nie musiał przynajmniej wiedzieć. Nie zobaczysz potwora czającego się pod łóżkiem lub w szafie, jeśli nie zapalisz światła, takie to proste. Żaden doktor tego świata najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że dla mężczyzn pokroju Johnny'ego Marinville'a strach jest czasem lepszy od wiedzy. Zwłaszcza, jeśli przez całe życie mężczyzna pokroju Johnny'ego Marinville'a szeroko otwierał drzwi przed każdą możliwą chorobą.

Zwłaszcza przed AIDS - pomyślał Johnny Marinville, nie przestając wpatrywać się w pustynię. Próbował zachowywać ostrożność - a i, szczerza to, choć smutna prawda, panienki ostatnio nie były aż tak chętne - wiedział także, że przez ostatnie osiem, dziesięć miesięcy był ostrożny, bo kiedy skończyło się picie, w niebyt odeszły także przerwy w zyciorysie, ale w ostatnim roku chlania przy dobrych kilku okazjach budził się w łóżku zajęтым przez jakąś anonimową dupcię. Pierwsze, co robił w takiej sytuacji, to wizyta w toalecie. Raz dostrzegł tam pływającą zużytą prezerwatywę, więc prawdopodobnie wszystko było w porządku, ale kondom znalazł tylko raz. Oczywiście któreś z nich - zarówno on, jak jego towarzyska (w języku tabloidów zwana piękną przyjaciółką) - mogło w nocy spuścić wodę, ale pewności nie było, prawda? Przerwy w zyciorysie wykluczają wszelką pewność. A AIDS...

- AIDS siedzi w tobie i czeka - stwierdził głośno.

Skrzywił się, bo szczególnie mocny powiew wiatru dmuchnął mu piaskiem w twarz, szyję i inne obnażone części ciała. Ta inna obnażona część ciała już co najmniej od minuty nie popisywała się użytecznością.

Johnny potrząsnął nią energicznie.

- Bracia - powiedział dalekim, drżącym w upalnym powietrzu gdzieś, na horyzoncie, górom swym słynnym głosem telewizyjnego kaznodziei - bowiem powiedziane jest w Księdze Efezjasza, rozdział trzeci, wiersz

dziewiąty, że nawet gdybyś trząchał trzy tygodnie, ostatnia kropla padnie w spodnie. Tak zostało zapisane i tak też...

Obracał się właśnie, zapinając rozporek. Mówił do siebie głównie po to, by odgonić humory - humory jakoś obsiadały go ostatnio niczym sępy ścierwo - i naraz przestał obracać się, zapinać, mówić czy w ogóle robić cokolwiek.

Obok jego harleya stał zaparkowany policyjny radiowóz z leniwie obracającym się kogutem na dachu.

3

Johnny'emu Marinville'owi szansę, być może ostatnią szansę, dała jego pierwsza żona.

Nie, nie... nie chodziło wcale o ostatnią szansę publikacji. Publikować mógł nadal i będzie mógł publikować tak długo, jak zdoła a) przelewać jakieś słowa na papier i b) wysłać kartki do agenta. Kiedy już raz zaakceptowano cię jako *bona fide* lwa literatury, ktoś zawsze i z dziką rozkoszą opublikuje jakieś twoje słowa, choćby zdegenerowały się w autoparodię lub nawet zwykły bełkot. Johnny myślał czasami, że najstraszniejsze w amerykańskim literackim establishmencie jest to, że tworzący go ludzie stoją sobie w kółko i kiedy kiwasz się na wietrze, a pętla zaciska ci gardło, gratulują sobie przy koktajlach, jacy to dobrzy byli dla biednego starego tego-to-a-tego.

Nie, Terry nie oferowała mu ostatniej szansy wydania czegokolwiek, natomiast dała mu być może ostatnią szansę opublikowania czegoś wartościowego, czegoś, dzięki czemu znów zauważono by go... w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Czegoś, co być może nawet by się sprzedawało jak wściekle, a nie ma co ukrywać, forsa by się przydała, cholernie by się przydała. A może najlepsze ze wszystkiego, iż Terry nie miała pojęcia, co właściwie powiedziała, a to oznaczało, że nie musiały dzielić się z nią dochodami, oczywiście gdyby miał jakieś dochody. Nie musiałby nawet wspomnieć o niej w podziękowaniach, gdyby nie chciał o niej wspominać, choć w tej chwili miał wrażenie, że raczej wspomni. Trzeźwienie to proces pod wieloma względami wspaniały, lecz niestety wspomaga także pamięć, i to na wiele sposobów.

Ożenił się z Terry, mając dwadzieścia pięć lat. Ona miała lat dwadzieścia jeden i była na pierwszym roku Yassar. Nie skończyła studiów. Byli małżeństwem niemal dwadzieścia lat, mieli trójkę dzieci, wszystkie dziś dorosłe. Jedno z tych dzieci, córka imieniem Bronwyn, nadal z nim rozmawiała. Pozostała dwójka... cóż, jeśli pozostała dwójka kiedykolwiek przestanie odmrażać sobie uszy na złość tacie, będzie gotów przycisnąć je do łona. Johnny nie należał do ludzi z natury mściwych.

Terry zdawała sobie z tego sprawę. Po pięciu latach, podczas których komunikowali się wyłącznie za pośrednictwem prawników, oboje rozpoczęli dialog, czasami pisząc do siebie listy, częściej rozmawiając przez telefon. Ich kontakty były początkowo ostrożnie niepewne, oboje bali się min pogrzebanych w ruinach miasta ich miłości, lata jednak wygładziły zmarszczki. Terry traktowała swego słynnego byłego pana i władcę z rodzajem stoickiego, choć nie pozbawionego szczypty humoru zainteresowania, co jemu z jakichś powodów wydawało się przygnębiające - jego zdaniem rozwiedziona żona nie powinna przyjmować akurat takiego stanowiska wobec byłego męża, którego twórczość stała się raptem najszerzej dyskutowanym dorobkiem pisarskim jego pokolenia. A jednak Terry traktowała go także z pozbawioną wszelkiej interesowności łagodnością, jaka koila jego bóle, tak jak chłodna dłoń na spoconym czole koi chorego na gripę.

Ich wzajemne kontakty zacieśniły się, kiedy przestał pić. Nadal jednak były to kontakty telefoniczne; zapewne oboje zdawali sobie sprawę z tego, że spotkanie oko w oko wywarłoby zbyt wielki nacisk na wypracowane właśnie delikatne wzajemne więzy. Tyle że te rozmowy na trzeźwo były jeszcze mniej bezpieczne... oboje nie wyrażali głośno odczuwanej goryczy, ale oboje zawsze byli tego bliscy. Chciała, by powrócił na łono anonimowych alkoholików. Nie owijając w bawełnę, oznajmiła, że jeśli tego nie zrobi, prędzej czy później znów zacznie pić, a kiedy już zacznie pić, niewątpliwie zacznie też zażywać narkotyki. Powiedziała, iż to tak pewne jak fakt, że po nocy wstaje dzień.

Johnny odparł na to, że nie ma zamiaru spędzić reszty życia wysiadując w podziemiach jakiegoś kościoła w towarzystwie bandy pijaków, wszystkich opowiadających o tym, jak to cudownie mieć więcej siły woli niż oni... a potem wsiadających do używanych samochodów i wracających do pustych domów, by nakarmić koty.

“Anonimowi alkoholicy to w zasadzie ludzie złamani - powiedział Terry. - Nie rozumiem, że poświęcili życie pustemu konceptowi, ideałowi, który dawno zdążył się skompromitować. Możesz mi wierzyć, byłem anonimowym alkoholikiem. Jeśli wolisz, zamiast mnie możesz uwierzyć Johnowi Cheeverowi. O tym pisał wyjątkowo dobrze”.

“John Cheever niewiele ostatnio pisuje - odparła Terry. - Mam wrażenie, że wiesz dlaczego”.

Nie ma najmniejszych wątpliwości - jeśli chciała, Terry potrafiła być cholernie irytująca.

Pomysł podsunęła mu przed trzema miesiącami. Rzuciła go w zwykłej rozmowie na wszystkie możliwe tematy, co u dzieci, co u niej, no i oczywiście co u niego. U niego... cóż, niewiele. Przez całą pierwszą część roku zmagał się z pierwszymi dwustoma stronami powieści historycznej o Jayu Gouldzie*. Zmagał się z nią, nim przejrzał na oczy, uświadomił sobie, z czym właściwie ma do czynienia - podgrzanym Gore'em Vidalem - i zrezygnował pewien, że nigdy nikomu o niczym nie powie. Z hukiem, w szale urażonej dumy wrzucił dyskietki komputerowe z tekstem powieści do kuchenki mikrofalowej, a następnie nastawił ją na dziesięć minut, moc maksymalna. Smród był z tego potworny, smród wylał się z kuchni jak złowrogi kolczasty potwór, no i trzeba było wymienić mikrofalówkę.

Johnny ze zdumieniem uświadomił sobie, że właśnie opowiedział Terry całą tę historię. Skończył i siedział w gabinecie, zagłębiony w fotelu, ze słuchawką przy uchu i zamkniętymi oczami. Czekał, by Terry powiedziała mu, że anonimowi alkoholicy już wcale się nie liczą, że mniejsza o narkotyki, ale powinien udać się do psychiatry, i to jak najszybciej.

Nic z tego. Jego była pouczyła go tylko, że należało włożyć dyskietki do naczynia na zapiekanekę i użyć normalnego piecyka. Johnny zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że żartowała - i że przynajmniej w części żartowała sobie jego kosztem - lecz sam fakt, że akceptuje go takim, jakim jest ze wszystkimi tego konsekwencjami w rodzaju ewidentnie szaleńczych zachowań, był niczym chłodna dłoń na rozgrzanym, spoconym czole. Nie aprobowała go... ale i nie aprobaty u niej szukał.

“Oczywiście w kuchni nigdy nie nadawałeś się do niczego - powiedziała tak spokojnie i rzeczowo, że aż musiał się roześmiać. - No więc co masz zamiar robić teraz, Johnny? Jakies pomysły?”

“Nie mam żadnego pomysłu”.

“Powinieneś dać sobie spokój z fikcją literacką. Powinieneś w ogóle odpuścić sobie pomysły na powieść”.

* Jay Gould (1836-1892) - wielki amerykański finansista o bardzo wątpliwej reputacji.

“Głupia uwaga, Terry. Przecież wiesz, że nie potrafię pisać literatury faktu”.

“Co takiego? Nie potrafisz? A skąd mam to wiedzieć? - odparła Terry ostrym tonem sugerującym, że ma do czynienia z głupcem. Nikt dziś nie przemawiał do niego tym tonem, a przede wszystkim nie jego agent. Im bardziej wygłupiał się Johnny, tym bardziej usłużny... nie, służalczy był Bili Harris. - Podczas pierwszych dwóch lat naszego małżeństwa napisałeś co najmniej kilkanaście esejów. I opublikowałeś je dla pieniędzy. *Life*, *Harper's*, parę ukazało się nawet w *The New Yorker*, Łatwo ci było zapomnieć, bo nie ty płaciłeś rachunki i nie ty robiłeś zakupy. Ja kochałam te drobiazgi”.

“A...! Aha! »Eseje z Serca Ameryki«? Rzeczywiście. Nie zapomniałem o nich, Terry, po prostu wołałem ich nie pamiętać. Płaciły rachunki, kiedy skończyła się forsa z fundacji Guggenheima... po to właściwie były. Nigdy nie wydałem ich w książce”.

“Nie pozwoliłeś na ich wydanie w książce - poprawiła go jego była. - Nie pasowały do twego pomysłu na nieśmiertelność”.

Tę rewelację Johnny pominął milczeniem. Czasami wręcz nienawidził pamięci swej niegdysiejszej lepszej połowy. Jego niegdysiejsza lepsza nie potrafiła sklecić dwóch trzymających się kupy zdań, choć, a jakże, na seminarium humanistycznym na pierwszym roku, kiedy ją poznał, pisywała coś obrzydliwego; od tego czasu oprócz listów do wydawcy nie napisała nawet jednego przyzwoitego zdania, ale jeśli chodzi o gromadzenie danych była fenomenalna. To trzeba jej było przyznać.

“Johnny, jesteś tam?”

“Jestem, jestem”.

“Zawsze wiem, kiedy powiedziałam ci coś, czego niechętnie słuchasz - stwierdziła rzeško Terry. - Bo wtedy, cud nad cuda, wreszcie się zamykasz i popadasz w humory”.

“No cóż, nadal cię słucham” - odparł Johnny nieco beznadziejnie i znów zamilkł, wbrew zdrowemu rozsądkowi spodziewając się, że Terry może zmieni temat.

Oczywiście ani jej to w głowie nie powstało.

“Trzy czy cztery napisałeś na zamówienie, nie pamiętam czyje...”

Ale dziwo - pomyślał Johnny - czegoś nie pamięta.

“...i jestem właściwie pewna, że na tym byś poprzestał, gdyby nie to, że wydawcy zaczęli ci zadawać pytania. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Twoje eseje były naprawdę dobre!”

Johnny powitał tę rewelację milczeniem nie dlatego, by wyrazić nim brak zainteresowania lub niezgodę na to twierdzenie, lecz dlatego, że próbował przypomnieć sobie, czy te eseje rzeczywiście do czegoś się nadawały. Terry nie sposób było zaufać na sto procent, przynajmniej jeśli chodzi o pochwały, ale też jej pochwałą nie sposób było nie wyznaczyć drugiego sądowego przesłuchania. Jeśli chodzi o twórczość oryginalną, należała do pisarzy ze szkoły “o świecie wleciał ptak, a mnie lżej się zrobiło na sercu”, jako krytyk jednak, gdy była w swej najlepszej formie, widziała rzeczy, których nie sposób dostrzec, nie posiadając talentu telepatii. Jednym z jej największych talentów, tym, co go do niej przyciągnęło (choć przecież nie sposób było przeoczyć tego, że w owych dawnych czasach miała niewątpliwie najpiękniejsze cycki w Ameryce, co z pewnością pomogło okolicznościom), była różnica między tym, czym Terry pragnęła być, a mianowicie pisarzem, a tym, czym była w rzeczywistości, czyli krytykiem literackim, którego pióro cięło jak nie oszlifowany diament.

Jeśli zaś chodzi o tak zwane “Eseje z Serca Ameryki”, to po tych wszystkich latach przypomniął mu się kawałek pod tytułem: “Śmierć na drugiej zmianie”. Dotyczył ojca i syna, pracujących w jakiejś stalowni w

Pittsburghu. Ojciec dostał ataku serca i zmarł na rękach syna podczas trzeciego dnia z czterech, które dano Johnny'emu Marinville'owi na zbieranie informacji. Johnny miał zamiar skupić się na całkiem innym aspekcie pracy stalowni, ale natychmiast zmienił kurs i nigdy tego nie pożałował. W rezultacie napisał przeraźliwie sentymentalny kawałek - prawdziwy w każdym słowie, ale oczywiście niczego to nie zmieniło - a także kawałek przeraźliwie popularny. Facet, który był jego redaktorem w *Life* w sześć tygodni po publikacji przysłał mu kartkę z informacją, że "Śmierć na drugiej zmianie" wywołała czwartą w historii pisma lawinę listów od czytelników.

Coś mu się zaczynało przypominać, zwłaszcza tytuły, tytuły takie jak "Podrzucić do ognia", "Pocałunek nad jeziorem Sarmac". Obrzydliwe tytuły, zgoda, ale....

...czwarta w historii pisma lawina listów! Od czytelników!

No... tak.

A gdzie właściwie są teraz te stare eseje? W Kolekcji Marinville'a w Fordham? Całkiem możliwe. Niech to diabli, ale być może są nawet na strychu domku w Connecticut. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby przyjrzeć się im bliżej. Może dałoby się je nawet uwspółcześnić albo... albo...

Gdzieś głęboko w zakamarkach jego mózgu odezwał się jakiś głos.

"Nadal go masz, Johnny?"

"Co mam?" - odparł, zaledwie rejestrując pytanie.

"To. Kółka. No, ten cholerny motocykl!?"

"Jasne, że mam. Stoi w warsztacie w Westport, tym, z którego korzystaliśmy, kiedy jeszcze byliśmy razem. No, wiesz..."

"U Gibby'ego?"

"Aha, u Gibby'ego. Ktoś tam przejął jego biznes, ale wówczas był to warsztat Gibby'ego, masz rację".

Oślepiło go pewne wspomnienie, coś, co miał pamiętać całe życie, on i Terry, ubrani od stóp do głów, pieszczący się pewnego popołudnia za warsztatem Gibby'ego, mieli... no cóż, było to bardzo, bardzo dawno temu i zapomnijmy o całej tej sprawie. Terry ubrana była wówczas w obcisłe niebieskie szorty. Nie to, żeby koniecznie miały się podobać jej matce, co to, to nie, ale jemu wydawało się, że w tej reklamie przeceny na tandecie wygląda jak Królowa Zachodu. Tyłek miała zaledwie niezły, za to nogi... Jezu Chryste, jej nogi sięgały nie szyi, lecz wręcz Arktura... i z powrotem. Jak w ogóle się tam dostali, pomiędzy stare opony i zardzewiałe części samochodowe, skąd wzięli się pomiędzy sięgającymi pasa słonecznikami, wśród których obmacywali się gwałtownie... nie pamiętał. Pamiętał za to kształt jej twardej piersi, pamiętał, jak złapała za pasek dżinsów i przyciągnęła go do siebie, przytuliła, napiętym brzuchem wyczuwając, jaki jest twardy, on trzymał głowę na jej ramieniu i krzyknął wtedy zduszonym głosem.

Opuścił rękę. Nie zdziwiło go bynajmniej, co poczuł pod palcami. No i proszę, panie i panowie, podejrzany o zejście śmiertelne nie jest jeszcze całkiem martwy!

"...kilka nowych, a może nawet całą książkę".

Położył rękę na oparciu fotela. Mocno zacisnął palce.

"Co? Mówiłaś coś?"

"Skretyniałaś na starość czy po prostu ogłuchłeś?"

„Nie. Wspominałem tylko to, jak to pieściliśmy się za Gibbym".

"Ach! Słoneczniki, tak?"

"Słoneczniki".

Milczała przez dłuższą chwilę, być może rozważając sensowność wygłoszenia kolejnego komentarza na ten jakże przyjemny temat. Johnny miał niemal nadzieję, że nie wróci do tematu kazania. Oczywiście wróciła.

“Mówiłam, że może powinieneś przejechać się po kraju tym swoim motocyklem, nim zestarzejesz się tak, że zabraknie ci siły w stopach do zmieniania biegów albo znów zaczniesz pić i rozsmarujesz się po szosie od pobocza do pobocza”.

“Zgłupiałaś czy co? Od trzech lat nie tknąłem alkoholu i nie mam zamiaru zaczynać teraz, Terry. Wzrok mi się popsuł...”

“Więc kup sobie mocniejsze okulary”.

“...i refleks już nie ten. John Cheever zmarł, być może, na chorobę alkoholową, ale John Gardner z całą pewnością zginął na motocyklu. Natknął się na uparte drzewo. Nie chciało ustąpić mu z drogi. Zdarzyło się to w Pensylwanii. Przejeżdżałem tamtędy”.

Terry nawet go nie słuchała. Była jedną z tych niewielu osób na świecie, które, ponoszone przez nurt własnych myśli, potrafiły ignorować go rozkosznie. Johnny miał wrażenie, że była to dodatkowa przyczyna ich rozvodu. Nie lubił być ignorowany. Zwłaszcza przez kobiety.

“Powinieneś przejechać się po kraju na tym swoim motocyklu i zebrać materiały do kilku kolejnych esejów - stwierdziła Terry. Sprawiała wrażenie podnieconej, a także trochę rozbawionej. - Gdybyś dołączył do nich kilka poprzednich, tych najlepszych, powiedzmy jako część pierwszą, wyszłaby z tego całkiem przyzwoita gruba książka. »Serce Ameryki. 1966-1996. Eseje Johna Edwarda Marinville'a« - Zachichotała. - Kto wie, może Shelby Foote znów poświeciłaby ci przyjacielską wzmiankę? To jej recenzje zawsze najbardziej ci się podobały, prawda?”

Przerwała, czekając na odpowiedź. Gdy się jej nie doczekała, spytała, czy jest tam jeszcze, najpierw lekko, potem z wyraźną troską.

“Jestem - odparł. - Jestem. - Nagle poczuł, że dobrze zrobił, usiadłszy przed rozmową. - Słuchaj, Terry, muszę lecieć. Mam spotkanie”.

„Nowa pani twego serca?”

“Lekarz. Stopa mnie boli”.

Nie o stopie jednak myślał, nie o stopie, lecz o tej pani krytyk; przypomniała mu się niemal jak ostatnia cyfra w kombinacji otwierającej sejf. Klik - sejf staje otworem.

“Dobra, ale dbaj o siebie - stwierdziła Terry. - I, na litość boską, pomyśl, czy nie wrócić do anonimowych alkoholików. Przecież z pewnością ci to nie zaszkodzi!”

“Nie zaszkodzi” - przytaknął, nie myśląc o tym, co mówi.

Myślał o Shelby Foote, która Johnny'ego Edwarda Marinville'a nazwała kiedyś jedynym żyjącym pisarzem amerykańskim kalibru Johna Steinbecka. Terry miała rację - spośród komplementów, które niegdyś się na niego sypały, ten lubił najbardziej.

“Masz rację, nie zaszkodzi. - Terry znów przerwała na chwilę. - Johnny, z tobą wszystko w porządku, prawda? Bo... mam wrażenie, jakbyś wcale mnie nie słuchał”.

“Wszystko. W porządku. Pozdrów ode mnie dzieciaki, dobra?”

“Zawsze je od ciebie pozdrawiam. Na ogół odpowiadają słowami, które moja mama zaliczała do angielszczyzny rynsztokowej, ale mimo to zawsze je od ciebie pozdrawiam. Na razie”.

Odłożył słuchawkę, nie patrząc nawet na telefon, a kiedy aparat spadł ze stołu, nie pochylił się, by go podnieść. John Steinbeck przejechał Amerykę starym kombi, za jedyne towarzystwo mając psa, Johnny prawie nie używał swego harleya-davidsona softail z silnikiem o pojemności tysiąc trzysta czterdzieści centymetrów sześciennych stojącego sobie spokojnie w Connecticut. Nie, nie "Serce Ameryki", co do tego Terry nie miała racji i nie w tym rzecz, że taki tytuł miał film z Jeffem Bridgesem, film z przed paru lat. Nie "Serce Ameryki" tylko...

"Podróże z harleyem" - wyszeptał.

Zabawny tytuł, więcej, śmieszny tytuł, jak parodia czegoś z magazynu *Mad...* ale czy gorszy niż "Śmierć na drugiej zmianie" albo "Podrzucając do ognia"? Pomyślał, że nie... i wydawało mu się, że ten tytuł zadziała, że wzniesie się ponad swe gminne pochodzenie. Johnny zawsze wierzył intuicji, a tak silnego przeczucia nie miał od lat. Może przejechać przez kraj na kremowo-czerwonym softailu, przejechać na nim od Atlantyku tam, gdzie ocean dotyka Connecticut, do Pacyfiku, tam, gdzie dotyka Kalifornii. Zbiór esejów mógłby skłonić krytyków do całkowitej zmiany zdania na jego temat, zbiór esejów, który mógłby dostać się nawet na listę bestsellerów, gdyby...

"Gdyby mówiły o ludziach - powiedział głośno. Serce waliło mu w piersiach, ale dla odmiany jakoś wcale go to nie zaniepokoiło. - Jak »Blue Highway«. Jak... no, jak Steinbeck".

Siedząc tak w gabinecie, z telefonem powarkującym na niego z podłogi, Johnny Marinville dostrzegł przed sobą obietnicę... odkupienia. Tak, odkupienia. Drogę wyjścia.

Podniósł telefon i zadzwonił do agenta. Palce jak oszalałe skakały po przyciskach.

"Bili, tu John. Słuchaj, siedziałem tak i myślałem o esejach, które napisałem kiedyś, dawno temu. I wpadł mi do głowy świetny pomysł. Pewnie pomyślisz, że zwariowałem, ale posłuchaj..."

4

Idąc w stronę drogi, grzęznąc w piachu podczas wspinaczki na lekkie wzniesienie i bardzo starając się nie dyszeć za ciężko, Johnny dostrzegł, że stojący przy harleyu, zapisujący sobie jego numer rejestracyjny gliniarz jest facetem, jakiego jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć - ponad dwa metry wzrostu, ponad sto trzydzieści kilo żywej wagi na golasa i po prysznicu.

- Dzień dobry, panie władzo - powiedział.

Opuścił wzrok i w kroku, na niebieskim materiale lewisów dostrzegł małą plamkę. Choćbyś strząsał trzy tygodnie... - pomyślał.

- Proszę pana, czy wie pan, że przepisy zakazują parkowania na poboczu dróg stanowych? - spytał go policjant, nie podnosząc wzroku.

- Nie, nie wiem, ale sądzę, że...

"...że nie ma to znaczenia w przypadku drogi tak pustej jak US pięćdziesiąt" - miał zamiar zakończyć stanowczym, gniewnym tonem, jakim od lat wydawał polecenia urzędnikom państwowym niższych szczebli i służbie, lecz nagle dostrzegł coś, co dość gwałtownie zamknęło mu usta. Na prawym mankiecie koszuli policjanta widniała plama krwi, sporo jej było, zasychała już i ciemniała. Prawdopodobnie musiał usunąć z drogi przejechane zwierzę, może uderzonego przez ciężarówkę jelenia albo daniela, niedawno skończył i to tłumaczyłoby zarówno

zasychającą krew, jak kiepski humor. Z koszulą nic się już chyba nie da zrobić - tyle krwi nie zejdzie w praniu, nie ma mowy.

- Słucham pana! - odezwał się ostro gliniarz.

Skończył spisywanie numeru, ale nadal wpatrywał się w motocykl. Brwi miał ściągnięte, wargi zacisnął tak, że prawie nie było ich widać. Sprawiał wrażenie, jakby powstrzymywał się przed spojrzeniem na właściciela harleya pewien, że tylko pogorszy mu to i tak nie najlepsze samopoczucie.

- Pan coś mówił?

- Nie, nic, panie władzo - powiedział Johnny spokojnie, neutralnym tonem, w którym nie było ani pokory, ani rozdrażnienia.

Nie chciał drażnić wielkoluda, mającego za sobą najwyraźniej ciężki dzień.

Nadal nie podnosząc głowy, ściskając notes w dłoni i wpatrując się z napięciem w tylne światła harleya, gliniarz dodał:

- Przepisy zakazują także... wypróżniania się... w zasięgu wzroku z drogi stanowej. O tym pan też nie wiedział?

- Nie wiedziałem, przepraszam. - Johnny w ostatniej chwili powstrzymał atak nieopanowanego śmiechu.

- No więc zakazują. Tym razem poprzestanę na... - policjant dopiero teraz podniósł wzrok. Spojrzał na Johnny'ego i nagle w jego szeroko otwartych oczach pojawiło się zdumienie. - ...upomnieniu, ale... - dokończył siłą rozpędu.

Patrzył na Johnny'ego ze zdumieniem dziecka, obserwującego klaunów i słuchającego granego na puzonach marsza podczas parady cyrkowców na głównej ulicy małego miasteczka. Johnny Marinville znał to spojrzenie, choć nie spodziewał się spotkać nikogo tak na niego patrzącego tu, na pustyni Nevady, a już zwłaszcza nie wielkiego szwedzkiego gliniarza wyglądającego na faceta, co to czyta wyłącznie *Party Jokes* z *Playboya* oraz magazyn *Guns and Ammo*.

Wielbiciel - stwierdził w duchu. - Tu, nigdzie, w pustce pomiędzy Ely i Austin spotkałem na drodze autentycznego wielbiciela!

Już teraz nie mógł się doczekać chwili, gdy dziś wieczorem, w Austin, opowie o wszystkim Steve'owi Amesowi. Do diabła, może nawet zadzwoni do niego wcześniej, na telefon komórkowy... jeśli telefony komórkowe w ogóle tu działają. W tym problem. Teraz, kiedy już o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że pewnie jednak nie działają. Swoją telefon naładował, trzymał go w ładowarce całą noc, ale nie rozmawiał ze Steve'em od opuszczenia Salt Lake City. Prawdę mówiąc, w ogóle nie przepadał za telefonami komórkowymi. Nie przypuszczał, by rzeczywiście powodowały raka, prawdopodobnie to tylko kolejny wymysł szmatławców, niemniej jednak...

- Niech to cholera! - wyszeptał gliniarz. Prawą ręką, wystającą z zakrwawionego mankietu, sięgnął do prawego policzka. Przez jedną przedziwną chwilę przypominał Johnny'emu obrońcę zawodowej drużyny futbolu odstawiającego Jacka Benny'ego. - Niech to chooleeera!

- Coś się stało, panie władzo? - spytał go Johnny, z trudem opanowując uśmiech.

Lata nie zmieniły jednego - lubił być rozpoznawany. Boże, jak bardzo lubił być rozpoznawany!

- Pan jest... JohnEdwardMarinville! - wykrzyknął wielkolud, jakby imiona i nazwisko były jednym słowem jak Pelé albo Cantiflas. Uśmiechał się teraz i Johnny pomyślał: Och, panie władzo, jakie ma pan wielkie zęby. - To znaczy... nie pomyliłem się, prawda? Pan napisał "Rozkosz" i, o cholera, także "Pieśń młota". Cholera,

spotkałem faceta, który napisał "Pieśń młota"! - I gliniarz uczynił coś, co Johnny uznał za rzeczywiście wzruszające - wyciągnął rękę i dotknął jego skórzanej motocyklowej kurtki, jakby chciał upewnić się, że stojący przed nim człowiek nie jest przypadkiem halucynacją. - O, cholera!

- No cóż, rzeczywiście, jestem Johnny Marinville - odparł Johnny skromnie tonem, który rezerwował specjalnie na takie okazje i tylko na te okazje, taką już miał zasadę. - Muszę panu jednak powiedzieć, że nikt jeszcze nie rozpoznał mnie po tym, jak sikam obok drogi.

- Och, zapomnijmy o tym! - wykrzyknął gliniarz, wyciągając rękę.

Na moment przed tym, nim jego palce zacisnęły mu się na dłoni, Johnny dostrzegł, że ręka ta również ubrudzona jest na pół zaschniętą krwią, linia życia i linia miłości wyróżniały się z reszty ciała ciemną czerwienią. Zdołał utrzymać uśmiech na twarzy, za to należała mu się pochwała, był jednak świadom tego, że kąciki ust zrobiły mu się nagle jakby cięższe. Upaprze mnie krwią - pomyślał. - A przed Austin nie będę nawet miał się gdzie umyć.

- Panie - mówił gliniarz. - Panie, pan jest jednym z moich ulubionych pisarzy. No bo, no przecież... "Pieśń młota"... wiem, że krytykom ta powieść wcale się nie podobała, ale co oni tam wiedzą...

- Niewiele - zgodził się z nim Johnny, marząc tylko o tym, by uwolnić rękę.

Gliniarz należał jednak najwidoczniej do tych ludzi, którzy potrząsają czyjąś dłonią nie tylko na powitanie, ale także by podkreślić co ważniejsze fragmenty monologu. Poza tym w jego uścisku czuć było potencjalną straszliwą siłę; gdyby facet zacisnął palce, jego ulubiony pisarz klepałby w komputer wyłącznie lewą ręką, przynajmniej przez najbliższy miesiąc lub dwa.

- Niewiele, cholernie słusznie! "Pieśń młota"... lepszej powieści o Wietnamie nie czytałem. Niech diabli wezmą Tima O'Briena z Robertem Stone'em...

- No cóż, dziękuję panu, bardzo panu dziękuję...

Gliniarz nareszcie rozluźnił uścisk i Johnny mógł wycofać rękę. Bardzo pragnął obejrzeć ją, sprawdzić, ile przykleiło się do niej krwi, ale zdecydowanie nie była to odpowiednia chwila. Wielki gliniarz właśnie wkładał sfatygowany notatnik do tylnej kieszeni spodni, przyglądając mu się szeroko otwartymi oczami, tak intensywnie, że aż było to nieco peszące. Sprawiał takie wrażenie, jakby się bał, że jeśli choćby mrugnie okiem, Johnny zniknie niczym sen.

- Co pan tu robi, panie Marinville? Jejku jej! Myślałem, że mieszka pan tam, na wschodzie.

- Cóż, owszem, mieszkałem...

- No i takiego... pojazdu nie powinien używać ktoś... dobrze, powiem to... ktoś, kto jest naszym skarbem narodowym. Wie pan, jak wygląda statystyka wypadków motocyklowych? Obliczona w oparciu o czas spędzony w drodze? Powiem panu, bo jestem wilkiem i co miesiąc dostajemy biuletyn Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Jeden wypadek na czterystu sześćdziesięciu motocyklistów dziennie. Brzmi nieźle, wiem, więc zobaczymy, jak wygląda to w przypadku samochodów. Jeden na dwadzieścia siedem tysięcy na jeden dzień. To wielka różnica. Skłania do myślenia, prawda?

- Tak.

Czyżby powiedział, że jest wilkiem? - pomyślał Johnny.

- To bardzo... bardzo...

Bardzo co? Uspokój się, Marinville, opanuj się. Jeśli udało ci się spędzić godzinę z tą uprzedzoną suką z “Ms.” i nie sięgnąć po drinka, z pewnością poradzisz sobie także z tym facetem. W końcu przecież próbuje tylko wyrazić, jak bardzo się o ciebie troszczy.

- Bardzo obrazowa statystyka - dokończył z wysiłkiem.

- Więc co pan właściwie tu robi? I to na tak niebezpiecznym pojeździe?

- Zbieram materiał.

Johnny zorientował się nagle, że patrzy na zakrwawiony rękaw koszuli gliniarza. Z wysiłkiem oderwał do niego wzrok i podniósł go na spaloną słońcem twarz. Nie miał wątpliwości, że podczas patrolu tego faceta nawet pijacy są grzeczni jak dzieci - wyglądał tak, jakby mógł łykać paznokcie, a srać drutem kolczastym, choć karnację miał zdecydowanie nie na ten klimat.

- Do nowej powieści? - ucieszył się wielkolud.

Johnny zerknął na kieszonkę jego koszuli, szukając blachy z nazwiskiem. Nie znalazł jej.

- No, w każdym razie do nowej książki. Mogę o coś pana spytać, panie władzo?

- Tak, oczywiście, ale to przecież ja powinienem panu zadawać pytania! Mam ich tryliardy! Nigdy nie sądziłem, że... tu, w środku niczego spotkam nagle... och, niech to cholera!

Johnny uśmiechnął się. Na drodze było goręcej niż w piekle, bardzo chciał jechać dalej, nim Steve dobierze mu się do tyłka... nie podobał mu się widoczny we wstecznym lusterku wielki żółty kamper, jakoś nie pasował do nastroju... ale trudno było nie poddać się tępemu entuzjazmowi tego wielkoluda, zwłaszcza jeśli entuzjazm ten dotyczył czegoś, co on sam traktował z szacunkiem, uległością i - tak! - sporą dozą strachu.

- No więc, skoro najwyraźniej dobrze zna pan moje książki, co sądzi pan o zbiorze esejów dotyczących życia współczesnej Ameryki?

- Pana autorstwa?

- Tak, mojego autorstwa. Coś w rodzaju opisu podróży zatytułowanego - Johnny wziął głęboki oddech - “Podróże z harleyem”.

Spodziewał się, że wielki glina spojrzy na niego w tym momencie nic nie pojmującym wzrokiem albo roześmieje się, tak jak śmieją się ludzie po poinczie żartu, ale policjant zareagował zupełnie inaczej. Po prostu popatrzył na tylne światła harleya, pocierając dłonią brodę (brodę jak z komiksów Berniego Wrightsona, kwadratową, z bruzdą). Zmarszczył brwi, głęboko zamyślony. Johnny wykorzystał tę okazję, by przyjrzeć się swej ręce. Była na niej krew, oczywiście, całkiem sporo krwi. Głównie na grzbiecie dłoni i między palcami. Ohyda.

Nagle wielkolud podniósł wzrok i zdumiał go, mówiąc dokładnie to, co on sam wymyślił w ciągu dwóch dni monotonnej jazdy po pustyni.

- Mogłoby się udać, ale na okładce powinno być zdjęcie pana na tym tu pańskim motocyklu. Poważne zdjęcie, żeby ludzie widzieli, że nie robi pan sobie żartów z Johna Steinbecka... a jeśli już o to chodzi, to także z samego siebie.

- Słusznie! - krzyknął Johnny, całym wysiłkiem woli powstrzymując się od klepięcia wielkoluda po ramieniu. - Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo! Ludzie mogliby sobie pomyśleć, że to... że to jakiś dziwny żart. Zdjęcie powinno przekonać czytelnika, że ma do czynienia z czymś poważnym... może nawet ponurym... co pan myśli o zdjęciu samego motoru? Zdjęciu motoru, może nawet sepiowanym? Zrobionym na środku jakiejś pustej drogi... nawet tu, na pustyni, na środkowej linii drogi US pięćdziesiąt... z cieniem rozciągającym się po jednej stronie.

Absurdalność dyskusji na ten temat, tu i z gliniarzem, który miał mu wypisać mandat za szczeranie w kaktusy, nie uszła uwagi Johnny'ego, ale też nie miała najmniejszego wpływu na jego entuzjazm.

Po raz kolejny policjant powiedział mu dokładnie to, co Johnny chciał usłyszeć.

- Nie! Nie, jejku jej, nie! To musi być pańskie zdjęcie.

- Wie pan, jestem dokładnie tego samego zdania. Siedzę na motorze... może z opuszczoną podpórką, z nogami na pedałach... jak gdyby nigdy nic, wie pan... jak gdyby nigdy nic, ale...

- Ale to musi być prawdziwe zdjęcie. - Gliniarz spojrział na Johnny'ego groźnymi szarymi oczami, a potem znów opuścił wzrok na motocykl. - Jak gdyby nigdy nic, ale musi to wyglądać prawdziwie. Niech pan nawet nie próbuje się uśmiechać, panie Marinville.

- Nie będę się uśmiechał - obiecał Johnny i pomyślał: Ten facet to geniusz.

- I musi pan zachować dystans. Patrzyć w dal. Jakby myślał pan o przejechanych kilometrach...

- Tak. I o kilometrach, które mam jeszcze przed sobą. - Johnny zapatrzył się w horyzont, ćwicząc to spojrzenie. Stary wojownik patrzący na zachód, coś w rodzaju Cormaca McCarthy'ego. Jego wzrok padł na zaparkowany jakieś dwa, najwyżej trzy kilometry stąd samochód. Oczy nadal dopisywały mu, przynajmniej na dłuższy dystans, a słońce już nie przeszkadzało aż tak jak przedtem. Był prawie pewien, że to kamper. - Kilometrach rzeczywistych... i metaforycznych.

- Tak, rzeczywistych i metaforycznych - powtórzył zdumiewający glina. - "Podróże z harleyem". To mi się całkiem podoba. Tytuł z jajami. No i oczywiście przeczytam wszystko, co pan napisze, panie Marinville. Powieści, eseje, poematy... do diabła, przeczytałbym nawet pański kwit z pralni.

- Dziękuję. - Johnny był autentycznie wzruszony. - To, co pan powiedział, jest dla mnie bardzo ważne. Prawdopodobnie nigdy nie dowie się pan, jak ważne. Od jakiegoś roku... mam kłopoty. Zwątpiłem w siebie. Nie wiedziałem, kim jestem, nie wiedziałem, co powinienem robić.

- Sam doświadczyłem czegoś podobnego, wie pan? Pewnie trudno w to uwierzyć, facet taki jak ja, ale nie kłamię. Ba, gdyby zdawał pan sobie sprawę, jaki miałem dziś dzień... panie Marinville, czy mogę poprosić pana o autograf?

- Oczywiście, cała przyjemność po mojej stronie.

Johnny wyjął notatnik i zaczął przerzucać kartki wypełnione notatkami, wskazówkami, jak dojechać tu i tam, numerami dróg, odręcznie naszkicowanymi miękkim ołówkiem mapami - dziełami Steve'a Amesa, który doskonale zdawał sobie sprawę, że choć jego słynny klient ciągle jeszcze może w miarę bezpiecznie poruszać się na motocyklu, natychmiast gubi się w najmniejszym nawet miasteczku i dostaje ataku wściekłości. W końcu znalazł czystą kartkę.

- Jak panu na imię, panie...

Przerwało mu mrozące krew w żyłach długie, drżące wycie. Mrozące krew w żyłach nie tylko dlatego, że było to bez wątpienia wycie dzikiego zwierzęcia, lecz dlatego, że rozległo się tak blisko. Johnny upuścił notatnik i obrócił się tak błyskawicznie, że niemal stracił równowagę. Przy południowej krawędzi drogi, niespełna pięćdziesiąt metrów od nich, stało podobne do psa zwierzę o cienkich łapach i zapadniętych bokach. W futro wplątane miało rzepy, na tylnej nodze zaś okropną krwawą ranę, ale Johnny prawie nie zwrócił na to uwagi. Zafascynował go na pozór uśmiechnięty pysk stworzenia i jego żółte oczy, głupie, lecz sprytnie.

- Boże - szepnął. - Co to takiego? Czy...

- Kojot - odparł gliniarz. Zabrzmiało to jak "kijot". - Niektórzy z tutejszych nazywają kojoty wilkami pustyni.

O to mu chodziło. Powiedział coś takiego... że widzi kojota i że kojoty nazywane są tu wilkami pustyni. Po prostu nie rozumiałeś, o czym mówi - stwierdził w duchu Johnny i to wyjaśnienie bardzo go uspokoiło... choć tak naprawdę wcale w nie nie wierzył.

Gliniarz zrobił krok w stronę zwierzęcia. I jeszcze jeden. Kojot ani drgnął, choć drżał na całym ciele. Spod zmierzwionego futra pociekła uryna, powiew wiatru rozwiął ją na krople.

Jeszcze jeden krok. Kojot podniósł pokryty bliznami pysk i zawył jeszcze raz, przeciągle, drżąco. Johnny poczuł na ramionach gęsią skórę. Zdał sobie sprawę z tego, że jądra podwinęły mu się w podbrzusze.

- Niech pan da spokój - powiedział. - To *très* przerażające. Gliniarz nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na kojota. Kojot nie odrywał żółtych ślepi od jego oczu.

- *Tak. Tak ah lah* - mruknął.

Kojot tylko się na niego gapił, jakby zrozumiał ten z indiańska brzmiący bełkot. Gęsia skórka na ramionach Johnny'ego jakoś nie chciała ustąpić. Wiatr powiał znowu, unosząc upuszczony notatnik na skraj drogi i przyciskając go do sterczącego z ziemi odłamka skały. Johnny nawet na niego nie spojrział.. Notatnik i autograf były, przynajmniej w tej chwili, najmniej dla niego ważnymi rzeczami na świecie.

Opiszę to w książce - pomyślał. - Sporo widziałem i nie wiem jeszcze, co znajdzie się w książce, ale to z pewnością. Z całą, największą pewnością.

- *Tak* - powtórzył gliniarz.

Ostro klasnął w dłonie. Kojot odwrócił się i skoczył, uciekł na cienkich łapach z szybkością, której Johnny nigdy by się po nim nie spodziewał. Wielki gliniarz w mundurze khaki obserwował go, póki szare futro nie wtopiło się w szarość otoczenia. Nie trwało to przesadnie długo.

- Jejku jej, ohyda - westchnął policjant, kiedy kojot zniknął. - Ostatnio więcej ich tu niż pcheł na psie. Od rana do wczesnego popołudnia się nie pokazują, jest dla nich za gorąco, ale późnym popołudniem, wieczorem... - Potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć "przecież sam pan widzisz".

- Co pan do niego powiedział? - spytał go Johnny. - Doprawdy, zdumiewające zjawisko. Czy był to dialekt? Jakiś indiański dialekt?

Gliniarz roześmiał się.

- Nie znam żadnego indiańskiego dialektu - wyjaśnił. - Do diabła, nie znam nawet żadnego Indianina. To było tylko takie dziecinne gadanie. Bul-bul, pusi-pusi.

- Ale on przecież pana słuchał!

- Nie. On na mnie patrzył. - Gliniarz obrzucił Johnny'ego groźnym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: "Zaprzecz mi, jeśli się ośmielisz!" - Zmusiłem go, żeby patrzył mi w oczy, to wszystko. Zmusiłem go, żeby na mnie patrzył. Przypuszczam, że większość sztuczek poskramiaczy to dziecinna zabawa, ale jeśli chodzi o takie chytre zwierzęta jak wilki pustyni... no, jeśli się je zmusi, by spojrzały człowiekowi w oczy, to nieważne, co się mówi. Zazwyczaj nie są niebezpieczne, chyba że chorują na wścieklicznę. Po prostu nie powinny wyczuć w człowieku strachu. Ani krwi.

Johnny zerknął na prawy rękaw munduru gliniarza, zastanawiając się, czy to zapach krwi zwabił kojota.

- I nigdy, przenigdy nie wolno stanąć tak przed stadem. Zwłaszcza jeśli ma silnego przywódcę. Wtedy kojoty niczego się nie boją. Potrafią zagonić łosia tak, że pęka mu serce. Czasami po prostu dla zabawy. - Gliniarz przerwał. - Człowieka też - dokończył.

- Doprawdy? To... - Johnny rozważył użycie określenia "très przerażające", ale raz go już przecież użył. - ...to fascynujące - dokończył.

- Prawda? - przytaknął wielki glina z uśmiechem. - Mądrość pustyni. Biblia natury. Prawo samotnego łowcy.

Johnny gapił się na niego z lekko rozchylonymi ustami. Nagle Przyjacielski Policjant zmienił się w Paula Bowlesa w złym humorze.

Próbuje ci zaimponować, to wszystko. Gadanie rodem z *coctail party* bez *coctail party*. Widziałeś to i słyszałeś tysiące razy.

Może. Ale, biorąc pod uwagę okoliczności, wolałby ani tego nie widzieć, ani nie słyszeć. Gdzieś w oddali znów zawył kojot. Nie ten, który przed chwilą uciekł, co do tego nie było najmniejszych nawet wątpliwości. Za daleko, może to odzew na wycie przyjaciela?

- Oho, czas na nas - oznajmił policjant. - A to niech pan lepiej schowa, panie Marinville.

- Co? - zdumiał się Johnny.

Przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, że wielkoludowi chodzi o jego myśli, że praktykuje nie tylko pretensjonalny styl, lecz i telepatię, ale zaraz dostrzegł, że policjant patrzy na jego motocykl, na torbę po lewej stronie. Rękaw nowego poncho - jaskrawopomarańczowego, najbezpieczniejszego na brzydką pogodę - zwiślał z niej niczym psi jęzor.

Jakim cudem nie zauważyłem tego, kiedy zatrzymywałem się, żeby się wysikać? Jakim cudem udało mi się tego nie zauważyć?

I nie tylko w tym problem. Johnny zatrzymał się w Pretty Nice po benzynę, a kiedy zatankował, odpiął torbę i wyjął z niej mapę drogową Nevady. Sprawdził, jak daleko do Austin, a potem złożył mapę i schował ją. Zapiął torbę, był tego całkiem pewien... a teraz torba była odpięta.

Przez całe życie John Edward Marinville kierował się intuicją i to dzięki intuicji, nie planom i nie szkicom, napisał najlepsze swoje książki. Alkohol i narkotyki stępiły tę intuicję, ale jej nie zniszczyły, a kiedy przestał pić i épać, wróciła, nie w całej swej sile, przynajmniej na razie, ale wróciła. Teraz na widok zwisającego poncho w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

To gliniarz.

Myśl ta wydawała się kompletnie bezsensowna, ale intuicja powiedziała Johnny'emu, że - wbrew pozorom - jest także najzupełniej prawdziwa. Gliniarz rozpiął torbę i wyciągnął z niej poncho, kiedy na północ od drogi, odwrócony do niej tyłem, Johnny spokojnie sikał. I, rozmawiając z nim, z premedytacją ustawiał się tak, by zasłonić mu motocykl. Facet nie był aż tak strasznie zachwycony spotkaniem swego ulubionego autora, jak mogłoby się wydawać. Może wcale nie był zachwycony tym spotkaniem? Może miał po prostu coś do załatwienia.

Co? Nie podpowiesz mi, kochanie? Co takiego miał tu do załatwienia?

Nie wiedział, ale coś mu się nie podobało. I nie podobało mu się, jak w stylu jakiegoś cholernego kipiącego mocą Yody wielki facet załatwił się z kojotem.

- I co? - spytał gliniarz.

Uśmiechał się i była to kolejna rzecz, która po prostu nie mogła się podobać. Nie był to szeroki uśmiech pod tytułem "uwielbiam pańskie książki", może uśmiech wielkiego gliniarza w ogóle nie był dowodem uwielbienia, wydawał się na to za zimny. Zbyt pogardliwy.

- Co co?

- Zapnie pan tę torbę? *Tak!*

Serce Johnny'ego stuknęło mu o żebra.

- *Tak... co to znaczy tak?*

- Nie powiedziałem *tak*. Pan powiedział *tak*. Pan powiedział *tak!*

Gliniarz skrzyżował dłonie na piersiach i stał uśmiechnięty.

Bardzo chciałbym znaleźć się gdzie indziej - pomyślał Johnny.

No tak, na tym chyba polega cała sprawa, prawda? Jeśli trzeba wykonywać polecenia, to trzeba wykonać polecenia. Krótka przerwa w podróży, która zaczęła się zabawnie w miły sposób, wydawała się teraz zabawna w sposób coraz bardziej niemiły... jakby chmura zasłoniła słońce, zmieniając przyjemny dzień w dzień mroczny i groźny.

A jeśli ten facet chce mi coś zrobić? Najwyraźniej ma nierówno pod sufitem.

A jeśli ten facet coś ci zrobi, co na to poradzisz? - odpowiedział sobie pytaniem na pytanie. - Poskarżysz się miejscowym kojotom?

Rozbuchana wyobraźnia podsunęła mu szalenie nieprzyjemny obraz - gliniarz kopiący dół na pustyni, a w cieniu jego radiowozu, na ziemi, ciało człowieka, który zdobył niegdyś National Book Award i pieprzył najsylniejszą aktorkę Ameryki. Wymazał ten obraz z wyobraźni, nim zdołał nabrać ostrości, nie tyle ze strachu, co siłą dziwnej ochronnej arogancji. Ludzi takich jak on nikt przecież nie morduje. Ludzie tacy jak on czasami sami odbierają sobie życie, ale przecież nikt ich nie morduje, a już zwłaszcza nie zwariowani wielbiciele. Takie gówno istnieje wyłącznie w horrorach.

A John Lennon? Tak, Lennon, ale...

Podszedł do torby. Mijając gliniarza, poczuł jego zapach. Na moment, jasno, choć nie wyraźnie jak na zdjęciu, przypomniał sobie swego ojca, zwariowanego bijającego go pijaka, pachnącego zawsze dokładnie tak, jak pachniał ten glina. Old spice, pod płynem po goleniu pot, a pod tym wszystkim zwykła prosta wściekłość niczym brud na podłodze nie używanej piwnicy.

Odpięte były obie torby. Johnny podniósł ozdobioną frędzlami klapę, świadom tego, że nadal czuje old spice'a i pot. Gliniarz stał tuż za nim. Lew literatury sięgnął po poncho i nagle zamarł. Rozpoznał to, co leżało na stosie map drogowych. Wstrząsnął nim ten widok, lecz jednocześnie, w głębi duszy, wcale się nie zdziwił. Spojrzał na gliniarza. Gliniarz zaglądał do torby.

- Och, Johnny - westchnął z żalem. - Co za rozczarowanie. *Très* przerażające rozczarowanie.

Sięgnął i wyjął na światło dzienne leżącą na mapach wielką torbę. Bez wąchania wiadomo było, że to, co znajduje się w środku, nie jest bynajmniej tytoniem fajkowym. Na wierzchu ktoś, mający doprawdy dziwne poczucie humoru, nalepił okrągły żółty znaczek z uśmiechniętą buźką.

- To nie moje - zaoponował John Edward Marinville drżącym, zmęczonym głosem, brzmiącym niczym nagranie na bardzo starej automatycznej sekretarce. - To nie moje i pan doskonale o tym wie, prawda? To pan wsadził mi tu tę torbę.

- Och, oczywiście, wszystko przez tych brzydkich gliniarzy. Tak jak w tych twoich różowo-liberalnych księżczynach, co? Człowieku, wyczułem trawkę, kiedy tylko do mnie podszedłeś. Cały nią śmierdzisz. *Tak!*

- Proszę posłuchać...

- Włóż do wozu, czerwony. Włóż do wozu, ty pedale!

Głos wielkoluda brzmiał urazą i nienawiścią, chociaż oczy mu się śmiały.

To jakiś żart - pomyślał Johnny. - To jakiś cholerny dowcip!

Nagle gdzieś na południowym zachodzie rozległo się wycie kojotów - kilku kojotów - a kiedy gliniarz odwrócił się w tym kierunku z szerokim uśmiechem, Johnny poczuł, że musi, po prostu musi wrzasnąć. Zaciśnął zęby i tylko w ten sposób powstrzymał się od krzyku. W twarzy wielkiego gliniarza wsłuchującego się w wycie nie było nic wesołego - była to twarz człowieka kompletnie szalonego. Boże, przecież ten facet jest taki cholernie wielki!

- Moje dzieci, dzieci pustyni - odezwał się gliniarz. - *Can toi*. Jakąż muzykę grają!

Roześmiał się, spojrział na torbę z trawką, spoczywającą w jego wielkich dłoniach, i dosłownie zaniósł się śmiechem. Johnny gapił się na niego i wcale już nie czuł pewności, że ludzi takich jak on się nie morduje.

- "Podróż z harleyem". Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak strasznie głupi jest ten tytuł? Jak strasznie głupi jest cały ten pomysł? Bezczeszczenie dorobku literackiego Johna Steinbecka... pisarza, któremu nie jesteś godzien stóp całować... doprowadza mnie to do szału.

I nim Johnny zorientował się, o co właściwie chodzi, w głowie wybuchł mu straszny, jaskrawy ból. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że leci do tyłu, że dłonie przyciska do twarzy, a pomiędzy palców bucha mu krew, że wymachuje ramionami, że myśli "nic mi się nie stało, nie upadnę, nic mi się nie stało", że leży na poboczu drogi, że krzyczy w błękitne oko nieba. Nos miał skrzywiony, nos najwyraźniej przylegał mu do lewego policzka. Miał problemy z zatokami, wszystko przez kokę, której w latach osiemdziesiątych używał bez opamiętania; przypomniał sobie teraz, jak lekarz radził mu, żeby poddał się operacji, nim uderzy w drzwi wahadłowe albo znak drogowy i głowa po prostu mu eksploduje. Cóż, nie wałnął w drzwi ani w znak i głowa nie całkiem mu eksplodowała, nos jednak przeszedł całkowitą i gwałtowną metamorfozę. Myśli te przeleciały mu przez głowę, spójne i jasne, choć nadal przecież leżał na drodze i krzyczał.

- Prawdę mówiąc doprowadza mnie to do szaleństwa - dodał gliniarz i kopnął go wysoko w lewe udo.

Ból niczym strumień lodowatej wody przesiąkł przez ciało i sparaliżował wszystkie mięśnie. Johnny tarzał się po asfalcie, trzymając się za nogę, a nie za nos, czuł, że zdiera sobie skórę na policzku, wrzeszczał, łąpczywie chwycił powietrze, czuł w gardle drobinki piasku, wykasływał je za każdym drżącym krzykiem.

- Prawdę mówiąc, doprowadza mnie to do nieprzytomnego wręcz szału - oświadczył policjant i tym razem kopnął go w tyłek, wysoko, niemal w krzyż.

Ból był nieopisany, nieznośny, Johnny powinien stracić przytomność, ale nie, nie stracił przytomności, tylko wił się, tarzał po środkowej linii szosy numer pięćdziesiąt, wrzeszcząc, krwawiąc ze złamanego nosa, wykasując piasek z płuc, kojoty wyły gdzieś, daleko, a cienie rzucane przez dalekie góry stawały się coraz dłuższe.

- Wstawaj! - rozkazał wielkolud. - Na nóżki, Lordzie Jimie.

- Nie mogę - wyszochał Johnny Marinville, podciągając nogi do piersi i krzyżując ręce na podbrzuszu.

Była to pozycja obronna, którą pamiętał jak przez mgłę, z epoki konwencji demokratów w Chicago w sześćdziesiątym ósmym, a nawet z jeszcze wcześniejszych czasów, z wykładów, na które chodził w Filadelfii,

przed pierwszymi Marszami Wolności w Missisipi. Miał zamiar wziąć udział w którymś z nich - nie tyle z powodu wagi sprawy, co dlatego, że były wspaniałym materiałem literackim, ale coś w końcu stanęło mu na drodze - prawdopodobnie na widok uniesionej spódniczki stanął mu po prostu fiut.

- Wstawaj, ty kupo gówna. Jesteś teraz w moim domu, w domu wilka i skorpiona. Lepiej o tym nie zapominaj.

- Nie mogę, mam złamaną nogę, Jezu Chryste, tak potwornie mnie pobiłeś...

- Nie zламаłem ci nogi i jeszcze nie wiesz, co to znaczy bicie. Wstawaj.

- Nie dam rady, naprawdę...

Wystrzał ogłuszył go, świst rykoszetującej kuli brzmiał jak bzyczenie gigantycznej pszczoły. Johnny zerwał się na równe nogi, nim jeszcze uświadomił sobie, że nie jest całkiem martwy. Stał okrakiem na białej linii, kiwając się w przód i w tył jak jakiś cholerny pijak. Dolną część twarzy zalaną miał krwią. Przylepił się do niej piasek, rysując kropki i przecinki na jego policzkach i brodzie.

- Hej, waźniaku, zlałeś się w portki - ucieszył się gliniarz.

Johnny spojrział w dół i stwierdził, że ma on całkowitą rację. "Choćbyś strząsał trzy tygodnie..." - pomyślał. Lewe udo pulsowało mu bólem niczym zgniły ząb. Tyłek miał nadal zdrętwiały, czuł go jako kawał zamrożonego mięsa. Chyba jednak powinien podziękować za to Bogu - biorąc pod uwagę okoliczności. Gdyby dostał kopa nieco niżej, prawdopodobnie byłby sparaliżowany.

- Jesteś kiepską karykaturą pisarza i kiepską karykaturą człowieka - zawyrokował gliniarz. W jednej ręce trzymał wielki rewolwer, w drugiej torbę z trawką. Przyjrzał się jej i potrząsnął głową z obrzydzeniem. - Świadczą o tym nie tylko słowa, lecz także gęba, która te słowa wypowiedziała. Gdybym musiał dłużej przyglądać się tej bezczelnej, samolubnej gębie, prawdopodobnie zabiłbym cię tu i teraz. Nie byłbym w stanie się opanować.

Kojoty wyły gdzieś, daleko, *auuuuu... auuuuu...*, brzmiało to jak fragment ścieżki dźwiękowej z jakiegoś filmu z Johnem Wayne'em.

- Wystarczy to, co zrobiłeś - wydyszał Johnny.

Gliniarz skrzywił wargi w uśmiechu.

- Nie, nie wystarczy - powiedział. - Ale nos to przynajmniej dobry początek. Doprawdy, teraz wydajesz się przystojniejszy. Niewiele, lecz jednak. - Otworzył tylne drzwi radiowozu, Johnny tymczasem zastanawiał się, ile trwała ta komedyjka. Nie miał zielonego pojęcia, ale przedstawienia nie zakłócił żaden samochód. Żaden samochód! - Wsiadaj, waźniaku!

- Dokąd mnie zabierasz?

- A jak sądzisz, dokąd można zabrać takiego samolubnego czerwonego jajogłowego dupka jak ty? Idziesz za kratki. Wsiadaj do wozu.

Johnny wsiadł do wozu. Wsiadając, dotknął prawej wewnętrznej kieszeni skórzanej motocyklowej kurtki.

Telefon komórkowy był na miejscu.

5

Nie mógł siedzieć na tyłku, tyłek zanadto go bolał, więc usiadł na prawym pośladku, jedną ręką osłaniając złamany nos. Czuł go niczym coś żywego i złośliwego, coś zatapiającego mu w ciało długie, zatrute macki, ale ból

ten dał się przynajmniej zignorować. Boże, spraw, by telefon działał - modlił się do Boga, z którego kpił przez niemal całe swe dorosłe życie, po raz ostatni w opowiadaniu "Pogoda z nieba", opublikowanym w *Harper's* i w zasadzie pochlebnie przyjętym przez krytykę. - Boże, proszę, spraw, by ten cholerny telefon działał, i Boże, proszę Cię jeszcze, żeby Steve nadstawiał uszu. Nagle zdał sobie sprawę, że ustawił wóz kawał drogi przed koniem, więc dodał trzecią prośbę: Boże, błagam, daj mi w ogóle szansę na rozmowę, daj mi szansę, dobrze?

Jakby w odpowiedzi na tę ostatnią część modlitwy gliniarz minął drzwi kierowcy i nie oglądając się za siebie, podszedł do harleya. Włożył kask, wspiął się na siedzenie - był cholernie wysoki, więc właściwie wcale nie musiał się wspinać, wystarczyło, że odrobinę podniósł nogę. Ryknął silnik. Głina siedział na motorze z obiema nogami opartymi na szosie; wydawało się, że przyciska motor do ziemi swym ohydny cielskiem. Przegazował silnik kilka razy, jakby podobał mu się jego dźwięk, po czym wyprostował maszynę, złożył podpórkę i stopą wrzucił pierwszy bieg. Ruszył bardzo ostrożnie - Johnny'emu przypominał jego samego, kiedy wyprowadził harleya z garażu i po raz pierwszy od trzech lat wyjechał nim na zatłoczoną ulicę. Z ręką na hamulcu, przebijając nogami, uważnie wpatrując się w ziemię, wielkolud sprowadził motor z drogi. Kiedy znalazł się na pustyni, przyspieszył, płynnie zmieniając biegi i sprawnie omijając kępy krzaczków.

Obyś trafił w norę świstaka, ty sadystyczny sukinsynu - pomyślał Johnny. - Obyś wleciał na coś twardego. Obyś się spalił!

- Nie trać na niego czasu - wybełkotał.

Kciukiem rozpiął prawą kieszeń kurtki. Wyjął motorolę (agent, Bili Harris, podsunął mu pomysł kupienia telefonu komórkowego, był to prawdopodobnie jedyny dobry pomysł jego agenta w ciągu ostatnich czterech lat). Otworzył ją. Wpatrywał się w wyświetlacz, wstrzymując oddech i modląc się o S i dwie kreski. Boże, proszę Cię, Boże - prosił w duchu. Po policzkach spływał mu pot, zmieszany z krwią ze spuchniętego, rozbitego nosa. - Musi być S i dwa paski, inaczej mogą zrobić sobie z niego czopek!

Telefon pisnął. Po lewej stronie wyświetlacza pojawiło się S - Service - i... jedna kreska.

Zaledwie jedna kreska.

- Nie, proszę! - jęknął Johnny. - Boże, proszę, nie rób mi tego, jeszcze jedna, jeszcze jedna, Boże, proszę!

Rozpaczliwie potrząsnął telefonem... i zorientował się, że zapomniał wyciągnąć antenę. Wyciągnął ją, nad pierwszym pojawił się drugi pasek, zamigał, zniknął, pojawił się z powrotem i został. Migał, ale był na miejscu.

- Tak! - szepnął Johnny z wdzięcznością. - Och, tak! Gwałtownym gestem podniósł głowę. Spojrzał za okno. Zalane potem oczy spoglądały spoza kosmyków siwych włosów - krew miał teraz także we włosach - jak ślepie wyglądającego z nory zaszczonego zwierzęcia. Gliniarz zatrzymał się jakieś trzysta metrów dalej, wśród odłamków skalnych zaścielających zbocze niewielkiego pagórka. Zsiadł z harleya i po prostu go puścił. Motocykl przewrócił się, silnik prychnął i stanął. Nawet w tej niewesołej sytuacji Johnny poczuł ukłucie złości. Harley przewiózł go w poprzek Ameryki, jego wspaniały amerykański silnik nie przerwał nawet na ułamek sekundy. Nikomu nie wolno traktować go z tak bolesnym, bezmyślnym okrucieństwem.

- Ty zwariowana kupo gówna! - szepnął.

Pociągnął nosem wciągając krew, wypluł gęstą, zmieszaną ze śliną maź na zaśmieconą papierami podłogę radiowozu i jeszcze raz przyjrzał się telefonowi. W dolnym rzędzie, drugi od prawej, znajdował się przycisk NAME/MENU. Steve zaprogramował mu tę funkcję tuż przed początkiem wyprawy. Johnny wduślił przycisk, na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko BILL. Przycisnął jeszcze raz. TERRY. Jeszcze raz. JACK - Jack

Appleton, jego redaktor w FS & G. Jasna cholera, dlaczego Steve wprowadził telefony wszystkich tych ludzi przed swoim numerem? Od Steve'a zależało przecież jego życie.

Szalony gliniarz zdjął kask. Zaczął kopniakami zasypywać piaskiem pięknego harleya'86. Z tej odległości wyglądał jak dziecko, które dostało ataku szału. Bardzo dobrze. Jeśli ma zamiar przykryć motocykl w miarę dokładnie, będzie mnóstwo czasu na rozmowę... oczywiście, jeśli telefon zdecyduje się na współpracę. Światelko podpisane ROAM migąło wprawdzie i był to dobry znak, ale drugi pasek na wyświetlaczu migął także.

- Do roboty, do roboty - powiedział Johnny do spoczywającej w jego drżącej, okrwawionej dłoni motoroli. - Proszę, weź się do roboty, dobrze? Proszę.

Po raz kolejny wcisnął przycisk NAME/MENU i wreszcie, wreszcie, zobaczył STEYE. Kciukiem z całej siły wcisnął SEND. Przyłożył słuchawkę do ucha, jeszcze bardziej pochylając się w prawo. Wyglądał teraz przez dolną część bocznego okna radiowozu. Gliniarz nadal zasypywał piaskiem silnik harleya.

Usłyszał sygnał, ale wiedział, że to jeszcze nie to, że to bynajmniej nie wszystko. Włączył się zaledwie w system Roamer. Od Steve'a dzielił go jeszcze krok. Wielki krok.

- Do roboty, do roboty, do roboty... - powtarzał szeptem. Kropla potu spłynęła mu do oka. Przetarł je palcem.

Sygnał ucichł. Trzask.

- Witamy w Western Roaming Service - rozległ się wesoły mechaniczny głos. - Rozmowa kierowana jest do odbiorcy. Dziękujemy za cierpliwość i życzymy miłego dnia.

- Nie chcę słyszeć żadnego takiego gówna sprzed dwudziestu lat, tylko Steve'a, pospieszcie się, cholery - syknął Johnny.

Cisza. Tam, na pustyni, wielki szalony gliniarz cofnął się o kilka kroków. Przyglądał się harleyowi, jakby próbował ocenić, czy nie dość już przypadkiem tego maskowania. Siedzący na brudnym, zaścienionym papierami siedzeniu radiowozu Johnny Marinville rozplakał się. Nie potrafił powstrzymać łez. Miał straszne wrażenie, że to tak, jakby znów zsiąkał się w spodnie, tylko tym razem do góry nogami.

- Nie - szepnął. - Nie, jeszcze nie, jeszcze trochę, przecież wieje wiatr, więc lepiej popracuj jeszcze trochę, jeszcze tylko troszeczkę.

Gliniarz stał wpatrzony w motocykl. Jego cień pokrywał teraz chyba z pół kilometra pustyni. Johnny przyglądał się facetowi przez dolną połowę bocznego okienka, siwe splątane włosy opadały mu na twarz, telefon z całej siły przyciskał do prawego ucha. Gliniarz podszedł do harleya i - jednak - zabrał się do roboty. Zasypywał piaskiem kierownicę.

Telefon ożył, lecz tym razem sygnał był chrypliwy, słaby. Jeśli doszło do połączenia - a jakoś sygnału wskazywała, że zapewne doszło - inny telefon Motorola, ten zamontowany na desce rozdzielczej rydera pędzącego gdzieś od stu do trzystu kilometrów od miejsca, gdzie znajdował się obecnie John Marinville, właśnie zadzwonił.

Gliniarz tymczasem kopiąc piasek zasypywał kierownicę motocykla.

Dwa sygnały. Trzy sygnały. Cztery.

Jeszcze jeden, najwyżej dwa i w słuchawce usłyszy kolejny metaliczny głos (całkiem niedawno odkrył, że informacje w technologii komórkowej opanowało całe mnóstwo mechanicznych głosów), który poinformuje go, że abonent jest poza zasięgiem sieci lub opuścił pojazd. Johnny zamknął oczy. Nadal płakał. W pulsującej, purpurowej ciemności pod powiekami dostrzegł rydera zaparkowanego niedaleko na zachód od granicy Utah -

Nevada, na jakiejś stacji benzynowej ze sklepem. Steve stoi przy kasie, kupuje te swoje cholerne cygara albo próbuje poderwać dziewczynę za ladą, podczas gdy na desce rozdzielczej jego pustego samochodu dzwoni telefon - druga połowa układu komunikacyjnego, na którego zainstalowanie tak mocno nalegał agent.

Pięć dzwonek.

I nagle daleki, niemal niesłyszalny wśród zakłóceń, a jednak upragniony, jakby wydobywał się z gardła anioła, który właśnie wychylił się z nieba, głos z bezdźwięcznym zachodnioteksaskim akcentem powiedział:

- Halo... to ty, szefie?

Obok radiowozu przemknęła pędząca na zachód ciężarówka; samochód zachwiał się na resorach pod wpływem podmuchu powietrza. Johnny prawie nie zwrócił na nią uwagi, nie uczynił też niczego, by ją zatrzymać. Nawet gdyby cała jego uwaga nie była skupiona na telefonie, na próbie zrozumienia rwącego się głosu Steve'a, też pewnie by nie próbował. Ciężarówka gnała co najmniej sto dziesięć. Co takiego mógł dostrzec i zrozumieć jej kierowca w ciągu dwóch dziesiątych sekundy, podczas których wyprzedził zaparkowany wóz policyjny, zwłaszcza przez grubą zasłonę kurzu na szybach?

Pociągnął nosem i wypluł krew, nie zwracając uwagi na ból. Musiał mówić jak najbardziej zrozumiale.

- Steve, Steve, mam kłopoty, poważne kłopoty...!

Przerwał mu głośny trzask zakłóceń. Był właściwie pewien, że połączenie zostało przerwane, ale kiedy w słuchawce ucichło, Steve nadal tam był.

- ...co, szefie? Powtórz!

- Steve, tu Johnny. Czy mnie słyszysz?

- ...cię... jakie...?

I znów trzaski. Ostatnie słowo praktycznie się przez nie nie przedarło, ale Johnny miał wrażenie, że mogło to być słowo "kłopoty". "Słyszę cię, jakie kłopoty?"

Boże, proszę, niech nie będzie to wyłącznie dziełem wyobraźni. Proszę. Boże.

Gliniarz znów dał sobie spokój z kopaniem piasku. Cofnął się, przyjrzał swemu dziełu krytycznym okiem, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku drogi. Szedł zgarbiony, rondo kapelusza zasłaniało mu twarz, ręce trzymał głęboko w kieszeniach. W tym momencie, czując przyływ nieopisanego przerażenia, Johnny zdał sobie nagle sprawę, że nie ma pojęcia, co powiedzieć Steve'owi. Całą uwagę i wszystkie modlitwy poświęcił połączeniu, dostał połączenie, najwyraźniej wyłącznie dzięki wielkiemu wysiłkowi woli... jeśli można to nazwać w ten sposób.

I co teraz?

Nie miał nawet pojęcia, gdzie właściwie się znajduje, wiedział tylko, że...

- Jestem na zachód od Ely, na drodze numer pięćdziesiąt - rzucił do słuchawki. Pot spłynął mu do oczu. Piekły. - Nie wiem, ile. Co najmniej sześćdziesiąt kilometrów, prawdopodobnie więcej. Niedaleko stąd na poboczu stoi kamper. Jest tu gliniarz... nie stanowy, miejski, ale nie wiem, z jakiego miasta... nie dostrzegłem napisu na drzwiczkach radiowozu... nie ma nawet plakietki z nazwiskiem...

Johnny mówił coraz szybciej i szybciej, zdawał sobie sprawę z tego, że bełkocze, a gliniarz zbliżał się nieuchronnie...

Uspokój się, nadal ma do przejścia dobre sto metrów, czasu ci nie zabraknie. Na miłość boską, rób to, co powinno przyjść ci samo, za co ci płacą, co robiłeś całe życie. Przekazuj informacje!

Tyle że nigdy nie musiał przekazywać informacji, żeby ocalić życie. Robił to dla pieniędzy, robił to, by znaleźć się we “właściwych kręgach”, a nawet po to, by od czasu do czasu móc ryknąć niczym dzielny stary lew, ale nigdy by dosłownie ocalić życie. Gdyby ten szaleniec podniósł teraz głowę... wprawdzie Johnny niemal leżał na siedzeniu, ale antena telefonu wystawała przez okno, to oczywiście, musiała przecież wystawać przez okno...

- Zabrał mi harleya, Steve. Zabrał mi harleya i pojechał nim na pustynię. Zasypał go piachem, ale przecież wieje wiatr i... zasypał go na pustyni, jakieś półtora kilometra na wschód od zaparkowanego na poboczu kampera, o którym ci mówiłem, i na północ od drogi. Pewnie go zobaczysz, jeśli nadal będzie świeciło słońce.

Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Steve, zawiadom policję. Policję stanową. Powiedz im, że zostałem zatrzymany przez gliniarza, jasnowłosego i wielkiego, to znaczy ten facet jest gigantem. Zrozumiałeś?

W słuchawce słyszał tylko szum i od czasu do czasu ostre niczym brzytwa trzaski zakłóceń.

- Steve? Steve, jesteś tam?

Ale Steve'a tam nie było.

Na wyświetlaczu Johnny dostrzegł pojedynczy pasek poziomu transmisji, więc Steve go nie słyszał. Połączenie zostało przerwane, a on tak mocno koncentrował się na tym, co powiedzieć, że nie miał pojęcia, kiedy to się stało ani co usłyszał Steve.

Johnny, jesteś pewien, że w ogóle się z nim połączyłeś? - usłyszał w głowie głos Terry, głos, który czasami kochał i którego czasami nienawidził. Teraz akurat z pewnością go nienawidził. Najwyraźniej nienawidził go bardziej od jakiegokolwiek głosu słyszanego kiedykolwiek w życiu. Nienawidził go między innymi za to, że brzmiała w nim nutka sympatii.

Jesteś pewien, że nie wyobraziłeś sobie całej tej rozmowy?

- Nie, słyszałem go, przecież słyszałem sukinsyna - warknął Johnny. W jego głosie brzmiała teraz nutka błagania, więc też go znienawidził. - On tam był, ty dziwko. Przynajmniej przez parę sekund.

Gliniarz był już tylko o jakieś pięćdziesiąt metrów od samochodu. Johnny złożył antenę nasadą prawej dłoni, zamknął telefon i pospiesznie spróbował wrzucić go do prawej kieszeni kurtki. Kieszeń okazała się zamknięta, telefon wypadł mu z dłoni na kolana, a z kolan na podłogę. Szukał go, macając rozpaczliwie wśród zaścielających podłogę radiowozu papierów, przede wszystkim pogniecionych ulotek antynarkotykowych DARE i pokrytych zaschniętym tłuszczem torebek po hamburgerach. Pod palcami poczuł coś twardego i wąskiego, nie to, czego szukał, lecz coś, na co mimo wszystko zerknął przed odrzuceniem i dostał dreszczy. Dziewczęca spinka do włosów.

Daj sobie spokój, nie masz czasu na zastanawianie się, co robiło dziecko na tylnym siedzeniu tego samochodu. Znajdź ten cholerny telefon, przecież musi tu gdzieś być...

Rzeczywiście, był. Niemal w zasięgu ręki. Tylko że słyszał już zgrzytanie butów po piasku, słyszał je mimo wycia wiatru, wystarczająco silnego, by jego porywy kołysały radiowozem.

Johnny namacał kupkę piankowych kubków po kawie, a wśród nich motorolę. Złapał ją, wrzucił do kieszeni kurtki, zapiął zatrzask. Wyprostował się i dostrzegł gliniarza obchodzącego maskę samochodu, schyłego tak, by móc zajrzeć do środka przez przednią szybę. Johnny zobaczył czerwieniącą niż poprzednio twarz; w kilku miejscach na poparzonej skórze widać było zaczątki bąbli. Na dolnej wardze dostrzegł nawet prawdziwe bąble... i na prawej skroni też.

Świetnie. Miły dla oka widok.

Gliniarz otworzył drzwiczki od strony kierowcy, wsadził głowę do samochodu i przyjrzał się pisarzowi przez siatkę między przednim a tylnym siedzeniem. Węszył, nozdra mu drgały, każde rozmiarów mniej więcej tunelu kolejowego.

- Narzygałeś mi w samochodzie, Lordzie Jimie? Jeśli tak, to kiedy przyjedziemy do miasta, natychmiast dostaniesz łyżkę.

- Nie. - Johnny czuł ściekającą mu do gardła krew. Głos znów miał zduszony. - Dławiłem się, ale nie zwymiotowałem.

Pytanie gliniarza przyniosło mu coś w rodzaju ulgi. "...kiedy przyjedziemy do miasta..." oznaczało przecież, że nie zamierza wywlec go z samochodu, przestrzelić mu głowy i pogrzebać obok motocykla.

Chyba że próbuje mnie uśpić. Uspokoić, żeby łatwiej było mu zrobić... zrobić cokolwiek ma zamiar zrobić.

- Boisz się? - spytał wielkolud, nadal pochylony, nadal patrzący na niego poprzez ochronną siatkę. - Powiedz mi prawdę, Lordzie Jimie, będę wiedział, jeśli kłamiesz. *Tak!*

- Jasne. Jestem przerażony. - Słowo "przerażony" zabrzmiało jak "pszeraszony", niczym wypowiedziane przez człowieka cierpiącego na ciężki katar.

- Świetnie. - Gliniarz wsiadł do radiowozu, zdjął kapelusz i przyjrzał mu się. - Nie pasuje - stwierdził. - Ta rozśpiewana suka *country* zniszczyła mój własny. I nawet nie zaśpiewała przy tym "Odlatuję pieprzonym odrzutowcem".

- Kiepska sprawa - stwierdził Johnny, nie mając zielonego pojęcia, o co chodzi.

- Jeśli masz kłamać, lepiej siedź cicho - powiedział sentencjonalnie gliniarz, rzucając nie swój kapelusz na siedzenie pasażera.

Kapelusz wylądował na czymś w rodzaju metalowej siatki, najeżonej szpikulcami. Oparcie, wygięte niemal ponad miarę ciężarem kierowcy, osiadło jeszcze trochę, przygniatając lewe kolano Johnny'ego.

- Wstań! - wrzasnął Johnny. - Zmiażdżyłeś mi nogę! Wstawaj, niech ją wyciągnę. Jezu, zabijesz mnie!

Gliniarz nawet się nie ruszył, za to ciężar na i tak obolałej nodze zwiększył się wyraźnie. Johnny wyszarpnął ją, używając do tego celu obu rąk; musiał szarpnąć mocno, bo krew znów popłynęła mu gardłem i tym razem zadławił się naprawdę.

- Ty sukinyń! - Słowo to wyrwało mu się w przerwie między dwoma spazmami, podczas których wykaszliwał mgiełkę różowej śliny, zbyt szybko, by zdołał się powstrzymać; gliniarz jednak sprawiał wrażenie, jakby po prostu go nie usłyszał. Siedział z opuszczoną głową, postukując palcami w kierownicę. Oddychał chrypliwie, z wysiłkiem... Johnny przez chwilę zastanawiał się nawet, czy go nie parodiuje. Nie brzmiało to jednak jak parodia.

Mam nadzieję, że masz astmę - pomyślał. - Mam nadzieję, że się udusisz.

- Proszę pana - powiedział głośno, bardzo starając się, by jego głos nie zdradzał żadnych uczuć. - Potrzebuję czegoś na noc... na nos. Nie wytrzymam. Wystarczy aspiryna. Nie ma pan może aspiryny?

Gliniarz milczał. Siedział z opuszczoną głową, postukując w kierownicę. To wszystko.

Johnny otworzył usta, by dodać coś jeszcze, ale rozmyślił się i zamknął je bez słowa. Cierpiał straszliwie, zgoda, zapewne nie cierpiał tak jeszcze nigdy, nawet kiedy w osiemdziesiątym dziewiątym rodził kamień nerkowy, ale przecież nadal nie chciał umierać, a coś w pozycji, w jakiej wielki glina siedział za kierownicą, w

pozycji wskazującej, że bardzo głęboko pograżył się w myślach, że decyduje o czymś dla niego szalenie istotnym, świadczyło o tym, że być może zbliża się śmierć.

Więc trzymał głębę na kłódkę i czekał.

Czas płynął. Cienie gór pociemniały odrobinę i odrobinę przysunęły się do drogi, za to kojoty przestały wyć. Gliniarz siedział z opuszczoną głową, postukując w kierownicę; sprawiał wrażenie pogrążonego w medytacjach. Nie podniósł głowy nawet, gdy z zachodu nadjechała kolejna ciężarówka i gdy obok nich przemknął jadący na wschód samochód, szerokim łukiem omijając stojący na poboczu policyjny radiowóz z migającym kogutem na dachu.

Aż nagle poruszył się. Uniósł coś, co leżało obok niego na siedzeniu - staroświecką dubeltówkę z dwoma spustami. Przyjrzał się jej nieruchomym wzrokiem.

- Przypuszczam, że ta baba wcale nie była piosenkarką *country* - powiedział. - Ale i tak robiła, co mogła, żeby mnie zabić. Tym.

Johnny milczał. Cekał. Serce biło mu w piersi powoli, lecz bardzo mocno.

- Nigdy nie napisałeś prawdziwie uduchowionej powieści - poinformował go gliniarz. Mówił powoli, starannie wymawiając każde słowo. - To twoja największa wada, wada, która stanowi podstawę twojego pełnego gwałtu, egoistycznego życia. Nie interesuje cię własna duchowość. Kpisz z Boga, który cię stworzył. Czyniąc to, podajesz w pogardę *pneumę*, jednocześnie gloryfikując glinę będącą twym *sarx*. Rozumiesz, co mówię?

Johnny znów otworzył usta i zaraz je zamknął. Gadać albo nie gadać? - oto jest pytanie.

Gliniarz rozwiązał ten problem za niego. Nie podnosząc głowy znad kierownicy, nie zerknąwszy nawet we wsteczne lustro, umieścił dubeltówkę lufami na prawym ramieniu i wycelował je przez stalową siatkę. Johnny instynktownie uchylił się w lewo. Nie miał szczególnej ochoty zaglądać w wycelowaną w siebie broń. A jednak, choć gliniarz nie podniósł głowy, dubeltówka przesunęła się w ślad za nim, precyzyjnie, jakby kierował nią robot.

Pewnie na kolanach ma lustro - pomyślał Johnny i poprawił się niemal natychmiast: i co by mu z tego przyszło? Widziałby w nim co najwyżej dach samochodu. Niech to wszyscy diabli, co się tu właściwie dzieje?

- Odpowiedz. - Głos gliniarza był ponury, powolny. Głowa nie drgnęła nawet, palce wolnej dłoni nadal postukiwały w kierownicę. Kolejny poryw pustynnego wiatru zakolysał radiowozem, niesiony nim drobny piasek sypnął w okno. - Masz mi odpowiedzieć natychmiast. Nie będę czekał. Nie muszę czekać. Znajdę sobie kogoś bez problemu. A więc... czy zrozumiałeś, co powiedziałem?

- Tak - odparł Johnny drżącym głosem. - *Pneuma* to stare słowo, którym gnostycy nazywali ducha. *Sarx* to ciało. Powiedział pan... proszę mnie poprawić, jeśli się mylę... - tylko nie strzałem z dubeltówki, proszę, nie popraw mnie strzałem z dubeltówki - ...że lekceważyłem duszę, poświęcając się ciału. I zapewne ma pan rację. Prawie na pewno ma pan rację.

Przesunął się lekko w prawo. Lufa dubeltówki podążyła za nim, choć mógłby przysiąc, że sprężyny fotela kierowcy nie pisnęły i że nikt nie byłby go w stanie obserwować, chyba że dysponowałby kamerą telewizyjną lub czymś takim.

- Nie próbuj mnie komplementować - warknął gliniarz zmęczonym głosem. - Może to tylko pogorszyć twoją sytuację.

- Ale... - Johnny oblizał wargi. - Przepraszam. Nie chciałem...

- *Sarx* nie oznacza ciała, *soma* oznacza ciało. *Sarx* to materia ciała. Ciało uczynione jest z materii... Taką materią miało podobno stać się słowo dzięki narodzinom Jezusa Chrystusa... Lecz ciało to więcej niż materia, z której jest stworzone. Suma jest większa niż części. Czy tak trudno jest to zrozumieć intelektualście twojego kalibru?

Dubeltówka, przesuwająca się w ślad za nim. Jakby wyposażona była w mechanizm samonaprowadzający.

- Nigdy... nigdy nie...

- Nie myślałeś o tym w ten sposób? Nie żartuj. Nawet duchowy prostaczek jak ty z pewnością rozumie, czym danie z kurczaka różni się od kurczaka. *Pneuma*... *soma*... sss...

Gliniarz mówił głosem coraz bardziej zdławionym, teraz już walczył o oddech, tak mówi ktoś, kto bardzo pragnie skończyć zdanie, nim kichnie. Nagle upuścił dubeltówkę na siedzenie, zaczerpnął oddechu (obluzowane oparcie odchyliło się jeszcze dalej, omal znów nie przygniatając Johnny'emu obolałej lewej nogi) i kichnął od serca. Z nosa i ust poleciały mu nie smarki, lecz krew i czerwona przezroczysta substancja wyglądająca jak drobniutka nylonowa siatka. Wszystko to - żywa tkanka gardła i zatok - uderzyło w przednią szybę, kierownicę, deskę rozdzielczą. Śmierdziało straszliwie niczym gnijące mięso.

Johnny poderwał ręce do twarzy i wrzasnął. Nie mógł, po prostu nie mógł nie krzyknąć. Czuł, jak oczy pulsują mu w oczodołach, czuł, jak adrenalina pulsuje mu w ciele. Przeżył szok.

- Jejku jej, nie ma nic gorszego od kataru latem, prawda? - spytał go gliniarz ponurym, zamyślonym głosem.

Odchrząknął i splunął na deskę rozdzielczą kulą wydzielin wielkości niedużego jabłka. Kołysała się przez moment na tapicerce, po czym spłynęła na radio niczym jakiś nieprawdopodobny ślimak, pozostawiając po sobie ślad krwi. Wisiała przez moment na policyjnej radiostacji, a potem z wyraźnie słyszalnym *plum* spadła na podłogę.

Johnny zamknął ukryte za dłońmi oczy i jęknął.

- Oto *sarx* - wyjaśnił gliniarz, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Lepiej dla ciebie, żebyś to sobie dobrze zapamiętał. Powiedziałbym "do kolejnej książki", ale nie sądzę, byś miał okazję do napisania kolejnej książki. A co pan o tym sądzi, panie Marinville?

Johnny nie odpowiedział. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Oczy miał zamknięte. Przez głowę przeleciała mu myśl, że prawdopodobnie nie zdarzyło się nic z tego, co się zdarzyło, że siedzi w pokoju bez klamek i cierpi na najstraszniejsze możliwe halucynacje. Jednak jego lepsza, choć głębiej ukryta część umysłu podpowiadała mu, że nie ma halucynacji. Smród tego, co wykichał z siebie ten człowiek...

Umiera, z całą pewnością umiera, zakażenie, krwotok wewnętrzny, jest chory, szaleństwo to tylko symptom jakiejś strasznej choroby, wścieklizna, choroba popromienna albo nawet... albo...

Gliniarz zawrócił i ruszył swym caprice na wschód. Johnny jeszcze przez chwilę nie opuszczał podniesionych do twarzy rąk, próbując jakoś się opanować. W końcu jednak ośmielił się spojrzeć na świat. To, co zobaczył przez prawe boczne okno, spowodowało, że szczęka mu opadła.

Kojoty siedziały na poboczu co mniej więcej piętnaście metrów niczym gwardia honorowa. Siedziały w ciszy, z wywieszonymi jęzorami, patrząc na samochód żółtymi ślepiami. Odwrócił się i wyrzwał na drugą stronę. Tam było ich więcej, siedzących na pustyni w palących promieniach popołudniowego słońca, przyglądających się przemykającemu przez ich szpaler policyjnemu radiowozowi.

Czy to też symptom? Czy to, co widzisz na własne oczy, to też symptom choroby umysłowej? Bo jeśli tak, jakim cudem je widzisz?

Obejrzał się. Kojoty wstawały, gdy tylko samochód je minął. Uciekały na pustynię.

- Wiele się jeszcze nauczysz, Lordzie Jimie - powiedział gliniarz. Johnny spojrzął przed siebie i we wstecznym lusterku dostrzegł wlepione w siebie spojrzenie szarych oczu; jedno z nich całe pokryte było krwią. - Nim skończy ci się czas, dowiesz się rzeczy, o których teraz nie masz pojęcia. Jestem tego pewien.

Minęli stojący na poboczu drogi znak, strzałkę wskazującą drogę do jakiegoś byle jakiego miasteczka. Gliniarz włączył migacz, choć nikt przecież nie mógł go tu zauważyć.

- Zabieram cię do szkoły - dodał wielkolud. - Niedługo zaczynają się lekcje.

Skręcił w prawo. Przez moment samochód jechał na dwóch kołach, lecz opadł bezpiecznie na cztery. Pojechał na południe, w kierunku postrzępionego wału kopalni odkrywkowej i skulonego u jego stóp miasteczka.

Rozdział 4

1

Steve Ames łamał właśnie jedno z pięciu przykazań. Dokładniej mówiąc, łamał ostatnie przykazanie na liście.

Pięć przykazań przed miesiącem przekazał mu nie Bóg, lecz Bili Harris. Siedzieli we trzech w gabinecie Jacka Appletona - od dziesięciu lat redaktora książek Johnny'ego Marinville'a. Jack obecny był podczas ich przekazywania, ale nie odzywał się prawie do samego końca spotkania. Siedział za biurkiem, złożony wymanikiowane dłonie na polach eleganckiej marynarki. Sam wielki człowiek wyszedł z pokoju przed kwadrans, z podniesioną głową stwierdziwszy, że umówił się z kimś w jakiejś galerii w SoHo. Siwe, opadające na ramiona włosy powiewały mu w rytm energicznych kroków.

“Każde z tych przykazań zaczyna się od »nie będziesz«. Nie spodziewam się, byś miał jakikolwiek kłopot z ich zapamiętaniem - powiedział Harris. Był to okrągłutki, niewielki facecik, najprawdopodobniej niezdolny skrzywdzić muchę, polecenia wydawał jednak niczym słaby król niepopularne dekrety. - Słuchasz mnie?”

“Słucham” - potwierdził Steve.

“Więc, po pierwsze, nie będziesz z nim pił. Nie pije od jakiegoś czasu, twierdzi, że od pięciu lat, ale przestał chodzić na spotkania anonimowych alkoholików, a to niedobry znak. Poza tym dla Johnny'ego abstynencja nigdy nie była czymś atrakcyjnym, nawet kiedy jeszcze chodził na mityngi AA. Nie lubi jednak pić sam, więc jeśli poprosi, żebyś wypił z nim szklaneczkę po ciężkim dniu spędzonym na harleyu, odpowiesz »nie«. Jeśli zaczniesz ci grozić, mówić, że należy to do twoich obowiązków, powtórzysz »nie«.

“Żaden problem” - zgodził się Steve.

Harris zignorował go. Przygotował sobie mówkę i miał zamiar ją palnąć niezależnie od okoliczności.

“Po drugie: nie będziesz z nim brał. Nie wypalisz z nim nawet jednego skręta. Po trzecie, nie będziesz z nim chodził na baby. Z pewnością ci to zaproponuje, zwłaszcza jeśli jakieś ładne panienki pojawią się na spotkaniach, które załatwiam mu po drodze. Tak samo jak z alkoholem i narkotykami; jeśli postanowi zabawić się na własną rękę, to inna sprawa. Nie będziesz mu po prostu pomagał”.

Steve zastanawiał się przez chwilę, czy nie powiedzieć, że nie jest alfonsiem i bardzo przeprasza, panie Harris, ale pomylił mnie pan chyba ze swoim ojcem, lecz w porę przypomniał sobie, że milczenie jest złotem, i postanowił milczeć.

“Po czwarte: nie będziesz go krył. Jeśli zaczniesz pić albo ćpać... zwłaszcza jeśli zaczniesz podejrzewać, że znów bierze kokę... masz się ze mną skontaktować natychmiast. Rozumiesz, co mówię? Natychmiast”.

“Rozumiem” - powiedział Steve i rzeczywiście rozumiał.

Nie znaczyło to jednak, że ma zamiar bezwarunkowo dostosować się do poleceń. Uznał, że chce tę pracę mimo związanych z nią problemów - częściowo właśnie z powodu związanych z nią problemów, bo bezproblemowe życie kojarzyło mu się wyłącznie z nudą - nie zamierzał jednak trzymać się jej za wszelką cenę, a już zwłaszcza nie zamierzał sprzedawać się brzuchatemu ważniakowi mówiącemu głosem przerosniętego dziecka i przez całe dorosłe życie mszczącemu się za jakieś, prawdziwe bądź wymaginowane, klęski poniesione na

podwórku podstawówki. John Marinville mógł sobie być po trosze dupkiem, ale Steve nie miał o to do niego pretensji. Ten Harris jednak... ooo, ten Harris to już zupełnie inna liga.

W tym momencie Appleton pochylił się na krześle, by po raz pierwszy i ostatni włączyć się do, rozmowy.

“Co właściwie myśli pan o naszym Johnnym? - spytał Steve'a. - Ma pięćdziesiąt sześć lat i jest dość zużyty. Szczególnie intensywnie zużywał się w latach osiemdziesiątych. Trzykrotnie odwożony był do szpitala, dwa razy w Connecticut i raz tutaj. Po raz pierwszy i drugi z powodu przedawkowania narkotyków. To nie plotki, prasa opisywała jego przygody z upodobaniem i bez umiaru. Za trzecim razem mieliśmy być może do czynienia z próbą samobójstwa, ale to już plotka. Proszę, by zachował pan te informacje dla siebie”.

Steve skinął głową.

“No wiec jak pan myśli? - przycisnął go Appleton. - Czy, pańskim zdaniem, zdoła przejechać niemal półtonowym motocyklem przez cały kraj, z Connecticut do Kalifornii, odprawiając po drodze ze dwadzieścia odczytów z przyjęciami? Chcę wiedzieć, co pan o tym sądzi, panie Ames, ponieważ, szczerze mówiąc, mam na ten temat pewne wątpliwości”.

Steve spodziewał się, że Harris pobudzi się w tym momencie, że powoła się na legendarną siłę i żelazne jaja swego klienta - znał facetów w garniturach i znał agentów, & Harris należał do obu tych grup - ale Harris siedział cicho i tylko na nich patrzył. Może nie był jednak aż taki głupi, może nawet zależało mu choć trochę na tym szczególnym kliencie.

“Wy, panowie, znacie go lepiej ode mnie - powiedział. - Co do diabła, przecież ja po raz pierwszy w życiu zobaczyłem go zaledwie dwa tygodnie temu, a w dodatku nie czytałem żadnej jego książki”.

Z twarzy Harrisa łatwo było odczytać, że to ostatnie wcale go nie dziwi.

“I właśnie dlatego pytam pana - stwierdził Appleton. - My obaj znamy go od dawna. Ja od osiemdziesiątego piątego, kiedy to miał skłonność do bawienia się w towarzystwie dzieci szczęścia, w »54«. Bili od sześćdziesiątego piątego. Johnny jest literackim odpowiednikiem Jerry'ego Garcii”.

“To niesprawiedliwe” - stwierdził sztywno Harris.

Appleton tylko wzruszył ramionami.

“Oczy dzieci więcej widzą, jak zwykła była mawiać moja babcia. Więc niech mi pan powie, panie Ames, czy on jest w stanie dokonać tego, czego chce dokonać?”

Steve bez problemów zorientował się, że jest to pytanie ważne, być może najważniejsze. Nad odpowiedzią myślał prawie minutę. Nikt mu w tym nie przeszkadzał.

“No dobra - odparł w końcu. - Nie wiem, czy na przyjęciach potrafi jeść ser, nie tykając wina, ale dojechać do Kalifornii motocyklem prawdopodobnie potrafi. Sprawia wrażenie całkiem silnego. Wygląda znacznie lepiej niż Jerry Garcia pod koniec kariery, to mogę wam powiedzieć z całą pewnością. Pracowałem z mnóstwem rockerów o połowę od niego młodszych. Nie wyglądali nawet w połowie tak dobrze”.

Appleton spojrzał na niego z powątpiewaniem.

“Najważniejsze jest jednak co innego. Najważniejszy jest wyraz twarzy. On chce to zrobić. On chce ruszyć w drogę, nakopać ludziom po tyłku, spisać parę nazwisk. I... - w tym momencie Steve przypomniał sobie jeden ze swych ulubionych filmów. Oglądał go na magnetowidzie co najmniej raz do roku. *Hombre* z Paulem Newmanem i Richardem Boone'em. Uśmiechnął się do tego wspomnienia. - I wygląda na człowieka, któremu zostało jeszcze to i owo” - zakończył.

“Aha!”

Appleton najwyraźniej niczego nie zrozumiał. Steve'a Amesę wcale to nie zdumiało. Jeśli Appleton miał kiedyś to i owo, to stracił i jedno, i drugie najpóźniej na drugim roku studiów w Exeter lub Choate, czy gdzie tam studiował, dostając w zamian firmowe bluzy i krawaty.

Harris odchrząknął.

“Jeśli uporaliśmy się już z tym problemem, no... to piąte i ostatnie przykazanie...”

Appleton tylko jęknął. Harrisowi to nie przeszkadzało.

“Piąte i ostatnie przykazanie - powtórzył - brzmi: Nie będziesz brał łebków. Nie będziesz brał na łebka ani kobiet, ani mężczyzn, ale zwłaszcza kobiet”.

To z powodu piątego przykazania Steve nawet na chwilę nie zawahał się na widok dziewczyny stojącej na poboczu drogi tuż za Ely; chudej dziewczyny o haczykowatym nosie, z włosami ufarbowanymi na dwa kontrastowe kolory. Po prostu nacisnął hamulce i zatrzymał się.

2

Dziewczyna otworzyła drzwiczki, ale nie wsiadła do środka, nie od razu. Po prostu spojrzała na niego ponad zaśmieconym mapami siedzeniem. Oczy miała bardzo niebieskie i bardzo szeroko otwarte.

- Jesteś miłym człowiekiem? - spytała.

Steve myślał przez chwilę.

- Owszem, chyba tak - odpowiedział w końcu. - Dwa, trzy razy dziennie wypalam cygaro, ale nigdy nie kopnąłem psa, który byłby większy ode mnie, no i co sześć tygodni wysyłam mamie pieniądze.

- Nie zaczniesz zaraz się do mnie dobierać ani nic?

- Nie - odparł Steve. Bawiło go odpowiadanie na takie pytania i podobały mu się szeroko otwarte, niebieskie oczy, bo patrzyły mu wprost w twarz. Przypominała dziecko zabierające się do lektury komiksów. - Jeśli o to chodzi, całkiem nieźle potrafię się kontrolować.

- I nie jesteś szalonym seryjnym mordercą ani nic?

- Nie, ale na litość boską, nie sądzisz chyba, że gdybym był, to bym ci się do tego przyznał?

- Prawdopodobnie wyczytałabym prawdę z twoich oczu - stwierdziła chuda dwukolorowa dziewczyna i choć jej głos brzmiał bardzo poważnie, uśmiechała się lekko. - Mam zdolności parapsychiczne. Niewielkie, ale mam je, przyjacielu. Mam je, mam je, mam.

Obok nich przemknęła ciężarówka-chłodnia, trąbiąc długo i przeraźliwie, jakby kierowca położył się na klaksonie. A przecież pękaty ryder stał na poboczu, a na drodze było zupełnie pusto. Co tam, nic dziwnego. Z praktyki Steve'a wynikało, że są faceci niezdolni do odczepienia się od klaksonu i od swego małego fiutka. Faceci, którzy muszą cisnąć albo jedno, albo drugie.

- Dość tych pytań, moja pani. Albo pani wsiada, albo nie. Muszę trochę pokręcić kółka.

Tak naprawdę jednak Steve był znacznie bliżej szefa, niż szef miał prawo przypuszczać. Marinville'owi podobał się ten pomysł - oto samotny jeździec stawia czoło Ameryce, wolny człowiek w wolnym świecie, pióro i nic więcej, tak zapewne powstała większość jego książek. Fajnie, fajnie, wspaniale i w ogóle, tylko że on, Steve Andrew Ames z Lubbock, też miał robotę do zrobienia, a jego robota polegała na umożliwieniu Marinville'owi napisania książki za pomocą komputera raczej niż wirującego stolika. Na tę robotę miał też pomysł, najprostszy z

możliwych. Bądź jak najbliżej wydarzeń i nie pozwól, by sytuacja wymknęła ci się spod kontroli, chyba że absolutnie nic nie da się poradzić. Dzieliło ich teraz jakieś sto kilometrów, a nie dwieście pięćdziesiąt, jak się spodziewał szef, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

- Nie znajdę pewnie nikogo lepszego od ciebie - stwierdziła dziewczyna i wskoczyła do szoferki.

- Pięknie. Dziękuję ci, moja mała.

Spojrzał we wsteczne lusterko, nie dostrzegł w nim nic interesującego; bo i kogo interesowałyby światła Ely, po czym wyjechał na drogę.

- Nie mów tak do mnie - powiedziała dziewczyna. - To czysty seksizm.

- "Mała" to seksizm? Daj spokój.

- Nie nazywaj mnie "małą", a nie będę ci mówiła "mały" - stwierdziła stanowczym, ostrym głosem.

Steve roześmiał się. Pewnie weźmie to za prowokację, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. Na tym polega problem ze śmiechem, że jest zbyt podobny do gazów. Czasami możesz się powstrzymać, ale przeważnie jednak nie możesz.

Steve zerknął na dziewczynę i dostrzegł, że też się śmieje, przynajmniej półgębkiem, i że zdejmuje plecak, więc może jednak nie popełnił żadnego straszliwego nietaktu. Oceniał ją na chude jak szkielet metr sześćdziesiąt pięć; ważyła ze czterdzieści, najwyżej czterdzieści pięć kilogramów. Miała na sobie bluzkę na ramiączkach, bez rękawów, obnażając piersi w sposób nieoczekiwany u kogoś, kto najwyraźniej spodziewał się spotkania za kierownicą poczciwego rydera co najmniej Teda Bundy'ego. Nie to, żeby rzeczywiście miała coś do pokazania; przypuszczalnie nadal mogła kupować sobie staniki w dziale dziecięcym, jeśli w ogóle kupowała staniki. Na przedzie koszulki miała wymalowanego szeroko uśmiechniętego Murzyna w lokach na tle psychodelicznego, zielononiebieskiego słonecznego światła. Głowę Murzyna niczym aureola otaczały słowa: NIE MAM ZAMIARU SIĘ PODDAĆ.

- Chyba lubisz Petera Tosha, bo z pewnością nie chodzi ci o moje cycki - powiedziała dziewczyna.

- Pracowałem kiedyś z Peterem Toshem - odparł Steve.

- Nie ma mowy.

- Mowa.

Steve zerknął we wsteczne lusterko. Ely zniknęło. Trochę to straszne, jak tu znikają miasta. Miał wrażenie, że gdyby był autostopowiczką, to przed wskoczeniem głową w dół do jakiejś szoferki też miałby ochotę na zadanie kierowcy paru pytań. Może i nie da się w ten sposób zyskać pewności, ale spytać przecież nie szkodzi. Na pustyni wszystko może się zdarzyć.

- Kiedy właściwie z nim pracowałeś?

- W osiemdziesiątym, może osiemdziesiątym pierwszym, nie pamiętam. Madison Square Garden, potem Forest Hills. W Forest Hills wystąpił przed nim Dylan. *Blowin in the Wind*. Nie do wiary, co?

Dziewczyna przyglądała mu się z oczywistym zdumieniem. O ile mógł ocenić, nie ośmieliła się nawet powątpiewać w jego słowa.

- Jezu, ale fajnie! Co właściwie robiłeś? Obsługa?

- Wtedy tak. Potem byłem technikiem od gitar. Teraz... Owszem, jak na razie nieźle, ale co właściwie robi teraz? Nie jest już technikiem od gitar, z całą pewnością nie. Chyba znów zredukowano go do obsługi. W wolnym czasie ma też grać psychiatrę, a także być kimś w rodzaju Mary Poppins, tyle że z ciemnokasztanowatymi włosami na hippisa, nieco już siwiejącymi przy skórze.

- Teraz... mam inną robotę. Jak się nazywasz?

- Cynthia Smith - przedstawiła się dziewczyna, wyciągając dłoń.

Uściskał ją. Dłoń ta była smukła, delikatna, nieprawdopodobnie wręcz drobnokoścista. Sprawiała wrażenie ptasiego skrzydła.

- Steve Ames - przedstawił się.

- Z Teksasu, co?

- Tak, z Lubbock. Słyszałaś już kiedyś ten akcent?

- Raz czy dwa. - Uśmiechnęła się wesoło i ten uśmiech rozjaśnił całą jej twarz. - Chłopak może opuścić Teksas, ale...

Dokończyli zdanie jednym głosem. Wymienili uśmiechy. Byli przyjaciółmi. Ludzie potrafią się ze sobą zaprzyjaźnić ot tak, na jakiś czas, zwłaszcza jeśli spotkają się na drodze pośrodku niczego.

Cynthia Smith była niewątpliwie lekko trącona, ale pod tym względem nie różniła się za bardzo od Steve'a, trąconego ładny kawałek czasu temu; nie sposób spędzić sporej części życia w biznesie muzycznym i nie być z lekka trąconym, więc wcale mu to nie przeszkadzało. Oznajmiła, że ma wszelkie powody, by bać się facetów, bo jeden niedawno omal nie urwał jej ucha, inny złamał jej nos.

- Ten od ucha nawet mi się podobał - stwierdziła. - I bardzo zależy mi na uszach. Nos... nos ma swój charakter, ale mnie zależy przede wszystkim na uszach, jeden Bóg wie dlaczego.

Steve obejrzał jej ucho.

- Dobra, może jest trochę zbyt płaskie u góry, ale co z tego? Jeśli tak ci na nim zależy, zapuść sobie włosy i przykryj je.

- Nie ma mowy - stwierdziła stanowczo dziewczyna i wzburzyła sobie włosy. Przechyliła się w prawo, w ten sposób mogła zerknąć na siebie w bocznym lusterku. Od strony kierowcy była zielona, od prawej pomarańczowa. - Mam przyjaciółkę, Gert. Gert twierdzi, że wyglądam jak sierotka Marysia z piekła rodem. Takie to fajne, że nie chcę nic zmieniać.

- Nie dasz się im zakreć, co?

Uśmiechnęła się, poklepała po portrecie na koszulce i - nieźle naśladowując jamajski akcent - powiedziała:

- Załatwię to po swojemu, jak każdy, szefie.

Sposób na życie Cynthii Smith polegał na pozostawieniu domu i ciągłych uwag niezadowolonych ze wszystkiego rodziców w wieku lat siedemnastu. Przez pewien czas mieszkała na Wschodnim Wybrzeżu (wyjechała, kiedy zorientowała się, że zaczyna być rezerwową piczką - wyjaśniła rzeczowo), po czym przeniosła się na Środkowy Zachód, gdzie "mniej więcej się oczyściła" i spotkała przystojnego gościa na mityngu anonimowych alkoholików. Przystojny gość twierdził, że jest już całkowicie czysty, ale kłamał. Boże, facet kłamał jak najęty. Zamieszkała z nim mimo wszystko (nigdy nie byłam szczególnie bystra, jeśli chodzi o facetów - wyznała po prostu). Przystojny facet pojawił się pewnego dnia na amfetaminie i zdecydował, że pragnie lewego ucha Cynthii jako zakładki do książek. Cynthia trafiła do schroniska, w którym uporała się do końca i z alkoholem, i z narkotykami, pracowała nawet jako doradca po tym, jak zarządzająca tym schroniskiem babka została zamordowana i wyglądało na to, że władze mogą ich w ogóle zamknąć.

- To facet, który zamordował Annę, złamał mi nos... - oznajmiła. - Był zły. Pete, ten, który wymarzył sobie ucho jako zakładkę, miał po prostu temperament. Norman był zły. To znaczy, szalony.

- Złapali go?

Cynthia pokręciła głową powoli, z rozważą.

- W każdym razie - powiedziała - nie mogliśmy pozwolić, żeby C i S poszły na dno, bo jeden facet dostał szalu, kiedy opuściła go żona, więc złożyliśmy się wszystkie, żeby je uratować. I uratowałyśmy.

- C i S?

- To znaczy "Córy i Siostry". Mocno zyskałam na pewności siebie, kiedy tam byłam. - Cynthia wyglądała przez okno. Obserwowała przemykającą za oknami pustynię, kostką kciuka pocierając złamany, zniekształcony nos. - Pod pewnymi względami nawet ten facet, który narobił nam koło pióra, jakoś mi pomógł.

- Norman?

- Tak. Nazywał się Norman Daniels. W każdym razie i ja, i moja przyjaciółka Gert, ta, co twierdzi, że wyglądam jak sierotka Marysia, jakoś mu stanęłyśmy, wiesz?

- Aha.

- Więc w zeszłym miesiącu napisałam w końcu do taty i mamy, po czym wysłałam ten list ze zwrotnym adresem, wiesz? Myślałam, że kiedy mi odpiszą, jeśli w ogóle odpiszą, to będą cholernie wkurzeni, a tata to już na pewno. Był pastorem. Teraz jest na emeryturze, ale mimo wszystko...

- Możesz wyzwolić chłopaka z piekła, ale nie wyzwolisz piekła z chłopaka.

Steve uśmiechnął się. Cynthia oddała uśmiech.

- No, powiedzmy, że tego właśnie się spodziewałam, ale odpowiedzieli... no, po prostu wspaniale. Zadzwoiłam. Pogadaliśmy sobie. Tata się rozplakał - stwierdziła z czymś w rodzaju wiecznie żywego zdumienia.

- Tata... tata się rozplakał! Potrafiłbyś uwierzyć w coś takiego?

- Słuchaj, dziewczyno, spędziłem osiem miesięcy w objeździe z Black Sabbath - odparł Steve. - Potrafię uwierzyć we wszystko. No, więc wracasz do domu, tak? Powrót marnotrawnego słoneczka?

Cynthia popatrzyła na niego krzywo. Steve odpowiedział jej uśmiechem.

- Przykro mi - powiedział.

- Jasne, oczywiście. Cholernie ci przykro. W każdym razie nie trzeba daleko jechać.

- Gdzie masz dom?

- W Bakersfield. Aha, właśnie mi się przypomniało... Dokąd właściwie jedziesz?

- Do San Francisco, ale...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Kpisz sobie ze mnie, co? Ale fajnie.

- Nie obiecuję, że zabiorę cię aż do San Francisco. Prawdę mówiąc, nie mogę ci obiecać, że dojedziesz ze mną dalej niż do Austin. Austin w Nevadzie, nie w Teksasie.

- Wiem, o jakie Austin ci chodzi. Mam mapę - stwierdziła Cynthia, obdarzając go spojrzeniem typu "starszy, ale tępy braciszek"; podobało mu się bardziej nawet niż spojrzenie urażonej królowej balu.

Fajna babka... i niech Bóg broni każdego, kto ośmieliłby się jej to powiedzieć.

- Podwiozę cię, dokąd dam radę, ale ta moja robota jest trochę... niesamowita. No, bo... taka w ogóle jest ta praca, w biznesie rozrywkowym wszystko jest niesamowite, ale... no, sądzę, że... chodzi mi o to...

Zamknął gębę. Sam właściwie nie wiedział, o co mu chodzi. Był kompanem pisarza między koncertami, bezsensowna nazwa, nie trzeba być pisarzem, żeby zorientować się w tym, jaka bezsensowna, ale niczego innego nie potrafił wymyślić, kontrakt już prawie się kończył, a on nadal nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć i co ma myśleć o samym Johnie Marinville'u. Jednego tylko był pewien - wielki człowiek nie prosił go o babki ani o

narkotyki i nie otwierał drzwi do swego hotelowego numeru, śmierdząc whisky. Jak na razie, nieźle. Wystarczy. Jeśli chodzi o wypełnienie formularza... zdobędziemy ten most, kiedy do niego dojdziemy.

- Co to za robota? - zainteresowała się dziewczyna. - No, bo ten twój wóz... on przecież nie jest wystarczająco duży dla zespołu. Jeździsz dla ludzi z *country*! Dla jakiegoś Gordona Lightfoota czy coś takiego?

Steve uśmiechnął się szeroko.

- Mój facet może nawet ma coś wspólnego z *country*, tylko że lepiej gada, niż gra na gitarze czy na harmonijce. No, bo...

W tym momencie telefon komórkowy na desce rozdzielczej zabrzączał w ten ostry, nieco nosowy sposób właściwy dla telefonów komórkowych - *bzzz... bzzz...* Steve chwycił go, ale nie włączył tak od razu. Spojrzał na dziewczynę.

- Bądź cicho - poprosił i w tym momencie telefon zabzyczał mu w garści po raz trzeci. - Jeśli się odezwiesz, będę miał kłopoty. Rozumiesz?

Bzzzz... bzzz...

Dziewczyna skinęła głową. Steve otworzył telefon. Wcisnął klawisz SEND; w ten sposób zasygnalizował przyjęcie rozmowy. Kiedy przyłożył słuchawkę do ucha, przede wszystkim zwrócił uwagę na ogrom zakłóceń - zdumiewające, że w ogóle ich połączono.

- Halo? To pan, szefie?

W słuchawce coś zahuczało, ale nie były to zakłócenia. Pewnie obok przejechała ciężarówka - pomyślał Steve i nagle usłyszał głos Johnny'ego Marinville'a. Głos pełen paniki, było to jasne mimo zakłóceń. Serce zabiło mu nieco szybciej. Słyszał już kiedyś ludzi mówiących w ten sposób, doświadczenie podpowiadało mu, że zdarza się to przynajmniej raz na trasę, więc nie miał problemu z rozpoznaniem sytuacji. Po stronie Johnny'ego Marinville'a jakaś śliwka z całą pewnością wpadła w gówno.

- Steve, Steve! Jestem... opota... kiep...

Steve spojrzął na drogę, prostą linią przecinającą pustynię. Czuł maleńkie krople potu na czole. Przypomniał sobie tłusciutkiego małego agenta szefa z jego przykazaniami i cienkim głosikiem, a potem zdecydował, że to nieważne. Ostatnią osobą, o jakiej pragnął myśleć w tej szczególnej chwili, był Bill Harris.

- Miałeś wypadek? Chodzi o wypadek? O co ci chodzi, szefie? Powtórz?

Trzaski, gwizdy, świst.

- Johnny... yszysz mnie?

- Tak, słyszę cię. - Steve wrzeszczał w telefon. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że to kompletnie bez sensu, mimo wszystko jednak wrzeszczał w telefon. Kątem oka uchwycił obraz dziewczyny, przyglądającej mu się z rosnącym zainteresowaniem. - Co się z tobą dzieje?

Cisza, cisza trwająca tak długo, że był już pewien, iż stracił połączenie. Odkładał telefon, kiedy głos szefa przebił się przez zakłócenia, nieprawdopodobnie wręcz daleki, jakby dobiegał go z innej galaktyki.

- Zachód... Ely pięć...

Nie pięć - pomyślał Steve. - Nie pięć tylko pięćdziesiąt. "Jestem na zachód od Ely, na drodze numer pięćdziesiąt". Może to właśnie próbował powiedzieć. Wypadek. To z pewnością wypadek. Zjechał harleyem z drogi, siedzi gdzieś na pustyni, nogę ma złamaną i pewnie krew ścieka mu po twarzy, a kiedy wróć do Nowego Jorku, jego ludzie ukrzyżują mnie bez powodu, może tylko dlatego, że nie będą w stanie ukrzyżować jego...

- ...pewien jak daleko... najmniej, pewnie więcej... kamper na poboczu... eco dalej niż...

Najgorsza fala zakłóceń przerwała im transmisję. Szef mówił coś o glinie. O stanowych glinach i miejskich glinach.

- Co...? - zainteresowała się Cynthia.

- Ciiii. Nie teraz.

- Motor... pustyni... wiatr... półtora kilometra na wschód od kampera...

I to już było wszystko. Steve wrzeszczał w telefon "Johnny..., Johnny..." kilkanaście razy, w odpowiedzi słyszał jednak tylko ciszę. Połączenie zostało przerwane. Z klawiatury wybrał NAME/MENU, wybrał JM i nacisnął SEND. Nagrany na taśmę głos powitał go w Western Roaming Network, nastąpiła przerwa, po czym inny nagrany na taśmę głos udzielił mu informacji, że w tej chwili nie sposób jest zrealizować połączenia, a następnie zaczął wyliczać powody, dla których jest tak, jak jest. Steve nacisnął END, zamknął telefon i schował go.

- Niech to cholera!

- Coś się stało, prawda? - spytała Cynthia. Oczy miała szeroko otwarte, nie było w nich już jednak niczego ślicznego. - Masz taki wyraz twarzy....

- Może się i stało. - Steve potrząsnął głową, zirytowany na samego siebie. - Prawdopodobnie tak. Ale ten facet jest moim szefem. Jest gdzieś tam. Powiedziałbym, że najmniej sto kilometrów stąd. Może być i sto pięćdziesiąt. Jedzie harleyem i...

- Wielkim czerwono-kremowym motorem? - spytała Cynthia, nagle poruszona. - Ma długie siwe włosy, trochę jak Jerry Garcia?

Steve skinął głową.

- Jadłam śniadanie. Zobaczyłam go przez okno. Brał benzynę na małej stacji z kawiarenką w Pretty Nice. Znasz to miasteczko, Pretty Nice? - Skinął głową raz jeszcze. - Pomyślałam sobie, że wygląda znajomo. Jakbym widziała go w *Oprah*, albo w *Ricky Lake*.

- Jest pisarzem. - Steve spojrzął na prędkościomierz. Jechał jakieś sto dziesięć. Dobra, fajnie, ale szybciej jest lepiej. Wskazówka prędkościomierza niemal natychmiast wskazała sto dwadzieścia. Pustynia za oknami zaczęła uciekać za siebie nieco szybciej. - Chce przejechać w poprzek Ameryki, żeby zebrać materiały do nowej książki. Miał po drodze kilka spotkań autorskich, ale głównie to zatrzymuje się tu i tam, rozmawia z ludźmi i robi notatki. Mniejsza z tym, w każdym razie miał wypadek. No, przynajmniej moim zdaniem miał wypadek.

- Połączenie było do dupy, prawda?

- Aha.

- Chcesz się zatrzymać? Chcesz mnie wyrzucić? Nie ma sprawy. Jeśli tylko chcesz.

Steve przemyślał to sobie dokładnie. Teraz, kiedy nie czuł już skutków szoku, myślał chłodno, logicznie jak zawsze w podobnych sytuacjach - a już przedtem zdarzały mu się takie sprawy. Nie - pomyślał - nie wyrzucę tej dziewczyny, nie mam najmniejszego zamiaru jej wyrzucić. Musi poradzić sobie z zaistniałą sytuacją, musi poradzić sobie z nią natychmiast, ale nie oznacza to, że ma zapomnieć o przyszłości. Appleton może okazać się w porządku, może ścierpi nawet Johnny'ego Marinville'a, który postawił swojego harleya na nosie i spieprzył, co tylko było do spieprzenia, łącznie z sobą samym, w końcu mimo uniwersyteckich bluz i uniwersyteckich krawatów sprawiał wrażenie człowieka będącego w stanie przyjąć do wiadomości, że nie zawsze wszystko dzieje się tak, jak dzieć się powinno. Bill Harris jednak wyglądał na człowieka, któremu - gdyby coś poszło nie tak - zależy tylko na jednym: znaleźć winnego, a potem wtłoczyć mu tę winę kijem do...

Jako jego potencjalna ofiara Steve uznał, że tak czy inaczej przyda mu się świadek - świadek, który do dziś nie widział go na oczy.

- Nie, wolę, żebyś została. Tylko, że muszę ci coś wyjaśnić, uczciwie. Nie wiem, co zastaniemy na miejscu. Być może krew.

- Poradzę sobie z krwią - oznajmiła Cynthia.

4

Nie uznała za stosowne skomentować prędkości, z jaką jechali, ale kiedy wypożyczony pękaty ryder dobił sto czterdziestki i karoseria popadła w wibracje, zapięła pas. Steve przydepnął pedał gazu, przy stu pięćdziesięciu wibracja już im tak nie dokuczała. Obiema dłońmi ścisnął kierownicę; wiatr wiał coraz silniej, przy tej prędkości byle podmuch wystarczył, by samochód zjechał na pobocze, a gdyby koła z jednej strony wpadły w miękki piach, byłyby kłopoty. Kłopoty mogące zakończyć się wywrotką. Szef miał z wiatrem jeszcze poważniejsze kłopoty - pomyślał Steve. - Może to wszystko przez wiatr?

Zdażył już opowiedzieć Cynthii, na czym polega jego praca: rezerwowanie miejsc w hotelach, sprawdzanie dróg na mapie oraz wzmocniaczy w miejscach, w których szef miał zarezerwowane spotkanie autorskie, trzymanie się tła, by nie wleźć w obraz, który szef bardzo pragnął namalować: Johnny Marinville, intelektualny samotny jeździec, politycznie poprawny bohater w stylu Sama Peekinpaha, pisarz, który nie zapomniał, jak być twardy i kiedy lepiej przywarować w krzakach.

Wolne miejsce w ciężarówce - wyjaśnił Cynthii Steve - właściwie jest puste, oprócz kilku ekstra rzeczy i długiej dechy, na której Johnny mógłby się przespać, gdyby pogoda popsła się w stopniu uniemożliwiającym podróżowanie harleyem. Biorąc pod uwagę, że mieli środek lata, kłopoty z pogodą wydawały się mało prawdopodobne, ale łóżko mogło się przydać mimo wszystko, podobnie jak zamontowane w podłodze specjalne uchwyty. Nie musieli wyjaśniać sobie powodów ich założenia już w Westport, Connecticut. Nie musieli. Po prostu, John Marinville mógł przecież obudzić się pewnego dnia i w łóżku dojść do wniosku, że nie ma ochoty na jazdę harleyem.

Mógł także obudzić się i stwierdzić, że nie jest w stanie jechać harleyem.

- Słyszałam o tym facecie - powiedziała Cynthia - ale nie czytałam żadnej jego książki. Lubię Deana Koontza i Danielle Steel. Po prostu czytam dla przyjemności. Ale ma fajny motor. No i wspaniałe włosy. Rockandrollowe włosy, wiesz?

- Wiem - powiedział Steve.

Rzeczywiście, wiedział. Johnny Marinville też.

- Szczerze się o niego martwisz, czy może chodzi ci tylko o to, co może przydarzyć się tobie?

Prawdopodobnie uznałby to pytanie za obraźliwe, gdyby zadał je ktoś inny, ale Cynthia najwyraźniej nie miała zamiaru go krytykować, tylko była po prostu ciekawa.

- Niepokoi mnie i to, i tamto - powiedział.

Dziewczyna tylko skinęła głową.

- Daleko zajechaliśmy? - spytała.

Steve zerknął na licznik.

- Jakieś siedemdziesiąt kilometrów od czasu, kiedy przerwało nam rozmowę.

- Tylko że nie wiesz przecież, skąd dzwonił.

- Nie wiem.

- I zakładasz, że się w coś wpięprzył, nie?

Popatrzył na nią zdumiony. Jasne, po prostu musiał założyć, że szef wpięprzył kogoś w coś, ale z własnej woli nie powiedziałby na ten temat ani słowa. Skoro jednak ona zaczęła ten temat...

- Może chodzić o kogoś innego - odparł z wahaniem. - Mówił coś o glinach stanowych i miejskich. Może jakoś tak: "Nie informuj stanowych, tylko miejskich", ale właściwie nie wiem nic.

Cynthia bez słowa wskazała telefon na desce rozdzielczej.

- Żadnych takich - zaproponował Steve. - Nie wezwę gliniarzy, póki nie zorientuję się, co właściwie szef narozrabiał.

- A ja obiecuję, że nie zeznam, co mi właśnie powiedziałeś, jeśli obiecasz, że nie będziesz mnie już nazywał "mała".

Steve uśmiechnął się lekko, choć wcale nie było mu do śmiechu.

- Niezły pomysł, mała. Zawsze mogę przecież powiedzieć...

- ...że mój telefon przestał działać - skończyła za niego. - Wszyscy wiedzą, że komórki to bzdura.

- Fajna z ciebie dziewczyna.

- Niezły z ciebie gość.

Ciągnęli sto pięćdziesiąt; kilometrowe słupki odchodziły w przeszłość niczym płatki śniegu na pustyni. Sto kilometrów na zachód od miejsca, w którym odebrał telefon, Steve zdjął nogę z gazu. Zwalniał o parę kilometrów na godzinę przy każdym przejechanym kilometrze. Nie minął ich żaden radiowóz, ani w jedną ani w drugą stronę. I dobrze - pomyślał. Podzielił się tą oceną z dziewczyną.

- No, nie wiem - powiedziała Cynthia. - Ale to dziwna sprawa, biorąc pod uwagę to, co powiedziałeś. Gdyby zdarzył się wypadek, w którym twój szef uszkodził kogoś albo jego by uszkadzili, to nie sądzisz, że do tej pory minęłoby nas parę radiowozów? I pewnie karetka?

- No... jeśli jechał z drugiej strony, od zachodu...

- Według mojej mapy najbliższym miastem w tę stronę jest Austin, a Austin znajduje się o wiele dalej przed nami, niż Ely za nami. Władza, to znaczy wozy z syrenami, powinna jechać ze wschodu na zachód. Władza powinna nas doganiać, pojmujesz?

- Masz rację. Może.

- Więc gdzie się podziewa ta władza?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też.

- Dobra. Miej oczy otwarte na, o cholera, nawet nie wiem na co. Coś niezwykłego. .

- Mam. Zwolnij trochę, dobrze?

Steve zerknął na zegarek. Za piętnaście szósta. Cienie na pustyni wydłużyły się, słońce nadal jednak świeciło jasno i nadal panował upał. Jeśli Marinville jest tam gdzieś, to z pewnością go zobaczą.

Z pewnością go zobaczymy - pomyślał Steve. - Zobaczymy go siedzącego na poboczu, z guzem na łbie i oberwaną nogawką dzinsów, bo się przewrócił i przykrył tym swoim harleyem. Pewnie będzie miał w ręce notes,

w którym zapisze wiernie, jak czuje się człowiek po wypadku. Dzięki niech będą Bogu za to, że jeździ w kasku. Gdyby nie jeździł w kasku...

- Widzę coś! Tam! - Cynthia była wyraźnie poruszona, ale mimo wszystko dobrze się kontrolowała. Lewą dłonią osłaniała oczy przed zachodzącym słońcem, prawą wyciągała przed siebie. - Popatrz. Może to... o cholera, nie. Nie ma takich wielkich motocykli. Przyczepa kempingowa czy co?

- Sądzę, że stąd dzwonił. Może nie dokładnie stąd, ale z okolicy. - Niby dlaczego?

- Powiedział, że niewyraźnie widzi kampera na poboczu, tę część rozmowy odebrałem całkiem nieźle. Powiedział, że jest jakieś półtora kilometra na wschód od tego kampera, praktycznie właśnie tu i...

- Dobra, nie musisz kończyć. Będę patrzeć, patrzeć...

Steve zwolnił do pięćdziesiątki, a kiedy minęli kampera, położył nogę na hamulcu. Cynthia odkręciła szybę, wychyliła się przez okienko, jej podkoszulek podjechał w górę, obnażając kawałek pupy - mały kawałek małej pupy - pomyślał Steve.

- Widzisz coś? - spytał. - Cokolwiek?

- Nic nie widzę - odparła. - Coś mi tam błysnęło, ale daleko, na pustyni, za daleko, gdyby miał się wywalić albo gdyby wiatr zepchnął go z drogi.

- Pewnie słońce odbiło się od miki w tych głazach.

- Aha, być może.

- Nie wypadnij mi przez okno, mała.

- Nie ma sprawy - powiedziała i niemal natychmiast zmrużyła oczy. To wiatr, wiejący coraz silniej, sypnął jej piaskiem w twarz.

- Jeśli to ten kamper, o którym mówił, to minęliśmy go już o cały kawał drogi.

Cynthia skinęła głową.

- Racja, ale nie zatrzymuj się. Jeśli jest tu ktoś, to może się do niego dobrali?

- Dobrali się? Tego się nauczyłaś przy lekturze Deana Koontza i Danielle Steel?

Cynthia wsunęła się do szoferki. Spojrzała na niego spode łba... tylko że w jej oczach dostrzegł ból.

- Przepraszam. Tak tylko żartowałem.

- Tak tylko żartowałeś? - powtórzyła. - To wyznaj mi teraz swój sekret, panie Teksaski... przeczytał pan coś z tego, co napisał pana szef?

- No... dostałem od niego *Harper's* z jego opowiadaniem. "Pogoda z nieba", tak się nazywało. Przeczytałem je, no pewnie, że je przeczytałem. Każde słowo.

- I co, zrozumiałeś każde słowo?

- No... co to, to nie. Słuchaj, nie powinienem sobie z ciebie żartować. Przepraszam. Szczerze przepraszam.

- Zgoda - odparła Cynthia, ton jej głosu nie pozostawiał jednak wątpliwości co do tego, że przyjęto go na okres próbny. Przynajmniej na razie.

Steve miał już na języku ciętą ripostę; odpowiedź, która przy sporej dozie szczęścia być może okazałaby się dowcipna, przy sporej dozie szczęścia być może skłoniłby ją nawet do uśmiechu (a Cynthia umiała się uśmiechać, bez dwóch zdań), kiedy dostrzegł w kamperze coś dziwnego.

- Hej, panie i panowie, co to takiego? - powiedział głośno bardziej do siebie niż do dziewczyny.

- Co to takiego? - Cynthia zerknęła na niego, Steve zaś wcisnął hamulce i zatrzymał rydera na poboczu, tuż za kamperem.

Był to pojazd średniowymiarowy, większy od Lassie, lecz mniejszy od dinozaurów, które widzieli na drodze od czasu, gdy znaleźli się w Kolorado.

- Facet trafił chyba na rozsypane po drodze gwoździe albo coś... - wyjaśnił Steve. - Ma kapcie na wszystkich kołach!

- Aha. To jakim cudem ty nie masz kapci na wszystkich kołach?

Nim znikąd pojawiła mu się w głowie myśl, że pasażerowie kampera byli, być może, wystarczająco obywatelsko nastawieni, by pozbierać gwoździe, które przedziurawiły im opony, dziewczyna o śmiesznych dwukolorowych włosach wyskoczyła z szoferki i raźnie pokrzykując podeszła do kampera.

No, w każdym razie wie, jak podać pointę, muszę jej przyznać przynajmniej to - pomyślał Steve, otwierając drzwiczki od strony kierowcy. Wiatr dmuchnął mu w twarz wystarczająco mocno, by nim zachwiać. Gorący wiatr jakby wydostawał się z piecyka.

- Steve? - Głos Cynthii był jakiś inny, brakowało w nim tej wesołej złośliwości, którą niemal mechanicznie kojarzył z jej sposobem na poderwanie faceta. - Słuchaj, podejdź do mnie, dobra? Coś mi się tu nie podoba.

Stała przy bocznych drzwiczkach kampera. Ktoś pozostawił je otwarte, powiewały na wietrze, choć z tej strony chronił je samochód i stopnie pozostawiono opuszczone. Cynthia nie patrzyła jednak ani na drzwiczki, ani na schodki, tylko na lalkę, leżącą na drodze, przysypaną nawiewanym przez pustynny wiatr piaskiem, lalkę o blond włosach, w jasnym ubranku. Lalka leżała na ziemi buzią w dół, najwyraźniej zapomniana. Steve'owi też się nie spodobała. Lalki bez dziewczynek, które mogłyby się nad nimi uzalić, w każdych okolicznościach wyglądały dziwnie, przynajmniej takiego był zdania, a już jeśli chodzi o lalkę zakopaną przez nawiewany wiatrem piach, przy drodze...

Przytrzymał otwierające się i zamykające na wietrze drzwi, wsadził głowę do kampera. Panował tam nieprawdopodobny wręcz upał przekraczający czterdzieści pięć stopni.

- Halo? Jest tu ktoś?

Ale już wiedział. Gdyby w kamperze ktoś był, gdyby byli tam właściciele, niechybnie włączyliby klimatyzację, a zatem silnik by pracował.

- Daj sobie spokój - stwierdziła Cynthia. Podniosła lalkę i właśnie strzepywała piasek z jej jasnych włosów i ubranka. - Tej laleczki nie kupiono za grosze. Nie twierdzą, że kosztowała fortunę, ale parę dolców z pewnością. I nie była komuś obojętna. Tylko popatrz. - Rozpostarła sukienkę tak, by dostrzegł, że naszyto na nią łatkę, niemal dokładnie w tym samym kolorze. - Gdyby dziewczynka, do której należała ta laleczka, była gdzieś tutaj, ta laleczka nie leżałaby po prostu na ziemi. Mogę ci to zagwarantować. Mamy więc problem: dlaczego nie wzięła jej ze sobą, kiedy wraz z rodzicami rozstała się z samochodem. Dlaczego przynajmniej nie wsadziła jej do środka? - Cynthia otworzyła drzwi kampera, zawahała się, zrobiła krok, może dwa po schodkach, znów się zatrzymała, spojrzała na Steve'a. - No, chodź, ważniaku.

- Żadnych takich - odparł Steve. - Muszę znaleźć szefa,

- Zacziesz go szukać za chwilę, dobra? Tam, w środku... wołałabym mieć towarzystwo. Czuję się jak na pokładzie "Andrei Dorii", wiesz.

- Masz chyba na myśli "Mary Celeste". "Andrea Doria" zatonięła.

- Dobra, panie męski, niech panu będzie. Zajmie to nam najwyżej minutkę. A poza tym... - zawahała się.

- A poza tym może mieć to coś wspólnego z moim szefem, prawda? - dokończył za nią Steve. - O to ci chodzi, prawda?

Dziewczyna skinęła głową.

- Trudno sobie tego nie skojarzyć. W końcu oboje zmiękli i... prawda?

Steve nie był jeszcze gotów, by zaakceptować ten sposób rozumowania. Jego zdaniem Cynthia komplikowała proste sprawy w stopniu, w którym nie powinny zostać skomplikowane. Coś z tego dziewczyna dostrzegła w wyrazie jego twarzy, zresztą być może w wyrazie jego twarzy było wszystko (nie należy nie doceniać babek - pomyślał) i w tym momencie wyrzuciła ręce nad głowę.

- Jezu Chryste! - krzyknęła. - No dobra, sama sprawdzę!

Weszła do kampera, trzymając lalkę. Steve wahał się przez chwilę, po czym poszedł za nią. Cynthia odwróciła się, spojrzała na niego, skinęła głową i złożyła laleczkę na jednym z krzeseł w kamperze. Powachlowała się, pociągnęła za podkoszulek.

- Ciepło tu - stwierdziła. - Ciepło jak w... no, wiesz.

Weszła do szoferki. Steve otworzył drugie drzwiczki. Te od strony kierowcy. Schylił się, nie szukał guza. Na półeczce od strony pasażera leżały trzy kupki kart baseballowych, poukładanych porządnie, drużynami: Indianie z Cleveland, Czerwoni z Cincinnati, Piraci z Pittsburgha. Przejrzał je; przeszło połowa była podpisana, a połowa podpisanych została opatrzona autografami. Na karcie Alberta Belle'a napisane było na przykład: "Davidowi - wybijaj równie dobrze jak teraz. Albert Belle". Z kupki pittsburskiej Steve wyłowił kartę Andy'ego Van Slyke'a: "Nim się zamachniesz, musisz widzieć piłkę. Twój przyjaciel, Andy Van Slyke".

- Był tu też chłopak! - krzyknęła Cynthia. - Chyba że oprócz lalek w niebieskich ubrankach ta dziewczynka uwielbiała też G. I. Joesów, Sędziego Dredda i MotoGliny. Pojemniki w kabinie są pełne komiksów.

- Aha, był tu też chłopak - odparł Steve, odkładając karty Alberta Belle'a i Andy'ego Van Slyke'a na właściwie kupki. Wziął ze sobą te, które coś dla niego znaczyły - pomyślał, krzywiąc wargi w uśmiechu. Te, bez których nie był w stanie się obejść. - Na imię miał Dave.

- Skąd możesz wiedzieć? - w głosie dziewczyny bez problemu dało się odczytać zdumienie.

- Oglądam "Z archiwum X".

Z kupki papierów wciśniętych na półeczkę na desce rozdzielczej Steve wziął zgnieciony rachunek karty kredytowej za benzynę. Rozprostował go. Rachunek opiewał na niejakiego Ralpa Carvera z Ohio. Nazwa miejscowości nie odbiła się czytelnie... Wentworth, nie Wentworth?

- Może wiesz o nim coś jeszcze, cwaniaczku? - spytała go Cynthia. - Nazwisko? Skąd przyjechał?

- Nazywa się David Carver - powiedział Steve i zamiast półgębkiem uśmiechnął się szeroko. - Ma ojca, Ralpa Carvera. Przyjechali z Wentworth w Ohio. Ładne miasteczko. Byłem tam w osiemdziesiątym szóstym z Southside'em Johnnym.

Cynthia podeszła do niego, tuląc laleczkę do swej niemal nie istniejącej piersi. Podmuch wiatru sypnął piaskiem w ścianę kampera. Brzmiało to trochę tak, jakby zaczął padać deszcz.

- Wymyśliłeś sobie to wszystko, prawda?

- Nie, szanowna pani - powiedział, podając jej kopię rachunku za benzynę. - Tu masz nazwisko w oryginalnym brzmieniu. Imię, David, jest na kartach baseballowych. Ma parę wartych niezłe pieniądze za dedykacje, o ile się na tym znam.

Cynthia podniosła karty, przyjrzała im się, odłożyła je na miejsce i obróciła się. Twarz miała poważną... i lśniącą od potu. Steve też się pocił, całkiem niezłe się pocił. Na całym ciele czuł lepki, tłusty niczym wazelina pot.

- Gdzie się podziali? - spytała go.

- Pojechali do najbliższego miasteczka po pomoc - odparł Steve. - I pewnie ktoś ich tam podrzucił. Masz mapę, pamiętasz może, co tu jest w okolicy?

- Jedno wielkie nic. Może jest tu jakieś miasteczko, ale za cholere nie pamiętam jakie. Tylko... jeśli tam pojechali, to dlaczego nie zamknęli samochodu? Przecież jest tu całe ich gówno. - Machnęła ręką, wskazując szoferkę. - Wiesz, co leży tam na widoku. Koło siedzenia?

- Nie, nie wiem.

- Pudełko z biżuterią pani małżonki. Żaba z ceramiki. Pierścionki i kolczyki wsadza się jej w mordkę.

- Brzmi bardzo elegancko.

Steve bardzo, bardzo pragnął wynieść się stąd, nie tylko z powodu upału albo dlatego, że rzeczywiście powinien znaleźć szefa. Pragnął się stąd wynieść, bo ten cholerny kamper zbyt przypominał "Marie Celeste". Aż za łatwo było wyobrazić sobie wampiry, kryjące się w szafach, wampiry w szortach i podkoszulkach z napisem PRZEJECHAŁEM DROGĄ 50, NAJBARDZIEJ SAMOTNĄ DROGĄ AMERYKI.

- Niezłą miała biżuterię - zauważyła Cynthia - ale nie o to przecież chodzi. Dwa zestawy kolczyków plus pasujący do nich pierścionek. Nie powiem, żeby kosztowały fortunę, ale tanie też nie były. Pierścionek jest co najmniej srebrny. Więc dlaczego...

W tym momencie dostrzegła coś w schowku, coś, co zobaczyć mogła tylko dlatego, że szperała wśród papierów. Portmonetka ze znaczkiem dolara; znaczek wyglądał, jakby zrobiono go z najbardziej autentycznego srebra. W portmonetce znajdowały się pieniądze. Obejrzała je, powachlowała się nimi, a potem rzuciła portmonetkę na mapy, jakby oparzyła palce.

- Ile? - spytał Steve.

- Mniej więcej czterdzieści - odparła. - Ta portmonetka... musi być warta trzy, cztery razy tyle. Jedno mogą ci powiedzieć, wędrowcze... coś mi tu śmierdzi.

Podmuch wiatru - nie pierwszy od czasu, kiedy weszli do samochodu, sypnął piaskiem o karoserię z siłą wystarczającą, by nawet ciężki kamper zakolysał się na kapciach. Wymienili spojrzenia; po ich twarzach ściekał pot. Steve popatrzył po chwili w te niebieskie oczy lalki.

Może wiesz, do czego tu doszło, skarbie? Co ty tu właściwie widziałas?

Odwrócił się w stronę drzwi.

- Czas wezwać gliny? - ucieszyła się Cynthia.

- Najwyższy. Tylko że najpierw wolałbym się cofnąć jakieś półtora kilometra. Sprawdzić, czy szef nie pozostawił po sobie jakichś śladów.

- Miały przetrwać na tym wietrze? Człowieku, ale wielka z ciebie dupa.

Steve bez słowa popatrzył na dziewczynę, po czym zszedł po schodkach. Cynthia natychmiast do niego dołączyła.

- Powiedzmy, że jest remis - powiedziała. - Ty pożartowałeś sobie z mojego akcentu ja pożartowałam sobie... z twojej, cokolwiek to było...

- Intuicji.

- Dobra, jeśli chcesz to nazwać intuicją. Fajnie, dobra. Mamy remis, tak? Proszę, powiedz, że mamy remis. Trochę się boję, więc nie chcę szczać na kumpli.

Steve obdarzył ją uśmiechem. Poruszył go wyraz niepokoju na jej buzi.

- Dobra, remis - stwierdził. - Równiejszego remisu nigdy nie było.

- Chcesz, żeby cofnąć samochód? Bez problemu przejadę półtora kilometra według licznika. Będziesz miał wędkę...

- A dasz radę zawrócić... - ciężarówka z wypisanymi na naczepie słowami KLEENX. I KICHA SIĘ ŁATWIEJ przemknęła obok nich, jadąc co najmniej sto dziesięć. Zmierzała na wschód. Cynthia odchyliła się, osłaniając oczy przed piaskiem. Steve objął ją... Boże, ale miała wąskie ramiona... podtrzymał, by nie przewrócił jej pęd powietrza.

- ...i nie zakopać się? - dokończył pytanie.

Cynthia spojrzała mu w oczy. Chyba rzeczywiście ją uraził.

- Jasne.

- Dobra... niech będą dwa kilometry. Lepiej nie popełnić głupich błędów.

- Dobrze. - Dziewczyna ruszyła w kierunku rydera, przystanąła i odwróciła się w stronę Steve'a. - Właśnie przypominałam sobie nazwę najbliższej wiochy. - Wskazała na wschód. - Leży w tę stronę i na południe od drogi. Fajnie się nazywa. Polubisz tę nazwę... szefie.

- Jaką nazwę?

- Desperation. - Uśmiechnęła się szczerze, wesoło i zniknęła w kabinie rydera.

5

Steve wolnym krokiem szedł wzdłuż zachodniego pasma na wschód. Kiedy powoli minął go samochód z Cynthią za kierownicą, podniósł rękę, lecz nie wzrok.

- Masz jakieś pojęcie, czego szukamy? - krzyknęła przez okienko dziewczyna.

Minęła go, nim miał szansę jej odpowiedzieć. Nie szkodzi, nie wiedział przecież, czego szukają. Śladów? Śmieszny pomysł, biorąc pod uwagę wiatr. Krwi? Kawalków metalu i szkła z tylnych świateł harleya? Zdaniem Steve'a szkło i metal były najbardziej prawdopodobne. Na pewno mógł jednak powiedzieć jedno - instynkt nie tylko nakazał mu ten spacer, lecz wręcz się go domagał; ten spacer był też jedynym sposobem na zapomnienie o niebieskich nieruchomych oczach lalki. Była sobie kiedyś dziewczynka kochająca tę lalkę... tylko, że zostawiła swą Kendusię Niebieskooką leżącą buzią w piasku na poboczu. Mama zapomniała biżuterii, tata zapomniał piątek, synek zapomniał autografowanych kart baseballowych.

Dlaczego?

Gdzieś daleko przed nim Cynthia zatoczyła ryderem szeroki łuk; jaskrawożółty samochód stał z maską skierowaną na zachód. Zgrabnie jej to wyszło; Steve nie był wcale pewien, czy sam potrafiłby tak zgrabnie zawrócić półciężarówką, nawet gdyby podjeżdżał do dystrybutora. Cynthia wysiadła z szoferki, ruszyła ku niemu rażno, nie patrząc nawet, dokąd idzie, nawet taki wkurzony na rzeczywistość Steve wkurzył się jeszcze bardziej, kiedy znalazła coś, co instynkt nakazywał znaleźć właśnie jemu.

- Jejku - wykrztusiła, pochyliła się, podniosła coś i otrzepała z piasku.

Podbiegł do niej, jak najszybciej potrafił.

- Co...? Co to? - spytał.

- Notatnik. - Wyciągnęła rękę, podając mu zeszytek. - Trudno zaprzeczyć, że twój szef rzeczywiście tu był. Na okładce wydrukowane jest przecież J. Marinville. Widzisz?

Steve wyjął z jej rąk mały, wygnieciony kołonoratnik i szybko przejrzał kolejne strony. Wskazówki gdzie i jak dojechać, mapki, które on sam narysował szefowi, notatki wypisane wąskim charakterem pisma samego szefa, dotyczące przede wszystkim spodziewanych i zarezerwowanych przyjęć. Pod wydrukowanym w notatniku St. Louis John Marinville zapisał: "Patricia Franklin. Ruda, duże cyce. Nie nazywać jej ANI PAT, ANI PATTY. Poznałeś ją przez Ruch Wyzwolenia Lesbijek. Phill twierdzi, że P.F. aktywnie wspiera prawa zwierząt. Wegetarianka".

Na ostatniej użytej stronie zapisane było tylko jedno słowo, charakterem pisma szefa, ale jeszcze bardziej zamaszystym:

Dla

I to wszystko. Jakby postanowił dać komuś autograf, ale rozmyślił się w ostatniej chwili.

Spojrzał na Cynthię. Skrzyżowała ramiona na nędznej, cherlawej piersi. Pocierała łokcie.

- Zimno - powiedziała. - Wiem, że nikt jeszcze nie zmarł tu, na pustyni, ale mimo wszystko cholernie mi zimno. Dziwne rzeczy dzieją się w okolicy... i robią się, cholera, coraz dziwniejsze.

- Jakim cudem ten notes po prostu nie uleciał z wiatrem?

- Czysty fart. Trafił na kawałek skały, a potem przysypał go piach. To tak jak z lalką. Gdyby upadła piętnaście centymetrów dalej w jedną albo w drugą stronę, pewnie już byłaby w połowie drogi do Meksyku.

- Dlaczego myślisz, że szef go upuścił?

- A ty co myślisz? - odparła dziewczyna.

Steve otworzył usta, pragnąc zapewnić ją, że nic nie myśli, przynajmniej na razie nic nie myśli, lecz nagle odeszła go ochota od mówienia. Na pustyni coś błysnęło - prawdopodobnie to samo coś, co wcześniej dostrzegła Cynthia, wtedy, kiedy podjeżdżali do kampera, tylko że teraz nie poruszali się i to coś, co błyszczało na pustyni, pozostało na miejscu. Mika zawarta w skałach... nie, możemy się nawet założyć, że to nie mika zawarta w skałach. Steve po raz pierwszy tego dnia naprawdę się przestraszył, przestraszył się aż do bólu. Nim w ogóle uświadomił sobie, co chce zrobić, biegł już w stronę tego błysku, biegł na pustynię.

- Hej, nie tak szybko! - krzyknęła dziewczyna, najwyraźniej zaskoczona. - Poczekaj!

- Nie, zostań! - odkrzyknął Steve.

Przebiegł pędem pierwsze sto metrów, kierując się wprost na błyszczący odbitymi promieniami słońca punkt (tyle że punkt robił się coraz większy i przybierał kształt, który wydał mu się straszliwie znajomy), gdy nagle zakręciło mu się w głowie. Po prostu musiał stanąć. Pochylił się z dłońmi opartymi na udach, tuż nad kolanami, pewny, że każde wypalone w ciągu ostatnich osiemnastu lat cygaro wróciło teraz do życia, by go prześladować. Zawrót głowy mijał powoli, powoli ustawało też huczące mu w głowie niczym młot pneumatyczny bicie serca. Pierwsze, co usłyszał, gdy był już w stanie słyszeć cokolwiek, to wyraźne, a przy tym jakoś dystygowane i kobiece dyszenie. Odwrócił się. Cynthia biegła lekko, pocąc się mocno, lecz poza tym pozostała świeża i czystułka. Tyle że loki na głowie trochę się jej splaszczły.

- Widać cię... jak pryszcz... na nosie - wydyszał, kiedy zatrzymała się obok niego.

- Niczego miłszego nigdy jeszcze nie usłyszałam od faceta. Zapisz to sobie w swoim cholernym pamiętniku, dobra? I proszę, nie dostań na miejscu ataku serca. Ile ty właściwie masz lat?

Steve wyprostował się z wysiłkiem.

- Za dużo, żeby interesowały mnie twoje uroki, kurczaczku, i dziękuję, czuję się nieźle. Miło, że pytasz. - Jadący drogą samochód zatrąbił, nawet nie zwalniając. Obejrzeni się nań oboje. Na szosie numer pięćdziesiąt każdy samochód to była nowina!

- Mogę zaproponować, żebyśmy resztę drogi przeszli krokiem marszowym? To, co zauważyłeś, czymkolwiek jest, nie ma zamiaru przed nami uciec.

- Wiem, co to jest - stwierdził Steve, ostatnie dwadzieścia metrów przebywając truchtem.

Klęknął na piasku niczym człowiek pierwotny przed ołtarzem swego bóstwa. Harley szefa zakopany został w pośpiechu, niestarannie. Wiatr już zdążył odsłonić kierownicę po jednej stronie i właśnie brał się za kierownicę po drugiej.

Padł na niego cień dziewczyny. Podniósł na nią wzrok, pragnąc powiedzieć coś, co przekonałoby ją, że nie jest ze szczerem przerażony sytuacją, ale po prostu nie potrafił znaleźć właściwych słów. Nie był zresztą przekonany, czy, gdyby nawet się odezwał, Cynthia by go usłyszała. Oczy miała szeroko rozwarte, przerażone i wbite w motocykl. Padła na kolana obok niego, rozstawiła ręce, jakby coś mierzyła, i zaczęła kopać nieco po prawej od kierownicy.

Najpierw znalazła kask szefa, wysypała z niego piasek i odłożyła na bok. Potem ostrożnie zaczęła kopać pod nim. Steve obserwował ją, klęcząc. Nie był pewien, czy jest w stanie wstać, czy nogi utrzymają ciężar jego ciała. W głowie kręciło mu się od wszystkich przeczytanych kiedykolwiek gazetowych historii o ciałach wygrzebanych w starych żwirowniach lub wyciągniętych z jakże popularnych płytkich grobów.

Cynthia wygrzebała w piasku dołek. Dostrzegł w nim odbłysek metalu, jaśniejszego niż szarobrazowy piasek. Kremowoczerwonego metalu, na którym wymalowano litery HARL...

- I masz - powiedziała. Niewyraźnie, bo nerwowo przesuwiała ręką po wargach. - Masz. To właśnie widziałam.

Steve złapał za kierownicę i szarpnął ją. Nic. Niezbyt go to zdziwiło, w końcu było to dość nędzne szarpnięcie. Nagle zdał sobie sprawę z czegoś całkiem interesującego - w jakiś niezdrowy, straszny sposób nie martwił się już wyłącznie o szefa. Nie, szanowny panie. Wyglądało na to, że oprócz szefa ma się jeszcze o co martwić. Miał uczucie... takie dziwne uczucie, jakby...

- Steve, mój dobry nowy przyjacielu - odezwała się Cynthia drżącym głosem, spoglądając na niego znad tego kawałeczka zbiornika paliwa, który udało się jej odkopać - pomyślisz sobie pewnie, że jest to durne, czegoś takiego wręcz należy oczekiwać po głupiej blondynce wychowanej na trzeciorzędnych filmach, ale mam wrażenie, że jesteśmy obserwowani.

- Nie uważam cię za głupią blondynkę - stwierdził Steve, odkopując jeszcze kawałek baku harleya.

Dzięki Bogu nie znalazł żadnych śladów krwi, co nie oznaczało niestety, że nigdzie na tym cholernym motocyklu nie ma śladów krwi. I nie oznaczało, że nie leży pod nim pogrzebane ciało.

- Sam mam takie wrażenie.

- To może się stąd ruszymy - zaproponowała Cynthia niemal błagalnie. Ramieniem otarła pot z czoła. - Proszę.

Steve wyprostował się. Ruszyli w stronę drogi. Dziewczyna podała mu dłoń; przyjął ją z wdzięcznością.

- Boże - westchnął. - Strasznie to silne uczucie. Ty też tak to czujesz?

- Owszem. Nie sądzę, by miało to znaczyć cokolwiek oprócz tego, że jesteśmy przestraszeni, ale tak, cholernie to silne uczucie. Jak...

I nagle z daleka dobiegło ich wycie. Cynthia zacisnęła palce na jego dłoni tak mocno, że w myśli podziękował Bogu za to, że dziewczyna obgryza paznokcie.

- Co to było? - szepnęła. - Boże przenajświętszy, co to było?

- Kojoty - uspokoił ją. - Jak na westernach. Nic nam nie zrobią. Puść rękę. Boli.

Rozluźniła palce i w tym momencie zawył drugi kojot, w harmonii z pierwszym niczym dobry tenor wspomagający gwiazdę przedstawienia.

- Są dość daleko - uspokoił ją Steve. Omal nie wyszarpnął dłoni z jej uścisku. Nie wyglądała na aż tak silną. Ręka cholernie go bolała. - Słuchaj, mała, są pewnie poza granicą okręgu. Puść, dobra?

Puściła go, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, z wyrazu jej twarzy zorientował się, że jest nieprzytomnie przerażona.

- Jasne, dobrze, są za granicą tego okręgu, pewnie dzwonią z samej pieprzonej Kalifornii, ale ja nie lubię niczego, co gryzie. Boję się wszystkiego, co gryzie. Możemy wrócić do samochodu?

- Oczywiście.

Szli niemal przytuleni do siebie, lecz kiedy zawył kolejny kojot, Cynthia nie miażdżyła dłoni Steve'a. Ten przynajmniej z pewnością znajdował się daleko... i nie miał towarzystwa. Doszli do półciężarówki. Dziewczyna wsiadła do kabiny, już na schodkach uśmiechała się do niego szybkim, nerwowym uśmiechem. Steve obszedł samochód; nagle uświadomił sobie, że dokuczliwe uczucie - to, że są obserwowani - minęło. Nadal się bał, ale teraz znów głównie o szefa. Jeśli Johnny Marinville zginął, z pewnością zainteresuje się tym prasa całego świata, a on, Steve Ames, stanie się jednym z bohaterów tej historii. Niezbyt pozytywnych bohaterów. Będzie bezpiecznikiem, co zawiódł, siatką nieobecną pod liną, z której Wielki Człowiek spadł po długim chwiejnym spacerze.

- Kiedy tak czuliśmy, że jesteśmy obserwowani... pewnie to były te kojoty, prawda? - spytała go dziewczyna.

- Być może.

- I co teraz?

Steve westchnął głęboko. Sięgnął po telefon komórkowy.

- Czas na policję - stwierdził, wciskając dziesięćset jedenaście.

Osiągnął tylko tyle, ile spodziewał się osiągnąć. Jeden z tych jakże charakterystycznych dla sieci komórkowych nagranych głosów poinformował go, że wszystkim jest strasznie przykro, ale w tej chwili rozmowy nie można przeprowadzić. Szef jakoś się przebił - na chwilę - ale szef po prostu miał szczęście. Zamknął telefon jednym gwałtownym ruchem, rzucił go na półeczkę nad deską rozdzielczą rydera i włączył silnik. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu dostrzegł, że pustynia nabrała lekkiego odcienia ciemnego fioleto. Niech to diabli. W kamperze i przed harleyem szefa spędzili więcej czasu, niż przypuszczał.

- Nic z tego, co? - Cynthia spojrzała na niego współczująco.

- Nic z tego. Odwiedzimy może to miasteczko, o którym wspominałaś. Jak się nazywało?

- Desperation. Leży gdzieś tam, na wschód.

Steve włączył przycisk DRIVE.

- Poprowadzisz mnie, dobrze? - poprosił.

- Jasne. - Cynthia lekko dotknęła jego ręki. - Ktoś nam z pewnością pomoże. Nawet w takiej wiosze musi być przecież chociaż jeden glina.

Nim ruszyli na poszukiwanie Desperation, Steve podjechał jeszcze do opuszczonego kampera i dostrzegł, że wiatr znów szarpie drzwiami. Nie pomyśleli, żeby je zamknąć. Zatrzymał się, przerzucił dźwignię przekładni na PARK, po czym otworzył drzwi. Cynthia złapała go za ramię, nim zdołał wystawić z samochodu choćby jedną nogę.

- Dokąd to? - krzyknęła, może nie w panice, ale z pewnością mocno zaniepokojona.

- Spokojnie, dziewczyno. Daj mi chwilę.

Wysiadł, zamknął i zabezpieczył drzwiczki kampera marki Wyfarer, jak głosił napis na chromowanym boku. Wrócił do pomrukującej silnikiem półciężarówki.

- Kim ty właściwie jesteś, jakimś cholernym skautem? - burknęła dziewczyna.

- Zazwyczaj nie - odparł. - Nie podobało mi się po prostu, że te drzwiczki tak objają się na wietrze. - Przerwał z jedną nogą na stopniu, przyjrzał się jej, pomyślał przez chwilę i wzruszył ramionami. - Miałem wrażenie, że patrzę na okiennicę w nawiedzonym domu - dokończył.

- Aha.

W tym momencie usłyszeli wycie. Być może dobiegało z południa, może ze wschodu, przy tym wietrze doprawdy trudno było powiedzieć, ale tym razem brzmiało tak, jakby wyło kilka kojotów. Jakby kojoty zebrały się w stado. Steve wskoczył do szoferki, zatraskując za sobą drzwi.

- No to jedziemy - powiedział, wciskając gaz. - Zawróćmy furką i poszukamy mundurowych.

Rozdział 5

1

David Carver dostrzegł go, kiedy kobieta w niebieskiej koszuli i spłowiałych dżinsach zaczęła ulegać gliniarzowi. Skuliła się przy kratkach celi dla pijaków, obronnym gestem osłaniając ramionami głowę, podczas gdy on odsuwał biurko, żeby się do niej dostać.

- Nie ruszaj jej! - krzyknął ojciec, gdy kobieta rzuciła strzelbę, która z trzaskiem przeleciała po drewnianej podłodze, by w końcu odbić się od krat celi Davida. - Nie ruszaj jej, nie jest nabita, zostaw ją, gdzie leży!

David usłuchał ojca, ale kiedy spojrzał na dół, na leżącą na podłodze dubeltówkę, dostrzegł go - patron, który spadł z biurka. Zatrzymał się przy ostatnim pionowym pręcie kraty po lewej. Gruby zielony patron do dubeltówki, jeden z kilkunastu, które rozsypały się po areszcie, kiedy ten szalony gliniarz zaczął maltretować kobietę, Mary, biurkiem i krzesłem, nakazując jej rzucić broń.

Tata miał rację, nie warto było łapać za strzelbę. Nawet gdyby wraz z nią dorwał nabój, nadal nie miałyby to sensu. Gliniarz był wielki - wysoki jak zawodowy koszykarz, szeroki w barach jak zawodowy futbolista - lecz także bardzo szybki. Dopadnie go, nim on, który przecież nigdy nie miał w ręce broni, domyśli się, w który otwór wsadzić ładunek. Gdyby jednak zdarzyła się okazja do zabrania samego ładunku to... może... no, kto wie?

- Możesz chodzić? - groteskowo współczującym głosem spytał kobietę imieniem Mary szalony gliniarz. - Niczego sobie nie złamałaś, prawda?

- A co, robi ci to jakąś różnicę? - Głos Mary drżał, Davidowi wydawało się jednak, że to nie drzenie strachu, lecz wściekłości. - Zabij mnie, jeśli chcesz, i niech wreszcie skończy się ten koszmar!

David zerknął na zamkniętego z nim w celi starszego faceta, by sprawdzić, czy również zauważył nabój. Wyglądało na to, że nie, choć wreszcie, wreszcie wstał z pryczy i podszedł do krat.

Zamiast wrzeszczeć na kobietę, która robiła co w jej mocy, by mu rozwalić łeb, albo może nawet ją za to pobić, gliniarz przytulił Mary jedną ręką jak dobrego kumpla. W pewien sposób ten pozornie szczery gest wyprowadził Davida z równowagi bardziej niż wszystkie akty gwałtu, które zdarzyły się wcześniej.

- Przecież cię nie zabiję, Mare - powiedział i rozejrzał się, jakby miał zamiar spytać pozostałą trójkę Carverów i siwowłosego starszego mężczyznę, co też sądzą o tej szalonej kobiecie.

Jego błyszczące, jasnoszare oczy spojrzały w niebieskie oczy Davida i chłopiec machinalnie cofnął się o krok. Bał się tak, że aż nogi się pod nim ugięły. Poczul się bezradny. Jakim cudem był w stanie poczuć się jeszcze bardziej bezradny niż przedtem, nie wiedział, ale przecież nie zmieniało to rzeczywistości.

Oczy tego gliniarza były puste - tak puste, że sprawiał wrażenie kogoś, kto stracił przytomność - ale ich nie zamknął. Przypomniały mu oczy jego przyjaciela Briana podczas tej jedynej pamiętnej wizyty w szpitalu, w listopadzie zeszłego roku. Ale podobieństwo nie było całkowite, bo chociaż oczy gliniarza były puste, to jednak puste nie były. Coś żyło w ich spojrzeniu, tak, coś w nich żyło, tak, coś w nich żyło, David nie miał pojęcia, co to takiego, nie miał pojęcia, jak coś może być i nie być. Wiedział tylko, że nigdy się z niczym takim nie zetknął.

Wielki gliniarz spojrzał na Mary z przesadnym, aktorskim zdumieniem.

- Jejku jej, nie! - krzyknął. - Nie zabiję cię, nie teraz, kiedy wreszcie robi się ciekawie.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej klucze na kółku i wybrał spośród nich jeden, który wcale nie wyglądał jak klucz: był prostokątny, a w metal wpuszczony miał jakiś pasek. Davidowi przypominał trochę hotelową kartę otwierającą drzwi. Gliniarz wsunął go w zamek największej celi i otworzył ją.

- Wskakuj, Mare - zarządził. - Grzeczna dziewczynka dostanie pierniczka. A ty będziesz grzeczną dziewczynką.

Kobieta puściła jego słowa mimo uszu. Spojrzała na rodziców Davida. Stali oboje przy kracie celi, znajdującej się dokładnie naprzeciwko tej, którą on sam dzielił z siwym mężczyzną, panem Milczącym.

- Ten człowiek... ten wariat... zabił mojego męża - powiedziała.

Przerwała, przełknęła ślinę. Wielki gliniarz przyglądał się jej dobrodusznie, niemal jakby zachęcał ją, żeby mówiła dalej. "No, dalej, Mary, wyrzycaj to z siebie i zaraz poczujesz się lepiej".

- Objął go, tak jak obejmował mnie przed chwilą i strzelił do niego cztery razy.

- Zabił naszą małą córeczkę - oznajmiła Ellen Carver.

Coś w jej głosie uderzyło Davida i na chwilę znalazł się w krainie sennej nierzeczywistości. Miał wrażenie, że jego matka wyzwała tę Mary na pojedynek "kto lepszy". Mary powie zaraz "zabił nam psa", a jego matka powie...

- Tego nie wiemy - odezwał się ojciec Davida. Wyglądał strasznie, twarz miał spuchniętą, zakrwawioną, przypominał boksera wagi ciężkiej zaraz po dwunastorundowym laniu. - Nie wiemy na pewno.

Spojrzał na gliniarza, na zrujnowanej twarzy miał straszny wyraz nadziei, gliniarz jednak zupełnie nie zwrócił na niego uwagi. Interesowała go wyłącznie ta Mary.

- Miło się rozmawiało, ale dość tego - powiedział głosem nasuwającym na myśl najłagodniejszego w świecie dziadka. - Wskakuj do łóżeczka, śliczna Mary. Do złotej klatki, moja ty maleńka, niebieskooka papużko.

- Albo co? Zabijesz mnie?

- Przecież powiedziałem, skarbie, że cię nie zabiję - wyjaśnił gliniarz ciągle tym samym głosem Kochającego Dziadunia. - Nie powinnaś jednak zapominać, że, jak twierdzą od wieków mądrzy ludzie na całym świecie, istnieje los gorszy od śmierci. - Głos szaleńca nie zmienił się, ale kobieta wpatrywała się teraz w niego z rozpaczliwym napięciem, niczym koza ofiarna na podpełzającego boa dusiciela. - Mogę sprawić, że będziesz cierpiała. Cierpiała tak strasznie, że zaczniesz modlić się o śmierć. Przecież mi wierzysz, prawda? Prawda, kochanie?

Przyglądała mu się tak jeszcze przez chwilę, po czym oderwała wzrok od jego twarzy. Tak właśnie wydawało się Davidowi z miejsca, w którym się znajdował, sześć metrów od niej; miał wrażenie, że właśnie odrywała wzrok, tak jak odrywa się taśmę z listu czy paczki. Weszła do celi. Skrzywiła się rozpaczliwie, a kiedy usłyszała trzask zamka, padła na jedną z czterech znajdujących się pod przeciwległą ścianą prycz, ukryła twarz w ramionach i rozszlochała się. Gliniarz stał przez chwilę, obserwując ją; głowę miał spuszczoną. David wykorzystał tę chwilę, by znów zerknąć na nabój i pomyśleć, że może teraz mógłby podnieść go i schować, kiedy nagle glina gwałtownym ruchem uniósł się i jakby otrząsnął, jak ktoś budzący się z drzemki. Odwrócił się, jakby cela dla pijaków i siedząca w niej kobieta przestały go interesować, i ruszył w stronę chłopca. Siwowłosa, który do tej pory stał obok, cofnął się gwałtownie i nie przestał się cofać, aż trafił kolanami w pryczę, a potem jakby złożył się i usiadł, zakrywając oczy dłońmi. Poprzednio wydawało się to Davidowi gestem rozpacz, teraz jednak zrozumiał, że siwy czuje strach co najmniej równy temu, który on poczuł, gdy padło na niego spojrzenie szaleńca - że to nie

rozpacz, lecz instynktowna próba osłonięcia się przed czymś, na co nie chce się spojrzeć, chyba że... chyba że zmuszą cię do tego siłą.

- Jak leci, Tom? - spytał siedzącego na pryczy mężczyznę gliniarz. - Jak leci, staruszku?

Pan Białowłosy skulił się na dźwięk tego głosu. Nie odjął dłoni od oczu. Gliniarz przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem znów spojrzął na Davida i nagle chłopiec odkrył, że nie zdoła uciec przed tym wzrokiem, że ten wzrok tym razem złapał go w pułapkę. Ale... czuł jeszcze coś. Miał wrażenie, że coś go wzywa.

- Dobrze się bawisz, Davidzie? - spytał go wielki, jasnowłosy gliniarz. Jego oczy wydawały się powiększać, zmieniać w wielkie szare jeziora światła. - Czy wypełniasz tę chwilę nicości, miarka za miarką?

- Ja... - odparł David ledwie słyszalnym, ochryplym głosem, przerwał, obliznął wargi. - ...ja nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie wiesz? Ciekaw jestem, czy rzeczywiście nie wiesz. Bo, jak widzę... - Wielkolud podniósł dłoń. Dotknął nią kącika ust, opuścił i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz najzupełniej szczerego zdumienia. - Właśnie nie wiem, co widzę. Co widzę? Oto pytanie, tak, proszę pana, oto pytanie. Kim jesteś, chłopcze?

David zerknął na twarze ojca i matki. Temu, co w nich zobaczył, nie mógł przyglądać się długo. Myśleli, że szalenciec go zabije, tak jak zabił ich córeczkę i męża Mary.

Spojrzał gliniarzowi wprost w oczy.

- Nazywam się David Carver. Mieszkam na Popularnej dwieście czterdzieści osiem w Wentworth, w Ohio.

- Tak, oczywiście, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale powiedz mi, mały Davidku, kto cię uczynił? Czyż bowiem nie wyznasz mi, kto cię uczynił? *Tak!*

Nie czyta mi w głowie - pomyślał David - ale gdyby chciał, toby pewnie potrafił.

Człowiek dorosły prawie na pewno zganiłby się za taką myśl, powiedziałby sobie, że jest głupcem, że to tylko strach i szaleństwo, które strach ze sobą niesie. "Właśnie tego chce - chce żebyś uwierzył, że potrafi czytać w myślach" - do takiego wniosku doszedłby człowiek dorosły. David nie był jednak człowiekiem dorosłym, był jedenastoletnim chłopcem. I to nie zwykłym jedenastoletnim chłopcem, przestał nim być w listopadzie. Od tego czasu zaszły w nim wielkie zmiany. Miał tylko nadzieję, że zmiany te pomogą mu poradzić sobie z tym, co się teraz działo.

Gliniarz tymczasem przyglądał mu się zwięzonymi oczami, spojrzeniem pełnym namysłu.

- Przypuszczam, że uczynili mnie mama i tata - stwierdził Dave. - Przynajmniej tak to się zwykle odbywa, prawda?

- Chłopiec, który wie wszystko o pszczołkach i bocianach! Wspaniale! A co z moim poprzednim pytaniem, żołnierzu? Dobrze się bawisz?

- Zabił mi pan siostrę, więc niech pan nie zadaje głupich pytań.

- Synku, nie prowokuj go! - krzyknął ojciec wysokim, przerażonym głosem, tak naprawdę zupełnie nie przypominającym głosu ojca.

- Och, nie jestem głupi - powiedział gliniarz, jeszcze mocniej wpijając straszne spojrzenie szarych oczu w twarz Davida. Wyglądało na to, że ich źrenice są w ruchu, że obracają się jak koła dziecinnego wiatraczka. Chłopiec patrzył w nie i czuł, że robi mu się mdło, czuł, że za chwilę zwymiotuje... ale nie potrafił odwrócić wzroku. - Wiele można o mnie powiedzieć, ale z pewnością nie to, że jestem głupi. Wiele wiem, żołnierzu. Wiem bardzo wiele.

- Zostaw go w spokoju! - krzyknęła matka. David nie widział jej, cielsko wielkoluda zasłaniało ją całkowicie. - Czy nie dość ci tego, co już zrobiłeś naszej rodzinie? Jeśli go dotkniesz, zabiję cię!

Gliniarz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Podniósł dłonie do twarzy, przyłożył palce wskazujące do dolnych powiek i pociągnął je. Jego oczy zrobiły się jeszcze większe, groteskowo wielkie.

- Mam orli wzrok, Davidzie - powiedział. - Orlim wzrokiem z daleka dostrzegam prawdę. Możesz mi wierzyć na słowo. Orli wzrok. Orli.

Gliniarz zamarł, wpatrując się w Davida, i teraz wyglądało to tak, jakby chłopiec zahipnotyzował jego.

- Niezłe z ciebie ziółko - wyszeptał. - Tak, doprawdy niezłe z ciebie ziółko. Tak, tak mi się wydaje.

Myśl sobie, co chcesz, tylko nie pomyśl, że właśnie myślę, żeby podnieść nabój.

Oczy gliniarza rozszerzyły się lekko. Przez jedną straszną chwilę David miał wrażenie, że myśli on właśnie o tym, że dostroił się do jego umysłu, jakby to była radiostacja. Nagle gdzieś daleko zawył kojot, cienko, przeraźliwie, jakby uskarżał się na samotność, i gliniarz zerknął w kierunku, z którego dobiegało jego wycie. Łącząca ich nić - być może telepatia, być może połączenie strachu i fascynacji, została zerwana.

Gliniarz pochylił się i podniósł strzelbę. David wstrzymał oddech pewien, że policjant dostrzeże leżący na podłodze nabój, ale on nie spojrział nawet w tym kierunku. Wyprostował się, jednocześnie przesuwając dźwignię z boku dubeltówki. Złamał ją i oparł na ramieniu; spoczęła na nim jak posłuszne zwierzę.

- Zostań, Davidzie. Musimy porozmawiać - powiedział mu cicho jak mężczyzna mężczyźnie. - Z góry cieszę się na tę rozmowę, możesz mi wierzyć na słowo, ale w tej chwili mam akurat coś do załatwienia.

Ruszył ku środkowi sali z opuszczoną głową, zbierając po drodze naboje. Pierwsze dwa załadował, pozostałe machinalnie wkładał do kieszeni. David nie ośmielił się czekać dłużej. Pochylił się, przesunął dłoń przez pręty po lewej i złapał gruby, zielony patron, natychmiast schował go w kieszeni dzinsów. Kobieta imieniem Mary nie widziała, co zrobił, leżała bez ruchu na pryczy, z głową ukrytą w ramionach. Jego rodzice też nic nie widzieli; stali przy kracie, obejmując się mocno, z przerażeniem, ale i fascynacją obserwowali wielkiego mężczyznę w ubraniu khaki. David odwrócił się i dostrzegł, że stary pan Siwowłosy - Tom - nadal zakrywał twarz dłońmi, może więc tu wszystko było w porządku. Tylko, że ukryte za rozpostartymi palcami załzawione oczy Toma były otwarte, widział je, więc może, z drugiej strony, nie wszystko było w porządku. W każdym razie, co się stało, to się nie odstanie. Nadal stojąc z twarzą zwróconą w stronę mężczyzny, którego gliniarz nazwał Tomem, David podniósł palec do ust, jakby go uciszał. Stary Tom niczym nie zdradził, czy dostrzegł jego gest; jego oczy, uwięzione we własnej celi, spoglądały na świat spoza palców.

Gliniarz, który zabił jego małą siostrzyczkę, podniósł z podłogi ostatni nabój, zerknął pod biurko i zamknął dubeltówkę jednym szybkim ruchem nadgarstka. David obserwował go uważnie podczas zbierania ładunków, próbując stwierdzić, czy je liczy. Miał wrażenie, że nie... aż do tej chwili. Gliniarz zamarł po prostu tyłem do niego, ze spuszczoną głową. Kiedy odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę celi jego i starego Toma, serce w piersi chłopca zmieniło się w kamień.

Lecz wielkolud tylko przystanął i znów wpatrzył się w niego, patrzył, jakby chciał złamać go wzrokiem, i David pomyślał: Chce włamać mi się do głowy jak złodziej do sejfów.

- Myślisz o Bogu? - spytał go policjant. - Daj sobie spokój. Bóg tu zatrzymuje się w Indian Springs. Nawet Szatan nie ośmiela się postawić swego podkutego kopyta dalej niż w Tonopah. W Desperation nie ma Boga, maleńki. W Desperation jest tylko *can de lach*.

I na tym przedstawienie miało się chyba skończyć, przynajmniej na razie. Gliniarz wyszedł z dubeltówką

pod pachą. Na dobre pięć sekund w areszcie zapanowała cisza, przerywana tylko szlochem kobiety imieniem Mary. David spojrzął na rodziców, rodzice spojrzeli na swego syna. Kiedy tak stali, obejmując się w pasie, chłopiec zrozumiał, jak musieli wyglądać jako małe dzieci, na długo przedtem, nim spotkali się w sklepie, i to wystraszyło go bardziej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Już wolałby przyłapać ich nagich podczas stosunku. Bardzo pragnął przełamać ciężką ciszę. Nie wiedział jak.

I nagle gliniarz wpadł do aresztu. Musiał pochylić głowę, by nie stuknąć nią w górną framugę drzwi. Uśmiechał się jak szaleniec - Davidowi do złudzenia przypominał Garfielda, komiksowego kota, wykonującego swój słynny improwizowany wodewilowy numer. A zdaje się, że chodziło właśnie o wodewilowy numer.

Na ścianie wisiał stary telefon; jego beżowa plastikowa obudowa był brudna i pęknięta. Gliniarz zerwał słuchawkę z widełek, podniósł ją do ucha.

- Pokojówka? - krzyknął. - Proszę natychmiast dostarczyć mi pokój! - Odłożył słuchawkę i z szalonym uśmiechem Garfielda przyjrzał się swym więźniom. - Stary numer Jerry'ego Lewisa - wyjaśnił. - Amerykańscy krytycy nie rozumieli Jerry'ego Lewisa, ale we Francji facet był wielki. Buhaj-rozpłodowiec. - Zerknął na Davida. - We Francji też nie ma Boga. Możesz uwierzyć mi na słowo. Tylko cinzano, escargoty i kobiety, które nie golą się pod pachami.

Rozejrzał się sprawdzając, jak przyjęto jego dowcip. Uśmiech powoli spęzł mu z twarzy.

- Słuchajcie ludzie, lepiej dla was, żebyście się stąd nie ruszali - poradził. - Wiem, że się mnie boicie; pewnie nawet macie prawo się mnie bać, ale możecie być pewni, że nie zamknąłem was tu bez powodu. To jedyne bezpieczne miejsce w obrębie ładnych paru kilometrów. Działają tu siły, o których lepiej nawet nie myśleć. A gdy nadejdzie noc... - Przerwał i tylko na nich patrzył, potrząsając głową, jakby myślał o rzeczach zbyt przerażających, by mówić o nich głośno.

Łzesz, ty kłamco - pomyślał David, lecz kiedy przez otwarte okno przy schodach dobiegło kolejne wycie, gotów był zrewidować tę opinię.

- W każdym razie to dobre cele zamykające się na dobre zamki - oświecił ich gliniarz. - Zbudowali je prawdziwi twardziele dla twardych górników. O ucieczce nawet nie ma co myśleć. Jeśli myśleliście o ucieczce, to swoje marzenia możecie wysłać listem poleconym do mamusi. Będziecie mnie słuchać. To najlepsze, co możecie zrobić. Uwiercie mi na słowo.

Wyszedł. Tym razem na dobre; David słyszał na schodach wstrząsający całym budynkiem tupot jego podkutych butów.

Przez chwilę stał nieruchomo. Wiedział, co musi teraz zrobić, musi i już, lecz nie chciał tego robić przy rodzicach. Cóż, w końcu nie miał jednak wyboru. Za to nie pomylił się co do gliniarza. Gliniarz nie czytał w jego umyśle niczym w otwartej gazecie, to nie to, ale coś jednak potrafił w nim odczytać - odczytał na przykład myśli o Bogu. Być może jednak to dobrze. Lepiej, żeby odczytał myśli o Bogu niż myśli o naboju.

Odwrócił się i postąpił dwa kroki w stronę pryczy. Idąc, czuł w kieszeni ciężar ładunku. Czuł go bardzo wyraźnie, bardzo... dobitnie, jakby był to okruch złota.

Nie, czegoś znacznie bardziej niebezpiecznego od złota. Może czegoś radioaktywnego?

Przystanął obok pryczy, plecami do krat celi, a potem powoli opadł na kolana. Wziął głęboki oddech, tak głęboki, że w płucach nie mieściło się po prostu więcej powietrza, odczekał chwilę i wypuścił je cicho. Splótł dłonie na szorstkim wełnianym kocu. Oparł na nich głowę.

- David, co ci się stało? - krzyknęła matka. - Synku!

- Nic mu się nie stało - odparł ojciec.

Chłopiec uśmiechnął się, zamykając oczy.

- Jak to, "nic się nie stało"! - krzychała Ellie Carver. - Tylko na niego popatrz, upadł, stracił przytomność.

On zemdlał. David!

Ich głosy oddalały się już, słabły, lecz nim umilkły, David dosłyszał jeszcze głos ojca.

- Nie zemdlał. Modli się.

Nie ma Boga w Desperation? Dobrze, sprawdzimy.

I David odszedł. Nie obchodziło go już, co sobie pomyślą rodzice, nie obchodziło go, czy pan Siwowłósy widział go podnoszącego nabój do dubeltówki i czy poinformuje potwora o tym, co widział. David nie żałował już swej słodkiej małej siostrzyczki, która nikogo w życiu nie skrzywdziła i nie zasługiwała na to, by zginąć w ten sposób. Szczerze mówiąc, David nie zamieszkiwał już nawet swego ciała. Zawisł w ciemności, ślepy, choć nie głuchy... i w tej ciemności łowił głos Boga.

2

Jak w przypadku większości nawróceń to, które przeżył David, było dramatyczne tylko dla obserwatorów; w jego duszy odbyło się cicho i spokojnie, niemal zwyczajnie. Choć trudno byłoby nazwać je racjonalnym - sprawy ducha nigdy nie są do końca racjonalne - nawrócenie to miało swą logikę, swą prostotę. I - przynajmniej zdaniem samego Davida - nie sposób podważyć jego autentyczność. Spotkał Boga - takie to proste. A także (co sam uważał za znacznie ważniejsze) Bóg spotkał jego.

W listopadzie zeszłego roku najlepszy przyjaciel Davida potrącony został przez samochód, kiedy jechał do szkoły na rowerze; uderzenie cisnęło go na odległą o sześć metrów ścianę domu. Jeździli razem praktycznie każdego ranka, tego dnia jednak David zachorował i został w domu, rzucając heroiczne wyzwanie niezbyt groźnemu wirusowi. Telefon zadzwonił o ósmej trzydzięści. Matka pojawiła się w dużym pokoju w dziesięć minut później, błada i drżąca.

„Davidzie - powiedziała - coś się stało Brianowi. Proszę, tylko się nie denerwuj”.

Następnego dnia z własnej inicjatywy David poszedł odwiedzić przyjaciela w szpitalu. Sam zadzwonił wcześniej do rejestracji i upewnił się, że Brian żyje.

„Skarbie, rozumiem, co czujesz, ale to bardzo zły pomysł” - stwierdził ojciec.

Użycie słowa skarbie, dożywającego swych dni na strychu wraz z pluszowymi zabawkami, dowodziło, jak bardzo zdenerwowany jest Ralph Carver. Ralph wzrokiem poszukał pomocy u żony, lecz Ellen stała w milczeniu przy kuchennym zlewie, nerwowo mnąc ściereczkę do naczyń. Najwyraźniej nie była w stanie pomóc nikomu. Ralph zdawał sobie sprawę z tego, że - jak Bóg na niebie - on sam też niewiele jest w stanie zrobić dla chłopaka, ale kto mógł się spodziewać, że dojdzie kiedyś do takiej rozmowy? Święty Jezu, mały ma zaledwie jedenaście lat, tata nie całkiem jeszcze gotów był rozmawiać z nim poważnie o życiu, nie mówiąc już o rozmowie o śmierci. Dzięki Bogu Kirstie siedziała w pokoju i oglądała filmy rysunkowe.

„Nie - odparł David. - To dobry pomysł. Więcej, to jedyny pomysł”.

Miał zamiar dodać coś jeszcze, coś bohaterskiego i jednocześnie dowodzącego skromności, na przykład: „poza tym Brian z pewnością zrobiłby to dla mnie”, ale zrezygnował. Nie sądził, by rzeczywiście Brian zrobił coś

takiego dla niego, lecz to oczywiście niczego nie zmieniało. Nawet wtedy, przed tym, co zdarzyło się w lasku przy Niedźwiedziej, zrozumiał, choć jeszcze niezbyt wyraźnie, że postanowił odwiedzić przyjaciela nie dla niego, lecz dla siebie.

W tym momencie matka opuściła swą twierdzę przy zlewie. Zrobiła kilka niepewnych kroków w jego kierunku.

“Davidzie, masz największe serce na świecie... najbardziej litościwe serce na świecie... tylko, że Brian... Briana rzuciło...”

“Matka próbuje ci wytłumaczyć, że uderzył głową w ceglany mur - dokończył za nią mąż, sięgając przez stół i biorąc syna za rękę. - Doznał poważnych uszkodzeń mózgu. Jest w stanie śpiączki, brak też pozytywnych oznak życia mózgu. Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?”

“Ich zdaniem zmienił się w warzywo”.

Ralph skrzywił się, lecz skinął głową.

“Znajduje się w takim stanie, że najlepsze, co może go spotkać, to szybki koniec. Jeśli pójdziesz go zobaczyć, nie zobaczysz przyjaciela, którego znałeś, z którym zamieniałeś się na bluzy...”

Ellen wyszła z kuchni, poszła do dużego pokoju, chwyciła w ramiona zdumioną i chyba nieco przestraszoną córeczkę i rozplakała się. Ralph obejrzał się, jakby najbardziej ze wszystkiego pragnął do niej dołączyć, pozostał jednak z synem.

“Najlepiej chyba, żebyś zapamiętał Briana takim, jakim widziałeś go po raz ostatni”.

“Być może, ale tego mi nie wolno. Muszę go odwiedzić. Jeśli nie chcesz mnie odwiedzić, nie ma sprawy. Po szkole pojadę autobusem do szpitala”.

Ojciec westchnął ciężko.

“Niech to cholera, mały, oczywiście, że cię odwiozę. Nie musisz czekać, aż skończy się szkoła. Tylko na litość boską nie rozmawiaj o tym z...”

“Z małą? No przecież...” - nie dodał, że mały Słodczyk odwiedził go już w jego pokoju, pytając o Briana i czy to bolało, i co to zdaniem Davida znaczy umrzeć, i czy gdzieś się potem idzie.

Miała jeszcze co najmniej tysiąc innych pytań, zadawała je z tak poważną buzią i patrzyła na niego wielkimi oczami takimi... takimi słodkimi... no, ale rodziców lepiej jednak nie informować o wszystkim, co dzieje się na świecie, mają swoje lata i łatwo się denerwują.

“Rodzice Briana nie wpuszczą cię do niego na salę - stwierdziła Ellen, wracając do kuchni. - Znam Marka i Debbie od... od lat. Rozpaczą, oczywiście... gdyby coś takiego przydarzyło się tobie, byłabym dosłownie nieprzytomna z rozpaczą... ale z pewnością nie pozwolą małemu chłopcu patrzeć na... na innego małego chłopca, który umiera”.

“Zadzwoń im zaraz po telefonie do szpitala - powiedział cicho David. - Spytałem, czy mogę zobaczyć Briana. Pani Ross się zgodziła”.

Tata nadal trzymał go za rękę. Davidowi wcale to nie przeszkadzało. Bardzo kochał rodziców, żałował, że ta sprawa tak na nich wpływa, ale ani mu w głowie nie powstało, by nie odwiedzić przyjaciela. Było tak, jakby już wtedy prowadziła go jakaś moc, moc nie pochodząca od niego, lecz z zewnątrz, podobnie jak starsza i mądrzejsza osoba może prowadzić rękę dziecka rysującego psa, kurę albo śniegowego bałwanka.

“Co w nią wstąpiło? - spytała zduszonym głosem Ellen Carver. - Do diabła, co też wstąpiło w tę kobietę, tylko to chcę wiedzieć”.

“Powiedziała, że cieszy się, że przyjdę go pożegnać. Powiedziała, że zamierzają wyłączyć to całe podtrzymywanie życia w weekend, zaraz po przyjeździe dziadków, którzy też chcą go pożegnać. Powiedziała, że cieszy się, że mogę przyjść wcześniej”. Następnego dnia Ralph wziął wolne popołudnie i pojechał po syna pod szkołę. David stał przy krawężniku z błękitną przepustką ZWOLNIONY PRZED KOŃCEM LEKCJI wystającą z kieszonki koszuli. Dojechali do szpitala, po czym windą - najwolniejszą chyba na świecie - dostali się na czwarte piętro, na oddział intensywnej terapii. W windzie David próbował jakoś przygotować się na to, co miał niedługo zobaczyć.

“Nie przestrasz się, Davidzie - powiedziała przez telefon pani Ross. - Brian nie wygląda dobrze. Jesteśmy pewni, że nie czuje bólu, degeneracja mózgu posunęła się za daleko... ale nie wygląda dobrze”.

“Chcesz, żebym wszedł z tobą?” - spytał go ojciec, kiedy znaleźli się przed drzwiami sali, na której leżał Brian.

David potrząsnął głową. Nadal był we władzy tego dziwnego, potężnego uczucia, które opanowało go, gdy blada, trzęsąca się matka powiedziała mu o wypadku; uczucia, że prowadzi go ktoś znacznie bardziej doświadczony od niego, ktoś, kto będzie odważny za niego, gdyby zabrakło mu odwagi.

Wszedł na salę. Byli tam pan i pani Ross. Siedzieli na plastikowych czerwonych krzeselkach. W rękach trzymali otwarte książki, ale ich nie czytali. Brian leżał na łóżku przy oknie, otoczony urządzeniami popiskującymi od czasu do czasu i kreślącymi linie na zielonych monitorach. Do pasa przykrywał go lekki koc. Białą, szpitalną koszulę miał rozpiętą; otaczała jego pierś jak tandetne żółtawe skrzydła anioła ze szkolnego przedstawienia. Tors okrywało mu mnóstwo różnych przyssawek, kilka z nich przyczepiono mu także do głowy, pod wielki kask z bandaża. Spod tego bandaża, po lewym policzku aż do kącika ust, w którym zaginała się jak haczyk na ryby, biegła długa rana zszyta czarną nicią. Davidowi Brian wydawał się potworem z filmów o Frankensteinie, tych starych, z Borisem Karloffem, które pokazywano czasami w sobotnie wieczory w telewizji. Czasami, kiedy zostawał na noc u Briana, oglądali takie filmy zjadając popcorn. Obaj kochali te czarno-białe potwory. Raz, akurat szła “Mumia”, Brian spojrzął na przyjaciela. “O cholera, mumia nas ściga, może przyspieszylibyśmy kroku?” - powiedział.

Głupie to było, ale za piętnaście pierwsza w nocy rozbawić jedenastoletnich chłopców może dosłownie wszystko, więc obaj śmiali się prawie do nieprzytomności.

Brian miał otwarte oczy. Tymi oczami wpatrywał się w Davida... i przez niego. Były puste jak klasa w sierpniu.

Mocniej niż dotychczas czując działanie wspomagającej go siły, David wszedł w magiczny krąg maszynierii. Przyjrzał się przyssawkom na głowie i piersi przyjaciela. Przyjrzał się odchodzącym od nich kablom. Przyjrzał się tak dziwnie krzywemu kaskowi bandaża spowijającego głowę Briana. Wyglądało na to, że ukryty pod bandażem kawałek czaszki radykalnie zmienił kształt. Oczywiście, jeśli trafia się głową w mur, coś musi puścić. Z prawego ramienia Briana wychodziła przezroczysta rurka, druga taka przyczepiona była do jego piersi. Obie prowadziły do wiszących na wieszakach plastikowych torebek z jakimś płynem. Cieńsze rurki wędrowały do obu jego nozdrzy, jedna otaczała także przegub.

Te maszyny utrzymują go przy życiu - pomyślał David. - Kiedy je wyłączą, kiedy wyjmą igły...

Wypełniło go straszliwe uczucie niedowierzania, zdumienia wywodzącego się wprost z wszechogarniającego żalu. Z Brianem polewali się ze zbiorniczka z wodą do picia przed ich klasą, kiedy był tylko cień nadziei, że ujdzie im to na sucho. Jeździli na rowerach przez słynny lasek na Niedźwiedziej, udając, że są

komandosami. Wymieniali się książkami, komiksami i kartami baseballowymi, a czasami siedzieli po prostu na tylnym ganku domu Davida, grając na gameboyu Briana i pijąc lemoniadę przygotowaną przez mamę Dave'a. Przybijali piątki i nazywali się nawzajem "brzydkimi chłopcami". Czasami, gdy w pobliżu nie było nikogo, określenie "brzydki chłopiec" zastępowali "popaprańcem", a nawet "pierdolcem". W drugiej klasie każdy przebił sobie palec szpilką - w ten sposób zawarli braterstwo krwi. W sierpniu tego roku, z pomocą Marka Rossa i książkowej ilustracji, zbudowali Partenon z kapsli od butelek. Okazał się tak udany, że Mark umieścił go w korytarzu przy drzwiach i chwalił się nim gościom. Pierwszego stycznia Partenon miał przejechać całe półtoje przecznicy do domu Carverów.

Właśnie o ich Partenonie myślał David, stojąc przy łożu śmierci swego przyjaciela. Zbudowali ten Partenon we trójkę - on, Brian i tata Briana - w garażu Rossów, podczas gdy stojący na półce za ich plecami magnetofon grał niez mordowanie *Rattle and Hum*. Śmieszne osiągnięcie, w końcu przecież używali wyłącznie kapsli z butelek, fajna sprawa, ponieważ ich konstrukcja wyglądała tak, jak powinna wyglądać, każdy był w stanie powiedzieć, co przedstawia. Fajna sprawa, bo zbudowali go własnymi rękami. A przecież już niedługo dłonie Briana oczyści przedsiębiorca pogrzebowy, używający specjalnej szczoteczki i zwracający szczególną uwagę na paznokcie. David miał wrażenie, że ludzie z obrzydzeniem odwracaliby się od zwłok z brudnymi paznokciami. A kiedy dłonie Briana będą czyste, a jego ciało znajdzie się w trumnie wybranej przez bliskich, przedsiębiorca pogrzebowy ułoży je ze splecionymi palcami, porządnie niczym trampki. Z tak porządnie złożonymi dłońmi Brian zostanie przysypany ziemią. Ze złożonymi dłońmi, jak kazano im składać dłonie na pulpicie ławki, kiedy obaj byli w drugiej klasie. Dłonie te nie zbudują już niczego z kapsli od butelek po piwie. Dłonie te nie prysną już na niego ze zbiorniczka z wodą do picia. Dłonie te spoczywać będą w ciemności.

Myśli te nie przeraziły Davida, w jego głowie i sercu wzbudziły wyłącznie rozpacz, jakby obraz tych porządnie złożonych dłoni wraz z ciałem spoczywających w trumnie dowodził, że nic nie jest warte niczego, że człowiek może robić co w jego mocy, a i tak nie ucieknie przed śmiercią, że nawet dzieci nie są odporne na śmierć, czającą się za pastelową fasadą życia, w którą wierzą rodzice... w którą każą dzieciom wierzyć rodzice.

Państwo Ross trwali w milczeniu, podczas gdy David stał przy łóżku ich syna, rozważając wszystkie te poważne sprawy, sprawy których na ogół nie rozważają dzieci. Ich milczenie pomagało chłopcu; lubił państwa Ross, zwłaszcza Marka, nieco zwariowanego w całkiem interesujący sposób. Nie przyszedł tu przecież, żeby zobaczyć się z nimi. Nie oni podłączeni byli do maszyn oddychających za kogoś i żywiących kogoś, maszyn, które miano odłączyć, gdy tylko dziadkowie pożegnają się z tym kimś.

Przyszedł tu, żeby zobaczyć Briana.

Ujął jego dłoń. Była zaskakująco chłodna i bezwładna, ale przecież nadal żyła. Czuło się pulsujące w niej życie - niczym w pracującym na luzie silniku. Ścisnął ją lekko.

- Jak leci, zły chłopcze? - szepnął.

Żadnej odpowiedzi, tylko szum maszyny, oddychającej za Briana, bo w jego mózgu wysiadła większość bezpieczników. Ta maszyna stała w głowie łóżka i była największa ze wszystkich. Z boku wychodziła z niej przezroczysta plastikowa rura, w rurze zaś znajdowało się coś w rodzaju białego akordeonu. Szumiała cicho - wszystko w tej sali szumiała cicho - ale ten akordeon sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Za każdym razem, kiedy się rozciągał, wydawał niski, niepokojący dźwięk. Trochę syk, trochę jęk, jakby mózg Briana nie zdegenerował się wystarczająco i nadal odczuwał ból, lecz ta boląca część została usunięta z jego ciała i wsadzona w plastikową rurę, w której ból się nie zwiększał. W której była ścisnana na śmierć przez akordeon.

Poza tym były jeszcze oczy. Oczy, w które David co chwila spoglądał. Nikt mu nie powiedział, że Brian będzie miał otwarte oczy, aż do tej chwili był pewien, że jeśli jesteś nieprzytomny, musisz mieć zamknięte oczy. Debbie Ross życzyła mu, żeby się nie przestraszył, powiedziała, że Brian nie wygląda dobrze, ale ani słowem nie wspomniała o tych oczach wypchanego losia. Ale może to w porządku, może człowieka nic nigdy nie przygotowuje na widok czegoś strasznego, niezależnie od tego, ile ma się lat.

Jedno z oczu Briana całe nabiegło krwią, a zza wielkiej czarnej źrenicy zaledwie widać było cienki brązowy pasek. Drugie wydawało się normalne, ale nic w nim nie było normalnego, w tych oczach nie krył się żaden znak jego przyjaciela, nie było nic. Nie było w nich kogoś, kto kiedyś rozśmieszył go do łez, mówiąc: "O cholera, mumia nas ściga, może przyspieszylibyśmy kroku?", w ogóle go nie było, chyba że tkwił w plastikowej rurze, na łasce białego akordeonu.

David odwracał wzrok, wpatrywał się w ranę niczym haczyk na ryby, na bandażu, na jedno widoczne spod bandażu białe ucho, lecz jego spojrzenie nieuchronnie powracało do otwartych oczu z tak strasznie różnymi źrenicami. Przyciągało go widoczne w ich wyrazie nic, pustka, nieobecność.

Tak nie powinno być - pomyślał. - To... to...

Zle - szepnął jakiś głos, ukryty w głębi jego głowy. Nie przypominał żadnego z głosów, które kiedykolwiek słyszał w myślach, był obcy, zupełnie obcy i kiedy Debbie Ross położyła mu rękę na ramieniu, David musiał mocno zacisnąć wargi, by nie krzyknąć.

"Człowiek, który mu to zrobił, był pijany - powiedziała mama Briana głuchym, zdławionym przez łyżę głosem. łyżę spływały jej po policzkach. - Twierdzi, że nic nie pamięta, że miał przerwę w życiorysie, i wiesz, Dave, co w tym najstraszniejsze? Ja mu wierzę".

"Deb..." - ojciec Briana próbował jej przerwać, ale nie zwróciła na niego najmniejszej nawet uwagi.

"Jak Bóg może pozwolić mu nie pamiętać, że przejechał mojego syna? - Pani Ross niebezpiecznie podniosła głos. Zdziwiony Ralph Carver uchylił drzwi i zajrzał do sali, a pielęgniarka w korytarzu, pchająca wózek z narzędziami, stanęła jak wryta. Patrzyła na salę pięćset osiem wielkimi, strasznie zgorzonymi niebieskimi oczami. - Jak Bóg może być tak miłosierny, by sprawić, że ten człowiek nie będzie budził się z krzykiem, widząc we śnie krew tryskającą z głowy mojego synka? Nie będzie budził się z krzykiem do końca swoich dni!"

Pan Ross objął krzyczącą żonę i próbował ją przytulić. Ralph Carver wycofał się za drzwi jak żółw do skorupy; David dostrzegł to i być może przez chwilę nienawidził ojca, ale nie zapamiętał, co wtedy czuł. Pamiętał za to, jak patrzył na bladą, nieruchomą twarz Briana, jakby przyciśniętą do poduszki niesymetrycznym bandażem; patrzył na białe ucho, rozcięcie, którego krwawe brzegi zszyte były czarną nicią, na oczy. Przede wszystkim zapamiętał oczy. Matka Briana wiła się, krzyczała z całych sił nad jego głową, a oczy Briana w ogóle nie zmieniły wyrazu.

Ale on tam jest - pomyślał nagle i ta myśl, podobnie jak niemal każda z myśli, które przychodziły mu do głowy od chwili, gdy dowiedział się o wypadku od matki, nie sprawiała wrażenia czegoś, co urodziło mu się w głowie, lecz czegoś, co przez niego przeniknęło... jakby jego mózg i ciało zmieniły się w rodzaj rury. Jest gdzieś tam, wiem, że jest. Nadal tam jest, jakby przykryła go lawina... lub jakby ziemia się pod nim zapadła.

Debbie Ross całkowicie straciła panowanie nad sobą. Niemał wyła, szarpała się w uścisku męża, próbując mu się wyrwać. Pan Ross zdołał ją pociągnąć w kierunku jednego z czerwonych krzesełek, ale musiał mocno się przy tym napracować. Pielęgniarka dołączyła do niego, objęła ją w pasie.

“Pani Ross, proszę, niech pani usiądzie. Zaraz poczuje się pani lepiej”.

“Co to za Bóg, co pozwala mordercy nie widzieć, jak zabija dziecko? - krzyżała mama Briana. - To taki Bóg, co pragnie, żeby morderca znów się upił i zabił jeszcze kogoś. To Bóg kochający pijaków, a nienawidzący małych chłopców! Taki Bóg!”

Brian patrzył w przestrzeń pustymi oczami. Słuchał krzyku matki woskowobiałym uchem. Nieświadom świata. Nieobecny. A jednak...

Tak - szepnął głos w głowie Davida. - *Tak, on jest. On jest. Gdzieś.*

“Siostró, proszę zrobić zastrzyk mojej żonie, dobrze?” - poprosił pan Ross.

Z trudem powstrzymywał żonę przed rzucając się przez salę, pochwycając w ramiona Davida i syna, może ich obu naraz. W jej głowie przerwała się jakaś tama. Tama powstrzymująca powódź słów.

“Pójdę po doktora Burgoyne'a, widziałam go tam, w końcu korytarza” - powiedziała pielęgniarka i szybko wyszła.

Tata Briana uśmiechnął się do Davida nerwowym uśmiechem. Pot spływał mu po policzkach, świecił na czole mnóstwem drobnych kropolek. Oczy miał przekrwione i wyglądał tak, jakby już zaczął tracić na wadze. David przypuszczał, że coś takiego jest właściwie niemożliwe, ale pan Ross przecież tak właśnie wyglądał. Jedną ręką podtrzymywał żonę w talii, drugą zacisnął na jej ramieniu.

“Lepiej już idź, Davidzie. - poprosił. Bardzo starał się nie dyszeć głośno, ale mimo to dyszał. Trochę. - Nie... nie jesteśmy sobą”.

Przecież jeszcze się z nim nie pożegnałem - omal nie powiedział David, lecz nagle zorientował się, że to nie pot spływa po policzkach pana Rossa, tylko łzy. To go poruszyło. Podeszedł do drzwi, odwrócił się, zobaczył obraz państwa Ross, rozmyty i rozmnożony w tłum rodziców, i dopiero wówczas uświadomił sobie, że sam jest bliski łez.

“Czy będę mógł tu wrócić, panie Ross? - spytał cienkim, drżącym głosem, który z trudem rozpoznał jako swój głos. - Może jutro?”

Pani Ross przestała się szarpać. Pan Ross podtrzymywał ją teraz, splótłszy dłonie tuż pod jej piersiami. Głowa pani Ross zwisała tak, że włosy zasłaniały jej twarz. Davidowi przypomniała się scena z zapasów, wolnej amerykanki, którą oglądali czasem z Brianem; czasami jeden zapasnik przytrzymywał drugiego w takim chwycie. “O, cholera, mumia nas ściga...” - pomyślał, zupełnie bez sensu.

Pan Ross potrząsnął głową.

“Nie sądzę, Davey” - powiedział po prostu.

“Ale...”

“Nie, nie sądzę. Lekarze twierdzą, że Brian nie ma szans na... na...”

Jego twarz zaczęła się zmieniać. David nigdy nie widział twarzy dorosłego zmieniającej się w ten sposób, jakby coś rozrywało ją od środka. Dopiero później, w lasku przy Niedźwiedziej, zrozumiał z tego... troszeczkę. Widział po prostu, co się dzieje, kiedy ktoś, kto nie płakał od bardzo dawna, może nawet od lat, nie jest wreszcie w stanie powstrzymać łez. Tak to wygląda, kiedy pęka tama.

“Synku! - krzyknął pan Ross. - O, mój synku!”

Puścił żonę i ciężko oparł się plecami o ścianę pomiędzy czerwonymi plastikowymi krzeselkami. Stał tak przez chwilę, raczej chwiejnie, a potem kolana się pod nim ugięły. Spłynął po ścianie, usiadł na podłodze, wyciągnął ręce w kierunku łóżka; policzki miał mokre, u nosa wisiał mu smark, włosy z tyłu głowy sterczały na

wszystkie strony, koszula wyszła ze spodni, a nogawki zadarły się tak, że między nimi i skarpetkami pojawiło się ciało. Siedział i wył. Żona uklękła przy nim, próbowała go przytulić, jak najlepiej umiała, i właśnie wtedy na salę wszedł doktor z pielęgniarką deptającą mu po piętach, David zaś wyslizgnął się na korytarz, płacząc, bardzo płacząc, ale bardzo też starając się nie szlochać. W końcu byli przecież w szpitalu, wśród chorych, którzy próbują wyzdrowieć.

Zobaczył ojca, bardzo bladego, tak bladego, jak matka, kiedy powiedziała mu o wypadku. Ojciec złapał go za rękę - jego dłoń była zimniejsza od dłoni syna.

“Bardzo mi przykro, że musiałeś być świadkiem czegoś takiego” - powiedział tata, kiedy czekali na najwolniejszą windę świata.

David miał wrażenie, że ojciec po prostu nie był w stanie wymyślić niczego innego. Kiedy wracali do domu, Ralph Carver dwukrotnie próbował coś powiedzieć i dwukrotnie rezygnował. Wreszcie włączył radio, znalazł stację nadającą złote przeboje, wyłączył je i spytał syna, czy nie chciałby się czegoś napić, na przykład: zimnego koktajlu mlecznego. David tylko potrząsnął głową, a tata nastawił wtedy radio tak głośno, jak jeszcze nigdy przedtem.

Kiedy dotarli do domu, powiedział ojcu, że chciałby porzucić trochę do kosza na podjeździe. Ojciec odparł: “Tak, oczywiście” i niemal wbiegł do domu. Stojąc przy pęknięciu w asfalcie - swej prywatnej linii rzutów osobistych - przez otwarte okno nad zlewem słyszał głos rozmawiających w kuchni rodziców. Matka chciała wiedzieć, co się stało, i jak to przyjął chłopiec.

“No więc był świadkiem sceny” - odparł ojciec, jakby śpiączka Briana i jego zbliżająca się wielkimi krokami śmierć były jakąś sztuką teatralną.

A potem David odpłynął. Znowu naszło na niego znajome już uczucie obcości, uczucie nieważności, jakby był małą częścią czegoś wielkiego, a nie całością. Nagle poczuł nieprzewycięzoną pokusę, by pojechać do lasu przy Niedźwiedziej, na tę małą polankę. Na polankę prowadziła ścieżka, wąska, ale rowerami można było po niej przejechać pod warunkiem, że jechało się gęsiego. To tu, w Strażnicy Wietkongu, wypróbowali z Brianem jeden z papierosów Debbie Ross i stwierdzili, że smakuje obrzydliwie, tu razem przeglądali pierwszy w ich życiu egzemplarz *Penthouse'a* (Brian znalazł go na wierzchu kosza na śmieci za E-Z Stop 24, kawałek za domem w stronę śródmieścia), tu siedzieli ze zwieszonymi nogami, prowadząc długie rozmowy i śniąc swe sny... sny prawie wyłącznie o tym, jak to w dziewiątej klasie zostaną królami szkoły West Wentworth. To tu, na polance, na którą prowadził szlak Ho Szi Mina, najmocniej radowali się swą przyjaźnią.

I nagle David poczuł, że musi, po prostu musi tam jechać.

Po raz ostatni zakozłował piłką, którą - wraz z Brianem - rozegrali chyba z milion meczów jeden na jeden - ugiął nogi w kolanach i rzucił. Nic z tego, siatka. Złapał odbitą od ściany domu piłkę i rzucił ją na trawnik. Rodzice nadal siedzieli w kuchni, ich głosy nadal słyszał przez otwarte okno, ale chłopu nawet do głowy nie przyszło, żeby wsadzić głowę do środka i poinformować ich, co ma zamiar zrobić. Jeszcze by mu zabronili.

Nie przyszło mu także do głowy, żeby wziąć rower. Poszedł piechotą. Szedł ze spuszczoną głową, z kieszeni nadal wystawała mu jaskrawoniebieska przepustka ZWOLNIONY PRZED KOŃCEM LEKCJI, choć lekcje już dawno się skończyły. Wielkie żółte autobusy mknęły po swych trasach, mijały go grupki rozkrzyczanych dzieciaków wymachujących zeszytami i koszykami na lunch. David nawet ich nie zauważał. Jego umysł znajdował się na innym planie. W przyszłości wielebny Martin miał opowiedzieć mu o “cichym, ledwie słyszalnym głosie Boga” i wtedy chłopiec uświadomił sobie, że skądś go zna, choć teraz nie brzmiało to jak głos,

nie wydawało się myśla, nie było nawet wrażeniem. Przychodziła mu do głowy tylko analogia z tym, że kiedy człowiek jest spragniony, całe jego ciało krzyczy o wodę, jak w końcu gotów jest położyć się w błocie i pić z kałuży, jeśli nic lepszego nie ma akurat pod ręką.

Doszedł do Niedźwiedziej, skąd skręcił na szlak Ho Szi Mina. Szedł nim powoli, z głową nadal spuszczoną; bardzo przypominał profesora zmagającego się z trudnym problemem. Szlak Ho Szi Mina nie był wyłączną własnością jego i Briana, bawiło się tu mnóstwo dzieci wracających ze szkoły, lecz w to ciepłe jesienne popołudnie był całkowicie opustoszały, jakby specjalnie, w oczekiwaniu na przyjscie najlepszego przyjaciela Briana. W połowie drogi do polanki leżał papierek z balonika "Trzej muszkieierowie" - jedynego balonika, jaki tolerował Brian, który nazywał go "Trzy muchy". David nie miał wątpliwości, że to właśnie Brian wyrzucił ten papierek dzień, może dwa dni przed wypadkiem. David podniósł go. Brian na ogół nie śmiecił, papierki po słodczykach chował najczęściej do kieszeni, ale...

Ale może coś sprawiło, że go wyrzucił. Coś, co wiedziało, że będę szedł tędy po tym, jak samochód go potracił, wyrzucił w powietrze, a Brian uderzył głową w ceglany mur, coś, co wiedziało, że znajdę go i przypomnę sobie przyjaciela.

David próbował wytłumaczyć sobie, że to szaleństwo, że brakuje mu piątej kleпки, ale najbardziej szalone wydało mu się to, że sam sobie nie wierzył. Być może taka myśl brzmiałaby po wariacku, gdyby wypowiedzieć ją głośno, lecz jako zrodzona w głowie myśl wydawała się całkowicie logiczna.

Nie zastanawiając się nad tym, co właściwie robi, przycisnął czerwono-srebrny papierek do ust i wysał z niego resztki czekolady. Oczy miał zamknięte, spod powiek płynęły łzy. Kiedy zabrakło czekolady i w ustach miał już tylko smak mokrego papieru, wypluł opakowanie i poszedł dalej.

Na wschodnim skraju polanki stał dąb o dwóch wielkich gałęziach, rozdzielających się jakieś sześć metrów nad ziemią w kształt litery V. Chłopcy nie mieli odwagi pójść na całość i zbudować tam domku - ktoś mógłby go zauważyć i kazać im go zniszczyć - ale pewnego dnia przynieśli trochę desek, gwoździe, młotek i zamiast domku zbudowali platformę, która przetrwała. Wiedzieli, że czasami używają jej uczniowie liceum - na poczerniałych od deszczu i słońca deskach parę razy znaleźli niedopałki papierosów, puszki po piwie, a raz nawet damskie majteczki z podwiązkami - najwyraźniej nigdy jednak po zmroku, a poza tym świadomość, że coś z ich roboty przydaje się starszym chłopcom, była w pewien sposób przyjemna. Poza tym uchwyty, które trzeba było złapać, żeby wspiąć się na platformę, znajdowały się wystarczająco wysoko, by zniechęcić do wspinaczki najmniejsze dzieciaki.

David wspiął się na górę. Policzki miał mokre od łez, oczy podpuchnięte, w ustach nadal czuł smak czekolady i wilgotnego papieru, w uszach brzmiał mu syk akordeonu w plastikowej rurce. Miał wrażenie, że na platformie znajdzie kolejny znak od Briana, na przykład papierek po baloniku jak przy drodze, ale nie znalazł nic oprócz deski z napisem "Strażnica Wietkongu", którą przybili kilka tygodni po skończeniu platformy. Nazwę tą wymyślili po obejrzeniu jakiegoś starego filmu z Arnoldem Schwarzeneggerem, David nie pamiętał już jego tytułu. Był niemal pewien, że pewnego dnia po wejściu na górę odkryją, że starsi chłopcy zerwali deskę albo zamalowali ją napisami w rodzaju MOŻESZ MNEE WYSSAĆ, ale nie zrobili nic podobnego, więc pewnie nazwa też im się podobała.

Gałęziami drzew poruszał wiatr, chłodząc rozpaloną skórę Davida. Dopiero dziś Brian nie czuł tego wiatru wraz z nim. Siedzieliby ze zwieszonymi nogami, rozmawiali, śmiali się.

David wybuchnął płaczem.

Dlaczego tu jestem?

Żadnej odpowiedzi.

Dlaczego tu przyszedłem? Czy coś mnie do tego skłoniło?

Żadnej odpowiedzi.

Kimkolwiek jesteś, proszę, odpowiedz mi.

Żadnej odpowiedzi przez bardzo długą chwilę... a polem coś usłyszał i nie miał wrażenia, że rozmawia sam ze sobą, że oszukuje się co do tego, co robi, by doznać choć drobnego pocieszenia. Jak wtedy, kiedy siał przy łóżku Briana i teraz myśl, która się pojawiła, nie mogła być jego myślą.

Tak - powiedział ów głos. - *Jestem tutaj.*

Kim jesteś?

Kim jestem? - powtórzył głos i umilkł, jakby milczeniem coś wyjaśniał.

David usiadł po turecku pośrodku platformy i zamknął oczy. Dłońmi objął kolana. Otworzył umysł, jak potrafił najlepiej. Nie miał pojęcia, co jeszcze powinien zrobić. W tej pozycji czekał przez nieokreślony czas, słysząc odległe głosy wracających ze szkoły do domu dzieci, świadomy czarno-czerwonych wzorów tańczących mu pod powiekami. Wiatr kołysał gałęziami nad jego głową, a po twarzy przemykały mu na zmianę wzory cienia i plamy słońca.

Powiedz mi, czego chcesz.

Żadnej odpowiedzi. Głos najwyraźniej niczego od niego nie chciał.

Więc powiedz mi, co mam zrobić.

Żadnej odpowiedzi. Głos milczał.

Z bardzo, bardzo daleka dobiegł go dźwięk gwizdka z remizy. Minęła piąta. Siedział tak na platformie, nie otwierając oczu, przez co najmniej godzinę, być może nawet blisko dwie. Rodzice z pewnością zauważyli już, że nie ma go na podjeździe, dostrzegli leżącą na trawniku piłkę i pewnie się denerwują. David kochał ich i nie chciał ich denerwować - w pewien sposób rozumiał nawet, że zbliżająca się wielkimi krokami śmierć Briana była dla nich ciosem równie dotkliwym jak dla niego - ale nie mógł jeszcze wrócić do domu. Przecież nie skończył.

Chcesz, żebym się modlił? - spytał głosu. - Bo jeśli chcesz, spróbuję, chociaż nie wiem jak. Nie chodzimy do kościoła i...

Głos przerwał mu, nie zły i nie rozbawiony, pozbawiony choćby śladu niecierpliwości; nie zdradzał żadnych możliwych do odczytania uczuć.

Już się modlisz.

O co powinienem się modlić?

O cholera, mumia nas ściga - odparł głos. - *Może przyspieszylibyśmy kroku?*

Nie wiem, co to znaczy.

Wiesz doskonale.

Nie, nie wiem.

“Tak, wiem - powiedział David. A raczej wyjęczał. - To znaczy, że mam prosić o to, o co żadne z nich nawet nie ośmieliło się prosić, modlić się o to, o co żadne z nich nawet nie ośmieliło się modlić. Prawda?”

Żadnej odpowiedzi.

David otworzył oczy. Poraziło go złotoczerwone światło październikowego zmierzchu. Poniżej kolan nogi mu zdrętwiały, czuł się tak, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu. Proste, nie skrywane piękno tego dnia

wręcz go oszołomiło; był w pełni świadom tego, że jest częścią czegoś większego, że jest komórką żywej skóry świata. Podniósł dłonie z kolan, obrócił je, uniósł i wyprostował.

“Niech wyzdrowieje - poprosił. - Boże, proszę, niech wyzdrowieje. Jeśli mi to zrobisz, ja zrobię coś dla Ciebie. Dowiem się, czego chcesz, a potem zrobię to dla Ciebie. Obiecuję”.

Tym razem nie zamknął oczu, ale słuchał uważnie; musiał wiedzieć, czy głos nie ma przypadkiem jeszcze czegoś do powiedzenia. Mogło się wydawać, że nie. David podparł się rękami, spróbował wstać i aż się skrzywił, czując ukłucia niezliczonych igiełek bólu w nogach, od stóp w górę. Zdołał się nawet roześmiać. Złapał gałąź, by utrzymać równowagę, i w tym momencie głos jednak się odezwał.

David słuchał go, przechyliwszy głowę, nadal trzymał się gałęzi i nadal czuł śmieszne drganie mięśni, do których krew dopływała dopiero teraz. Potem skinął głową. W pień drzewa wbili trzy gwoździe, przytrzymujące deseczkę z napisem “Strażnica Wietkongu”. Od tego czasu deska popękała i skurczyła się i zardzewiały główki gwoździ wystawały nieco. Chłopiec wyjął z kieszeni koszulki niebieską przepustkę i nabił kawałek papieru na jeden z nich. Przez chwilę chodził w miejscu, ale nogi wreszcie przestały mu drżeć i mógł już bezpiecznie zejść na ziemię.

Wrócił do domu. Nie zdążył nawet skrócić na podjazd, kiedy rodzice wyskoczyli przez kuchenne drzwi. Ellen Carver zatrzymała się na ganku, unosząc dłoń do czoła, by osłonić oczy przed słońcem, Ralph zaś wybiegł na chodnik, złapał go za ramiona i przytulił.

“Gdzieś ty był? Gdzieś ty do cholery był, Davidzie?”

“Poszedłem na spacer. Do lasku przy Niedźwiedziej. Rozmyślałem o Brianie”.

“No, wystraszyłeś nas śmiertelnie - powiedziała mama, do której tymczasem dołączyła Kirsten. Zajadała galaretkę z miseczki, pod pachą miała ulubioną lalkę, Melissę Sweetheart. - Nawet Kirstie się denerwowała, prawda?”

“Nie” - odparła spokojnie dziewczynka, ze smakiem zajadając galaretkę.

“Nic ci się nie stało?” - spytał go ojciec.

“Nic”.

“Jesteś pewien?”

“Tak”.

Dave wszedł do domu, po drodze pociągając siostrzyczkę za włosy. Kirstie skrzywiła się, a potem uśmiechnęła.

“Kolacja już prawie gotowa, idź umyć ręce” - zaordynowała matka.

Zadzwoił telefon. Poszła go odebrać i nagle, ostro, zawołała: “David!” Chłopiec szedł właśnie do łazienki na parterze umyć ręce, rzeczywiście brudne, lepkie od żywicy i kory. Kiedy się odwrócił, dostrzegł, że matka jedną ręką wyciąga do niego słuchawkę, drugą nerwowo mnie fartuch. Próbowwała coś powiedzieć i nie mogła, tylko poruszała wargami. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz.

“To Debbie Ross - powiedziała. - Do ciebie. Płacze. To już chyba koniec. Na litość boską, bądź dla niej miły”.

David podszedł i wziął słuchawkę. Znów odczuwał tę... inność. Był pewien, że matka ma rację, przynajmniej częściowo - coś się rzeczywiście skończyło.

“Halo? - rzucił do słuchawki. - Pani Ross?”

Matka Briana płakała tak, że najpierw w ogóle nie była w stanie wykrztusić słowa. Próbowwała, ale szlochała tylko i powtarzała: "To... to... to..." Stojący gdzieś dalej od telefonu Mark Ross powiedział: "Oddaj mi słuchawkę", ona zaś odparła: "Nie, wszystko w porządku". David usłyszał potężne kwaknięcie niczym wścieklej gęsi, a potem słowa:

"Brian się obudził".

"Tak?" - Ucieszyło go to, był szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu, ale nie dziwił się, wcale się nie dziwił.

"Czy on umarł?" - odczytał z ust matki, nadal nerwowo gniotącej fartuch.

"Nie" - poinformował głośno rodziców, osłaniając słuchawkę dłonią.

Mógł sobie na to pozwolić bo pani Ross znów się rozszlochała. Pomyślał, że - przynajmniej przez pewien czas - będzie płakać informując kogokolwiek o swym szczęściu. Nie może nie płakać. W głębi serca nie miała nadziei.

"Czy on umarł?" - powtórzyła bezgłośnie matka.

"Nie! - odparł nieco ostrzej, trochę zły. Nie słyszała go, zupełnie jakby była głucha. - Nie umarł, żyje. Pani Ross mówi, że się przebudził".

Ojciec i matka gapili się na niego z otwartymi ustami jak ryby w akwariu. Minęła ich Słodyczek, nadal z buzią pełną galaretki. Patrzyła w twarzyczkę lalki, sterczącej jej sztywno spod pachy.

"Mówiłam ci, że tak będzie - napomniała Melissę Sweetheart groźnym tonem, mówiąc wyraźnie "koniec dyskusji". - A nie mówiłam?"

"Przebudził się? - powtórzyła Ellen cichym, nieprzytomnie zdumionym głosem. - Żyje?"

"David, jesteś tam?" - rozległ się w słuchawce głos pani Ross.

"Tak, słucham".

"Jakieś dwadzieścia minut po tym, jak wyszedłeś, EEG zaczęło wskazywać fale. Ja zobaczyłam je pierwsza, Mark wyskoczył do bufetu kupić nam coś do picia. Poszłam do pokoju pielęgniarek. Nie uwierzyły mi. - Matka Briana płakała i śmiała się przez łzy. - Oczywiście, że nie wierzyły. Nikt by nie uwierzył. Kiedy wreszcie ściągnęłam którąś z nich do jego łóżka, wezwali ekipę techniczną zamiast lekarza, bo nadal nie byli w stanie uwierzyć. Przede wszystkim wymienili monitor, czy to nie najśmieszniejsze ze wszystkiego?"

"Rzeczywiście, bardzo śmieszne" - przyznał David.

Oboje rodzice próbowali teraz zakomunikować mu coś bez słów, a tata w dodatku wymachiwał jeszcze rękami. Davidowi wydał się pensjonariuszem wariatkowa, któremu wydaje się, że prowadzi teleturniej. Omal się nie roześmiał. Nie chciał się śmiać, pani Ross nic by przecież nie zrozumiała, więc odwrócił się do ściany.

"Dopiero kiedy na drugim monitorze zobaczyli takie same fale, nawet mocniejsze, jedna z pielęgniarek wezwała doktora Waslewskiego. To neurolog. Nim do nas dołączył, Brian otworzył oczy. Popatrzył na nas. Zapytał, czy nakarmiłam złote rybki. Powiedziałam, że tak, nakarmiłam i że z rybkami wszystko w porządku. Nie płakałam ani nic. Byłam zbyt zdumiona, żeby się popłakać. Potem Brian powiedział jeszcze, że boli go głowa i znów zamknął oczy. Kiedy przyszedł doktor Waslewski, Brian wyglądał dokładnie jak w śpiączce. Zobaczyłam, że doktor patrzy na siostrę, jakby chciał powiedzieć: "Czemu zwracacie mi głowę bzdurami?" No, wiesz".

"Jasne".

“Ale kiedy klasnął mu przy uchu, Brian natychmiast znów otworzył oczy. Powinieneś zobaczyć, jaką minę zrobił ten stary Polaczek. - Roześmiała się głośno, chrapliwie, śmiechem szaleńca. - Potem Brian po... po... powiedział, że chce mu się pić, i zapytał, czy mógłby dostać szklankę wody”.

I w tym momencie Debbie Ross załamała się całkowicie. Szlochała w słuchawkę tak głośno, że chłopca rozboleło ucho. Musiała oddać słuchawkę mężowi.

“David, jesteś?” - odezwał się pan Ross.

Głos miał niezbyt pewny, ale przynajmniej nie płakał aż tak przeraźliwie. Co za ulga!

“Jestem”.

“Brian nie pamięta wypadku, nie pamięta niczego od poprzedniego wieczoru, kiedy odrobił lekcje. Wie jednak, jak się nazywa, gdzie mieszka, zna nasze imiona. Wie, kto jest prezydentem, rozwiązuje proste zadania matematyczne. Doktor Waslewski twierdzi, że czytał o takich przypadkach, ale w życiu żadnego nie widział. Powiedział, że mamy do czynienia z »klinicznym cudem«. Nie wiem, czy to coś znaczy, czy może są to tylko słowa, które zawsze pragnął powiedzieć, ale nic mnie to nie obchodzi. Chcę ci tylko podziękować, Davidzie. I Debbie także. Dziękujemy ci z całego serca.

“Mnie? - zdumiał się David. Ktoś szarpał go za ramię, próbował odwrócić go twarzą do pokoju. Zignorował wysiłki tego kogoś. - Za co mi państwo dziękują?”

“Za to, że zwróciłeś nam syna. Mówiłeś coś do niego, a te fale pokazały się zaraz po twoim wyjściu. Słyszałem, że coś mówiłeś, Davey. Usłyszał cię i wrócił do nas”.

“To nie ja” - powiedział chłopiec i wreszcie się odwrócił.

Rodzice omal go nie zadusili, tak na niego napierali, z ich twarzy odczytać można było i nadzieję, i zdumienie, i niedowierzanie. Matka płakała. Jezu, lzy miały dzisiaj dobry dzień. Tylko mała, która na ogół ryczała co najmniej sześć z każdych dwudziestu czterech godzin, zachowywała się dojrzałe, poważnie.

“Co wiem, to wiem - powiedział pan Ross. - Co wiem, to wiem, wiesz?”

David zdawał sobie sprawę z tego, że musi już kończyć, musi porozmawiać z rodzicami, nim gorączkowymi spojrzeniami podpałą mu koszulę, ale przedtem musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

“A o której godzinie obudził się i spytał o złote rybki? Ile czasu minęło od chwili, kiedy zobaczyli państwo fale?”

“Niech pomyślę... zmieniali monitor... mówiła ci o tym, prawda? Potem... właściwie nie wiem... - Pan Ross przerwał na chwilę. - Tak, wiem! - oznajmił. - Pamiętam gwizd z remizy, a potem wszystko się zaczęło. Musiało być najwyżej parę minut po piątej”.

David skinął głową, nie czując zdziwienia. Brian obudził się w momencie, gdy głos poinformował go: “Już się modlisz”.

“Czy mogę odwiedzić go jutro?”

Pan Ross roześmiał się.

“Davidzie, możesz odwiedzić go, kiedy chcesz, nawet o północy. Czemu nie? Doktor Waslewski twierdzi, że i tak powinniśmy go budzić i zadawać mu głupie pytania. Wiem, czego się boi... boi się, że Brian znów zapadnie w śpiączkę, ale mam wrażenie, że to mu nie grozi. A ty?”

“Nie, nie grozi. Do widzenia, panie Ross”.

Odłożył słuchawkę i w tym momencie rodzice omal się na niego nie rzucili. Chcieli wiedzieć “Jak to się stało? Jak to się stało i dlaczego oni sądzą, że miałaś z tym coś wspólnego?”

W tym momencie David poczuł pokusę - zdumiewająco silną pokusę - by skromnie spuścić oczy i powiedzieć: "No wiec Bri obudził się, właściwie tylko tyle wiem... ale..." Potem przerwałby na chwilę, jakby ze sobą walczył, a potem dodałby jeszcze: "Tylko, że... cóż... państwo Rossowie są zdania, że mógł usłyszeć mój głos i zareagować, ale wiecie przecież, jacy byli zdenerwowani". Wystarczyło te kilka słów, by narodziła się legenda. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. I w głębi serca bardzo pragnął stać się bohaterem legendy.

W głębi serca nawet o tym marzył.

Nie powstrzymał go przemawiający mu w duszy obcy głos, lecz myśl, jego własna myśl; poczuł coś, co bardziej wyczuł, niż ubrał w słowa: *Jeśli sobie przypiszesz zasługi, wszystko się skończy.*

Co się skończy?

Wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie - odpowiedziała jego intuicja. - *Wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie.*

"Davidzie, daj spokój - odezwał się ojciec, potrząsając lekko synem. - Przecież umieramy z ciekawości!"

"Brian się obudził - wyjaśnił chłopiec, starannie dobierając słowa. - Może mówić, pamięta, kim jest. Lekarz od mózgu twierdzi, że to prawdziwy cud. Państwu Ross wydaje się, że miałem z tym coś wspólnego, że słyszeli, jak do niego mówię, i to go uratowało, ale się mylą. Trzymałem go tylko za rękę, ale Briana po prostu nie było. W życiu nie widziałem tak martwego człowieka. Dlatego się popłakałem... nie przez jego rodziców, którzy tak strasznie rozpaczali, ale dlatego, że Briana po prostu nie było. Nie wiem, co się stało, i nic mnie to nie obchodzi. Obchodzi mnie jedno: Brian się obudził".

"I nic więcej nie musi cię obchodzić" - powiedziała mama i na chwilę mocno go przytuliła.

"Zgłodniałem - oznajmił David. - Co jest na kolację?"

3

A teraz wisiał w ciemności, ślepy, lecz nie głuchy, wsłuchując się w głos, który wielebny Martin nazwał "cichym, niemal niesłyszalnym głosem Boga". W ciągu tych siedmiu miesięcy wielebny Martin bardzo dokładnie wysłuchał opowieści Davida, i to nie raz, lecz wiele razy. Wielką przyjemność sprawiał mu zwłaszcza ten fragment, w którym chłopiec opisywał, co czuł podczas rozmowy z rodzicami, zaraz po tym, gdy skończył rozmowę z panem Rossem.

"Miałeś całkowitą rację - powtarzał. - Wtedy, na końcu, nie usłyszałeś »innego« głosu, a już zwłaszcza głosu Boga... choć, w pewnym sensie Bóg przemawia przecież do nas przez nasze sumienie. Ludzie świeccy, Davidzie, wierzą, że sumienie to tylko coś w rodzaju cenzora, miejsce, w którym mieszczą się społeczne zakazy, ale w rzeczywistości jest ono czymś od nas niezależnym, prowadzącym nas częstokroć do prawidłowych wniosków, choćbyśmy nie mieli pojęcia o tym, jaka właściwie jest sytuacja. Rozumiesz, o czym mówię?"

"Mam wrażenie, że tak".

"Nie wiedziałeś, dlaczego nie możesz przypisać sobie ozdrowienia przyjaciela, ale i nie musiałeś wiedzieć. Szatan kusił cię, jak kusił Mojżesza, ale w tej sytuacji zrobiłeś coś, czego Mojżesz nie mógł lub nie umiał zrobić. Najpierw zrozumiałeś, potem oparłeś się pokusie".

"A co z Mojżeszem? Co on takiego zrobił?"

Wielebny Martin opowiedział mu wówczas o tym, jak to Mojżesz, kiedy Żydzi, których wyprowadził z Egiptu, byli spragnieni, uderzył laską Aarona w skałę, wydobywając z niej wodę. Kiedy Żydzi spyтали go, komu mają dziękować za ten cud, powiedział, że jemu. Wielebny popijał podczas tej opowieści z filiżanki do herbaty ozdobionej napisem SZCZĘŚLIWY, WESOŁY I WOLNY, ale zawartość kubka nie pachniała chłopcu herbatą, lecz raczej whisky, którą jego tata popijał czasami, oglądając wieczorne informacje.

“W całym swym długim życiu wypełnionym pracą dla Pana, Mojżesz poślizgnął się tylko raz - stwierdził radośnie wielebny - a przecież Pan nie pozwolił mu przez to postawić stopy w Ziemi Obiecanej. Jozue przeprowadził przez rzekę tę bandę czarnych niewdzięczników”.

Rozmowa ta miała miejsce w pewne czerwcowe niedzielne popołudnie. Obaj znali się już dość dobrze i bardzo dobrze czuli się w swym towarzystwie. David miał zwyczaj rano chodzić do kościoła, a w niedzielne wieczory na presbiteriańską plebanię, by przez jakąś godzinkę pogawędzić sobie z wielebnym Martinem w jego gabinecie. Cieszył się perspektywą tych spotkań. Gene Martin też. Bardzo polubił chłopca, który w jednej chwili wydawał się najzupełniej zwyczajny, a w następnej znacznie starszy niż dzieci w jego wieku. Ale było coś jeszcze - wielebny wierzył, że na Davidzie spoczęła dłoń Boga... i że, być może, nadal na nim spoczywa.

Zdumiała go historia Briana Rossa oraz to, w jaki sposób zmusiła jego przyjaciela, typowego religijnego analfabetę z końca dwudziestego wieku, do poszukiwania odpowiedzi... do poszukiwania Boga. Powiedział żonie, że David to jedyny uczciwy konwertyta, jakiego spotkał w życiu, a to, co zdarzyło się jego koledze, to jedyny współczesny cud, o którym słyszał i w który ewentualnie potrafiłby uwierzyć. Brian, nawiasem mówiąc, wyzdrowiał już prawie zupełnie; kulał trochę, ale lekarze stwierdzili, że i to najprawdopodobniej przejdzie mu za jakiś rok.

“Cudownie! - stwierdziła Stella Martin. - Będzie to wielką pociechą dla mnie i naszego dziecka, kiedy twój młody przyjaciel powie kiedyś komuś coś nieodpowiedniego i trafisz przed sąd pod zarzutem napastowania nieletnich. Musisz bardzo uważać, Gene... a już kompletnym szaleństwem jest picie w jego obecności”.

“Nie piję w jego obecności - zaprotestował wielebny, obserwując pilnie jakąś szalenie interesującą scenę za oknem. Wreszcie zebrał siły i spojrzał żonie w oczy. - A jeśli chodzi o te inne sprawy, Bóg jest moim Pasterzem”.

I nadal spotykał się z Davidem w niedzielne popołudnia. Sam nie miał jeszcze trzydziestu lat i dopiero odkrywał rozkosz pisania na nie zapisanej kartce. Nie zaprzestał dolewania seagramsa do herbaty, zbyt długo kultywował tę tradycję niedzielnych popołudni, ale przynajmniej podczas odwiedzin zostawiał otwarte drzwi do gabinetu. Telewizor zawsze był włączony, z wyciszonym dźwiękiem, nastawiony na różne niedzielne programy sportowe. Kiedy David po raz pierwszy odwiedził wielebnego Martina, oglądał ubezdźwięczniony futbol, który zastąpiony został przez ubezdźwięcznioną koszykówkę, która zastąpiona została z kolei przez ubezdźwięczniony baseball.

To właśnie podczas wyciszonego meczu baseballu pomiędzy Indianami a drużyną A David dostał do przemyślenia opowieść o Mojżeszu i tryskającej ze skały wodzie. Po dłuższej chwili oderwał wzrok od ekranu telewizora.

“Bóg nie umie wybaczać, prawda?” - spytał.

“Wręcz przeciwnie - odparł wielebny Martin, sprawiając wrażenie z lekka zaskoczonego. - Jest aż tak wymagający, że musi umieć wybaczać”.

“Ale jest też okrutny, prawda?”

“Tak - odparł pastor bez chwili wahania. - Bóg jest okrutny. Mam kukurydzę, Davidzie. Zrobimy sobie popcorn?”

David szybował teraz w ciemności, poszukując okrutnego Boga wielebnego Martina. Tego Boga, który odmówił Mojżeszowi wejścia do Ziemi Obiecanej, Mojżesz bowiem jeden jedyny raz podpisał się pod jego dziełem, dziełem Boga, który użył go w jakiś sposób, by ocalić życie Briana Russa, Boga, który zabił jego słodką małą siostrzyczkę, Boga, który rzucił ich wszystkich na pastwę wielkiego szaleńca o oczach pustych jak oczy człowieka w śpiączce.

W ciemności, tam gdzie udawał się podczas modlitwy, były także inne głosy. Słyszał je bardzo często, na ogół niewyraźnie, dalekie, jak coś, co czasami słyszy się w słuchawce podczas rozmów międzymiastowych, ale czasami wyraźniejsze. Dziś jeden z tych głosów był wręcz bardzo wyraźny.

Jeśli chcesz się modlić, módl się do mnie - mówił. - Dlaczego miałbyś modlić się do Boga, który zabija małe dziewczynki? Już nigdy nie będziesz się śmiał z tego, że jest taka zabawna, nie będziesz jej laskotał, aż zacznie piszczeć, nie będziesz ciągnął jej za włosy. Nie żyje, a ty i twoi rodzice siedzicie w więzieniu. Kiedy on wróci, ten szalony policjant, pewnie zabije was wszystkich. I innych też. Wszystko przez tego twojego Boga, a w ogóle to czego można się spodziewać po Bogu, który zabija młodsze siostrzyczki? Jeśli przyjrzesz się temu bliżej, z pewnością dojdiesz do wniosku, że jest szalony jak jakiś wariat. A jednak przed nim klękasz. Daj spokój, Davey, pora zmańdrzeć. Pora zrozumieć, jak wygląda rzeczywistość. Módl się do mnie. Przynajmniej nie jestem szaleńcem.

David nie wzruszył ten głos; no, w każdym razie nie za bardzo. Natknął się na niego już wcześniej, za pierwszym razem być może miał on coś wspólnego z nagłym pragnieniem, by powiedzieć rodzicom, że to on przywołał Briana z głębin śpiączki. Słyszał go wyraźniej, bardziej osobiście, podczas codziennych modlitw i to go martwiło, ale kiedy opowiedział wielebnemu Martinowi, jak słyszy go czasami podczas modlitw niczym kogoś obcego na linii telefonicznej, pastor tylko się roześmiał.

“Jak Bóg - wyjaśnił - Szatan także najwyraźniej przemawia do nas podczas modlitw i medytacji. Wtedy jesteśmy najbardziej otwarci, mamy największy kontakt z naszą *pneumą*”.

“pneumą? Co to takiego?”

“Dusza. Ta część nas samych, które tęskni za wykorzystaniem danych nam od Boga możliwości i pragnie stać się wieczną. O nią właśnie walczą ze sobą Bóg z Szatanem”.

Nauczył Davida czegoś w rodzaju mantry do użycia w takich przypadkach i chłopiec postanowił użyć jej właśnie teraz. Patrz we mnie, bądź we mnie - myślał raz za razem. Czekał, aż ten inny głos ucichnie, lecz jednocześnie musiał wznieść się ponad ból. Ból powracał; czuł go niczym skurcz. Wspomnienie tego, co zdarzyło się ze Słodczykiem, bolało tak strasznie. I tak miał Bogu za złe, że pozwolił temu gliniarzowi zepchnąć ze schodów jego małą siostrzyczkę. Miał za złe? Niech to diabli, on go za to nienawdził!

Spójrz we mnie, Boże. Bądź we mnie, Boże. Spójrz we mnie, bądź we mnie.

Głos Szatana (jeśli rzeczywiście był to Szatan, David nie miał co do tego pewności) ucichł i przez pewien czas była tylko ciemność.

Powiedz mi, co mam zrobić, Boże. Powiedz mi, czego chcesz, a jeśli jest Twoją wolą, byśmy tu zginęli, pomóż mi nie marnować czasu na szaleństwo, strach i żądanie wyjaśnień.

Gdzieś daleko zawył kojot. I cisza.

Chłopiec czekał, czekał otwarty, lecz nie działo się nic. W końcu poddał się i w złożone dłonie, cicho, wypowiedział słowa kończące modlitwę, jakich nauczył go wielebny Martin.

Boże, spraw, bym był użyteczny dla siebie, i pomóż mi nie zapomnieć, że póki nie będę użyteczny dla siebie, nie będę użyteczny dla innych. Spraw, bym nie zapomniał, że jesteś moim Stwórcą. Jestem taki, jakim mnie stworzyłeś. Czasami jestem kciukiem Twojej dłoni, czasami językiem w Twoich ustach. Uczyni mnie naczyniem, gotowym służyć Tobie. Dziękuję. Amen.

Otworzył oczy. Jak zawsze, najpierw spojrzął w ciemność w swych złożonych dłoniach i - jak zawsze - przypomniała mu ona oko... dziurę jak oko. Lecz czyje oko? Boga? Szatana? Może po prostu jego własne?

Wstał, odwrócił się powoli, spojrzął na rodziców. Rodzice patrzyli na niego, Ellen zdumiona, Ralph poważny.

- No, to dzięki niebiosom - odezwała się matka. Przerwała, dając mu okazję do odpowiedzi, a kiedy nie odpowiedział, spytała: - Modliłeś się? Klęczałeś prawie pół godziny, myślałam, że zasnęłeś. Czy się modliłeś?

- Tak.

- Robisz to zawsze, czy dziś jest jakiś szczególny dzień?

- Modłę się trzy razy dziennie. Rano, wieczorem i raz mniej więcej w środku dnia. W tej środkowej modlitwie dziękuję Bogu za wszystkie dobre rzeczy, które spotkały mnie w życiu, i pytam o to, czego nie rozumiem. - Roześmiał się krótkim, nerwowym śmiechem. - Zawsze jest ich sporo.

- Zacząłeś niedawno czy wcześniej, kiedy po raz pierwszy poszedłeś do tego kościoła?

Matka patrzyła na niego ze zdumieniem sprawiającym, że nagle poczuł się bardzo niezręcznie. Częściowo przez to jej podbite oko - w miejscu, gdzie uderzył ją gliniarz, rósł doprawdy potężny siniak - ale nie chodziło tylko o siniaka, ani nawet przede wszystkim o siniaka. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Modli się od czasu wypadku Briana - wyjaśnił Ralph. Dotknął opuchniętej twarzy pod lewym okiem, skrzywił się, opuścił dłoń. Patrzył na syna przez kraty swojej i jego celi. Wszystko wskazywało na to, że również czuje się bardzo niezręcznie. - Pewnego wieczoru poszedłem na górę, żeby pocałować cię na dobranoc... w kilka dni po tym, kiedy Brian został wypisany ze szpitala... i zobaczyłem, jak klęczysz przy łóżku. Najpierw myślałem, że robisz... no nie wiem... coś zupełnie innego, ale potem usłyszałem kilka słów i zrozumiałem.

David uśmiechnął się, czując na policzkach gorący rumieniec, który wydał mu się cholernie bezsensowny, biorąc pod uwagę okoliczności, a jednak nie ustępował.

- Teraz modłę się w myśli - powiedział. - Nawet już nie poruszam ustami. Paru kolegów usłyszało raz w klasie, jak bełkoczę coś do siebie. Myśleli, że brak mi piątej klepki.

- Może twój ojciec to rozumie, bo ja z pewnością nie - stwierdziła Ellen.

- Rozmawiam z Bogiem - stwierdził po prostu David. Było to nieco żenujące, ale może jeśli raz prostymi słowami wyjaśni im, o co chodzi, nie będzie musiał nic wyjaśniać po raz drugi. - Modlitwa to jest właśnie to: rozmowa z Bogiem. Najpierw czujesz się, jakbyś mówił sam to siebie, ale to szybko mija.

- Czy sam do tego doszedłeś, czy może powiedział ci to ten twój nowy niedzielny przyjaciel?

- Sam do tego doszedłem.

- Czy Bóg ci odpowiada?

- Czasami mam wrażenie, że Go słyszę - powiedział David. Wsadził rękę do kieszeni, czubkami palców dotykając naboju, który podniósł z podłogi. - A raz na pewno Go usłyszałem. Poprosiłem Go, żeby Brian wyzdrowiał. Kiedy tata przywiózł mnie ze szpitala, poszedłem do lasu przy Niedźwiedziej. Wspiąłem się na

platformę, którą razem zrobiliśmy na drzewie, i poprosiłem Boga, żeby Bri wyzdrowiał. Powiedziałem, że jeśli spełni moją prośbę, to dam mu, no... jakby pokwitowanie, że zaciągnąłem dług. Wiecie, co mam na myśli?

- Tak, Davidzie, wiem, co to rewers. A czy go już spłaciłeś? Temu twojemu Bogu?

- Jeszcze nie. Ale kiedy już wstałem i chciałem zejść, Bóg kazał mi zostawić przepustkę ze szkoły, powiesić ją na sterzącym z kory gwoździu. Jakby chciał, żebym ją oddał, ale nie panu Hardy'emu w sekretariacie, tylko Jemu. I było coś jeszcze. Kazał mi dowiedzieć się o Nim jak najwięcej. Kim jest, czego chce, czego nie chce. Nie tak, jakby powiedział mi to słowami, ale usłyszałem nazwisko człowieka, do którego kazał mi pójść. Wielebny Martin. Dlatego chodzę do kościoła metodystów. Nie sądzę jednak, by nazwa wiele dla Boga znaczyła. Powiedział po prostu, że dla ducha mam chodzić do kościoła, a dla umysłu do wielebnego Martina. Najpierw w ogóle nie wiedziałem, kim jest wielebny Martin.

- Wiedziałeś, oczywiście - powiedziała Ellen Carver cicho i łagodnie jak ktoś, kto właśnie zrozumiał, że rozmawia z osobą umysłowo ograniczoną. - Gene Martin odwiedzał nas przez dwa, może trzy lata. Zbierał pieniądze na fundusz pomocy Afryce.

- Naprawdę? Nie widziałem go. Pewnie byłem wtedy w szkole.

- Nonsens! - Tym razem Ellen Carver przemówiła zdecydowanym tonem wykluczającym jakąkolwiek dyskusję. - Pojawiał się zawsze tuż przed Bożym Narodzeniem, więc nie mogłeś być wtedy w szkole. A teraz posłuchaj mnie, Davidzie. Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Kiedy zdarzyło się to z Brianem, z pewnością pomyślałeś... no, nie wiem... że potrzebujesz czyjejś pomocy. Z podświadomości wypłynęło jedyne znane ci nazwisko. Bóg, którego słyszałeś w momencie wielkiego napięcia psychicznego, to po prostu twoja podświadomość. - Odwróciła się do Ralpha, szeroko rozkładając dłonie. - Przymus czytania Biblii to już bardzo źle, ale to... dlaczego nie powiedziałeś mi o tych jego modlitwach?

- Ponieważ wydawały mi się sprawą prywatną - odparł Ralph, nie patrząc żonie w oczy. - I przecież nie robiły krzywdy.

- Och, oczywiście, modlitwa to wspaniała rzecz, bez niej z pewnością nigdy nie wynaleziono by dębowego wieńca i żelaznej dziewicy.

Ten jej głos, nerwowy, zręczliwy, Dave słyszał przedtem kilkakrotnie, takim głosem mówiła, kiedy za wszelką cenę próbowała nie załamać się kompletnie. Takim głosem mówiła do niego i taty, kiedy Brian był w szpitalu i może też tydzień potem, kiedy obudził się ze śpiączki.

Tata odwrócił się od niej. Ręce wsadził w kieszenie, zażenowany patrzył w podłogę. Jego zachowanie najwyraźniej zdenerwowało ją jeszcze bardziej. Spojrzała na syna. Wargi jej drżały, oczy błyszczały od łez.

- A jaki to interes zrobił z tobą ten twój Bóg, twój wspaniały Bóg? Czy zaproponował ci wymianę, jak handel kartami baseballowymi, który uprawiasz z przyjaciółmi? "Hej, słuchaj, dam ci Briana Rosa z osiemdziesiątego czwartego w dobrym stanie w zamian za Kirstie Carver z osiemdziesiątego ósmego", czy może raczej...

- Proszę pani, to pani syn i nie mam zamiaru się wtrącać, ale może dałaby mu pani spokój? Zdaje się, że straciła pani córeczkę. Ja straciłam męża. Wszyscy mieliśmy ciężki dzień.

Słowa te powiedziała kobieta, która strzeliła do gliniarza. Siedziała teraz na krawędzi pryczy. Czarne włosy przyklepione miała do policzka jak obwisłe skrzydła martwego ptaka, nie zasłaniały jednak jej twarzy, na której malował się szok, smutek i zmęczenie. Przede wszystkim zmęczenie. David był prawie pewien, że nigdy jeszcze nie widział tak zmęczonych oczu.

Przez chwilę miał wrażenie, że jego matka zacznie teraz krzyżeć w gniewie na tę kobietę. Wcale by go nie zaskoczyło, mama czasami wybuchała niczym bomba atomowa, i to przy zupełnie obcych ludziach. Pamiętał, jak kiedyś, kiedy miał może z sześć lat, załatwiła w ten sposób kandydata próbującego zdobyć sobie głosy w ich supermarkecie. Facet popełnił poważny taktyczny błąd, starając się wetknąć jej w rękę ulotkę, kiedy szła do kasy objuczona zakupami i już spóźniona na spotkanie. Rzuciła się na niego jak małe, ale bardzo drapieżne zwierzątko. Spytała, za kogo się uważa, o co mu właściwie chodzi, jakie ma poglądy na deficyt handlowy, czy kiedykolwiek palił marihuanę, czy kiedykolwiek w życiu zapobiegł nieuczciwemu zarobkowi przez podział akcji, czy popiera prawo kobiet do wyboru. Przynajmniej w tej ostatniej sprawie kandydat był wymowny - bardzo stanowczo i z dumą oznajmił, że owszem, oczywiście, popiera prawo kobiet do czynnego udziału w wyborach.

“Świetnie, doskonale! - krzyknęła Ellen Carver - bo właśnie wybrałam: zejdź mi z oczu!”

W tym momencie kandydat nie wytrzymał, podkulił ogon pod siebie i zwał. David rozumiał go doskonale.

Coś jednak w twarzy ciemnowłosej kobiety (Mary - pomyślał, ma na imię Mary) zmieniło nastawienie jego matki, jeśli rzeczywiście nastawiona była na zrobienie jej awantury. Pozostała przy synu.

- Jeszcze jedno, czy ten twój pan B. powiedział ci może, jak się stąd wydostać? Klęczałeś cholernie długo, coś ci przecież musiał powiedzieć.

W tym momencie nie wytrzymał Ralph.

- Przestań się nad nim znęcać - warknął. - W tej chwili! Myślisz, że tylko ty cierpisz?

Ellen obrzuciła go spojrzeniem, w którym było przerażająco dużo pogardy.

- No i co? - spytała syna.

- Nic - odparł. - Nic mi nie powiedział.

- Samochód! - przerwała im Mary. W jej celi było okno nad pryczą. Wspięła się na nią i próbowała wyjrzeć. - Niech to diabli! Kraty i matowe szkło wzmocnione siatką. Ale słyszę go, słyszę!

David także usłyszał zbliżający się samochód. Silnik ryknął nagle pełną mocą, zaraz później rozległ się pisk opon na asfalcie. Spojrzał na starszego mężczyznę. Mężczyzna rozłożył ręce.

Rozległ się krzyk, prawdopodobnie krzyk bólu, a potem straszny wrzask cierpiącego człowieka. Lepiej byłoby uwierzyć, że to tylko wiatr gra w rynnach lub dachówkach, ale David był niemal pewien, że krzyczał człowiek.

- Co do diabła? - spytał Ralph. - Jezu! Ktoś wrzeszczy, jakby oszalał. Może to ten policjant, jak myślicie?

- Mam nadzieję! - warknęła Mary, nadal stojąc na pryczy i próbując wyjrzeć przez bezużyteczne okno. - Mam nadzieję, że ktoś żywcem wrywa serce z piersi tego skurwysyna. - Rozejrzała się. Oczy nadal miała zmęczone, lecz jednocześnie dzikie. - To może być pomoc! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że to może być pomoc?

Silnik znajdującego się blisko samochodu - nie obok budynku, lecz mimo wszystko blisko - ryknął raz jeszcze. Opony zapiszczały ponownie, tak jak na filmie w kinie albo w telewizji, w życiu prawie nigdy tak nie piszczą. Rozległ się brzęk gnieczonego szkła lub metalu albo może jednego i drugiego. Pisnął klakson, jakby ktoś przypadkowo uderzył weń dłonią. Kojot zawył wysokim, drżącym głosem. Dołączyło do niego kilka następnych. Wydawało się, że wykpiwają pomysł z nadejściem pomocy.

Równy głos silnika pracującego tylko nieco wyżej obrotów biegu jałowego zbliżył się wyraźnie.

Siwy starszy mężczyzna siedzący w nogach pryczy ze złożonymi dłońmi ściśniętymi pomiędzy kolanami powiedział, nie podnosząc znad nich wzroku:

- Nie spodziewajcie się za wiele. - Głos miał drżący, bezdźwięczny, suchy jak otaczająca ich na północy i zachodzie pustynia. - To tylko on, nikt inny. Poznaje dźwięk silnika.

- Za nic w to nie uwierzę - stwierdziła Ellen Carver.

- Może pani wierzyć albo nie, to bez znaczenia. Byłem w Komitecie, który przyznał fundusze na zakup nowego radiowozu. W ostatniej kadencji, tuż przedtem, nim wycofałem się z polityki. W październiku z Colliem i Dickiem pojechaliśmy do Carson City i kupiliśmy go z licytacji DEA*. Ten właśnie radiowóz. Przed licytacją spędziłem sporo czasu z głową pod maską, a kiedy wracaliśmy, prowadziłem przez połowę drogi z prędkością od setki do stu osiemdziesięciu na godzinę. Znam dźwięk tego silnika, znam go bardzo dobrze. To nasz radiowóz.

David odwrócił się, spojrzął na starszego mężczyznę i w tym momencie przemówił do niego cichy, spokojny głos - ten, który po raz pierwszy usłyszał w szpitalu, przy łóżku Briana. Jak zwykle zaskoczył go, a słowo, które wypowiedział, wydawało się nie mieć sensu.

Mydło.

Usłyszał je tak wyraźnie jak niegdyś: *Właśnie się modlisz*, gdy siedział z zamkniętymi oczami w "Strażnicy Wietkongu".

Mydło.

Spojrzał w tylny lewy kąt celi, którą dzielił z panem Siwym. Znajdował się tam klozet bez siedzenia, a obok starożytna wręcz, pokryta pyłem rdzy, porcelanowa umywalka, na umywalce zaś, obok prawego kurka, spoczywała kostka zielonego mydła, bez wątplenia irish spring.

Sądząc po odgłosie silnika, radiowóz był już bardzo blisko. Dalej, na pustyni, wyły kojoty. Davidowi ich wycie wydawało się teraz śmiechem szaleńców, którzy wydostali się z opuszczonego przez pielęgniarki szpitala.

4

Członkowie rodziny Carverów byli zbyt zdenerwowani i zbyt zajęci siedzącym za kierownicą policjantem, by zauważyć martwego psa wiszącego na znaku WITAMY W NASZYM MIEŚCIE. John Marinville, obserwator bystry i dobrze wyćwiczony, nie przeoczył go; zresztą, prawdę mówiąc w jego obecnym stanie nie przeoczyłby go chyba nikt. Po tym, jak ścierwo znalazły ścierwniki. Siedziały na ziemi pod trupem, najobrzydliwsze ptaszyska, jakie zdarzyło się widzieć Johnny'emu, jeden ciągnął czyjś psa za ogon, inny zatopił dziób w jego zadniej łapie. Ścierwo kołysało się na zaciśniętym na szyi sznurze.

Johnny aż zadławił się z obrzydzenia.

- Ścierwniki - powiedział gliniarz - Jejku jej, to jest coś, no nie?

Głos miał znacznie bardziej zdławiony niż poprzednio. Podczas jazdy kichnął jeszcze dwukrotnie, za drugim razem w wyrzuconej przy kichnięciu przez usta krwi były zęby. Johnny nie wiedział, co to za choroba, i nic go to nie obchodziło, miał tylko nadzieję, że jazda skończy się szybko.

- Powiem ci coś o ścierwnikach - kontynuował gliniarz. - Budzą się do snu, budzą powoli. Uczą się, idąc tam, gdzie się im iść dozwoli. Zgodzi się pan ze mną, prawda, *mon capitaine!*

Szalony gliniarz cytujący poezję. Co za Sartre!

- Skoro pan tak twierdzi.

Johnny nie miał najmniejszego zamiaru wprawiać gliniarza w jeszcze gorszy humor. Facet się kończył, a on bardzo pragnął być świadkiem tego, jak wreszcie się skończy.

Minęli trupa psa i pożywiające się nim obrzydliwe, łyse ptaszyska.

A co z kojotami, Johnny? O co chodziło kojotom?

Nie, nie pozwoli sobie na rozmyślanie o kojotach, które siedziały po obu stronach drogi w równych odstępach, niczym gwardia honorowa i podpałyły tyłki...

- Pierdzą, wiesz? - odezwał się znowu gliniarz. - Ścierwniki pierdzą.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- Tak jest, szanowny panie, to jedyne ptaki, które pierdzą. Mówię ci to, żebyś mógł zamieścić tę informację w swojej książce. Rozdział szesnasty "Podróży z harleyem".

Johnny pomyślał, że zamierzony tytuł jego książki nigdy jeszcze nie wydawał mu się aż tak głupi.

Radiowóz minął siedzibę zarządu kopalni. Na parkingu stało całkiem sporo samochodów osobowych i półciężarówek. Dziwne. Było już późno, z pewnością po godzinach pracy, dlaczego samochody nie stoją na podjazdach domów albo przy miejscowym wodopoju?

- *Tak, tak!* - powiedział gliniarz.

Uniósł dłoń z palcami ułożonymi tak, jakby obramowywały zdjęcie.

- Rozdział szesnasty: "Pierdzące ścierwniki Desperation". Brzmi jak tytuł jakiejś cholernej powieści Edgara Rice'a Burroughsa, prawda? Tylko, że Burroughs był lepszym pisarzem od ciebie, a wiesz czemu? Bo pisał bez pretensji do wielkości. Wiedział, co ważne, a co nie. Opowiadał historię, robił swoją robotę, dawał zwykłym ludziom bezpretensjonalną książkę, przy lekturze której nie czuli się idiotami. No i trzymał się z daleka od rubryki towarzyskiej.

- Dokąd mnie pan zabiera? - spytał Johnny, bardzo starając się, by pytanie to zabrzmiało naturalnie.

- Do więzienia - odparł gliniarz zduszonym głosem. - Gdzie wszystko, co wrządziesz, będzie natużyte pszećiw tobie w sondzie kruczym.

Mijali właśnie osiedle przyczep kempingowych. Nad bramą, zardzewiałą i skrzywioną, wisiała tablica głosząca:

JESTEM UZBROJONYM PO ZĘBY, PIJĄCYM
BIBLIE CZYTAJĄCYM
CLINTONA LEJĄCYM SUKINSYNEM.
NIE O PSA CHODZI. STRZEŻ SIĘ WŁAŚCICIELA.

Witamy w piekle muzyki *country* - pomyślał Johnny. Pochylił się i skrzywił, bo plecy, w które dostał kopniaka, zabolowały go przy tym ruchu.

- Potrzebuje pan pomocy - stwierdził jak najspokojniejszym głosem, głosem, w którym zabrzmiało nawet coś w rodzaju sympatii. - Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

* Drug and Enforcement Agency - Agencja do Spraw Zwalczenia Narkotyków.

- To ty potrzebujesz pomocy - odparł gliniarz. - Duchowej, cielesnej i redaktorskiej. *Tak!* Ale pomoc nie nadzieje, Johnny. Zjadłeś już swój ostatni literacki obiad, wypieprzyłeś ostatnią kulturalną piczkę. Jesteś sam na pustyni, oczekujesz najdłuższych czterdziestu dni i czterdziestu nocy w całym swym bezużytecznym życiu.

Słowa te zabrzmiały mu w uszach niczym brzęk pękniętego dzwonu. Johnny zamknął na chwilę oczy, a kiedy je otworzył, byli już w samym miasteczku, mijali "Gail's Beauty Bar" z jednej strony, a "True Value Hardware" z drugiej. Chodniki były puste, całkowicie puste. Nie spotkał jeszcze na swej drodze miasteczka rzeczywiście pulsującego życiem, ale to już przesada, ani żywej duszy w zasięgu wzroku? Kiedy przejeżdżali obok stacji Conoco, dostrzegł faceta huśtającego się na krześle z nogami na biurku, ale to wszystko. Zaraz... tam, przed nimi....

Przez jedyne chyba skrzyżowanie w Desperation, pod mrugającymi światłami, po przekątnej, przechodziła para... psów, to z pewnością psy, próbował wmówić sobie Johnny, chociaż doskonale wiedział, że to nie psy, lecz kojoty.

To nie tylko gliniarz, nie myśl sobie. Tu w ogóle zaszło coś nienormalnego. Coś cholernie nienormalnego.

Dojeżdżali do skrzyżowania, kiedy policjant nagle z całej siły wcisnął hamulce. Jego nie spodziewający się niczego pasażer rzucony do przodu uderzył twarzą w siatkę odgradzającą przednie siedzenie od tylnego. Trafił w nią nosem i wrzasnął z bólu.

Kierowca nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na jego wrzask.

- Billy Rancourt! - krzyknął, szalenie ucieszony. - Niech to diabli, Billy Rancourt. Tak się właśnie zastanawiałem, gdzie zniknął. Pijany w piwniczce "The Broken Drum", założę się, że tam właśnie siedziałeś. Postawię forszę przeciw zapałkom! To Bill Wielkie Jaja, niech mnie diabli, jeśli się mylę!

- Mój nos! - wrzasnął Johnny. Nos znów zaczął mu krwawić i jego głos znów brzmiał jak ludzka wersja syreny mgłowej. - Chryste, co za ból!

- Zamknij się, mięczaku! Jejku jej, ale masz humorki.

Gliniarz cofnął radiowóz i wykręcił tak, że samochód stanął na poprzecznej uliczce, maską na zachód. Odkręcił okno, wystawił przez nie głowę. Kark miał koloru ściemniałych przez stulecia cegieł, pełen bąbli i pęknięć na skórze. Niektóre z nich nasiąknęły jaskrawą krwią.

- Billy! - krzyknął. - Ahoj, Billy Rancourt! Hej, ty stary potworze!

Zachodnia część Desperation była najwyraźniej dzielnicą mieszkalną, brudną i przygnębiającą, a jednak o stopień lub dwa lepszą niż przyczepa kempingowa. Załzawionymi oczami Johnny dostrzegł mężczyznę w dzinsach i kowbojskim kapeluszu, stojącego pośrodku ulicy. Mężczyzna przyglądał się dwóm rowerom opartym na kierownicach i siodełkach ze sterczącymi w górę kołami. Były trzy, ale najmniejszy z nich, różowa dziecinna damka, przewrócony został przez wiejący coraz silniej wiatr. Koła dwóch pozostałych kręciły się dziko. Człowiek na ulicy podniósł wzrok, dostrzegł radiowóz, pomachał nieśmiało i ruszył w ich kierunku.

Gliniarz cofnął do kabiny swą wielką, kanciastą głowę. Popatrzył w tył; Johnny natychmiast zrozumiał, że stojący na ulicy facet nie przyjrzał się uważniej temu szczególnemu funkcjonariuszowi policji miejskiej, bo gdyby mu się przyjrzał, co sił w nogach z wrzaskiem zwałby w przeciwnym kierunku. Wargi gliniarza obwisły, usta zapadły się jak u bezzębnego staruszka, z ich kącików krew sączyła mu się na policzki. Jedno oko przypominało krwawy puchar - gdyby nie widoczne od czasu do czasu błyski szarości, można byłoby wziąć je za pusty oczodół. Lśniaca krew pokrywała całą górną część koszuli khaki.

- To Billy Rancourt - powiedział, uradowany. - Strzyże mnie. Szukałem go. - Ściszył głos, jakby miał zamiar wyjawić jakiś sekret. - Pije odrobinę za dużo - dodał, odwrócił głowę, spojrział przez przednią szybę, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy.

Mruczący do tej pory prawie niesłyszalnie silnik ryknął nagle, koła zapiszczały, ślizgając się po asfalcie. Johnny padł na siedzenie; krzyknął z zaskoczenia. Radiowóz wyrwał do przodu.

Johnny Marinville złapał się kraty i podciągnął do pozycji siedzącej. Widział mężczyznę w dżinsach i kowbojskim kapeluszu - Billy'ego Rancourta Wielkie Jaja - stojącego na ulicy jak sparaliżowany, kilka kroków przed rowerami, i przyglądającego się pędzącemu w jego stronę radiowozowi. Wydawał się rosnąć w przedniej szybie radiowozu; sprawiało to wrażenie jakiejś sztuczki osiągniętej przy użyciu kamery filmowej.

- Nie! - krzyknął Johnny, waląc lewą pięścią w siatkę za głową kierowcy. - Nie, stój! Nie! Uważaj, człowieku!

Billy Rancourt w ostatniej chwili pojął, co się dzieje. Próbował uciec. Skoczył w prawo, w stronę na pół zrujnowanego domu za ogrodzeniem z drewnianych bali, ale nieco się spóźnił. Krzyknął i niemal w tym samym momencie rozległ się łoskot - to samochód uderzył go z siłą, od której zadrżała masywna karoseria. Na belki ogrodzenia trysnęła krew, radiowóz podskoczył raz za razem z głuchym *bum*; to najpierw przednie, a potem tylne koła przejechały po leżącym ciele, samochód uderzył w ogrodzenie i rozbił je. Wielki gliniarz stanął na hamulcach, zatrzymał samochód na klepisku, które było podwórkiem zrujnowanego domu. Johnny'ego znów rzuciło w przód, tym razem zdołał jednak podnieść ramię i opuścić głowę, chroniąc nos przed następną krzywdą.

- Billy, ty łobuzie! - krzyknął radośnie gliniarz. - *Tak ah lah!*

Billy Rancourt wrzeszczał. John Marinville odwrócił się i zobaczył, że kowboj czołga się jak najszybciej w stronę północnego krańca ulicy. "Jak najszybciej" nie oznaczało bynajmniej szybko, bowiem włókł za sobą złamaną nogę. Ślad po oponach pozostał na plecach jego koszuli i siedzeniu dżinsów. Kowbojski kapelusz leżał na środku ulicy, podobnie jak rowery odwrócony do góry nogami. Billy potracił go kolaniem; kapelusz przechylił się i z wnętrza główki przez rondo krew przelała się jak woda. Krew lała się także z twarzy i pękniętej czaszki rannego. Ciężko rannego, który - choć najpierw uderzony maską, a potem przejechany - ciągle jeszcze wydawał się jak najbardziej żywy. Johnny'ego wcale to nie zdumiało. Zazwyczaj bardzo trudno jest zabić człowieka, wielokrotnie przekonywał się o tym w Wietnamie. Widział żywych ludzi, którym odstrzelono połowę głowy, widział żywych ludzi z wylanymi na kolana wnętrznościami, na których ucztowały muchy, widział żywych ludzi, którym krew tryskała przez palce z rozciętych tętnic szyjnych. Ludzie na ogół ciężko umierają i to czyni śmierć tak straszną.

- Juuhuuu! - krzyknął gliniarz, przerzucając dźwignię automatycznej przekładni na pozycję REVERSE.

Koła zapiszczały znowu, zostawiając na chodniku ślad roztopionej gumy. Zadymiły, radiowóz wyskoczył na ulicę, przejechał po drodze kowbojski kapelusz i potracił jeden z rowerów (rozległ się przy tym głośny trzask, rower rozbił tylną szybę, zniknął, przeleciawszy nad dachem, i spadł na maskę). Johnny miał jeszcze tyle czasu, by zobaczyć, że Billy przestał się czołgać, że odwraca głowę, by na nich spojrzeć, że na zalanej krwią twarzy o złamanym nosie ma wyraz przeraźliwej rezygnacji. Z pewnością nie ma jeszcze trzydziestki - pomyślał i w tym momencie leżący znów znalazł się pod samochodem. Radiowóz podskoczył dwukrotnie, jak poprzednio, i zatrzymał się przy przeciwnym krawężniku. Obracając się twarzą ku przedniej szybie, gliniarz trącił klakson łokciem, zatrąbił krótko. Billy Rancourt leżał przed nimi w kałuży krwi. Jedna z jego stóp drgnęła i znieruchomiała.

- Prrr! - odezwał się gliniarz. - Ale burdel, co?

- Słusznie. Zabiłeś go - odparł Johnny.

Nagle przestał myśleć o tym, jak ułagodzić szaleńca, jak go przeżyć. Przestał martwić się książką, harleyem i myśleć o tym, gdzie może być teraz Steve Ames. Może później - jeśli ma przed sobą jakieś później - pomyśli o tym znowu. Z szoku, z przerażenia zmartwychwstał pierwszy szkic Johnny'ego Marinville'a, a nie przeredagowana wersja człowieka, który w dupie miał nagrodę Pulitzera, National Book Award i pieprzenie gwiazdy, ze szmaragdami lub bez nich.

- Rozsmarowałaś go po asfalcie jak jakiegoś cholernego królika. Co za odwaga!

Gliniarz odwrócił się, przyjrzał mu się uważnie jednym mniej więcej czynnym okiem i znów spojrzął przed siebie.

- "Poprowadzę cię drogą mądrości, ścieżkami prawości powiodę. Gdy pójdziesz nią, kroki twe będą swobodne i choćbyś biegł, nie potkniesz się". To z "Księgi Przysłów"* , Johnny. Mam wrażenie, że stary Billy się potknął. Tak, z pewnością. Zawsze był taki cholernie niezdamny. Moim zdaniem był to jego podstawowy problem.

Johnny otworzył usta i... zdarzyło się coś, czego do tej pory doświadczył zaledwie kilka razy. Zabrakło mu słów. Może to i lepiej?

- Posłuchaj tej przestrogi i nie zapomnij jej, trzymaj się jej, bo jest twoim życiem. Tę drobną radę powinien pan wziąć sobie do serca, szanowny panie Marinville. A teraz proszę mi wybaczyć.

Wysiadł i podszedł do leżącego na ulicy trupa. Jego buty wydawały się błyszczeć - to wzmagający się ciągle wiatr obsypywał je drobkami piasku. Na siedzeniu jego mundurowych spodni widniała krwawa plama, a kiedy pochylił się, by podnieść świętej pamięci Billy'ego Rancourta, widać był krew ciekącą mu spod pach poprzez dziury na szwach koszuli. Zupełnie jakby pocił się krwią.

I może tak właśnie jest. Prawdopodobnie tak właśnie jest. Moim zdaniem lada chwila padnie i wykrwawi się na śmierć, jak to się czasami zdarza chorym na hemofilię. Gdyby nie był tak nieludzko wielki, pewnie już by nie żył. Wiesz, co powinieneś teraz zrobić, prawda?

Oczywiście, John Marinville wiedział, co powinien teraz zrobić. Miał temperament, miał cholerny temperament; wyglądało nawet na to, że skopanie przez zwariowanego policjanta-mordercę nie ma na ten temperament najmniejszego wpływu. Co powinien zrobić? Oczywiście utrzymać ten temperament na wodzy. Żadnych więcej sprytnych odzywek, jak nazywanie olbrzymia "odważnym". Za tę odzywkę zarobił spojrzenie, które wcale mu się nie podobało. Groźne spojrzenie.

Gliniarz przeniósł ciało Billy'ego Rancourta przez ulicę, przestępując po drodze przez dwa przewrócone rowery i omijając trzeci, który jakimś cudem stał nadal z obracającymi się kołami i szprychami lśniącymi w promieniach zachodzącego powoli słońca. Przekroczył przewrócone ogrodzenie, podrzucił trupa, by uwolnić rękę i sięgnął do klamki. Drzwi otworzyły się bez problemu. Johnny'ego wcale to nie zaskoczyło. Podejrzewał, że mieszkańcy tego i innych rozrzuconych w dziczy miasteczek z zasady nie zamykali domów.

Będzie musiał zabić lokatorów - pomyślał. - To się rozumie samo przez się.

Gliniarz jednak tylko pochylił się, zrzucił ciężar z ramion, a potem cofnął się na maleńki ganek. Zamknął drzwi, po czym wytarł dłonie o licówkę dachu, pozostawiając na niej krwawe ślady. Był tak wysoki, że nawet nie musiał jakoś szczególnie wyciągać rąk. Gest ten sprawił, że Johnny'ego oblał zimny pot - był czymś jakby żywcem

* Cytat za "Biblią Tysiąclecia", wydanie trzecie poprawione, Warszawa 1980.

wziętym z “Księgi Wyjścia”, instrukcją dla Anioła Śmierci, by się tu zatrzymał... tylko że ten facet był przecież aniołem śmierci, niszczycielem.

Gliniarz wrócił do samochodu, wsiadł i spokojnie ruszył w stronę skrzyżowania.

- Dlaczego zaniósł go pan do domu? - spytał Johnny.

- A co według ciebie miałem zrobić? - odparł gliniarz pytaniem na pytanie. Głos miał znacznie bardziej niewyraźny niż dotychczas, niemal dławił się słowami. - Zostawić go dla ścierwników? Wstyd mi za ciebie, *mon capitain*. Tak długo mieszkałeś wśród tak zwanych cywilizowanych ludzi, że zacząłeś myśleć jak oni.

- Pies...

- Człowiek to nie pies - stwierdził gliniarz takim tonem, jakby wygłaszał wykład. Na skrzyżowaniu skręcił w prawo i niemal natychmiast w lewo, na parking przy miejskim ratuszu. Wyłączył silnik, wysiadł i otworzył prawe drzwiczki radiowozu. Jego pasażerowi oszczędziło to przynajmniej bólu, który nieuchronnie towarzyszyłby przeciskaniu się między tylną kanapą a zapadniętym siedzeniem kierowcy. - Obiad z kurczaka to nie kurczak, a człowiek to nie pies, Johnny. Nawet człowiek taki jak ty. No, chodź. Wysiadaaj. Prędziutko.

Johnny wysiadł. Był w pełni świadom panującej wokół ciszy. Dźwięki, które słyszał - wiatr, szum piasku bijącego w ceglany mur ratusza, dobiegający z niedaleka monotony pisk - tylko podkreślały tę ciszę, sprawiały, że wydawała się kopałą, przykrywającą całe miasto. Przeciągnął się i skrzywił; krzyż i noga nadal go bolały, musiał jednak zrobić coś dla reszty ciała, którą po podróży radiowozem skręcały kurcze. Potem zmusił się, by spojrzeć wprost w resztki twarzy gliniarza. Ogrom tego człowieka onieśmielał i po trosze dezorientował. I nie chodziło o to, że mając metr dziewięćdziesiąt, John Marinville nauczył się raczej spoglądać na ludzi w dół, nie w górę, lecz raczej o różnicę wysokości - nie parę centymetrów, lecz przynajmniej kilkanaście. I jego szerokość. Właśnie, szerokość. On nie przewyższał innych ludzi wzrostem i wagą, nie, on nad nimi górował.

- Dlaczego nie zabił mnie pan jak tego tam faceta, Billy'ego? A może w ogóle nie ma sensu pytać? Może już nie robi pan niczego z jakiegoś powodu?

- O, do diabła, przecież wszyscy przerośliśmy proste “dlaczego”, wiesz? - odparł gliniarz, obnażając zakrwawione zęby w uśmiechu, którego Johnny wolałby raczej nie oglądać. - Ważne jest coś zupełnie innego... Słuchaj mnie teraz uważnie... mogę cię wypuścić! Chciałbyś, nie? Masz w sobie przynajmniej jeszcze dwie głupie i nic nie znaczące książki, a może nawet z pięć. Mógłbyś sporo napisać przed rozległym zawałem, czekającym na ciebie przy końcu drogi. Jestem też pewien, że po pewnym czasie zapomniabyś o tej dzisiejszej drobnej niedogodności i po raz kolejny zdołał przekonać sam siebie, że robisz coś, co usprawiedliwia twoje istnienie. Chciałbyś, Johnny, co? Chciałbyś, żebym puścił cię wolno?

Erin go bragh - pomyślał Johnny bez żadnego, najmniejszego nawet powodu i przez jedną doprawdy koszmarną chwilę był pewien, że się roześmieje. Ochota do śmiechu szybko mu jednak przeszła.

- Owszem, chciałbym. Bardzo - przytaknął.

- Wolny! Jak ptak wypuszczony z klatki! - Gliniarz zamachał ramionami demonstrując, jak wylatuje z klatki uwolniony ptak.

Plamy krwi na koszuli pod pachami były większe niż przed chwilą. Mundurowa koszula zaplamiona była krwią wzdłuż rozdarć na bokach, aż po pas.

- Owszem.

John Marinville ani przez chwilę nie uwierzył, by jego nowy towarzysz zabaw miał puścić go wolno. Co to, to nie. Tylko że ten nowy towarzysz zabaw miał się wkrótce zdegenerować do krwawej kiszki trzymającej się w kupie wyłącznie dzięki obcisłej mundurowej skórcie. Byle tylko dożyć tej chwili na chodzie...

- Dobra, waśniaku. Zawrzemy układ. Wyssij mnie. Wyssij mnie, to puszcę cię wolno. Takie to proste.

Rozpiął rozporek i opuścił przód gaci na gumce. Wypadło z nich coś przypominającego martwego węża. Z całym spokojem Johnny obserwował ciekący z niego strumyczek krwi. Facet krwawił przecież ze wszystkich innych otworów ciała.

- Jeśli potraktujemy to w kontekście literatury - powiedział gliniarz uśmiechając się - ten szczególny stosunek będzie czymś bardziej z Anne Rice niż z Armisteadą Maupina. Proponuję, byś skorzystał z rady królowej Wiktorii: zamknij oczy i myśl o ciasteczku z truskawkami.

Johnny Marinville popatrzył na fiuta szaleńca, podniósł wzrok na uśmiechniętą twarz i znów spojrzął na fiuta. Nie miał pojęcia, czego właściwie spodziewał się ten facet - krzyków, obrzydzenia, łez, melodramatycznych błagań - ale miał przemożne wrażenie, że nie czuje tego, co miał czuć, tego, czego wariat najwyraźniej się po nim spodziewał.

Chyba nie pojmujesz, przyjacielu, że w swoim czasie widziałem rzeczy nieco gorsze niż krwawiący fiut. I to nie tylko w Wietnamie.

Nagle zdał sobie sprawę, że gniew znów wylał ze swej kryjówki, że może opanować go bez reszty. O, do diabła, pewnie ogarnie go bez reszty. W końcu był zawsze jego podstawowym nałogiem, nie wódka, nie whisky, kokaina czy babki, lecz zwykły staroświecki gniew. Gniew nie miał nic wspólnego z tym, że gliniarz zdjął majtki i może właśnie tego rozpadający się policjant nie potrafił zrozumieć. Nie chodziło o seks. Johnny Marinville po prostu nie lubił, kiedy wkładano mu w usta cokolwiek!

- Klękę przed tobą, jeśli tylko chcesz - powiedział i choć jego głos był cichy i spokojny, wyraz twarzy gliniarza zmienił się nagle, zmienił się po raz pierwszy od chwili ich spotkania. Jego twarz zrobiła się pusta, z wyjątkiem podejrzliwie zwężonego zdrowego oka.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Kto u diabła dał ci prawo tak na mnie patrzeć? *Tak!*

- Nieważne, jak na ciebie patrzę. Po prostu posłuchaj mnie, sukinsynu. Trzy sekundy po tym, jak włożył mi w usta swojego malucha, będziesz go podnosił z chodnika, rozumiesz? *Tak!*

Wypluł to ostatnie słowo w koszmarną twarz giganta, a żeby tego dokonać, musiał wspiąć się na palce. Przez chwilę wielkolud sprawiał wrażenie nie tyle zaskoczonego, co wręcz zszokowanego. Szok szybko jednak ustąpił miejsca wściekłości i gliniarz odepchnął Johnny'ego od siebie z taką siłą, że przez chwilę pisarz miał wrażenie, iż leci w powietrzu. Uderzył w mur, wałnął głową w surową cegłę, przed oczami zobaczył gwiazdy, odbił się, potknął o własne nogi i upadł. Zabolało go w kilku nowych miejscach, ból w starych wyzwolił w nim nieodpartą ochotę do wycia, ale wyraz twarzy wariata sprawił, że mimo wszystko warto było. Johnny podniósł wzrok, by sprawdzić, czy wyraz ten pozostał tam na dłużej, pragnąc nacieszyć się nim, jak pszczoła cieszy się słodkim nektarem kwiatu, i serce przez chwilę przestało mu bić.

Twarz gliniarza napięła się. Skóra na niej sprawiała teraz wrażenie makijażu lub cienkiej warstwy farby... wrażenie całkowicie nierzeczywiste. Było tak, jakby pod tą, którą Johnny widział, istniała jeszcze jedna twarz rozpychająca maskującą ją ciało, pragnąca wydostać się na zewnątrz.

Dobre oko gliniarza wpatrywało się w niego przez chwilę, a potem policjant uniósł głowę i wskazał na niebo pięcioma palcami lewej dłoni.

- *Takah lah* - rzucił gardłowym, zdławionym głosem. - *Timoh. Can de lach! On! On!*

Rozległo się łopotanie niczym wywieszzonego w ogródku prania i na twarz Johnny'ego padł cień. Usłyszał jeszcze chrypliwe jak krzyk krakanie i nagle ptak o szorstkich skrzydłach spadł na niego, wczepił się szponami w jego ramiona, ryjąc dziury w koszuli, uderzył go dziobem w głowę, a potem jeszcze raz wznosił swój nieludzki krzyk.

John Marinville poznał, z czym ma do czynienia, po zapachu, zapachu zepsutego, zgniłego mięsa. Wielkie, szorstkie skrzydła uderzyły go po twarzy - to ścierwnik zamachał nimi, próbując utrzymać lepszą pozycję, a jednocześnie wtlaczając mu smród do nosa i ust, wtlaczając go z siłą nie do odparcia, aż Johnny zaczął się dławić. Przed oczami miał kołyszącego się rozpiętego na tablicy wilczura, podczas gdy nagie ptaszyska szarpały mu dziobami łapę i ogon. A teraz jeden z nich próbował pożywić się nim samym - zapewne nigdy nie słyszał, że należy do istot w zasadzie tchórzliwych, atakujących wyłącznie zwłoki, bo jego dziób orał mu skórę na głowie, orał do krwi.

- Zabierz go! - wrzasnął, kompletnie wytracony z równowagi. Próbował złapać wielkie, bijące go po twarzy skrzydła, ale zdołał wyrwać zaledwie dwie garście piór. Nie widział niczego; bał się, że jeśli otworzy oczy, ścierwnik zmieni pozycję i spróbuje mu je wydziobać. - Jezu, proszę, proszę, zabierz go!

- Czy będziesz na mnie patrzył właściwie, jeśli go zabiorę? - spytał gliniarz. - Nie bezczelnie? Nie z pogardą?

- Oczywiście! Przepraszam!

W tej chwili gotów był obiecać wszystko. Coś go poniosło, coś kazało mu powiedzieć to, co powiedział, ale teraz to coś zniknęło bez śladu, ptak wydziobał to coś jak robaka z kolby kukurydzy.

- Obiecujesz?

Ptaszysko biło go skrzydłami, wrzeszczało, ciągnęło za skórę i ubranie. Śmierdziało jak zgniłe mięso i wylane flaki. Siedziało na nim. Dziobało go. Pożerało go żywcem.

- Tak! Tak! Obiecuję!

- Pieprzę cię - odparł spokojnie gliniarz. - Pieprzę cię, *os pa* i pieprzę twoje obietnice. Sam się o siebie martw. Albo zdychaj.

Kłęcząc z opuszczoną głową i zmrużonymi w szparki oczami, Johnny po omacku wymacał ptaka, złapał go za skrzydła tam, gdzie łączyły się z tułowiem, i zerwał go z siebie. Ścierwnik szarpał się wściekle, wypróżniając się białym strumieniem, który wiatr unosił w pasmach. Ptaszysko wrzeszczało chrypliwie (tylko teraz w jego krzyku był ból) i wymachiwało łbem. Szlochając - przede wszystkim z obrzydzenia - Johnny wyrwał mu skrzydło, a samego potwora rzucił o mur. Ptak gapił się na niego czarnymi oczami, otwierając i zamykając zakrwawiony dziób, wydając przy tym dźwięk przypominający chlipanie.

To moja krew, ty sukinsynu - pomyślał Johnny. Odrzucił skrzydło, które wyrwał ptakowi, i zerwał się na równe nogi. Ścierwnik próbował przed nim uciekać, machając jednym pozostałym skrzydłem niczym wiosłem, podnosząc kurz i sypiąc piórami. Biegł w stronę radiowozu. Pokonał najwyżej półtora metra, kiedy Johnny dopadł go i nadepnął mu na szyję ciężkim motocyklowym butem. Pokryte czymś w rodzaju łuski nogi rozjechały się, jakby ptak próbował zrobić szpagat. Johnny zakrył oczy dłońmi, pewien, że w tej chwili mózg rozleci mu się, pęknie jak szyja ścierwnika.

- Nieżle - stwierdził gliniarz. - Dorwałeś go, przyjacielu. A teraz obróć się.

- Nie! - Johnny stał, drżąc na całym ciele i zasłaniając oczy dłońmi.

- Obróć się.

Nie sposób było nie usłuchać tego głosu. Odwrócił się. Gliniarz znów wskazywał w niebo pięcioma rozłożonymi palcami. Spojrzał w górę. Ze dwadzieścia parę ścierwników siedziało w równym szeregu na dachu od strony parkingu i przyglądało się im uważnie.

- Chcesz, żebym je wezwał? - spytał szalencie zwoiniczo łagodnym głosem. - Bo mogę, wiesz? Ptaki to takie moje hobby. Zeżrą cię żywcem... tego chcesz?

- Nnn...ie. - Ku swej wielkiej uldze Johnny stwierdził, że gliniarz jednak zapiął rozporek. Na spodniach rozlewała się plama krwi. - Nnn...ie, nnn...ie.

- Wypowiedz magiczne słowo, Johnny.

Przez jedną straszłą chwilę John Marinville nie potrafił domyślić się - nie wiedział, po prostu nie wiedział - jakie magiczne słowo ma na myśli gliniarz, ale zaraz je sobie przypomniał.

- Proszę.

- Będziesz się zachowywał rozsądnie?

- Ttt..ak.

- Mam co do tego pewne wątpliwości - stwierdził gliniarz. Wyglądało na to, że mówi do siebie. - Bardzo wątpię.

Johnny gapił się na niego w milczeniu. Gniew zniknął, jakby go nigdy nie było. Zniknęły wszelkie uczucia, pozostało tylko coś w rodzaju wszechogarniającego otępienia.

- Ten chłopiec... - powiedział gliniarz, spoglądając na piętro ratusza. Kilka okien miało nieprzezroczyste szyby, były też zakratowane. - Ten chłopiec bardzo mnie niepokoi. Zastanawiam się, czy nie powinienem z tobą o nim porozmawiać. Może udzieliłbyś mi jakiejś mądrej rady?

Założył ramiona na piersi, uniósł dłonie i zaczął nimi postukiwać po obojczykach, zupełnie tak jak przedtem stukał nimi po kierownicy. Cały czas uważnie przyglądał się Johnny'emu.

- A może raczej powinienem cię zabić? Może to będzie najlepsze dla wszystkich... jako trup masz szansę na tego Nobla, na którym zawsze tak bardzo ci zależało. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

Podniósł głowę, przyjrzał się siedzącym na krawędzi dachu ptaszyskom i wybuchnął śmiechem. Ptaki odpowiedziały mu ochryłym krakaniem. Johnny nie mógł się powstrzymać przed straszłą myślą - straszłą, bowiem tak oczywistą.

Śmieją się wraz z nim. Bo to nie jego, lecz ich żart.

Na parkingu nagle powiał wiatr - Johnny aż zachwiał się pod wpływem jego podmuchu. Oderwane skrzydło ścierwnika leciało po chodniku niczym piórko. Ściemniało się - zbyt szybko jak na tę porę dnia. Spojrzał na zachód; piasek wznosił się, przesłaniał góry; wkrótce zapewne staną się niewidoczne. Słońce nadal świeciło na niebie, ale niedługo i je miał zakryć wzbity wiatrem piach. Nadchodziła burza piaskowa... i zbliżała się do miasteczka.

Pięcioro ludzi zamkniętych w celach - Carverowie, Mary Jackson i stary pan Siwy - słyszeli krzyki mężczyzny i towarzyszące tym krzykom ptasie krakanie oraz łopot skrzydeł. W końcu wszystko ucichło. David miał nadzieję, że nikt nie zginął, ale przecież... jakie były na to szanse?

- Mówił pan, że jak się nazywał? - spytała Mary.

- Collie Entragian - odparł siwy. Wyglądało na to, że zmęczyło go wysłuchiwanie krzyków. - Collie to zdrobnienie od Collier. Przyjechał tu z któregoś z tych górniczych miasteczek w Wyoming jakieś piętnaście, może szesnaście lat temu. Był wtedy niemal nastolatkiem. Szukał pracy w policji, nie dostał jej, więc zamiast do policji poszedł do Diabolo Company, do kopalni. Było to mniej więcej wtedy, kiedy Diabolo przygotowało się do zamknięcia interesu i powrotu do domu. O ile pamiętam, pracował właśnie przy zamknięciu kopalni.

- Peterowi i mnie powiedział, że jest otwarta - zauważyła Mary.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową, być może ze zmęczeniem, być może nawet z gniewem.

- Chodzą pogłoski, że stara Chińska Jama nie jest jeszcze wyczerpana, ale to tylko plotki i w dodatku nieprawda. Tak, znów robili tam coś na górze, ale nie wyciągną z kopalni nawet zeschniętego gówna, stracą tylko pieniądze inwestorów i wrócą do domu. Nikt nie będzie z tego powodu szczęśliwszy niż Jim Reed. Miał po dziurki w nosie bójek w barach. Wszyscy będziemy szczęśliwi, kiedy zostawią wreszcie w spokoju starą Chińską. Głupi ludzie z miasteczka twierdzą, że jest nawiedzona. - Przerwał. - Ja do nich należę - dodał jeszcze.

- Kto to jest Jim Reed? - spytał Ralph.

- Oficer bezpieczeństwa miasta. W większych miastach nazywa się to naczelnik policji, ale Desperation liczyło sobie ostatnio jakichś dwustu mieszkańców. Jim miał dwóch pełnoetatowych zastępców - Dave'a Pearsona i Colliego. Nikt nie spodziewał się, że Collie zostanie po tym, jak Diabolo zwinęło interes, ale został. Nie ożenił się, dostał rentę wypadkową i kręcił się w okolicy, pracując tu i tam, aż w końcu Jim zaczął mu podrzucać robotę. Był dobry, więc w końcu rada przyjęła rekomendację Jima i w dziewięćdziesiątym pierwszym zatrudniła go na etat.

- Trzech gliniarzy to kupa policji jak na tak małą osadę - zauważył Ralph.

- Pewnie. Dostaliśmy jednak trochę forsy z Waszyngtonu, na podstawie aktu o Umacnianiu Prawa w Małych Społecznościach, a także podpisaliśmy kontrakt z hrabstwem Sedalia na pilnowanie porządku w okolicy... Mandaty za przekroczenie prędkości, wyłapywanie pijaków za kierownicą i tak dalej.

Gdzieś za oknami wyły kolejne kojoty; ich wycie stawało się mniej wyraźne, w miarę jak wzrastał się wiatr.

- Za co dostał rentę? - spytała Mary. - Choroba umysłowa?

- Nie, proszę pani. Wóz dostawczy, którym jechał, dachował w drodze z kopalni, właśnie z Chińskiej. Tuż przedtem, nim ludzie z Diabolo dali sobie z nią spokój. Rozwalił sobie kolano. Nic wielkiego mu się nie stało, ale kulał, nie da się ukryć.

- A więc to nie on - stwierdziła stanowczo Mary.

Siwy spojrział na nią, marszcząc krzaczaste brwi.

- Mężczyzna, który zabił mojego męża, nie kuleje.

- Nie kuleje - zgodził się siwy. Mówił przedziwnie spokojnie. - Nie, nie kuleje, ale to z pewnością Collie. Widywałem go niemal codziennie od piętnastu lat, stawiałem mu w "The Broken Drum", a on nieraz odwdzieczył mi się w "Bud's Suds". To on przyjechał do przychodni, robił zdjęcia i szukał odcisków palców, kiedy było tam włamanie. Włamywacze pewnie szukali narkotyków, ale nikt nic nie wie na pewno. Nigdy ich nie złapano.

- Pan jest lekarzem? - zainteresował się David.
- Weterynarzem. Nazywam się Tom Billingsley.

Starszy mężczyzna wyciągnął wielką, pomarszczoną dłoń. David potrząsnął nią niezdarnie. Na dole trzasnęły drzwi.

- No i jesteśmy na miejscu, Wielki Johnie! - krzyknął jowialnie gliniarz. - Pokój już na ciebie czeka. Pokój? Niech to diabli, dostaniesz apartament po cenie okazyjnej! No, to do góry. Zapomnieliśmy komputera, ale masz doskonale ściany i na start kilka wysokiej jakości sentencji, na przykład WYSSIJ MI CHUJA i PIEPRZYŁEM CI SIOSTRĘ.

Tom Billingsley zerknął na wychodzące na schody drzwi, a potem spojrzał na Davida. Mówił wystarczająco głośno, by słyszeli go wszyscy, ale mówiąc patrzył na Davida, i na nim chyba najbardziej mu zależało.

- Coś wam powiem. Teraz jest większy.
- Jak to? - spytał chłopiec, choć chyba wiedział, o co chodzi.
- Dokładnie tak. Collie nigdy nie był karzełkiem, miał trochę ponad metr dziewięćdziesiąt i ważył dobrze ponad setkę, ale teraz...

Znów zerknął w kierunku schodów; w kierunku, z którego dobiegał odgłos zbliżających się ciężkich kroków. Kroków dwóch osób.

Siwy spojrzał Davidowi w oczy.

- Powiedziałbym, że teraz jest o prawie dziesięć centymetrów wyższy, prawda? I jakieś piętnaście kilogramów cięższy.
- To szaleństwo! - zaprotestowała Ellen. - Kompletne szaleństwo!
- Tak, proszę pani, oczywiście. Ale jednocześnie to święta prawda.

Prowadzące na schody drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wpadł przez nie mężczyzna o zakrwawionej twarzy i siwych, sięgających ramion włosach, również zlepionych krwią. Zabrakło mu tanecznej gracji, z jaką weszła na scenę Mary; potknął się mniej więcej pośrodku aresztu, padł na kolana i wyciągnął przed siebie ręce, broniąc się przed uderzeniem o biurko. Za nim wszedł człowiek, który wszystkich ich tu sprowadził, a jednak nie był to już ten człowiek, lecz raczej krwawa hydra, potwór rozpadający się i dezintegrujący się na ich oczach.

Odwrócił ku nim zakrwawioną, bezoką twarz, uśmiechnął się - od tego uśmiechu popękały mu wargi - i powiedział zdławionym, lecz pełnym uczucia głosem:

- Spójrzcie, panie i panowie. Tylko na nas popatrzcie. Jejku jej! Jedna wielka, szczęśliwa rodzinka.

Część II

Desperation:

z tej ciszy coś zrodzić się może

Rozdział 1

1

- Steve?

- Tak?

Dziewczyna wskazywała za okno, na zachód.

- Jak myślisz, co to?

- Piasek - powiedziała. - Piasek i wiatr.

- Aha. Chyba masz rację.

- Zatrzymaj się na sekundkę, dobrze?

Spojrzał na nią pytająco.

- Na sekundkę - powtórzyła.

Steve Ames zjechał na pobocze szosy prowadzącej na wschód od szosy numer pięćdziesiąt do miasteczka Desperation. Znaleźli ją bez najmniejszych problemów. Siedział teraz za kierownicą rydera, przyglądając się Cynthii Smith, która mimo złego nastroju zdołała wzruszyć go stwierdzeniem, że jest jej "miłym nowym przyjacielem". Teraz jednak nie patrzyła na swego miłego nowego przyjaciela; opuściła za to wzrok na dół swej śmiesznej koszulki Petera Tosha. Skubała ją nerwowo.

- Stoję twardo na ziemi - powiedziała nie podnosząc oczu. - Mam odrobinę zdolności parapsychicznych, ale mimo to stoję twardo na ziemi. Wierzysz mi?

- Chyba tak.

- I jestem praktyczna. W to też wierzysz?

- Jasne.

- Dlatego pokpiwałam z twojej intuicji czy jak to nazwać. Ale... podejrzewałeś, że znajdziemy coś tam, przy drodze, i znaleźliśmy.

- No tak, znaleźliśmy.

- A więc intuicja cię nie omyliła.

- Mogłabyś przejść do rzeczy! Mój szef...

- Jasne. Twój szef, twój szef, twój szef... wiem, że o nim myślisz, że praktycznie myślisz tylko o nim i to mnie właśnie martwi, Steve. Mam złe przeczucia: Intuicja podpowiada mi, że coś tu jest nie tak.

Przyjrzał się jej uważniej. Powoli, z wahaniem, Cynthia podniosła głowę i odpowiedziała mu spojrzeniem. To, co dostrzegł w jej oczach, zaskoczyło go i wytrąciło z równowagi - błyszczał w nich zwyczajny paniczny strach.

- Co się stało? Czego się boisz?

- Nie wiem.

- Cynthio, słuchaj... przecież musimy tylko znaleźć jakiegoś glinę... a jak nie znajdziemy gliny, wystarczy nam nawet budka telefoniczna... i zgłosić zaginięcie Johnny'ego. Musimy także zgłosić zaginięcie rodziny Carverów.

- Mimo wszystko...

- Nie bój się, będę ostrożny. Obiecuję.

- Może jeszcze raz spróbowałbyś dziesięćset jedenaście przez telefon komórkowy - poprosiła cichym, pokornym głosem, zupełnie innym niż ten, którym mówiła do tej pory.

Spróbował, żeby ją uspokoić. Nie spodziewał się niczego, więc nie rozczarował się, niczego nie osiągnąwszy. Tym razem nie usłyszał nawet nagrania. Nie był pewien, ale przypuszczał, że huragan, sztorm, burza piaskowa czy jak to nazywają w tej okolicy, dodatkowo spieprzyły sprawę.

- Przepraszam, nic nie da się zrobić. Chcesz sama spróbować? Może będziesz miała więcej szczęścia. Delikatna kobieca ręka i tak dalej...

Potrząsnęła głową.

- A ty nie czujesz niczego złego? - spytała. - W ogóle niczego?

Steve westchnął. Owszem, czuł coś. Przypominało mu to czasy dojrzewania spędzone w Teksasie. Lato, podczas którego skończył trzynaście lat, było najdłuższym, najśłodszym i pod wieloma względami najdziwniejszym latem jego życia. Pod koniec sierpnia często zdarzały się wieczorne burze - krótkie, lecz niesłychanie gwałtowne; starzy kowboje nazywali je "oberwaniem chmury". I w tym właśnie roku (roku, w którym chyba co drugi puszcany w radiu utwór pop był piosenką zespołu Bee Gees) chwila napiętej ciszy przed taką burzą - czarne niebo, nieruchome powietrze, coraz ostrzejsze grzmoty, błyskawice bijące w prerię niczym widelce w mięso - podniecała go tak, jak to się nie zdarzyło już nigdy później. Oczy zachowywały się jak kule elektryczności zanurzone w chromie, żołądek ścisnął się, członek wypełniał krwią twardniejąc jak drewno. Podczas tych krótkich chwil ciszy przed burzą był w prawdziwej, choć mocno podszytej strachem ekstazie, jakby spodziewał się, że lada chwila świt ujawni mu któryś ze swych największych sekretów, sekret nadający się do rzucenia na stół jak atutowa karta. Oczywiście zawsze okazywało się w końcu, że nie istnieje objawienie (chyba że wiedzę o tym, jak się onanizować, którą posiadał w rok później, uznać za objawienie), że jest tylko deszcz. Coś podobnego czuł w tej chwili, tylko że nie miał wzrodu, nie sterczały mu włoski na ramionach i nie odczuwał ani ekstazy, ani strachu - a jeśli nawet odczuwał strach, to w każdym razie niewielki. Od czasu, kiedy na pustyni wykopał motocykl szefa, Steve miał po prostu przecucie, że coś poszło nie tak, a wkrótce będzie jeszcze gorzej. Przed rozmową z Cynthia uznał to przecucie za przywidzenie. Jako dziecko reagował prawdopodobnie na zmianę ciśnienia, na przesycającą powietrze elektryczność albo jakąś inną cholere. A teraz też zbliżała się burza, prawda? Prawda. Więc to prawdopodobnie to samo, déjà vu i w ogóle, jak mówią, żaden sekret. Tylko...

- Dobrze, zgoda, rzeczywiście coś czuję. Tylko co do diabła powinienem zrobić? Nie chcesz chyba, żebym zawrócił?

- Nie. Nie możemy zawrócić. Po prostu bądź ostrożny, dobra?

Podmuch wiatru zakołysał półciązarówką. Chmura jasnego piasku, przelatująca nad drogą, na moment zmieniła ją w miraż.

- Dobra, ale musisz mi pomóc.

Ruszyli. Promienie zachodzącego słońca padły na unoszącą się na zachodzie ścianę piasku, czerwoną na spodzie jak wyjęta z krwi.

- Masz to jak w banku - odparła Cynthia, krzywiąc się, bo ich półciązarówka znów zakołysała się na wietrze. - Możesz na mnie liczyć.

2

Okrwawiony od stóp do głów gliniarz zamknął ostatniego ze swych więźniów w celi przylegającej do celi Davida Carvera i Toma Billingsleya. Następnie obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Jego ociekająca krwią, oblażająca ze skóry twarz była poważna, zamyślona. Sięgnął do kieszeni po klucze. David zauważył, że wybrał ten sam co poprzednio - prostokątny, z czarną ścieżką magnetyczną - więc był to prawdopodobnie klucz uniwersalny.

- Entliczek pętliczek czerwony stoliczek - powiedział. - Trzeba turystkę złapać za piczkę.

Podszedł do celi, w której siedzieli Ralph i Ellie Carver. Na jego widok oboje cofnęli się, przytulili mocno do siebie.

- Zostaw ich w spokoju! - krzyknął zaniepokojony rozwojem sytuacji David. Siwy Billingsley ujął go za łokieć, ale chłopiec wyrwał mu się bez problemu. - Słyszysz mnie? Zostaw ich w spokoju!

- Pomarzyć dobra rzecz, łobuzie - odparł Collie Entragian. Włożył klucz w zamek w kracie; rozległ się stuk obracających się bolców. Otworzył celę. - Mam dla ciebie dobrą nowinę, Ellie. Właśnie zostałaś zwolniona warunkowo. No, wychodź.

Ellen potrząsnęła głową. W areszcie tańczyły cienie, rzucane przez zachodzące słońce; jej twarz kryła się w nich, blada jak papier. Ralph objął ją drugą ręką i przytulił jeszcze mocniej.

- Nie wystarczy ci to, co już zrobiłeś naszej rodzinie? - spytał.

- Mówiąc krótko, nie. - Entragian wyjął swój rewolwer wielkości armaty, odciągnął kurek i wycelował w Ralpa. - Albo wyjdzie pani w tej chwili, szanowna pani, albo strzelę temu nieudacznemu urzędniczynie wprost między oczy. Wolisz mieć jego mózg na miejscu, w głowie, czy wysychający na ścianie? Mnie jest wszystko jedno.

Boże, spraw, żeby przestał - modlił się David. - Proszę, spraw, żeby przestał. Potrafiłeś wyciągnąć Briana z czegokolwiek go wyciągnąłeś, potrafisz dokonać i tego. Potrafisz zmusić go, żeby przestał. Dobry Boże, nie pozwól mu zabrać mamusi.

Ellen odpychała od siebie rękę męża.

- Kochanie, nie!

- Muszę! Czy ty tego nie rozumiesz?

Ralph wypuścił żonę z objęć. Policjant odwiódł kurek rewolweru i włożył broń do olstra. Wyciągnął rękę ku Ellen, jakby prosił ją do tańca, na parkiet, i Ellen podeszła do niego, a kiedy odezwała się, mówiła bardzo cicho. David zdawał sobie sprawę, że nie chce, żeby usłyszał jej słowa, ale słuch miał bardzo dobry.

- Jeśli chcesz... czegoś, zabierz mnie gdzieś, gdzie mój syn nie będzie musiał tego oglądać.

- Nie obawiaj się - odparł Entragian tym samym konspiracyjnym tonem. - Nie chcę... czegoś. A już zwłaszcza nie od ciebie. No, chodź.

Zatrzasnął celę. Potrząsnął lekko kratą, by sprawdzić, czy zamek zaskoczył; drugą ręką cały czas trzymał Ellen. Potem poprowadził ją w stronę drzwi.

- Mamo! - krzyknął David, złapał kraty i zaczął je szarpać. Rozległ się niegłośny trzask, nic więcej. - Mamo, nie! Zostaw ją, ty sukinsynu! Zostaw mamusię!

- Nie martw się, Davidzie, wróć - powiedziała Ellen, ale w jej równym, mechanicznym głosie było coś, co wystraszyło chłopca, bardzo go wystraszyło, bo brzmiał tak, jakby jego mama już odeszła albo jakby ten gliniarz zahipnotyzował ją samym dotykiem. - Nie martw się o mnie.

- Nie! - krzyczał David. - Tato, niech on przestanie! Tato, każ mu przestać!

W sercu czuł rosnącą pewność - jeśli ten wielki, okrwawiony człowiek zabierze mu matkę, on nigdy jej już nie zobaczy.

- Davidzie... - Ralph Carver cofnął się o dwa niepewne kroki, usiadł na pryczy, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się.

- Będę się nią opiekował, Davidzie, nie martw się - obiecał Entragian. Stał przy prowadzących na schody drzwiach, ściskając ramię Ellen Carver tuż nad łokciem. Jego uśmiech byłby równie szczery co cudowny, gdyby nie cieknąca po wyszczerzonych zębach krew. - Jestem bardzo wrażliwy, prawdziwy bohater "Mostów Madison County", tyle że nie ma tu żadnej kamery.

- Jeśli ją skrzywdzisz, pożałujesz - powiedział David.

Gliniarz przestał się uśmiechać. Sprawiał teraz wrażenie rozłoszczonego i odrobinę urażonego.

- Być może, być może... ale wątpię. Szczerze w to wątpię. Lubisz się modlić, chłopcze, prawda?

David nie opuścił wzroku. Wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Tak, tak, lubisz się modlić. Wyglądasz na takiego, wielkie niewinne oczy, gęba rozdziawiona stąd do nieba. Mały Boży Chłopczyk w baseballowej koszulce. Jejku jej! - Entragian zbliżył głowę do głowy Ellen. Spojrzał na Davida chytrze, przez pasmo jej włosów. - Módl się, ile chcesz, Davidzie, tylko nie spodziewaj się, że modlitwa ci pomoże. Twojego Boga tu nie ma, tak jak nie było go u boku Jezusa, kiedy umierał na krzyżu, a muchy obsiadły mu oczy. *Tak!*

Ellen dostrzegła, co idzie po schodach. Wrzasnęła i próbowała się wyrwać, ale Entragian trzymał ją mocno.

Przez drzwi do aresztu jednym płynnym ruchem wsunął się kojot. Nie spojrział nawet na krzyżącą kobietę trzymaną za ramię przez gigantycznego okrwawionego policjanta, po prostu poszedł na środek aresztu. Zatrzymał się tam, odwrócił łeb i wpatrzył w Entragianą nieruchomym niczym u wypchanego zwierzęcia spojrzeniem żółtych ślepi.

- *Ah lah* - powiedział Entragian, puszcżając ramię Ellen na czas, jaki potrzebny jest by szybko uderzyć prawą dłonią w grzbiet lewej. Davidowi gest skojarzył się z obrazem kamyka skaczącego po spokojnej toni stawu.

- *Him en tow*.

Kojot usiadł.

- Mój przyjaciel jest szybki - oznajmił wszem i wobec Collie Entragian. Specjalną uwagę skupił jednak na Davidzie i na niego przede wszystkim patrzył. - Mam na myśli to, że jest bardzo szybki. Szybszy niż większość psów. Wysuniecie z celi rączkę albo nóżkę, to wam ją odgryzie, nim zdążycie się cofnąć. Macie na to moje słowo.

- Zostaw w spokoju moją mamę - powtórzył David.

- Synku - odparł z żalem gliniarz. - Twojej mamie mogę wsadzić patyk w piczkę i kręcić nim tak długo, aż się zapali, jeśli tak mi się spodoba, a ty nic na to nie poradzisz. Wychodzę z nią, ale wróć po ciebie.

Podszedł do drzwi, ciągnąc za sobą Ellen.

W areszcie panowała cisza, przerywana tylko zduszonym szlochem Ralpha Carvera i ziajaniem kojota, obserwującego Davida swymi nieprzyjemnie inteligentnymi ślepiami. Ślina kapłała mu z wysuniętego jęzora niczym krople wody z nieszczelnej rury.

- Nabierz ducha, synu - odezwał się mężczyzna o sięgających do pasa siwych włosach. Mówił jak facet, który przyzwyczajony jest nie do pocieszania kogoś, lecz raczej do tego, by to jego pocieszano. - Widziałeś, jak wygląda. Facet ma krwotok wewnętrzny, gubi zęby, jedno oko pękło i lada chwila wypadnie mu z czaszki. Nie pożyje długo.

- Jeśli zechce, zabije mamę i nie zajmie mu to wiele czasu - odparł David. - Już zdołał zabić moją siostrzyczkę. Zepchnął ją ze schodów i... i skręciła ka...ka...kark.

Oczy nagle wypełniły mu się łzami, ale jakoś zdołał powstrzymać się od płaczu. Nie czas teraz na szlochy.

- No tak, ale... - Nowy próbował coś powiedzieć i zrezygnował.

David przypomniał sobie rozmowę z gliniarzem, kiedy jechali do miasta jego radiowozem... kiedy nadal sądzili, że to zwykły, normalny policjant, który pomaga im w nieprzyjemnej sytuacji. Spytał go wtedy, skąd zna ich nazwisko, a policjant odpowiedział, że z plakietki nad stołem. Była to dobra odpowiedź, nad stołem rzeczywiście była plakietka z ich nazwiskiem... ale nikt nie byłby w stanie przeczytać jej z miejsca, w którym stał policjant, u stóp prowadzących do wejścia schodków. "Mam orli wzrok, Davidzie, moje oczy dostrzegą prawdę z daleka".

Powoli, powłócząc nogami, Ralph Carver podszedł do kraty. Oczy miał przekrwione, powieki opuchnięte, twarz zakrwawioną. Przez moment David czuł oślepiającą, ogłuszającą, nieprzytomną wściekłość. Miał ochotę krzyknąć: "To wszystko przez ciebie! To przez ciebie umarł Słodyczek! To przez ciebie ten człowiek zabrał mamę i teraz ją zabije albo zgwałci! Ty i te twoje kasyna! Ty i te twoje głupie pomysły na wakacje! Powinien zabrać ciebie, tato! Powinien zabrać ciebie!"

Uspokój się, Davidzie - pomyślał, lecz słowa te wypowiedział głos Gene'a Martina. - To właśnie tego chce. Chce, żebyś myślał w ten sposób.

To? Gliniarz, Entragian, czy to jego głos wielebnego nazwał "to"? On... to... chciało, żeby David myślał, w jaki sposób? Ale, skoro już przy tym jesteśmy, co obchodziło "to", w jaki sposób on myśli?

- Tylko na niego popatrzcie - powiedział Ralph, przyglądając się kojotowi. - Jakim cudem zdołał go przywołać ot, tak sobie? I dlaczego zwierzę tu zostało?

Kojot obrócił się w stronę, z której dobiegł go głos, zerknął na Mary i z powrotem wpatrzył się w Davida. Dyszał. Ślinił się, na drewnianej podłodze rozlewała się powoli mała kałuża.

- Jakoś je oswoił - stwierdził mężczyzna o długich siwych włosach. - Jak ptaki. Tam, za oknem, siedzą oswojone przez niego ścierwniki. Zabiłem takiego smrodliwego sukinsyna. Zdeptałem mu szyję i...

- Nie - odezwała się Mary.

- Nie - powtórzył za nią Billingsley. - Jestem pewien, że kojoty można oswoić, ale ten z pewnością nie jest oswojony.

- Rzeczywiście! - warknął siwy.

- A ten policjant? - wtrącił David. - Pan Billingsley twierdzi, że jest wyższy niż kiedyś. O jakieś dziesięć centymetrów.

- Toż to szaleństwo.

Siwy miał na sobie skórzaną motocyklową kurtkę. Rozpiął kieszeń, wyjął z niej sponiewierany zwitek gumy do żucia i wsunął jedną do ust.

- Proszę pana, jak pan się nazywa? - chciał wiedzieć Ralph.

- Marinville. John Marinville. Jestem...

- Jest pan po prostu ślepy, jeśli rzeczywiście nie widzi pan, że dzieje się tu coś nienormalnego... coś straszego...

- Nie twierdzą, że to, co się dzieje, nie jest straszne... i z pewnością nie twierdzą, że jest normalne - sprostował Marinville i mówił coś jeszcze, ale w tym momencie odezwał się głos, ten inny głos i David zapomniał o toczącej się w areszcie rozmowie.

Mydło. Mydło, Davidzie.

Spojrzał na mydło, zieloną kostkę irish spring leżącą przy kranie z zimną wodą, i pomyślał o Entragianie, mówiącym "wrócę po ciebie".

Mydło.

Nagle zrozumiał... a raczej wydawało mu się, że zrozumiał. Miał nadzieję, że zrozumiał.

Lepiej, żebym się nie mylił. Lepiej, żebym się nie mylił, albo...

Miał na sobie podkoszulek clevelandzkich Indian. Zdjął go i upuścił przy kranie celi. Podniósł głowę - kojot wpatrywał się w niego uważnie. Nie tylko postawił oberwane uszy, ale chyba też zaczął warczeć, cicho, z głębi gardła.

- Synku, coś ty znowu wymyślił? - spytał go Ralph.

David nie odpowiedział. Usiadł na pryczy, zdjął trampki i rzucił je na koszulkę. Teraz już nie mogło być żadnych wątpliwości - kojot rzeczywiście warczał. Jakby wiedział, co chłopiec planuje. Jakby zamierzał go powstrzymać, gdyby spróbował czegoś nierozsądnego.

Nie wygłupiaj się, oczywiście, że spróbuje cię powstrzymać, inaczej ten gliniarz by go tu nie zostawił. Po prostu musisz ufać. Ufać i zachować wiarę.

- Wierzę, że Bóg mnie ochroni - szepnął David.

Wstał, rozpiął pasek od spodni i zamarł, nie zdejmując ich.

- Proszę pani - powiedział. - Proszę pani? - Mary spojrzała na niego; poczuł, że się rumieni. - Czy nie mogłaby się pani odwrócić? - spytał. - Muszę zdjąć spodnie i chyba lepiej będzie, jak zdejmę też bieliznę.

- Na litość boską, o co ci właściwie chodzi? - Ojciec niemal na niego krzyczał, w jego głosie brzmiała wyraźna panika. - Cokolwiek wymyśliłeś, zabraniam! Stanowczo zabraniam!

David milczał. Nie spuszczał oczu z Mary. Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, tak jak kojot patrzył na niego. Nie wytrzymała jego spojrzenia i odwróciła się. Mężczyzna w motocyklowej kurtce siedział na pryczy, pracowicie żuł gumę i przyglądał mu się uważnie. David był wstydlivy jak większość jedenastoletków, więc czuł się trochę nieswojo... ale, jak sam już wcześniej całkiem rozsądnie zauważył, nie czas teraz na wygłupy. Jeszcze raz spojrzał na kostkę irish spring, po czym zdjął spodnie i bieliznę.

- Fajne - powiedziała Cynthia. - To znaczy prawdziwa klasa.

- Co? - spytał Steve.

Siedział wyprostowany, uważnie przyglądając się drodze. Przewiewał ją piasek, toczyły się po niej biegacze*, prowadzenie samochodu nastroczało coraz więcej kłopotów.

- Ten znak, o tam! Widzisz?

Steve spojrział na tablicę, która pierwotnie głosiła KOŚCIOŁY I ORGANIZACJE SPOŁECZNE DESPERATION WITAJĄ; zmieniona przez jakiegoś dowcipnisia uzbrojonego w farbę w sprayu głosiła teraz: MARTWE PSY DESPERATION WITAJĄ. Postrzępiony na końcach sznur powiewał na coraz silniejszym wietrze. Wierny pies zniknął jednak - najpierw napoczęły go ścierwniki, potem nadeszły kojoty. Głodne i zupełnie obojętne na perspektywę pożywienia się ciałem swego najbliższego kuzyna zerwały sznur i odciągnęły trupa, zatrzymując się tylko po to, by na siebie powarczeć, a raz czy dwa nawet, by się pogryźć. Po owczarku pozostały tylko kości i pazury, leżące za najbliższym wzniesieniem. Niesiony wiatrem piach miał je przykryć już wkrótce.

- Rany, ludzie tu rzeczywiście lubią się pośmiać - stwierdził Steve.

- Rzeczywiście - zgodziła się z nim Cynthia. - Zatrzymaj się, dobrze?

Mijali zardzewiały barak z blachy falistej. Szyld na jego froncie głosił: KORPORACJA GÓRNICZA DESPERATION. Na parkingu stało kilka samochodów osobowych i półciężarówek.

Steve zjechał na pobocze, ale nie skręcał na parking, w każdym razie jeszcze nie. Wiatr nie był już tak porywisty, wiał mocno - równiej, choć nadal mocno. Na zachodzie słońce, surrealistyczny czerwony dysk, wisiało nad górami Desatoya, wielkie i płaskie jak powiększona fotografia Jowisza. Skądś dobiegał ich szybki, regularny stuk, prawdopodobnie stalowego okucia linki uderzającego w maszt, na który wciągano niegdyś flagę korporacji.

- O czym myślisz? - spytał dziewczynę.

- Zadzwońmy stąd na policję, dobrze? Są tu ludzie... widzisz światła?

Steve zerknął na barak. Rzeczywiście, pięć czy sześć okienek na końcu blaszaka błyszczało niczym kwadratowe gwiazdki. W słabym świetle, wśród unoszących się w powietrzu drobin piasku, wyglądały jak oświetlone okna wagonów pociągu. Zerknął na Cynthię. Wzruszył ramionami.

- Dlaczego stąd? Przecież możemy podjechać prosto do sklepiku z gliniarzami. Rynek w takiej wiosce nie może być daleko.

Dziewczyna potarła czoło dłonią, jakby była zmęczona albo jakby zaczynała ją boleć głowa.

- Powiedziałaś, że będziesz ostrożny. Obiecałam, że ci pomogę. Właśnie próbuję. To znaczy, chciałabym wiedzieć, o co chodzi, nim jakiś mundurowy posadzi mnie na stołku i zacznie strzelać pytaniami. Nie pytaj dlaczego, bo właściwie to... nie wiem. Zadzwońmy na policję. Jeśli wszystko będzie dobrze, to fajnie, my też będziemy dobrzy. Tylko... co, do cholery, robi policja? Nie chodzi o twój szefa, zniknął właściwie bez śladu, ale ten kamper stoi przecież na drodze, na kapciach, z otwartymi drzwiami i mnóstwem cennych rzeczy w środku. Daj spokój! Gdzie się podziali gliniarze?

- O to ci chodzi, prawda?

* Biegacz stepowy (*tumbleweed*) - roślina z terenów półpustynnych Azji i Ameryki; jej górna, rozgałęziona część odrywa się jesienią od podłoża i toczy się pędzona wiatrem, rozsiewając nasiona. W USA zwana także rosyjskim ostem.

- Tak, o to mi chodzi.

Gliniarze mogli być zajęci włamaniem do nocnego sklepu, pożarem na jakimś ranczu, nawet morderstwem... wszyscy gliniarze, przecież w tej części kraju nie było ich znowu aż tak wielu. A jednak mimo wszystko rzeczywiście o to chodziło. Nieobecność policji nie wydawała się po prostu dziwna, wydawała się... nienaturalna.

- Dobra - powiedział spokojnie Steve, wjeżdżając na parking. - W komisariacie i tak może już nie być żadnego członka tego, co mieszkańcy Desperation nazywają siłami porządku. Robi się późno. Właśnie... ciekawe, że tu jeszcze ktoś jest. Dziwna sprawa, wiesz? W kopalinach musi być kupa pieniędzy.

Zaparkował obok pikapa, otworzył drzwi... i wiatr wyrwał mu klamkę, aż uderzyły w karoserię sąsiedniego samochodu. Steve skrzywił się, pewien, że lada chwila na parking wyskoczy facet w typie Slima Pickensa, trzymający w dłoni kapelusz i wrzeszczący: "Co ty sobie myślisz, chłopcze?", ale nikt taki się nie pojawił. Obok niego przeleciał tylko biegacz stepowy, najwyraźniej w drodze do Salt Lake City... i to by było na tyle. Powietrze pełne było alkalicznego pyłu. W tylnej kieszeni spodni miał czerwoną chustkę. Wyjął ją, zawiązał z tyłu i nasunął na usta.

- Czekaj, chwilę! - krzyknął do dziewczyny, która właśnie miała zamiar otworzyć drzwi od swojej strony. Wsadził głowę do kabiny i w skrytce znalazł drugą chustkę, niebieską. Podał ją Cynthii. - Najpierw włóż to - poradził.

Cynthia wzięła chustkę, przyjrzała się jej uważnie, a potem spojrzała na niego poważnymi, szeroko otwartymi oczami niewinnej panienci.

- Żadnych wstydliwych zarasków? - spytała.

Steve prychnął i uśmiechnął się, choć nie mogła zobaczyć jego uśmiechu.

- Czysta niczym świeże powietrze, jak to się mówi w Lubbock, szanowna pani. Włóż ją.

Zawiązała chustkę i posłusznie nasunęła ją na usta.

- Butch i Sundance - stwierdziła lekko stłumionym głosem.

- Aha. Bonnie i Clyde.

- Omar i Shariff - zachichotała.

- Uważaj. Wiatr rzeczywiście podkręcił tempo.

Wychylił się zza samochodu, kierując się w stronę maski, i wiatr uderzył go w twarz z taką siłą, że Steve aż zachwiał się na nogach. Pędzące w powietrzu ziarna piasku ukłuły go w czoło. Cynthia, pochylona, że śmieszoną koszulką Petera Tosha opiętą na chudym brzuchu, a z tyłu wydętą jak żagiel, kurczowo trzymała się klamki. Noc jeszcze nie zapadła, niebo nad ich głowami nadal było niebieskie, parking oświetlało jednak dziwne rozproszone światło. Burza zbliżała się wielkimi krokami.

- Idziemy! - krzyknął Steve, obejmując ją w talii. - Wynośmy się stąd.

Przez popękany asfalt jak najszybciej mogli poszli w stronę baraku. Znaleźli umieszczone z boku drzwi. Plakietka przykręcona obok nich głosiła: KORPORACJA GÓRNICZA DESPERATION tak samo jak szyld od frontu, Steve dostrzegł jednak, że na plakietce zamalowano jakiś inny, wcześniejszy napis, wyglądający spod białej farby niczym czerwony upiór. Był niemal całkiem pewny, że ten wcześniejszy, czerwony napis głosił DIABOŁO i że litera I miała kształt diabolicznych widel.

Cynthia stukała w drzwi obgryzionym paznokciem palca wskazującego. Od wewnątrz, na przysawce, wywieszono karteczkę z jakże charakterystycznym dla Zachodu, efekciarskim i cholernie irytującym napisem:

JEŚLI JESTEŚMY OTWARCI, JESTEŚMY OTWARCI
JEŚLI JESTEŚMY ZAMKNIĘCI,
ZAWSZE MOŻESZ PRZECIEŻ WRÓCIĆ.

- Zapomnieli dopisać "synu" - podsumował.

- Co?

- Powinno być: "Zawsze możesz wrócić, synu", Z "synu" ta ich wywieszka byłaby wręcz doskonała.

Steve spojrział na zegarek. Dwadzieścia po siódmej. Zamknięte, oczywiście. Tylko że skoro biuro jest zamknięte, to co tu robią wszystkie te samochody?

Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bez problemu. Ze środka dobiegała muzyka *country*, z trudem przebijająca się przez zakłócenia. "Złożyłem go po kawałku, całkiem sam - śpiewał Johnny Cash. - I dzięki temu kupę forsy mam".

Weszli do blaszaka. Drzwi same się za nimi zamknęły. Wiatr wyl i grał na metalowych ścianach. Znaleźli się w recepcji. Po prawej stały cztery krzesła o popękanych plastikowych siedzeniach; najwyraźniej używali ich prawie wyłącznie potężni mężczyźni w brudnych dżinsach i ciężkich roboczych butach. Przed nimi znajdował się długi, niski stół zaśmiecony magazynami, których nie zobaczy się w żadnej poczekalni żadnego amerykańskiego dentysty: *Gum and Ammo, Roadand Track, McLean's Mining Report, Metallurgy Newsletter, Arizona Highways*. Wśród nich poniewierał się stary egzemplarz *Penthouse'a* z Tonyą Harding na okładce.

Na wprost od wejścia stało brudnoszare biurko recepcjonistki, tak zniszczone, jakby przetransportowano je tu z szosy numer pięćdziesiąt na kopach. Błat zawałwały stosy papierów, była to także chwiejna góra tomów podpisanych na grzbietach "MSHA Guidelines" (na szczycie tej góry balansowała przepelniona popielniczka) i trzy koszyki z drutu pełne kamieni. Na samym skraju przycupnęła ręczna maszyna do pisania. Steve nie dostrzegł komputera. Przy biurku było krzesło na kółkach, ale nikt na nim nie siedział. Klimatyzacja działała, powietrze było nieprzyjemnie chłodne.

Steve obszedł biurko. Na siedzeniu krzesła dostrzegł poduszkę, podniósł ją i pokazał Cynthii. ZAPARKUJ DUPEJ - wyhaftowano na niej eleganckimi, staroświeckimi literami jak z szyldów z Dzikiego Zachodu.

- Och, co za smak - skomentowała to dziewczyna. - Sekretarka gotowa, zdejmuję portki.

Wśród papierów na biurku stała jeszcze żartobliwa plakietka (NIE WÓDZ MNIE NA POKUSZENIE, SAM JE SOBIE ZNAJDEJ - głosił napis), plakietka z nazwiskiem (Brad Johnson) i sztywne studyjne zdjęcie ładnej, choć nieco za tęgiej Murzynki z dwójką ślicznych dzieciaków. Korporacja zatrudniała recepcjonistę, nie recepcjonistkę. Radio, stary, mocno zniszczony model Philco, stało na półce obok telefonu. "Właśnie wtedy wyszła z domu żona - Johnny Cash z wysiłkiem przebijał się przez obłąkańcze szumy i gwizdy zakłóceń. - I wiedziałem, że bidula jest przerażona. Ale otworzyła drzwiczki i mówi »kochanie...«"

Steve wyłączył radio. W barak uderzył najmocniejszy dotychczas podmuch wiatru; blaszak zatrzeszczał niczym łódź podwodna na wielkiej głębokości. Cynthia, która nie zdjęła zasłaniającej jej nos chustki, rozejrzała się niepewnie. Choć radio było już wyłączone, Steve nadal słyszał - choć bardzo niewyraźnie - głos Johnny'ego Casha opowiadającego, jak to w koszyku na lunch wynosił z zakładów GM części, by własnoręcznie złożyć z nich

samochód. Ta sama stacja, inne radio, grające daleko, prawdopodobnie w pomieszczeniach, w których świeciło się światło.

Cynthia palcem wskazała na telefon. Steve podniósł słuchawkę, przytknął ją do ucha i odłożył na widelki.

- Głucho. Musiało gdzieś przewrócić jakiś słup.

- Czy przypadkiem linie telefoniczne nie idą pod ziemią? - zainteresowała się dziewczyna.

Steve dopiero teraz zwrócił uwagę na pewien interesujący fakt - rozmawiali cicho, chyba nawet szeptem.

- Mam wrażenie, że Desperation jeszcze do tego nie dorosło - powiedział.

Za biurkiem znajdowały się drzwi. Steve sięgnął po klamkę. Cynthia złapała go za ramię.

- Co...?

- Nie wiem. - Puściła jego ramię, sięgnęła do twarzy i ściągnęła chustkę. Roześmiała się nerwowo. - Nie wiem, człowieku, tylko że wszystko tu jest takie... zwariowane.

- Przecież tam musi ktoś być. Drzwi są otwarte, światła się świecą, na parkingu stoją samochody.

- Ty też się boisz, prawda?

Steve przemyślał jej pytanie i skinął głową. Czuł się jak przed burzami - przed "oberwaniami" - kiedy był dzieckiem w Teksasie, tyle że teraz brakowało tego wrażenia radości, które pamiętał z dawnych czasów.

- Mimo wszystko powinniśmy...

- Wiem. Musimy tam wejść. - Przelknęła ślinę. Gardło musiała mieć mocno zaciśnięte, bo usłyszał, jak przetyka. - Słuchaj, powiedz mi, że za parę sekund będziemy czuć się głupio i zaczniemy śmiać się z siebie nawzajem. Dobra, Lubbock?

- Za parę sekund będziemy czuć się głupio i śmiać się z siebie nawzajem.

- Dzięki.

- Nie ma o czym mówić - powiedział Steve, otwierając drzwi.

Za drzwiami ciągnął się wąski korytarz długości niespełna dziesięciu metrów. Rząd umieszczonych w sufficient podwójnych neonówek oświetlał wydeptany chodnik. Po jednej stronie znajdowało się dwoje otwartych drzwi, po drugiej troje - dwoje otwartych i jedno zamknięte. Na końcu korytarza jaskrawe żółte światło oświetlało coś, wyglądającego w oczach Steve'a na pomieszczenie robocze - warsztat lub może laboratorium. To tam były te oświetlone okna, które widzieli z zewnątrz, stamtąd też dobiegała muzyka. Johnny Cash ustąpił miejsca zespołowi The Tractors, przekonanemu, że mała chce tańczyć boogie-woogie jak mały parowozik. Brzmiało to jak typowa przechwałka samochwały.

Coś tu jest nieźle spieprzone. Wiesz o tym, nie?

Wiedział, a jakże. Radio grało. Wiatr, niosący ziarna piasku i alkaliczny pył pustyni, uderzał w ściany budynku wystarczająco mocno, by łatwo było uwierzyć, że to burza śnieżna importowana z Montany. Tylko... gdzie się podziały głosy? Głosy mężczyzn gadających, śmiejących się, opowiadających pieprzne dowcipy? Mężczyzn, którzy przyjechali do pracy stojącymi na parkingu samochodami.

Ruszył powoli korytarzem, myśląc o tym, że chyba powinien krzyknąć, zawołać coś w rodzaju: "Hej! Jest tu kto?", ale nie odważył się podnieść głosu. Barak wydawał się opustoszały, lecz jednocześnie odnosiło się takie wrażenie, jakby ktoś tu był, choć jak to możliwe...

Cynthia pociągnęła go za koszulę, tak mocno i tak nieoczekiwanie, że omal nie wrzasnął.

- Co? - spytał, zły jak cholera, serce wściekle biło mu w piersi i zorientował się, że teraz on szepcze.

- Słyszysz? Ten dźwięk... nie wiem... jak dziecko siorbiące lemoniadę przez słomkę.

Steve słyszał tylko The Tractors - "Mówiła, że na imię jej Policja, chciała zobaczyć mą broń, dziewięćset jedenastcie to jej telefon" - i nagle, owszem, usłyszał ten inny dźwięk, szybki, jakby mokry, z pewnością mechaniczny. Prawie go rozpoznał.

- Tak, owszem, słyszę.

- Steve, chcę się stąd wynieść.

- Zawsze możesz wrócić do samochodu.

- Nie!

- Cynthia, na litość boską!

Spojrzał w jej wielkie, wpatrzone w niego oczy, w jej usta zaciśnięte tak mocno, że wręcz krzyczały o strachu, i dał sobie spokój. Nie, rzeczywiście nie chciała sama wracać do rydera i tego wcale nie miał jej za złe. Powiedziała, że jest rozsądną dziewczyną i zapewne nie kłamała, lecz w tej chwili była przede wszystkim przerażoną dziewczyną, śmiertelnie przerażoną. Położył dłonie na jej chudziutkich ramionach, po czym z rozmachem i hałaśliwie cmoknął ją w czoło, dokładnie między oczy.

- Nie obawiaj się, moja mała Nell - powiedział, całkiem przyzwoicie naśladując Dudleya Do-Right. - Będę cię bronił.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Pieprzony dureń.

- Chodź. Trzymaj się blisko mnie. Jeśli będziemy musieli uciekać, wiej, jak najszybciej potrafiysz. Staraj się, żebym cię nie stratował.

- O to przynajmniej nie musisz się martwić. Zniknę za drzwiami jak sen jakiś złoty, nim zdążysz wrzucić pierwszy bieg.

Pierwsze drzwi po prawej stronie. Biuro. Puste. Na ścianie wisiała korkowa tablica, pokryta zrobionymi polaroidem zdjęciami kopalni. To właśnie ta góra ziemi, którą widzieliśmy, wjeżdżając do miasteczka - pomyślał Steve.

Pierwsze drzwi po lewej. Kolejne biuro. Także puste. Bulgot stał się teraz wyraźniejszy; Steve rozpoznał go wreszcie i już wiedział, co zastanie za drugimi drzwiami po prawej. Trochę mu ulżyło. Ale niewiele.

- Akwarium - stwierdził. - Po prostu akwarium.

To pomieszczenie biurowe było znacznie przyjemniejsze niż oba, które zwiedzili do tej pory. Na podłodze leżał nawet prawdziwy dywan. Akwarium stało na szafce po lewej stronie biurka, pod fotografią przedstawiającą dwóch mężczyzn w kowbojskich butach, kowbojskich kapeluszach i garniturach w stylu Dzikiego Zachodu, wymieniających uścisk dłoni przed masztem flagowym, najprawdopodobniej tym stojącym z tyłu - pomyślał Steve. Było całkiem gęsto zamieszkane: welonki, tygrysy, gubiki, neonki i kilka czarnych piękności. Na dnie, na piasku leżało coś dziwnego, pewnie dekoracja z gatunku tych, które ludzie wkładają do akwarium, żeby ładniej wyglądało, nie zamek Neptuna jednak, nie zatopiony statek, nie kufer pirackich skarbów, tylko coś innego, coś przypominającego...

- Hej, Steve - szepnęła Cynthia dziwnym, bezdźwięcznym głosem. - Przecież to dłoń.

- Co? - spytał, szczerze zdumiony, nic nie rozumiejący, choć potem, kiedy myślał o tej chwili, powtarzał sobie, że musiał od razu rozpoznać to, co leżało w piasku na dnie akwarium, musiał wiedzieć, przecież nie mogło to być nic innego.

- Dłoń - jęknęła dziewczyna. - To czyjaś cholerna dłoń!

Między wskazującym a serdecznym palcem (na którym dostrzegł wąską złotą obrączkę) przepłynęła rybka i dopiero wówczas Steve pojął, że to rzeczywiście dłoń. Dłoń z paznokciami. Na kciuku dostrzegł prostą białą bliznę. Dłoń, z pewnością dłoń.

Steve zrobił krok do przodu, ignorując kurczowo zaciśniętą na ramieniu rękę. Pochylił się, by dokładniej obejrzeć sobie spoczywający na dnie akwarium okaz. Miał szczerą nadzieję, że mimo obrączki i mimo blizny to sztuczna dłoń, ale ta jego nadzieja nie wytrzymała próby. Z kłosci wypływały kawałki ciała i ścięgien, kołysząc się niczym plankton w prądzie wywołanym natleniającymi wodę bąbelkami powietrza. Kości widział również.

Wyprostował się i stwierdził, że Cynthia podeszła do biurka. Było znacznie porządniejsze od biurka recepcjonisty. Na blacie leżał zamknięty notes, obok niego telefon, a obok telefonu automatyczna sekretarka, mrugająca czerwonym światełkiem. Dziewczyna podniosła słuchawkę do ucha, przytrzymała ją tam przez chwilę i odłożyła na widelki. Zaskoczyła go bladość jej twarzy. Krew nie dopływa do mózgu - pomyślał. - Nie powinna stać, tylko leżeć na podłodze nieprzytomna. Zamiast mdleć, wyciągnęła jednak rękę i wdusiła przycisk w automatycznej sekretarce.

- Daj spokój! - syknął, jeden Bóg wie dlaczego. Zresztą i tak było już za późno.

Rozległ się pisk. Po nim trzask. Nagle jakiś dziwny głos - ani mężczyzny, ani kobiety; jego brzmienie wystraszyło Steve'a śmiertelnie - powiedział powoli, z namysłem: *Soma. Sarx. Pneuma. Soma. Sarx. Pneuma. Soma. Sarx.* Wypowiadał bez przerwy tylko te trzy słowa i stawał się coraz głośniejszy. Czy to w ogóle możliwe? Steve gapił się na automatyczną sekretarkę zafascynowany, a każde z tych egzotycznych słów wbijało mu się w mózg

(*soma sarx pneuma*)

jak małe ostre gwoźdźdiki. Pewnie gapiłby się tak na sekretarkę jeden Bóg wie jak długo, gdyby Cynthia nie wyciągnęła ręki i nie wcisnęła klawisza STOP z taką siłą, że automatyczna sekretarka aż podskoczyła na biurku.

- Żałuję, ale nie, to zbyt straszne - wyjaśniła głosem jednocześnie wyzywającym i przepaszającym.

Wyszli z gabinetu. Ze znajdującego się przy końcu korytarza laboratorium, warsztatu czy co tam do cholery było, nadal dobiegała ich piosenka The Tractors, opiewająca uroki dziewczyny, która miała wszystkiego potąd i wyżywała się na chłopaku.

Jak długo jeszcze muszę ich słuchać? - pomyślał Steve. - Przecież trwa to od dobrych piętnastu minut, ani chwili krócej!

- Możemy już wracać? Proszę!

Wyciągnął rękę, palcem wskazując jasne żółte światło.

- Jezu Chryste, tyś kompletnie oszalał - westchnęła, ale kiedy ruszył w kierunku światła, poszła za nim.

5

- Dokąd pan mnie zabiera? - spytała po raz trzeci Ellen Carver. Pochyliła się i wczepiła palcami w siatkę, odgradzającą przednie i tylne siedzenia radiowozu. - Czy mogłabym się dowiedzieć? Proszę!

Najpierw była mu po prostu wdzięczna za to, że jej nie zgwałcił, nie zabił... a także czuła ulgę, bo kiedy zeszli po schodach, na których zginęła jej córeczka, po ciałku małej, słodkiej Kirstie nie było śladu. Za to za

drzwiami dostrzegła wielką plamę krwi, nadal nie do końca wyschniętą i częściowo tylko ukrytą pod warstwą nawianego na nią piachu. Była to prawdopodobnie krew męża Mary. Próbowała ją przekroczyć, ale ten policjant, ten Entragian, ścisnął jej ramię aż do bólu i po prostu przeciągnął ją przez tę krew, pantofle zostawiły na niej ohydny ślad. Skręcili za róg, kierując się na parking. Takie to wszystko wstrętne. Takie ohydne.

Ale nadal żyła.

Ta myśl najpierw przyniosła jej ulgę, ale ulga szybko zmieniła się w skrajne przerażenie. Po pierwsze, cokolwiek złego działo się z tym człowiekiem, działo się coraz szybciej. Słyszała mokre plaśnięcia jego rozstępującej się skóry, słyszała, jak krew cieknie mu po ciele i kapie na chodnik. Plecy jego koszuli, niegdyś koloru khaki, były teraz brudnoczerwone.

I nie podobało się jej, że jechali w tym kierunku, na południe. W tym kierunku nie było nic, tylko góra ziemi - kopalnia.

Radiowóz jechał powoli Główną (przynajmniej przypuszczała, że ta ulica nazywa się Główna, przecież wszystkie się tak nazywają), mijając właśnie dwa ostatnie budynki użyteczności publicznej po tej stronie Desperation. Jednym z nich był bar, "The Broken Drum", drugim warsztat "Harvey's Small Engine Repairs". Za nimi stała już tylko wyglądająca nieco niesamowicie ruina z wypisaną nad drzwiami nazwą WINIARNIA. Na chodniku przed wejściem leżała przewrócona przez wiatr tabliczka głosząca: KUCHNIA MEKSYKAŃSKA.

Słońce wisiało nisko - wielka kula brudnego, lecz płonącego ognia. Oświetlało krajobraz promieniami umiarkowanego światła, nadając mu wygląd, który wydał się Ellen apokaliptyczny. Nagle zdała sobie sprawę, że to, gdzie jest, jest całkowicie drugorzędne, najważniejsze pytanie, na które musi sobie odpowiedzieć, to pytanie o to, kim jest? Nie potrafiła uwierzyć, że jest tą samą Ellen Carver, która była członkiem Stowarzyszenia Rodzice-Nauczyciele, rozważała możliwość kandydowania do rady szkolnej na jesieni, ta samą Ellen Carver, która czasami chodziła do "China Happiness" na lunch z przyjaciółkami; wyłupiały się tam nad mai-tai, rozmawiały o modzie, o dzieciach, o małżeństwie - czyje małżeństwo już było zagrożone, a czyje jeszcze nie. Czy była tą samą Ellen Carver, która kupiła swe najładniejsze sukienki z katalogu *Boston Proper*, używała perfum Red, kiedy była w marzycielskim nastroju, i czasami nosiła śmieszny tęczową koszulkę z napisem KRÓLOWA WSZECHŚWIATA? Tą samą Ellen Carver, która wychowała dwójkę wspaniałych dzieci i utrzymała przy sobie męża, podczas gdy inni mężowie odchodzili od żon? Tą, która szukała niebezpiecznych guzków na piersiach mniej więcej co sześć tygodni, która sobotnie wieczory lubiła spędzać zwinięta na kanapie, mając pod ręką gorącą herbatę i kilka czekoladek, a w ręku książkę typu *Misery in Paradise*? Czy była tą Ellen Carver? Naprawdę tą Ellen Carver? No cóż, prawdopodobnie nadal tak, była tą Ellen i tysiącem innych Ellen, była Ellen w jedwabiach i Ellen w dzinsach, i Ellen siedzącą w toalecie z przepisem na ciasto czekoladowe w ręce; była, jak można przypuszczać, zarówno każdą cząstką siebie, jak całością większą niż suma części... lecz czy to możliwe, że była także tą Ellen Carver, której ukochana córeczka została właśnie zamordowana, Ellen Carver, siedzącą na tylnym siedzeniu niewyobrażalnie śmierdzącego radiowozu, kobietą wieszoną obok przewróconej tabliczki z napisem KUCHNIA MEKSYKAŃSKA, kobietą, która miała nigdy już nie zobaczyć męża, domu, przyjaciół? Czy była tą Ellen Carver, którą wieszono w przewiewaną wiatrem mroczną pustkę, gdzie nikt nie przeglądał katalogu *Boston Proper* i nie pił mai-tai z małymi papierowymi parasolkami, mroczną wietrzną pustkę, w której była tylko śmierć?

- Boże, proszę, nie zabijaj mnie - powiedziała słabym, drżącym głosem, w którym z trudem rozpoznała swój głos. - Proszę, proszę, nie zabijaj mnie, nie chcę umierać, zrobię, co tylko zechcesz, tylko mnie nie zabijaj. Proszę, nie zabijaj mnie!

Siedzący na przednim siedzeniu stwór nie odpowiedział. Rozległo się stuknięcie - to zjechali z asfaltu. Stwór włączył światła, ale światła nie poprawiły sytuacji, były tylko dwoma stożkami jasności w wirującym wszechobecnym pyłe. Od czasu do czasu przez drogę przelatowały biegacze stepowe, kierując się na wschód. Pod kołami zgrzytał żwir, żwir stukał odbijając się od podwozia.

Minęli długi, na pół zrujnowany budynek - pomyślała, że to jakieś warsztaty albo może maszynownia - i droga nagle zaczęła się piąć. Wjeżdżali na pryzmę ziemi.

- Proszę - szepnęła Ellen. - Proszę, powiedz mi, czego chcesz.

- Uch! - stęknął stwór i sięgnął dłonią do ust jak ktoś, kto poczuł włos na języku.

Nie wyjął z nich jednak włosa, lecz właśnie język. Przyglądał mu się przez chwilę, trzymając go w dłoni jak kawałek wątróbki, a potem niedbale odrzucił.

Minęli dwa pikapy, wywrotkę i upiornie żółtą koparkę, zaparkowane po wewnętrznej stronie pierwszego zakrętu na prowadzącej zygzakami do góry drodze.

- Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to szybko - powiedziała drżącym głosem Ellen Carver. - Nie kalecz mnie. Zrób dla mnie przynajmniej tyle, obiecaj mi, że nie będę cierpieć.

Zgarbiony, okrwawiony, siedzący za kierownicą stwór niczego jej jednak nie obiecał. Po prostu prowadził samochód w chmurze piasku, jechał w górę, aż na krawędź wykopu. Przejechał ją bez wahania. Zaczęli zjeżdżać, pozostawiając za sobą wszechobecny do tej pory wiatr. Ellen obejrzała się, by jeszcze raz zobaczyć światło dnia, ale na to było już za późno, słońce zdążyło się już skryć za ścianami wykopu. Radiowóz zjeżdżał we wszechogarniający ocean ciemności, otchłań mroku, dla którego światła samochodu były tylko żartem.

Tu, w dole, zapadła już noc.

Rozdział 2

1

“Nawróciłeś się” - powiedział kiedyś Davidowi wielebny Martin. Miało to miejsce podczas któregoś z ich pierwszych spotkań. W tym samym mniej więcej czasie David zorientował się, że w niedzielę o czwartej Martin rzadko bywa trzeźwy. Miało minąć jeszcze kilka miesięcy, nim wreszcie zdał sobie sprawę, ile wielebny pije. - Prawdę mówiąc twoje nawrócenie jest jedynym prawdziwym nawróceniem, jakie widziałem w życiu. Drugiego prawdopodobnie nie zobaczę. Przyszły niedobre czasy dla Boga naszych ojców, Davidzie. Ludzie dużo gadają, lecz rzadko idą Jego drogą”.

David wcale nie był pewien, czy słowo “nawrócenie” jest właściwym słowem na określenie tego, co mu się przytrafiło, ale nie marnował czasu na zastanawianie się nad tym. Coś się zdarzyło, a dojście do ładu z tym czymś i tak kosztowało go wiele wysiłku. Coś doprowadziło go do wielebnego Martina, a wielebny Martin, pijany czy nie, przekazywał mu konieczną wiedzę i stawiał przed nim cele, które trzeba było osiągnąć. Kiedy podczas jednego z ich niedzielnych spotkań (w telewizji pokazywano ubezdźwiecznioną koszykówkę) David spytał go, co właściwie powinien robić, wielebny Martin odparł po prostu:

“Zadaniem nowego chrześcijanina jest spotkać Boga, poznać Boga, zaufać Bogu i kochać Boga. I to nie tak, jak szło się do sklepu z listą zakupów, a potem wrzucało paczki do koszyka. Tu ważna jest kolejność, postęp, jak od arytmetyki do matematyki. Spotkałeś się z Bogiem, i to w sposób dość widowiskowy. Teraz musisz go poznać”.

“No, przecież na ten temat rozmawiam” - powiedział David.

“Tak. I rozmawiasz z Bogiem. Nadal rozmawiasz z Bogiem, prawda? Nie zrezygnowałeś z modlitwy?”

“Nie zrezygnowałem. Ale Bóg rzadko mi odpowiada”.

Wielebny Martin roześmiał się i popił z kubka.

“Bóg nie jest szczególnie rozmowny, to prawda, ale przynajmniej zostawił nam instrukcję obsługi. Moim zdaniem powinieneś do niej zajrzeć”.

“Co?”

“Biblia” - wyjaśnił wielebny Martin, patrząc na niego znad krawędzi kubka mocno przekrwionymi oczami.

Więc David zabrał się do lektury Biblii. Zaczął w marcu, a Apokalipsę (“Łaska Pana Jezusa ze wszystkimi. Amen”.) skończył czytać jakiś tydzień przed wyjazdem z Ohio na wakacje. Pracował nad Biblią, jakby odrabiał lekcje. Co wieczór (wyluczając soboty i niedziele) czytał dwadzieścia stron, robił notatki, próbował zapamiętać to, co wydawało mu się ważne, omijając tylko te fragmenty, które wielebny Martin radził mu ominąć, przeważnie drzewa genealogiczne. Teraz, kiedy, drżący, stał w celi oblewając się zimną wodą, najżywiej wspominał opowieść o Danielu w jaskini lwów. Król Dariusz wcale nie chciał wrzucić tam Daniela, ale jego doradcy jakoś go do tego zmusili. Zawsze zdumiewało go, że w Biblii jest tak dużo polityki.

- Masz przestać! - krzyknął Ralph, wrywając syna z zamyślenia. David obejrzał się. W zapadającym szybko zmroku twarz ojca była maską strachu. Oczy miał czerwone od łez. Był tak zdenerwowany, że wrzeszczał głosem jedenastolatka w napadzie dziecięcej wściekłości. - Masz przestać! Natychmiast! Słyszysz, co mówię?

David bez słowa wrócił do umywalki, by spryskać wodą twarz i włosy. Pamiętał, co poradził Danielowi król Dariusz, kiedy Daniela odprowadzano: "Twój Bóg, któremu tak wytrwale służysz, uratuje cię". I było coś jeszcze, Daniel powiedział coś następnego dnia, coś o tym, jak Bóg zamknął paszcze lwom...

- David! David!

Nie obejrzy się. Nie wolno mu się obejrzyć. Nie potrafi znieść widoku płaczącego ojca, ale jeszcze nigdy nie widział (i nie słyszał) go płaczącego w ten sposób. Czuł się strasznie, czuł się tak, jakby ktoś przeciął mu serce na połowy.

- Davidzie, masz mi odpowiedzieć! Natychmiast!

- Daj sobie spokój, przyjacielu - poradził Marinville.

- To ty daj sobie spokój - wtrąciła Mary.

- Chłopak drażni kojota.

Puściła jego słowa mimo uszu.

- Davidzie, co robisz? - spytała.

David milczał. Nie była to sprawa z rodzaju tych, które można sobie racjonalnie przedyskutować, nawet gdyby mieli czas na dyskusje, bo wiara nie jest racjonalna. Wielebny Martin powtarzał mu to raz za razem, wbijał mu to do głowy jak jakąś szczególnie ważną regułę ortograficzną, "ó" kiedy w innych formach tego wyrazu lub w wyrazach pokrewnych "ó" wymienia się z "o" lub "e" jak "pióro" - "pierze", ale nie na początkach wyrazu, z wyjątkami, z których najpopularniejszym jest "ósemka", i ludzie rozsądni nie wierzą w Boga, to zasada bez wyjątków. "Nie możesz powiedzieć tego z ambony, bo wierni wygnaliby cię z miasta, ale taka jest prawda. Bóg nie ma nic wspólnego z rozsądkiem, wszystko z wiarą, zaufaniem. Bóg mówi: »Jasne, zabierz siatkę, a jak już zabierzesz siatkę, możesz równie dobrze zabrać trapez«".

David jeszcze raz nabrał wody w złożone dłonie. Ochlapał sobie twarz i włosy. Głowa. Od głowy zależy, czy uda mu się, czy nie, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Głowę miał szerszą niż resztę ciała, a czaszka chyba nie zdoła się ugiąć.

Zaczął nacierać się mydłem. Nogom nie poświęcił najmniejszej nawet uwagi, nogi to nie problem. Problem zaczynał się od podbrzusza w górę; David mocno nacierał się mydłem, tak by powstało jak najwięcej piany. Ojciec krzychał coś, ale nie miał już czasu, by go słuchać. Nie ma wyboru, musi się spieszyć... i nie tylko dlatego, że może stracić ducha, jeśli tylko zawaha się, zacznie myśleć o siedzącym pośrodku aresztu kojocie, nie. Chodzi o to, że jeśli mydło wyschnie, nie będzie śliskie i zamiast pomóc, zacznie przeszkadzać.

Posmarował sobie szyję, potem twarz i włosy. Z zamkniętymi oczami, nadal ściskając w dłoni kostkę irish spring, podszedł do kraty. Poziomy pręt krzyżował się z pionowymi jakiś metr nad podłogą. Odstęp między poziomymi prętami wynosił co najmniej dziesięć, a być może nawet dwanaście centymetrów. Cele aresztu budowano z myślą o mężczyznach - przede wszystkim z myślą o wielkich górnikach - a nie chudych jedenastolatkach. David nie spodziewał się szczególnych problemów przy próbie wydostania się z tej klatki... jeśli nie liczyć głowy.

Już, pospiesz się, nie myśl, zaufaj Bogu.

Uklęknął, drżący i pokryty zieloną mazią od bioder w górę, i zaczął nacierać mydłem pomalowane na biało pionowe pręty celi, najpierw jeden, potem drugi.

Siedzący niedaleko biurka kojot poderwał się na równe nogi. Cichy do tej pory warkot stał się głośniejszy, wyraźnie słyszalny. Żółte ślepia bydlak wlepił w Davida Carvera. Górne wargi podwinął, obnażając kły w wyrazie nieprzyjemnie przypominającym uśmiech.

- Davidzie, nie! Nie rób tego, synku! Oszalałeś?

- On ma rację, mały.

Ten Marinville stał teraz tuż przy kracie. Mary też. Było to trochę żenujące, lecz pewnie całkiem zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, jak zachowywał się ojciec. Nic nie da się na to poradzić. Musi spróbować i musi spróbować już. W celi nie było ciepłej wody; miał wrażenie, że zimna spowoduje szybsze wysychanie mydła.

Jeszcze raz przypomniał sobie opowieść o Danielu i lwach. Przyklęknął na kolano, zbierając siły. Niezbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę okoliczności. Kiedy król Dariusz przybył następnego dnia, Daniel kwitł.

“Mój Bóg posłał swego anioła i on zamknął paszczę lwom - powiedział królowi - nie wyrządziły mi krzywdy, ponieważ On uznał mnie za niewinnego”.

Nie był to dokładny cytat, David jednak pamiętał z niego słowo “niewinność”, bo słowo to go fascynowało, brzmiało mu w duszy głośnym echem. Teraz wypowiedział je do istoty, której głos czasami słyszał, tej, której głos nazywał “innym głosem”.

- Dostrzeż we mnie niewinność, Boże. Dostrzeż we mnie niewinność i zamknij paszczę tej cholery. Modlę się do Ciebie w imię Jezusa, amen.

Odwrócił się bokiem i podparł na ręce, jak Jack Palance robiący pompki na ceremonii wręczenia Oscarów. W ten sposób zdołał przełożyć przez kraty obie stopy jednocześnie. Cofał się teraz, przesunął przez kraty kostki. Kolana, uda... i w tym momencie po raz pierwszy poczuł na skórze ucisk śliskiego od mydła metalu.

- Nie! - krzyknęła Mary. - Odczep się od niego, ty cholero! Won, już!

Rozległ się stuk, a zaraz po nim brzęk. David obejrzał się; dostrzegł Mary wyciągającą dłonie poza kraty celi. Lewą trzymała zaciśniętą, prawą wyjęła z niej monetę i rzuciła ją w kojota. Tym razem kojot prawie nie zwrócił na nią uwagi, choć moneta trafiła go w bok. Ruszył, wpatrzony w boscie stopy Davida, głowę miał opuszczoną i warczał.

2

Jezu Chryste wszechmogący - pomyślał Johnny - ten cholerny dzieciak zostawił łeb na progu! Nie zastanawiając się długo wyrwał pas otaczający na dole jego motocyklową kurtkę, wysunął ramię tak daleko jak tylko dał radę i kłamię smagnął kojota po chudym boku dokładnie w chwili, gdy bydlę gotowało się do kolacji z prawej stopy dzieciaka.

Tym razem kojot zaskomlał, nie tyle może z bólu, co ze zdziwienia. Odwrócił się, próbując złapać pasek. Johnny szarpnął nim; był to cienki pasek, bydlę z pewnością przegryzie go, nim mały zdoła wydostać się z celi... jeśli w ogóle miał wydostać się z celi, co wydawało się bardzo wątpliwe. Johnny przerzucił pasek przez ramię i

chwycił kurtkę, rozpaczliwie próbując utrzymać na sobie wzrok kojota, błagając los, by bestia się nie odwróciła. Jej oczy przywołały mu na pamięć oczy gliniarza.

Mały wysunął tyłek za kratę. Stęknął przy tym boleśnie; Johnny zdążył nawet pomyśleć, że potraktował rodzinne klejnoty zupełnie bez szacunku. Słyszając jego jęk kojot odwrócił się, więc Johnny machnął trzymaną za kołnierz kurtką. Gdyby zwierzę nie zrobiło przed chwilą tych kilku kroków do paska, kurtka by go nie dosięgła... ale zrobiło tych kilka kroków i kurtka je dosięgła. Poczuvszy jej dotyk, obróciło się błyskawicznie, zacisnęło zęby na skórze i szarpnęło nią gwałtownie, omal nie wyrwijając jej Johnny'emu z ręki. Pociągnęło go przy tym, aż wyrzucił głowę w kratę. Zabolało jak cholera, przed oczami rozbłyły mu kolorowe światełka i tylko dziękował Bogu, że nosem trafił między pręty.

- Nie dasz rady - chrząknął, wczepiając w kołnierz obie dłonie i ciągnąc najmocniej jak potrafił. - No chodź, skarbie... chodź, ty obrzydliwa kupo pcheł, ty śmierdzący skunksie, chodź i powiedz mi cześć.

Kojot warczał na niego groźnie, choć głos miał stłumiony przez trzymaną w pysku skórę... tysiąc dwieście dolców u Barneya w Nowym Jorku. Kiedy ją przymierzał, Johnny nie był w stanie nawet wyobrazić sobie, że zrobi z niej podobny użytek.

Napiął mięśnie ramion - nie tak potężne jak trzydzieści lat temu, lecz nadal całkiem, całkiem - i zdołał pociągnąć kojota ku sobie. Słyszał szuranie pazurów po drewnianej podłodze. Kojot zapał się przednią łapą o biurko, wściekle trząsł łbem, próbując wyrwać kurtkę z rąk człowieka. W powietrze poleciały listki gumy do żucia, mapy, które Johnny miał w kieszeniach, drugi komplet kluczyków, kieszonkowa apteka (aspiryna, kodeina, lekarstwo na alergię, krem z filtrem), okulary przeciwsłoneczne i ten cholerny telefon komórkowy.

Rozluźnił mięśnie, pozwolił kojotowi wzmocnić uchwyt, zrobić krok do tyłu - głównie po to, by zwierzę nie straciło zainteresowania zabawą, igrał z nim jak z rybą na haczyku - a potem szarpnął mocno. Kojot trafił łbem w biurko z donośnym *bum*, które nappełniło serce Johnny'ego Marinville'a niewysłowioną radością.

- Arriba! - sapnął. - I jak ci się to podoba, skarbie?

- Pospiesz się! - krzyknęła Mary. - Pospiesz się, chłopcze!

Johnny zerknął na celę Davida. To, co zobaczył, spowodowało, że mięśnie rozluźniły mu się ze strachu i kiedy kojot znów się szarpnął, omal nie wyrwał mu kurtki.

- Pospiesz się! - krzyknęła Mary raz jeszcze, Johnny jednak na własne oczy widział, że mały nie jest w stanie się pospieszyć.

Nagi jak obrana ostryga, przecisnął się przez kraty celi aż do szyi i zablokował na brodzie; w celi miał głowę, poza nią resztę siebie. Skręcona głowa i linia szczęki podsunęła Johnny'emu doskonale pasujące do sytuacji porównanie.

David się powiesił.

3

Wszystko było fajnie, póki nie dotarł do głowy. Z głową miał problem. Głowa mu się zablokowała, utkwiał z policzkiem na deskach podłogi, jeden namydłony pręt klatki czując pod brodą, drugi na potylicy. Panika wywołana klaustrofobią - zapachem drewna, dotykiem żelaza na ciele, koszmarnym wspomnieniem obrazka,

który kiedyś widział, przedstawiającego purytanów w dybach - zaćmiły mu oczy niczym czarna zasłona. Słyszał krzyki taty, wrzask tej pani i warczenie kojota, ale wszystko to dobiegało go jakby z bardzo daleka. Zablokował się, będzie musiał się cofnąć, tyle że nie był pewien, czy da radę się cofnąć, bo przecież ramiona miał już na zewnątrz, jedno przyciśnięte ciężarem ciała i...

Boże, pomóż - pomyślał. Nie wyglądało mu to na modlitwę, prawdopodobnie był zbyt przerażony, praktycznie nieprzytomny z przerażenia, by się modlić. - Proszę, pomóż mi, nie pozwól, żebym tak się tu zablokował, proszę...

Obróć głowę - powiedział głos, który czasami słyszał, spokojny i obojętny jak zwykle, jakby to, co mówił, było jak najbardziej oczywiste. David, jak zwykle, rozpoznał go po tym, że głos ów wydawał się raczej przechodzić przez niego, niż pochodzić od niego.

W tym momencie oczami wyobraźni zobaczył pewien obraz: dłonie na przedniej i tylnej okładce książki; książka poddała się lekko ich uściskowi mimo sztywności grzbietu. Czy z głową może być podobnie? Chyba tak - powiedział sobie w duchu David, choć być może miał tylko taką nadzieję. - Tylko musi być we właściwej pozycji.

Obróć głowę - powtórzył głos.

Gdzieś, z daleka, dobiegł go odgłos taki, jakby coś się darło, a potem dziarskim, choć również przestraszonym i oburzonym głosem, ten Marinville warknął:

- Wiesz, ile kosztowała, ty sukinsynu?!

David obrócił się; leżał teraz na plecach, nie na boku. Ulgę przyniosło mu nawet to, że pręt celi nie uciskał mu już szyi. Wyciągnął ręce, położył je na prętach celi.

Tak to miałem zrobić?

Żadnej odpowiedzi. Jakże często nie dostawał żadnej odpowiedzi. Dlaczego?

“Ponieważ Bóg jest okrutny - powiedział wielebny Martin, który często wygłaszał mu w głowie wykłady. - Bóg jest okrutny, a ja mam kukurydzę, Davidzie, może zrobimy sobie trochę popcornu? Zaraz, zaraz, może znajdziemy jakiś horror w telewizji, coś Uniwersalu, może nawet »Mumię«”?

Odepchnął się mocniej, najpierw bez skutku, ale potem, potem namydlona głowa zaczęła się poruszać. Nadszedł jeszcze jeden straszny, straszliwy moment, kiedy utknął między prętami z uszami przyciśniętymi do skroni, czując w nich rytm serca, szybkie pulsowanie, od którego gorszej kontuzji nie doznał za życia, w tej jednej chwili był pewien, że wyrzyga się tu i teraz, że umrze w męce, jak heretyk na łasce Inkwizycji. Mocniej odepchnął się dłońmi, wpatrzony w zakurzony sufit, skoncentrowany aż do bólu, po czym jęknął z ulgą, bowiem niemal natychmiast znów zaczął się przesuwac. Ustawił się tak, że prawie bez problemu wy dostał się z celi. Z ucha ciekła mu krew, ale poza tym wszystko było w porządku. Udało się. David usiadł wyprostowany, nagi, pokryty zieloną mazią, pozostałością po mydle Irish Spring. Czaszkę od czoła po potylicę przeszył mu grot bólu; przez chwilę miał wrażenie takie, jakby oczy miały wyskoczyć z oczodołów niczym u animowanego Romea, który właśnie zauważył śliczną blondynkę.

Kojot był, przynajmniej na razie, najmniejszym z jego problemów. Bóg zamknął mu pysk za pomocą motocyklowej kurtki. Zawartość jej kieszeni rozsypała się po areszcie, sama zaś kurtka rozdarta była na plecach. Kawalek miękkiej, zaślinionej skóry zwisał z pyska kojota niczym przeżute cygaro.

- Uciekaj, Davidzie! - krzyknął Ralph. Głos miał zdławiony od łez, chrypliwy ze zdenerwowania. - Uciekaj, póki masz jeszcze szansę!

Siwy facet, ten Marinville, zerknął na niego, na moment odrywając wzrok od kojota.

- Ma rację. Spadaj, mały. - Znów spojrzął na wściekle zwierzę. - Dawaj, skarbie, stać cię na więcej - zachęcił kojota. - Boże, chciałbym widzieć, jak zaczniesz srać suwakami w świetle księżyca.

Z całej siły pociągnął kurtkę. Kojot przejechał po podłodze na ugiętych przednich i wyprostowanych tylnych łapach; wściekle szarpiąc łbem próbował wyrwać kurtkę Marinville'owi.

David obrócił się na klęczkach i przez kraty wyciągnął ubranie. Ścisnął spodnie; nabój nadal spoczywał w kieszeni. Wstał i świat zakręcił mu się przed oczami, jakby chłopak siedział na karuzeli. Musiał chwycić prętę swej byłej celi, żeby nie upaść. Billingsley nakrył jego rękę swą zdumiewająco ciepłą dłonią.

- Uciekaj, mały. Czas prawie ci się już skończył.

David odwrócił się i pobiegł w stronę drzwi. Głowa bolała go jak cholera, miał trudności z utrzymaniem równowagi i wydawało mu się, że drzwi kołyszają się na bujanym fotelu albo może kręcą na kołowrotku. Zatoczył się, odzyskał równowagę i otworzył drzwi. Spojrzął na ojca.

- Wróć - powiedział.

- Ani mi się waż - odparł natychmiast jego ojciec. - Znajdź telefon i zadzwoń na policję. Policję stanową. Uważaj. Nie pozwól...

Rozległ się trzask - to droga skórzana kurtka Johnny'ego rozdarła się wreszcie do reszty. Kojot, nie spodziewając się tak oszałamiającego sukcesu, poleciał wstecz, przewrócił się i nagle dostrzegł w drzwiach nagiego chłopca. Poderwał się na równe nogi i skoczył na niego, warcząc. Mary wrzasnęła przeraźliwie.

- Uciekaj, mały! Wiej! - krzyknął Johnny.

David wyskoczył na schody, zatrzaskując za sobą drzwi. W niespełna sekundę później kojot trafił w niego z hukiem. Wycie - straszne, bo tak przerażająco bliskie - wypełniło areszt. Wyje tak, jakby wiedział, że został oszukany - pomyślał David. - Co więcej, jakby wiedział, że kiedy wróci istota, która go przywołała, nie będzie zadowolona.

Huk rozległ się jeszcze raz - to kojot powtórnie rzucił się na drzwi. Chwila ciszy... i spróbował po raz trzeci. I znów zawył. Na namydlonych ramionach i piersi Davida pojawiła się gęsia skórka. Przed oczami miał schody, z których spadła wcześniej jego siostrzyczka i się zabiła. Jeśli szalony gliniarz nie uprzątnął jej ciała, nadal tam była, nadal czekała na niego w mroku, wpatrując się w nicość szeroko otwartymi oczami, zdziwionymi, że nie powstrzymał Wielkiego Straszdyła, po co komu starszy brat, jeśli nie jest w stanie powstrzymać Wielkiego Straszdyła?

Nie dam rady zejść po tych schodach - pomyślał David. - Nie dam rady, po prostu nie dam rady.

Może i tak... tyle że musi.

Wiatr zawiął z siłą wystarczającą, by ceglany budek zadrżał niczym statek na wzburzonym morzu. David słyszał, jak piasek uderza w mur i drzwi wejściowe niczym drobny śnieg. Kojot zawył znowu; dzieliła go od chłopca cienka warstwa drewna... i on o tym wiedział.

David zamknął oczy. Złożył dłonie na wysokości ust.

Boże, tu znów David Carver. Mam kłopoty, Boże, mam takie straszne cholerne kłopoty. Proszę, broń mnie i pomóż mi w osiągnięciu tego, co chcę osiągnąć. Modłę się do Ciebie w imię Jezusa, amen.

Otworzył oczy, wziął głęboki oddech i dłonią poszukał barierki. Potem nagi, wolną ręką przyciskający ubranie do piersi, zszedł w mrok.

4

Steve próbował coś powiedzieć i nie mógł. Spróbował jeszcze raz i tym razem odniósł sukces, a mianowicie chrząknął.

Zabrzmiało jak pierdnięcie myszy pod boazerią - pomyślał.

Zdawał sobie sprawę z tego, że Cynthia ściska mu rękę wystarczająco mocno, by jej uścisk był bolesny, ból jednak najwyraźniej go nie obszedł. Nie miał pojęcia, jak długo stali tu, na progu największego pomieszczenia przy końcu baraku i nie oprzytomniałby, gdyby wiatr tam, na ulicy, nie rzucił z brzękiem czymś o ścianę. Cynthia sapnęła niczym uderzona w żołądek i podniosła wolną dłoń do twarzy. Odwróciła się i spojrzała na niego nie opuszczając ręki; widział wyłącznie jedno jej wielkie, przerażone oko, z którego ściekały łzy.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego?

Tylko potrząsnął głową. Nie wiedział dlaczego. Nie miał zielonego pojęcia dlaczego. Na pewno wiedział tylko, że ludzie, którzy to zrobili, zniknęli już, bo inaczej oni z Cynthią by nie żyli, i że on, Steve Ames z Lubbock w Teksasie, wynosi się stąd na wypadek, gdyby mieli wrócić.

Duże pomieszczenie przy końcu baraku okazało się czymś w rodzaju połączonego warsztatu, laboratorium i magazynu. Oświetlały je wiszące u sufitu lampy z bardzo mocnymi żarówkami w metalowych kloszach - trochę przypominające te, które wiszą w barach nad stołami bilardowymi - rzucające jaskrawe jasnożółte światło. Steve miał wrażenie, że pracowały tu dwie zmiany, jedna po lewej stronie pomieszczenia, analizując próbki, druga po prawej, sortując je i katalogując. Pod ścianą stały rzędy koszów do prania, każdy wypełniony kamieniami. Kamienie te najwyraźniej zostały już posortowane, w jednym koszu leżały czarne, w drugim mniejsze, drobne, lśniące zawartymi w nich kryształkami kwarcu.

Po prawej, laboratoryjnej stronie (jeśli rzeczywiście było to laboratorium), na zarzuconym narzędziami i instrukcjami obsługi stole, stał rząd komputerów Macintosh. Na wszystkich chodziły programy wygaszające monitor. W przypadku jednego z nich były to piękne, kolorowe spirale podpisane: "Chromatografia gazów gotowa", w przypadku innego z pewnością nie zaakceptowany przez Disneya rysunek Gooffy'ego, co mniej więcej siedem sekund ściągającego spodnie i ukazującego wielki członek opatrzony słowami: Ufff, ufff, ufff...

Przy zamykających się do góry drzwiach do garażu z wypisanymi na nich niebieską farbą słowami WITAMY W JASKINI HERNANDA, zarazem tylną ścianką pomieszczenia, stał terenowy samochód z otwartym i zablokowanym bagażnikiem, również pełnym próbek. Wisząca na lewej ścianie plakietka głosiła, iż KASK NALEŻY NOSIĆ W KAŻDEJ SYTUACJI. TAKIE JEST ZARZĄDZENIE MSHA. OD TEJ ZASADY NIE MA WYJĄTKÓW. Pod plakietką znajdował się rząd haków, ale z żadnego z nich nie zwisał kask. Kaski rozrzucone były na podłodze, pod nogami ludzi wiszących na tychże hakach, wiszących na hakach jak sztuki mięsa w chłodni u rzeźnika.

- Steve... Steve, to... to manekiny? Manekiny... jak ze sklepu, prawda? To jakiś... no, wiesz... żart?

- Nie - odparł Steve. Krótkie, wypowiedziane ochryplym głosem słowo zawisło w przesyconym pyłem powietrzu. Znaczyło niewiele... ale dobre było, przynajmniej na początek. - Przecież wiesz, że to nie manekiny. Puść, Cynthio, zmiażdżysz mi rękę.

- Nie mogę - odparta łamiącym się głosem. Dłoń nadal trzymała przy twarzy; jednym odsłoniętym okiem przyglądała się wiszącym na hakach ciałom.

W radiu David Lee Murphy zastąpił zespół The Tractors, a po Davidzie Lee nastąpiła reklama czegoś o nazwie "Whalen's", co prezenter nazwał "sklepem ze wszystkim w Austin".

- Nie musisz puszczać, po prostu nie ściskaj tak - poprosił Steve. Podniósł drżący palec i zaczął liczyć: - Jeden... dwa... trzy...

- Chyba popuściłam w majtki - wyszeptała dziewczyna.

- Trudno się dziwić albo mieć pretensję. Cztery... pięć... sześć.

- Steve, wynośmy się stąd. Facet, który złamał mi nos, wygląda przy tym jak święty Mikołaj...

- Cicho bądź... przeszkadzasz mi liczyć.

Cynthia zamilkła, tylko usta jej drżały, a chuda pierś trzęsła się od powstrzymanego szlochu. Steve'owi zrobiło się żal, że na nią nakrzyczał, miała wiele przeżyła, i to nie tylko dzisiaj, ale myślało mu się kiepsko. Chryste, nie był pewien, czy w ogóle myśli.

- Trzymaście - powiedział.

- Czternaście - poprawiła go cichym, drżącym głosem. - Widzisz? Tam, w rogu. Jedno z nich spadło. Spadło z ha... ha...

Chciała powiedzieć "z haka", zająknęła się jednak, a potem rozszochała. Przytulił ją, przez koszulę na piersi czując rozpaloną wilgotną twarz. Przez koszulę nisko na piersi. Taka jest drobna.

Poprzez jej zmierzwione, różnokolorowe włosy widział przeciwną ścianę i rzeczywiście, miała rację, w rogu leżało jeszcze jedno ciało. Czternaście, w tym co najmniej trzy kobiety, ale z powodu zwieszonych głów i bród opartych o piersi trudno było powiedzieć dokładnie. Dziesięć trupów miało na sobie białe laboratoryjne fartuchy - nie, dziesięć, wliczając w to trupa na podłodze - dwa dzinsy i rozpięte pod szyją koszule, dwa garnitury, krawaty, półbuty; to jednemu z tych dwóch brakowało lewej ręki. Steve miał wrażenie, że wie, gdzie ta ręka skończyła, oczywiście, wie bardzo dobrze. Większość z tych ludzi została zastrzelona, i to prawdopodobnie, gdy stali twarzą do mordercy; Steve widział otwory wylotowe po pociskach w potylicach pochylonych głów. Co najmniej trójkę jednak po prostu wypatroszono. Ciała wisiały w białych fartuchach zaplamionych zaschniętą, brązową krwią, nad tego samego koloru kałużami na podłodze i z wiszącymi do ziemi wnętrznościami.

- Jest z nami Mary Chapin Carpenter, która opowie nam, dlaczego miała dziś szczęśliwy dzień - powiedział prowadzący audycję, dzielnie przebijając się przez kolejną falę zakłóceń. - Może była w "Whalen's", w Austin? Dowiedzmy się.

Mary Chapin Carpenter zaczęła opowiadać martwym, wiszącym na hakach mężczyznom i kobietom, pracownikom Korporacji Górniczej Desperation o tym, jaki szczęśliwy miała dzień, jak wygrała na loterii i w ogóle, Steve zaś wypuścił Cynthię z objęć. Zrobił krok w głąb laboratorium, pociągając nosem. Nie czuł zapachu prochu, ale to samo w sobie nic nie znaczyło, klimatyzacja z pewnością wymieniała tu powietrze w bardzo szybkim tempie. Krew jednak była sucha także na wypatroszonych zwłokach, co oznaczało najprawdopodobniej, że morderstwo popełniono dość dawno.

- Idziemy! - Cynthia pociągnęła go za ramię.

- Dobrze... tylko...

Przerwał. Coś wpadło mu w oko, coś znajdującego się na końcu stołu z komputerami, coś leżącego po prawej od monitora, na którym Goofy demonstrował swe wdzięki. Nie był to kamień, a w każdym razie nie tylko kamień, już raczej coś zrobionego z kamienia. Podeszedł bliżej, żeby przyjrzeć się temu czemuś. Dziewczyna podskoczyła do niego i szarpnęła go jeszcze raz.

- Co się z tobą dzieje? - syknęła. - To nie wycieczka po muzeum. A co, jeśli...

Dopiero teraz zobaczyła to, czemu przyglądał się Steve, naprawdę zobaczyła i przerwała przemowę. Powoli wyciągnęła drżący palec, dotknęła kamiennej figurki, westchnęła głośno i szybkim ruchem cofnęła dłoń. Jednocześnie jej biodra wysunęły się do przodu w konwulsyjnym ruchu, jakby przeszył ją wstrząs elektryczny. Brzuchem uderzyła w blat stołu.

- Niech to cholera! - sapnęła. - Chyba właśnie... - przerwała.

- Co się stało?

- Nic takiego. - Ale Steve miał wrażenie, że się rumieni, więc chyba jednak zaszło coś takiego. - Zdjęcie tego potworka powinno znajdować się w słowniku przy haśle "obrzydlstwo".

Była to figurka przedstawiająca wilka czy może kojota i choć robiła wrażenie niezdarnie wykonanej, promieniowała siłą wystarczającą, by oboje zapomnieli, przynajmniej na parę chwil, że znajdują się nieco ponad piętnaście metrów od ofiar masowego morderstwa. Zwierzę stało z głową skrzyżowaną pod niesamowitym, drapieżnym kątem, oczy niemal wychodziły mu z orbit w wielkiej, niepoahamowanej wściekłości. Otwarty, ukazujący dwa rzędy spiczastych zębów pysk miał nieproporcjonalnie wielki w stosunku do tułowia, przypominający niemal pysk krokodyla. Posążek, jeśli rzeczywiście był to posążek, miał odłamane łapy, z przednich pozostały tylko krótkie kikuty, z tylnych w ogóle nic. Kamień był dziobaty, skruszały z wiekiem; świecił miejscami jak próbki w jednym z koszyków. Obok niego, częściowo przykryta plastikowym pudełkiem spinaczy, leżała karteczka z tekstem: "Jim, co to do diabła? Masz jakiś pomysł? Barbie".

- Spójrz tylko na jego język - powiedziała Cynthia dziwnym, rozmarzonym głosem.

- No i co?

- Przecież to wąż.

Rzeczywiście, teraz to zauważył. Wąż. Być może grzechotnik, w każdym razie miał zęby jadowe.

Cynthia nagle szarpnęła głową. Oczy miała szeroko otwarte, przepełnione niepokojem. Złapała Steve'a za rękaw koszuli.

- Co my wyprawiamy? - spytała. - Na litość boską, nie jesteśmy przecież na zajęciach z historii sztuki! Chryste, wynośmy się stąd.

Jasne, powinniśmy wynieść się stąd jak najszybciej - pomyślał Steve. - Pozostaje tylko pytanie, dokąd mamy jechać.

O to jednak będą się martwić, kiedy znajdą się w samochodzie. Nie tu. Miał nieodparte wrażenie, że tu nie da się po prostu ani myśleć, ani niczego wymyślić.

- Hej, a co się stało z radiem? - spytała dziewczyna.

- Z radiem? - nadstawił uszu, ale nie wychwycił muzyki. - Nie wiem.

Z dziwnym, zaciętym wyrazem twarzy Cynthia wyciągnęła rękę ku rozpadającemu się posążkowi. Tym razem dotknęła go między uszami. Sieknęła. Wiszące u sufitu lampy mrugnęły - Steve widział, jak mrugają - i radio znów się włączyło. "Hej, chłopcy, hej Dwight, Lyle, chłopcy, przecież nie musicie się bić" - wykrzyczała przez szum i gwizdy zakłóceń Mary Chapin Carpenter. "...hot dogi, mam dzisiaj szczęście!"

- Chryste. Dlaczego to zrobiłaś?

Spojrzała na niego dziwnie nieprzytomnymi oczami. Wzruszyła ramionami, dotknęła językiem górnej wargi.

- Nie wiem - odparła, podniosła obie dłonie do czoła i mocno, bardzo mocno ścisnęła sobie skronie. To ją chyba nieco otrzeźwiło, oczy znów miała bystre, tylko tym razem był w nich paniczny strach. - Co za cholera? - powiedziała cicho, najwyraźniej do siebie.

Steve wyciągnął rękę, by dotknąć figurki. Przytrzymała go za przegub.

- Nie rób tego. To bardzo nieprzyjemne - ostrzegła.

Strząsnął jej dłoń i mimo ostrzeżenia dotknął grzbietu wilka (z jakiegoś powodu nagle nabrał całkowitej pewności, że jest to wilk). Radio ucichło w pół słowa, a jednocześnie gdzieś za ich plecami z przeraźliwym brzękiem pękło szkło. Cynthia krzyknęła.

Steve cofnął palec - cofnąłby go nawet, gdyby nie krzyczała. Miała rację, uczucie było bardzo nieprzyjemne, ale przez chwilę, tylko przez chwilę coś się jednak działo. Miał na przykład wrażenie, iż jakieś ważne obwody w jego głowie przepaliły się. Tylko... czy nie myślał o dziewczynie? Czy nie robił jej czegoś, czy nie robił czegoś z nią? Czegoś takiego, na co oboje mogliby mieć na przykład ochotę, ale czego nie opowiada się później przyjaciółom? Takiego...: eksperymentu?

Jeszcze się nad tym zastanawiał, jeszcze próbował sobie przypomnieć, co to właściwie był za eksperyment, a już palcem sięgał do figurki. Nie zdecydował się na to w żaden świadomy sposób, lecz gdy już wyciągał palec, nagle uznał to za wspaniały pomysł! Jasne, niech ten mój paluch robi, co chce - pomyślał, zdumiony i zaskoczony. - Niech sobie dotyka, czego chce...

Dziewczyna chwyciła go za rękę, odciągnęła ją od posążka na chwilę przed tym, nim palec dotknął grzbietu wilka.

- Hej, ty prawdziwy mężczyzno, spójrz mi w oczy, to zrozumiesz: chcę się stąd wynieść. Natychmiast!

Steve westchnął głęboko, przytrzymał powietrze w płucach i wypuścił je po chwili. Powtórzył to ćwiczenie. Tak, głowę znów ma mniej więcej na miejscu, tylko nagle poczuł strach, strach znacznie gorszy niż ten, który czuł dotychczas. Nie miał pojęcia, czego właściwie się boi, i wcale nie był pewien, czy chce się dowiedzieć.

- Dobra, idziemy.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę korytarza. Steve raz obejrzał się przez ramię na stary, rozsypujący się kawałek skały. Skręcona głowa drapieznika, gotowego zniszczyć wszystko. Wychodzące z oczodołów oczy. Pysk zbyt długi w stosunku do ciała. Jęzor jak u węża. A poza tym... coś jeszcze. Spirale i fantastycznie wyposażony Goofy zniknęli. Monitory komputerów w laboratorium były ciemne, jakby nadmiar mocy przepalił w nich bezpieczniki.

Z gabinetu, w którym stało akwarium, lała się woda. Złota rybka schwytała w załamanie dywanu podskakiwała, dożywając swych ostatnich chwil. No i dobrze - pomyślał Steve - przynajmniej wiemy teraz, jakie to szkło pękło z hukiem, i nie musimy się już tym przejmować.

- Nie patrz, kiedy będziemy tędy przechodzić - powiedział. - Tylko...

- A więc coś słyszałeś? Trzask, huk, coś w tym rodzaju?

Steve nadstawił ucha... ktoś chyba idzie za nimi, cicho się skrada.

Odwrócił się błyskawicznie. Nic, zupełnie nic. No, jasne, nie daj się ponieść wyobraźni. Żaden trup nie zeskoczył przecież z haka i nie skrada się teraz w ciemności. Co za głupota. Nawet biorąc pod uwagę nie całkiem sprzyjające trzeźwemu myśleniu okoliczności, to i tak idiotyzm, Dziki Billu. Tylko że w głowie tkwiło mu coś jeszcze, czego nie potrafił zignorować, choć rzeczywiście mogło być prostą głupotą, a mianowicie posążek. Po-

sążek zajął tam jakieś miejsce, jakoś drażnił mu tkankę mózgu. Żałował teraz, że w ogóle na niego spojrział. I nie tylko to, żałował, że go dotknął. Lepiej byłoby, gdyby go nie dotykał.

- Steve? Słyszałeś coś? Przecież to mógł być strzał. Słyszysz? Jeszcze jeden.

Wiatr zawył, owiewając ścianę z blachy falistej, coś jeszcze spadło z hukiem; krzyknęli i przytulili się do siebie, niczym dzieci zagubione w ciemności. To coś, co upadło, ze zgrzytem przejechało po ziemi.

- Nie słyszę nic oprócz wiatru. Ty pewnie słyszałaś, jak gdzieś zatrzasną się drzwi. Jeśli w ogóle coś słyszałaś.

- Przynajmniej trzy - upierała się Cynthia. - Może nie strzały, bardziej trzaski, ale...

- Może to coś, co niósł ze sobą wiatr? Chodź, mała, sprawdźmy, czy nie ma nas w domu.

- Nie nazywaj mnie małą, to nie będę ci mówić mały - powiedziała dziewczyna cicho. Kiedy mijali biuro z akwariem, spojrziała w przeciwną stronę. Spod drzwi nadal ciekła woda.

Steve popatrzył jednak we właściwą stronę. Z akwariem pozostała wyłącznie plama mokrego piasku, otoczona drzazgami rozbitego szkła. Dłoń leżała na mokrym dywanie tuż przy biurku; wylądowała na grzbiecie. Pasma martwych glonów zaplątało się między jej palcami, a te palce wydawały się na niego kiwać - chodź, mały, postaw krzesło, zdejmij ze mnie ten ciężar, *mi casa es s u casa...*

Nie, dziękuję - pomyślał.

Nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi między nieporządną recepcją a rozciągającym się za nią szerokim światem, kiedy po prostu wyrwały mu się z rąk, prawie jakby był to jakiś żart. Pył polatywał w powietrzu szerokimi wstęgami. Góry na zachodzie całkowicie skryły się za zasłoną jasnego złota, złota z piasku i alkalicznego kurzu, przechwytyjącego promienie słońca w ciągu ostatnich kilkunastu minut jego życia. Pierwsze gwiazdy już błyszczały mu nad głową jasnym blaskiem. Wiatr osiągnął wreszcie poziom huraganu. Na oczach Steve'a tuż przed jego ryderem przeturlała się przez parking stara zardzewiała beczka, oznaczona wypisanymi na boku literami OOM CHEMTRONICS. POZBYĆ SIĘ WEDŁUG PRZEPISÓW, i uciekła na pustynię. Linka tłuła w maszt flagowy w tempie doprowadzającym do szaleństwa, *klik, klik, klik*, po lewej usłyszeli huk niczym wystrzału, *bom, bam*, jakby z pistoletu z tłumikiem. Cynthia drgnęła i przytuliła się do Steve'a, a on odwrócił się, szukając źródła tego dźwięku, i dostrzegł wielkiego pikapa. Wiatr uniósł i zatrzasnął jego maskę z kolejnym odgłosem stłumionego wystrzału.

- No i masz swój pistolet - powiedział, podnosząc głos tak, by był słyszalny ponad szumem wiatru.

- No ale... przecież nie... to nie aż tak...

Kojoty wyły; ich wycie dobiegało głównie z zachodu, ale z północy też rozdzierało noc. Z jakiegoś powodu dźwięk ten przypominał Steve'owi czarno-białe filmy z Beetlemanii, przedstawiające dziewczyny wyrzaskujące z siebie dusze dla tych kilku kudłatych z Liverpoolu. Spojrzeli sobie z Cynthią w oczy.

- No, dobra - stwierdził. - Samochód. Wynosimy się stąd natychmiast.

Prawie biegli w stronę rydera, ciasno objęci, czując na plecach ciśnienie wiatru. Wskoczyli do kabiny; Cynthia zamknęła i zablokowała drzwi, wciskając guzik jednym mocnym uderzeniem nasady dłoni. Steve zrobił to samo, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce. Równy rytm silnika i stłumione światło kontrolki, które zapłonęły po włączeniu świateł, nieco go uspokoiły.

- No i dobrze, tylko gdzie mamy te władze, które moglibyśmy o wszystkim poinformować? Nie w Austin, leży zbyt daleko na zachód, a całe to gówno leci na nas z zachodu. Skończymy na poboczu, piastując w sercach nadzieję, że damy radę włączyć silnik, kiedy już burza trochę ucichnie. Pozostaje nam jeszcze Ely, jakieś dwie

godziny drogi stąd, jeśli nie damy się przegonić burzy, i miasteczko Desperation, odległe o jakiś kilometr, może nieco więcej.

- Ely - zdecydowała bez wahania Cynthia. - Ludzie, którzy to zrobili, mogą być teraz właśnie w Desperation, a szczerze wątpię, czy miejscowa policja, nawet wzmocniona okręgowymi twardzielami, byłaby w stanie poradzić sobie z kimś, kto zdołał dokonać tego, co widzieliśmy.

- Ludzie, którzy to zrobili, mogą być na szosie numer pięćdziesiąt - odparł natychmiast Steve. - Nie zapominaj o kamperze... i o harleyu szefa.

- Ale przecież pięćdziesiątą jeżdżą samochody - zauważyła Cynthia i podskoczyła, bo coś spadło na ziemię niedaleko nich. - Chryste, Steve, nie moglibyśmy wynieść się stąd w cholere?

Steve pragnął się stąd wynieść równie mocno jak ona, ale teraz tylko potrząsnął głową.

- Nie ruszę się stąd - odparł - póki nie rozpracujemy wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. To ważna sprawa. Czternaście trupów, nie licząc szefa i tych ludzi z kampera.

- Carverów, tak?

- Carverów. Kiedy ta wiadomość trafi do gazet, to trafi z hukiem i będzie miała zasięg narodowy. Jeśli pojedziemy do Ely, a okaże się, że w zasięgu ręki mieliśmy gliny z telefonami i radiostacjami, jeśli ci, którzy dokonali przestępstwa, ujdą cało, bo nie poinformowaliśmy władz na czas, to... to jak myślisz, jak będziemy wyglądali? Nasze motywacje zostaną podane w wątpliwość... i to bardzo nieuprzejmie.

W świetle zielonkawych wskaźników na desce rozdzielczej twarz Cynthii sprawiała wrażenie upiornie bladej, niezdrowej.

- Czyżbyś próbował mi powiedzieć, że posądzą nas o współudział?

- Nie wiem, ale jedno trzeba tu powiedzieć: nie jesteś księżniczką Windsoru, a ja nie jestem ani księciem, ani jakimś cholernym hrabią. Oboje włóczyliśmy się po drogach; właściwie jesteśmy właśnie włóczęgami. Czym możesz się wylegitymować? Masz prawo jazdy?

- Nigdy nie zdałam egzaminu. Za często się przeprowadzałam.

- Ubezpieczenie?

- No... zgubiłam gdzieś kartę, chyba zostawiłam ją u tego faceta, co próbował załatwić mi ucho, ale pamiętam numer.

- Masz coś na papierze?

- Kartę rabatową z Tower Records and Video - warknęła. - Jeszcze dwa stempelki i odstane CD za darmo. Poluję na *Out Come the Wolves*. Całkiem fajne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co się słyszy tutaj. Zadowolony jesteś?

- Ba, pewnie! - powiedział Steve i nagle roześmiał się głośno.

Cynthia przyglądała mu się przez chwilę, była tak blada, że prawie zielona, po jej czole przemykały cienie, oczy miała czarne; Steve był pewien, że lada chwila się na niego rzuci, by sprawdzić, ile skóry da się zedrzeć z jego gęby. I nagle ona również się roześmiała, rozpaczliwym, piskliwym śmiechem, który wcale, ale to wcale mu się nie podobał.

- Przytul się do mnie - poprosił, wyciągając ręce.

- Ostrzegam cię, nie warto ze mną zaczynać - odparła, ale bez wahania przesunęła się na siedzeniu wprost w jego ramiona.

Przytulił ją i poczuł, że drży. Gdyby mieli teraz wysiąść z samochodu, z pewnością zmarzłaby w tej swojej koszulce. W tej części świata po zachodzie słońca temperatura spadała na łeb, na szyję.

- Rzeczywiście chcesz jechać do miasteczka, Lubbock?

- Jeśli już o to ci chodzi, chcę jechać do Disneylandu na lody truskawkowe, ale sądzę, że powinniśmy pojechać do miasta i trochę się rozejrzeć. Jeśli wszystko tam w porządku... jeśli wygląda na to, że wszystko tam w porządku... to dobrze, zgłaszamy sprawę. Jeśli jednak zobaczymy choćby byle drobiazg nie pasujący do obrazu, gaz do dechy i wiejemy do Ely.

Spojrzała mu wprost w oczy, poważnie.

- W tej sprawie mam zamiar trzymać cię za słowo - oznajmiła.

- A ja daję ci to słowo.

Steve wrzucił bieg i powoli ruszył w kierunku szosy. Na zachodzie złote do niedawna, zachodzące słońce przybrało czerwony kolor wypalonego węgielka. Na niebie pojawiły się kolejne gwiazdy, ale ich blask drżał, filtrowany przez coraz bardziej gęstą zasłonę piasku.

- Steve? Nie masz przypadkiem rewolweru?

Potrząsnął głową, pomyślał, że warto byłoby może wrócić do baraku po broń, i natychmiast powiedział sobie: nic z tego. Nie miał zamiaru tam wracać, po prostu nie miał zamiaru i już.

- Nie mam rewolweru - wyjaśnił na głos - ale za to mam naprawdę dobry scyzoryk ze wszystkimi tymi szwajcarskimi cudami, nawet z lupą.

- Dzięki. Teraz czuję się o wiele lepiej.

Pomyślał, że może warto byłoby zapytać ją o statuetkę, o to czy kiedy jej dotknęła, przyszły jej na myśl różne takie sprawy, eksperymentalne sprawy, i zdecydował, że nie jest to najlepszy pomysł. Jak myśl o powrocie do baraku i ta wydała mu się po prostu zbyt straszna.

Dojechali do drogi; Steve nadal obejmował Cynthię ramieniem. Skręcił w kierunku miasteczka. W świetle samochodowych reflektorów widział przewiewany coraz mocniejszym wiatrem piasek, rzucający na asfalt patyczkowate cienie, przypominające mu ludzkie trupy tańczące na rzeźnickich hakach.

5

Ciała jego siostrzyczki nie było już u stóp schodów. Dobra nowina. David przystanął na moment, wyjrzał na ulicę przez wahadłowe drzwi. Zmierzchało się i mimo iż niebo nad Desperation nadal było bezchmurne - choć ciemnognatowe - tu, w dole, światło dusiły chmury pustynnego kurzu. Po przeciwnej stronie ulicy szyld KAWIARNIA I WYPOŻYCZALNIA WIDEO kołysał się na wietrze. Pod szyldem siedziały wpatrzone w niego z napięciem dwa kojoty, pomiędzy nimi zaś przycupnął, powiewając poszarpanymi piórami jak pióra na odświętnym kapeluszu starej damy, takim do kościoła i na bingo, wielki łysogłowy ptak, w którym chłopiec rozpoznał ścierwnika.

Ścierwnik siedział sobie spokojnie między kojotami.

- Przecież to niemożliwe - szepnął David i zapewne miał rację, tyle że nie zmieniało to postaci rzeczy i świadectwa jego oczu.

Ubrał się szybko, cały czas przyglądając się drzwiom po lewej. Na matowym szkle wypisane było URZĄD MIEJSKI W DESPERATION oraz godziny otwarcia, od dziewiątej do czwartej. David zawiązał buty, otworzył drzwi, gotów obrócić się w każdą możliwą stronę i uciekać, gdyby tylko wyczuł coś niebezpiecznego... gdyby tylko wyczuł, że coś porusza się w najbliższej okolicy.

Tylko że dokąd miałbym uciekać? Czy w ogóle jest tu dokąd uciec?

Za drzwiami znajdowała się cicha, mroczna sala. Po omacku skręcił w lewo spodziewając się, że lada chwila z ciemności ktoś wyciągnie rękę i złapie go za ramię, ale nic takiego się nie stało. Namacał ścianę, a na ścianie kontakt. Nacisnął go, zmrużył oczy i zamrugał kilkakrotnie; blask staroświeckich, wmontowanych w sufit żarówek poraził mu oczy.

Ruszył przed siebie. Na wprost miał długą ladę z szeregiem okienek, przypominającą trochę salę w tradycyjnym banku. Nad jednym wisiała plakietka z napisem PODATKI, nad innym plakietka POZWOLENIA NA POLOWANIE, nad jeszcze innym KOPALINY I MINERAŁY. Ostatnia, nieco mniejsza od poprzednich, głosiła MSHA I FEDERALNE PRAWO UŻYTKOWANIA GRUNTÓW. Na ścianie za stanowiskiem urzędnika ktoś wypisał farbą w sprayu: Z TEJ CISZY COŚ MOŻE SIĘ ZRODZIĆ.

Mam wrażenie, że coś rzeczywiście się zrodziło - przyznał w duchu David, obracając głowę, by sprawdzić resztę pomieszczenia. - Coś nie za bardzo...

Nie było mu dane dokończyć tej myśli. Oczy rozszerzyły mu się, podniósł dłoń, by stłumić krzyk. Świat na moment poszarzał chłopcu przed oczami i David pewien był, że zemdleje. Pragnąc tego uniknąć, zamiast zasłaniać usta, przycisnął dłońmi skronie. Poczuł w nich znajomy ból.

Potem bezwładnie opuścił ręce. Wielkimi, przepelnionymi bólem oczami, z ustami zaciśniętymi, lecz drżącymi spojrzął na to, co znajdowało się na ścianie na prawo od drzwi.

Na ścianie na prawo od drzwi znajdowały się wieszaki na ubrania. Na tym najbliższym oknu wisiał stetson ze wstążką ze skóry grzechotnika, na kolejnych dwóch zaś dwie kobiety, jedna zastrzelona, druga wypatroszona. Ta wypatroszona miała długie rude włosy oraz usta rozwarte w niemym panicznym krzyku. Po jej lewej ręce wisiał mężczyzna w dżinsach z opuszczoną głową i pustą kaburą przy pasie. Był to zapewne Pearson, drugi z zastępców.

Ostatni w tym szeregu był Słodyczek, wiszący za karczek koszulki MotoGlin. Na jej koszulce widniała Cassie Styles, stojąca na tle ich samochodu, Sennego Wędrowca, z szerokim uśmiechem na twarzy. Ze wszystkich MotoGlin Słodyczek zawsze najbardziej lubił Cassie. Głowa dziewczynki opadała luźno na skręconej szyi, buciki kołysały się nad podłogą.

Dłonie. Nie mógł oderwać wzroku od dłoni. Małych, różowych, z lekko rozchylonymi palcami.

Nie potrafię jej dotknąć. Nie potrafię do niej podejść.

Nieprawda, potrafi. Więcej, musi, chyba że zdecyduje się zostawić ją tu z innymi ofiarami Entragiana. A przecież nie zdecyduje się; od czego w końcu siostrzyczki mają starszych braci, zwłaszcza nie wystarczająco starszych, by powstrzymali Wielkie Brzydkie Straszdyło przed zrobieniem im tak przerażającej krzywdy?

Z piersią unoszącą się i opadającą gwałtownie, z zieloną mydlaną mazią zasychającą w łuski na ciele, David znów połączył dłonie i wznosił je na wysokość twarzy. Zamknął oczy. Otworzył usta; drżącego, niemal niezrozumiałego, wydobywającego się z nich głosu nie potrafił skojarzyć ze swym własnym głosem.

- Boże, wiem, że moja siostrzyczka jest już z Tobą, a tu wisi tylko to, co po sobie pozostawiła. Proszę, pomóż mi zrobić to, co muszę dla niej zrobić. - Otworzył oczy, spojrzął na małą. - Kocham cię, Słodyczku -

powiedział. - Bardzo mi przykro za to, że na ciebie krzychałem i za mocno ciągnąłem cię za włosy. To wyznanie przeważało szalę. David padł na kolana, objął dłońmi pochyloną głowę. Zamarł, z całych sił utrzymując się przy zdrowych zmysłach. Łzy żłobiły mu na policzkach ślady w zielonej mazi. Najbardziej bolała go świadomość, że drzwi, które się między nimi zamknęły, nie zostaną otwarte już nigdy, przynajmniej na tym świecie. Nigdy nie zobaczy Słodyczka wybierającego się na randkę, nigdy nie zobaczy Słodyczka pakującego piłkę do kosza z połowy boiska na dwie sekundy przed dźwiękiem syreny. Już nigdy Słodyczek nie poprosi go, żeby popatrzył, jak staje na głowie, nigdy nie spyta, czy światelko w lodówce świeci się po zamknięciu drzwi.

Teraz już rozumiał, dlaczego ludzie z Biblii rozdzielali na sobie ubrania.

Kiedy odzyskał nad sobą kontrolę, podciągnął jedno ze stojących pod ścianą krzesel pod wiszące ciało siostry. Spojrzał na jej rączki, na jej różowe dłonie i poczuł, że coś znów mu przeskakuje w głowie. Opanował się jednak - sama świadomość, że jest w stanie się opanować, jeśli bardzo chce, już była pocieszająca. W głowie znów mu przeskoczyło i znów opanował go żal, kiedy stał na krześle i patrzył na jej nienaturalnie bladą buzię i fioletowe usta. Bardzo ostrożnie dopuścił do siebie trochę tego żalu. Wyczuł, że tak będzie dla niego lepiej. Po raz pierwszy widział martwego człowieka, ale tym martwym człowiekiem był jego mały Słodyczek i nie chciał, by siostrzyczka go przestraszyła albo by przez nią poczuł obrzydzenie. Żal wydał mu się o wiele lepszy. Więc pozwolił sobie na żal, o tak!

(Pospiesz się, Davidzie)

Nie był pewien, czy to jego głos, czy ten drugi, ale tym razem nie miało to większego znaczenia. Głos miał rację, Słodyczek nie żył, żyli za to tata i ci ludzie na górze. A poza tym była jeszcze matka. Najgorzej było z matką, to, co się stało z matką, pod pewnymi względami było jeszcze gorsze od tego, co się stało ze Słodyczkim, bo o matce nic przecież nie wie. Szalony gliniarz zabrał gdzieś jego matkę. Może z nią zrobić wszystko, dosłownie wszystko.

Nie będę o tym myślał. Nie pozwolę sobie na to.

Myślał więc o tym, ile godzin Słodyczek spędzał przed telewizorem z Melissą Sweetheart na kolanach, oglądając Barneya. W ciągu ostatniego mniej więcej roku fioletowy dinozaur ustąpił miejsca w jej serduszkach MotoGlinom (zwłaszcza Cassie Styles i przystojnemu pułkownikowi Henry'emu), Davidowi nadal jednak kojarzyła się właśnie z nim. Pamiętał tylko jedną piosenkę dinozaura, tę śpiewaną na melodię *This Old Man*. Zaczął ją nucić, a potem objął ciało dziewczynki i zdjął ją z haka.

“Kocham cię... ty kochasz mnie...”

Jej głowa opadła mu na ramię. Jaka ciężka - jakim cudem taka mała dziewczynka mogła nosić ją na karku cały dzień?

“Wszyscy razem kochamy się...”

Odwrócił się, niezdarnie zszedł z krzesła, zachwiał się, lecz nie upadł, i zaniósł ciało siostrzyczki pod okno. Po drodze zdołał jeszcze wygładzić jej bluzeczkę na plecach. Było tam rozdarcie, ale wcale nie takie wielkie. Położył ją, trzymając dłoń pod jej głową, żeby nie uderzyła w podłogę. Tak mu pokazała mama, kiedy Słodyczek był jeszcze całkiem malutki, a on prosił, żeby pozwoliła mu ją ponosić. Czy wtedy do niej śpiewał? Nie pamiętał, ale pewnie chyba tak. “Przytulę cię mocno i pocałuję...”

Wąskie, sięgające od podłogi do sufitu okna były przesłonięte brzydkimi ciemnozielonymi zasłonami. David zerwał jedną z nich.

“Kochasz mnie, przecież to czuję”.

Położył zasłonę obok ciała siostrzyczki, śpiewając przy tym tę głupią pioseneczkę jeszcze raz, od początku. Żałował, że nie może zapewnić Słodyczkowi towarzystwa Melissy Sweetheart, ale Melissą pozostała tam, na pustyni, przy samochodzie. Położył ciało na zasłonie i przykrył je jej dolną częścią. Zasłona sięgnęła Słodyczkowi pod brodę; tak było lepiej, o wiele lepiej, dziewczynka wyglądała teraz, jakby spała w domu, w łóżeczku.

“Przytulę cię mocno i pocałuję - zaśpiewał. - Kochasz mnie, przecież to czuję”.

Pocałował ją w czoło.

- Kocham cię - powiedział po prostu i naciągnął jej zasłonę na buzię.

Pozostał przy niej przez chwilę. Siedział w kucki z rękami ściśniętymi między kolanami, starając się opanować uczucia. Kiedy poczuł się pewniej, wstał. Wiatr wył, światło dnia niemal już zgasło, piach uderzał w okna z dźwiękiem przypominającym stukanie palców. Słyszał ostry, nieprzyjemny, nieprzerwany zgrzyt; coś obracało się na wietrze. Aż podskoczył, kiedy w zapadającej ciemności usłyszał, jak coś wali się z hukiem.

Odwrócił się od okna i z wahaniem ruszył w stronę lady. Tam nie było ciał, lecz pod okienkiem z napisem PODATKI leżały rozsypane papiery, a na niektórych widniały plamy krwi. Długie krzesło urzędnika, takie z wysokim oparciem, leżało przewrócone.

Dalej za ladą David dostrzegł otwarty sejf, w którym było mnóstwo papierów, lecz żadnych pieniędzy; jego zawartość wydawała się nienaruszona. Po prawej stało kilka zestawionych ze sobą biurków. Po lewej znajdowało się dwoje zamkniętych drzwi. Na obu wypisano coś złotymi literami. Te z napisem DOWÓDCA STRAŻY POŻARNEJ nie interesowały go, drugie jednak, prowadzące do gabinetu oficera bezpieczeństwa miasta, owszem. Oficer bezpieczeństwa miasta nazywał się Jim Reed.

- W większym mieście nazywałby się szefem policji - powiedział do siebie cicho i podszedł do tych drzwi.

Okazało się, że nie są zamknięte. Pomacał ścianę, znalazł włącznik światła i przycisnął go.

Najpierw dostrzegł wiszący na ścianie na lewo od biurka wielki łeb karibu. Potem - siedzącego za biurkiem mężczyznę, mocno odchylonego w fotelu. Gdyby nie miał wbitych w oczy ołówków i gdyby plakietka z nazwiskiem nie sterczała mu z ust, można byłoby przysiąc, że mężczyzna śpi; sprawiał wrażenie aż tak rozluźnionego. Dłonie złożone miał na okazałym brzuchu. Ubrany był w koszulkę khaki, którą, jak u Entragiana, na piersi przecinał pas.

Wiatr znów przewrócił coś z hukiem. Kojoty zawyły jak sentymentalny kwartet wokalny z piekła rodem. David aż podskoczył. Obejrzał się, by sprawdzić, czy szalony gliniarz nie skrada się przypadkiem w jego kierunku. Na szczęście się nie skradał. David odwrócił się i spojrzął na siedzącą za biurkiem postać. Wiedział, co powinien zrobić. Pomyślał, że jeśli był w stanie dotknąć Słodyczka, zdoła także dotknąć tego obcego.

Najpierw jednak podniósł słuchawkę telefonu. Nie spodziewał się usłyszeć sygnału, więc się nie rozczarował. Mimo wszystko parę razy uderzył w klawisz przerywający rozmowę, powtarzając:

“Halo? Halo?”

Pokojówka? Proszę dostarczyć mi pokój - pomyślał, zadrżał, machinalnie odłożył słuchawkę na widelki. Obszedł biurko i stanął naprzeciwko mężczyzny z wbitymi w oczy ołówkami. Plakietka z jego nazwiskiem nadal stała na biurku, więc z ust sterczało coś zupełnie innego. Pomiędzy jego zębami widać było litery: IĘ AWANTURY.

David poczuł znajomy zapach, nie płynu po goleniu jednak ani wody kolońskiej. Spojrzął na złożone na

brzuchu ręce trupa, dostrzegł na nich pęknięcia i zrozumiał. Czuł zapach kremu do rąk albo takiego, jaki używała jego matka, albo bardzo podobnego. Jim Reed musiał go użyć niedługo przed śmiercią. Próbował dostrzec, co ma przy pasie, i nie mógł, Reed był na to zbyt gruby i przysunięty zbyt blisko do biurka; nie widział, czy ma on to, co jest mu potrzebne, czy nie. Pośrodku oparcia fotela widniała mała dziurka, ją widział doskonale. Ten człowiek został postrzelony - miał nadzieję, że ołówki wbito mu w oczy już po śmierci.

Do roboty. Pospiesz się.

Próbował odepchnąć fotel. Odskokzył z krzykiem, kiedy mebel pochylał się i przewrócił od bardzo delikatnego dotknięcia. Trup Jima Reeda runął na podłogę; uderzając w nią wydał z siebie donośne beknące. Plakietka wyleciała mu z ust niczym wystrzelona z wyrzutni rakieta. Wylądowała do góry nogami, ale David i tak bez problemu przeczytał widoczny na niej napis: TU KOŃCZĄ SIĘ AWANTURY.

Z sercem walącym mocniej niż kiedykolwiek w życiu przyklęknął przy ciele na jedno kolano. Mundurowe spodnie Reeda miały odpięty górny guzik i rozporek, ukazując z całą pewnością nieregulaminową bieliznę (wielkie, jedwabne, brzoskwińowe gacie), ale to nic go nie obchodziło. Szukał czegoś innego. Odetchnął z wielką ulgą, dostrzegłszy wreszcie to coś: kaburę służbowego rewolweru, wiszącą na tłustym biodrze policjanta. Na drugim znalazł przypięte do pasa kółko z kluczami.

Przygryzł dolną wargę. Z jakiegoś powodu pewien, że martwy gliniarz sięgnie po niego

(o cholera, mumia nas ściga)

złapie go za ramię, spróbuje odpiąć klucze od pasa. Próbował i próbował, nabierając przekonania, że kółko się nie odepnie, odpięło się jednak i kiedy, modląc się, przejrzał zawieszony na nim klucze, niemal natychmiast znalazł ten, na którym mu zależało, kwadratowy, prawie nie przypominający typowego klucza, z czarnym paskiem ścieżki magnetycznej, biegnącym przez całą jego długość. Klucz uniwersalny do cel aresztu piętro wyżej. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Schował kółko z kluczami do kieszeni, zerknął na rozchylone spodnie policjanta, po czym rozpiął pasek przytrzymujący broń w kaburze. Wyciągnął ją obiema rękami, czując jej ciężar i mając świadomość drzemającego w niej gwałtu. Rewolwer, nie pistolet z kulami pogrzebanymi gdzieś w kolbie. Obrócił lufę ku sobie, bardzo ostrożnie trzymając dłoń na osłonie spustu. Obejrzał magazynek. W każdej jego dziurze dostrzegł czubek pocisku, więc pewnie wszystko jest w porządku. Pierwsza komora może być pusta - gliniarze na filmach zostawiali ją czasami pustą, żeby nie postrzelić się przypadkowo - miał jednak wrażenie, że to bez znaczenia, jeśli tylko pociągnie za spust dwukrotnie, raz za razem, jak najszybciej.

Obejrzał rewolwer od tyłu, szukając bezpiecznika. Nic takiego nie znalazł, więc powoli, z wahaniem, nacisnął lekko spust. Puścił go natychmiast, gdy tylko zobaczył unoszący się kurek. Nie miał ochoty strzelać tu, w zamkniętym pomieszczeniu. Nie wiedział, na ile cwane są naprawdę kojoty, przypuszczał jednak, że jeśli w ogóle są cwane, to prawdopodobnie przede wszystkim w sprawach broni.

Wrócił do głównego pomieszczenia. Wiatr wył, miotając piaskiem w okienne szyby. Nabrały sinoczerwonego koloru. Wkrótce będą czarne. Spojrzał na kształt, przykryty ohydą ciemnozieloną zasłoną.

Kocham cię, Słodczku - pomyślał.

Ruszył ku schodom. Zatrzymał się przed nimi, oddychając głęboko. Oczy miał zamknięte. Rewolwer trzymał w wyprostowanej ręce, z lufą skierowaną w podłogę.

- Boże, jeszcze nigdy nie miałem w ręku broni - powiedział. - Proszę, daj mi wystrzelić z tego rewolweru. W imię Jezusa, amen.

Załatwiwszy sprawę modlitwy, David zaczął powoli wchodzić po schodach.

Rozdział 3

1

Mary Jackson siedziała na pryczy, wpatrując się w splecione na kolanach dłonie i snując zabójcze myśli na temat swej szwagierki, Deirdre Finney, z tą jej prześliczną bladą buźką, słodkim nieprzytomnym uśmiechem i głową w lokach jak na obrazach prerafaelitów. Deirdre Finney nie jadła mięsa ("To takie... no, okrutne... wiesz?"), ale paliła trawkę; o tak, Panamska Czerwona od lat była jej wiernym i wypróbowanym przyjacielem. Deirdre i te jej żółte nalepki z uśmiechniętą buźką. Deirdre zabiła swego brata, a jego żonę wsadziła do pierdła w jakiejś dziurze, praktycznie do celi śmierci, a wszystko dlatego, że trawka wypaliła jej takie dziury w mózgu, że nie pamiętała, co zostawiła pod kołem zapasowym we własnym samochodzie.

To nie w porządku - powiedziała racjonalna część jej umysłu. - Wszystko przez tablicę rejestracyjną, nie trawkę. Entragian zatrzymał nas przez tablicę rejestracyjną. Zupełnie jak Anioł Śmierci, który zobaczył drzwi nie oznaczone właściwym znakiem. Gdyby w bagażniku nie było trawki, znalazłby inny powód, żeby nas zatrzymać. Raz zawiesi na człowieku oko i człowiek jest gotowy. Przecież wiesz.

Jednak wcale nie pragnęła tego wiedzieć; myśleć o całej sprawie w ten sposób, jakby była jakimś kataklizmem natury... to po prostu zbyt straszne. Lepiej już winić za wszystko siostrę Petera, stuprocentową idiotkę. Lepiej już wyobrazić sobie, jak się ją karze na kilkanaście niegroźnych może, ale bolesnych sposobów. Bicie gałązką bambusa - podobno tak karzą złodziei w Hongkongu - wydawało się jej najlepszym sposobem, ale Mary oczami wyobraźni widziała też siebie spacerującą w szpilkach po modnej płaskiej pupci Deirdre. Gotowa była na wszystko, byle tylko puste oczy na moment zrobiły się mniej puste, na wszystko, by można było w nie wykrzyknąć: "Przez ciebie zginął twój brat, ty głupia cipo, rozumiesz, co do ciebie mówię?" i zobaczyć w nich zrozumienie tego prostego faktu.

- Gwałt rodzi gwałt - powiedziała swym złożonym dłoniom poważnym, belferskim tonem. Biorąc pod uwagę okoliczności, mówienie do siebie wydawało się jej czymś najnormalniejszym i najoczywistszym w świecie. - Wiem o tym, wszyscy o tym wiedzą, ale myślenie o gwałcie jest czasami takie przyjemne!

- Co? - spytał Ralph Carver.

Sprawił wrażenie oszołomionego. Tak naprawdę - coś okropnego - wyglądał jak chodzące zwarcie w instalacji wysokiego napięcia, czyli jej szwagierka.

- Nie, nic.

Wstała. Dwa kroki wystarczyły, by dotarła do kraty. Objęła ją obiema dłońmi i wyjrzała. Kojot siedział nad resztkami skórzanej kurtki Johna Marinville'a. Przyglądał się pisarzowi jak zaczarowany.

- Sądzi pani, że mu się udało? - spytał ją Ralph. - Czy sądzi pani, że mojemu chłopcu się udało?

- Nie pani, tylko Mary i, szczerze mówiąc, nie wiem. Jedno mogę ci powiedzieć z całą pewnością: marzę o tym, żeby mu się udało. I chyba ma spore szanse.

Jeśli nie wpadnie na gliniarza - dodała w myśli.

- Tak. Chyba tak. Nie miałem pojęcia, że tak serio traktuje te swoje modlitwy. - Głos Ralpha brzmiał niemal przeprasząco; w tych okolicznościach wydało się jej to co najmniej dziwne. - Myślałem, że to może...

sam nie wiem... taki kaprys? Ale nie wygląda na to, żeby był to kaprys, prawda?

- Nie, nie wygląda.

- Czego się tak na mnie gapisz, mały? - spytał kojota Johnny Marinville. - Dostałeś moją pieprzoną kurtkę, ale chcesz jeszcze czegoś, nie? Niech zgadnę. - Marinville spojrzał na Mary. - Wiecie - powiedział - myślę, że gdyby któreś z nas się stąd wydostało, ta kupa psiego gówna podwinęłaby pewnie ogon i...

- Ciii... - przerwał mu Billingsley. - Ktoś idzie po schodach.

Kojot też usłyszał kroki. Odwrócił łeb od Marinville'a i obrócił się, warcząc. Kroki zbliżyły się i zatrzymały przed drzwiami. Mary zerknęła na Ralpa Carvera, ale nie potrafiła zatrzymać na nim wzroku - nadzieja i paniczny strach, odbijające się w jego twarzy, były po prostu zbyt straszne. Straciła męża i cierpiała z tego powodu bardziej, niż kiedykolwiek była w stanie sobie wyobrazić. Jak to jest - pomyślała - kiedy w ciągu jednego popołudnia traci się całą rodzinę?

Wiatr powiał mocniej, zawył na parapetach. Kojot obejrzał się nerwowo na ten dźwięk, a potem zrobił trzy kroki w stronę drzwi. Jego oberwane uszy drżały.

- Synku! - krzyknął rozpaczliwie Ralph. - Synku, jeśli to ty, nie wchodź! To bydlę stoi dokładnie naprzeciwko drzwi.

- Jak blisko?

Zatem to jednak był on. Chłopiec. Zdumiewające. A jeszcze bardziej zdumiewające wydawało się to, jak panował nad głosem. Mary doszła do wniosku, że może jednak warto przemyśleć sobie raz jeszcze kwestię skuteczności modlitw.

Ralph stał niczym sparaliżowany, jakby po prostu nie rozumiał pytania. Marinville jednak rozumiał je doskonale.

- Jakies półtora metra. Patrzy wprost na drzwi. Bądź ostrożny.

- Mam rewolwer - zakomunikował David Carver. - Chyba lepiej, żeby wszyscy schowali się pod pryzami. Mary, przesuń się jak najdalej w stronę celi taty. Czy jest pan pewien, że stoi naprzeciwko drzwi, panie Marinville?

- Tak. Wielki jak samo życie i dwa razy potworniejszy jest ten mój głupawy przyjaciel Bosco. Strzelałeś już kiedyś z rewolweru, Davidzie?

- Nie.

- O, Mojżesz! - Marinville spojrzał w niebo.

- Davidzie, nie! - krzyknął Ralph. Na jego twarzy dopiero teraz pojawił się niepokój, jakby przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, co planuje jego syn. - Uciekaj i sprowadź pomoc. Jak tylko otworzysz drzwi, ten sukinsyn cię dorwie! W ułamku sekundy!

- Nie - oświadczył mały. - Przemyślałem to sobie, tato, i doszedłem do wniosku, że wolę zaryzykować z kojotem niż z tym Entragianem. A w dodatku mam klucz. Sądzę, że to właściwy klucz, bo wygląda zupełnie jak ten, którego on używał.

- Przekonałeś mnie - powiedział Marinville, jakby to załatwiało sprawę. - Wszyscy na ziemię! Policz do pięciu, Davidzie, a potem daj mu popalić.

- Zginie przez ciebie! - wrzasnął na niego Ralph w strasznej furii. - Zabijesz mojego syna, bo chcesz uratować swój tyłek!

- Rozumiem, że pan się o niego troszczy, panie Carver - wtrąciła Mary - ale jeśli się stąd nie

wydostaniemy, zginiemy wszyscy.

- Policz do pięciu, Davidzie - powtórzył Marinville, opadł na kolana i wcisnął się pod pryczę.

Mary spojrzała na drzwi. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej cela za chwilę znajdzie się dokładnie na linii strzału. Dopiero teraz rozumiała, dlaczego David nakazał jej, żeby przesunęła się na stronę celi jego ojca. Ma tylko jedenaście lat - pomyślała - a myśli szybciej ode mnie.

- Raz - zaczął chłopiec za zamkniętymi drzwiami.

W jego głosie brzmiało straszne zdenerwowanie. Trudno go za to winić - pomyślała Mary. - Nie można go za to winić.

- Dwa...

- Synu! - zawołał Billingsley. - Posłuchaj mnie, synu. Klęknij, słyszysz? Trzymaj rewolwer w obu dłoniach i przygotuj się na strzelanie w górę... w górę, synu! Kojot nie będzie biegł! Skoczy! Rozumiesz, co mówię?

- Tak - odrzyknął David. - Tak, rozumiem! Tato, schowałeś się pod pryczę?

Ralph nie schował się pod pryczę. Nadal stał przy kracie swojej celi. Pomiędzy pomalowanymi na biało prętami widać było kawałki jego nieruchomej, przerażonej, spuchniętej twarzy.

- Nie rób tego, Davidzie. Zabraniam ci!

- Na ziemię, idioto! - warknął Marinville.

Spod pryczy widać było jego wściekłe oczy, wpatrzone w Ralpa Carvera.

Mary w pełni podzielała uczucia Marinville'a, ale doboru słów nie uznała za najtrafniejszy. Po pisarzu wolno spodziewać się czegoś znacznie lepszego, choć może nie po tym pisarzu, a tego wreszcie ulokowała w pamięci. Napisał "Rozkosz", zapewne najbardziej świńską książkę dwudziestego wieku. Z autorem "Rozkoszy" siedzą sobie w sąsiednich celach, surrealistyczne to, lecz jakże prawdziwe, i choć nos autora sprawiał wrażenie, jakby już nigdy nie miał dojść do siebie po tym, co zrobił z nim gliniarz, sam Marinville nadal zachowywał się jak facet, który spodziewa się dostać wszystko, co dostać zechce. Najpewniej na srebrnej tacy.

- Czy tata usunął się z drogi?

Głos chłopca był już nie tylko wystraszony, lecz także niepewny i Mary nagle znienawidziła jego ojca za to, co mu robił, za to, że szarpał jego i tak już naciągnięte do granic wytrzymałości nerwy, jakby były to struny gitary.

- Nie! - wrzasnął Ralph. - Nie usunąłem się i nie mam zamiaru się usunąć. Wynos się stąd. Znajdź telefon! Wezwij policję stanową.

- Spróbowałem skorzystać z telefonu w gabinecie pana Reeda! - odrzyknął chłopiec. - Nie działa.

- Więc znajdź inny! Cholera, próbuj, dokąd nie znajdziesz takiego, który działa i...

- Prześń udawać durnia i włącz pod pryczę - przerwała mu Mary cicho. - Co chcesz, żeby zapamiętał sobie z dzisiejszego dnia? Że widział, jak ginie jego siostra, a potem przypadkowo postrzelił ojca i wszystko to jeszcze przed kolacją? Potrzebujemy pomocy. Twój syn próbuje nam pomóc, więc ty na odmianę też spróbuj.

Spojrzał na nią. Policzki miał kredowobiałe, ostro kontrastujące z krwią zaschlą po lewej stronie twarzy.

- Tylko on mi został - powiedział szeptem. - Czy ty to rozumiesz?

- Rozumiem. Oczywiście. A teraz niech pan wchodzi pod pryczę, panie Carver.

Ralph odstąpił o krok od krat celi, zawahał się, przyklęknął i wpełzł pod pryczę.

Mary zerknęła jeszcze w kierunku celi, z której wyslizgnął się David - Boże, jakiej wymagało to odwagi!

- i zobaczyła leżącego pod pryczą weterynarza. Oczy - jedyna młoda część jego ciała - błyszczały z cienia niczym zielone szlachetne kamienie.

- David! U nas wszystko w porządku! - krzyknął Marinville.

- Tata też? - odparł chłopiec pełnym powątpiewania głosem.

- Leżę pod pryczą! - odkrzyknął Ralph. - Synku, bądź bardzo ostrożny! Jeśli... - głos mu zadrżał i znów się uspokoił. - ...jeśli cię dopadnie, nie wypuść rewolweru i strzelaj mu w brzuch. - Nagle zaniepokojony wystawił głowę spod pryczy. - Czy ten rewolwer jest nabity? Sprawdziłeś?

- Tak, sprawdziłem. - Chwila przerwy. - Nadal stoi przed drzwiami?

- Stoi - upewniła go Mary.

Kojot zrobił nawet krok w kierunku drzwi. Łeb miał opuszczony, warczał jednostajnie; brzmiało to jak silnik motorówki, pracujący na wolnych obrotach. Za każdym razem, kiedy słyszał głos chłopca, poruszał lekko uszami.

- Dobrze. Ukląknę. - Tym razem głos drżał mu wyraźnie. Mary miała wrażenie, że traci już kontrolę nad sobą. - Teraz zacznę liczyć od nowa. Cofnijcie się, jak najdalej możecie. Nie... nie chcę postrzelić nikogo przypadkiem.

- Pamiętaj, masz strzelać w górę - przypomniał mu weterynarz. - Niedużo, trochę. Pamiętajsz?

- Bo on skoczy. Tak. Pamiętam. Raz... dwa...

Wiatr nieco się uspokoił. W zapadłej nagle ciszy Mary bardzo wyraźnie usłyszała dwie rzeczy: warkot kojota i bijący jej w uszach puls. Jej życie spoczywało teraz w rękach jedenastolatka z rewolwerem w dłoni. Jeśli David strzeli i chybi lub jeśli przerazi się i nie strzeli w ogóle, kojot najprawdopodobniej go zabije. A potem, kiedy wróci szalony gliniarz, umrą wszyscy.

- ...trzy... - Drżący głos chłopca był teraz niesamowicie podobny do głosu jego ojca. - ...cztery... pięć!

Kłamka w drzwiach obróciła się lekko.

2

Dla Johnny'ego Marinville'a było to jak powrót do Wietnamu, gdzie rzeczy straszne i zabójcze działy się z przerażającą szybkością, która zawsze człowieka zdumiewała. Nie miał wielkich nadziei co do chłopaka, sądził, że będzie strzelał wszędzie, tylko nie w wielkiego Bosco, ale przecież mieli wyłącznie chłopaka. Podobnie jak Mary był pewien, że jeśli nie wydostaną się stąd przed powrotem gliniarza, sprawa załatwiona.

Mały cholernie go zaskoczył.

Po pierwsze nie otworzył drzwi jednym gwałtownym ruchem, żeby odbiły się od ściany i zaczęły się zamykać, zasłaniając mu linię ognia. Nie, on je delikatnie popchnął. Klęczał za nimi, ubrany już, lecz na policzkach miał zielone smugi mydła. Patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami. Drzwi jeszcze się otwierały, kiedy prawą rękę zacisnął na lewej, zaciśniętej na kolbie rewolweru, który Johnny'emu wydał się

czterdziestką. Cholerna armata dla kogoś tak małego. Trzymał go na wysokości piersi, z lufą lekko uniesioną. Twarz miał poważną, nawet jakby lekko zamyśloną.

Kojot, prawdopodobnie nie spodziewający się otwarcia drzwi mimo gadającego za nimi głosu, zrobił pół kroku wstecz, przygiął zadnie łapy, wyprężył się i skoczył. Zdaniem Johnny'ego to właśnie fakt, że się cofnął, przypieczętował jego los, bo chłopak zyskał dzięki temu tyle czasu, ile potrzebował, żeby się ustawić. Strzelił dwukrotnie, ręce trzymał lekko ugięte w łokciach, po pierwszym strzale rewolwer poderwał się, ale przed drugim wrócił na miejsce. Huk strzałów w zamkniętej przestrzeni okazał się wręcz ogłuszający.

Kojot, który skoczył po pierwszym strzale, lecz przed drugim, uderzył w Davida i przewrócił go na plecy.

Ralph wrzasnął. Wynurzył się spod pryczy. I to błyskawicznie. Mogło się wydawać, że chłopak walczy ze zwierzęciem za drzwiami, na podeście, lecz Johnny po prostu nie potrafił uwierzyć, by kojot miał ochotę do walki, słyszał przecież uderzające w niego pociski, a w dodatku na drewnianej podłodze pozostały rozbryzgi jego krwi.

- David! Davidzie! W brzuch! Strzelaj w brzuch! - krzyczał ojciec chłopca, tańcząc wręcz przy kratkach w szalonym zdenerwowaniu.

David nie strzelał jednak. Po prostu uwolnił się od kojota jak ktoś, kto przypadkiem wplątał się w fałdy płaszcza. Odsunął się od niego, jadąc na tyłku. Sprawiał wrażenie niebotycznie zdumionego. Przód koszuli ubrudzony miał krwią i sierścią. Oparł się plecami o ścianę, przytrzymał się jej rękami i wstał. Przyglądał się rewolwerowi najwyraźniej zdumiony, że nadal trzyma go w dłoni.

- Wszystko w porządku, tato, nie krzycz. Dostałem go i nawet mnie nie drasnął.

Przesunął dłonią po piersi i ręce, w której trzymał broń, jakby chciał sprawdzić, czy się przypadkiem nie myli. Potem spojrział na kojota.

Kojot żył jeszcze, leżał z głową zwieszoną przez stopień schodów, dysząc ochryple, szybko. W miejscu jego piersi ziała poszarpana dziura. David przykłęknął przy nim i przyłożył lufę rewolweru do bezwładnego łba. Odwrócił się. Johnny widział, że oczy ma mocno zaciśnięte, i w tym momencie poczuł gwałtowny przypływ uczucia do tego dziecka. Jego własne dzieci nigdy nie zrobiły na nim większego wrażenia - miał nieodparte wrażenie, że przez pierwsze dwadzieścia lat nic, tylko go denerwowały, a przez drugie dwadzieścia lat, tylko denerwowały się na niego - ale takiego chłopca chyba dobrze byłoby mieć przy swoim boku. O takich jak on koszykarze mawiają, że będzie grał nawet na klęczkach.

Pewnie co wieczór, przed snem, klękałbym nawet przy jego łóżku na paciorek - pomyślał Johnny. - O cholera, każdy by to zrobił. Wystarczy przyjrzeć się rezultatom.

Z buzią skrzywioną w wyrazie, jaki ma dziecko, kiedy wie, że musi zjeść wątróbkę, nim pójdzie pobawić się na podwórko, David po raz trzeci nacisnął spust. Huk był równie głośny co poprzednio, ale z jakiegoś powodu nie aż tak ostry. Ciało kojota podskoczyło. Na poręczy schodów pojawił się wzór drobnych czerwonych kropelek, delikatny jak koronka. Chrapliwe dyszenie ucichło. Chłopak otworzył oczy i przyjrzał się swojemu dziełu.

- Dzięki ci, Boże - powiedział cichym, bezdźwięcznym głosem - ale to było wstrętne. Po prostu wstrętne.

- Zrobiłeś wspaniałą robotę - pochwalił go Billingsley.

David wstał i powoli wszedł do aresztu. Spojrział na ojca. Ralph wyciągnął do niego ręce. Syn podszedł do niego, zapłakany; pozwolił ojcu, by zamknął go w niezdarnym uścisku, przez kratę celi.

- Bałem się o ciebie, mały - wyznał Ralph. - Tylko dlatego kazałem ci odejść. Rozumiesz, prawda?

- Tak, tatusiu. - David rozszlochał się teraz naprawdę i Johnny uświadomił sobie całkiem nagle, że nie

placze po swym przyjacielu, zapchlonym śmierdzieli, nie, to nie tak. Następne słowa chłopca potwierdziły jego podejrzenia. - Słodczyk... ona wisiała tam, na dole. Na ha... na ha... na haku. I inni lu... lu... ludzie też. Zdjąłem ją. Reszty nie mogłem zdjąć, bo byli dorośli, ale ją zdjąłem. I zaaa... zaśpiewałem jej pio... piosenkę.

Próbował powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł i po prostu rozsłochał się rozpaczliwie. Przcisnął buzię do krat, a tata gładził go po głowie i powtarzał:

- Uspokój się, uspokój, jestem pewien, że zrobiłeś dla małej Kirsten co tylko możliwe, wszystko będzie dobrze.

Johnny pozwolił im tak bawić się przez minutę - sprawdził na zegarku - bo mały przecież zasłużył sobie na to przez sam fakt, że otworzył drzwi, chociaż wiedział, że czeka na niego za nimi wściekły kojot, a potem zawołał Davida po imieniu. Chłopiec nie obejrzał się, więc musiał zawołać go po raz drugi, głośniej. Tym razem zwrócił na siebie jego uwagę. Mały wreszcie się obejrzał, oczy miał czerwone, zapłakane.

- Słuchaj, wiem, że wiele przeszedłeś - zaczął Johnny - i jeśli wydostaniemy się z tego z życiem, pierwszy zarekomenduję cię do Srebrnej Gwiazdy, ale teraz musimy się stąd wynosić. Entragian może już przecież wracać. Jeśli jest blisko, mógł usłyszeć strzały. Podobno masz klucz... to chyba najlepsza chwila, żeby go użyć.

David wyjął z kieszeni pęk kluczy i wyłuskał z niego ten jeden, podobny do używanego przez Entragiana. Włożył go w zamek ojcowskiej celi. Nic. Mary krzyknęła z rozczarowania i nasadą dłoni walnęła w pręty celi.

- Odwrotnie - odpowiedział Johnny. - Włóż go odwrotnie.

David odwrócił klucz-kartę i jeszcze raz wsunął go w szczelinę zamka. Tym razem rozległ się trzask, głośny trzask, i cela stanęła otworem.

- No! - krzyknęła Mary. - Nareszcie!

Ralph wyszedł z celi i chwycił syna w objęcia; tym razem nie odgradzały ich pręty. Chłopiec pocałował spuchniętą twarz ojca, a jego ojciec krzyknął z bólu i jednocześnie roześmiał się. Johnny pomyślał, że tak dziwnego dźwięku nie słyszał jeszcze nigdy w życiu i że czegoś takiego nie da się opisać w książce, tak jak nie da się opisać w książce wyrazu twarzy Ralpha Carvera wpatrującego się buzię syna, że słowa na to można znaleźć tylko w języku wyobraźni.

3

Ralph zabrał Davidowi klucz uniwersalny i sam otworzył resztę cel. Więźniowie wyszli na wolność, skupiając się natychmiast w ciasną grupkę, przy biurku: Mary z Nowego Jorku, Ralph i David z Ohio, Johnny z Connecticut i stary Tom Billingsley z Nevady. Patrzyli na siebie jak ludzie, którzy wyszli cało z katastrofy kolejowej.

- Wynośmy się stąd - zaproponował Johnny. Zauważył, że chłopiec oddał broń ojcu. - Potrafi pan z tego strzelać, panie Carver? Czy widzi pan wystarczająco dobrze, żeby strzelać?

- Tak na pierwsze i drugie - odparł Ralph. - Idziemy.

Wyprowadził ich na schody; szedł pierwszy, trzymając syna za rękę. Za nimi Mary, za nią zaś Billingsley. Johnny Marinville pozostał w straży tylnej. Przechodząc przez trupa kojota, zobaczył, że ostatni strzał praktycznie stał na proch jego łeb. Nie potrafił obronić się przed myślą, czy ojca chłopaka stać byłoby na taki strzał. Musiał się zastanowić, czy i jego byłoby stać na taki wyczyn.

Kiedy zeszli ze schodów, David kazał się im zatrzymać. Szkło drzwi było teraz czarne. Zapadła noc. Wiatr wył jak upiór, który się zgubił i którego doprowadziło to do furii.

- Nie uwierzycie mi, ale to prawda - powiedział David, a potem opowiedział im, co widział po drugiej stronie ulicy.

- "I zobaczycie, jak ścierwnik spocznie obok kojota" - stwierdził Johnny, wyglądając przez drzwi. - Tak jest napisane w Biblii. List do Jamajczyków, rozdział trzeci.

- Moim zdaniem to wcale nie jest zabawne - zauważył Ralph.

- Moim też - odparł Johnny.

Widział kształt stojących dalej budynków, czasami jakiegoś zagubionego, przelatującego przez ulicę biegacza stepowego i właściwie nic więcej. Tylko... czy miało to jakieś znaczenie? Czy miałyby jakieś znaczenie banda wilkołaków, stojących wokół miejscowej sali bilardowej, palących skręty i wypatrujących uciekinierów? I tak nie mogli tu zostać. Entragian wróci z pewnością. Faceci tacy jak on zawsze wracają.

Nie ma facetów takich jak on - podpowiedział mu umysł. - W całej historii świata nie było facetów takich jak on. Wiesz o tym doskonale.

Dobra, może i wiedział o tym doskonale, w niczym nie zmieniało to jednak istoty rzeczy. Muszą się stąd wynieść.

- Ja ci wierzę - powiedziała Davidowi Mary. Spojrzała na Johnny'ego. - Chodź ze mną - zwróciła się do niego. - Idziemy do biura szefa policji czy jak to się tu nazywa.

- Po co?

- Po latarki i broń. Idzie pan z nami, panie Billingsley?

Bilingsley tylko pokręcił głową.

- Davidzie, mogę dostać klucze?

Chłopiec wręczył jej klucze. Mary schowała je do kieszeni dżinsów.

- Miej oczy otwarte - przestrzegła chłopca, ujęła dłoń Johnny'ego (palce miała zimne jak lód) i pociągnęła go za kontuar. Johnny dostrzegł wypisany sprajem na ścianie napis.

- Z tej ciszy coś zrodzić się może - przeczytał go. - Jak myślisz, co to znaczy?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Chcę po prostu dotrzeć gdzieś, gdzie palą się światła, żyją normalni ludzie, działają telefony...

Mówiąc te słowa, obracała się w prawo. Pod jednym z wysokich okien dostrzegła najpierw leżącą sfałdowaną zieloną zasłonę, która nie wzbudziła w niej szczególnych emocji (przykryto nią kształt zbyt drobny, by była w stanie go rozpoznać), a potem wiszące na hakach ciała. Stęknęła, skuliła się, jakby ktoś z całej siły uderzył ją w żołądek, obróciła i próbowała uciec. Johnny chwycił ją mocno, lecz przez chwilę i tak był pewien, że wyrwie mu się bez problemu. W jej szczupłym ciele kryło się zdumiewająco wiele siły.

- Nie! - powiedział z naciskiem, potrząsając nią, częściowo, by ją nieco otrzeźwić, a częściowo z wściekłością. Wstydił się tej wściekłości, ale nie potrafił jej opanować. - Nie! Musisz mi pomóc! Po prostu nie patrz!

- To Peter...!

- Peter nie żyje. Bardzo mi przykro, ale on naprawdę nie żyje. My, wręcz przeciwnie. Przynajmniej na razie. Po prostu na niego nie patrz. Chodź.

Poprowadził ją jak najszybszym krokiem ku drzwiom z napisem OFICER BEZPIECZEŃSTWA

MIASTA, zastanawiając się po drodze, co właściwie powinni zrobić. Przy okazji stwierdził także, że do wszystkiego, co ich na razie spotkało, doszło jeszcze jedno raczej nieprzyjemne doświadczenie - Mary Jackson podniecała go. Podtrzymał ją ramieniem, ona trzęsła się cała, a on myślał tylko o tym, że tuż pod ręką ma jej pierś... i pragnął tej dziewczyny. Mąż Mary wisiał na haku niczym jakiś pieprzony płaszcz, a on doznał wzwodu, całkiem przyzwoitego jak na kogoś w jego wieku, zwłaszcza kogoś z podejrzeniem poważnych problemów z prostatą.

Terry ma rację - pomyślał. - Cholerny ze mnie dupek.

- Chodź - poprosił, przytulając ją mocniej, choć w sposób, miał nadzieję, przyjacielski. - Jeśli ten mały zdołał dokonać, czego dokonał, ty też dasz sobie radę. Wiem, że dasz sobie radę. Spróbuj się opanować, Mary.

- Przecież próbuję - odparła i wzięła głęboki oddech.

- Dobra dzie... o, cholera. Mamy tu kolejną przyjemność. Chętnie powiedziałbym ci, żebyś nie patrzyła, ale chyba nie czas teraz na uprzejmości.

Mary spojrzała na rozciągnięte na ziemi ciało oficera bezpieczeństwa Desperation. W gardle coś niebezpiecznie jej zbulgotało.

- To dziecko... David... Jezu Chryste, jakim cudem on tego dokonał?!

- Nie mam pojęcia. Fajny chłopak, trudno zaprzeczyć. Szeryf Jim spadł mu chyba z fotela, kiedy próbował dobrać się do jego kluczy. Dasz radę poszukać po sąsiedzku? U dowódcy straży pożarnej. Będzie szybciej, jeśli się rozdzielimy.

- Tak.

- Jesteś pewna? Bo jeśli dzielny strażak Bob był w domu, kiedy Entragian dostał szalu, to teraz jest pewnie równie martwy jak cała reszta.

- Wytrzymam. Weź to.

Wręczyła mu klucze i ruszyła w kierunku drugiego gabinetu. Johnny dostrzegł, jak spogląda na wiszącego na haku męża i jak szybko odwraca wzrok. Skinął głową i telepatycznie próbował przekazać jej kilka słów pocieszenia - dobra dziewczyna, dobry pomysł. Patrzył, gdy podchodziła do zamkniętych drzwi, gdy obracała klamkę, gdy popychała drzwi wygiętym palcem - jakby spodziewała się jakiejś pułapki. Zajrzała do środka, ze świstem wypuściła powietrze z płuc, a potem spojrzała na niego i pokazała mu wyprostowany kciuk.

- Pamiętaj, Mary, potrzebujemy trzech rzeczy: latarek, broni i kluczyków samochodowych. Dobra?

- Dobra.

Johnny wszedł do gabinetu gliniarza. Nie zwalniając kroku, przeglądał klucze na kółku, te które znalazł David. Rozpoznał komplet kluczyków do GM, prawdopodobnie radiowozu, którym przywiózł go tu Entragian. Dobrze byłoby, gdyby nadal stał na parkingu, ale prawdopodobnie nie stoi; wkrótce po tym, jak szalencie zabrał żonę Carvera, wyraźnie słychać było dźwięk silnika.

Szuflady biurka były zamknięte, ale klucz pasujący do tej szerokiej, nad wgłębieniem na kolana, otwierał je wszystkie. W jednej znalazł latarkę, w drugiej zamknięte pudełko z napisem RUGER. Spróbował na nim kilku kluczy - żaden nie pasował.

Zabrać je? Może i warto. Jeśli nie znajdą gdzieś tu innej broni.

Przeszedł przez pokój, zatrzymując się na chwilę, by wyjrzeć przez okno. Zobaczył tylko wirujący na wietrze pył. Prawdopodobnie nie było tam nic więcej do oglądania. Chryste, dlaczego nie pojechał autostradą?

Ta myśl wydała mu się naraz bardzo śmieszna. Chichotał sobie pod nosem, przyglądając się zamkniętym

drzwiom za plecami Reeda.

Zachowujesz się jak szaleniec - pomyślał. - Żadne tam "Podróże z harleyem". Jeśli wyjdiesz z tego z życiem, powinieneś pomyśleć o zatytułowaniu książki: "Podróże z szaleńcem".

To wydało mu się jeszcze śmieszniejsze. Zasłonił sobie usta dłonią, żeby stłumić chichot, i otworzył drzwi.

Otrzeźwiał natychmiast. Pomiędzy ciężkimi, roboczymi i zwykłymi butami, częściowo zasłonięta przez kurtki i zapasowe mundury, siedziała martwa kobieta, oparta o boczną ściankę schowka i ubrana w stylu, który Johnny nazywał "Sekretarka z Drugiej Ręki": zwężające się ku dołowi spodnie z materiału, nie džinsy, i jedwabna bluzka z wyhaftowanymi nad piersiami splecionymi różyczkami.

Kobieta wydawała się patrzeć na niego szeroko otwartymi oczami z niebotycznym zdumieniem. Było to jednak tylko złudzenie.

Wydaje ci się, że patrzy, bo spodziewasz się oczu, nie wielkich czerwonych plam w miejscu, gdzie te oczy były.

Powstrzymał jakoś przemożną wręcz chęć zatrzęsienia drzwi schowka. Rozsunął ubrania na obie strony, by dotrzeć jakoś do tylnej ścianki. Okazało się, że był to dobry pomysł. Znalazł tam regał, a na nim kilka sztuk broni długiej. Jedno z miejsc było puste, prawdopodobnie stąd właśnie pochodziła strzelba, z której celował w niego Entragian.

- Niech to diabli, strzał w dziesiątkę! - mruknął, wchodząc do schowka.

Nogi postawił po obu stronach siedzącego w nim trupa, lecz ta pozycja mocno go zażenowała; pewnego dnia babka obrobiła go w niemal identycznej pozycji, tyle że siedziała wtedy oparta o ścianę sypialni. Było to na zabawie w East Hampton. Uczestniczył w niej Spielberg. Joyce Carol Oates też.

Cofnął się, położył stopę na ramieniu trupa i pchnął go mocno. Ciało, powoli i sztywno, przewróciło się w prawo. Wielkie czerwone oczodoły wpatrywały się w niego z wyrazem niebotycznego zdumienia, jakby kobietę zdziwiło, że taki kulturalny mężczyzna, laureat National Book Award, na litość boską, upadł aż tak nisko, by popychać zamkniętą w schowku kobietę. Jej włosy powoli spłynęły po ścianie, o którą była oparta.

- Przepraszam panią bardzo - powiedział Johnny. - Proszę mi wierzyć, tak jest lepiej dla nas obojga.

Broń zabezpieczona była kawałkiem stalowej linki, przewleczonej przez osłony spustów, z obu stron zamocowanej na kłódki. Johnny miał tylko nadzieję, że szczęście dopisze mu teraz tak, jak nie dopisało w sprawie rugera.

Trzeci klucz otworzył jedną z kłódek. Johnny szarpnął linkę tak mocno, że jeden z karabinów - Remington .30-06 - wypadł z regału. Chwycił go, odwrócił się... i zobaczył, że tuż za nim stoi ta kobieta, Mary. Na jej widok stęknął ciężko; prawdopodobnie krzyknąłby nawet, gdyby nie był taki przerażony. Serce przestało mu bić; przez dłuższą chwilę był nawet pewien, że nie ma zamiaru wrócić do pracy i że on sam umrze, nim zdąży upaść na trupa w jedwabnej bluzce. Dzięki Bogu, przypomniało sobie jednak o swych obowiązkach. Uderzył się pięścią w pierś tuż nad sutkiem (kiedyś było tam bardzo twarde ciało, teraz już nie bardzo), tylko po to właściwie, by pokazać głupiej pompie, kto tu rządzi.

- Nie próbuj tego nigdy więcej - nakazał, usilnie powstrzymując sapanie. - Co się z tobą dzieje?!

- Byłam pewna, że mnie słyszałeś.

Dziewczyna nie sprawiała wrażenia nastawionej do niego szczególnie przyjaźnie. Przez ramię przewieszoną miała - co za gust! - torbę golfową. Z tartanu! Przyjrzała się trupowi w schowku.

- W schowku naczelnika straży też był trup - powiedziała. - Mężczyzna.

- Jak sądzisz, z jakim grał handicapem?

- Nie dajesz za wygraną, co?

- Pieprz się, Mary. Żartami próbuję uratować się przed nagłą śmiercią. Wszystkie wypite od dzieciństwa martini wskoczyły mi z kopytami na serce. Chryste, strasznie mnie przeraziłaś!

- Bardzo mi przykro, ale musimy się pospieszyć. On może wrócić w każdej chwili.

- Myśl ta nie powstała mi nawet w niegodnej tej nazwy głowie. Masz, bierz. Ostrożnie. - Podał jej remingtona, myśląc o starej piosence Toma Waitsa. "Białe kruki z .30-06" - śpiewał Waits tym swoim płaskim, jakimś takim upiornym głosem - "zrobią z ciebie szczapkę".

- Ostrożnie? A jest załadowany?

- Nie pamiętam już nawet, jak się to sprawdza. Byłem w Wietnamie... jako dziennikarz, bardzo dawno temu. Od tego czasu strzelającą broń widziałem wyłącznie na filmach. Później sprawdzimy, co i jak działa, zgoda?

Niezdarnie włożyła remingtona do torby.

- Znalazłam dwie latarki - pochwaliła się. - Obie działają. Jedna jest z tych długich, bardzo jasna.

- Doskonale. - Podał jej trzecią latarkę, tę, którą znalazł sam.

- Torba wisiała na drzwiach, od strony schowka - mówiła, chowając jego latarkę. - Naczelnik straży... jeśli to był on... no, jeden z kijów miał wbity w głowę. Mocno wbity, jakby był na niego... no... nadziany.

Johnny zdjął z regału dwa karabiny i dubeltówkę i obrócił się ku Mary trzymając je w ramionach. Jeśli znajdująca się pod regałem skrzynka z orzechowego drewna zawierała amunicję (a pewnie zawierała), to jest niezłe. Mają karabin albo dubeltówkę dla każdego z dorosłych, mały zaś może zachować sobie czterdziestkępiątkę dzielnego szeryfa Jima. O, niech to diabli - pomyślał Johnny - moim zdaniem mały może wybierać sobie broń według uznania. Jak na razie David Carver jako jedyny z ich towarzystwa udowodnił, że jeśli musi, potrafi strzelić i trafić.

- Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć - mruknął, pomagając załadować broń do torby.

Mary niecierpliwie potrząsnęła głową, jakby nie o to jej chodziło.

- Ile siły trzeba, żeby zrobić coś takiego! Żeby przebić ludzką głowę trzonkiem kija golfowego, głowę i szyję, aż do piersi! Żeby wepchnąć go tak głęboko, że łopata oparła się o czaszkę jak... jak mały kapelusik.

- Nie mam pojęcia. Zakładam, że mnóstwo. Ale Entragian to przecież nie karzełek.

Rzeczywiście, nie karzełek, jednak teraz, kiedy Mary wydobyła tę sprawę na światło dzienne, musiał przyznać, że jest ona co najmniej zastanawiająca.

- Poziom okrucieństwa... to właśnie poziom okrucieństwa najbardziej mnie przeraża - wyznała. - Ileż w tym chorego gniewu. Ta kobieta w schowku... nie ma oczu, prawda?

- Nie ma.

- I córeczka Carverów. I to, co zrobił Peterowi, przyłożył mu lufę do brzucha i strzelał... raz za razem. I ci ludzie tam... wiszący na hakach jak jelenie w sezonie polowań... rozumiesz przecież, o co mi chodzi?

- Jasne, rozumiem.

Mary, tak naprawdę nie zaczęłaś nawet rozumieć, co tu jest najstraszniejsze - pomyślał Johnny. - To nie tylko seryjny morderca, to doktor Dolittle z książki Brama Stokera.

W budynek uderzył szczególnie silny podmuch wiatru. Przestraszona Mary rozejrzała się.

- Nie ma znaczenia, dokąd pójdziemy teraz, bylebyśmy wreszcie się stąd wydostali - powiedziała. - Na litość boską, chodźmy!

- Jasne. Daj mi jeszcze pół minuty, dobrze?

Uklęknął między nogami kobiety, czując zapach perfum i krwi. Po raz kolejny sprawdzał klucze; tym razem dopiero jeden z ostatnich otworzył zamek czegoś, co okazało się niewielką, lecz wyjątkowo dobrze zaopatrzoną skrzynką na amunicję. Wyjął z niej osiem, może dziewięć pudełek naboju - miał nadzieję, że będą pasowały do zgromadzonej przez nich broni - i wrzucił je do torby.

- W życiu nie uda mi się tego podnieść - stwierdziła Mary.

- Wszystko w porządku, to moja sprawa.

Tylko że nie był w stanie załatwić tej sprawy. Ku swemu wielkiemu wstydu stwierdził, że nie jest w stanie nawet unieść torby z podłogi, nie mówiąc już o tym, żeby zarzucić ją na ramię. Gdyby ta suka tak mnie nie przestraszyła - i znów po prostu nie potrafił opanować śmiechu, tyle że tym razem śmiał się sam z siebie. Serdecznie.

- Z czego się śmiejesz? - spytała go ostro.

- Nie, nic - zmusił się do opanowania niewczesnej radości. - Złap za pasek. Pomóż mi ją ciągnąć.

Udało im się wspólnie posuwać torbę po podłodze. Mary szła ze schyloną głową i wzrokiem utkwionym w wystające lufy. Johnny zerknął na wiszące na hakach zwłoki. Burza, kojoty siedzące przy drodze w równych odstępach niczym gwardia honorowa, kojot pilnujący aresztu, ścierwniki, trupy - pomyślał. - Jak miło byłoby uwierzyć, że to wszystko tylko senna przygoda. A jednak nie śnił - by się o tym upewnić, musiał tylko przez kanaliki skręconego, obolałego nosa wciągnąć kwaśny zapach własnego potu. Wokół niego działo się coś przekraczającego granice wszystkiego, w co kiedyś wierzył - granice wszystkiego, w co skłonny był kiedykolwiek uwierzyć - i bynajmniej nie był to sen.

- Bardzo dobrze, po prostu nie patrz - wydyszał.

- Spokojnie, nie mam najmniejszego zamiaru - odparła. Z przyjemnością stwierdził, że też jest zdyszana... lekko.

W holu wiatr usłyszeli wyraźniej. Ralph stał przy drzwiach, wyglądając na ulicę; tulił do siebie syna. Siwy weterynarz stał tuż za nimi. Wszyscy naraz obrócili się ku wchodzącym.

- Słyszeliśmy silnik - zakomunikował David.

- Wydaje się nam, że słyszeliśmy silnik - poprawił go Ralph.

- Czy to radiowóz? - zaniepokoiła się Mary. Wyjęła z torby jeden z karabinów. Lufa powędrowała w kierunku Billingsleya, który skrzywił się i odsunął ją niedbałym gestem.

- Nie jestem nawet pewien, czy to był silnik - wyjaśnił Ralph. - Wiatr...

- To nie był wiatr - przerwał mu syn.

- A światła? - wtrącił Johnny.

David potrząsnął głową.

- Nie, ale w powietrzu jest tyle piasku...

Johnny popatrzył na trzymany przez Mary karabin (lufę skierowała w podłogę i to już był postęp), a potem na pełną broni torbę i na Ralpa. Ralph wzruszył ramionami i zerknął na starego weterynarza. Billingsley dostrzegł jego spojrzenie. Westchnął.

- Dobra, wyrzućcie. Zobaczymy, co tu mamy.

- Czy to nie może poczekać? - zdenerwowała się Mary. - Jeśli ten szaleniec wróci...

- Mój syn twierdzi, że tam też są kojoty - przypomniał jej Ralph. - Nie powinniśmy ryzykować śmierci, proszę pani. Takiej śmierci...

- Po raz ostatni przypominam, że mam na imię Mary, nie pani - przerwała mu gwałtownie. - Dobrze już, dobrze. Tylko się pośpieszcie.

Johnny i Ralph trzymali torbę, Billingsley wyciągał z niej broń i sztuka po sztuce podawał Davidowi.

- Układaj je w rzędzie - poprosił.

Chłopiec usłuchał i układał karabiny w równym rzędzie u stóp schodów, gdzie dobiegało światło zza lady.

Wreszcie Ralph podniósł i odwrócił torbę. Johnny i Mary łapali wysypujące się z niej latarki i amunicję. Stary Tom odbierał od nich pudełka naboju, instruując Davida, gdzie je położyć. Kiedy skończyli, przy remingtonach leżały po trzy paczki naboju, a przy ostatniej strzelbie - nic.

- Nie mamy niczego do mossberga - oznajmił stary. - To kapitalna broń, ale na dwudziestkidwójki. Pójdziecie po kilka sztuk?

- Nie - odparła natychmiast Mary.

Johnny spojrzał na nią, wściekły - nie lubił, kiedy kobiety odpowiadały na adresowane do niego pytania - lecz postanowił, że tym razem sobie odpuści. W końcu miała rację.

- Brak nam czasu - wyjaśnił Billingsleyowi. - Ale weźmiemy go ze sobą. Ktoś w tym mieście musi mieć naboje do dwudziestkidwójki. Mary, zabieraj go.

- Nie, dziękuję - odparła chłodno i wybrała sobie karabin, który weterynarz zidentyfikował jako dwunastostrzałowego rossiego. - Jeśli ktoś ma używać czegoś jako pałki, to chyba raczej mężczyzna, nie uważasz?

Johnny zdał sobie sprawę z tego, że został złapany w pułapkę. I to bardzo zręcznie. Ty suko - pomyślał i być może powiedziałby to nawet głośno mimo wiszącego niedaleko na haku męża, gdyby David nie krzyknął nagle: "Samochód!" i nie wyskoczył na ulicę tak szybko, że nie było czasu go powstrzymać.

Przyzwyczajali się już do wycia wiatru, czuli, jak potrząsa budynkiem, ale żadne z nich nie było przygotowane na to, jak gwałtownie wyrwie on drzwi z rąk Davida ani na to, że uderzy nimi w ścianę z siłą wystarczającą do pokruszenia szkła. Wiatr zatrzęsł kartkami przyczepionymi do tablicy w holu, zerwał kilka z nich i poniósł je na schody. Do środka wpadł piach, Johnny poczuł jego ułucia na twarzy. Podniósł dłoń, osłaniając nią oczy, i niechcący trafił się w nos. Krzyknął z bólu.

- David! - krzyknął Ralph, próbując złapać syna za koszulę.

Spóźnił się; jego syn wybiegł w wyjąca ciemność nie przejmując się tym, co może w niej na niego czekać. Johnny wiedział, co go tak ożywiło - światła. Obracające się światła, które przesunęły się po ulicy od prawej do lewej niczym zamontowane na łożyskach. W ich smudze piasek tańczył szaleńczo.

- Hej! - krzyczał chłopiec wymachując ramionami. - Hej! Wy tam, w samochodzie!

Światła już się oddalały. Johnny złapał latarkę i wybiegł za Carverami. Wiatr uderzył go, zachwiał nim; musiał złapać się za framugę drzwi, by nie spaść ze schodków. David zdążył już wybiec na środek ulicy; naraz przechylił się lekko, unikając jakiegoś ciemnego pędzącego na niego obiektu. Johnny wziął go najpierw za ścierwnika. Włączył latarkę i wtedy zobaczył, że to tylko biegacz stepowy.

Obrócił latarkę w stronę oddalającego się samochodu. Zataczał nią łuki, mrużąc oczy, w które sypał mu się piasek. Snop jej światła ginął w przesyconym pyłem powietrzu.

- Hej! - krzyknął David. Ojciec stał tuż za nim, trzymając w dłoni rewolwer. Próbował patrzeć we wszystkie strony naraz, jak prezydencki ochroniarz spodziewający się zamachu. - Hej, wracaj!

Tyłne światła oddalały się na północ, drogą prowadzącą z powrotem na szosę numer pięćdziesiąt. Migające światło na skrzyżowaniu tańczyło na wietrze; w jego słabym blasku Johnny'emu udało się jednak dostrzec bagażnik samochodu. Półciężarówka. Tyłne drzwi - czyżby coś było na nich napisane? Nie zdołał odczytać tekstu, zamazanego tańczącym w powietrzu piaskiem.

- Do środka, panowie! - krzyknął. - Odjechali!

Chłopiec jeszcze przez chwilę stał na ulicy, przygarbiony, patrząc w kierunku, gdzie zniknęły światła. Ojciec wziął go za rękę.

- Chodź, Davidzie - powiedział. - Przecież nic się nie stało. Przecież mieszkają tu ludzie. Znajdziemy kogoś, kto nam pomoże i...

Przerwał, rozejrzał się i dostrzegł wreszcie to, co Johnny widział już od dawna. Miasteczko było ciemne. Oczywiście mogło to oznaczać, że jego mieszkańcy przyczaili się, że wiedzą, co się dzieje, i kryją się przed szaleńcem, czekając na kawalerię Stanów Zjednoczonych. Wydawało się to nawet w pewien sposób sensowne, serce Johnny'ego podpowiadało jednak coś zupełnie innego.

Serce mówiło Johnny'emu, że miasteczko to jeden wielki cmentarz.

David wraz z ojcem ruszyli w stronę budynku; chłopiec szedł przygnębiony, z opuszczoną głową, mężczyzna nadal był czujny i nadal się rozglądał. Mary stała w drzwiach, obserwując ich; z rozwianymi włosami Johnny'emu wydawała się wyjątkowo piękna.

Ta półciężarówka, Johnny. Czy w tej półciężarówce było coś znajomego? Było, prawda? - przemówił głos Terry.

Wiatr i ciemność przeszły wycie kojotów. Brzmiało kpiąco, przypominało śmiech i dobiegało zewsząd. Johnny zaledwie zwrócił na nie uwagę. Tak, było coś w tej półciężarówce. Z całą pewnością coś w niej było. Rozmiar... te litery... wydawała mu się znajoma, mimo że zobaczył ją w ciemności, wśród prawdziwej burzy piaskowej. Znajoma...

- O, cholera! - wrzasnął, kładąc rękę na piersi.

Tym razem nie chodziło mu jednak o serce, lecz o kieszeń, której już nie było. Oczami wyobraźni zobaczył kojota, potrząsającego trzymaną w pysku drogą motocyklową kurtką, wypruwającego z niej podszewkę, wywalającego zawartość kieszeni we wszystkich możliwych kierunkach. A przecież w kieszeni miał...

- Co? - krzyknęła Mary, zaniepokojona wyrazem jego twarzy. - Co?

- Lepiej, żeby wszyscy tu wrócili, póki nie załadujemy broni - powiedział Billingsley. - Chyba że chcecie gołymi rękami walczyć z jakimś świństwem.

Te słowa też praktycznie nie dotarły do świadomości Johnny'ego. Litery na tylnych drzwiach znikającej w mroku półciężarówki mogły przecież układać się w słowo RYDER. I miało to sens, prawda, że miało sens? Steve Ames go szukał. Zajrzał do Desperation, nic nie znalazł i jechał teraz rozejrzeć się gdzie indziej.

Skoczył mijając zdumionego Billingsleya, który przyklęknąwszy na jedno kolano ładował broń, i pobiegł prowadzącymi do aresztu schodami, modląc się do Boga Davida Carvera o to, by telefon komórkowy nie ucierpiał od upadku.

“Jeśli wszystko tam w porządku... jeśli wygląda na to, że wszystko tam w porządku... to dobrze, zgłaszamy sprawę - powiedział całkiem niedawno Steve. - Jeśli jednak zobaczymy choćby byle drobiazg nie pasujący do obrazu, gaz do dechy i wiejemy do Ely”.

Ryder stał pod migającym na jedynym skrzyżowaniu Desperation żółtym światłem, spokojnie pomrukując silnikiem, kiedy Cynthia wyciągnęła dłoń i szarpnęła Steve'a za koszulę.

- Czas pędzić do Ely - zakomunikowała, wskazując palcem za okno, na zachodnią część ulicy, która krzyżowała się z ich ulicą. - Widzisz te rowery, o, tam? Moja babka zwykła była mawiać, że rowery na ulicy to jeden z najstarszych znaków pecha na świecie, jak zabicie lusterka albo zostawienie kapelusza na łóżku. Czas popracować nogami.

- Babcia ci to powiedziała, tak?

- No, prawdę mówiąc, nigdy nie miałam żadnej babci, w każdym razie nigdy żadnej nie znałam, ale... oprzytomniej człowieku, dobrze? Co one tu właściwie robią? Kto je zostawił na ulicy, przy tym wietrze? Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie to nienormalne?

Steve najpierw przyjrzał się rowerom, leżącym na boku, jakby przewrócił je wiatr, a potem spojrzał dalej, wzdłuż biegnącej ze wschodu na zachód ulicy.

- Zgoda, ale przecież ludzie siedzą w domach. Widzę światła. - Wskazał je palcem.

Owszem, dziewczyna też dostrzegła palące się w niektórych domach światła, miała jednak wrażenie, że ich wzór w ciemności jest w jakiś sposób... przypadkowy. No i...

- W tej kopalni też paliło się światło? - spytała przytomnie. - A poza tym, przyjrzyj się dokładnie temu, co widzisz. W większości domów jest ciemno. A dlaczego? Ty mi powiedz. - Usłyszała w swym głosie nieprzyjemną kpinę, ale jakoś nie potrafiła jej opanować. - Może myślisz, że miejscowi wieśniacy wynajęli autobus na mecz rewanżowy Kretynów z ich miasteczka przeciw Dupkom z Austin? Wielka wojna plemion pustyni? Coś, na co czekali cały rok... hej, co ty wyprawiasz?

Właściwie nie musiała nawet pytać. Steve skręcił w poprzeczną uliczkę, kierując się na zachód. Biegacz stepowy przemknął obok samochodu jak coś, co wyskoczyło z ekranu podczas pokazu trójwymiarowego horroru. Cynthia krzyknęła i uniosła ramię, zasłaniając sobie nim twarz. Biegacz uderzył w szybę, odbił się od niej, zaszurał po dachu i zniknął.

- To głupota - powiedziała. - Niebezpieczna głupota.

Steve zerknął na nią i z uśmiechem skinął głową. Powinna się na niego wkurzyć, powinna wkurzyć się na niego za ten jego uśmiech - w tej sytuacji! - ale się nie wkurzyła. Trudno było wkurzać się na faceta, który tak się potrafił uśmiechać, i na tym prawdopodobnie polegał przede wszystkim jej problem. Gert Kinshaw z “Cór i sióstr” lubiła powtarzać, że ci, co nie potrafią uczyć się na błędach, skazani są na to, żeby błędy były ich po tyłku. Cynthia nie sądziła, by Steve Ames należał do facetów potrafiących uderzyć kobietę, ale bicie to nie jedyny sposób, w jaki mężczyzna może zrobić dziewczynie krzywdę. Może ją skrzywdzić, uśmiechając się na przykład pięknie, tak pięknie, i tym uśmiechem skłaniając ją, by poszła za nim lwu w paszczę. Na ogół dźwigając jeszcze zapiekankę w żaroodpornym naczyniu, pięknie przykrytym serwetką.

- Jeśli wiesz, że to niebezpieczne, to dlaczego to robisz, Lubbock?

- Ponieważ musimy znaleźć działający telefon i ponieważ zapadł zmrok, a ja cierpię na najgorszy atak dreszczy w bogatej w dreszcze historii mego życia. Nie zgodzę się, żeby rządziło mną delirium tremens. Słuchaj, pozwól mi zajrzeć w parę miejsc. Ty możesz zostać w samochodzie.

- Odpieprz... hej, zobacz, o, tam! Tam! - wyciągnęła rękę, wskazując przewrócone bale ogrodzenia, leżące na trawniku przed niewielkim domem. W świetle reflektorów nie sposób było określić, jakiego koloru jest ów dom, bez problemu dawało się jednak zobaczyć ślady opon odcisnięte na przewróconym ogrodzeniu - były zbyt wyraźne, by ich nie zauważyć.

- Być może to dzieło pijanego kierowcy - orzekł Steve. - Widziałem dwa bary, a nawet się za nimi nie rozglądałem.

Cynthia uznała to za głupi pomysł, ale teksaski akcent podobał się jej coraz bardziej. Kolejny zły znak.

- Steve, daj spokój, oprzytomnij! - powiedziała. Noc przeszło współgrające z wyciem wiatru wycie kojotów. Przytuliła się do niego. - Jezu, jak ja nienawidzę tego dźwięku! Co je naszło?

- Nie mam pojęcia.

Steve prowadził rydera w tempie niespełna dwudziestu kilometrów na godzinę. Wolał móc się zatrzymać, gdyby w świetle reflektorów ukazała się jakaś przeszkoda. Dziewczyna uznała, że postępuje mądrze, jej skromnym zdaniem postąpiłby jednak znacznie mądrzej, gdyby zawrócił w miejscu i bardzo szybko wyniósł się z Tej Pomysłowej Dziury.

- Steve, nie mogę się doczekać chwili, gdy dotrzemy gdzieś, gdzie palą się neony nad barami, bankami i podejrzanej konduity handerkami używanymi samochodami, takimi czynnymi całą noc.

- Słyszę cię - odparł, a ona pomyślała, że wcale jej nie słyszy. Kiedy ludzie mówią "słyszę cię", prawie zawsze oznacza to, że cię nie słyszą. - Pozwól, że sprawdzę tutaj ten jeden dom, a potem, jeśli o nas chodzi, ta wiocha jest już historią.

Steve zjechał na podjazd niewielkiego domku w ranczerskim stylu, stojącego po lewej stronie ulicy. Od skrzyżowania dzieliło ich w tej chwili nie więcej niż czterysta metrów, mimo unoszącego się w powietrzu piasku nadal widać było migające nad nim światełko.

W domu, który wybrał, świeciła się lampa - jasny blask padał z zasłoniętego siatkowymi żaluzjami okna dużego pokoju i nieco ciemniejsze, bardziej żółte, z trzech okrągłych okienek umieszczonych skośnie w drzwiach wejściowych. Steve naciągnął sobie chustkę na usta i otworzył drzwi samochodu, trzymając je mocno, bo wiatr próbował wyrwać mu je z ręki.

- Zostań w samochodzie - powiedział.

- Jasne, zostanę, możesz mnie pocałować! - Cynthia otworzyła drzwi od swojej strony i wiatr wyrwał je z jej ręki. Wyślizgnęła się z auta, nim Steve zdołał cokolwiek powiedzieć.

Gorący podmuch pchnął ją do tyłu; potknęła się i musiała złapać drzwi, by utrzymać równowagę. Piach kłuł jej wargi i policzki; krzywiła się, podciągając chusteczkę na usta. Najgorsze ze wszystkiego było to, że burza zapewne dopiero nabierała siły.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem kojotów - wycie wydawało się niepokojąco bliskie - lecz nie zobaczyła żadnego, przynajmniej na razie. Steve już wspinał się po schodkach na ganek, to tyle jeśli chodzi o silne męskie ramię. Poszła za nim, krzywiąc się, gdy szarpnął nią kolejny podmuch wichury.

Zachowujemy się jak bohaterowie kiepskiego horroru - pomyślała ponuro. - Zostaliśmy na miejscu, choć wiedzieliśmy, że lepiej wyjechać, wścibiamy nos w nie swoje sprawy, choć wiemy, że lepiej byłoby nie wścibiać.

No tak, oczywiście - dodała jeszcze - tylko że ludzie tak się przecież zachowują, prawda? Czy nie dlatego, kiedy pan Richie Judkins wrócił do domu w kiepskim humorze, który poprawić mu mogło tylko oberwanie komuś ucha, mała panna Cynthia była na miejscu, gotowa mu ucha nadstawić? Czy nie z tego bierze się całe prawdziwe zło na świecie, że ludzie zostają, chociaż cholernie dobrze wiedzą, że powinni się wynosić, że pchają wózek dalej, choć doskonale wiedzą, że powinni dać sobie spokój i wiać? Czy - w ostatecznym rozrachunku - nie dlatego tylu ludzi lubi tanie horrory? Bo rozpoznają te przerażone dzieci, które za nic nie uciekną z nawiedzonego domu, choć już zaczęła się seria morderstw?

Steve stał na najwyższym stopniu schodków wśród wichru i niesionego nim piasku. Głowę wsunął w ramiona, chustka powiewała mu dookoła głowy i - nie do wiary! - naciskał dzwonek. Naciskał dzwonek, jakby lada chwila miał poprosić panią domu, by dla własnej korzyści poświęciła chwilę rozważeniu, czy sprint nie jest aby lepszy od AT & T. Tego już Cynthia po prostu nie mogła znieść. Przepchnęła się obok niego brutalnie, niemal spychając go na rosnące wokół ganku krzaczki, złapała za klamkę i obróciła ją.

Drzwi otworzyły się bez problemu. Nie widziała dolnej części twarzy swego towarzysza z powodu chustki, ale zdumienie w jego oczach, będące odpowiedzią na jej bezkompromisowość, wydało się jej całkiem satysfakcjonujące.

- Hej! - krzyknęła. - Hej, jest tu kto? Avon pieprzony mam na sprzedaż, ludzie i ludziska!

Żadnej odpowiedzi, ale zza otwartych drzwi, znajdujących się nieco dalej w korytarzu i na prawo, dobiegał jakiś dziwny dźwięk, jakby syk.

Spojrzała na Steve'a.

- Widzisz, nikogo nie ma w domu - uświadomiła mu. - To co, idziemy?

Steve jednak pomaszerował oczywiście w kierunku, z którego dobiegał syk.

- Nie! - syknęła wściekle, łapiąc go za ramię. - Nie, nie, n...i...e, co za dużo, to nie zdrowo!

Wyrwał się jej, nawet na nią nie patrząc - ci mężczyźni, ech ci mężczyźni, jacy cholerni są z nich błędni rycerze - i ruszył przed siebie korytarzem. "Halo!" krzyknął idąc, pewnie po to, żeby każdy, kto chciałby go zabić, wiedział, gdzie celować. Cynthia była właściwie pewna, że zaraz zawróci na pięcie, ucieknie do samochodu, da mu jakieś trzy minutki, a potem odjedzie, nie oglądając się za siebie, i niech ją diabli, jeśli tego nie zrobi... ale tylko poszła za nim.

- Halo? - Steve zatrzymał się przed otwartymi drzwiami do pokoju, więc pewnie pozostało mu jeszcze kilka nie obruszonych klepek. Ostrożnie wystawił pół twarzy i jedno oko zza framugi. - Ha!... - zaczął i umilkł.

Ten dziwny syk był teraz głośniejszy niż poprzednio, dziwny, drżący dźwięk, jakby znajomy czy co...

Zajrzała mu przez ramię. Nie chciała, ale i nie potrafiła się powstrzymać. Steve strasznie zbladł nad chustką i nie był to raczej dobry znak.

Nie, to nie syk, raczej grzechotanie...

Patrzyli w głąb jadalni. Rodzina zebrała się w niej, prawdopodobnie na kolację, choć od razu zorientowała się, że z tej szczególnej kolacji nie będzie już miała większego pożytku. Nad pieczeniem kotłowało się stado much, paroma kawałkami delektowała się też spora liczba robaków. Kukurydza z masłem stężała w misce. Sos w sosjerce zmienił się w tłustą galaretę.

Przy stole siedziały trzy osoby: mama, tata i dziecko w wysokim dzieciennym foteliku. Mama nadal miała na sobie długi fartuch, w którym przyrządzała posiłek. Dziecko, przystrojone w śliniaczek z napisem "Jestem już dużym chłopcem" opadło na bok i do tyłu; przed nim, na tacce, leżało kilka zeschniętych kawałków pomarańczy.

Patrzyło na Cynthię z zamartwioną twarzą, nieruchomym uśmiechem. Buzię miało siną, oczy wylażyły mu z opuchniętych oczodołów niczym martwe lśniące kamyki. Rodzice byli również spuchnięci. Na twarzy mężczyzny dostrzegła kilka par dziurek, niewielkich, niemal jak od igły do zastrzyków; jeden taki zestaw miał w kącie nosa.

Po stole, wśród resztek posiłku, wilo się potrząsając niespokojnie ogonami kilka dużych grzechotników. Fartuch na piersi kobiety wydął się właśnie i dziewczyna przez moment była pewna, że mimo spuchniętej twarzy i nieruchomych, wytrzeszczonych oczu ta kobieta jednak żyje, oddycha, lecz nagle pomiędzy ramiączkami pojawiła się trójkątna, płaska główka patrząca na nią wściekle paciorkowatymi oczkami.

Wąż zasyczał. Rozwidlony język tańczył.

Grzechotników było tu więcej, o wiele więcej. Mnóstwo było ich na podłodze, pełzających po butach martwego mężczyzny. Mnóstwo za plecami siedzących przy stole, w kuchni; jeden z nich, szczególnie wielki, wędrował właśnie po plastikowym blacie szafki, pod kuchenką mikrofalową...

Węże z podłogi zaatakowały ich. Zaatakowały błyskawicznie.

- Uciekaj!

Cynthia krzyknęła na siebie z wściekłością i stwierdziła, że nie jest w stanie się poruszyć, zupełnie jakby ktoś przykleił jej buty do podłogi. Nienawidziła węży bardziej niż czeokolwiek, na ich widok czuła paraliżujące obrzydzenie, instynktowne, niezrozumiałe, niewyjaśnialne, nie dające się ująć w słowa, a ten dom był pełen węży, być może są już za nimi, być może zagroziły im drogę do drzwi...

Steve szarpnął ją mocno, a kiedy zobaczył, że nie zdoła się ruszyć, wziął ją na ręce i pobiegł korytarzem, pobiegł w noc, przeniósł ją przez próg i wyglądało to zupełnie jak puszczony wstecz i przyspieszony film nakręcony nowożeńcom przybywającym do domu po weselu.

5

- Steve, widziałeś...?

Drzwiczki po jej stronie nadal były otwarte. Steve dosłownie wrzucił ją do samochodu, zatrzasnął je, obiegł rydera i wskoczył na miejsce kierowcy. Spojrzał przez szybę na prostokąt światła, padającego przez otwarte drzwi miniaturowego rancza, a potem na nią. Nad chustką oczy miał wielkie, ogromne.

- Jasne, że widziałem. Wszystkie węże z całego pieprzonego wszechświata zwyczajnie nas zaatakowały.

- Sparaliżowało mnie. Węże... tak strasznie boję się węży... Przepraszam.

- Moja wina. To przeze mnie w ogóle się tu znaleźliśmy. - Wrzucił wsteczny bieg i nierównymi zrywami wycofał samochód z podjazdu. Wjechali na drogę, maska półciężarówki wskazywała na wschód, w stronę przewróconych rowerów, zawałonych sztachet i migoczącego na skrzyżowaniu światła. - Zapieprzamy na szosę numer pięćdziesiąt tak szybko, że aż zakręci ci się w głowie - powiedział, patrząc na nią ze strachem i... niepewnością. - One tam były? Prawda? Nie... nie mieliśmy halucynacji? One naprawdę tam były?

- Były. A teraz jedźmy już. Proszę.

Steve ruszył. Prowadził nieco szybciej, lecz nie tak szybko, by było to niebezpieczne. Podziwiała jego samokontrolę, zwłaszcza że sprawiał wrażenie potężnie wytrąconego z równowagi. Na światłach skręcił w lewo, na północ, w kierunku, z którego przyjechali.

- Spróbuj włączyć radio - poprosił, kiedy to potworne miasteczko pozostało wreszcie za nimi. - Znajdź nam jakąś muzykę. Tylko żadnych pościelówek. Tego już bym nie zniósł.

- Dobrze, oczywiście.

Cynthia pochyliła się, zerkając jednocześnie we wsteczne lusterko po swojej stronie. Przez moment miała wrażenie, że widzi w nim błysk światła, światła zataczającego łuk. Mogła to być latarka, mogło to być przypadkowe odbicie światła na skrzyżowaniu w jakiejś szybie, wreszcie mogła to być jej wyobraźnia. Wołała uwierzyć w to ostatnie. W każdym razie nic już nie widziała, wirujący w powietrzu pył zatarł wszystko. Pomyślała, że może powinna wspomnieć Steve'owi o tym zjawisku, ale zdecydowała, że nie, nie powinna. Nie sądziła, by chciał wracać i sprawdzać, miała wrażenie, że w tym momencie jest równie przerażony jak ona, niemądrze jest jednak nie doceniać męskich talentów do odgrywania Johna Wayne'a.

Ale... jeśli tam są ludzie...

W myśli potrząsnęła głową, szybko i zdecydowanie. Nie. Nie da się na to nabrać. Być może gdzieś tam żyją prawnicy, lekarze i indiańscy wodzowie, ale z pewnością żyje tam też coś bardzo, bardzo nieprzyjemnego. Najlepsze, co mogą zrobić dla hipotetycznych rozbitków z Desperation, to jak najszybciej sprowadzić pomoc.

A poza tym - pomyślała - niczego przecież nie widziałam. Jestem prawie pewna, że niczego nie widziałam.

Włączyła radio, przycisnęła SEEK, wysłuchała zakłóceń i wyłączyła odbiornik.

- Wybij to sobie z głowy, Steve. Nawet ta gówniana miejscowa stacyjka...

- Co do kurwy! - wrzasnął Steve cienkim, piskliwym wręcz głosem, kompletnie innym od jego normalnego głosu. - Co do kurwy nędzyyyy!

- Nic nie widzę...

I nagle zobaczyła. Zobaczyła przed maską coś wielkiego, wyłaniającego się zza zasłony piasku. To coś miało wielkie żółte ślepie. Poderwała dłonie do ust, nie wystarczająco szybko, by powstrzymać krzyk. Steve wcisnął hamulec obiema stopami. Cynthia, która nie zapięła pasów bezpieczeństwa, poleciała do przodu, w ostatniej chwili osłaniając głowę ramionami, dzięki czemu nie nabawiła się co najmniej koszmarnego guza.

- Chryste wszechmogący - wykrztusił Steve nieco już normalniejszym głosem. - Jakim cudem coś takiego znalazło się na drodze?

- Co to jest? - spytała, lecz odpowiedź na to pytanie знаła, nim wypowiedziała jego ostatnie słowo.

Nie potwór rodem z "Parku jurajskiego" (a przede wszystkim o tym pomyślała, niech jej Bóg pomoże) i nie jakaś przerośnięta maszyna z kopalni. I to coś nie miało Oczywiście wielkich żółtych ślepiów. To, co wzięła za ślepie, było odbiciem ich własnych reflektorów w szybie. Niemal francuskim oknie, żeby być dokładniejszym.

Na drodze, blokując ją, stała przyczepa.

Cynthia spojrzała w lewo. Sztachety odgradzające osiedle przyczep od drogi leżały przewrócone. Trzy przyczepy - trzy największe - zniknęły; gdzie stały przedtem, zorientowała się po blokach cementu, stanowiących ich fundamenty. Przyczepy te teraz przegradzały drogę, największa jako pierwsza, dwie mniejsze za nią, niczym druga linia obrony na wypadek szarży, która przerwałaby pierwszą. Jednym z tej dwójki był przerdzewiały airstream, na którym stała niegdyś antena satelitarna "Osiedle Przyczep Kempingowych »Grzechotnik«", leżąca

teraz prawie na ogrodzeniu, niczym wielki dekiel. Spadając, zerwała sznur na bieliznę, gdzie suszyło się czyjeś pranie. Teraz koszule i majtki powiewały na wietrze pod tą olbrzymią przykrywą.

- Objedź ją - rozkazała Cynthia.

- Po tej stronie drogi nie dam rady. Spadek jest zbyt duży. Od drugiej strony też jest stromo, ale... może...

- Dasz radę - powiedziała dziewczyna. Głos jej drżał, próbowała zwalczyć to drżenie. - Jesteś mi to winien. Weszłam za tobą do tego domu...

- Dobrze już, dobrze.

Steve sięgnął do dźwigni automatycznej przekładni, prawdopodobnie chcąc ustawić ją na najniższy bieg, lecz jego ręka zamarła w pół ruchu. Przekrzywił głowę. Dźwięk dotarł do niej w sekundę później i Cynthia zamarła pewna, że to

(są tu Chryste są tu dostały się jakoś do samochodu)

węże. Ale ten dźwięk był inny. Szorstki, nieprzyjemny, zupełnie jak wtedy, gdy kawałek papieru wpadnie w wentylator albo...

Coś spadło na nich z góry, wyleciało z kotłującego się powietrza niczym czarny kamień. Coś uderzyło w przednią szybę wystarczająco mocno, by hartowane szkło pękło i by jego srebrne odpryski strzeliły we wszystkie strony. Krew, czarna w świetle reflektorów, rozprysnęła się po szybie niczym plama atramentu. Rozległ się nieprzyjemny trzask - to kamikadze związał się w harmonijkę; przez moment Cynthia widziała gapiące się wprost na nią jedno nieubłagane, choć zaćmione już śmiercią oko ścierwnika. Wrzasnęła i tym razem nawet nie próbowała tłumić krzyku dłońmi.

Kolejny trzask rozległ się nad ich głowami. Spojrzała w górę - dach samochodu był wgięty.

- Steve, zabierz nas stąd!

Włączył wycieraczki. Jedna zepchnęła zdechłego ścierwnika na maskę, tuż przy wlocie powietrza; leżał tam jak jakiś przedziwny rodzaj samochodowego raka karoserii z dziobem. Druga rozsmarowała po szybie maź z krwi i piór, do której natychmiast przylepił się piach. Steve trysnął na szybę płynem ze spryskiwaczy. To oczyściło nieco jej górną część, z dolną sprawa była jednak beznadziejna - wycieraczka blokowała się po prostu na ciele martwego ptaszyska.

- Steve - powtórzyła Cynthia. Słyszała słowo, które wypowiedziała, ale nie czuła go, tak zdrętwiały jej wargi. Zamiast brzucha miała pustkę, ani żołądka tam nie było, ani wątroby, tylko puste miejsce, nad którym też szalała burza. - Pod przyczepą. Wychodzą spod przyczepy. Widzisz?

Wyciągnęła rękę i Steve zobaczył. Na asfalcie w poprzek drogi, na linii wschód-zachód, kładł się miotany wiatrem piach, tworząc garbki wyglądające jak wyciągnięte palce. Później, gdyby nadal miało tak wiać, palce te miały się zmienić w ramiona, na razie jednak były to tylko palce. Spod przyczepy, niczym awangarda naddciągającej armii, wychodziły bataliony skorpionów. Cynthia nie miała pojęcia, ile ich jest, jakim cudem miałyby je policzyć, skoro nawet nie wierzyła świadectwu własnych oczu? Prawdopodobnie mniej niż setka, ale było ich kilkadziesiąt. Kilkadziesiąt!

Obok i pomiędzy skorpionami pełzły węże, wiły się błyskawicznie, prześlizgiwały przez górki piasku ze zręcznością komarów biegnących po powierzchni wody.

Nie dostaną się do samochodu. Uspokój się, przecież nie dostaną się do samochodu.

Nie. Może wcale nie chcą dostać się do samochodu. Może nie mają zamiaru atakować samochodu. Może...

Znów rozległ się szum, tym razem po jej stronie rydera; pochyliła się w stronę Steve'a, rzuciła się w stronę Steve'a, unosząc prawe ramię w instynktownym geście mającym ochronić twarz.

Ścierwnik uderzył w okno od strony pasażera niczym bomba wypełniona krwią w miejsce materiału wybuchowego. Szkło zmatowiało i wygięło się do wewnątrz. Wytrzymało... na razie. Skrzydło ptaszyska kłapało słabo o przednią szybę. Wycieraczka urwała z niego niewielki kawałek.

- Wszystko będzie dobrze! - krzyknął Steve, śmiejąc się niemal i przytulając ją mocno. - Nie dostaną się do środka - powiedział, jakby czytał jej w myślach.

- Owszem, dostaną! Jeśli tu zostaniemy, ptaki załatwią sprawę. Jeśli damy im czas. I węże... i skorpiony...

- Co? O co ci chodzi?

- Czy zdołają przebić gumy? - spytała, oczami wyobraźni widząc kamper z flakami na wszystkich kołach... kamper i mężczyznę z tamtego domu, sinego, z twarzą w parach dziurek tak małych, że wyglądały niemal jak ziarenka czerwonego pieprzu. - Zdołają, prawda? Jest ich tyle... wszystkie razem... dadzą radę, prawda?

- Nie - odparł Steve i roześmiał się dziwnym, gdaczącym śmiechem. - Gówniane małe skorpiony pustynne, długie na najwyżej dziesięć centymetrów, z żądlami niewiele większymi od kolców... Chyba żartujesz?

W tym momencie wiatr uspokoił się na chwilę i spod rydera - były już pod samochodem! - oboje usłyszeli szuranie i wtedy Cynthia zobaczyła w twarzy Steve'a coś, czego wolałaby nie widzieć: nie wierzył w to, co mówił. Bardzo chciał uwierzyć, ale nie wierzył w to, co mówił.

Rozdział 4

1

Motorola przeleciała przez areszt - leżała teraz pod szafką na akta z nalepionym na nią znaczkiem "Pat Buchanan na prezydenta!" Nie sprawiała wrażenia pękniętej, ale...

Johnny wyciągnął antenę i otworzył telefon. Rozległ się pisk, na wyświetlaczu pojawiła się literka S. Dobrze, doskonale, tyle że wskaźnik poziomu sygnału ani drgnął, nie pojawił się nawet jeden pasek. Niedobrze. W istocie bardzo kiepsko. Naciskał NAME/MENU, póki na wyświetlaczu nie pojawiło się STEVE, a potem nacisnął SEND.

- Johnny... - Mary stała w drzwiach. - Musimy się ruszyć. Ten glina...

- Wiem, wiem. Sekundkę.

Nic. Ani śladu mechanicznego głosu, ani śladu sygnału, nikt nie podnosi słuchawki, tylko niski cichy szum, jaki słychać czasami w muszli.

- Spieprzony - orzekł pisarz, zamykając telefon. - Ale to był Steve, jestem tego najzupełniej pewien. Gdybyśmy wyszli stąd trzydzieści sekund wcześniej... trzydzieści pieprzonych małych sekundek...

- Johnny, proszę.

- Idę - powiedział i poszedł za nią po schodach, w dół.

Mary miała w ręce rossiego, a kiedy znaleźli się na dole, Johnny dostrzegł, że David Carver odzyskał rewolwer i trzymał go przy nodze. Ralph dostał karabin; lufę oparł o zgięty łokieć, jakby miał się za jakiegoś cholernego Dana Boone'a.

Och, Johnny - odezwał się w jego głowie kpiący głos, głos nieśmiertelnej suki Terry, a przecież, jak dobrze pomyśleć, to ona go w to wpędziła. - *Nie mów mi, że zazdrościsz panu Ohio. Ty?*

A może? Może odrobinę mu zazdrościł? Pan Ohio miał przecież nabitą strzelbę w odróżnieniu od mossberga, który Johnny właśnie podnosił z podłogi.

- To ruger kaliber czterdzieści cztery - tłumaczył Ralphowi siwy. - Czterostrzałowy. Komorę zostawiłem pustą. Pamiętaj o tym, jeśli dojdzie do sytuacji, w której będziesz musiał strzelać.

- Oczywiście - przytaknął Ralph.

- Odrzut ma potężny. O tym także pamiętaj.

Billingsley podniósł ostatni pozostały im karabin. Przez moment Johnny miał nadzieję, że stary zechce się zamienić, ale nie zechciał.

- W porządku - powiedział tylko. - Moim zdaniem jesteśmy gotowi. Nie strzelajcie do niczego, co was nie atakuje. Spudłujecie, zmarnujecie amunicję i prawdopodobnie ściągnięcie nam na głowę więcej tych stworów. Rozumiesz, Carver?

- Oczywiście.

- Synu?

- Tak.

- A pani?

- Rozumiem - powiedziała Mary. Najwyraźniej już pogodziła się z faktem, że będzie nazywana panią, przynajmniej dokąd nie znajdą się w bardziej cywilizowanej okolicy.

- Nie zamachnę się na nic, póki nie podejdziesz blisko - Johnny zamierzał zażartować, po prostu poprawić nastrój, Billingsley jednak nie podzielał jego poczucia humoru i tylko spojrział na niego z chłodną pogardą.

Johnny był zdania, że nie zasłużył sobie na to spojrzenie.

- Może ja się panu nie podobam, panie Billingsley? - spytał.

- Na oko rzeczywiście mi się pan nie podobasz - odparł natychmiast weterynarz. - W tej części kraju nie nauczyliśmy się do tej pory szanować starszych panów, którzy noszą takie długie włosy. Jeśli chodzi o inne sprawy, to nic jeszcze nie mogę powiedzieć.

- O ile wiem, w tej części kraju do ludzi najpierw się strzela, a potem wieszka się ich na hakach jak upolowane jelenie, więc mam nadzieję, że szanowny pan mi wybaczy, jeśli nie wezmę sobie do serca jego opinii.

- Słuchaj, cwaniaczku...

- A jeśli język ci porósł włosami, bo nie wypięłeś dziś swej dziennej butelczyny whisky, to przynajmniej odczep się od moich włosów.

Oczy siwego starszego mężczyzny błysnęły, co zawstydziło Johnny'ego, lecz jednocześnie sprawiło mu gorzką satysfakcję. Na Boga, swój rozpozna swego. Wśród anonimowych alkoholików wielu było kretyńców chwalebnych się swą wszechwiedzą, ale co do tego wszyscy byli zgodni i mieli rację. Swój rozpozna swego. Rozpozna swego, nawet jeśli nie wyczuje whisky w jego oddechu, jeśli jej zapach nie wydostaje się z każdego pora czyjegoś ciała. Niemal się ich słyszało w głowie, jak *ping, ping, ping* sonaru.

- Przestań - warknęła Mary. - Jeśli musisz zachowywać się jak idiota, rób to w swoim czasie prywatnym.

Johnny zerknął na nią, urażony tonem jej głosu. Bardzo pragnął powiedzieć coś dziecinnego, na przykład: "Przecież to nie ja zacząłem".

- Dokąd idziemy? - spytał David. Zaświecił latarką przez ulicę na kawiarnię i wypożyczalnię wideo w Desperation. - Tam? Kojoty i ścierwaki, które widziałem wcześniej, zniknęły.

- To chyba za blisko - orzekł Ralph. - A co, gdybyśmy w ogóle się stąd wynieśli? Znaleźliście jakieś kluczyki do samochodu?

Johnny poszperał w kieszeniach i wreszcie wyciągnął z którejś kluczyki, które David zabrał zabitemu policjantowi.

- Jest tylko jeden komplet. Mam wrażenie, że to od radiowozu, którym jeździł Enreagian.

- Jeździ Entragian - poprawił go chłopiec. - Nie ma go na parkingu. Zabrał nim mamę.

Twarz nawet mu nie drgnęła. Ojciec dotknął lekko jego karku.

- Może lepiej na jakiś czas zrezygnujemy z samochodu - zaproponował. - Za dobrze go widać, jeśli jest jedyny na drodze.

- Każde miejsce będzie dobre na początek - orzekła Mary.

- Jasne, każde, ale im dalej od kwatery głównej tego gliny, tym lepiej - wtrącił Johnny. - Taka w każdym razie jest opinia idioty.

Mary spojrzała na niego gniewnie. Wytrzymał jej wzrok i to ona pierwsza rumieniąc się opuściła oczy.

- Dobrze zrobimy, kryjąc się gdzieś, przynajmniej na jakiś czas - stwierdził Ralph.

- Gdzie? - spytała Mary.

- Może pan coś proponuje, panie Billingsley? - poprosił David.

- "American West" - odparł po chwili namysłu siwy weterynarz. - Moim zdaniem wystarczy na początek.
- A co to takiego? - zainteresował się Johnny. - Bar?

- Kino - odparła Mary. - Widziałam je, kiedy jechaliśmy przez miasto. Wyglądało na zamknięte.
Billingsley skinął głową.

- Jest zamknięte. Zburzono by je pewnie dziesięć lat temu, gdyby było co postawić na jego miejsce. Jest zamknięte, ale wiem, jak wejść do środka. Idziemy. I pamiętajcie, co powiedziałem o zwierzakach. Nie strzelajcie, dokąd nie będziecie musieli.

- Powinniśmy także trzymać się razem - wtrącił Ralph. - Niech pan prowadzi, panie Billingsley.

Ruszyli Główną na północ, zgarbieni opierali się falom zachodniego wiatru i Johnny znów szedł ostatni. Nad głowami reszty towarzystwa przyglądał się Billingsleyowi, który przypadkiem wiedział akurat, jak wejść do nieczynnego, zamkniętego kina, Billingsleyowi, który - kiedy go przycisnąć - wiedział wiele o wielu różnych sprawach.

Jesteś zaawansowanym alkoholikiem, prawda, mój przyjacielu? - pomyślał. - Świadczą o tym wszystkie znaki na niebie i ziemi.

Jeśli tak, to facet zachowywał się całkiem niezłe jak na alkoholika, który od dłuższego czasu nie strzelił sobie kielicha.

Potrzebował czegoś na obolały nos. Pomyślał, że podlanie starego Tommy'ego byłoby niezłą inwestycją na najbliższą przyszłość. Przechodzili właśnie pod mocno zużytą markizą "Owl's Club" w Desperation.

- Poczekajcie - powiedział. - Chcę wpaść tam na sekundkę.

- Oszalałeś!? - oburzyła się Mary. - Musimy jak najszybciej zejść z ulicy.

- Czyżbyś nie zauważyła, że ulica jest pusta? - odparł ostrym tonem i natychmiast spróbował się uspokoić. - Słuchaj, potrzebuję aspiryny. Przez ten nos odechciewa mi się żyć. Daj mi trzydzieści sekund. Najwyżej minutę.

Szarpnął drzwi, nim zdążyła odpowiedzieć. Były zamknięte. Uderzył w szybę kolbą karabinu, spodziewając się usłyszeć dzwonki alarmu, ale usłyszał tylko trzask rozbijających się na chodniku okruchów szkła i nieubłagane wycie wiatru. Wybił kilka ostrych, sterczących z ramy odłamków, wsadził rękę do środka i zaczął macać w poszukiwaniu zamka.

- Patrzenie - szepnął Ralph, wskazując coś palcem. Cztery kojoty stały w rzędzie naprzeciw niskiego ceglanego budynku, w którego jednym oknie napisane było MIEJSKIE, a w drugim WODOCIĄGI. Stały nieruchomo, ślepia wlepione jednak miały w grupkę ludzi po drugiej stronie ulicy. Z południa truchtem nadbiegł piąty i dołączył do nich. Mary wycelowała w nie z karabinu, David Carver położył jednak dłoń na lufie i skierował ją w dół. Twarz miał nieruchomą, obojętną.

- Nie przeszkodzą nam - wyjaśnił. - Tylko się przyglądają.

Johnny tymczasem namacał zamek, przekręcił go i pchnął drzwi. Włączniki światel znalazł po lewej. Pod sufitem zapłonęły staroświeckie lampy fluorescencyjne, z tych, które wyglądają jak odwrócone tacki na lód. Oświetliły niewielką (i pustą) salę restauracyjną, grupę automatów do gry (ciemnych) i dwa stoły do blackjacka. Z jednej ze staroświeckich lamp wisiła papuga. Johnny pomyślał najpierw, że jest wypchana, ale kiedy podszedł troszkę bliżej, zobaczył jej wybałuszone ślepia, a na podłodze krew i wymieszane z nią ptasie łajno. Papuga była prawdziwa. Została nawleczona na drut.

Entragianowi nie spodobało się chyba, jak mówił: "Polly chce krakersa" - pomyślał.

W pomieszczeniu śmierdziało starymi hamburgerami i zwietrzałym piwem. Po przeciwnej stronie sali znajdował się niewielki sklep. Johnny wybrał sobie wielką fiolkę aspiryny, po czym skierował się za bar.

- Pospiesz się! - krzyknęła Mary. - Nie mógłbyś się przypadkiem pospieszyć?

- Już idę!

Spojrzał na mężczyznę w ciemnych spodniach i niegdyś białej koszuli, leżącego na brudnym linoleum. Mężczyzna odpowiedział mu spojrzeniem oczu tak martwych jak oczy papugi. Sądząc po ubraniu, był to najprawdopodobniej barman. Poderżnięto mu gardło.

Ściągnął z półki jima beama, sprawdził poziom płynu w butelce i wyszedł na ulicę. Jakaś myśl - niezbyt przyjemna myśl - uparcie błędziła mu po głowie. Dał jej potężnego kopniaka w głąb podświadomości. Pragnął po prostu podlać starego końskiego doktora, rozluźnić go, nic więcej. W gruncie rzeczy dałoby się nawet uznać to za akt chrześcijańskiego miłosierdzia.

Jesteś więcej niż wspaniałomyślny - odezwał mu się w głowie głos Terry. - *Jesteś świętym, prawda? Święty John od Podlewania.* - I Terry roześmiała się cynicznie.

Zamknij się, suko - pomyślał Johnny... lecz, jak zwykle, Terry nie miała wielkiej ochoty się zamknąć.

2

Trzymaj się, Steven - powiedział sobie Steve. - Wydostaniesz się stąd tylko, jeśli będziesz się trzymał. Jeśli spanikujesz, oboje macie spore szanse na śmierć w tym cholernym wynajętym samochodzie.

Wrzucił wsteczny bieg i ruszył, prowadząc przy użyciu bocznego lusterka. Nie miał odwagi otworzyć drzwi i wychylić się, zbyt łatwo byłoby któremuś z nurkujących ścierwników spaść na niego i skrócić mu kark. Wiatr znów przybrał na sile, lecz mimo wiatru słyszał trzask gniecionych kołami rydera skorpionów, przypominający trzask rozgryzanych płatków śniadaniowych.

Tylko nie zjedź z drogi, na litość boską, tylko nie zjedź z drogi!

- Zostają - poinformowała Cynthia.

W jej głosie brzmiała niewątpliwa ulga.

Steve zerknął przed siebie, upewnił się, że dziewczyna ma rację, i stanął. Ujechali jakieś piętnaście metrów, znaleźli się wystarczająco daleko, by pierwsza z zagrządzających drogę przyczep znów była tylko niewyraźnym kształtem ukrytym w chmurze wirującego piasku. Na drodze dostrzegł na tle jasnoszarego piasku brązowe plamy. Rozgniecione skorpiony. Przypominały krowie placki. A tymczasem żywe wycofywały się. Jeszcze chwila i aż trudno będzie mu uwierzyć, że w ogóle je widział.

Widziałeś, widziałeś - pomyślał. - Jeśli zaczniesz powątpiewać w to, że je widziałeś, stary przyjacielu, wystarczy, że spojrzysz na ptaszka, który blokuje wlot powietrza na masce.

- Co teraz robimy? - spytała Cynthia.

- Nie wiem - odparł szczerze, wyjrzał za okno i zobaczył "Kawiarnię pod Pustynną Różą". Wiatr zerwał połowę jej różowej markizy. Spojrzał w okno od strony pasażera. Po tamtej stronie znajdował się pusty plac, na który wjazd zagradszały trzy przybite do słupków deski. WSTĘP WZBRONIONY napisane było na środkowej nierównymi, białymi drukowanymi literami, najwyraźniej przez kogoś nie wierzącego w tradycyjną gościnność mieszkańców Zachodu.

- Coś chce nas tu i zatrzymać - stwierdziła Cynthia. - Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Steve cofnął rydera na pusty parking przed kawiarnią. Próbował wymyślić jakiś plan, zamiast planu jednak przez głowę przelatywały mu nie połączone w żadną logiczną całość obrazy i słowa. Lalka leżąca buzią w piachu u stóp schodków przy wejściu do kampera. The Tractors śpiewający, że na imię miała Policja, a jej telefon to dziewięćset jedenaście. Johnny Cash opowiadający o tym, jak to wynosił po jednej części samochodowe. Ciało na hakach, złota rybka pływająca między palcami odciętej i wrzuconej do akwarium dłoni, śliniaczek chłopczyka w domu w stylu ranczerskim i grzechotnik przemykający się pod mikrofalówką.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest na krawędzi paniki, że lada chwila może zrobić coś naprawdę głupiego, i zaczął szukać czegoś, czegokolwiek, co mogłoby pomóc mu się opanować, znów zaczął myśleć logicznie. I znalazł, choć nigdy nie domyśliłby się, że będzie to właśnie to: wyraźniejszy niż wszystkie poprzednie obraz kamiennej figurki, którą widział pomiędzy komputerami na stole w baraku kopalni. Figurki przedstawiającej kojota z dziwnym, przekrzywionym łbem, wybaluszonymi ślepiami i węzem w miejsce jęzora.

Cynthia powiedziała, że jego zdjęcie można byłoby umieścić w słowniku przy haśle "obrzydlstwo", i oczywiście miała rację, jasne, bez wątpienia, lecz Steve poczuł nagle niezłomną pewność, że coś tak wstrętnego musi być jednocześnie bardzo potężne.

Też mi odkrycie - pomyślał z roztargnieniem. - Radio włączało się i wyłączało, kiedy go dotykałeś, światła migąły, akwarium wybuchło jak jakaś pieprzona bomba. Oczywiście, że musi być potężne.

- Co to właściwie było... ten posążek, który znaleźliśmy? - spytał. - Co to właściwie było?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że kiedy go dotknęłam...

- Co? Kiedy go dotknęłaś, to co?

- Było tak, jakbym przypomniała sobie wszystkie świństwa, które ktoś mi kiedyś zrobił od urodzenia. Przypomniałam sobie, jak w ósmej klasie Sylvia Marcucci napluła na mnie na boisku... powiedziała, że ukradłam jej chłopaka, a ja nie wiedziałam nawet, o czym mówi. Jak tata upił się na drugim ślubie cioci Wendy, pomacał mnie po pupie, kiedy tańczyliśmy, a potem udawał, że to nieporozumienie. Jakby erekcji dostał też przez nieporozumienie. - Cynthia uniosła dłoń do skroni. - Jak na mnie krzyczeli. Jak mnie rzucałi. Jak Richie Judkins omal nie oberwał mi ucha. Przypomniałam sobie to wszystko.

- Dobra, ale o czym tak naprawdę myślałaś?

Patrząc na nią, przez chwilę miał wrażenie, że powie mu, żeby się odpieprzył i nie udawał takiego cwaniaka, ale wrażenie to szybko minęło.

- O seksie - przyznała, wydając z siebie drżące westchnienie. - Nie tylko o tym, żeby się po prostu kochać, ale o wszystkim. Im bardziej wymyślnym, tym lepiej.

Owszem - zgodził się w duchu - im bardziej wymyślnym, tym lepiej. Myślała o rzeczach, których chciałoby się spróbować, lecz o których z pewnością nie rozmawiałoby się z przyjacielem. O eksperymentach.

- O czym teraz myślisz? - spytała go nagle głosem dziwnie ostrym, a jednocześnie dziwnie ciężkim, jak zapach.

Steve zerknął na dziewczynę i nagle złapał się na tym, że zadaje sobie pytanie, czy ona ma ciasną piczkę. Szalona myśl w chwili takiej jak ta, ale przecież pomyślał właśnie o jej piczce.

- Steve! - Głos Cynthii był jeszcze ostrzejszy. - Powiedz mi, o czym myślisz.

- O niczym - odparł niewyraźnie, jak człowiek z trudem budzący się z głębokiego snu. - Nie, o niczym.

- O czymś, co zaczyna się na p, a kończy na e?

Właściwie piczka w mianowniku kończy się na a, ale trafiłaś, dziecko, trafiłaś w dziesiątkę.

Co się z nim dzieje! Na litość boską! Zupełnie jakby ten kawałek skały włączył inne radio, radio w jego głowie, nadające głos niemal identyczny z jego głosem.

- Co ci chodzi po głowie?

- Kojot! Kojot! - zaśpiewała głosem dziecka. Nie, o nic go nie oskarżała, choć oczywiście przez chwilę mógł się spodziewać, że go oskarża, to całkiem naturalne, nie, po prostu była niemal nieprzytomnie podniecona. - To coś, co widzieliśmy tam, w laboratorium! Gdybyśmy mieli kojota, z łatwością byśmy się stąd wydostali. Wiem, że z łatwością byśmy się stąd wydostali, Steve. Nie marnuj czasu, naszego czasu, na tłumaczenie mi, że oszalałam.

Biorąc po uwagę to, co widzieli, i to, co się im przydarzyło w ciągu ostatnich mniej więcej dziewięćdziesięciu minut, rzeczywiście traciłby czas. Jeśli już, to oszaleli oboje. Ale...

- Powiedziałaś, żebym go nie ruszał. - Mówienie w dalszym ciągu przychodziło mu z trudem, jakby ktoś zamiast mózgu napakował mu do głowy błota. - Mówiłaś, że to...

Że to co? Co ona powiedziała?

Że to miłe. Oczywiście. Powiedziała: "Dotknij go, Steve, to takie miłe".

Nie. Nie!

- Powiedziałaś, że to obrzydliwe.

Uśmiechnęła się do niego. W padającym od deski rozdzielczej zielonym świetle jej uśmiech sprawiał wrażenie okrutnego.

- A to? Czy to też wydaje ci się obrzydliwe?

Chwyliła go za rękę, położyła ją sobie między nogami i dwa razy, szybko, poruszyła biodrami w górę i w dół. Steve zacisnął dłoń, mocno, być może wystarczająco mocno, żeby zadać ból, ale mimo to nadal się uśmiechała. Szerzej.

Co my wyprawiamy? I, na litość boską, dlaczego właśnie teraz?

Usłyszał ten głos, ale właściwie go nie słyszał... był zupełnie jak głos kogoś wołającego "Pali się!" w pełnej rozgadanych ludzi i ostrej muzyki dyskoteci. To, co miała między nogami, było znacznie bliższe i znacznie ważniejsze. Miał to pod ręką, czuł przez dzinsy i paliło go, paliło...

Powiedziała, że nazywa się Policja, chciała zobaczyć mą broń - pomyślał. - Zobaczysz kochanie, zaraz zobaczysz, trzydziestkaósemka z lufą czterdziestkiąpiątki, strzela często i mocno, i nigdy nie chybia.

Steve dokonał heroicznego wręcz wysiłku, próbując zapanować nad sobą, próbując znaleźć coś, co przerwie reakcję łańcuchową, nim stopi się rdzeń reaktora. Znalazł. Obraz - wyraz jej twarzy, ciekawość i niepewność, kiedy patrzyła na niego przez otwarte drzwi od strony pasażera, nie wsiadając do samochodu od razu, patrzyła na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami, jakby próbowała ocenić, czy ten facet nie gryzie albo nie spróbuje czegoś jej urwać. Ucha, na przykład, "Czy jesteś miły?" - spytała go wtedy, a on odparł: "Tak, chyba tak". A potem - jaki okazał się miły! - przywiózł ją do tej trupiarni, wsadził jej rękę między nogi i myśli teraz, jak ją pieprzyć tak, żeby zabolalo, taki eksperyment, powiedzmy, eksperyment mający za cel rozkosz i ból, słodki i jednocześnie pieprzny. Bo tak to się robi w miejscu wilka, w domu skorpiona, bo w Desperation to właśnie uchodzi za miłość.

Miły z ciebie facet? Nie jesteś seryjnym zabójcą ani niczym takim? Czy miły, czy miły, czy miły z ciebie facet?

Cofnął rękę. Drżał. Odwrócił się i wyjrzał przez okno, na ryczącą czerń, gdzie piasek tańczył jak śnieg. Czuł pot na piersi, ramionach, pod pachami i choć było mu już trochę lepiej, nadal czuł się jak chory pomiędzy atakami delirium. Teraz, skoro raz już pomyślał o kamiennym posązku, najwyraźniej nie potrafił przestać, nie potrafił wygnać z wyobraźni tego dziwnego skręconego lba, tych wylupiastych ślepi. Kojot panował nad wszystkimi jego myślami niczym nie zaspokojony nałóg.

- Co się dzieje? - jęknęła siedząca obok niego dziewczyna. - O Jezu, Steve, przecież ja wcale nie chciałam tego zrobić, co się z nami dzieje?

- Nie wiem - odparł ochryplym głosem - ale jedno wiem i mogę ci powiedzieć: właśnie posmakowaliśmy odrobiny tego, co zdarzyło się Desperation, i wcale mi się to nie podoba. Nie potrafię wygnać z głowy tego cholernego kamienia!

Zebrał całą pozostałą mu jeszcze odwagę i spojrzął na dziewczynę. Odsunęła się od niego jak najdalej mogła; siedziała wtulona w drzwi w pozie przerażonej nastolatki, która pozwoliła sobie na za wiele na pierwszej randce, i chociaż sprawiała wrażenie spokojnej, policzki miała rozpalone do czerwoności. Grzbietem dłoni ocierała z nich łzy.

- Ja też - przyznała. - Pamiętam, jak kiedyś okruch szkła wbił mi się w oko. Teraz czuję dokładnie to samo. Myślę o tym, że mam tę figurkę i że pocieram nią... no wiesz. Tylko że to nie jest jak myślenie. To zupełnie nie jest jak myślenie.

- Wiem.

Był wściekły za nią na te jej słowa, bo teraz i on widział właśnie to. Widział samego siebie, pocierającego to obrzydlistwo - ale potężne obrzydlistwo - o swój sztywny członek. A potem zobaczył jeszcze, jak pieprzą się z Cynthią na podłodze, pod rzędami haków i pod wiszącymi na tych hakach ciałami, a w zębach oboje trzymają kruchy kawałek skały...

Odsunął od siebie te obrazy - choć jak długo będzie jeszcze w stanie je od siebie odsuwać, nie wiedział - spojrzął na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Nie mów mi "mała", a ja nie powiem ci "mały".

Cynthią westchnęła ciężko i długo - był to prawie śmiech.

- Tak. W każdym razie coś takiego. Chyba czuję się już trochę lepiej.

Skinął głową, powoli. No tak, w spodniach nadal siedział mu twardziel pierwszej klasy i z ulgą przyjąłby cokolwiek, coby go przed nim uratowało, ale myśli miał już chyba swoje własne. Jeśli nie pomyśli o tym kawałku kamienia jeszcze przez chwilę, być może wszystko będzie dobrze. Te kilka sekund było jednak fatalne, być może czegoś aż tak złego nie przeżył jeszcze nigdy w życiu. Teraz już wiedział, co muszą czuć ludzie pokroju Teda Bundy'ego. Mógł ją zabić. Być może nawet zabiłby ją, gdyby nie przerwał fizycznego kontaktu z nią wtedy, gdy go przerwał. Albo - pewnie to też możliwe - ona zabiłaby jego. Jakby seks i zbrodnia jakoś zamieniły się miejscami w tym koszmarnym miasteczku. Tylko że tak naprawdę nie chodziło o seks, nie całkiem. Pamiętał przecież, że kiedy Cynthią dotknęła posążka, światła mrugnęły, a radio znów zaczęło grać.

- Nie seks - powiedział. - I nie zbrodnia. Moc.

- Co?

- Nic. Mam zamiar pojechać z powrotem do śródmieścia. I dalej, do kopalni.

- To ten wielki kopiec na południu?

Skinął głową.

- To kopalnia odkrywkowa - wyjaśnił. - Musi tam być co najmniej jedna droga dla sprzętu dochodząca do szosy numer pięćdziesiąt. Znajdziemy ją. Tak naprawdę to nawet cieszę się, że ta jest zablokowana. Nie chciałbym znaleźć się w pobliżu tego baraku albo...

Dziewczyna chwyciła go za ramię. Steve powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegł stworzenie, które wkroczyło, stukając dźwięcznie, w krąg reflektorów jego samochodu. Unoszący się w powietrzu pył był tak gęsty, że zwierzę najpierw wyglądało niemal jak upiór, jak coś, co indiański szaman mógłby wyczarować z dalekiej przeszłości. Był to jednak wilk, długości i wysokości co najmniej owczarka alzackiego, choć chudszy. W światłach reflektorów oczy miał czerwone. Za nim, niczym dworacy w jakiejś upiornej baśni, szły w dwóch rzędach pustynne skorpiony z żądlami uniesionymi nad grzbiety. Skorpionom towarzyszyły dwa kojoty, po jednym przy każdej kolumnie. Wyraźnie uśmiechały się nerwowo.

Wiatr uderzył ze zdwojoną siłą. Ryder aż zachwiał się na resorach. Oberwany kawałek markizy, leżący po lewej stronie samochodu, załopotał jak zerwany żagiel.

- Ten wilk coś niesie - zauważyła dziewczyna ochrypłym głosem.

- Odbiło ci - odparł, ale kiedy wilk podszedł bliżej, Steve zobaczył, że wcale jej nie odbiło.

Wilk zatrzymał się jakieś pięć metrów przed samochodem, tak okropny i rzeczywisty jak wysokoczułe zdjęcie z miejsca zbrodni. Opuścił łeb i wypluł z pyska to, co w nim trzymał. Przez kilka chwil z napięciem się temu czemuś przyglądał, po czym zrobił dwa kroki do tyłu. Usiadł, wywalił jęzor i zaczął dyszeć.

Była to statuetka; leżała na boku przy wjeździe na parking kawiarni, leżała tam smagana niesionym przez wiatr piaskiem; statuetka z wyszczerzonymi zębami, odwróconą głową, wybałuszonymi ślepiami. Wściekłość, furia, seks, moc - działała w kierunku samochodu falami jak pole magnetyczne.

Obraz, w którym Steve pieprzył Cynthię, powrócił; Steve widział, jak cały jest w niej pogrążony, jak leżą twarzą w twarz, z wargami ściągniętymi w identycznych grymasach, z wyszczerzonymi zębami, w których trzymali figurkę niczym kawałek sznurka.

- Mam ją przynieść? - spytała dziewczyna.

Teraz to jej głos brzmiał, jakby mówiła przez sen.

- Chyba żartujesz - odparł.

Głos był jego i jego był teksaski akcent, ale nie słowa, już nie. Słowa nadawało radio w jego głowie, radio, które włączył posązek.

Leżał w piasku i gapił się na nich wściekłym wzrokiem wybałuszonych ślepi.

- Więc co?

Spojrzał na nią z uśmiechem, dość upiornym... lecz także cudownym.

- Pójdziemy po nią razem, oczywiście. Zgadzasz się?

To jego umysł był teraz burzą. Wypełniał go ryk wichru, wiatr wiał poziomo, wiał z góry na dół i z dołu do góry, na wietrze leciały obrazy tego, co z nią zrobi, i tego, co zrobi mu ona, i co zrobią każdemu, kto ośmieli się wejść im w drogę.

Cynthia odpowiedziała uśmiechem. Jej chude policzki napięły się, aż jej uśmiechnięta twarz wyglądała jak trupia czaszka. Zielonobiałe światło padające z deski rozdzielczej oświetlało jej czoło i usta, błyszczało w oczach. Przez skrzywione wargi wysunęła język, szybko poruszała jego czubkiem. Steve odpowiedział jej tym samym. Złapał za klamkę. Będzie pierwszy przy figurce, będą się kochać wśród skorpionów, trzymając ją w zębach i cokolwiek zdarzy się później, nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

Później bowiem już ich nie będzie.

3

Johnny dołączył do towarzystwa i wręczył Tomowi Billingsleyowi butelkę jima beama. Tom spojrzął na nią nieprzytomnym spojrzeniem człowieka, któremu powiedziano właśnie, że wygrał fortunę na loterii.

- Masz, stary - odezwał się Johnny. - Wypij sobie. Łyczek, jeden, nie więcej. I podaj dalej. Ja nie piję. Przysięgałem.

Spojrzął na drugą stronę ulicy, spodziewając się zobaczyć kolejne kojoty, ale nadal było ich tylko pięć.

Wezmę piątego - pomyślał Johnny, obserwując weterynarza odkorkowującego butelkę whisky. - Pogodziłbyś się z tym, prawda, Tom, stary przyjacielu? Oczywiście, że byś się z tym pogodził.

- Co ci jest? - spytała go Mary. - Powiedz mi tylko, co ci A do diabła jest.

- Nic - odparł Johnny. - No nie, mam złamany nos, ale zdaje się, że nie całkiem o to ci chodzi?

Billingsley przechylił tymczasem butelkę krótkim, szybkim ruchem nadgarstka wyglądającym na tak fachowy i tak machinalny jak gest robiącej zastrzyk pielęgniarki. Zakaszła. Do oczu napłynęły mu łzy. Próbował po raz drugi przyłożyć butelkę do ust, ale Johnny mu ją zabrał.

- Nie, to chyba nie najlepszy pomysł, staruszk. Podał butelkę Carverowi; Carver przyjął ją, obejrzał sobie i napił się szybko. Podał whisky Mary.

- Nie.

- Napij się - poprosił ją Ralph cichym, niemal pokornym głosem. - Tak chyba będzie lepiej.

Mary spojrzała na Johnny'ego ze zdziwieniem - i z nienawiścią - po czym też się napiła. Rozkaszła się, spojrzała na butelkę tak, jakby zawierała truciznę. Ralph przyjął ją od niej, zabrał Billingsleyowi nakrętkę i zakręcił butelkę. Dało to Johnny'emu czas na wysypanie na dłoń kilku pastylek aspiryny. Obejrzał je i wrzucił do ust.

- Idziemy, doktorku - powiedział do Billingsleya. - Niech pan prowadzi.

Poszli uliczką. Johnny opowiadał im, dlaczego omal nie skręcił karku, pędząc po telefon. Kojoty siedzące po przeciwnej stronie ulicy wstały i ruszyły za nimi. Nie podobało mu się to, ale jak niby mieli im przeszkodzić? Strzałami? Tylko narobiliby hałasu. No, przynajmniej po gliniarzu nie było ani śladu. A jeśli nawet pojawi się, zanim dojdą do kina, zawsze przecież zdążą gdzieś wskoczyć. Podczas sztormu dobry jest każdy port.

Przełknął tabletki, krzywiąc się - na pół rozpuszczone aspiryny niemal poparzyły mu gardło. Chciał schować fiolkę do kieszeni, ale oparła się na telefonie. Wyjął go, schował lekarstwo, już miał wsunąć motorolę do kieszeni spodni, kiedy pomyślał, że przecież nie zaszkodzi spróbować raz jeszcze. Wyciągnął antenę i otworzył telefon. Nic. Ani śladu paska. Zero.

- Naprawdę myśli pan, że to był pański przyjaciel? - spytał go David.

- Jestem prawie pewny, że tak.

David wyciągnął rękę.

- Mógłbym spróbować?

W głosie chłopca coś było i jego ojciec też to usłyszał. Johnny nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości; widział, jak Ralph Carver patrzy na syna.

- David? Synku? Czy coś się...

- Czy mógłbym spróbować? Proszę.

- Jasne. Jeśli chcesz.

Wyciągnął rękę i kiedy David odbierał od niego bezużyteczną motorolę, dostrzegł, jak na wyświetlaczu obok S pojawiają się paski sygnału transmisji. Nie jeden, nie dwa, lecz trzy!

- Niech to diabli! - westchnął i wyrwał chłopcu telefon.

David, przed chwilą jeszcze uważnie studiujący przyciski, zbyt późno dostrzegł jego gest i nie zdążył cofnąć ręki.

W momencie, gdy telefon znalazł się z powrotem w dłoni Johnny'ego, sygnał transmisji zniknął i pozostało już tylko S.

Wcale ich tam nie było, przecież wiesz, no wiesz, prawda? Tylko ci się wydawało. Tylko...

- Oddaj go! - wrzasnął David.

Johnnym wstrząsnął brzmący w jego głosie gniew. Chłopiec zabrał mu telefon, nie wystarczająco szybko jednak, by Johnny nie dostrzegł, jak paski pojawiają się znowu, świecąc w mroku na złoto.

- Takie to strasznie głupie. - Mary obejrzała się przez ramię, a potem spojrzała na kojoty. Zatrzymały się, kiedy przystanęli ludzie. - Tylko że jeśli chciałeś rozegrać to w ten sposób, dlaczego nie wyciągnęliśmy stołu z knajpy i nie upiliśmy się wszyscy na środku ulicy?

Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej nawet uwagi. Billingsley przyglądał się butelce jima beama, Johnny i Ralph zaś chłopakowi, który strzelał palcem w przycisk NAME/MENU z wprawą doświadczonego gracza komputerowego. Minął agenta, minął eks-małżonkę, minął redaktora i zatrzymał się przy imieniu STEVE.

- Co tu się dzieje, synku? - spytał Ralph.

David zignorował ojca.

- Czy to on, panie Marinville? - spytał. - Czy ten facet w samochodzie ma na imię Steve?

- Tak.

David nacisnął przycisk SEND.

4

Steve słyszał opowieści o różnych sygnałach ratujących różnych ludzi z różnych opresji, ale to... to już było po prostu śmieszne.

Trzymał klamkę, słyszał Cynthię otwierającą drzwi po swojej stronie... i wtedy odezwał się telefon komórkowy, wydając ten swój nosowy, rozkazujący pisk.

Zamarł. Spojrzał na telefon. Spojrzał na Cynthię, która rzeczywiście zdążyła już uchylić drzwi. Cynthia patrzyła na niego, a z jej ust spełzał powoli przeraźliwy uśmiech.

Biiip! Biiip!

- No i co? - spytała go dziewczyna. - Nie masz zamiaru odebrać telefonu? - Było w jej głosie coś tak dziwnego... powiedziała to jak żona... po prostu musiał się roześmiać.

Siedzący przed ich samochodem wilk podniósł pysk w ciemność i zawył, jakby usłyszał śmiech Steve'a i jakby przeciw niemu zaprotestował. Dla kojotów jego wycie było prawdopodobnie czymś w rodzaju sygnału.

Wstały i odeszły tam, skąd przyszły, przedzierając się przez ryczącą ciemność z opuszczonymi łbami. Skorpiony zniknęły; to znaczy, oczywiście, pod warunkiem, że w ogóle tu były. Może ich nie było; Steve głowę miał niczym nawiedzony dom, tyle że wypełnioną halucynacjami i fałszywymi wspomnieniami, a nie duchami.

Biiip! Biiip!

Złapał leżący na półeczce pod szybą telefon, wcisnął SEND i przyłożył go do ucha. Cały czas patrzył przy tym na wilka. Wilk cały czas patrzył na niego.

- Szefie! Szefie, to ty?

Oczywiście, no przecież, któż inny mógłby do niego dzwonić? Tylko, że to nie był szef.

- Pan ma na imię Steve? - spytał chłopięcy głos.

- Tak. Dlaczego dzwonisz z telefonu szefa? Gdzie...

- Nieważne. Macie kłopoty? Macie kłopoty, prawda?

Steve otwierał już usta, by powiedzieć: "Nie wiem...", ale je zamknął. Wiatr wył, kołysząc ryderem. Trzymając mały telefon przy twarzy spojrział na krwawe ciało ścierwnika i na wilka. Widział leżącą na ziemi statuetkę. Prymitywne obrazy seksu i gwałtu, które przedtem wypełniały mu głowę, były teraz już tylko błędnym wspomnieniem, ale pamiętał ich siłę w sposób, w jaki czasami pamięta się niektóre szczególnie żywe koszmary.

- Owszem - powiedział w końcu. - Można to tak ująć.

- Czy to pan był w półciężarówce, którą widzieliśmy?

- Jeśli widzieliście półciężarówkę, to prawdopodobnie byliśmy my, tak. Czy mój szef jest z tobą?

- Tak, pan Marinville stoi tu, obok. Nic mu nie jest. A co u pana?

- Nie jestem pewien. Wilk tu stoi, przyniósł ze sobą to coś... jak figurka, tylko...

W polu widzenia ukazała mu się nagle Cynthia. Przycisnęła klakson. Aż podskoczył. Siedzący przy wejździe na parking kawiarni wilk podskoczył także; Steve widział, jak marszczy pysk, ukazując zęby. Uszy płasko przylegały mu do łba.

Klakson mu się nie podoba - pomyślał, a potem przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, z gatunku tych najprostszych, od których człowiek wali się dłonią w czoło, jakby chciał pokarać swój nieszczęsny mózg. - Jeśli nie zejdzie nam z drogi, zawsze przecież mogę rozjechać cholere, prawda?

Oczywiście. Zawsze może rozjechać cholere. W końcu to on siedzi w samochodzie.

- Co się dzieje? - spytał ostro chłopak i natychmiast poprawił się rozumiejąc, że zadał złe pytanie. - Dlaczego pan zatrąbił?

- Mamy towarzystwo. Próbujemy się go pozbyć.

Cynthia po raz drugi przycisnęła klakson. Wilk wstał. Uszy nadal przylegały mu do łba. Najwyraźniej zdrowo wkurzony, ale także zaniepokojony. Kiedy dziewczyna zatrąbiła po raz trzeci, Steve położył swą dłoń na jej dłoni i przytrzymał. Wilk przyglądał się im jeszcze przez chwilę z przekrzywionym łbem; w świetle reflektorów oczy płonęły mu wściekłym, zielonożółtym blaskiem. Nagle pochylił się, wziął w zęby figurkę kojota i zniknął tam, skąd przyszedł.

Steve spojrział na Cynthię. Cynthia spojrzała na Steve'a. Nadal była wystraszona, ale mimo to uśmiechała się.

- Steve? - Głos w telefonie był słaby, to pojawiał się, to nikał w trzaskach zakłóceń. - Steve, jesteś tam?

- Jestem, jestem.

- A towarzystwo?

- Nie mamy już towarzystwa. Przynajmniej na razie. Pozostaje pytanie, co powinniśmy teraz zrobić. Masz jakiś pomysł?

- Być może mam.

Niech to diabli, ale głos chłopaka brzmiał tak, jakby on też się uśmiechał.

- Jak ci na imię, mały? - spytał Steve.

5

Gdzieś za ich plecami, bliżej ratusza, coś puściło z powodu wiatru i spadło na ziemię z dźwięcznym, donośnym trzaskiem. Mary obróciła się na pięcie w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, ale nie zobaczyła nic. Wdzięczna była za ten łyk whisky, do której wypicia namówił ją Carver. Bez whisky, słysząc ten dźwięk - prawdopodobnie zawalił się fałszywy fronton jakiegoś budynku - chyba wyskoczyłaby ze skóry.

David nadal rozmawiał przez telefon. Wokół niego zgromadzili się trzej mężczyźni. Mary zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo Marinville pragnie odebrać swą motorolę, widziała, że tego pragnie, i widziała także, że nie śmie.

Dobrze ci zrobi, jak raz nie dostaniesz, czego pragniesz, Johnny - pomyślała. - Zrobi ci to cholernie dobrze.

- Być może mam - stwierdził David, uśmiechając się lekko. Słuchał przez chwilę, powiedział, jak ma na imię, i odwrócił się tak, że stał teraz twarzą do "Owl's Club".

Pochylił głowę i ściszył głos - teraz zaledwie słyszała jego słowa. Domyśliła się, dlaczego to zrobił, i zdumienie sprawiło, że aż się zachwiała, jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie.

Nie chce, żeby kojoty z drugiej strony ulicy usłyszały, co mówi. Wiem, wiem, to szaleństwo, ale przecież widzę, że nie chce, by usłyszały go kojoty. I wiesz, co jest jeszcze bardziej szalone? Moim zdaniem dobrze robi.

- Jest takie stare kino - mówił cicho chłopak. - Nazywa się "American West". - Zerknął na Billingsleya, szukając potwierdzenia nazwy.

Billingsley skinął głową.

- Powiedz mu, żeby podjechał od tyłu - powiedział i Mary uznała, że jeśli nawet zwariowała, to przynajmniej nie sama. Stary Tom też mówił cicho i nawet raz szybko obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy kojoty nie podeszły przypadkiem bliżej, czy nie podsłuchują. Kiedy upewnił się, że nadal siedzą na chodniku przed budynkiem wodociągów, odwrócił się w stronę chłopca. - Powiedz mu, że tam od tyłu jest dróżka.

David poinformował rozmówcę o dróżce. W tym momencie Marinville'owi coś przyszło do głowy. Wyciągnął rękę po telefon, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Niech zaparkuje samochód gdzieś dalej - doradził. Wielki amerykański powieściopisarz także mówił cicho, a w dodatku zasłaniał usta dłonią, jakby spodziewał się, że któryś z kojotów potrafi czytać z ruchu warg. - Jeśli zostawi wóz na widoku, a Entragian wróci, to...

David skinął głową i przekazał także jego słowa. Słuchał przez chwilę, kiwnął głową, znów się uśmiechnął. Mary tymczasem ponownie zerknęła na kojoty. Obserwowała je i nagle zdała sobie sprawę z czegoś całkiem nieoczekiwanego, wręcz perwersyjnego. Jeśli zdołają zejść Entragianowi z drogi na czas wystarczająco

długi, by się przegrupować i opuścić miasto, po trosze będzie tego żałowała. Kiedy bowiem wreszcie to wszystko się skończy, stanie twarzą w twarz z faktem śmierci Petera, przyjdzie żal za nim i za życiem, które sobie zbudowali i które teraz legło w ruinie. Być może zresztą to wcale nie było najgorsze. Będzie także musiała zacząć o tym wszystkim myśleć, będzie musiała zacząć szukać sensu w tym, co się stało, a wcale nie była pewna, czy sobie z tym poradzi. Nie była pewna, czy ktokolwiek z nich sobie z tym poradzi. Być może z wyjątkiem Davida.

- Przyjeżdżajcie tak szybko, jak to tylko możliwe - mówił właśnie chłopiec.

Rozległ się cichy pisk sygnalizujący zakończenie rozmowy. David złożył antenę i oddał telefon Marinville'owi, który natychmiast z powrotem wyciągnął antenę, wpatrzył się w wyświetlacz, potrząsnął głową i zamknął telefon.

- Co to było, Davidzie? - spytał. - Magia?

Chłopak spojrzał na niego, jakby podejrzewał go o szaleństwo.

- Bóg - powiedział po prostu.

- Bóg, ty tępaku - poparła go Mary, uśmiechając się w sposób, w jaki dotychczas nieczęsto się uśmiechała.

Nie był to właściwy czas na wsadzanie Marinville'owi szpileczek, ale po prostu nie potrafiła się powstrzymać.

- Może powinieneś poprosić przyjaciela pana Marinville'a, żeby po prostu po nas podjechał - odezwał się z powątpiewaniem Ralph. - To prawdopodobnie byłoby najprostsze, Davidzie.

- Nie takie znowu proste - odparł chłopiec. - Kiedy przyjadą, Steve wszystko wam opowie.

- Przyjadą? - zdziwił się Marinville.

David puścił to pytanie mimo uszu. Patrzył na ojca.

- A mama? - dodał. - Nie wyjedziemy bez mamy.

- Co zrobimy z nimi? - zainteresowała się Mary, wskazując na kojoty.

Mogłaby przysiąc, że nie tylko dojrzały jej gest, lecz go nawet zrozumiała.

Marinville zszedł z chodnika na ulicę. Ruszył ku nim; z długimi, rozwianymi siwymi włosami przypominał starotestamentowego proroka. Kojoty natychmiast wstały. Wiatr przyniósł im ich warkot. Johnny także musiał je słyszeć, ale mimo to zrobił jeszcze kilka kroków w ich kierunku. Na moment przymknął oczy, nie, by ochronić je przed piaskiem, lecz tak, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Nagle ostro klasnął w dłoń.

- *Tak!* - powiedział. Jeden z kojotów uniósł pysk i zawył. Jego wycie przyprawiło Mary o drżenie.

- *Tak, ah lah! Tak!*

Kojoty zbiły się w nieco ciaśniejszą grupkę. To wszystko.

Marinville jeszcze raz klasnął w dłoń.

- *Tak!... Ah lah... Tak!* A, w cholerę z tym - mruknął w końcu - i tak nigdy nie byłem w stanie nauczyć się żadnego obcego języka.

Stał, sprawiając wrażenie niezbyt zachwyconego i niepewnego siebie. To, że kojoty mogły go zaatakować, gdy stał tak z nie nabitym karabinem w rękę, najwyraźniej nawet nie przyszło mu do głowy.

David zszedł z chodnika. Ojciec złapał go za kołnierz.

- Nic mi nie będzie, tato - uspokoił go chłopiec.

Ralph puścił go, ale ruszył za nim. David tymczasem podszedł do Marinville'a. I to wówczas padły słowa, które Mary spodziewała się pamiętać do końca życia, nawet gdyby udało się jej zapomnieć wszystko inne. Były to słowa, które - nawet zapomniane na jawie - prześladowają człowieka w snach.

- Niech pan nie mówi do nich w języku zmarłych - powiedział David.

Zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Stał teraz sam pośrodku ulicy, mając za plecami ojca i Marinville'a. Mary i Billingsley pozostali na chodniku. Wiatr osiągnął największe natężenie - był jednostajnie, nieznośnie, przeraźliwie. Mary czuła niesiony nim piach klujący ją w czoło i policzki, lecz na razie wydawało się jej to błahe i zupełnie nieważne.

David złożył przy twarzy dłoń, palcami do siebie, jak modlące się dziecko. Potem wyciągnął je spodem dłoni w przód, w kierunku kojotów.

- Niech was Bóg błogosławi, niech was wspomóże, niech Jego twarz uśmiechnie się nad wami, niech was pocieszy i niech da wam pokój - przemówił. - A teraz się stąd wynoście. Poszły won!

Było zupełnie tak, jakby napadł na nie rój pszczoł. Kojoty ożywiły się naraz, podskoczyły niezdarnie, splotły w masę ogonów, pysków i zębów, gryzły swych sąsiadów i same siebie, a potem uciekły, popiskując i naszczekując, jakby spierały się o coś bardzo dla nich przykrego. Mimo wiatru Mary słyszała je przez długi, bardzo długi czas.

David odwrócił się, spojrział w ich zdumione twarze - nawet w mroku nie sposób było nie dostrzec ich zdumienia - i uśmiechnął się lekko. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: "No i co wy na to?" Mary zauważyła na jego twarzy zielone smugi po mydle. Wyglądał jak ofiara nieudolnego makijażu na Halloween.

- No dobra - stwierdził. - Idziemy.

Zgromadzili się na ulicy.

- "I poprowadzi ich dziecię" - powiedział Marinville. - A więc, dziecię, prowadź.

Całą piątką ruszyli na zachód, w stronę kina "American West".

Rozdział 5

1

- Moim zdaniem to tu - powiedziała Cynthia, wyciągając rękę. - Widzisz?

Steve, pochylony do przodu, zgarbiony, usiłujący zobaczyć cokolwiek przez zakrwawioną szybę (choć to raczej lepiący się do krwi piasek był prawdziwym problemem), skinął głową. Tak, dostrzegł staroświecką markizę, przymocowaną zardzewiałym łańcuchem do ceglanej ściany. Na markizie pozostała tylko jedna litera - przekrzywione O.

Skręcił w lewo, na podjazd do stacji benzynowej Conoco. Tabliczka z reklamą NAJTAŃSZE PAPIEROSY W MIEŚCIE przewróciła się na asfalt. Piasek zgromadził się wokół jednej jedynej pompy niczym śniegowa zaspą.

- Co robisz? Wydawało mi się, że chłopak kazał ci podjechać do kina.

- Powiedział także, żeby zaparkować gdzieś dalej. Miał rację. Rozumiesz, że... hej, tam jest jakiś facet!

Mocno wdepnął hamulec. W kantorku stacji rzeczywiście siedział facet; kołysał się w fotelu z nogami na stole. Mógłby nawet drzemać, gdyby nie coś szczególnego w jego pozycji - chodziło głównie o głowę, leżącą niewygodnie na ramionach.

Steve sięgnął do drzwi. Cynthia położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie żyje. Nie musisz sprawdzać. Nawet stąd widzę, że nie żyje.

- Mimo to musimy gdzieś ukryć samochód. Jeśli w warsztacie jest miejsce, otworzę drzwi. Ty wprowadź samochód.

Nie musiał pytać, czy umie prowadzić. Doskonale pamiętał, jak zgrabnie poradziła sobie z ryderem tam, na szosie numer pięćdziesiąt.

- Dobrze. Tylko się pospiesz.

- Pospiesz się, możesz mi wierzyć. - Steve z ręką na klamce zawahał się na chwilę. - Już wszystko dobrze, prawda? - spytał.

Cynthia uśmiechnęła się. Najwyraźniej wymagało to od niej sporo wysiłku, ale był to jednak prawdziwy uśmiech.

- Na razie w porządku - odparła. - A co u ciebie?

- Palę cygara.

Wysiadł, trzasnął drzwiami i ruszył w kierunku prowadzących do kantorka drzwi. Piasek gromadził się w tempie, które go po prostu zdumiało. Zupełnie jakby zachodni wiatr wziął sobie za punkt honoru pogrzebać miasto. Rozważywszy to, co widział do tej pory, Steve musiał uznać, że wiatr ma wcale nie najgorszy pomysł.

Między cofnięte drzwi i ścianę wpadł biegacz stepowy, szeleszcząc gałązkami. Steve kopnął go, aż zwierzak potoczył się w mrok, po czym odwrócił się i sprawdził, co z dziewczyną. Siedziała już za kierownicą samochodu. Zasalutował jej niedbale; w odpowiedzi podniosła obie pięści na wysokość twarzy, potrząsnęła nimi i pokazała mu wyprostowane kciuki. "Kontrola misji, wszystkie systemy w normie". Uśmiechnął się szeroko,

skinął głową i wszedł do środka. Fajna dziewczyna, zabawna - pomyślał. - Może i nie wie, że jest właśnie taka, ale fajna z niej dziewczyna.

Facet w fotelu potrzebował natychmiastowego pogrzebu. W cieniu rzucanym przez czapkę z daszkiem twarz miał siną, o lśniące, naciągniętej skórze, pokrytą ze dwudziestoma czarnymi plamkami. Z pewnością nie pozostawiły ich ukąszenia węży; plamki te za małe były nawet na ukąszenia skorpionów...

Przed nim, na biurku, leżał magazyn pornograficzny. Do góry nogami Steve bez problemu przeczytał tytuł: "Słodkie lesbijki". Nagle dostrzegł ruch na biurku i zaraz potem na ciele nagiej kobiety na Okładce. Do pierwszego stworzenia dołączyli dwaj przyjaciele. Cała trójka dotarła razem do krawędzi biurka i ustawiła się na nim w szyku, niczym żołnierze na paradzie w pozycji "spocznij".

Trzy kolejne wychynęły spod mebla i zaatakowały Steve'a, biegnąc szybko po brudnym linoleum podłogi. Steve cofnął się o krok, podniósł nogę w ciężkim roboczym bucie, po czym opuścił ją szybko i mocno. Załatwił w ten sposób dwa, może nawet trzy. Jeden ominął go szerokim łukiem, uciekając w stronę drzwi prowadzących prawdopodobnie do łazienki. Podniósł wzrok na biurko i dostrzegł, że szereg powiększył się do jakichś ośmiu sztuk, stojących w rzędzie niczym filmowi Indianie na skale, tuż przed atakiem na karawanę osadników.

Były to brązowe pająki o odwłokach przypominających nieco wiejskie skrzypce. W Teksasie widywał je często jako chłopiec, a gdy wybierał drzewo z saga w domu cioci Berty, został nawet ukąszony. Tak, to było w Arnette i bolało jak cholera, jak ukąszenie mrówki, tyle że jeszcze parzyło. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego zwłoki tego mężczyzny śmierdziały mimo tak suchego powietrza. Ciocia Betty natychmiast zdezynfekowała mu ranę alkoholem. Powiedziała, że jeżeli zlekceważy się ukąszenie tego pająka, to ciało wokół skażenia może gnić i odpadać. Taki mają jad. Gdyby zaatakowały człowieka w kilkanaście albo kilkadziesiąt...

Pojawiła się kolejna para, wypełzła z ciemnej szczeliny grzbietu magazynu i dołączyła do przyjaciół. Pająków było już dziesięć i wszystkie się na niego gapiły. Nie miał wątpliwości, że się na niego gapią. Kolejny wylazł spośród włosów trupa, przebiegł po jego czole i nosie, po opuchniętych wargach i przez policzek. Spieszył prawdopodobnie na zebranie na krawędzi biurka, ale Steve postanowił nie czekać i nie sprawdzać. Uciekł do garażu, podnosząc po drodze kołnierz koszuli. Niewykluczone, że i tam będzie ich pełno. Pająki tego gatunku lubią ciemne miejsca.

No to pospiesz się, dobry człowieku.

Za drzwiami, na ścianie po lewej, wymacał kontakt i przekręcił go. Zapłonęło kilka wmontowanych w sufit brudnych świetlówek.

Warsztat, co zauważył dopiero teraz, miał dwa stanowiska. Na jednym stał pikap, przerobiony na samochód terenowy, taki z wielkimi kołami. Pomalowany był jaskrawoniebieskim metalizującym lakierem, a na drzwiach od strony kierowcy czerwoną farbą wypisaną miał nazwę: WĘDROWIEC PUSTYNI. Na drugim ryder mógł zmieścić się bez problemu, pod warunkiem przesunięcia stosu opon i maszyny do bieźnikowania.

Pomachał do Cynthii, choć nie wiedział, czy ona może go zobaczyć, i właśnie pochyłał się nad oponami, kiedy pomiędzy nich, z ciemności wyskoczył szczur i złapał go zębami za koszulę. Steve krzyknął ze zdumienia i z obrzydzenia, a jednocześnie rąbnął prawą pięścią, by złamać szczurowi kręgosłup. Szczur zaczął się rzucać, machał w powietrzu tylnymi łapami i w dalszym ciągu usiłował go ugryźć.

- Spieprzaj! - wrzeszczał Steve. - Spieprzaj, ty mała cholero, odpieprz się, odpieprz się, słyszysz!

Cholera wcale nie była taka mała - rozmiarami przypominała raczej dorosłego kota. Steve pochylił się, by odkleić koszulę od ciała (zrobił to nie myśląc, nie wiedział też, że wrzeszczy i przeklina), a potem złapał bezwłosy ogon szczura i mocno pociągnął. Rozległ się trzask pękającego materiału i teraz szczur wyginał się na złamanym kręgosłupie, usiłując ugryźć go w dłoń.

Steve Ames pokręcił go na ogonie niczym oszalały Tomek Sawyer i puścił. Szczur przeleciał przez garaż jak jakiś cholerny szczurostoid i z wielką siłą uderzył w ścianę za Wędrowcem Pustyni. Kiedy wreszcie opadł na podłogę, zamarł na niej ze sztywno wyciągniętymi w górę łapkami. Steve nie ruszał się; obserwował go uważnie, by sprawdzić, czy nie zerwie się przypadkiem i nie zaatakuje go jeszcze raz. Drżał na całym ciele, dyszał ciężko; w gardle świszczało mu, jakby cierpiało na ostre przeziębienie.

Po prawej stronie drzwi znajdował się długi, zavalony narzędziami stół. Porwał z niego łyżkę do opon, chwycił ją za szeroki koniec i kopnął opony. Potoczyły się we wszystkich kierunkach, jakby nagle nabrały życia, a spośród nich wyskoczyły jeszcze dwa, tym razem mniejsze szczury. Pozbawione bojowego ducha swego poprzednika uciekły z piskiem w cieniu przy końcu warsztatu.

Steve stwierdził nagle, że nie znieśie szczurzej krwi na ciele ani przez sekundę dłużej. Rozerwał koszulę do końca i zdarł ją z siebie. Zrobił to jedną ręką. Nikt nie nakłoniłby go w tej chwili do odłożenia łyżki do opon. łyżkę do opon wyrwiesz tylko z mej martwej dłoni - pomyślał i roześmiał się. Drżał. Nie mógł przestać drzeć. Dokładnie, niemal chorobliwie dokładnie, przyglądał się swej klatce piersiowej, szukając na niej zadrapań. Nie znalazł ani jednego.

- Miałeś szczęście - wyszeptał do siebie, przesuwał maszynę do bieżnikowania pod ścianę. Podbiegł do drzwi garażu. - Miałeś szczęście, miałeś cholernie szczęście. Pieprzony szczur z pudełka.

Wcisnął klawisz przy drzwiach; zaczęły otwierać się powoli. Odsunął się, by Cynthia mogła spokojnie wprowadzić do środka rydera, przez cały czas rozglądając się rozpaczliwie w poszukiwaniu śladu pajaków, szczurów i jeden Bóg wie jakich jeszcze obrzydliwych niespodzianek. Obok stołu, na wbitym w ścianę haku, wisiał szary kombinezon mechanika. Gdy Cynthia wjeżdżała do środka, na światłach i z rykiem silnika, zaczął walić w niego łyżką do opon, pracując od nogawek w górę niczym kobieta trzepiąca dywan. Wypatrywał czegoś, co mogło przecież wyskoczyć przez kołnierz i rękawy.

Cynthia zgasła silnik, po czym ześlizgnęła się z siedzenia kierowcy.

- Co ty wyprawiasz? - zainteresowała się. - Dlaczego zdjąłeś koszulę? Umrzesz na zapalenie płuc, temperatura już spada...

- Szczury - wyjaśnił krótko.

Dosięgnął już kołnierza, nie niepokojąc żadnych dzikich zwierząt, mimo to nadal pracował metodycznie, tym razem z góry na dół. Ciężka praca popłaca. Nadal słyszał trzask łamiącego się szczurzego kręgosłupa, nadal czuł w dłoni nagi szczurzy ogon. Gorący, tak, ten ogon był taki gorący!

- Szczury? - powtórzyła dziewczyna, rozglądając się nerwowo.

- I pająki. To właśnie pająki załatwiły tego gościa w...

Nagle zdziwiony Steve stwierdził, że mówi do siebie. Cynthia jednym skokiem pokonała dzielący ją od bramy garażu dystans; stała teraz na wietrze, w siekącym piasku, z dłońmi założonymi na chude ramiona.

- Pająki, uuuch, nienawidzę pajaków! Jeszcze gorzej niż węży! - Sprawiała wrażenie wkurzonej, jakby to on zaprosił pająki do garażu. - Wynośmy się stąd!

Steve zdecydował, że kombinezon jest bezpieczny. Zdjął go z haka, już chciał odrzucić łyżkę do opon, ale w ostatniej chwili zdecydował, że byłoby to posunięcie wyjątkowo lekkomyślne. Przewiesił kombinezon przez ramię, wcisnął guzik zamykający bramę i podszedł do dziewczyny. Miała rację, rzeczywiście zrobiło się chłodno. Piasek smagnął go po nagich ramionach i plecach. Steve zaczął się ubierać. Właściciel Conoco miał brzuszek, którego mu brakowało, ale to wydawało się w porządku, lepiej tak niż odwrotnie, prawda?

- Przepraszam. - Cynthia skrzywiła się i osłoniła twarz dłonią przed szczególnie silnym podmuchem wiatru miotającego w nich rzeką piasku. - Tylko, że pająki... pająki są takie obrzydliwe, uuuuch. Nienawidzę... a co one właściwie tu zrobiły?

- Lepiej dla ciebie, że nie wiesz. - Zapiął kombinezon i objął ją mocno. - Zostawiłaś coś w samochodzie?

- Tylko plecak, ale mam wrażenie, że tej nocy obejdę się bez zmiany bielizny. - Uśmiechnęła się słabo. -

I telefon.

Steve poklepał się po prawej przedniej kieszeni dzinsów.

- Nie ruszam się z domu bez telefonu - powiedział.

Coś połaskotało go w kark, walnął się tam dłonią z całej siły, przed oczami stanęły mu brązowe pająki, stojące w równym szeregu na krawędzi biurka, żołnierze szykujący się do bitwy w jakiejś niezrozumiałej wojnie, toczącej się tu, pośrodku niczego.

- Co się stało?

- Nic. Jestem po prostu mocno wystraszony. No, chodź. Idziemy do kina.

- Och! - Zabrzmiało to szorstko i bardzo praktycznie, podobnie jak jej następne słowa. - Zapraszasz mnie na randkę? No tak, bardzo to ładnie z twojej strony.

Nie wytrzymał. Po prostu musiał się roześmiać.

2

Kiedy stary Tom Billingsley prowadził Mary, obu Carverów i największego żyjącego pisarza Ameryki (przynajmniej według opinii tegoż pisarza) ścieżką między kinem a "Feed and Grain", wiatr wył im nad głowami, jakby jakiś gigant grał na butelce.

- Nie zapalajcie latarek - ostrzegł ich Ralph.

- Racja - poparł go Tom. - I uważajcie. Pełno tu gratów. Pojemniki na śmieci, jakieś graty, odpadki, puszki.

Okrążyli stos puszek i drugi, jakichś starych rupieci. Mary aż sapnęła, kiedy Johnny położył jej dłoń na ramieniu. Nie od razu zorientowała się, kto to, lecz gdy zobaczyła długie, nieco teatralne włosy, spróbowała mu się wyrwać.

- Nie bądź taki szarmancki - powiedziała. - Poradzę sobie.

- Ale ja nie. - Marinville mocniej ścisnął jej ramię. - W ciemności za cholere już nic nie widzę. Zupełnie jakbym był ślepy.

Jego głos brzmiał teraz inaczej - nie pokornie, miała wrażenie, że Johnny Marinville wie o pokorze mniej więcej tyle, co przeciętny człowiek o grze na flecie - ale przynajmniej po ludzku. Nie straciła jego dłoni.

- Widzicie jakieś kojoty? - spytał cicho Ralph.

Powstrzymała się od ostrej odpowiedzi, w końcu przecież nie nazwał jej "pchłą".

- Nie - odparła cicho. - Ale, prawdę mówiąc, nie widzę nawet wyciągniętej ręki.

- Poszły sobie - wtrącił David z całkowitą, absolutną pewnością. - Przynajmniej na razie.

- Skąd wiesz? - spytał go Marinville.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Po prostu wiem - powiedział tylko.

Mary uznała, że w tej sprawie można mu zaufać właściwie bez zastrzeżeń. Do czego to doszło! Kompletne szaleństwo.

Billingsley poprowadził ich za róg. Wokół tylnej ściany starego kina biegło chwiejne drewniane ogrodzenie; od sąsiedniego budynku dzielił je metr, może trochę więcej. Stary Tom ruszył tą ścieżką powoli, ze sztywno wyciągniętymi przed siebie rękami. Reszta towarzystwa szła za nim gęsiego, miejsca było za mało, by iść w parach. Mary już zaczynała podejrzewać, że stary wywiódł ich w pole w jakimś sobie tylko wiadomym (albo nie wiadomym) celu, kiedy nagle się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Pochylił się po coś, co wyglądało jak skrzynka. Postawił ją na innej, stojącej obok skrzynce, po czym, krzywiąc się, wszedł na zaimprovizowaną platformę. Stał naprzeciw okna wyposażonego w brudną szybę z matowego szkła. Przyłożył do niej dłonie z rozczapierzonymi palcami i pchnął w górę.

Okno otworzyło się.

- To damska toaleta - wyjaśnił. - Uważajcie, tam jest niski schodek.

Odwrócił się i wszedł do środka; wyglądał jak duży i bardzo pomarszczony chłopiec wchodzący do kwatery głównej swego gangu. David poszedł za nim. Następny w kolejce był jego ojciec, po nim przyszła kolej na Marinville'a, który omal nie zleciał ze skrzynek, gdy się odwracał. Nie kłamał, jest praktycznie ślepy - stwierdziła Mary i zapisała sobie w pamięci, by nigdy, ale to nigdy nie wsiąść do samochodu prowadzonego przez tego faceta, nie wspominając już o siadaniu na motocykl. Czyżby rzeczywiście przejechał przez kontynent na motocyklu? Jeśli tak, to Bóg kocha go znacznie bardziej, niż mnie się to kiedykolwiek przytrafi - pomyślała jeszcze.

Złapała go za pasek, pomagając mu odzyskać równowagę.

- Dziękuję - powiedział i tym razem jego głos rzeczywiście brzmiał pokornie.

Już po chwili przeciskał się przez okno, dysząc i chrypiąc; długie włosy spadły mu na oczy.

Mary rozejrzała się szybko. Przez chwilę miała wrażenie, że wiatr przemawia do niej głosami duchów.

Nie widziałeś?

Niby czego?

Ten znak. Ograniczenie prędkości.

No i co?

Ktoś powiesił na nim martwego kota!

Teraz, stojąc na skrzynce, doszła do wniosku, że ludzie, którzy wówczas rozmawiali, naprawdę są duchami. Są duchami, bo nie żyją. Ja też, nie tylko on; Mary Jackson, która wyruszyła w tę podróż, z całą pewnością nie żyje. Ta Mary stojąca teraz przy ścianie starego kina, to ktoś zupełnie inny.

Przekazała broń i latarkę dłoniom, jakie się po nie wyciągnęły, i zrećnie wślizgnęła się przez okno do damskiej toalety.

Ralph złapał ją za biodra i postawił na podłodze. David omiół pomieszczenie światłem latarki, osłaniając ją dłonią od góry.

Mary odetchnęła i zmarszczyła nos, czując zapach wilgoci, stęchlizny i alkoholu. W rogu stał karton wypełniony butelkami po whisky, w jednej z kabinek dwa wielkie plastikowe pojemniki w całości wypełnione puszkami po piwie zasłaniały otwór w betonie, który, kiedyś, zapewne był kibelkiem właściwym. Po raz ostatni użyto go w dniu śmierci Jamesa Deana - pomyślała i nagle zdała sobie sprawę z tego, że sama chętnie poszłaby do toalety. A poza tym, mimo panującego tu zapachu, była głodna. I co w tym dziwnego? Nie jadła od jakichś ośmiu godzin. Na myśl o tym, że jest głodna, poczuła ukłucie winy, bo Peter przecież nigdy już niczego nie zje, ale miała wrażenie, że wyrzuty sumienia wkrótce znikną. Gdyby się tak nad tym zastanowić, to właśnie mogło okazać się najgorsze - że miną. To po prostu było najgorsze.

- No, niech mnie... - powiedział Marinville, kiedy zdążył wyjąć z kieszeni własną latarkę. Oświetlił nią pełne puszek pojemniki. - Ty i twoi przyjaciele... jak już się bawicie, to do upadłego, prawda, Thomas?

- Sprzątam raz na miesiąc - odparł stary weterynarz. Zabrzmiało to tak, jakby się tłumaczył. - Nie jak te dzieciaki, które szalały na balkonie, póki wreszcie tej zimy nie zawaliło się wyjście przeciwpożarowe. Nie sikamy po kątach i nie bierzemy narkotyków.

Johnny przyjrzał się kartonowi butelek po whisky.

- Gdybyście do tej ilości j.w. denta dodali choćby dymek, pewnie wylecielibyście na księżyc - stwierdził.

- A gdzie właściwie siusiacie? - zainteresowała się Mary. - Przydałaby mi się odrobina tego rodzaju ulgi.

- Po drugiej stronie korytarza, u panów, stoi przenośna toaleta, jakiej używają w salach chorych, w szpitalach. Ją też utrzymujemy w czystości.

Stary Tom spojrział w tym momencie na Johnny'ego Marinville'a spojrzeniem trudnym do zinterpretowania, był bowiem w nim i upór, i nieśmiałość. Mary spodziewała się, że Johnny będzie sobie używał na staruszku i spodziewała się także, że staruszek zdaje sobie z tego sprawę. A dlaczego ma sobie używać? Bo faceci pokroju Marinville'a po prostu muszą podzielić towarzystwo na słabszych i silniejszych, a w ich towarzystwie Billingsley był z pewnością najslabszy.

- Opuszczę was na chwilę - powiedziała. - Johnny, daj mi swoją latarkę, dobrze?

Wyciągnęła dłoń. Marinville przyjrzał się jej z powątpiewaniem, latarki jednak nie odmówił. Podziękowała mu i już miała odejść, kiedy usłyszała coś, co ją zatrzymało.

- O rany, ale fajne - odezwał się cicho David.

Odwrociła się. Chłopiec oświetlił latarką jeden z kilku kawałków muru, na którym terakota jakoś się jeszcze trzymała. Ktoś namalował na niej flamastrami wspaniałą, wręcz rokokową w swej dekoracyjności rybę, z gatunku tych półmagicznych bestii o ruchliwych ogonach, które czasem widzi się przeskakujące czubki fal na bardzo starych mapach morskich. W tej rybie nie było jednak nic przerażającego, nie wydawała się w najmniejszym nawet stopniu potworem, kiedy tak żeglowała majestatycznie nad automatem, z którego kiedyś kupowało się prezerwatywy; ze swymi wielkimi, naiwnymi niebieskimi oczami, czerwonymi skrzelami i żółtą płetwą grzbietową była po prostu piękna, więcej nawet, wspaniała - tu, otoczona śmierzdzącą zgnilizną i alkoholem rudera, wydawała się niemal cudem. Odpadła z niej tylko jedna płytką, pozbawiając ją dolnej części ogona.

- Panie Billingsley, czy to pan...?

- Tak, synu, tak. - W głosie starego człowieka było jednocześnie wyzwanie i wstyd. - Ja ją narysowałem.
- Spojrzał na Marinville'a. - Prawdopodobnie byłem wówczas pijany - dodał wyzywająco.

Mary przystanąła w drzwiach. Przygotowała się na niezbyt sympatyczną odpowiedź. Johnny potężnie ją zaskoczył.

- Jestem znany z malowania po pijaku - powiedział. - Wprawdzie malowałem słowami, a nie kolorowymi flamastrami, przypuszczam jednak, że zasada jest ta sama. Nieźle, naprawdę nieźle, Billingsley. Tylko dlaczego tutaj? Świat jest taki wielki, więc dlaczego właśnie tutaj?

- Ponieważ lubię to miejsce - odparł stary z wielką godnością. - Zwłaszcza od czasu, kiedy dzieciaki się stąd wyniosły. Nie w tym rzecz, żeby specjalnie nam przeszkadzały, interesował je głównie balkon. Pewnie weźmiesz mnie za szaleńca, ale co tam, nic mnie to nie obchodzi. Tu spotykałem się z przyjaciółmi, kiedy rzuciłem praktykę i wycofałem się z rady miejskiej. Zawsze z wielką tęsknotą czekałem na nasze wspólne wieczory. To tylko stare kino, zgoda, są tu szczury, fotele prawie całkiem przegniłe, ale to nasza sprawa i co komu do tego? To nasza sprawa i nikomu nic do tego. Moim zdaniem oni wszyscy już nie żyją. Dick Onslo, Tom Kincaid, Cash Lancaster. Moi starzy przyjaciele.

I nagle stary rozpląkał się ochryple. Jego płacz przypominał krakanie. Mary aż podskoczyła na ten dźwięk.

- Panie Billingsley? - powiedział David i stary spojrzał w jego kierunku. - Pan naprawdę myśli, że on pozabijał wszystkich? Wszystkich mieszkańców?

- To szaleństwo! - zaprotestował Marinville.

Ralph szarpnął ręką, jakby uruchamiał hamulec bezpieczeństwa w autobusie.

- Cisza! - zarządził.

Billingsley nie spuszczał wzroku z Davida. Długimi, powykrecanymi palcami masował worki pod oczami.

- Myślę, że to możliwe - przyznał, zerkając szybko na Johnny'ego. - Myślę, że co najmniej próbował.

- O ilu ludziach mówimy? - zainteresował się Ralph.

- Ilu mieszkańców liczy sobie Desperation? Stu dziewięćdziesięciu, może dwustu. Z górnikami, którzy tu się ostatnio pojawili, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób więcej, choć trudno powiedzieć, ilu spośród nich było w miasteczku, a ilu na górze, w Jamie.

- Jamie? - zdziwiła się Mary.

- Chińskiej Jamie. Kopalni, którą na nowo otworzyli. Kopalni miedzi.

- Proszę mi nie mówić, że jeden człowiek, nawet wielki jak góra, przespacerował się po mieście i zabił dwieście osób - zaprotestował Marinville. - Wybaczcie, ludzie, ale w to nie jestem już w stanie uwierzyć. Nie śmiem oczywiście powątpiewać w amerykańskiego ducha i amerykańską przedsiębiorczość, ale coś takiego? Toż to szaleństwo.

- Cóż, zapewne przy pierwszym podejściu popełnił parę błędów - zauważyła Mary. - Nie mówiłeś nam przypadkiem, że kiedy wioził cię do aresztu, zabił mężczyznę? Rozjechał go radiowozem?

Marinville odwrócił się i zaprezentował jej nadzwyczaj chmurną minę.

- Myślałem, że poszłaś do toalety - zauważył.

- Mam zdrowe nerki. I nie myślę się, prawda? Przejechał kogoś na ulicy? Sam mi o tym opowiadałeś.

- Tak, tak! Zawołał na niego Billy. Billy Rancourt.

- Jezu przenajświętszy! - Billingsley zamknął oczy.

- Znał go pan? - spytał go Ralph.

- Proszę pana, w miasteczku tej wielkości wszyscy znają wszystkich. Billy pracował w sklepie spożywczym, a w wolnych chwilach bawił się w fryzjera.

- No więc dobrze. Tak, Entragian przejechał tego Rancourta. Przejechał go jak psa. - Marinville był wyprowadzony z równowagi, mówił tak, jakby się skarżył. - Jestem skłonny przyjąć do wiadomości, że Entragian zabił mnóstwo ludzi. Wiem, do czego jest zdolny.

- Doprawdy? - spytał cicho David, a kiedy wszyscy na niego spojrzeli, odwrócił się do ściany, by od nowa podziwiać rybę.

- Żeby jeden człowiek zabił setki ludzi... - Johnny przerwał na chwilę, jakby zgubił wątek. - Nawet gdyby zaczął nocą... Ludzie...

- Może nie tylko on zabijał - zastanowiła się Mary. - Może pomogły mu ścierwinki i kojoty...

Marinville próbował odepchnąć od siebie tę myśl - nawet w mroku widać było, że próbuje - ale w końcu poddał się. Westchnął i potarł dłonią skroń, jakby zabolala go głowa.

- Dobrze, być może. Najohydniejsze ptaszysko we wszechświecie próbowało oskalpować mnie na jego rozkaz, tego jestem całkiem pewien. Mimo wszystko...

- To jak opowieść o Aniele Śmierci w Księdze Wyjścia - powiedział nagle David. - Izraelici mieli umieścić na domach znak krwi, żeby pokazać, że są tymi dobrymi facetami, pamiętacie? Tylko że tu to on jest Aniołem Śmierci. Ale... czemu przeleciał nad nami? Przecież mógł nas zabić tak łatwo, jak zabił Słodyczka albo twojego męża, Mary. - Spojrzał na starego Toma. - A dlaczego nie zabił pana, panie Billingsley? Jeśli zabił wszystkich innych mieszkańców miasteczka, dlaczego nie zabił pana?

Stary tylko wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł po prostu. - Leżałem w domu pijany. Przyjechał tym swoim nowym radiowozem... Boże, sam pomagałem go wybierać!... i zapuszkował mnie. Wsadził na tylne siedzenie, zawiózł wprost do pierdła. Pytałem go dlaczego, pytałem, co zrobiłem, ale nic mi nie powiedział. Błagałem go. Płakałem. Nie wiedziałem, że jest szalony, nie wtedy, skąd miałem wiedzieć? Zachowywał się bardzo spokojnie i nie sposób było domyślić się, że oszalał. Później coś mi zaczęło świtać, ale wtedy byłem przekonany, że narozrabiałem, kiedy urwał mi się film. Że prowadziłem samochód, coś komuś zrobiłem... to nie byłby pierwszy raz, wiecie?

- Kiedy po pana przyszedł? - spytała Mary.

Billingsley nie odpowiedział od razu. Musiał się zastanowić.

- Przedwczoraj - stwierdził w końcu. - Tuż przed zachodem słońca. Leżałem w łóżku, głowa mnie bolała i właśnie zastanawiałem się, czy nie wziąć czegoś na kaca. Aspirynę, może ze sporą dawką tego, co mnie rozłożyło. Przyjechał i wyciągnął mnie z łóżka. Miałem na sobie wyłącznie bieliznę. Pozwolił mi się ubrać. Pomógł mi się ubrać! Ale nie dał mi wypić ani łyeczka, choć cały się trząsałem. I nie powiedział, dlaczego mnie zabiera. - Stary przerwał, nadal masując sobie worki pod oczami. Mary marzyła o tym, by przestał je masować, wyprowadzało ją to z równowagi. - Później, kiedy mnie już zamknął, przyniósł mi gorącą kolację. Przez jakiś czas siedział za biurkiem i gadał. To wtedy pomyślałem, że musiał oszaleć. Gadał bez sensu.

- Widzę dziury jak oczy - podpowiedziała mu Mary.

Billingsley skinął głową.

- Owszem, coś takiego. "Głowę mam pełną kosów", to też dobrze pamiętam. Mnóstwa jego powiedzeń nie zapamiętałam. Brzmiały jak złote myśli z kalendarza napisanego przez szaleńca.

- Mieszkał pan w miasteczku, ale poza tym niczym się pan od nas nie różni - zauważył David. - Nie wie pan, dlaczego pozostawił pana przy życiu. Tak jak my.

- Chyba masz rację.

- Jak to było z panem, panie Marinville?

Johnny opowiedział im, jak to radiowóz podjechał do jego harleya, podczas gdy on sikał na północ od drogi, podziwiając przy tym okolicę i jak to policjant na początku był bardzo sympatyczny.

- Rozmawialiśmy o moich książkach i z początku byłem pewien, że mam do czynienia z wielbicielem. Zamierzałem dać mu autograf, cholernemu skurwysynowi. Przepraszam, Dawidzie.

- Jasne. Czy, kiedy rozmawialiście, drogą przejeżdżały samochody? Założę się, że przejeżdżały.

- Kilka chyba tak, w tym te wielkie ciężarówki. Tak naprawdę wcale nie zwracałem na nie uwagi.

- Im wszystkim dał spokój?

- Tak.

- Interesował się tylko panem?

Johnny przyjrzał mu się z namysłem.

- Wybrał sobie pana - powiedział z naciskiem chłopiec.

- No... może? Nie jestem pewny. Wszystko było bardzo fajnie, póki nie znalazł trawki.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę! - Mary podniosła rękę.

Marinville spojrzał na nią, zdziwiony.

- Ta trawka...

- Nie należała do mnie, nie wyobrażaj sobie. Naprawdę myślisz, że próbowałbym przyjechać harleyem przez Amerykę z ćwierć kilogramem trawki w torbie? Sklerozę może i mam, ale przecież nie aż taką!

Mary zaczęła chichotać. Od śmiechu jeszcze bardziej zachciało się jej siusiu, ale i to nic nie pomogło. Wszystko odbyło się aż zbyt gładko, wszystko zgadzało się aż za dobrze.

- Czy na torebce była nalepka? - spytała, śmiejąc się coraz prężliwiej. Właściwie nie potrzebowała odpowiedzi na to pytanie, ale mimo wszystko chciała ją usłyszeć. - Żółta nalepka z uśmiechniętą buźką?

- Skąd wiesz? - Marinville zdumiał się niebotycznie.

Wyglądał kropka w kropkę jak Ario Guthrie, przynajmniej w blasku latarki; Mary po prostu przewracała się już ze śmiechu. Uświadomiła sobie, że jeśli zaraz nie pójdzie toalety, zsika się w majtki.

- Bo ta torba pochodziła z naszego ba...ba...bagażnika - sapnęła, trzymając się za brzuch. - Należała do mojej szwa...szwa...szwa...gierki. Ona jest kompletnie pomieszana. Entragian może sobie być szalony, ale przynajmniej wykorzystuje.... przepraszam, zaraz będę miała wypadek.

Pobiegła w stronę korytarza. To, co zobaczyła, kiedy otworzyła drzwi męskiej toalety, sprawiło, że omal nie oszalała ze śmiechu. Pośrodku kabiny, niczym tron w jakiejś operze komicznej, stała przenośna toaleta z płócienną torbą wiszącą pod siedzeniem na stalowych uchwytych. Na ścianie naprzeciwko niej znajdowało się kolejne narysowane flamastrami dzieło, które bez wątpienia wyszło spod tej samej ręki co ryba. Przedstawiało galopującego konia, z którego nozdrzy złowrogo tryskał pomarańczowy płomień i którego ciemnowiśniowe oczy błyszczały wściekle. Koń kierował się na prerię gdzieś na wschód od słońca i na zachód od umywalki. Z tej ściany

terakota nie odpadła wprawdzie, lecz większość kafelków wypaczyła się, nadając koniowi wygląd niesamowity, niczym ze snu.

Za oknem wyl wiatr. Rozpinając spodnie i siadając na zimnej toalecie, Mary pomyślała nagle o Peterze, o tym jak czasami, kiedy się śmiał, zakrywał sobie usta dłonią, kciuk w jednym ich kąciku, palec wskazujący w drugim, jakby śmiech był czymś wstydlwym. Całkiem nagle, bez jakiegokolwiek przejścia - a przynajmniej ona nie była świadoma żadnego przejścia - śmiech zmienił się w płacz. Jak to strasznie głupio zostać wdową w wieku trzydziestu pięciu lat i kryć się przed szaleńcem w mieście trupów, i siedzieć w męskim kiblu zrujnowanego kina na turystycznej toalecie, siusiać i płakać jednocześnie, sikać z jękiem, można by powiedzieć, a jednocześnie przyglądać się niesamowitemu koniowi namalowanemu na ścianie, tak zniekształconemu przez odpadającą terakotę, że wyglądał jakby biegł pod wodą, jak strasznie głupio jest się bać, nie żałować prawie śmierci męża, bo żal wyparty został przez prosty, brutalny instynkt przetrwania za wszelką cenę... jakby Peter nic dla niej nigdy nie znaczył, jakby był tylko przypisem w grubej księżce.

Jak strasznie głupio jest czuć w dodatku głód... a ona była bardzo głodna.

- Dlaczego jest właśnie tak? - szepnęła. - Dlaczego to musiałam być ja?

Złożyła w dłonie zapłakaną twarz.

3

Gdyby Steve lub Cynthia mieli broń, prawdopodobnie by ją zastrzelili.

Mijali właśnie "Bud's Suds" (neon w oknie głosił wszem i wobec: PODZIWIJ GOŚCINNOŚĆ NASZYCH AUTOMATÓW), kiedy otworzyły się drzwi następnego budynku - automatycznej pralni - i wyskoczyła z nich jakaś kobieta. Steve, widząc zaledwie nieokreślony ciemny kształt, zamachnął się nań łyżką do opon.

- Nie! - krzyknęła Cynthia, łapiąc go za nadgarstek. - Uważaj?

Kobieta - miała mnóstwo ciemnych włosów i była bardzo blada, nic więcej nie dało się zauważyć - złapała Steve'a za ramiona i zbliżyła swą twarz do jego twarzy. Pewnie nawet nie zauważyła łyżki do opon w uniesionej ręce. Teraz zapyta go, czy odnalazł Jeeeeezusa - pomyślała Cynthia. - Nigdy nie mówią "Jezus", kiedy tak łapią człowieka, tylko zawsze "Jeeeeezus".

Ale kobiecie, oczywiście, nie Jeeeeezus był w głowie.

- Musimy się stąd wynosić - powiedziała cichym, ochryplym głosem. - I to już.

Obejrzała się przez ramię, zauważyła Cynthię, nie poświęciła jej nawet sekundy cennego czasu i - jakby nikogo oprócz nich nie było na ulicy - cała uwagę ponownie skupiła na Stevie. Cynthia widziała to już wcześniej i nie czuła się urażona. Kiedy nadchodzą trudne czasy, niektóre kobiety widzą tylko i wyłącznie mężczyznę. Część z nich została po prostu tak wychowana, inne mają to najwyraźniej wpisane w swe śliczne mózgi, godne najwyższej laleczki Barbie.

Mimo ciemności i unoszącego się w powietrzu piasku Cynthia widziała ją teraz lepiej. Kobieta była starsza od niej, miała co najmniej trzydziestkę. Sprawiała wrażenie inteligentnej i całkiem interesującej. Długie nogi, krótka sukienka; wyglądała w niej jakoś tak niezgrabnie, jakby nie przywykła do noszenia sukienek. Sama

kobieta nie była niezgrabna, przynajmniej sądząc z tego, jak poruszała się, kiedy poruszał się Steve; wyglądało to tak, jakby tańczyli.

- Masz samochód? - wydyszała.

- Samochód na nic się nam nie zda - odparł Steve. - Wyjazd z miasta jest zablokowany.

- Zablokowany? Jak zablokowany?

- Przez kilka dużych przyczep mieszkalnych.

- Gdzie?

- Koło baraku kopalni - wyjaśniła Cynthia - ale to nie jedyny nasz problem. Jest mnóstwo trupów...

- Jakbym nie wiedziała! - Kobieta roześmiała się piskliwie. - Collie oszalał. Sama widziałam, jak zabił parę osób. Jeździł za nimi radiowozem i strzelał do nich na ulicy. Jakby byli bydłem, a ulica rzeźnią. - Kobieta nadal trzymała ręce na ramionach Steve'a. Potrząsała nim, jakby go za coś karciała, ale patrzyła na niego; przez cały czas nieprzytomnie się rozglądała. - Musimy zejść z ulicy! Jeśli nas złapie... chodźcie tam. Tam jest bezpiecznie. To tam siedziałam od wczorajszego przedpołudnia. Raz wszedł do środka. Ukryłam się pod biurkiem, w kantorku. Myślałam, że wyczuje zapach perfum, że obejdzie biurko i znajdzie mnie... ale nie znalazł. Może miał katar?

Zaczęła się histerycznie śmiać i nagle sama uderzyła się w policzek, żeby przerwać ten atak. Choć zaskakujące, nawet szokujące, było to w pewien sposób śmieszne; tak przecież robiły tylko postaci z filmów rysunkowych Warner Brothers, prawda?

Cynthia potrząsnęła głową.

- Nie idziemy do pralni, tylko do kina. Są tam inni ludzie.

- Widziałam jego cień - ciągnęła kobieta. Nadal trzymała dłonie na ramionach Steve'a i nadal błagalnie wpatrywała mu się w twarz, jakby on był Humphreym Bogartem, a ona Ingrid Bergman i jakby operator nałożył na kamerę miękki filtr. - Widziałam jego cień, jego cień padł na biurko, byłam pewna... ale nie i moim zdaniem będziemy tam bezpieczni, będziemy mogli zastanowić się, co dalej... Cynthia złapała kobietę za brodę i przekręciła jej twarz ku sobie.

- Co ty sobie myślisz? - syknęła gniewnie kobieta. - Wydaje ci się, że co w ten sposób osiągniesz...

- Mam nadzieję, że zwrócę na siebie twoją uwagę...

Puściła twarz kobiety i niech to diabli, jeśli ta twarz nie odwróciła się ku Steve'owi natychmiast, równie bezmyślnie jak kwiat obraca się ku słońcu, i natychmiast nie podjęła tej swojej śpiewki.

- Schowałam się pod biurkiem i... i... musimy... słuchaj, musimy...

Cynthia znów wyciągnęła rękę, znów złapała kobietę za brodę i znów odwróciła jej twarz ku sobie.

- Popatrz na mnie, skarbie. Kino. W kinie są ludzie!

Kobieta spojrzała na nią przytomniej, marszcząc brwi, jakby usilnie próbowała zrozumieć, co się do niej mówi. Potem podniosła wzrok i przez ramię Cynthii zerknęła na podwieszoną na łańcuchach markizę "American West".

- W tym starym kinie?

- Tak.

- Jesteś pewna? Próbowałam się tam dostać wczoraj wieczorem, kiedy zrobiło się już ciemno. Drzwi są zamknięte.

- Mamy podejść od tyłu - wyjaśnił jej Steve. - Mam tu przyjaciela, to on kazał nam iść do kina.

- Jak? - spytała ciemnowłosa kobieta podejrzliwie, lecz kiedy Steve ruszył w kierunku kina, poszła za nim. Cynthia kroczyła obok niej, po zewnętrznej. - Jakim cudem ci to powiedział?

- Przez telefon komórkowy.

- Telefony komórkowe z zasady nie działają tu najlepiej - zaproponowała nieznajoma. - Za wiele złóż różnych minerałów.

Stali teraz pod markizą przed wejściem. Biegacz stepowy, zapędzony w kąt między przeszkloną budką biletera i lewymi drzwiami, stukał jak kastaniety.

- Tu jest alejka - oznajmiła Cynthia. Ruszyła przed siebie, ale nowo poznana pozostała na miejscu. Jej oczy biegały od dziewczyny do Steve'a i z powrotem.

- Jaki przyjaciel, jacy inni ludzie? - spytała. - Jak się tu znaleźli? Jak to się stało, że ten pieprzony Collie ich nie pozabijał?

- Zostawmy to na później, dobrze? - zaproponował Steve.

Próbował ją pociągnąć, ale oparła mu się i kiedy przemówiła, w jej głosie była nutka hysterii.

- Zabieracie mnie do niego, prawda?

- Proszę pani, nie mamy najmniejszego nawet pojęcia, o czym pani mówi. Rusz się, kobieto, na litość boską!

- Słyszę silnik - powiedział nagle Steve. - Chyba z południa. I z pewnością się zbliża.

Oczy kobiety rozszerzyły się nagle.

- To on! On!

Obejrzała się za siebie, jakby tęskniła za bezpieczeństwem pralni, a potem podjęła decyzję i niemal pobiegła alejką. Poszli za nią, a gdy znaleźli się przy płocie na tyłach kina, sami musieli biec, żeby dotrzymać jej kroku.

4

- Jesteście pewni... - spytała kobieta i w tym momencie, nieco dalej, przy ścianie, zabłysła latarka.

Szli gęsiego, Steve między paniami, ciemnowłosa kobieta na przedzie. Wziął ją za rękę (lodowato zimną), drugą wyciągnął do Cynthii (jej dłoń była zaledwie odrobinę cieplejsza). Idąca przodem nieznajoma wolno prowadziła ich ścieżką. Latarka błysnęła znowu, tym razem oświetlając dwie stojące jedna na drugiej skrzynki.

- Wejdźcie na nie i włączcie tu - szepnął głos.

Głos, który sprawił Steve'owi wiele radości.

- Szef?

- A kto? - Marinville powiedział to tak, jakby się uśmiechał. - Podoba mi się ten kombinezon. Nadaje ci taki męski wygląd. Włącz, Steve.

- Jest nas troje.

- Im więcej, tym weselej.

Ciemnowłosa musiała podciągnąć sukienkę, żeby wejść przez okno. Steve zauważył, że szef na ten widok bynajmniej nie zamknął oczu. Nawet apokalipsa nie jest w stanie zmienić pewnych rzeczy - pomyślał.

Pomógł Cynthii, a potem sam wszedł do środka. Obrócił się w oknie, wyciągnął rękę i zrzucił górną skrzynkę z dolnej. Nie miał pojęcia, czy to wystarczy, by oszukać faceta, którego tak bała się ich nowa przyjaciółka, ale z pewnością lepsze coś niż nic. Stał, rozejrzawszy się - wprost rzucało się w oczy, że to typowe schronienie pijaczków - a potem złapał Marinville'a i przytulił go mocno. Johnny roześmiał się, zaskoczony, ale wyraźnie sprawiło mu to przyjemność.

- Tylko bez jęczyczka, Steve. Będę przy tym obstawał.

Steve trzymał dłonie na jego ramionach. Uśmiechał się szeroko.

- Byłem pewien, że nie żyjesz, szefie. Znaleźliśmy twój motocykl, zagrzebany w piachu.

- Znaleźliście go? - Marinville sprawiał wrażenie zachwyconego. - Niech mnie diabli!

- Co się stało z pańską twarzą?

Johnny podłożył sobie zapaloną latarkę pod brodę, zmieniając swą posiniaczoną, bladą twarz w maskę rodem z horroru. Nos wyglądał tak, jakby jego właściciel cudem uszedł z życiem z wypadku samochodowego. Pisarz uśmiechał się i ten uśmiech, choć pogodny, jeszcze pogorszył sprawę.

- Jak myślisz, czy gdybym wygłosił przemówienie do amerykańskiego PEN Clubu, nawet się nie umywszy, ci kretyńcy wreszcie by mnie wysłuchali?

- O rany - westchnęła Cynthia z głębokim szacunkiem. - Ktoś panu porządnie dokopał.

- Owszem, Entragian - stwierdził poważnie Marinville. - Poznaliście go już?

- Nie - odparł Steve. - I sądząc z tego, co widzieliśmy i słyszeliśmy do tej pory, nie mamy na to nawet najmniejszej ochoty.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach. Do toalety wszedł chłopak, krótko ostrzyżony, blady, w pomazanym krwią podkoszulku Indian z Cleveland. W ręce miał latarkę; krótkimi błyskami oświetlił po kolei twarze nowych gości. Steve popatrzył na niego i w głowie nagle ułożył mu się z puzzli pełny obraz. Miał wrażenie, że to głównie przez tę koszulkę.

- Ty jesteś Steve? - spytał go chłopiec.

Steve przytaknął skinieniem głowy.

- Tak. Nazywam się Steve Ames. To Cynthia Smith. A ty jesteś pewnie moim telefonicznym przyjacielem.

Chłopiec uśmiechnął się lekko na te słowa.

- Z tym telefonem trafiłeś w dziesiątkę, Davidzie. Nigdy pewnie nie dowiesz się, jak świetnie trafiłeś. Cieszę się, że mogłem cię poznać. Nazywałeś się David Carver, prawda?

Zrobił krok do przodu i potrząsnął dłonią chłopca, ciesząc się z wyrazu zaskoczenia na jego twarzy. On też go zaskoczył, telefonując tak ni z tego, ni z owego.

- Skąd zna pan moje nazwisko?

Cynthia ujęła dłoń Davida zaraz po tym, jak puścił ją Steve. Potrząsnęła nią raz, mocno.

- Znaleźliśmy twojego humvee, winnebago czy czym tam jeździliście. Steve przejrzał karty baseballowe.

- Powiedz uczciwie - przerwał jej Steve, zwracając się do chłopaka. - Myślisz, że Cleveland wygra kiedykolwiek Mistrzostwo Świata?

- Nic mnie to nie obchodzi. Wystarczy, że widzę, jak grają - odparł David, uśmiechając się niewyraźnie.

Cynthia odwróciła się do kobiety z pralni, tej, do której strzelaliby prawdopodobnie, gdyby mieli z czego strzelać.

- A to pani...

- Audrey Wyler - przedstawiła się. - Jestem geologiem, konsultantem Diablo Mining. A przynajmniej byłam. - Rozejrzała się po damskiej toalecie szeroko otwartymi, nieprzytomnymi oczami, ogarniając spojrzeniem kartony pełne butelek po whisky, plastikowe kosze puszek po piwie, wspaniałą rybę na brudnej terakocie ściany. - Teraz nie wiem nawet, kim jestem. Czuję się jak kawał mięsa, który leżał przez parę dni na słońcu.

Odwracała się ku Johnny'emu, dokładnie tak, jak pod pralnią odwracała się ku Steve'owi. Wróciła też do swego oryginalnego tekstu.

- Musimy wy dostać się z miasta. Pański przyjaciel twierdzi, że droga jest zablokowana, ale ja znam inną drogę. Prowadzi spod taśmociągu i wokół wykopu, aż do szosy numer pięćdziesiąt. Jest w strasznym stanie, ale kopalnia miała kilka terenówek i...

- Jestem pewien, że pani wiedza bardzo nam się przyda, ale sądzę, że przynajmniej na razie powinniśmy zostawić tę sprawę na boku - odparł Johnny zawodowo łagodnym głosem, który Steve rozpoznał bezbłędnie. W ten sposób szef przemawiał do kobiet (zawsze były to kobiety, przeważnie między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką; aranżowały jego spotkania literackie, które nazywał nalotami albo bombardowaniem kulturą. - Lepiej będzie, jeśli przedtem wyjaśnimy sobie pewne sprawy. Chodźmy na widownię. Jest fajnie urządzona. Sądzę, że bardzo się pani zdziwi.

- Czyś ty zgłupiał, człowieku? - spytała Audrey Wyler. - Nie czas teraz na gadanie. Musimy wynieść się z miasta. - Rozejrzała się. - Ludzie, wy chyba nie do końca rozumiecie, co się tu stało. Ten człowiek, Collie Entragian...

Johnny oświetlił latarką swą twarz, tak by mogła dobrze ją sobie obejrzeć.

- Jak pani widzi, spotkałem już Entragiana i mam wrażenie, że sporo zrozumiałem. Chodźmy, pani Wyler. Porozmawiajmy. Rozumiem, że jest pani bardzo przywiązana do swego pomysłu, ale proszę mi uwierzyć, tak będzie lepiej. Stolarze mają takie powiedzenie: wymierz dwa razy, tnij raz. Bardzo mądre powiedzenie. Idziemy?

Kobieta spojrzała na niego niechętnie, ale kiedy ruszył w stronę drzwi, poszła za nim. Steve i Cynthia też. Wył wiatr, stare kino drżało pod jego naporem aż do fundamentów.

5

Ciemny kształt - samochód z zamontowanymi na dachu światłami - jechał powoli na północ przez piach, mrok i wiatr, oddalając się od wału ziemi odgradzającego Chińską Jamę od miasteczka Desperation. Jechał bez światła - siedząca za kierownicą istota dobrze widziała w ciemności, nawet jeśli ciemność ta przesycona była pyłem pustyni.

Samochód minął winiarnię, stojącą przy południowej granicy miasta. Przewrócona tablica, reklamująca MEKSYKAŃSKIE DANIA prawie w całości zasypana już była piaskiem; w słabym świetle palącej się przed drzwiami żarówki dawało się odczytać wyłącznie KIE DA. Radiowóz dojechał powoli do ratusza, skręcił na

parking i stanął dokładnie w tym miejscu, w którym stawał zawsze. Siedzący za kierownicą stwór, wielki, przygarbiony, przepasany pasem Sama Browne'a i mający na przecinającym pierś pasku policyjny znaczek, bezdźwięcznym, monotonnym głosem nucił starą piosenkę: "Będziemy tańczyć, mała, a potem zobaczysz... Muzyka to czary, muzyka, co we mnie brzmi..."

Wyłączył silnik i po prostu siedział z opuszczoną głową, postukując palcami w kierownicę. Z wirującego w powietrzu pyłu wyłonił się ścierwnik, w ostatniej chwili wyrównał kurs zakłócony nagłym podmuchem wiatru i wylądował na masce. Po nim przyleciał drugi, a po drugim trzeci. Ten trzeci skrzeknął na przyjaciół, po czym wypuścił na maskę gęsty strumień guana.

Ustawily się rzędem, zaglądając do środka przez brudną szybę.

- Żydzi - powiedział stwór - muszą umrzeć. I katolicy. I mormoni też. *Tak!*

Otworzyły się drzwi. Wysunęła się z nich najpierw jedna noga, potem druga. Stwór mający na sobie pas Sama Browne'a wyprostował się i zatrzasnął drzwiczki samochodu. Kapelusz trzymał pod pachą... na razie. W drugiej ręce miał dubeltówkę, tę samą, którą ta kobieta, Mary, porwała z biurka.

Podszedł do drzwi wejściowych. Po obu stronach prowadzących do nich schodów tkwiły kojoty. Zapiszczały i przysiadły na zadach, witając zbliżającą się do nich postać usłużnymi psimi uśmiechami. Stwór minął je, jakby ich w ogóle nie zauważył.

Sięgnął do klamki, lecz dłoń nagle znieruchomiała. Drzwi były otwarte. Podmuchy wiatru przymknęły je prawie... ale nie do końca.

- Co za kurestwo? - burknął i otworzył drzwi. Wbiegł po schodach na górę, po drodze wkładając kapelusz, a właściwie wbijając go sobie na głowę, bo już niezbyt dobrze na nią pasował, i ujmując strzelbę w obie dłonie.

U szczytu schodów leżał martwy kojot. Prowadzące do aresztu drzwi także były otwarte. Stwór, trzymając w pogotowiu strzelbę, wszedł do środka, doskonale wiedząc, co tam zobaczy, wiedza ta jednak nie powstrzymała wściekłego ryku, który wyrwał się z jego piersi; siedzące u stóp schodów kojoty zaskomlały, słysząc ten ryk, i zsikały się. Ścierwniki na policyjnym radiowozie także go usłyszały, zamachały skrzydłami, uniosły się lekko w powietrze, lecz nie odleciały, tylko wróciły na maskę. Machały łbami, jakby lada chwila miały zacząć ze sobą walczyć.

Cele aresztu, jeszcze niedawno zajęte, były teraz otwarte i puste.

- Ten chłopiec - warknął stojący w drzwiach stwór. Zaciśnięte na kolbie strzelby dłonie były białe. - Ten wstrętny mały narkomanik.

Jeszcze przez chwilę stał w drzwiach, a potem powoli wszedł do środka. Oczy w nieruchomej twarzy biegały niespokojnie. Kapelusz - policyjny kapelusz o szerokim rondzie - powoli powędrował w górę, unoszony przez włosy. A miał znacznie więcej włosów niż poprzedni właściciel tej głowy.

Kobieta, którą zabrał ze sobą Entragian, miała mniej więcej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i ważyła niespełna sześćdziesiąt kilogramów. Istota wyglądała jak jej znacznie potężniejsza siostra, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, jakieś sto kilogramów wagi. Stwór ubrany był w kombinezon, który wziął z magazynu przed powrotem do miasta z miejsca zwanego w kopalni Grzechotnikiem Trzy, a w mieście, od przeszło stu lat, Chińską Jamą. Kombinezon był nieco przyciasny w białym i w biodrach, ale i tak lepszy niż stare ubranie ciała, tak teraz dla niej bezużyteczne jak dawne troski i marzenia Ellen Carver. Co do Entragiana, to miał jego pas, znaczek, kapelusz, a także pistolet w kaburze na biodrze.

Było to, oczywiście, konieczne. Ellen Carver jako jedyna stanowiła teraz prawo na zachód od Pecos. Było to jej zadanie i niech Bóg chroni każdego, kto zamierza przeszkodzić jej w wypełnieniu tego zadania.

Na przykład jej byłego syna.

Z małej kieszonki na piersi kombinezonu stwór wydobył uszkodzoną figurkę. Figurkę pająka, wyrzeźbioną w starym kamieniu. Figurka leżała na dłoni krzywo (jedna z nóg pająka była złamana), w niczym nie zmniejszało to jednak jej ohydy i grozy, którą promieniowała. Ślepią, cętkowane czerwono od żelaza, wypróżnioną aktywnością wulkaniczną przed tysiącami lat, wypływały z oczodołów, pod nimi zaś znajdowała się gęba, otwarta i ukazująca jęzor, nie będący wcale jęzorem, tylko uśmiechniętym pyskiem kojota. Na odwłoku pająka znajdował się wzór, przypominający nieco wiejskie skrzypce.

- *Tak!* - powiedział stojący przy biurku stwór.

Twarz miał ciastowatą, obwisłą; była to okrutna karykatura twarzy kobiety, która przed dziesięcioma godzinami czytała córeczce książeczkę o ciekawskim Grzesiu i popijała z nią kakao z jednego kubka. Oczy w tej twarzy były jednak świadome i złe, obrzydliwie podobne do oczu spoczywającej na dłoni figurki. Istota przełożyła posążek do drugiej ręki i uniosła go tak, by padło nań światło kulistej, wiszącej na biurku lampy.

- *Tak ah wan! Tak ah lah! Mi him, en tow! En tow!*

Z mroku schodów, ze szczelin w podłodze, z ciemnych kątów cel wybiegły pająki. Zgromadziły się wokół niej w kręgu. Istota powoli położyła posążek na biurku.

- *Tak!* - powtórzyła cicho. - *Mi him. En tow.*

Po pająkach, nie większych od dużych rodzynek, przeszła fala. Było ich mniej więcej pięćdziesiąt. Krąg nagle rozpękl się i pająki pomknęły ku drzwiom w dwóch rzędach. Istota, która była Ellen Carver, nim Collie Entragian zabrał ją do Chińskiej Jamy, obserwowała je, stojąc nieruchomo. Kiedy zniknęły, schowała posążek do tylnej kieszeni kombinezonu.

- Żydzi muszą umrzeć - powiedziała pustemu aresztowi. - Katolicy muszą umrzeć. Mormoni muszą umrzeć. Panowie Grateful Dead też muszą umrzeć. - Przerwała na chwilę. - I małe boże chłopczyki też muszą umrzeć.

Podniosła dłonie Ellen Carver i palcami Ellen Carver zaczęła postukiwać w ramiona Ellen Carver.

Część III

“American West”

cienie dawnych, dobrych czasów

Rozdział 1

1

- O, do diabła! - krzyknął Steve. - Przecież to zdumiewające!

- Powiedziałabym raczej, że kurewsko niesamowite - poprawiła go Cynthia i natychmiast spojrzała na starego człowieka, by sprawdzić, czy go przypadkiem nie uraziła.

- Młoda damo - wtrącił Johnny. - Niesamowite to jest całe to gadanie o niesamowitości. Jedyny wynalazek, który z całą pewnością można przypisać waszemu pokoleniu. To wcale nie jest niesamowite. Raczej miłe.

- Niesamowite - powtórzyła Cynthia z uśmiechem.

Johnny miał wrażenie, że "American West" wybudowane zostało gdzieś w trakcie dziesięciolecia poprzedzającego drugą wojnę światową, kiedy to kina nie były już wprawdzie bajkowymi pałacami z lat dwudziestych i trzydziestych, długa droga dzieliła je jednak od pasaży handlowych, multipleksingu i tego wszystkiego, co zmieniło dzisiejsze kina w nagłośnione dolby stereo pudełka do zapalek. Billingsley włączył światła punktowe nad ekranem i oświetlenie czegoś, co kiedyś nazywano miejscem dla orkiestry, więc Johnny bez problemu widział całe wnętrze. Widownia była duża, lecz spartańsko urządzona. Jediną ozdobę stanowiły kinkiety stylizowane - nieudolnie - na art deco. Większość foteli nadal znajdowała się na miejscu, czerwone obicia zdążyły już jednak spłowić, wytrzeć się i, sądząc po zapachu, poważnie nadgnić. Na ekranie - wielkim prostokącie bieli, Rock Hudson tulił niegdyś Doris Day, Charlton Heston zaś ścigał się na rydwanach ze Stephenem Boydem. Miał co najmniej dwanaście na sześć metrów - z miejsca, w którym stał Johnny, wydawał się wielki jak ekran w kinie samochodowym.

Przed ekranem znajdowała się spora scena - zaprojektowana zapewne siłą bezwładu, bowiem numery wodewilowe w kinach odeszły w przeszłość jeszcze przed jego powstaniem. Czy kiedykolwiek ktoś na niej wystąpił? Prawdopodobnie tak - pomyślał Johnny. - Prawdopodobnie odbywały się tu spotkania polityczne, rozdania matur, może finały konkursów recytatorskich hrabstwa Kozie Gówno?

Jakimkolwiek celom służyła niegdyś scena, jej projektanci, z całą pewnością ludzie uczestniczący w cichych wiejskich uroczystościach, nie przewidzieli, czemu będzie służyła w dalekiej przyszłości.

Johnny rozejrzał się, nieco zaniepokojony stanem Billingsleya, i dostrzegł staruszkę idącego krótkim, wąskim korytarzykiem prowadzącym z toalet na proscenium, gdzie wszyscy się zgromadzili. Staruszek zakamuflował sobie gdzieś tu butelkę i po prostu wyskoczył na jednego szybkiego. To wszystko - pomyślał, ale kiedy stary Tom przechodził obok niego, nie wyczuł zapachu świeżego alkoholu, a teraz, kiedy sam przestał pić, wyczuwał go bezbłędnie.

Za Billingsleyem poszli na scenę - grupa, o której, nie bez sympatii, myślał jako o Stowarzyszeniu Przeżycia Colliego Entragianiana. Ich kroki odbijały się w pustce głośnym echem, ich ciała w świetle reflektorków na ścianie stanowiska dla orkiestry rzucały na ziemię długie cienie. Stary Tom włączył te światła, manipulując przy skrzynce bezpiecznikowej znajdującej się przy lewym wyjściu na scenę. Nad starymi pluszowymi fotelami przygaszały szybko słabe reflektorki, pozostawiając ciemność sięgającą jeden Bóg wie jak wysoko. Gdzieś jeszcze

wyżej - i ze wszystkich stron wiał pustynny wiatr. Jego wycie mroziło krew w żyłach Johnny'ego; nie mógł jednak zaprzeczyć, że jest w nim także coś dziwnie pociągającego, choć co - nie potrafił powiedzieć.

Och, nie okłamuj się. Przecież wiesz. Billingsley i jego przyjaciele też wiedzieli, dlatego przychodzili właśnie tu. Bóg stworzył człowieka, by wsłuchiwał się właśnie w tego rodzaju dźwięki, a podobne do tego wnętrza są ich naturalnym wzmacniaczem. A w ogóle najlepiej słychać je, kiedy siedzi się naprzeciw ekranu ze starymi przyjaciółmi, opowiadając o cieniach dawnych dobrych czasów i pijąc za przeszłość. Dźwięk taki jak wycie wiatru mówi człowiekowi, że można poddać się z honorem, że przecież tylko poddanie się ma jakikolwiek sens. Dźwięk taki jak wycie wiatru kusi nicością, opowiada o rozkoszach nieistnienia.

Pośrodku pokrytej kurzem sceny, naprzeciwko nagiego ekranu, znajdował się pokój gościnny tego szczególnego mieszkania, wyposażony w fotele, kanapy, stojące lampy, niski stolik, a nawet telewizor. Meble te ustawiono na wielkim kawałku wykładziny. Wyglądało to trochę jak wzorcowy pokój w dziale meblowym wielkiego magazynu, Johnny jednak nie potrafił uwolnić się od myśli, że gdyby Eugene Ionesco poproszony został o napisanie scenariusza odcinka "Strefy mroku", scena wyglądałaby zapewne niemal identycznie. Wnętrze zdominował całkowicie bar z ciemnego matowego dębu. Billingsley zapalał stojące lampy jedną po drugiej, Johnny tymczasem przeciągnął ręką po barze. Kable, jak zauważył, biegły małymi wycięciami w ekranie zabezpieczonymi taśmą monterską, żeby się nie powiększały.

Stary Tom kiwnął głową i wskazał bar.

- Pochodzi ze starego Circle Ranch. Wystawiono go na aukcji majątku Claytonów. Buzz Hansen i ja zrzuciliśmy się i kupiliśmy go za siedemnaście dolców. Uwierzylibyście w coś takiego?

- Szczerze mówiąc, nie - odparł Johnny, zastanawiając się, ile coś takiego kosztowałoby w którymś z tych małych sklepików w SoHo.

Otworzył drzwiczki. Bar był wręcz zapchany całkiem przyzwoitymi alkoholami. Nie pierwszorzędnymi, ale całkiem przyzwoitymi. Pospiesznie zamknął drzwiczki. Te butelki wręcz prosiły go, żeby je wypił. Z butelką jima beama nie miał przecież takiego problemu.

Ralph Carver usiadł w głębokim fotelu z wysokim oparciem. Rozejrzał się po wszystkich tych pustych miejscach z nieprzytomnym, lecz błogim wyrazem twarzy człowieka pełnego nadziei, że jednak mimo wszystko śni. David tymczasem podszedł do telewizora.

- Co na nim odbiera... ach, rozumiem.

Dopiero teraz zauważył podłączony do telewizora magnetowid. Przykucnął, przyglądając się leżącym na magnetowidzie kasetom.

- Synu... - zaczął Billingsley i dał sobie spokój.

David szybko przerzucał kasety. *Sex Straved Coeds*, *Dirty Debutantes*, *Cocpit Honeys Part 3*. Odłożył je na miejsce.

- Oglądacie to? - zdumiał się.

Billingsley tylko wzruszył ramionami. Był zmęczony, sprawiał także wrażenie zażenowanego.

- Jesteśmy za starzy na rodeo, synu - wyjaśnił. - Może pewnego dnia sam się dowiesz, jak to jest.

- Hej, to wasza sprawa. Tylko pytałem.

- Steve, popatrz - odezwała się Cynthia. Cofnęła się o krok, uniosła ramiona nad głowę, skrzyżowała je w nadgarstkach i pomachała dłońmi. Na ekranie, pokrytym zgromadzonym przez dziesięciolecia kurzem, wielki ptak wzbijał się w przestworza, leniwie machając skrzydłami. - Kruk. Nieźle, co?

Steve uśmiechnął się, podszedł do niej i złożył dłonie z jednym palcem skierowanym w dół.

- Słoń! - ucieszyła się dziewczyna. - Ale fajnie!

David też się roześmiał swobodnym, wesołym śmiechem. Ojciec spojrział na niego i uśmiechnął się lekko.

- Nieźle jak na faceta z Lubbock - pochwaliła Steve'a Cynthia.

- Pilnuj języka, chyba że chcesz, żebym zaczął ci mówić "mała".

Zamiast odpowiedzi zamknęła oczy, wsadziła kciuki w uszy, pomachała rozpostartymi palcami i pokazała mu język. Johnny'emu tak bardzo przypominała Terry, że po prostu musiał się roześmiać. Zaskoczył go ten śmiech, a nawet przestraszył. Chyba gdzieś, między Entragianem a zachodem słońca podjął podświadome postanowienie, że nigdy się już nie roześmieje, a w każdym razie nie z żartu.

Mary Jackson, która do tej pory zajęta była przemierzaniem wzdłuż i wszerz "pokoju gościnnego" wyznaczanego rozmiarami kawałka wykładziny i przyglądaniem się wszystkiemu z wielką uwagą, zatrzymała się, by podziwiać słońca.

- A wiecie, potrafisz zrobić panoramę Nowego Jorku - oznajmiła.

- Akurat! - zaprotestowała natychmiast Cynthia, ale zdaje się, iż bardzo ją to zaintrygowało.

- Zobaczmy - zainteresował się David. Patrzył w ekran z nadzieją, z jaką wraz z przyjaciółmi czekał pewnie na nowego Ace'a Venture.

- Dobrze. - Mary uniosła dłonie z palcami skierowanymi ku górze. - Zaraz, zaraz... jak to było... nauczyłam się na koloniach, bardzo dawno temu...

- O kurwa, co tu się dzieje!

Ostry kobiecy głos mocno wystraszył Johnny'ego i nie był on bynajmniej jedynym wystraszonym. Mary krzyknęła. Panorama Nowego Jorku, już prawie widoczna, rozmazała się i zniknęła.

Audrey Wyler stała mniej więcej w połowie drogi pomiędzy lewym wyjściem na scenę a granicą ich "pokoju". Twarz miała bladą, oczy szeroko otwarte i pełne wściekłości. Jej cień padał na ekran, do którego odwrócona była plecami, nieświadoma tego, że stworzyła swój własny obrazek: pelerynę Batmana.

- Ludzie, przecież wy jesteście tak samo szaleni jak on. Musicie być! On jest gdzieś tam i nas szuka. Czyżbyś zapomniał, że słyszałeś samochód, Steve? To był on. I wraca! A ty stoisz tu sobie... zapaliliście światło... i bawicie się jak dzieci!

- Na zewnątrz nikt nic nie zobaczy, choćbyśmy zapalili wszystkie światła - powiedział Billingsley.

Przyglądał się Audrey z namysłem i napięciem jednocześnie; zdaniem Johnny'ego wyglądało to tak, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widział i podejrzewał, że - być może - w *Dirty Debutantes*?

Proszę pamiętać, to kino. Dźwiękoszczelne i światłoszczelne. Bardzo to ceniliśmy, ja i przyjaciele.

- Ale przecież będzie nas szukał! I jeśli się postara, to znajdzie. Tu, w *Desperation*, niewiele jest miejsc, gdzie można się ukryć.

- Niech znajdzie - powiedział Ralph Carver bezdźwięcznym głosem, unosząc swego rugera. - Zabił moją córeczkę i zabrał mi żonę. Równie dobrze jak pani zdaję sobie sprawę z tego, do czego jest zdolny. Niech sobie przychodzi. Mam dla niego przesyłkę ekspresową.

Audrey przez chwilę obserwowała go niepewnie. Ralph nie spuścił martwego spojrzenia z jej twarzy. Zerknęła na Mary, uznała ją za nieinteresującą i całą uwagę z powrotem skupiła na Billingsleyu.

- Może wślizgnąć się tu niepostrzeżenie. Zapewne jest tu kilka wejść. Albo więcej niż kilka.

- Owszem... i każde zamknięte z wyjątkiem okienka w damskiej toalecie. Właśnie stamtąd wróciłem. Na parapecie od środka ustawiłem rząd butelek po piwie. Kiedy spróbuje je otworzyć, okno odchyli się do środka, uderzy w butelki, przewróci je i pospadają na podłogę. Usłyszymy go, proszę pani, a kiedy tu już wejdziesz, naszpikujemy go ołowiem tak, że trupa będzie można pociąć i sprzedawać na wagę.

Wypowiadając swą mowę, stary wpatrywał się na przemian to w twarz Audrey, która zdaniem Johna Edwarda Marinville'a była w porządku, to w jej nogi, które zdaniem tegoż były po prostu wspaniałe.

Audrey tymczasem patrzyła na starego, jakby większego głupca w życiu nie widziała.

- A o kluczach słyszałeś kiedyś, staruszku? - spytała. - W małych miasteczkach gliniarze mają klucze do wszystkich budynków publicznych.

- Tak, tych, które prowadzą biznes - odparł spokojnie Billingsley. - "American West" wypadło z biznesu bardzo, bardzo dawno temu. Nie jest zwyczajnie zamknięte, już raczej zabite deskami. Dzieciaki używały schodków przeciwpożarowych, żeby się dostać na balkon, ale przestały ich używać w marcu, kiedy schodki po prostu się zawałyły. Nie, proszę pani, tak bezpieczni jak tu nie byłibyśmy nigdzie indziej.

- A już z pewnością nie na ulicy - dodał Johnny.

Audrey odwróciła się ku niemu. Ręce trzymała na biodrach.

- Dobra, a co zamierzacie zrobić? Siedzieć tu i bawić się zwierzątkami z cienia, rzucanymi na ten cholerny ekran?

- Spokojnie - wtrącił Steve.

- Jestem spokojna. To ty się uspokój - warknęła na niego. - Chcę się stąd zwyczajnie wynieść!

- Wszyscy chcemy się stąd wynieść, ale po prostu nie nadeszła jeszcze właściwa chwila - wyjaśnił Johnny i rozejrzał się. - Czy ktoś się ze mną nie zgadza? - spytał.

- Byłoby szaleństwem uciekać teraz, w ciemności - poparła go Mary. - Wiatr wieje co najmniej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Biorąc pod uwagę burzę piaskową, Enragian mógłby nas pewnie wystrzelać jak kaczki.

- A waszym zdaniem co może zmienić się jutro, kiedy przestanie wiać i wyjdzie słońce? - Audrey zwróciła się do Johnny'ego, nie do Mary.

- Sądzę, że nasz przyjaciel może nie dożyć końca burzy - odparł po prostu Johnny. - Być może już nie żyje.

Ralph podniósł na niego wzrok i skinął głową. David siedział w kucki przed telewizorem, dłonie trzymał między kolanami i z głęboką uwagą wpatrywał się w Johnny'ego.

- Dlaczego? O co tu chodzi?

- Nie widziałaś go? - zainteresowała się Mary.

- Oczywiście, że widziałam. Tyle że nie dziś. Dziś tylko słyszałam, jak jeździ... jak chodzi... Jak mówi do siebie. Od wczoraj rzeczywiście go nie widziałam.

- Czy tu, w okolicy, jest coś radioaktywnego? - spytał Ralph. - Czy było tu kiedyś coś... bo ja wiem, składowisko odpadów nuklearnych, może magazyny wojskowe? Głowice rakiet, coś w tym rodzaju? Ten gliniarz wyglądał tak, jakby rozpadał się na kawałki.

- Nie sądzę, żeby była to choroba popromienna - wtrąciła Mary. - Widziałam zdjęcia ofiar i...

- Chwileczkę! - Johnny podniósł ręce. - Mam pewien pomysł. Sądzę, że powinniśmy usiąść spokojnie i przedyskutować nasze problemy. Zgadza się? W najgorszym razie unikniemy nudy. W najlepszym być może

wpadniemy na jakiś pomysł. - Spojrzał na Audrey, obdarzył ją najbardziej promiennym ze wszystkich swych uśmiechów i z radością stwierdził, że się rozluźniła. Za ledwie odrobinę, ale co tam. Najwyraźniej dysponował jednak swym słynnym urokiem, a przynajmniej jakimś jego resztkami. - No i z pewnością będzie to bardziej konstruktywne niż puszczenie cieni na ekran.

Jego uśmiech przybladł lekko, kiedy obrócił się i obejrzał sobie całe to towarzystwo: Audrey, stojącą na krawędzi wykładziny w tej swojej seksy sukience, którą nie bardzo umiała nosić; Davida, siedzącego w kucki przy telewizorze; Steve'a i Cynthię, którzy przysiedli na oparciach miękko wyściełanych foteli, wyglądających jakby również pochodziły z licytacji wyposażenia Circle Ranch; Mary, stojącą plecami do ekranu, z rękami splecionymi na piersiach, przez co sprawiała wrażenie surowej nauczycielki; Toma Billingsleya, przyglądającego się zawartości barku z rękami na odmianę założonymi za plecy; Ralpa, rozpartego w fotelu, z jednym okiem tak spuchniętym, że prawie nie było go widać. Stowarzyszenie Przeżycia Colliego Entragiana. Wszyscy obecni. Proszę to zaprotokołować.

Co za banda. Manhattan Transfer pośrodku pustyni.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego powinniśmy porozmawiać - powiedział.

Zerknął na cienie, które sylwetki członków stowarzyszenia rzuciły na ekran. Przez chwilę wszystkie wydawały mu się cieniami wielkich ptaków. Przypomniał sobie Entragiana, mówiącego mu, że ścierwniki pierdzą, jedyne spośród wszystkich ptaków; Entragiana, mówiącego, że przekroczyli próg, poza którym "dla czegoś" przestaje mieć znaczenie i on o tym doskonale wie. Pomyślał, że być może straszniejszych słów nie słyszał nigdy w życiu. Były straszne, wydawały się bowiem prawdziwe.

Powoli skinął głową, jakby odpowiadał jakiemuś swemu wewnętrznemu głosowi.

- Widziałem w życiu wiele niezwykłych rzeczy - mówił dalej - ale nigdy nie miałem czegoś, co można chyba nazwać doświadczeniem paranormalnym. Zapewne aż do dziś. Najbardziej przeraża mnie jednak to, że owo doświadczenie może trwać dalej. Nie wiem, po prostu nie wiem. Jedno, co mogę powiedzieć na pewno, to to, że w ciągu kilku ostatnich godzin działy się rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić.

- O czym ty gadasz? - Audrey wyglądała tak, jakby lada chwila miała się rozplakać. - Czy to, co już się stało, nie jest wystarczająco straszne? Czy trzeba dorobić do tego historię jak... jak... jak z opowieści przy ognisku?

- Jest - przyznał Johnny. Powiedział to cichym, spokojnym, pełnym współczucia głosem, którego brzmienie zdumiało nawet jego samego. - Tylko że to niczego nie zmienia.

- Lepiej mówię i słucham, kiedy nie umieram z głodu - stwierdziła trzeźwo Mary. - Ale tu chyba nie ma nic do jedzenia, prawda?

Tom Billingsley przesunął stopami po wykładzinie. Był wyraźnie zawstydzony.

- No... nie, właściwie nie, proszę pani. Właściwie przychodziliśmy tu wieczorami, żeby popić i pogadać o dawnych czasach.

- Tego się właśnie spodziewałam - westchnęła Mary.

Stary weterynarz machnął ręką w stronę prawego wejścia.

- Parę nocy temu Marty Ives przyniósł niewielką torbę czegoś tam. Prawdopodobnie sardynek. Uwielbiał sardynki z krakersami.

- Uuuch! - stęknęła Mary, ale wbrew samej sobie wyraźnie się tym zainteresowała.

Johnny uznał, że za dwie do trzech godzin zainteresują ją nawet *anchovies*.

- Sprawdź, może przyniósł coś jeszcze - zaproponował Billingsley, ale w jego głosie nie było nadziei. David poderwał się ze swego miejsca przed telewizorem.

- Jeśli pan chce, ja pójdę.

Stary tylko wzruszył ramionami. Nadal wpatrywał się w Audrey. Wydawało się, że sardynki Marty'ego Ivesa całkiem przestały go interesować.

- Kontakt będzie na ścianie po lewej, zaraz jak zejdziesz ze sceny - powiedział jeszcze. - Na wprost zobaczysz półki. Jeśli któryś z nas przynosił jakieś jedzenie, prawie zawsze kładł je tam. Może znajdziesz też jakieś krakersy.

- No, szanowni panowie, trzeba powiedzieć, że choć być może piliście odrobinę za wiele, ale przynajmniej pamiętaliście o przyzwoitej zakąsce - stwierdził Johnny. - Nie powiem, pochwalam.

Stary weterynarz zerknął na niego, wzruszył ramionami i powrócił do kontemplacji nóg Audrey Wyler. Audrey albo nie zauważyła, jak się w nie wpatruje, albo nic jej to po prostu nie obchodziło.

David ruszył w stronę wyjścia, przystanął, zawrócił i wziął swoją czterdziestkępiątkę. Zerknął na ojca, Ralph jednak nie patrzył na niego - tępy wzrok utkwił w widownię, w czerwone pluszowe fotele, rząd za rzędem znikające w mroku. Chłopiec ostrożnie schował rewolwer do kieszeni dżinsów, tak że wystawała z niej wyłącznie rękojeść i poszedł poszukać jedzenia. Kiedy przechodził obok Billingsleya, spytał:

- Czy gdzieś tu można się umyć?

- Jesteśmy na pustyni, synu. Na pustyni w opuszczonych budynkach przede wszystkim zakręca się wodę.

- O, rany! Cały jestem wysmarowany mydłem. Wszędzie mnie śwędzi.

Odszedł przez scenę; Johnny widział, jak staje przy wyjściu i pochyla się, wyciągając rękę. W chwilę później zapłonęło światło. Johnny odprężył się i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że oczekiwał, iż coś zaatakuje chłopca, a także zdał sobie sprawę z tego, że Billingsley przygląda mu się uważnie.

- To, co ten chłopak zrobił tam... to jak wyszedł z celi... po prostu dokonał niemożliwego - stwierdził stary.

- Więc widocznie nadal siedzimy w pierdłu - odparował Johnny. Miał wrażenie, że zabrzmiało to dobrze, że mówi jak na niego przystało, ale to, co powiedział Billingsley, jemu też zaświtało już w głowie. Znalazł nawet odpowiednie określenie: pomniejszy cud. Zapisałby je, gdyby nie to, że notatnik zgubił na poboczu szosy numer pięćdziesiąt. - No i co, siedzimy?

- Nie, jesteśmy tutaj i widzieliśmy, jak zrobił to, co zrobił. Natarł się mydłem i wylazł przez kratę, ślicznie jak pestka ze śliwki. Wyglądało to całkiem przekonująco, prawda? Ale powiem ci, przyjacielu, że nawet Houdini nie zrobiłby tego w ten sposób. Z powodu głowy. Głowa powinna mu się zablokować, ale się nie zablokowała. - Stary przyjrzał się im wszystkim po kolei, kończąc na Ralphie. Ralph patrzył teraz na niego raczej niż na kinowe fotele, Johnny nie był jednak pewien, czy zrozumiał słowa Billingsleya. A jeśli ich nie rozumiał, to może i dla niego dobrze?

- Do czego pan zmierza? - zainteresowała się Mary.

- Nie jestem pewien. Ale mam wrażenie, że najlepiej zrobimy, jeśli, że tak powiem, zacieśnimy szyki wokół młodego pana Carvera. - Zawahał się i brnął dalej. - My, starzy, mamy takie powiedzenie: w zimną noc dobre każde ognisko.

Stwór podniósł zwłoki kojota. Obejrzał je sobie dokładnie.

- *Soma* umiera, *pneuma* odchodzi, tylko *sarx* pozostaje - powiedział głosem, który był paradoksem sam w sobie: jednocześnie dźwięczny i matowy. - Tak było zawsze, tak zawsze będzie, żyje się ciężko, a potem umiera.

Zaniósł zwierzę na dół; łapy i strzaskany łeb zwisały bezwładnie, niczym zakrwawiona futrzana stuła. Zatrzymał się przez chwilę przy wejściu do urzędu miejskiego. Patrzył w ciemność, słuchał wycia wiatru.

- *So cah set!* - krzyknął, obrócił się i zabrał zwłoki do miejskiego biura.

Gdy tylko spojrzął na haczyki na ubrania, umieszczone po prawej od wejścia, natychmiast zauważył, że dziewczynka - dla jej brata Słodyczek - została zabrana na dół i owinięta w zasłonę.

Spojrzał na ten całun i jego bladą twarz wykrzywiła wściekłość.

- Zabrał ją na dół! - oznajmił martwemu kojotowi. - Ten brzydki, brzydki chłopiec zabrał ją na dół! Głupi, niegrzeczny chłopiec.

Tak. Brzydki chłopiec. Nieposłuszny chłopiec. Głupi chłopiec. W pewien sposób to nawet lepiej, prawda? Bardziej prawdziwie. Głupi Bożychłopczyk próbuje naprawić przynajmniej część tego, co się stało, jakby jakkolwiek część tego, co się stało, w ogóle można było naprawić, jakby śmierć była obrzydliwą plamą, którą zetrzeć może ze ściany silny mężczyzna. Jakby można było skończyć książkę, a potem zacząć ją czytać od nowa, aż do innego zakończenia.

Jednak przez gniew stwora biegł ścieg strachu, jak żółta nitka na czerwonym materiale, chłopiec bowiem nie poddawał się, a więc i reszta się nie podda. Nie powinni nawet pomyśleć o ucieczce przed

(jej Entragianem w nich)

nawet gdyby cele pozostały otwarte, otwarte na całą szerokość. A jednak uciekli. Z powodu chłopca, tego wstrętnego dumnego, nadętego, rozmodlonego Bożegochłopczyka, który okazał się wystarczająco bezczelny, by zdjąć z haka tę małą kurewkę, swoją siostrę, i zrobić jej coś przypominającego w najogólniejszych zarysach przyzwoity pogrzeb....

Stwór poczuł na dłoniach wilgotne ciepło. Spojrzął w dół i zobaczył, że dłonie Ellen wsadził w brzuch kojota aż prawie po nadgarstki.

Miał zamiar powiesić kojota na haczyku, po prostu dlatego, że większość swych ofiar wieszał na hakach, ale teraz przyszedł mu do głowy inny pomysł. Zaniósł kojota pod zwiniętą zieloną zasłonę, przyklął i rozwinął ją. Szczerząc zęby z wściekłości, przyglądał się zwłokom dziewczynki, która wyrosła w jej obecnym ciele.

Jak śmiał ją przykryć!

Wyciągnął ręce, pokryte ledwie ciepłą krwią z brzucha kojota i złożył go na Kirsten. Rozdziawił jego pysk tak, by zęby objęły szyję martwego dziecka, tworząc obrzydliwe, lecz i fascynujące *tableau de la mort*, przypominające trochę drzeworyt, ilustrujący jakąś okrutną bajkę.

- *Tak* - szepnął i uśmiechnął się.

Dolna warga Ellen Carver pękła przy tym uśmiechu, ale stwór nie zwrócił na to najmniejszej nawet uwagi, podobnie jak na cieknący jej po brodzie strumyczek krwi. Ten brzydki, ten niedobry chłopiec nigdy pewnie się nie dowie, że jego poprawki zostały skorygowane, przyjemnie jednak było wyobrazić sobie, jak zareagowałby, gdyby się dowiedział, gdyby zobaczył, jak niewiele wymagało to wysiłku, jak łatwo jest odebrać człowiekowi

godność, którą sobie przypisuje, jak łatwo jest sprowadzić do zera wszystkie te ludzkie, te wymyślone cyferki wartości.

Stwór naciągnął zasłonę aż po szyję kojota. Zwierzę i dziecko wyglądali teraz niemal jak kochankowie. Jakże żałował, że nie ma przy nim chłopca. Ojca też, ale przede wszystkim chłopca. Bo to przede wszystkim chłopiec potrzebował nauczki.

To chłopiec był niebezpieczny.

Za jego plecami rozległ się jakiś szelest... dźwięk zbyt cichy, by można go było usłyszeć, ale stwór usłyszał go mimo to. Obrócił się na kolanach Ellen i zobaczył wracające pająki. Weszły do urzędu miasta przez drzwi, skręciły w lewo i rozpoczęły wspinaczkę na ścianę, po ogłoszeniach informujących o co ważniejszych faktach z życia miasteczka i proszących ochotników o zgłaszanie się do organizacji jesiennej zabawy z okazji Święta Osadnika. Nad ogłoszeniem o nieformalnym spotkaniu z przedstawicielami Kompanii Górniczej Desperation, mającym na celu informację o zbliżającym się rozpoczęciu wydobycia w tak zwanej Chińskiej Jamie, pająki ustawiły się w krąg.

Wysoka kobieta w kombinezonie przepasanym pasem Sama Browne'a podniosła się z klęczek i podeszła do ściany. Krąg pajaków zadrżał, być może ze strachu, być może z ekstazy, być może z obu tych powodów naraz. Kobieta złożyła okrwawione ręce, rozłożyła je i zwróciła dłońmi ku ścianie.

- *Ah lah?*

Krąg rozpadł się. Pająki z precyzją dziewcząt od dopingu podczas przerwy w meczu ułożyły na ścianie inny kształt, kształt litery A, potem M, potem E...

Odesłała je gestem ręki, kiedy biegaly, nie mogąc zdecydować się, jak pokazać R.

- *En tow* - rozkazała. - *Ras.*

Pająki zrezygnowały z ułożenia R i z powrotem ustawiły się w drżący krąg.

- *Ten ah?*

Rozbiegły się i ustawiły w inny krąg, w symbol *ini*. Kobieta, na której palcach zachowały się linie papilarne Ellen, przyglądała się mu przez chwilę, założywszy ręce Ellen na ramiona Ellen i palcami Ellen postukując się po ramionach Ellen. Machnęła na nie ręką Ellen, Krąg *ini* pękł i pająki zaczęły zbiegać na podłogę.

Istota wróciła do holu, nie przejmując się biegającymi jej między nogami pajakami. Usłużą, kiedy będzie ich potrzebowała. Tylko to się liczyło.

Stanąła w dwuskrzydłowych drzwiach, popatrzyła w noc. Nie widziała stąd kina, nie przejmowała się tym jednak. Wiedziała, gdzie jest "American West" - jakieś dwieście metrów na północ, tuż za jedynym skrzyżowaniem ulic w miasteczku. Dzięki pająkom stwór wiedział, gdzie są wszyscy, a przede wszystkim, gdzie jest on.

Mały niegrzeczny Bożychłopczyk.

Johnny Marinville jeszcze raz opowiedział swoją historię, tym razem całą. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat postarał się uczynić opowieść jak najkrótszą - Ameryka pełna była krytyków, którzy przyklasnęliby jego wysiłkom, nie kryjąc przy tym niedowierzania. Opowiedział, jak zatrzymał się, żeby się wysikać, i jak, kiedy sikał, Entragian podłożył mu marihuanę do torby przy siodełku. Opowiedział o kojotach - o tym, z którym Entragian najwyraźniej rozmawiał, i o tych, które siedziały przy drodze w równych odstępach niczym jakaś cholerna gwardia honorowa. Opowiedział też o tym, jak został pobity. Opowiedział o zamordowaniu Billy'ego Rancourta i w końcu, prawie nie zmieniając tonu, opowiedział o tym, jak na rozkaz Coliego Entragiana zaatakowały go ścierwniki.

Na twarzy Audrey pojawił się wyraz nie ukrywanego niedowierzania, Johnny jednak dostrzegł także, że Steve i ta chuda dziewczyna, którą przygadał sobie gdzieś po drodze, wymieniają spojrzenia świadczące o tym, że go rozumieją i że jest im trochę niedobrze. Nie rozglądał się, by sprawdzić, jak to przyjmują inni, tylko wpatrzył się w złożone na kolanach dłonie, koncentrując się tak, jak koncentrował się, kiedy miał problemy z napisaniem jakiegoś trudnego fragmentu.

- Powiedział mi, żebym go wyssał. Wziął w usta jego członek. Jak sądzę, chciał doprowadzić do tego, żebym zaczął bełkotać, czołgać mu się u stóp, błagać, ale pomysł ten nie wstrząsnął mną tak, jak zapewne tego oczekiwał. Żądanie stosunku oralnego to dość typowe wymaganie w sytuacji, gdy władza rozciąga się poza swe zwykłe granice, poza normalne ograniczenia, nie jest jednak naprawdę tym, czym wydaje się być. Pozornie gwałt jest wyrazem dominacji, agresji, w rzeczywistości jednak świadczy o gniewie zrodzonym ze strachu.

- Dziękuję panu, doktorze Ruth - sarknęła Audrey. - Nastempnie brzedyskutujemy fagę czynika.

Johnny spojrział na nią bez urazy.

- Napisałem powieść o gwałcie homoseksualnym. "Rozkosz". Nie była oszała-miającym krytycznym sukcesem, ale rozmawiałem z wieloma ludźmi i chyba nieźle opanowałem podstawy do tematu. W każdym razie, zamiast się przestraszyć, dostałem ataku wściekłości. Wtedy zdawałem już sobie sprawę z tego, jak niewiele mam do stracenia. Więc co tam, powiedziałem mu, że wezmę go w usta, ale jak tylko mi włoży, odgryzę mu członek. A potem... potem...

Przerwał. Myślał, myślał intensywniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiwając głową, jakby przytakiwał swym myślom.

- ...potem rzuciłem mu w twarz jedno z tych jego nonsensownych słów. W każdym razie mnie wydawało się nonsensowne, jakby to on wymyślił sobie język, jakiś taki gardłowy...

- Czy to było słowo *tak*? - przerwała mu Mary.

Johnny skinął głową.

- Ale dla kojotów - mówił dalej - i dla samego Entragiana z pewnością miało jakiś sens. Kiedy je powiedziałem, jakby się zachwiał... i właśnie wtedy zarządził bombardowanie mnie przez ścierwnika.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - wycodziła Audrey. - Zdaje się, że jesteś słynnym pisarzem czy kimś takim i wyglądasz mi na gościa, który nie jest przyzwyczajony, by, powiedzmy, powątpiewano w jego uczciwość, ale ja po prostu ci nie wierzę.

- Co nie zmienia faktu, że tak właśnie było - stwierdził spokojnie Johnny. - A pani nie widziała niczego w tym rodzaju? Zwierząt zachowujących się niecodziennie... agresywnie.

- Przecież siedziałam w pralni. Halo, proszę pana, czy my mówimy tym samym językiem?

- Ale...

- Słuchaj, chcesz pogadać o agresywnym zwierzęcym zachowaniu? - Audrey pochyliła się. Błyszczące, nieruchome oczy wpatrywały się w twarz Johnny'ego. - To mów o Colliem! Colliem takim, jakim jest teraz. Zabijał wszystkich, którzy choćby nasunęli mu się przed oczy, wszystkich, którzy wpadli na niego, choćby przypadkiem. Czy to ci nie wystarczy? Potrzebujesz jeszcze tresowanych ścierwników?

- A co z pajakami? - spytał Steve.

Nie siedzieli już na poręczach fotela, lecz w fotelu i Steve obejmował tę swoją dziewczynę.

- Jak to, co?

- Czy widziałaś może pająki, które... jak by to powiedzieć... gromadziły się?

- Jak ptaki przed odlotem do ciepłych krajów? - upewniła się Audrey, patrząc na niego wymownie.

Uwaga, szaleniec na wolności.

- No, nie. Użyłem złego słowa. Pająki w stadzie. Jak wilki. Albo kojoty.

Tylko potrząsnęła głową.

- A węże?

- Nie widziałam żadnego węża. Nie widziałam w mieście ani jednego kojota. Nie widziałam nawet psa na rowerze, w cylindrze na łbie. Wszystko to jest dla mnie nowością.

Na scenę wrócił David. Niósł ze sobą niewielką brązową, papierową torbę - taką, w jaką sprzedawcy w sklepach wkładają drobne zakupy: baloniki, karton mleka, pojedyncze puszki piwa. Pod pachą trzymał także pudełko krakersów Ritz.

- Coś znalazłem - oznajmił.

- Aha. - Steve podejrzliwie przyjrzał się pudełku i niewielkiej torebce. - To z pewnością położy kres głodowi w Ameryce. Ile tego jest, Davey? Sardynka i dwa krakersy na głowę, czy może mniej?

- Mamy całkiem sporo do jedzenia - odparł spokojnie David. Umilkł i przyjrzał się im z namysłem... oraz pewną dozą niepokoju. - Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebym pomodlił się, nim zaczniemy jeść?

- O łaskę? - spytała Cynthia.

- O łaskę, owszem.

- Dla mnie bomba - orzekł Johnny. - Mam wrażenie, że przyda nam się każdy okruszek łaski, jaką uda się skądś wygrzebać.

- Amen - zakończył Steve.

David ustawił torbę wraz z pudełkiem krakersów na podłodze, pomiędzy stopami. Potem zamknął oczy i złożył dłonie na wysokości twarzy. Johnny'ego z siłą ciosu uderzyła bezpretensjonalność chłopca. Praktyka uczyniła z tego prostego gestu dzieło sztuki.

- Pobłogosław, Boże, te pokarmy, które będziemy spożywali... - rozpoczął David.

- Tak, ile jego jest - przerwała mu Cynthia i natychmiast się zawstydzila. Chłopcu najwyraźniej to jednak nie przeszkadzało. Być może nawet jej nie usłyszał.

- Pobłogosław nas wszystkich, opiekuj się nami i wyzwól nas od zła. Proszę, wyzwól od zła także moją pannę, jeśli taka jest Twoja wola. - Przerwał, a potem, ciszej, dokończył modlitwę. - Prawdopodobnie nie jest, ale proszę, uratuj ją, jeśli chcesz. W imię Jezusa. Amen.

Modlitwa dziecka poruszyła Johnny'ego. Dotknęła tego miejsca w jego duszy, którego bezskutecznie próbował dotknąć Entragian.

Pewnie, że dotknęła. Ponieważ on wierzy. Na swój pokorny sposób, który z papieża Jana Pawła w jego

wspaniałych strojach i kapeluszu z Las Vegas zrobił chrześcijanina na pokaz.

David tymczasem pochylił się i podniósł jedzenie. Grzebiąc w torbie sprawiał wrażenie tak szczęśliwego, jak gość prowadzący jadłodajnię dla ubogich, prezydujący podczas kolacji w Święto Dziękczynienia.

- Mary, proszę. - Wręczył jej sardynki Blue Fjord. - Kluczyk jest na spodzie puszki.

- Bardzo ci dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Podziękuj przyjacielowi pana Billingsleya. To jego jedzenie. - Do sardynek dodał puszkę krakersów. - Podaj je dalej, dobrze?

- Bierz, ile chcesz, i zostaw resztę - stwierdził radośnie Johnny. - Tak mawia się w kręgu przyjaciół, prawda, Tom?

Stary spojrział na niego załzawionymi oczami. Nie odpowiedział. David tymczasem wręczył po puszcze sardynek Steve'owi i Cynthii.

- Nie, skarbie, nie. Jedna wystarczy. - Cynthia próbowała oddać mu swoją puszkę. - Podzielimy się.

- Nie musicie. Jest dość dla wszystkich. Daję słowo.

Rozdał sardynki Audrey, Tomowi, Johnny'emu. Johnny kilkakrotnie obrócił swoją puszkę w palcach, jakby chciał upewnić się, że jest prawdziwa, a potem zerwał opakowanie, znalazł kluczyk i założył jego szczelinę na wystający pasek blachy. Otworzył puszkę i gdy tylko poczuł zapach sardynek, zorientował się, że jest wściekle głodny. Gdyby kiedyś, wcześniej, ktoś powiedział mu, że te cholerne rybki wywołają u niego taką reakcję, roześmiałby mu się w oczy.

Ktoś poklepał go po ramieniu. To Mary, z pudełkiem krakersów. Wyrażnie popadła w zachwyt. Olej spływał jej z kącików ust na brodę lśniącymi strużkami.

- Bierz - powiedziała. - Wspaniale smakują z sardynkami. Naprawdę.

- Jasne - przytaknęła Cynthia radośnie. - Zawsze powtarzałam, że najlepiej się rzyga po ritu.

Johnny wziął od niej pudełko, zajrzał do środka i stwierdził, że pozostała w nim zaledwie połowa jednej porcji zapakowana w bibułkowy papier. Wziął trzy pomarańczowe krakersy. Żołądek burczeniem zaprotestował przeciw tej wstrzemięźliwości; Johnny złamał się i dobrał jeszcze trzy, a potem podał pudełko Billingsleyowi. Ich oczy spotkały się na moment; spojrzenie starego przypominało mu jego słowa - "nawet Houdini nie zdołałby tego dokonać w ten sposób. Z powodu głowy". No i był jeszcze telefon - trzy paski, kiedy trzymał go David, brak sygnału transmisji, kiedy trzymał go on.

- To załatwia sprawę raz na zawsze - stwierdziła Cynthia z pełnymi ustami. Głos miała co najmniej tak szczęśliwy, jak szczęśliwa była twarz Mary. - Jedzenie jest o wiele lepsze od seksu.

Johnny zerknął na Davida. Chłopiec przysiadł na poręczy fotela ojca, zjadając z apetytem. Ralph trwał z nie otwartą puszką na kolanach, wpatrując się w rzędy kinowych foteli. Jego syn ostrożnie położył na krakersie kilka sardynek ze swojej puszki i wręczył go tacie, tata zaś zaczął mechanicznie przeżuwać jedzenie, jakby jego jedynym celem było jak najszybsze opróżnienie ust. Widząc na twarzy Davida tak głęboką troskę, tak wielką miłość, Johnny nagle poczuł się zażenowany, jakby podglądał przez dziurkę od klucza. Szybko odwrócił oczy i dostrzegł leżącą na wykładzinie paczkę krakersów. Towarzystwo zajęte było jedzeniem i nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi, więc podniósł paczkę i zajrzał do środka.

Wszyscy jedli krakersy. Każdy z nich wziął co najmniej sześć, Billingsley prawdopodobnie więcej, ten stary kozioł prawie się nimi dławiał, a jednak Johnny mógłby przysiąc, że nadal zawiera pół jednej porcji i że jest w

niej tyle krakersów, ile było na początku.

4

Ralph złożył na ich użytek relację o wypadku Carverów. Mówił tak zrozumiale, jak tylko potrafił, na przemian to zajadając sardynki z krakersami, to wybuchając potokiem słów. Bardzo chciał myśleć jasno, ciężko pracował, by oprzytomnieć - ze względu na syna raczej niż na samego siebie - ale przychodziło mu to z wielkim trudem. Przed oczami miał wyłącznie obraz Kirstie, leżącej nieruchomo u stóp schodów, obraz Ellie, którą Entragian ciągnie za ramię przez areszt. "Nie martw się, Davidzie, wróć" - powiedziała, ale on, który w ciągu czternastu lat ich małżeństwa poznał każdy odcień i każdy szczegół jej głosu, miał wrażenie, że słowa te powiedziała Ellen, która już pożegnała się z życiem. Mimo to musi przynajmniej próbować być tu, musi przynajmniej próbować wrócić tu z regionów, do których próbował zabrać go jego zszokowany, przeciążony i gnębiony poczuciem winy umysł. Musi próbować. Dla Davida.

Ale było mu bardzo ciężko.

- No i żadnego buntu w świecie zwierząt - podsumowała Audrey, kiedy skończył. - Bardzo mi przykro z powodu pana żony i córeczki. Współczuję panu. Naprawdę.

- Dziękuję - odparł Ralph, a kiedy David dodał: "Z mamą przecież nie wszystko jeszcze stracone", zmierzwił mu włosy i powiedział: - Oczywiście, masz rację.

Potem przyszła kolej na Mary, która opowiedziała o torbie marihuany pod zapasowym kołem i o tym, jak odczytując im formułkę aresztowania, Entragian wplótł w nią słowa: "zabiję was", a także o tym, jak zastrzelił jej męża bez ostrzeżenia i bez najmniejszej prowokacji z jego strony.

- Nadal brak mi dzikich zwierząt - stwierdziła Audrey.

Jakby to była dla niej teraz najważniejsza sprawa. Podniosła puszkę sardynek i wypła z niej olej, najwyraźniej nie uważając, by był to powód do zażenowania.

- Albo nie słyszałaś, jak mówiłam o kojocie, który na jego rozkaz pilnował nas w celach, albo nie chciałaś słyszeć - stwierdziła Mary.

Audrey lekceważąco machnęła ręką. Siedziała teraz, dzięki czemu Billingsley miał jakieś dziesięć centymetrów jej nóg więcej do podziwiania. Ralph też na nie patrzył, ale nie wywoływało to u niego najdrobniejszej nawet reakcji. Miał wrażenie, że w niektórych bardzo starych akumulatorach samochodowych więcej jest prądu niż w nim jakichkolwiek uczuć, przynajmniej w tej chwili.

- Przecież można je oswoić - stwierdziła Audrey. - Karmić jedzeniem dla psów i wytresować dokładnie jak psy. To fakt!

- A czy widziałaś może kiedyś Entragianą spacerującego po ulicy z kojotem na smyczy? - spytał ją grzecznie Marinville.

Rzuciła mu złe spojrzenie. Zaciśnęła zęby.

- Nie. Raz i drugi z nim rozmawiałam, jak z każdym z mieszkańców miasteczka, ale na tym kończyła się nasza znajomość. Większość czasu spędzałam w kopalni, laboratorium albo jeżdżąc po pustyni. Życie towarzyskie Desperation niezbyt mnie interesowało.

- A co z tobą, Steve? - spytał Johnny. - No, strzelaj.

Ralph dostrzegł, jak żylasty mężczyzna mówiący z teksaskim akcentem wymienia spojrzenie z przyjaciółką - jeśli była to jego przyjaciółka - a potem patrzy swemu szefowi w oczy.

- No, po pierwsze, jeśli powiesz agentowi, że zabrałem autostopowiczkę, to pewnie stracę premię.

- Mój agent to, jak sądzę, najmniejszy z twoich problemów, przynajmniej w tej chwili. No, mów.

Opowiedzieli swą historię oboje, mówiąc na przemian, w pełni świadomi tego, że to, co widzieli i czego doświadczyli, mocno przekracza granice prawdopodobieństwa. Oboje byli wyraźnie źli, bo po prostu nie potrafili wyrazić, jak wstrętny był posążek, który znaleźli w laboratorium, i jak ogromny miał na nich wpływ, żadne z nich nie miało też zamiaru opowiedzieć wyraźnie, co im się zdarzyło, kiedy wilk (zgodzili się co do tego, że z pewnością był to wilk, nie kojot) przyniósł tę figurkę i złożył ją przed ich samochodem. Ralph miał wrażenie, że było to coś o charakterze seksualnym, choć nie wiedział, co aż tak złego może być w zdarzeniu o charakterze seksualnym.

- Nadal niewierny Tomasz? - zwrócił się Johnny do Audrey, kiedy Cynthia i Steve skończyli opowieść.

Powiedział to łagodnie, jakby nie chciał, by kobieta poczuła się zagrożona.

Oczywiście, że nie chce, by poczuła się zagrożona - pomyślał Ralph. - Pozostało siedem osób; próbuje zrobić z nas jedną drużynę. I całkiem nieźle mu to wychodzi.

- Sama nie wiem. - Audrey sprawiała wrażenie oszołomionej. - Wcale nie pragnę uwierzyć w całe to gówno... samo mówienie o nim denerwuje mnie do szaleństwa... ale po prostu nie wiem, dlaczego mielibyście kłamać. - Przerwała, a po chwili dodała z namysłem: - Chyba że widok wszystkich tych ludzi wiszących w Jaskini Hernanda... no, nie wiem... tak was wystraszył, że mieliście...

- Że mieliśmy halucynacje? - dokończył za nią Steve.

Skinęła głową.

- Węże, które widzieliście w domu... to przynajmniej brzmi sensownie. Węże wyczuwają burze takie jak ta nawet do trzech dni wcześniej i chronią się, gdzie tylko mogą. Jeśli chodzi o resztę... No, nie wiem. Jestem naukowcem i nie rozumiem...

- Miła pani, zachowujesz się pani jak dziecko, które udaje, że ma zasznurowane usta, żeby nie musieć zjeść brokuła - przerwała jej Cynthia. - Wszystko, co widzieliśmy i o czym tu powiedzieliśmy, pasuje do tego, co ten tu pan Marinville widział przed nami, Mary przed nim, a Carverowie przed Mary. Wszystko, łącznie z takim drobiazgiem jak płot przewrócony w miejscu, w którym Entragian rozjechał tego fryzjera czy kogo tam. Daj sobie spokój z tymi bzdurami o naukowcach. Każdy tu wysłuchał wszystkiego, tylko ty nie słyszałaś niczego.

- Tylko że ja niczego takiego nie widziałam! - Audrey niemal krzyczała.

- A co pani widziała? - spytał Ralph. - Bardzo chcielibyśmy wiedzieć.

Audrey założyła nogę na nogę i obciągnęła sukienkę.

- Zrobiłam sobie przerwę - zaczęła. - Miałam cztery dni wolne, więc spakowałam Sally i pojechałam na północ, w Coppers Range. To moje ulubione miejsce w Nevadzie.

Ralph odnosił wrażenie, że się broni, tłumaczy, jakby ktoś kiedyś zarzucił jej coś w związku z taką wycieczką. Billingsley tymczasem drgnął, jakby budził się ze snu, najprawdopodobniej snu, w którym pięty Audrey Wyler wbijały mu się w chude pośladki.

- Sally? - powtórzył. - Jak się ma Sally?

Zaskoczona, kobieta patrzyła na niego przez chwilę, a potem uśmiechnęła się serdecznie jak mała dziewczynka.

- Bardzo dobrze, dziękuję.
- Żadnych śladów po naciągnięciu?
- Żadnych. Okłady okazały się doskonałe.
- Miło mi to słyszeć.
- O czym wy mówicie? - zdziwił się Marinville.
- Leczyłem jej konia mniej więcej przed rokiem - wyjaśnił stary. - To wszystko.

Ralph nie był pewien, czy pozwoliłby temu człowiekowi choćby zbliżyć się do swojego konia, gdyby miał konia; nie był nawet pewien, czy oddałby w jego ręce bezpańskiego psa, ale być może przed rokiem weterynarz prezentował się znacznie lepiej. Jeśli ktoś pije na serio, rok może spowodować spore zmiany. I to wcale nie na lepsze.

- Stawianie Grzechotnika na nogi było dość wyczerpujące - mówiła dalej Audrey. - Zwłaszcza że przestawiono się z pryskania na emitery. Kilka orłów zdechło...

- Kilka! - przerwał jej Billingsley. - Niech pani da spokój i mówi z sensem.

- No dobrze, dobrze, łącznie około czterdziestu. W skali gatunku nie była to wielka strata, w Nevadzie jest mnóstwo orłów. O czym pan doskonale wie, doktorze. Podobnie jak ci zieloni. A mimo wszystko traktują każdą sztukę, jakbyśmy zabili dziecko. Chodzi im o jedno, wyłącznie o jedno, o powstrzymanie wydobycia miedzi. Boże, czasami doprowadzają mnie po prostu do szału. Przyjeżdżają zgrabnymi zagranicznymi samochodami, w każdym ze dwadzieścia kilo amerykańskiej miedzi i próbują nam udowodnić, że jesteśmy gwałcącymi Matkę Ziemię potworami. Ci ludzie po...

- Proszę pani - przerwał jej Steve. Mówił cicho, spokojnie. - Proszę pani, nikt z nas nie należy do Greenpeace.

- Oczywiście, oczywiście. Chcę tylko powiedzieć, że wszyscy czuliśmy się cholernie głupio z powodu orłów, jastrzębi i kruków też, jeśli już o to chodzi, chociaż ci kochankowie drzew opowiadają o nas takie rzeczy. - Powiodła wzrokiem po obecnych, jakby chciała sprawdzić, czy bez zastrzeżeń uwierzyli w jej szczerość. - Miedź ługujemy kwasem siarkowym. Najłatwiej jest dokonać tego przez natryskiwanie maszynami przypominającymi trochę wielkie nawadniacze do trawników. Czasami zostawiają kałuże kwasu. Ptaki je widzą, zlatują, by napić się i wykapać, i zdychają. Nie jest to łatwa śmierć.

- Nie - zgodził się z nią Billingsley, mrugając zażawionymi oczami. - Kiedy w Chińskiej Jamie... i w Desatoya... wydobywano złoto, jeszcze w latach pięćdziesiątych, powstawały kałuże cyjanku. Równie obrzydliwego. Tylko że wtedy nie było zielonych i innych kochanków drzew. Firma miała łatwiejsze życie, prawda, panno Wyler?

Wstał, podszedł do baru, nalał sobie niewielką porcję whisky i wypił ją jednym łykiem, jak lekarstwo.

- Mógłbym też taką dostać? - spytał Ralph.

- Tak jest, szanowny panie, nie widzę przeszkód.

Billingsley wręczył mu drinka, po czym przygotował jeszcze parę szklanek. zaproponował ciepłą colę i soki, lecz pozostali zadowolili się nie gazowaną wodą mineralną; nalał im ją z dużych plastikowych butelek.

- Zdjęliśmy natryskiwacze i zastąpiliśmy je emiterami - mówiła dalej Audrey. - Jest to system kropelkowy, droższy od natryskiwania, znacznie droższy, ale nie pozostawia zwabiających ptaki kałuży.

- Nie pozostawia - przytaknął stary i nalał sobie drugą niewielką porcję.

Znad krawędzi szklanki znów z napięciem wpatrywał się w nogi Audrey.

5

Czyżby pojawił się problem?

Zapewne nie, jeszcze nie... lecz może się pojawić, jeśli właściwe kroki nie zostaną podjęte natychmiast.

Stwór wyglądający jak Ellen Carver siedział za biurkiem w pustym teraz areszcie. Głowę miał uniesioną, oczy błyszczały mu mocno. Wiatr wył miarowo, a z nieco bliższej odległości dobiegał stuk pazurów łap wchodzącego po schodach zwierzęcia. Ucichł, gdy znalazło się przy drzwiach. Rozległ się krótki, chrapliwy warkot i popchnięte pyskiem drzwi otworzyły się.

Puma była duża jak na samicę, miała być może metr osiemdziesiąt od pyska do zadu, a gruby, poruszający się w tej chwili wahadłowo ogon dodawał jej jeszcze metr.

Weszła do aresztu na ugiętych łapach, szorując niemal brzuchem po ziemi. Uszy położyła na trójkątnym łbie. Stwór sięgnął w jej mózg nieco głębiej, pragnąc już nie tylko przywołać zwierzę, lecz także dowiedzieć się, co czuje.

Puma bała się. Wciągała powietrze, rozpoznawała panujące w nim zapachy, segregowała je, lecz w żadnym z nich nie znajdowała otuchy. Była to ludzka jaskinia, ale problem polegał nie tylko na tym.

Czuła kłopoty - na przykład zapach prochu; w jej nozdrzach był on nadal silny, drażniący, ostry. I zapach strachu, jak pot z płonącej trawą. I zapach krwi - krwi kojota i krwi człowieka. No i było jeszcze coś siedzącego na krześle, co przyglądało się zwierzęciu, które nie chciało do niego podejść, ale nie mogło nie podejść. To coś wyglądało jak człowiek, ale nie pachniało człowiekiem. Jego zapach nie przypominał żadnego zapachu, który puma czuła kiedykolwiek.

Skuliła się przy nogach tego czegoś, popiskując żałośnie.

To coś wstało z fotela, opadło na kolana Ellen Carver, wzięło pysk w dłonie Ellen Carver i zajrzało zwierzęciu wprost w ślepią. Przemówiło do niego szybko tym innym językiem, językiem nieuformowanych, tłumacząc mu, dokąd ma pójść, jak długo ma czekać i co ma zrobić, kiedy nadejdzie czas. Ci tam mieli broń i prawdopodobnie zabiją pumę, lecz przecież ona zdąży zrobić to, co ma zrobić.

Podczas tej przemowy z nosa Ellen pociekła krew. Stwór poczuł ją na policzku i wytarł dłonią Ellen. Na policzkach i szyi Ellen pojawiły się pęcherze. Cholerna grzybica! Drobiazg, ale przecież to dopiero początek. Dlaczego niektóre kobiety po prostu nie umieją o sobie zadbać?

- To wszystko - powiedział pumie. - A teraz idź. Czekaj na właściwą chwilę. Będę słuchał z tobą.

Puma znów pisnęła żałośnie, szorstkim jęzorem polizała dłoń stwora w ciele Ellen Carver, odwróciła się i wyszła.

Stwór wygodnie rozsiadł się w fotelu. Zamknął oczy Ellen Carver. Słuchał nieprzerwanej nawałnicy bijącego w okna piasku. Jego część towarzyszyła pumie.

Rozdział 2

1

- No więc miała pani trochę wolnego, osiodłała pani konia i wybrała się na kilkudniową wycieczkę - powiedział Steve. - Co dalej?

- Spędziłam cztery dni w Coppers. Łowiłam ryby, fotografowałam... fotografia to moje hobby. Wspaniale się bawiłam. Potem, trzy dni temu, wróciłam do kopalni. Pojechałam wprost do domu. Mieszkam na północy miasteczka.

- Dlaczego pani wróciła? - spytał Steve. - Nie chodziło przecież o pogodę, prawda?

- Nie. Miałam ze sobą małe radyjko. Zapowiadali słońce i upały.

- Ja też słyszałem tylko takie prognozy. Ta burza to całkowita niespodzianka.

- Umówiłam się z Allenem Symesem, głównym księgowym firmy. Chciał przedyskutować finansowe skutki przejścia z natryskiwaczy na emitery. Miał specjalnie przylecieć z Arizony. Wyzaczyliśmy sobie spotkanie przedwczoraj rano, o dziewiątej. W Jaskini Hernanda. Tak nazywaliśmy laboratorium i biura tam, za miastem. W każdym razie dlatego włożyłam tę cholerną sukienkę. Z powodu spotkania. Frank Geller powiedział mi, że Symes nie lubi... nie lubił kobiet w dzinsach. Wiem, że kiedy wróciłam, wszystko było w porządku, bo zaraz zadzwonił Frank i powiedział, żebym włożyła sukienkę. Wieczorem, koło siódmej.

- Kto to taki Frank Geller? - przerwał jej Steve.

- Główny inżynier kopalni - wtrącił Billingsley. - Kieruje uruchomieniem Chińskiej Jamy. - Spojrzał pytająco na Audrey. - A przynajmniej kierował.

Audrey skinęła głową.

- Kierował - przytaknęła. - Nie żyje.

- Trzy dni temu - powtórzył z namysłem Marinville. - Z tego, co wiesz, trzy dni temu w Desperation wszystko było jak należy, prawda?

- Owszem. Tylko że kiedy znów zobaczyłam Franka, wisiał na haku. I nie miał dłoni.

- Widzieliśmy go - wtrąciła Cynthia. Zadrzała. - Widzieliśmy także jego dłoń. Na dnie akwarium.

- Jeszcze przedtem, w nocy, budziłam się przynajmniej dwukrotnie. Za pierwszym razem wydawało mi się, że grzmi, ale za drugim razem huk brzmiał jak strzał. Pomyślałam, że mi się przyśniło, i wróciłam do łóżka. Pewnie wtedy... pewnie wtedy zaczął. Potem, kiedy dojechałam do biura...

Audrey relacjonowała dalej. Powiedziała, że kiedy dojechała na miejsce, nie zauważyła niczego podejrzanego, a już z pewnością nie wydało się jej podejrzanym, że za biurkiem nie ma Brada Josephsona - Brad uciekał zza biurka, kiedy tylko mógł. No więc poszła do Jaskini Hernanda i zobaczyła to, co wkrótce po niej mieli zobaczyć Steve i Cynthia - ciała na hakach. Wisieli tam chyba wszyscy, którzy rano przyszli do pracy, łącznie z mężczyzną w krawacie i butach, jakich pozazdrościłby mu piosenkarz country. Allen Symes przyleciał aż z Phoenix tylko po to, by zginąć w Desperation.

- Jeśli się przypadkiem nie mylicie - zwróciła się do Steve'a - Entragian musiał wrócić do kopalni. Nie liczyłam trupów, zbyt się bałam, żeby w ogóle o tym pomyśleć, ale wtedy nie było ich więcej niż siedem. Po prostu

mnie sparaliżowało. Być może na jakiś czas straciłam nawet przytomność, nie jestem pewna. Potem usłyszałam strzały. Tym razem nie miałam wątpliwości, że to strzały. Słyszałam także krzyki. Potem rozległy się kolejne strzały i krzyki umilkły.

Audrey wróciła do samochodu... powoli. Powiedziała, że bała się biec, bała się, że jeśli zacznie biec, wpadnie w panikę. Wróciła do miasteczka. Chciała poinformować Jima Reeda o tym, co zobaczyła w kopalni. Gdyby Jim wyjechał gdzieś w sprawach hrabstwa, co często się zdarzało, chciała poinformować o wszystkim jego zastępców - Entragiana lub Pearsona.

- Nie biegłam do samochodu. Do miasteczka jechałam powoli, ale mimo wszystko byłam w szoku - mówiła. - Pamiętam, że szukałam papierosów w skrytce, choć pięć lat temu rzuciłam palenie. Potem zobaczyłam, jak przez skrzyżowanie biegną dwie osoby. Wiecie, tam gdzie są światła.

Słuchacze ze zrozumieniem pokiwali głowami.

- Zaraz za nimi przez skrzyżowanie przejechał z rykiem ten nowy radiowóz. Prowadził go Entragian, ale o tym wówczas oczywiście nie wiedziałam. Usłyszałam trzy, może cztery strzały i ludzie, których ścigał, upadli na chodnik, jedna osoba tuż przy sklepie spożywczym, druga kawałek dalej. Widziałam krew... mnóstwo krwi. Radiowóz nawet nie zwolnił; przeleciał po prostu przez skrzyżowanie, jadąc na zachód, niemal natychmiast znów rozległy się strzały. Jestem prawie pewna, że kierowca krzychał "Juuuhuuu!"

Chciałam pomóc ludziom, których postrzelił... to znaczy jeśli w ogóle można byłoby im pomóc. Podjechałam jeszcze kawałek i wysiadłam z samochodu. Prawdopodobnie to właśnie ocaliło mi życie, że wysiadłam z samochodu. Entragian strzelał do wszystkiego, co się ruszało. Do wszystkiego! Samochody stały na środku ulicy, krzywo, jakieś takie porozrzucane jak dziecinne zabawki. Było ich kilka, może nawet kilkanaście. Widziałam dostawcze el camino przewrócone na bok. Należało chyba do Tommy'ego Ortegi. Kochał ten samochód jak dziewczynę.

- Ja nie widziałem niczego takiego - wtrącił Johnny. - Kiedy mnie przywiózł, ulice były praktycznie puste.

- Taaa. Sukinsyn pilnuje porządku, trzeba mu to przyznać. Moim zdaniem nie chce, żeby ktoś, kto przypadkowo trafił do Desperation, zaczął się dziwić. Co prawda zmiotł śmieci pod wycieraczkę, ale i tak zyskał na czasie. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę tę cholerną burzę.

- Nie zapowiedzianą burzę - wtrącił z namysłem Steve.

- Owszem. W prognozach nie było o niej nawet wzmianki.

- Co się stało później? - spytał David.

- Podbiegłam do ludzi, których postrzelił. Najpierw do Evelyn Shoenstack, która prowadziła "Cut'n Curl" i trochę pracowała w bibliotece. Nie żyła. Jej mózg zachlapał ładny kawałek chodnika.

Mary skrzywiła się. Audrey dostrzegła to i zwróciła się do niej.

- O tym musicie koniecznie pamiętać - powiedziała z naciskiem. - Jeśli was zauważy i zdecyduje się strzelać, to koniec. - Przerwała i przyjrzała się uważnie każdemu z nich po kolei. Może podejrzewała, że wezmą jej słowa za żart? Albo uznają, że przesadza? - Strzela jak snajper. Strzela, żeby zabić. I zabija.

- Będziemy o tym pamiętać - zapewnił ją Steve.

- Drugi był dostawca. W mundurku Tastykake. Entragian trafił go w głowę, ale chłopak jeszcze żył.

Mówiła teraz spokojnie. Johnny znał ten spokój. Zetknął się z nim w Wietnamie, co najmniej po kilku potyczkach. Sam oczywiście nie walczył. Całe jego uzbrojenie składało się długopisu w jednej ręce, notesu w

drugiej i przewieszono go przez ramię magnetofonu Uhera z przyczepionym do paska znaczkiem pacyfistów. Patrzył, słuchał, notował i czuł się kompletnie poza nawiasem. Czuł zazdrość. Gorzkie myśli, które wówczas snuł - eunuch w haremie, pianista w burdelu - teraz wydawały mu się kompletnie szalone.

- Miałam dwanaście lat, jak dostałam od ojca dwudziestkę-dwójkę - ciągnęła Audrey Wyler. - Od razu wyszłam przed dom i strzeliłam do sójki. Kiedy do niej podeszłam, jeszcze żyła. Drżała, patrzyła przed siebie i otwierała, a potem zamykała dziób, bardzo powoli. Nigdy potem nie chciałam aż tak odczynić tego, co zrobiłam. Uklękałam przy niej i czekałam, aż zdechnie. Uważałam, że to przynajmniej jestem jej winna. Sójka leżała tak, drżąc i wreszcie, wreszcie zdechła. Ten chłopak też drżał. Patrzył za mnie, wzdłuż ulicy, chociaż nie było tam nikogo. Czoło pokrywał mu pot, małe kropelki potu. Głowę miał zdeformowaną, a na ramionach coś białego, takie okruchy. Najpierw pomyślałam bez sensu, że to plastikowe kulki, takie jakimi wypełnia się pudła, kiedy pakuje się w nie coś kruche, a potem zobaczyłam, że nie, że to odpryski kości. Wiecie, z czaszki.

- Nie chcę tego dalej słuchać - powiedział nagle Ralph.

- Wcale ci się nie dziwię - odparł Johnny - ale sądzę, że powinniśmy wiedzieć. Może poszlibyście z Davidem sprawdzić, co ciekawego można znaleźć tam, za ekranem?

Ralph skinął głową, wstał i zrobił krok w stronę Davida.

- Nie - zaproponował chłopiec. - Musimy zostać.

Ojciec spojrział na niego niepewnie. Syn skinął głową.

- Bardzo mi przykro, ale naprawdę musimy.

Ralph stał przez chwilę nieruchomo, a potem zajął swe miejsce w fotelu.

Johnny tymczasem przyglądał się Audrey. Widział, jak patrzy na chłopca - ze strachem, ze zdumieniem, a może z jednym i drugim naraz - jakby nigdy nie widziała kogoś takiego jak on. Przypomniawszy sobie krakersy wyskakujące z puszek jak cyrkowi kłowni z maleńkiego samochodzika i po prostu musiał zadać sobie pytanie, czy którekolwiek z nich kiedykolwiek widziało kogoś choćby trochę podobnego do Davida. Przypomniawszy sobie paski sygnału transmisji na wyświetlaczu motoroli i Billingsleya mówiącego, że takiego cudu nie dokonałby nawet Houdini. Z powodu głowy. Do tej pory zajmowali się głównie ścierwnikami, pajakami, kojotami, szczurami wyskakującymi ze stosu opon, domami, w których pełno było grzechotników, a przede wszystkim Entragianem, mówiącym językiem zwierząt i strzelającym niczym Buffalo Bill. Zapomnieli o Davidzie. Kim właściwie jest David?

- Mów dalej, Audrey - powiedziała Cynthia. - Tylko może, wiesz, z "dozwolone od lat osiemnastu" przejdź na "pod opieką osoby dorosłej", dobrze?

Audrey Wyler przyglądała się jej, jakby nie do końca rozumiała, o co chodzi. Potem skinęła głową i kontynuowała opowieść.

2

- Klęczałam przy tym chłopaku, zastanawiając się, co właściwie powinnam zrobić: zostać przy nim, czy szukać pomocy, telefonu, kiedy z Bawelnianej usłyszałam strzały i kolejne krzyki. Posypało się szkło, dotarł do

mnie trzask łamiącego się drewna, głośny brzęk metalu, a potem ryk pracującego na wysokich obrotach silnika. Mam wrażenie, że przez te dwa dni nie słyszałam nic, tylko ten silnik. Entragian jakoś się wydostał z tego, w co trafił, i ryk silnika zaczął się zbliżać. Miałam najwyżej sekundę do namysłu, ale chyba nie zrobiłabym nic innego, nawet gdybym miała tydzień. Uciekłam.

Najpierw chciałam wskoczyć do samochodu i odjechać, ale uznałam, że zabraknie mi czasu. Uznałam, że nie mam go nawet tyle, żeby zniknąć za rogiem. Wskoczyłam do sklepu. Do Worrellów. Wendy Worrell leżała przy kasie, martwa. Jej tata - był właścicielem, ale też rzeźnikiem - siedział w kantorku. Miał przestreloną głowę. Był bez koszuli, pewnie kiedy zginął, właśnie przebierał się w biały fartuch.

- Hugh zawsze wcześniej brał się do roboty - zauważył Billingsley. - O wiele wcześniej niż reszta rodziny.

- Och, ale przecież Entragian wraca! Entragian wraca, żeby się upewnić! - powiedziała Audrey piskliwym głosem, lecz spokojnie, prawie jakby prowadziła towarzyską rozmowę. Była na granicy hysterii. - Właśnie dlatego jest tak niebezpieczny. Wraca i sprawdza, czy ktoś nie został! Jest szalony, bezlitosny, to prawda, lecz jest także metodyczny.

- Oraz ciężko, bardzo ciężko chory - wtrącił Johnny. - Kiedy wiozł mnie do miasta, wyglądał tak, jakby wykrwawiał się na śmierć, a to było sześć godzin temu. Jeśli ta jego choroba... jakkolwiek ją nazwać... rozwijała się później w tym samym tempie... - Nie dokończył, tylko wzruszył ramionami.

- Nie daj się oszukać - szepnęła Audrey.

Johnny zrozumiał, co chce mu powiedzieć. Świadczenie własnych oczu mówiło, że to niemożliwe, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma sensu strzępić języka. Ta kobieta nie przyjmie żadnych jego wyjaśnień.

- No, dalej - ponaglił ją Steve. - Co było dalej?

- Spróbowałam zadzwonić ze sklepu, z kantorka. Telefon nie działał. Siedziałam tam jakieś pół godziny. Przez ten czas radiowóz przejechał dwukrotnie, raz po Głównej, drugi raz z tyłu, po Kaktusowej albo może znowu po Bawelnianej. Słyszałam strzały. Poszłam na górę, do mieszkania Worrellów; pomyślałam, że tam telefon może działać. Nie działał. Pani Worrell i ich syn nie żyli. Mert, tak chyba miał na imię ten chłopiec. Ją znalazłam w kuchni, z głową w zlewie i z poderżniętym gardłem. On leżał w łóżku. Wszędzie było pełno krwi. Stałam w drzwiach, przyglądając się plakatowi zespołów rockowych i koszykarzy, kiedy przed domem znów przejechał radiowóz. Szybko. I nadal przyspieszał.

Zeszłam na dół kuchennymi schodami, ale nie miałam odwagi otworzyć tylnych drzwi. Wyobrażałam sobie, że schował się na ganku i tylko na mnie czeka. Oczywiście właśnie słyszałam, jak przejechał, ale mimo to wyobrażałam sobie, że na mnie czeka.

Postanowiłam więc, że najlepsze, co mogę zrobić, to doczekać nocy. W nocy, myślałam, uda mi się pewnie uciec samochodem. Może. Nie miałam żadnej pewności, on przecież był zupełnie nieprzewidywalny. Nie jeździł cały czas po Głównej, nie zawsze było go słychać, człowiek już, już miał nadzieję, że dał sobie spokój, wyjechał oby jak najdalej, a tu bam, ryk silnika, pojawiał się zupełnie jak jakiś cholerny królik z jakiegoś cholernego kapelusza.

Tylko że nie mogłam zostać w sklepie. Bzyczenie much doprowadzało mnie do szału, no i się zaczęło robić gorąco. Nie mam nic przeciw upałom, nie można mieszkać w środkowej Nevadzie i nie lubić upału, ale wydawało mi się, że zaczynam ich czuć. Więc czekałam. Usłyszałam strzały z drugiej strony miasteczka, strzelał gdzieś tam, koło miejskich garaży, garaże są na Dumont, dalej na wschód jest już tylko pustynia, i wyszłam ze sklepu. W życiu nie zrobiłam nic trudniejszego niż ten krok na chodnik. Jakbym była żołnierzem wstępującym na

ziemię niczyją. Najpierw w ogóle zamarłam, stałam jak wrośnięta w ziemię.

Pamiętam, że myślałam, że muszę się ruszyć, ale wolnym krokiem, jeśli zacznę biec, wpadnę w panikę, tylko że zwyczajnie nie byłam w stanie zrobić kroku. Zupełnie jakby mnie sparaliżowało. I wtedy usłyszałam, jak wraca. Straszne to było; zupełnie jakby mnie wyczuł, a w każdym razie wyczuł kogoś poruszającego się, kiedy był odwrócony plecami. Zupełnie jakby grał w jakąś grę dla dzieci, tylko że w tej grze przegranych się mordowało, a nie odsyłało z powrotem na piracką wyspę czy coś. Ten silnik... kiedy on nacisnął gaz, ten silnik po prostu wył. Taki był potężny i taki głośny. Nawet kiedy go nie słyszę, wyobrażam sobie, że go słyszę. Rozumiecie? Zupełnie jak pie... zupełnie jak grzejąca się puma. No więc usłyszałam, że się zbliża, ale nie byłam w stanie zrobić kroku. Stałam i słuchałam ryku tego silnika. Pomyślałam o chłopaku z Tastakake, jak drżał jak ta sójka, którą kiedyś postrzeliłam, i to mnie wreszcie pchnęło. Wskoczyłam do pralni i rzuciłam się na posadzkę, prawie dokładnie wtedy, gdy przejeżdżał pod oknami. Słyszałam jakieś krzyki z północnego skraju miasteczka, ale nawet nie wiem, co tam się działo, bo nie odważyłam się wyjrzeć. Nie byłam w stanie wstać! Upłynęło dobre dwadzieścia minut, nim się w ogóle poruszyłam, w tak fatalnym byłam stanie. Powiedziałabym, że już wówczas nie byłam zdolna się bać, ale nie umiem wam opowiedzieć, jak dziwnie czuje się człowiek, kiedy dzieje się z nim coś takiego... i jak dziwnie myśli. Leżałam na podłodze, przyglądając się kłębkom kurzu oraz rozgniecionym niedopałkom, i myślałam, że nawet z tej pozycji od razu można rozpoznać automatyczną pralnię - po zapachu i po tym, że wszystkie niedopałki miały na bibułce ślad szminki. Leżałam tak i nie byłam w stanie się poruszyć, nawet kiedy usłyszałam jego kroki na chodniku. Leżałabym tak, choćby przyłożył mi broń do skroni...

- Nie - przerwała jej Mary, skrzywiona, jakby coś ją bolało. - Nie musisz nam o tym opowiadać.

- Ale nie potrafię przestać myśleć! - krzyknęła Audrey i ten jej krzyk zabrzmiał w uszach Johnny'ego Marinville'a przeraźliwą rozpaczą; taką, jakiej nie słyszał ani razu podczas całej jej opowieści.

Opanowała się z wyraźnym wysiłkiem.

- Z odrętwienia wyrwał mnie odgłos kroków. Kilku osób. Podpełzałam do drzwi. Wyjrzałam. Szli po przeciwnej stronie ulicy; zobaczyłam ich, gdy byli naprzeciw "Owl's". Dwoje Meksykanów; mały Escolla, który pracował na kruszarce w kopalni, i jego dziewczyna, nie znam jej imienia, ale miała jasne pasmo włosów, jestem prawie pewna, że naturalne, i była bardzo piękna. A z nimi szła gruba kobieta, której nigdy przedtem nie widziałam, i mężczyzna, co czasami grywał z tobą w bilard w "Bud's", doktorze. Miał na imię Flip. Flip jakiś tam.

- Flip Moran? Widziałaś Flippera?

Audrey skinęła głową.

- Szli powoli chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy, otwierali samochody, szukali kluczyków. Pomyślałam o moim samochodzie i o tym, że moglibyśmy uciec razem. Prawie wstałam, ale kiedy mijali alejkę między domem, gdzie była kiedyś włoska restauracja i "The Broken Drum", z tej alejki wyskoczył radiowóz. Zupełnie tak, jakby Entragian na nich czekał. Bo i pewnie na nich czekał. Uderzył w całą grupę, ale od razu zabił tylko twojego przyjaciela, Flipa. Inni przewrócili się, wszyscy w tę samą stronę, jak kręgle, kiedy masz dobre uderzenie. Próbowali się łapać, wiesz? A potem pobiegli. Mały Escolla obejmował tę swoją dziewczynę, a ona płakała i przyciskała rękę do piersi. Entragian złamał jej rękę, widziałam to, jej ramię wyglądało zupełnie tak, jakby nad łokciem miało dodatkowy staw. Tej grubej kobiecie krew zalała twarz. Kiedy usłyszała silnik, ten wielki, potężny silnik, kiedy zorientowała się, że Entragian ich ściga, odwróciła się i stanęła z podniesionymi rękami, jakby zamierzała przeprowadzić dzieci przez jezdnię albo coś. Entragian prowadził, trzymając kierownicę prawą ręką. Wychylał się przez okno jak maszynista pociągu. Postrzelił ją dwukrotnie, a potem przejechał. Wtedy

po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzałam i dopiero wtedy zorientowałam się, z kim mam do czynienia.

Przerwała i znów dokładnie zlustrowała wzrokiem swoich słuchaczy, jakby oceniała efekt własnych słów.

- On się uśmiechał, wiecie? Uśmiechał się, śmiał, jak dziecko podczas pierwszej wizyty w Disney Worldzie. Był szczęśliwy. Facet był szczęśliwy jak dziecko!

3

Audrey siedziała skulona przy drzwiach pralni, patrząc, jak Entragian ściga młodego Escollę i jego dziewczynę po Głównej. Dogonił ich szybko i przejechał, jak tę starszą kobietę; łatwo mu było przejechać obydwójce naraz - powiedziała - bo chłopak próbował pomóc dziewczynie i biegł obok siebie. Kiedy ich przejechał, zatrzymał radiowóz, wrzucił wsteczny i powoli się cofnął, przejechał po nich powoli, wiatr jeszcze nie wiał - mówiła Audrey - więc wyraźnie słychać było, jak pod kołami samochodu ich kości pękają z trzaskiem, a potem zatrzymał się, podszedł do nich, przyklęknął, najpierw wsadził kulę w głowę dziewczynie, potem zdjął kapelusz z głowy chłopaka (jakimś cudem kapelusz przez cały ten czas nie spadł), strzelił mu w potylicę i włożył kapelusz z powrotem.

- Włożył mu kapelusz na przestreloną głowę - powiedziała Audrey. - Jeśli przeżyję, tego jednego nie będę w stanie zapomnieć, jak zdjął mu kapelusz, strzelił i włożył kapelusz, jakby chciał okazać mu, że rozumie, to było rzeczywiście straszne, jakby chciał okazać mu współczucie.

Potem Entragian wstał i obrócił się, ładując jednocześnie rewolwer; jak gdyby rozglądał się we wszystkich kierunkach jednocześnie. Audrey powiedziała, że uśmiechał się tępo, szeroko i Johnny doskonale wiedział, co ma na myśli. Widział takie uśmiechy. Co więcej, miał szalone wrażenie, że widział to wszystko, we śnie... a może w innym życiu.

Oto wraca stary dobry wietnamski blues - stwierdził w duchu. Audrey opisała Colliego tak, że przypominał paru ze szczętem znarkotyzowanych żołnierzy z Wietnamu; Johnny'emu przypominało się także kilka historii opowiedzanych późną nocą szeptem przez nowych, którzy widzieli swoich ludzi - to przecież byli swoi ludzie - dokonujących strasznych, nie do opowiedzenia potwornych czynów z tym samym tępym, radosnym uśmiechem.

To Wietnam, Wietnam wraca do ciebie w jednym błysku okrutnego światła. Czas zatoczył koło, teraz wystarczy tylko, by z czyjejs kieszeni, z małego radyjka rozległo się *People Are Strange* albo *Pictures of Matchstick Men*.

Lecz... czy na tym rzeczywiście wszystko się kończyło? Coś w Johnnym Marinville'u wątpiło, by to było tak proste. To coś, co kazało mu wierzyć, że więcej się tu dzieje i że owo "więcej" ma mało albo i nie ma nic wspólnego z niewyraźnymi już wspomnieniami pisarza, który pożywił się wojną niczym sęp ścierwem... a w końcu wyprodukował książkę tak złą, jak złe było to, co robił na miejscu.

Świetnie, wspaniale... jeśli to coś to nie ty, to kto?

- I co wtedy zrobiłaś? - spytał Steve.

- Wróciłam do kantorka w pralni. Czołgałam się, a kiedy tam wreszcie dotarłam, wlałam pod biurko, w to wgłębienie na kolana, zwinęłam się w kłębek i zasnęłam. Byłam bardzo zmęczona. Przez to, co widziałam...

widziałam, jak giną ludzie... byłam bardzo zmęczona.

Spałam płytko. Słyszałam... słyszałam strzały, wybuchy, trzask rozbijanego szkła, krzyki. Nie wiem, co z tego działo się naprawdę, a co mi się przysniło. Kiedy się obudziłam, było późne popołudnie. Wszystko mnie bolało i najpierw pomyślałam, że to tylko koszmar, że może nadal jestem w górach. Potem otworzyłam oczy, zobaczyłam, że rzeczywiście leżę skulona pod biurkiem, poczułam zapach wybielacza i płatków mydlanych, i zdałam sobie sprawę z tego, że w życiu aż tak nie chciało mi się siusiu. I że zdrętwiały mi obie nogi.

Zaczęłam wpełzać spod biurka. Powtarzałam sobie, że mam nie wpaść w panikę, jeśli trochę na chwilę uwięznę, i właśnie wtedy usłyszałam, jak ktoś podchodzi do frontowych drzwi, więc wlażłam z powrotem do mojej jamy. To był on. Poznałam po tym, jak szedł. Wiedziałam, że idzie mężczyzna w ciężkich butach.

Krzyknął "Jest tam kto?" i poszedł przejściem między pralkami i suszarkami. Zupełnie jakby szedł po moim tropie. I w pewien sposób chyba rzeczywiście szedł po moim tropie. Tropie perfum. Właściwie wcale ich nie używam, ale ponieważ włożyłam sukienkę, pomyślałam o nich, pomyślałam, że może dzięki nim spotkanie z Symesem przebiegnie w bardziej przyjacielskiej atmosferze. - Wzruszyła ramionami, być może nieco zawstydzona. - No, wiecie, czasami warto użyć wszystkich dostępnych środków.

Cynthia spojrzała na nią z pytaniem w oczach, Mary natomiast ze zrozumieniem skinęła głową.

- "Pachnie jak opium, prawda? - spytał. - Używa pani opium?" Nie odpowiedziałam, tylko skuliłam się, tam, pod biurkiem, osłaniając głowę ramionami. A on dalej: "Dlaczego pani nie wyjdzie? Proszę wyjść, to wszystko odbędzie się szybko. Jeśli panią znajdę, zrobię to powoli". I, uwierzcie, w tym momencie chciałam wyjść, tak mnie zahipnotyzował. Tak mnie przestraszył. Byłam pewna, że wie, że gdzieś tam się chowam, że znajdzie mnie po zapachu perfum, po zapachu, jak chart, i chciałam wyjść zza biurka, podejść do niego, żeby zabił mnie szybko. Chciałam do niego wyjść pewnie tak samo jak ci ludzie w Jonestown, którzy ustawiali się w kolejce po lemoniadę. Ale nie mogłam. Znowu poczułam się jak sparaliżowana i tylko siedziałam za biurkiem i myślałam, że umrę, marząc wyłącznie o tym, by pójść do toalety. Zobaczyłam krzesło na kółkach, odsunęłam je, kiedy się chowałam, i przyszło mi też do głowy, że kiedy zobaczy, gdzie jest krzesło, to natychmiast się zorientuje, gdzie się chowam. Właśnie wtedy wszedł do kantorka... właśnie kiedy o tym pomyślałam. "Jest tu kto? - spytał. - Proszę wyjść. Nie zrobię pani krzywdy. Chcę tylko przesłuchać panią na okoliczność tego, co się dzieje. Mamy poważny problem".

Audrey zaczęła się trząść; Johnny pomyślał, iż tak zapewne trzęsła się w swojej jamie pod biurkiem, czekając, aż Entragian przejdzie przez niewielki kantorek, znajdzie ją i zabije. Ale teraz także uśmiechała się takim uśmiechem, na jaki po prostu nie sposób patrzeć.

- Aż tak był szalony - mówiła dalej, splatając na kolanach drżące dłonie. - W jednej chwili obiecywał, że jeśli wyjdę sama, to zabije mnie szybko, a w następnej twierdził, że chce mi tylko zadać kilka pytań. Wariat. Ale ja wierzyłam i w jedno, i w drugie. Więc kto tu był większym wariatem, co? Kto tu był większym wariatem?

Wszedł do środka. Zrobił parę kroków, chyba dwa. W każdym razie wszedł wystarczająco daleko, żeby jego cień padł na biurko i na podłogę od tej strony, gdzie się chowałam. Pamiętam, jak pomyślałam, że gdyby cienie miały oczy, toby mnie zauważył. Stał tak przez bardzo długą chwilę. Słyszałam jego oddech. Potem powiedział: "Pieprzyć wszystko!" i wyszedł. W minutę później usłyszałam, jak drzwi otwierają się i zamykają. Najpierw byłam pewna, że to tylko sztuczka. Oczami wyobraźni widziałam to tak wyraźnie, jak widzę teraz was wszystkich - podchodzi do drzwi, otwiera je, zamyka, ale cały czas jest w środku, tuż obok automatu do sprzedaży tych małych paczuszek z płatkami mydlanymi. Stoi z rewolwerem w dłoni i czeka, żebyśmy tylko się poruszyły. I

wiecie co? Widziałam ten obraz, nawet kiedy usłyszałam, jak znów jeździ po miasteczku tym swoim radiowozem, szukając innych ludzi do zamordowania. Chyba nadal siedziałabym tam, pod biurkiem, gdyby nie to, że musiałam iść do toalety, bo inaczej zrobiłabym siusiu w majtki, a nie chciałam zrobić siusiu w majtki. Nie ma mowy. Jeśli zdołał wyczuć perfumy, świeży mocz wyczułby pewnie jeszcze szybciej. Więc wypelzłam z kryjówki i znalazłam toaletę. Chodziłam sztywno, jak stara babcia, aż tak zdrętwiały mi nogi, ale na miejsce dotarłam na czas.

Choć mówiła jeszcze przez kilka minut, Johnny miał wrażenie, że w tym momencie historia Audrey Wyler w zasadzie się skończyła; skończyła się w chwili, gdy podskakując niezdarnie, zmierzała do toalety. Samochód miała praktycznie pod ręką, kluczyki do niego spoczywały spokojnie w jej kieszeni, ale pod każdym praktycznym względem i samochód, i kluczyki mogły być nawet na Księżycu. Parę razy przemieszczała się między kantorkiem a samą pralnią (zdawał sobie sprawę, jakiej odwagi wymagało zrobienie choćby tych kilku kroków), ale z pralni nie ośmieliła się wyjść. Nerwy miała nie tyle napięte, co wręcz pozrywane. Kiedy milkły strzały i cichł doprowadzający do szaleństwa wizgot pracującego na wysokich obrotach silnika, myślała, jak sama twierdziła, o tym, by wyjść, uciec, ale zaraz w wyobraźni widziała, jak Entragian dogania ją, spycha z drogi, wysiada z samochodu i strzela jej w głowę. Twierdziła także, że była pewna, iż pomoc może nadejść w każdej chwili. Że pomoc musi nadejść. Miasteczko Desperation leży na uboczu, zgoda, ale znów nie aż tak bardzo na uboczu, a w związku z przygotowaniem do rozruchu kopalni panował w nim spory ruch.

I rzeczywiście. Byli ludzie, którzy przybyli do Desperation. Około piątej po południu zobaczyła samochód dostawczy Federal Express, a następnego dnia, czyli wczoraj, o dwunastej w południe, wóz konserwatorski służb energetycznych okręgu Wickoff. Słyszała, jak gra w nim radio, nie słyszała natomiast - tym razem - silnika radiowozu. A jednak w mniej więcej pięć minut po tym, jak samochód konserwatorski przejechał koło pralni, usłyszała kilka strzałów i głos mężczyzny, krzyczącego "Nie, błagam, nie!" tak piskliwie, że równie dobrze mógłby być kobietą.

Minęła kolejna nie kończąca się noc, podczas której jadła to, co mogła dostać z automatu stojącego na końcu rzędu suszarek, a piła wodę z umywalki w łazience. I kolejny dzień z Entragianem krążącym wokół jak sęp.

Audrey powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy z tego, iż Entragian przywozi do miasteczka ludzi i gromadzi ich w areszcie. Pod koniec już tylko snuła plany ucieczki, z których żaden nie wydawał się jej dostatecznie dobry. I w pewien sposób w pralni czuła się już jak w domu... czuła się bezpiecznie. Entragian wpadł do niej raz, wyszedł i już nie wrócił. Być może w ogóle nie wróci?

- Pocięłam się myślą, że nie mógł przecież zabić wszystkich w Desperation, że są gdzieś pewnie ludzie jak ja, ludzie, którzy widzieli, że nadchodzi, i zdążyli jeszcze schylić głowy. Że ktoś musiał przecież się wydostać. Że ktoś z pewnością zawiadomi policję stanową. Tłumaczyłam sobie, że, przynajmniej na razie, najmądrzej będzie po prostu czekać. Potem zaczęła się burza, więc pomyślałam, że mogę ją wykorzystać, by się ukryć. Myślałam, by dotrzeć jakoś do kopalni. W garażu jest terenówka... Steve skinął głową.

- Widzieliśmy ją. Ma doczepioną przyczepkę z próbkami skał.

- Myślałam, że odcepię przyczepkę i pojedę na północny zachód, z powrotem na pięćdziesiątkę. W szafce na narzędzia jest kompas, więc mimo wiatru byłabym bezpieczna. Oczywiście wiedziałam, że mogę wpaść w jakąś szczelinę czy coś, ale nie wydawało mi się to poważnym ryzykiem, nie po tym, co widziałam. No i czułam, że muszę się stamtąd wydostać. Dwie noce przespane w pralni... powinniście sami spróbować. Byłam gotowa do akcji, kiedy trafiłam na was.

- A ja omal nie rozwalilem ci głowy - powiedział Steve. - Przepraszam.

Audrey uśmiechnęła się słabo i po raz kolejny popatrzyła po obecnych.

- I tak wiecie już wszystko - zakończyła.

Nie zgadzam się z tobą - sprzeciwił się w duchu Johnny Marinville. Nos znów zaczął pulsować mu bólem. Potrzebował drinka, cholernie potrzebował drinka, ponieważ jednak, przynajmniej w jego wypadku, drink byłby szaleństwem, wyjął z kieszeni fiolkę aspiryny i wziął dwie, popijając je wodą mineralną. Nie sądzę, byśmy wiedzieli wszystko - pomyślał. - W każdym razie jeszcze nie wiemy.

4

- No to co robimy? - odezwała się Mary Jackson. - Jak mamy wypłatać się z tej kabały? Spróbujemy sami, czy będziemy czekali, aż nas uratują?

Przez dłuższą chwilę nikt nie odpowiadał. Steve zareagował pierwszy. Poruszył się w fotelu, który dzielił z Cynthia.

- Nie możemy czekać - stwierdził. - A w każdym razie niedługo.

- Skąd ta pewność? - spytał go Johnny dziwnie spokojnym, łagodnym głosem, jakby z góry znał odpowiedź na to pytanie.

- Ponieważ ktoś powinien uciec z miasteczka, znaleźć działający telefon i uruchomić maszynę sprawiedliwości. Nikomu się to jednak nie udało. Nawet nim zaczęła się burza. Dzieje się tu coś bardzo... potężnego... i myślę, że liczenie na pomoc z zewnątrz to pewna droga do śmierci. Możemy liczyć wyłącznie na siebie, więc musimy wydostać się stąd, gdy tylko będzie to możliwe. W to wierzę.

- Nie ucieknę, dopóki nie dowiem się, co się stało z moją mamą - powiedział David.

- Nie możesz myśleć w ten sposób, synu - zaprotestował Johnny.

- Owszem, mogę. Właśnie myślę. W ten sposób.

- Nie - wtrącił Billingsley. Coś w jego głosie sprawiło, że David podniósł głowę. - Nie, kiedy gra idzie o życie wielu osób. I nie, bo jesteś... niezwykły, a taki właśnie jesteś. Potrzebujemy cię, synu.

- To nie w porządku - szepnął chłopiec.

- Owszem - przytaknął stary. Twarz miał nieruchomą. - To nie w porządku.

- Nie pomoże twojej matce, jeśli ty... i my wszyscy... zginiemy, próbując ją znaleźć, mały - dodała Cynthia. - Z drugiej strony, jeśli wydostaniemy się z miasta, będziemy w stanie wrócić z pomocą.

- Słusznie - przyznał Ralph cichym, bezdźwięcznym głosem.

- Nie, wcale nie - sprzeciwił się David. - To kupa gówna i nic więcej.

- Davidzie!

Mały przyjrzał się im. Twarz miał zaciętą w gniewie i bladą ze strachu.

- Wam nie zależy na mojej mamie, żadnemu z was, nikomu. Nawet tobie, tato.

- Nieprawda, synu. To bardzo okrutne słowa.

- Owszem, ale mimo wszystko sądzę, że prawdziwe. Wiem, że ją kochasz, ale sądzę, że chcesz ją zostawić, bo nie wierzysz, by żyła. - Patrzył na ojca surowym, nieruchomym spojrzeniem, a kiedy Ralph wreszcie spuścił oczy (spod spuchniętej powieki płynęły łzy), zwrócił się do weterynarza. - Panu też mam coś do powiedzenia, panie Billingsley. To, że się modlę, nie oznacza jeszcze, że jestem jakimś czarodziejem jak z

komiksu albo coś. Modlitwa to nie magia. Jedyna magia, jaką znam, to kilka karcianych sztuczek, które i tak na ogół wcale mi nie wychodzą.

- Davidzie... - wtrącił Steve.

- Jeśli najpierw uciekniemy, a potem wrócimy, będzie za późno, żeby ją uratować! Wiem, że będzie za późno! Ja to po prostu wiem!

Jego głos dobiegał ze sceny jak aktorska kwestia i przebrzmiał. Na zewnątrz wiał obojętny na wszystko wiatr.

- Davidzie, prawdopodobnie już jest za późno - powiedział Johnny.

Mówił spokojnie, ale nie potrafił spojrzeć chłopcu w oczy.

Ralph westchnął ochryple. Syn podszedł do niego, usiadł obok, wziął go za rękę. Twarz jego ojca była ściągnięta zmęczeniem i tępa. Wyglądał teraz znacznie starszej niż przedtem.

Steve spojrział na Audrey.

- Mówiłaś, że znasz inną drogę?

- Owszem. Ten wielki wał ziemi, który widzieliście, wjeżdżając do miasta. To kopalnia, którą próbujemy uruchomić. Jest droga prowadząca na górę, w dół z drugiej strony i do samej kopalni. Inna prowadzi do szosy numer pięćdziesiąt na zachód stąd. Biegnie wzdłuż strumienia Desperation, z którego pozostało teraz wyłącznie suche koryto. Wiesz, o czym mówię, Tom?

Stary weterynarz poważnie skinął głową.

- Ta droga, Droga Dopływu Desperation, zaczyna się obok naszych garaży. Mamy tam więcej wozów terenowych. W największym z nich bezpiecznie mogą jechać tylko cztery osoby, ale dla trzech moglibyśmy wziąć przyczepę.

Steve, mający dziesięcioletnie doświadczenie w ładowaniu i wyładowywaniu, podejmowaniu błyskawicznych decyzji i przeprowadzaniu błyskawicznych ucieczek (koniecznych ze względu na mieszaną wybuchową czterogwiazdkowych hoteli i dupków z zespołów rockowych), słuchał jej słów bardzo uważnie.

- Doskonale - powiedział, kiedy skończyła. - Więc proponuję tak. Czekamy do rana. Odpoczniemy; może uda się nam nawet przespać. Być może do tego czasu skończy się burza...

- Mam wrażenie, że wiatr słabnie - przerwała mu Mary. - Być może tylko mi się wydaje, ale...

- Nawet gdyby wiało, do waszych garaży jakoś się dostaniemy, prawda, Audrey?

- Jestem pewna, że tak.

- Jak to daleko?

- Przeszło trzy kilometry, licząc od kopalni. Stąd chyba nie więcej niż dwa.

Steve skinął głową.

- A poza tym za dnia łatwiej nam będzie zauważyć Entragianą. Nocą, w czasie burzy, nie moglibyśmy na to liczyć.

- I nie widzielibyśmy... zwierząt - dodała Cynthia.

- Będziemy poruszać się szybko i będziemy uzbrojeni - pocieszył ją Steve. - Jeśli burza się skończy, pojedziemy na wał moją półciężarówką, trzy osoby w kabinie, cztery z tyłu, pod budą. Jeśli nie, a wołałbym, żeby się nie skończyła, pójdziemy piechotą. W ten sposób nie zwrócimy na siebie uwagi. Być może nie zorientuje się nawet, że odeszliśmy.

- Mam wrażenie, że Escolla i jego przyjaciele myśleli mniej więcej w ten sam sposób, póki ich nie

rozjechał - zauważył Billingsley.

- Szli Główną na północ - zauważył Johnny. - Enragian dokładnie tego się po nich spodziewał. My, przynajmniej z początku, będziemy kierować się na południe, do kopalni, a potem pojedziemy bocznymi drogami.

- Jasne - przytaknął Steve. - A potem cześć, już nas nie ma.

Podszedł do Davida; chłopak odsunął się od ojca i siedział teraz na krawędzi sceny, wpatrując się w rzędy foteli. Przykucnął obok niego.

- Wrócimy - powiedział z naciskiem. - Słyszysz mnie, Davidzie? Wrócimy po twoją mamę i innych ludzi; tych, których ten człowiek nie zdołał zabić. Obiecuję ci to, obiecuję ci to osobiście.

David nawet na niego nie spojrzał.

- Nie wiem, co powinienem zrobić - wyznał. - Wiem, że powinienem poprosić Boga, żeby naprostował mi głowę, ale jestem na niego tak wściekły, że po prostu nie mogę. Za każdym razem, kiedy próbuję myśleć, gniew wchodzi mi w drogę. Pozwolił szaleńcowi zabrać moją mamę. Dlaczego? Jezu, dlaczego?

Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że przed chwilą dokonałeś cudu? - pomyślał Steve, ale milczał, słowa mogły tylko jeszcze bardziej pogłębić chłopca, wprowadzić mu w głowie jeszcze większy zamęt. Wyprostował się po chwili i stał tylko, patrząc na Davida wzrokiem pełnym troski.

5

Puma szła powoli alejką. Łeb miała opuszczony, uszy położyła po sobie. Pojemniki na śmieci i kawałki odpadków ominęła znacznie zręczniejsze niż ludzie, bo o wiele lepiej widziała w ciemności. Mimo to przy końcu alejki zamarła i zawarczała cienko, przeraźliwie. Nie podobało się jej to. Jedno z nich było bardzo, bardzo mocne - czuła jego moc, przenikającą przez grube ceglane ściany, pulsującą niczym silne światło. Nieposłuszeństwo nie wchodziło jednak w grę. Stwór obcy, istota z głębi Ziemi, tkwiła w jej łbie, trzymała wolę na uwięzi niczym rybę na haczyku. Stwór mówił językiem nieuformowanych, językiem sprzed czasu, kiedy wszystkie zwierzęta z wyjątkiem jej samej i człowieka były jednym.

Puma nadal jednak czuła moc. Jak blask światła.

Ryknęła krótko, a właściwie sapnęła; dźwięk ten wydobył się raczej przez jej nos niż przez zamknięty pysk. Wystawiła łeb za róg; skrzywiła się, kiedy powiew wiatru zmierzwił jej futro i wypełnił nozdrza zapachem trawy, łośpuchów, zwietrzałego alkoholu, rozsypującej się cegły. Nawet tu czuła także gorzką woń jamy na południu miasta, złego miejsca, otwartego wybuchem kilku ostatnich ładunków, miejsca, o którym zwierzęta pamiętały, a człowiek starał się zapomnieć.

Wiatr ucichł. Puma szła powoli ścieżką między ogrodzeniem a tylną ścianą kina. Zatrzymała się, by obwąchać skrzynie. Więcej czasu spędziła przy tej przewróconej niż przy tej, która stała na ziemi. Biło z niej wiele zmieszanych zapachów. Ostatnia z osób, które stały na tej skrzyni, zrzuciła ją potem z tej, która nadal stała przy ścianie. Puma czuła zapach dłoni, wyraźniejszy i ostrzejszy od innych; zapach skóry, w jakiś sposób nagi, ostry od potu, zapach mężczyzny w kwiecie wieku.

Czuła także zapach broni. W innych okolicznościach uciekłaby, dziś nic on jednak dla niej nie znaczył. Szła, dokąd kazała jej iść istota, nie miała najmniejszego wyboru. Powąchała ścianę i spojrzała w okno. Było otwarte, widziała, jak porusza się na wietrze. Niewielkie, znajdowało się we wnęce, ale poruszało się

wystarczająco, by nie mieć wątpliwości, że jest otwarte. Mogła dostać się do środka. Bez najmniejszych problemów. Okno otworzy się pod naciskiem, jak czasami otwierało się dla ludzi.

Nie - powiedział głos nieuformowanej. - *Nie możesz.*

Przed oczami pumy mignął obraz. Coś lśniącego. Ludzie czasami rozbijali to coś na małe ostre kawałki, kiedy skończyli już tego używać. Puma rozumiała (w ten sposób, w jaki laik może zrozumieć skomplikowany dowód matematyczny, jeśli mu się go odpowiednio wyjaśni), że wskakując, straciłaby takie coś na podłogę. Nie wiedziała jak i dlaczego, ale głos w jej głowie powiedział, że tak by właśnie było i że ludzie by ją usłyszeli.

Wielki kot przemknął pod oknem jak podmuch morowego powietrza, zatrzymał się, by obwąchać zabite deskami wyjście awaryjne, i stanął pod drugim oknem. Znajdowało się na tej samej wysokości co okno z lśniącymi rzeczami, miało identyczną szybę z matowego szkła i było zamknięte.

A jednak wejdiesz tędy - szepnął głos w głowie pumy. - *Kiedy powiem ci, że nadszedł właściwy czas, wejdiesz tędy.*

Tak. Być może porani się o ostre odłamki, tak jak kiedyś zraniła sobie poduszki łapy na tej lśniącej rzeczy, lecz kiedy głos powie jej, że nadszedł czas, skoczy przez okno, a gdy już będzie w środku, zrobi to, co głos jej nakaze. Nie tak, nie tak miało być... ale, przynajmniej na razie, tak było.

Puma położyła się pod zamkniętym oknem męskiej toalety, owinęła się ogonem i czekała na głos istoty z otchłani. Na głos istoty zza. Na głos Taka. Gdy go usłyszy, zacznie działać. Póki go nie słyszy, będzie leżała słuchając wycia wiatru, czując niesiony przez wiatr gorzki zapach zwiastujący nadejście zła z innego świata.

Rozdział 3

1

Mary patrzyła, jak stary weterynarz bierze butelkę whisky z barku, omal jej przy tym nie upuszcza, po czym nalewa sobie drinka.

Podeszła do Johnny'ego.

- Zabroń mu - poprosiła cicho. - Ta szklaneczka znów zrobi z niego alkoholika.

Johnny spojrzął na nią. Brwi podjechały mu na czoło.

- A kto cię wybrał na rzeczniczkę wstrzemięźliwości?

- Ty głupi kretynie - syknęła wściekle. - Nie wiesz, kto dał mu pierwszego drinka? Myślisz, że nie widziałam?

Ruszyła w kierunku Toma, ale Johnny szarpnął ją za rękę. Postanowił, że załatwi tę sprawę sam. Usłyszał, jak syknęła z bólu. Być może rzeczywiście ścisnął jej nadgarstek mocniej, niż wypada prawdziwemu dżentelmenowi, lecz cóż, nie był przecież przyzwyczajony, żeby nazywano go głupim kretynem. W końcu dostał National Book Award. Jego zdjęcie znalazło się na okładce *Time'a*. Pieprzył także ukochaną dziewczynę Ameryki (być może odrobinę *postfactum*, retroaktywnie, czy jak to nazwać, bo przestała być ulubioną dziewczyną Ameryki około roku sześćdziesiątego piątego, ale w niczym nie zmieniało to faktu. Pieprzył ją i już). A poza tym nie przywykł, by nazywano go głupim kretynem.

Mimo wszystko Mary miała jednak coś w rodzaju racji. On, człowiek świadom dróg i ścieżek anonimowych alkoholików, dał temu ulubieńcowi dzieci, miłemu pijakowi, doktorkowi od piesków, pierwszą od jakiegoś czasu szklaneczkę. Miał nadzieję, że Billingsleyowi to pomoże zebrać się w kupę, a bardzo potrzebowali go zebranego w kupę, w końcu to jego miasto... lecz czy nie był też więcej niż odrobinę wkurzony, bo stary przyznał sobie w nagrodę naładowany karabin, a laureatowi National Book Award pozostawił dwudziestkędwójkę, nie nadającą się do użycia nawet w charakterze maczugi.

Nie! Nie, cholera, broń nie miała z tym nic wspólnego. Chodziło tylko o to, żeby utrzymać starego w stanie minimalnej choćby używalności. Tylko o to chodziło.

Aha, może? Może. Nie brzmi to najlepiej, no ale nawet przed samym sobą ciężar dowodu należy złożyć na oskarżycielu, zwłaszcza w zwariowanych sytuacjach, a ta sytuacja z pewnością była zwariowana. Mimo wszystko wygląda na to, iż pomysł nie był najlepszy. Johnny mnóstwo miał takich nie najlepszych pomysłów i jeśli kogoś można uznać za znawcę tychże, zdolnego rozpoznać jakiś na pierwszy rzut oka, to tylko Johna Edwarda Marinville'a.

- Może zostawimy sobie odrobinę na później - zaproponował i zręcznie wyjął szklaneczkę z rąk dobrego doktora, gdy już była przy jego ustach.

- Hej! - wrzasnął Billingsley, próbując mu ją odebrać. Oczy miał jeszcze bardziej załzawione, poznaczone czerwonymi plamkami niczym maleńkimi rankami. - Oddaj mi to.

Johnny przytrzymał szklaneczkę, a kiedy ją podnosił, znalazła się na moment przy jego ustach. Poczuł wielką, niemal nieprzewyciężalną pokusę, by uporać się z problemem w najprostszy i najprzyjemniejszy sposób.

Nie poddał się jej jednak, tylko odstawił whisky za siebie, na bar, poza zasięg starego Toma, chyba że ten podskoczyłby do niej z jednej albo z drugiej strony. Jego zdaniem, staruszek nie tylko był zdolny do skakania po whisky, lecz dotarł już do punktu, w którym prawdopodobnie zrobiliby wszystko, wypierdziłby nawet "Hymn Marines" za obietnicę postawienia dubla.

Tymczasem wszyscy się na nich gapili, a Mary w dodatku tarła nadgarstek, rzeczywiście czerwony, ale znów nie tak bardzo, nie ma o czym mówić.

- Oddaj! - zawył Billingsley, wyciągając dłoń w stronę szklaneczki.

To zaciskał, to znów rozwierał palce niczym dziecko domagające się smoczka. Johnny przypomniał sobie nagle, jak aktorka - ta od szmaragdów, ta, która w latach swej świetności była kochaneczką Ameryki, tak słodziutką, że kostka cukru nie rozpuściłaby się jej w garści - wepchnęła go do basenu w BelAir, jak wszyscy się z tego śmiali i jak on się śmiał; wyszedł z basenu, ociekając wodą, w garści nadal trzymał butelkę piwa, był zbyt pijany, by zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, i że ten szum, który słyszy, to woda splukująca do kibelka resztki jego reputacji. Tak, proszę pani i, tak, proszę pana, oto pewna upalna noc w Los Angeles i oto on, mokry garnitur od Pierre'a Cardina, butelka buda we wzniesionej ręce niczym puchar przyznany za wybitne osiągnięcia, śmieje się jak szalony, a wszyscy śmieją się do wtóru, wszyscy bawią się doskonale jak w dawnych dobrych czasach, wepchnięto go do basenu dokładnie jak na filmie, hejże-ha i hejże-ho, witamy w cudownym świecie niczego już nie kapującego pijaka, a my zobaczymy, Marinville, jak założysz sobie na szyję sznur upleciony ze słów.

Poczuł nagły atak wstydu; to za siebie się wstydził, nie za Toma, chociaż wszyscy na Toma właśnie patrzyli, z wyjątkiem Mary, która nadal robiła wielką historię z nadgarstka. Patrzyli na Toma wołającego: "Oddaj! Oddaj!", zginającego i prostującego palce jak jakiś pieprzony Baby Huey. Patrzyli na Toma, zalanego w trupa po trzech niewielkich whisky. To też Johnny Marinville już kiedyś widział; po jakimś czasie spędzonym na pływaniu w butelce, picciu wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu wzroku, i sprawianiu wrażenia człowieka doskonale trzeźwego, alkoholowe skrzela nabierały niepokojącej tendencji do zamykania się niemal od samego zapachu. Nieprawdopodobne, niemniej jednak prawdziwe. Oto, panowie, zaawansowany alkoholik, podejdźcie bliżej, oczom nie uwierzycie.

Objął ramiona Toma, pochylił się wprost w opary trunku, otaczające jego głowę na kształt zapachowej aureoli i szepnął:

- Bądź teraz dobrym chłopcem, to dostaniesz swojego drinka, tyle że nieco później.

Stary spojrzał na niego załawionymi, przekrwionymi oczami. Szorstkie, spękane wargi lśniły mu od śliny.

- Obiecuj mi to - szepnął konspiracyjnie, zionąc potęgą zapachu. W jego wykonaniu trzy słowa zabrzmiały jak jedno: "obiecujmito".

- Obiecuję. Być może popełniłem błąd, dając ci pierwszego, ale skoro go już dałem, nie zabiorę ci teraz butelki. Po prostu poczekaj trochę. Miej odrobinę godności, człowieku.

Billingsley podniósł wzrok na jego twarz. Załawione oczy. Czerwone powieki. Pobłyskujące śliną wargi.

- Nie dam rady.

Johnny westchnął i na chwilę przymknął oczy. Kiedy je znów otworzył, stary gapił się na Audrey.

- Dlaczego musiała włożyć akurat taką krótką sukienkę? - szepnął.

Jego oddech był tak cuchnący, że Johnny musiał się zastanowić, czy rzeczywiście w przypadku dobrego starego doktora działała prawidłowość: trzy łyki i leżysz. Oczywiście, że po drodze poprawił sobie samopoczucie jeszcze paroma.

- Nie wiem - odparł z uśmiechem, wielkim, szerokim uśmiechem gospodarza teleturnieju, prowadząc jednocześnie starego Toma ku innym, byle dalej od baru i stojącej na nim szklaneczki. - A co, nie podoba ci się ten widok?

- Nie. Nie, ja tylko... tylko... - Stary spojrzał mu w oczy swymi zażawionymi oczami alkoholika. - O czym to mówiliśmy?

- A co to za różnica?

Serdeczny głos gospodarza teleturnieju wydobył się zza warg rozciągniętych w uśmiechu gospodarza teleturnieju, szerokim, serdecznym i tak szczerym jak obietnica producenta, że zadzwoni w przyszłym tygodniu.

- Mogę cię o coś zapytać? Dlaczego tę dziurę w ziemi nazywacie Chińską Jamą? Cały czas się nad tym zastanawiam.

- Mam wrażenie, że panna Wyler więcej wie na ten temat ode mnie - mruknął Billingsley, Audrey jednak nie było już na scenie.

Dołączyli do nich wprawdzie Ralph i David, sprawiający wrażenie zaniepokojonych, lecz Audrey Wyler zeszła ze sceny prawym wyjściem, prawdopodobnie w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

- Och, daj pan spokój - powiedział nagle Raiph, jakby obudził się w nim duch gawędziarza. Johnny zerknął na niego i zrozumiał, że mimo swych niemałych przecież problemów ten facet rozumie doskonale, co dzieje się z Billingsleyem. - Założę się, że zapomniał pan więcej z lokalnej historii niż ta młoda dama miała okazję poznać. Bo to dotyczy lokalnej historii, prawda?

- No... tak. Historii i geologii.

- Dalej, Tom - zachęciła go Mary. - Opowiadaj. Czas szybciej minie.

- Dobrze. Ale nie jest to śliczna opowieść, jak mówią w tej okolicy.

Podeszli do nich Steve i Cynthia. On obejmował ją w pasie, ona obejmowała jego w pasie, zaczepiwszy palec o pasek.

- Opowiadaj, dziadku - powiedziała cicho. - Chętnie posłuchamy.

I Billingsley opowiedział im kawałek lokalnej historii.

2

- Zdarzyło się to na długo przedtem, nim w ogóle pomyślano tu o miedzi. Wydobywano wówczas złoto i srebro - zaczął. Rozsiadł się w fotelu. Kiedy David zaferował mu szklanekę wody, tylko potrząsnął głową. - Było to też na długo przedtem, nim wymyślono kopalnie odkrywkowe. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym firma pod nazwą Diabolo Mining otwarła Grzechotnika Jeden tam, gdzie teraz jest Chińska Jama. Znaleźli złoto. Całkiem sporo złota.

Była to zwykła kopalnia głębinowa - tylko takie wówczas istniały. Wkopywali się za żyłą coraz głębiej i głębiej, choć ludzie z firmy wiedzieli, jakie to niebezpieczne. Tam, na powierzchni, po północnej stronie

dzisiejszej kopalni, nie jest jeszcze tak źle: wapień, skarn i rodzaj newadyjskiego marmuru. Bardzo często znajduje się wollastonit. Nie jest cenny, ale bardzo ładny.

Głębiej jednak, na północy dzisiejszej kopalni, gdzie otwarto Grzechotnika, ooo... to już inna sprawa. Ziemia tam jest kiepska. Nie nadaje się na kopalnię, nie nadaje się do uprawy, do niczego się właściwie nie nadaje. Kwaśna ziemia, tak o niej mówili Szoszeni. Mieli na to własne określenie, bardzo dobre, większość słów z ich języka jest bardzo dobra, ale teraz go nie pamiętam. Wszystko tam jest pochodzenia wulkanicznego, rozumiecie, resztki wypchnięte przez wybuchy wulkanów, ale takie, które nie dotarły na powierzchnię. Istnieje nazwa na coś takiego, ale jej też nie pamiętam.

- Porfir! - zawołała Audrey. Stała przy prawym zejściu ze sceny, trzymając torbę precli. - Macie ochotę spróbować? Pachną nie za bardzo, ale smak mają normalny.

- Nie, dziękuję - powiedziała Mary.

Pozostali potrząsnęli głowami.

- Niech będzie porfir - zgodził się Billingsley. - W porfirze można znaleźć kupę cennych rzeczy, właściwie wszystko, od granatów po uran, ale bywa mocno nietrwały. Pod Grzechotnikiem Jeden mieli złoto, chociaż były to głównie łupki. Łupek to skała osadowa, niezbyt mocna. Łatwo go złamać w dłoniach, toteż kiedy ludzie zeszli na dwadzieścia metrów i usłyszeli, jak ściany jęczą i stękają, zdecydowali, że mają tego dość. Po prostu odeszli. Nie strajkowali o wyższe płace, tylko zwyczajnie nie chcieli umierać.

Właściciele Diabolo sprowadzili zatem Chińczyków. Przywieźli ich na platformach z Frisco, skutych łańcuchami jak skazańców. Siedemdziesięciu mężczyzn i dwadzieścia kobiet, wszyscy ubrani w te ich pikowane pizamy i małe okrągłe kapelusze. Wyobrażam sobie, że właściciele Diabolo pukali się w głowę, zastanawiając się, dlaczego nie pomyśleli o tym wcześniej, bo przecież Chińczycy pod wieloma względami przewyższali białych. Nie upijali się i nie szaleli po mieście, nie handlowali whisky z Szoszonami i Pajutami, nie domagali się postawienia burdeli. Nie pluli nawet tytoniem na chodniki. Wszystko to uważano za ich zaletę, ale drugorzędną. Najważniejsze, że kopali tak głęboko, jak się im kazało, nie zwracając uwagi na jęki i stękania ścian. Szyb po-głębiał się szybciej, ponieważ nie musiał być taki obszerny; Chińczycy są mniejsi od białych górników i można było ich skłonić do pracy na kolanach. A poza tym chińskiego górnika, przy którym znaleziono grudkę złota, można było zastrzelić na miejscu. Paru zastrzelono.

- Chryste! -jęknął Johnny.

- Nie przypomina to filmu z Johnem Wayne'em - zgodził się Billingsley. - W każdym razie byli na czterdziestu paru metrach, przeszło dwukrotnie głębiej niż biali, kiedy tąpnęło. O tym tąpnięciu opowiadano różne historie. Jedna głosiła, że odkopali *waisin*, coś w rodzaju starego ducha ziemi i on zawałił korytarz. Inna, że zbudzili upiory.

- Jakie upiory? - zainteresował się David.

- Duchy górników, którzy zginęli tragicznie - wyjaśnił mu Johnny. - Złośliwe duchy. Podziemna wersja gremlinów.

- Trzy sprawy - wtrąciła się Audrey ze swego miejsca przy prawym wyjściu na scenę. - Coś takiego nazywa się sztolnią, nie szybem. Po drugie, sztolnię się drąży, nie kopie. A po trzecie, był to zwykły zawał. Nie spowodowały go ani upiory, ani duch ziemi.

- Racjonalizm doszedł wreszcie do głosu - zakpił Johnny. - Duch stulecia zwycięża. Hurrra!

- Nie wkopałabym się w tego rodzaju podłoże na trzy metry - stwierdziła Audrey. - Nikt przy zdrowych zmysłach nawet by nie próbował, a oni zeszli na dobre czterdzieści pięć; czterdziestu górników, kilku nadzorców, co najmniej pięć kucyków. Kuli, tupali, wrzeszczeli, próbowali spowodować ten zawał na każdy możliwy sposób, wyjąwszy podłożenie dynamitu. Zdumiewające, jak długo upiory broniły ich przed ich własną głupotą!

- Kiedy wreszcie tąpnęło - mówił dalej Billingsley - tąpnęło w, jeśli można tak powiedzieć, szczęśliwym miejscu. Strop zawalił się niespełna dwadzieścia metrów od szybu. - Spojrzał na Davida. - Czyli od wejścia do kopalni - wyjaśnił. - Górnicy z przodka dotarli tam, po czym zatrzymało ich dziesięć metrów zawalonych łupków dewońskich, szalunków i tak dalej. Rozległy się gwizdki alarmowe i ludzie z miasta przybiegli na miejsce zobaczyć, co się stało. Nawet prostytutki i gracze. Słyszeli, jak Chińczycy wrzeszczą, jak błagają, żeby ich odkopać, nim zawali się reszta korytarza. Niektórzy twierdzili, że odnosili takie wrażenie, jakby tamci się między sobą bili. Nikt jednak nie miał zamiaru zejść i zacząć kopać. Ten jęklivy dźwięk ostrzegający przed zawałem był głośniejszy niż kiedykolwiek, a między sztolnią i ścianą zawału strop wygiął się w paru miejscach.

- Nie dało się go podeprzeć? - zdziwił się Steve.

- Jasne, że tak, ale nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Dwa dni później przyjechali do Desperation prezes i wiceprezes Diabolo, wraz z kilkoma inżynierami z Reno. Tata powiedział mi, że zrobili sobie piknik koło szybu, że dyskutowali, co zrobić, podczas pikniku, położyli na ziemi biały lniany obrus, a w szybie... przepraszam, w sztolni... niespełna trzydzieści metrów pod powierzchnią, czterdziestu ludzi wrzeszczało w ciemności ze strachu.

Potem nastąpiło głębiej kilka tąpnięć, ludzie mówili, że odgłosy były takie, jakby coś pierdziało albo bekało w głębi ziemi. Chińczycy nadal byli w nie najgorszym stanie, przynajmniej ci, którzy wyszli żywi z pierwszego zawału, i nadal błagali, żeby ich wykopać. Pewnie jedli kucyki. Od dwóch dni nie mieli wody i światła. Inżynierowie weszli do sztolni, no, w każdym razie wsadzili tam głowy i orzekli, że niebezpieczeństwo zawału uniemożliwia jakąkolwiek akcję ratunkową.

- I co zrobili? - spytała Mary.

Billingsley wzruszył ramionami.

- Założyli ładunki wybuchowe w szybie i odpalili je. Zamknęli kopalnię.

- Twierdzi pan, że świadomie zamordowali czterdzieści osób? - zapytała Cynthia.

- Czterdzieści dwie, wliczając nadzorcę robotników i szefa na przodku. Szef był biały, ale pił i używał wulgarnego języka w obecności uczciwych kobiet. Nikt nie przemówił w jego obronie. Podobno to samo dotyczyło nadzorczy.

- Jak mogli!

- Mówimy o Chińczykach, proszę pani - wyjaśnił jej Billingsley. - Nietrudno im przyszło podjąć decyzję.

Wiatr uderzył w stare kino; zadrzało pod tą jego okrutną pieszczotą niczym żywa istota. Słyszeli, jak trzaska okno w damskiej toalecie. Johnny znieruchomiał czekając, aż otworzy się wystarczająco szeroko, by zrzucić butelki Billingsleya.

- Ale to jeszcze nie koniec - mówił dalej stary. - Wiecie, jak takie historie pęcznieją i wzbogacają się przez lata. - Złożył dłonie, pomachał sękatymi palcami. Na ekranie wzniósł się w powietrze wielki ptak, legendarny ptak śmierci. - Rosną jak cienie.

- A jaki był koniec? - spytał Johnny. Mimo zaawansowanego wieku nadal uwielbiał dobre opowieści, a ta wcale nie była zła.

- Trzy dni później w "Lady Day", barze stojącym niegdyś prawie dokładnie tam, gdzie dziś jest "The Broken Drum", pojawiło się dwóch młodych Chińczyków. Nim ich obezwładniono, postrzelili siedem osób. Zabili dwie. Wśród tych dwóch był inżynier górniczy z Reno, który zarekomendował wysadzenie sztolni.

- Szybu - poprawiła go Audrey.

- Cicho! - syknął Johnny i skinął ręką na starego, prosząc, by mówił dalej.

- Jeden z "kuli", bo tak ich wówczas nazywano, został zabity w burdzie. Najprawdopodobniej dostał nożem w plecy, choć ludzie wolą wierzyć w legendę o szulerze nazwiskiem Harold Brophy, który miał rzucić w niego kartą tak, że poderżnęła mu gardło. Ten, który przeżył, został postrzelony pięć- lub sześciokrotnie. Nie powstrzymało to jednak oburzonych praworządnych obywateli przed powieszeniem go następnego dnia, po parodii procesu przed parodią sądu. Założę się, że obywatele byli cholernie rozczarowani, bo słyszałem, że oszalał do tego stopnia, iż nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Na nogach miał łańcuchy, na rękach kajdanki, a mimo to walczył jak lew, przez cały czas wrzeszcząc coś w swoim języku.

Billingsley pochylił się lekko. Patrzał chyba przede wszystkim na Davida. Chłopiec odpowiedział mu spojrzeniem szeroko otwartych, zafascynowanych oczu.

- Wrzeszczał wyłącznie w języku pogańskich Chińczyków, ale ludzie, wszyscy ludzie, byli przekonani, że on i jego przyjaciel wydostali się z kopalni, by zemścić się na tych, którzy najpierw kazali im zejść pod ziemię, a potem zostawili ich pod ziemią. - Wzruszył ramionami. - Znacznie bardziej prawdopodobne, że było to po prostu dwóch młodych chłopaków z obozu chińskiego, znajdującego się na południe od Ely, nie takich biernych jak większość Chińczyków. Przez ten czas opowieść o tąpnięciu rozeszła się szeroko i ludzie z obozu znali ją z pewnością. Niektórzy z nich mieli prawdopodobnie krewnych w Desperation. No i należy jeszcze pamiętać, że ten, który przeżył strzelaninę, znał po angielsku tylko kilka przekleństw. Trzeba było domyślać się z gestów, o co mu chodzi. No i wiecie, jak ludzie lubią takie nieprawdopodobne zwroty w fascynujących opowieściach. Nie minął rok, a już powtarzali, że ocaleli wszyscy Chińczycy, że słyhać, jak rozmawiają tam na dole, śmieją się, jęczą, błagają, żeby ich wypuścić, i grożą zemstą.

- A czy to możliwe, żeby dwóch górników wydostało się z chodnika? - spytał Steve.

- Nie - odparła Audrey ze swego miejsca przy zejściu ze sceny.

Billingsley zerknął na nią, a potem zwrócił podpuchnięte, zażawione oczy na Steve'a.

- Sądzę, że owszem, możliwe - powiedział. - Ci dwaj mogli pójść na przodek, kiedy reszta tłoczyła się przy zawale. Jeden z nich znalazł może szyb wentylacyjny, szczelinę...

- Bzdury - przerwała mu Audrey.

- Żadne bzdury i pani o tym doskonale wie. Na wschód od miasta spotyka się porfir na powierzchni, wygląda jak czarne szkło z zatopionymi w nim rubinami. Tam, gdzie mamy skałę wulkaniczną, zawsze są jakieś szczeliny.

- Szansę, że tych dwóch...

- Przecież rozważamy hipotezę - wtrąciła uspokajająco Mary. - Żeby milej spędzić czas, to wszystko.

- Hipotetyczne gówny - burknęła Audrey, zjadając kolejny precel wątpliwej świeżości.

- No, w każdym razie tak to wygląda - zakończył Billingsley. - Żywcem pogrzebani górnicy, dwóch się wydostaje, oszaleli pod ziemią, próbują się zemścić. Potem w starej kopalni złota pojawiają się duchy. Jeśli nie jest to historia na burzę i noc, to już nie wiem, co to jest. - Spojrzał na Audrey i na jego twarzy pojawił się cwany

pijacki uśmiech. - Pani tam kopała, prawda? Razem z tymi nowymi. Nie znaleźliście przypadkiem jakichś małych kości?

- Jest pan pijany, panie Billingsley - odparowała chłodno Audrey.

- Nie. Chciałbym, ale nie jestem. Proszę o wybaczenie, panie i panowie. Mam wielką głowę i mały brzuch. Brzuch też ma swoje potrzeby.

Ruszył sceną z pochyloną głową, zgarbiony, zataczając się lekko. Cień, który mu towarzyszył, sprawiał wrażenie swoistej kpiny i przez swą wielkość, i przez to, że wyglądał jak bohater. Buty starego stukały po zakurzonych deskach. Wszyscy się na niego gapili.

Nagle rozległo się głośnie, mokre plaśnięcie. Członkowie Stowarzyszenia Przeżycia Colliego Entragiana podskoczyli jak jeden mąż. Cynthia uśmiechnęła się niepewnie, podnosząc nogę.

- Przepraszam. Pająk. Taki jak te, które widzieliśmy ze Steve'em.

Johnny pochylał się z rękami opartymi na udach tuż nad kolanami.

- Aha.

- Co "aha"? - zainteresował się Steve.

- Pająk. A właściwie pająki. - Wyprostował się. Usta miał skrzywione w wyrazie, który nie całkiem był uśmiechem. - Może przybyły z Chin?

3

Tak! Can ah wan me. Ah lah.

Puma otworzyła oczy. Wstała. Jej ogon poruszał się na boki. Właściwa chwila prawie już nadeszła. Nastawiła uszy; drżały lekko. Ktoś wszedł do pokoju za białym szkłem. Spojrzała na szybę, spięta, uważna, badając grunt, sprawdzając odległość i wysokość. Skok musiał być doskonały, jeśli miał skończyć się w środku, a głos w jej głowie żądał właśnie doskonałości.

Warknęła piskliwie. Tym razem dźwięk ten wydobył się i z nosa, i z pyska, bo pysk miała otwarty, a wargi podwinięte, ukazujące zęby. Powoli, powoli przysiadła na zadzie.

Już prawie czas.

Prawie czas.

Tak ah ten.

4

Billingsley zajrzał najpierw do damskiej toalety. Zaświecił latarką w okno. Butelki stały na miejscu. Obawiał się, że silny podmuch wiatru może otworzyć okno wystarczająco szeroko, by strącić na podłogę przynajmniej kilka, wywołując fałszywy alarm, ale nic takiego się nie zdarzyło i już raczej nie zdarzy. Wiatr wyraźnie osłabł. Burza, ta niezwykła letnia burza - niczego takiego w życiu nie widział - wreszcie się kończyła.

Miał zresztą ważniejsze sprawy na głowie. Musiał ugasić pragnienie.

Pragnienie? Nie, w ciągu ostatnich może pięciu lat to, co kiedyś było pragnieniem, coraz mniej przypominało pragnienie, a coraz bardziej swędzenie, niczym jakiś szczególny przypadek poparzenia trującym powojem, drażniącym mózg raczej niż skórę. Zresztą, co to w końcu za różnica? Wiedział, jak rozwiązać ten problem, i tylko to się liczyło. Poza tym, kiedy się napił, nie musiał myśleć o reszcie świata. O szaleństwie reszty świata. Gdyby chodziło tylko o niebezpieczeństwo, o szaleńca wymachującego bronią, prawdopodobnie zdolny byłby stawić mu czoło, choć jest stary i choć jest pijany. To, co się stało, nie było jednak tak łatwe i proste. Pani geolog upierała się wprawdzie, że tak, że to Entragian i tylko Entragian, ale on wiedział lepiej. Entragian był inny. Podzielił się ze wszystkimi tą opinią i Ellen Carver nazwała go szaleńcem, ale...

Lecz przecież... jeśli Entragian się zmienił, pozostaje jeszcze pytanie, w co się zmienił. I dlaczego on, Tom Billingsley, przywiązuje taką wagę do jego zmiany, dlaczego uważa ją za ważną, być może decydującą o ich losie? Nie wiedział. Powinien wiedzieć, powinien widzieć to tak jasno jak nos na swej gębie, ale ostatnio, kiedy pił, wszystko robiło się jakies takie niestałe. Zupełnie jakby cierpiał na starczą sklerozę. Nie pamięta przecież nawet imienia konia pani geolog, konia z naciągniętymi ścięgnami nogi...

- Owszem, pamiętam - powiedział do siebie. - Owszem, pamiętam, jej koń miał na imię... Jak miał na imię, ty stary pijaku? Nie wiesz, prawda?

- Owszem, wiem! Sally! - ryknął tryumfalnie. Poszedł korytarzykiem, minął zabite deskami wyjście awaryjne i znalazł się przed męską toaletą. Krótkim błyskiem latarki oświetlił turystyczny kibelek. - Sally, właśnie, Sally!

Zwrócił latarkę na ścianę i galopującego po niej, buchającego dymem z nozdrzy konia. Nie pamiętał, kiedy go narysował, pewnie urwał mu się film, ale koń był z pewnością jego dziełem, i to wcale nie takim złym. Podobało mu się, że sprawia wrażenie dzikiego i wolnego, jakby przybył tu z jakiegoś innego świata, świata, gdzie boginie nadal jeżdżą na oklep, a w galopie jednym skokiem pokonuje się całe kilometry...

Pamięć wróciła mu nagle, jakby koń na ścianie dzięki jakiejś wyjątkowej mocy przeczyścił mu głowę. Sally, tak, Sally. Było to mniej więcej rok temu. Plotki o ponownym otwarciu kopalni powoli przekształcały się w solidne, poparte dowodami fakty. Samochody osobowe i półciężarówki coraz częściej parkowały przed blaszakiem, służącym za siedzibę firmy, na lotnisku na południu miasta coraz częściej lądowały samoloty, a pewnej nocy - właśnie tu, w "The American West", popijając z chłopakami - dowiedział się, że stary dom Riepera wynajęła pani geolog. Młoda. Samotna. Podobno bardzo ładna.

Billingsley nie kłamał, musiał się załatwić, ale nie to pragnienie odczuwał teraz najmocniej. W jednej z umywalek leżała brudna szmata, tak brudna, że nikt nie ruszyłby jej gołą ręką, gdyby tylko dało się tego uniknąć. Stary Tom podniósł ją bez wahania, odsłaniając butelkę satin smootha, najgorszej z kiepskich whisky nie przeżerających jeszcze butelek... ale podczas sztormu dobry jest przecież każdy port.

Odkręcił korek. Musiał ująć butelkę w obie dłonie, tak bardzo trzęsły mu się ręce. Wreszcie, wreszcie zaczerpnął wielki łyk. Napalm spłynął mu gardłem i wybuchnął w żołądku. Palił, jasne że palił, ale jak to było w tej piosence Patty Loveless, którą bez przerwy dawano w radiu? "Krzywdź mnie, kochanie, w ten naprawdę cudowny sposób".

Wypił jeszcze raz, tym razem nieco mniej; z przytrzymaniem butelki miał mniejsze problemy, bo ręce już mu tak nie drżały, zakręcił kapsel i odłożył whisky do umywalki.

- Zadzwoń do mnie - powiedział cicho do siebie.

Siedząca pod oknem puma zastrzygła uszami i niżej przysiadła na zadnich łapach. Czekala, kiedy podejdzie do okna, bliżej miejsca, w którym miała wylądować po skoku.

- Zadzwoniła do mnie, powiedziała, że ma trzyletnią klacz imieniem Sally. Oczywiście.

Przykrył butelkę szmatą, machinalnie, odruchowo, myśląc tylko o tym, co zdarzyło się zeszłego lata. Pojechał do miłego, ceglanego, położonego na wzgórzach domu Rieperów i facet z kopalni - czarny mężczyzna, który został później recepcjonistą - zaprowadził go do konia. Powiedział, że Audrey właśnie dostała pilny telefon, że musi polecieć do siedziby firmy w Phoenix. Kiedy szli razem do stajni, mężczyzna spojrzął mu przez ramię i powiedział:

- Powiedział: "Właśnie idzie" - powtórzył głośno Tom. Światłem latarki ponownie oświetlił konia galopującego po krzywej terakocie. Patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, przed którymi przesuwala się przeszłość. Zupełnie zapomniał o potrzebie, z powodu której tu przyszedł. - I coś do niej zawołał.

Tak, oczywiście, zawołał. Zawołał: "Cześć, Audie!" i pomachał ręką. Odmachała mu. On sam też pomachał do niej, myśląc, że krążące po miasteczku opowieści nie odbiegały tak bardzo od prawdy, rzeczywistość była ładna. Nie tak, jak zwalająca człowieka z nóg gwiazda filmowa, ale mimo wszystko bardzo ładna jak na tę część świata, w której żadna samotna kobieta nie musi płacić za drinki, jeżeli nie chce. Zbadał konia, dał Murzynowi odrobinę maści na naciągnięte ścięgno, a ona, wróciwszy z Phoenix, przysłała po więcej. Dowiedział się tego od Marshy, sam był wówczas pod Washoe, wezwano go do chorych owiec. Potem często widywał ją w miasteczku. Nie tak, żeby porozmawiać albo coś, co to, to nie, nie mieli wspólnych znajomych, ale widział przecież, jak jadła obiad w "Antlers Hotel" albo w "Owrs", a raz nawet w "The Jailhouse" w Ely; widział, jak popijała z ludźmi z kopalni w "Bud's Suds" albo w "Drum" i rzucali kośćmi z kubeczka o to, kto zapłaci za drinki. Widział ją w sklepie Worrella kupującą jedzenie, w Conoco kupującą benzynę, pewnego dnia spotkał ją nawet w sklepie z narzędziami, gdzie nabyła puszkę farby i pędzel, oczywiście, widywał ją często, w miasteczku tak małym i tak odizolowanym od świata od czasu do czasu widywało się wszystkich, nie było na to sposobu.

Czego właściwie męczysz swój dumny łeb, przypominając sobie to wszystko? - zadał sobie pytanie stary Tom i wreszcie, wreszcie ruszył w stronę toalety. Buty zazgrzytały po piachu, ziemi i leżących na podłodze okruchach gipsu, który wypadł spod starej terakoty. Tom zatrzymał się nieco dalej niż na dystans potrzebny do oddania celnego strzału. Rozpinał rozporek; światło latarki padało na czubek jego buta. Co Audrey Wyler ma wspólnego z Colliem? Co Audrey Wyler może mieć wspólnego z Colliem? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział ich razem albo słyszał jakieś łączące ich ze sobą plotki, nie w tym rzecz. Więc w czym? I czemu właściwie nie może się opędzić od myśli, że ma to coś wspólnego z dniem, kiedy wezwała go, żeby obejrzał jej klacz? Przecież nawet wtedy nie widział Audrey... a właściwie tylko przez moment... z daleka.

Ustawił się wreszcie na linii strzału i wyjął ze spodni starego, wiernego małego. Boże, najwyższy czas. Pijesz szklankami, sikasz kuflami, wielka życiowa prawda, nie?

Pomachała Murzynowi... spieszyła się do samochodu... jechała na pas... leciała do Phoenix. Miała na sobie sukienkę, prawda, oczywiście, jej celem nie był blaszak, biura kopalni w środku pustyni, tylko miasto, pokoje z dywanami na podłodze i widokiem szerszym niż z trzeciego piętra. Miała spotkać się z ważnymi ludźmi. Fajne nogi... starzeję się, ale nie jestem aż tak stary, żeby nie docenić ładnego kolanka...

I nagle kawałki puzzli ułożyły mu się w głowie, coś zaskoczyło, nie z cichym *klik*, lecz z hukiem wystrzału, przez chwilę, nim rozległ się głośny, urywany ryk pumy, stary Tom był pewien, że dźwięk tłukącego się szkła rozlega się wyłącznie w jego głowie, że towarzyszy objawieniu...

Wtedy właśnie wielki kot ryknął. Jego ryk niemal natychmiast przeszedł w wycie i Billingsley zsiąkł się wreszcie, lecz ze strachu. Przez sekundę nie potrafił skojarzyć tego dźwięku z żadnym zwierzęciem, które kiedykolwiek stąpało po powierzchni Ziemi. Obrócił się, oblewając toaletę lukiem uryny. Na tle terakoty dostrzegł ciemny, zielonooki kształt. W futrze na grzbiecie zwierzęcia błyszcząły kawałki szkła. Natychmiast zorientował się, z czym ma do czynienia, mimo zaskoczenia i panicznego strachu bezbłędnie połączył kształt z dźwiękiem.

Puma górską - w świetle latarki rozpoznał wyjątkowo wielką samicę - podniosła pysk, szczerząc na niego ogromne zębiska. A karabin został na scenie, oparty o ekran.

- O mój Boże, nie! - szepnął Billingsley, rzucając jednocześnie latarką nad prawym barkiem wielkiego kota. Celowo chybił. Puma zatrzymała się na moment, obejrzała, by sprawdzić, czym w nią ciśnięto; stary wykorzystał ten moment i pobiegł w kierunku drzwi.

Biegł z opuszczoną głową. Ręką, w której przedtem trzymał latarkę, chował małego w spodnie. Puma ryknęła raz jeszcze, ryknęła w szale, ryknęła niczym palona albo kluta nożem kobieta; w zamkniętej przestrzeni jej ryk zabrzmiał ogłuszająco. Rzuciła się na uciekającego z wyciągniętymi łapami o błyszczących długich pazurach. Pazury pograżyły się w plecach ofiary, szarpnęły wątlutkie mięśnie, zdarły skórę pasami, które ułożyły się w kształt litery V. W końcu trafiły na pasek spodni i na moment się tam zatrzymały. Szarpnęły starego, wrzeszczącego ile sił w płucach człowieka z powrotem do toalety. Pasek puścił i Tom Billingsley upadł wprost na wielkiego kota. Odwrócił się, spadł na pokrytą odłamkami szkła podłogę, zdołał jeszcze przykleknąć na jedno kolano i wtedy puma zaatakowała, przewróciła go na wznak i skoczyła mu do gardła.

Billingsley zdążył osłonić się dłonią; zęby wielkiego kota pograżyły się w jej boku. Na wąsach miał krople krwi jak czerwone granaty. Tom wrzasnął i drugą rękę wsunął mu pod pysk, pchając z całej siły, próbując zrzucić z siebie potężne zwierzę. Czuł na policzku jego oddech niczym dotyk gorących palców. Nad grzbietem pumy dostrzegł konia, swojego konia, galopującego, dzikiego i wolnego.

Puma zaatakowała jeszcze raz, potrząsając pyskiem, w którym trzymała jego dłoń, a potem był już tylko ból. Ból wypełnił świat.

5

Kiedy puma ryknęła po raz pierwszy, Cynthia nalewała sobie właśnie wody mineralnej do szklanki. Ryk szarpnął jej nerwami i mięśniami tak mocno, że niemal pękły. Plastikowa butelka wody wysunęła się z rozluźnionych nagle palców, uderzyła o podłogę między stopami dziewczyny i wybuchła niczym bomba wodna. Cynthia poznała ten dźwięk natychmiast - ryk wielkiego kota - choć nigdy przedtem nie słyszała ryku wielkiego kota, chyba że w kinie. Oczywiście teraz, niesamowite to, a jednak prawdziwe, też słyszała go w kinie.

Rykowi zwierzęcia odpowiedział krzyk człowieka. Krzyk Toma Billingsleya.

Obróciła się. Zobaczyła Steve'a patrzącego na Marinville'a i zobaczyła też, jak Marinville kuli się pod jego wzrokiem, blady jak trup. Usta miał mocno zaciśnięte, ale trząsł się, trząsł się strasznie. W tym momencie sprawiał wrażenie słabego, zagubionego, dziwnie kobiecego przez te swoje długie włosy; wyglądał jak stara babcia, która zapomniała nie tylko, gdzie jest, ale i kim jest.

Wyglądał żałośnie, lecz Cynthia mu nie współczuła. Budził w niej pogardę.

Steve przeniósł wzrok na Ralpa. Ten skinął głową, złapał swoją strzelbę i pobiegł w kierunku lewych schodków ze sceny. Steve dogonił go; zniknęli w korytarzu, biegnąc jeden obok drugiego. Stary krzyknął ponownie, lecz tym razem jego krzyk zabrzmiał tak, jakby miał w gardle wodę, jakby krzyczał i dławił się jednocześnie, po czym zaraz ucichł.

Puma ryknęła jeszcze raz.

Mary podeszła do szefa Steve'a i podała mu karabin, z którym do tej pory praktycznie się nie rozstawała.

- Bierz - powiedziała. - Musisz im pomóc.

Spojrzał na nią, przygryzając wargi.

- Słuchaj, przecież w ciemności jestem ślepy. Wiem, jak to brzmi...

Rozległ się kolejny przeraźliwy ryk. Przewiercał uszy Cynthii na wylot. Na ramionach poczuła gęsią skórę.

- Masz rację, mówisz jak tchórzliwy głupek - stwierdziła Mary i odwróciła się plecami do Johnny'ego.

To go wreszcie poruszyło. Zrobił kilka kroków przed siebie, ale powoli, jak człowiek obudzony z głębokiego snu. Cynthia dostrzegła oparty o ekran karabin Billingsleya, chwyciła broń i pobiegła, nie czekając na nikogo. Pędziła z karabinem nad głową niczym bojowniczka o wolność z jakiegoś cholernego plakatu. Zrobiła to jednak nie dlatego, by wyglądać romantycznie, lecz dlatego, że nie chciała ryzykować. Gdyby potknęła się lub wpadła na coś, karabin mógłby wystrzelić i ranić kogoś znajdującego się akurat przed nią.

Minęła kilka zakurzonych krzeseł stojących przed czymś, co wyglądało na starą, popsutą skrzynkę bezpiecznikową. Dalej był korytarz - ten, którym tu weszli. Cegła po jednej stronie, drewno po drugiej. I zapach, zapach starych mężczyzn, mających zbyt dużo wolnego czasu. A także za wiele wigoru, przynajmniej sądząc po kasetach, które oglądali.

Zwierzę ryknęło jeszcze raz, Tom jednak już nie krzyczał. Zły znak. Gdzieś przed nią, niedaleko, stuknęły drzwi; taki charakterystyczny, tępy dźwięk wydają wyłącznie drzwi publicznych toalet, uderzające o pokrytą terakotą ścianę. A więc - pomyślała - męska albo damska, na pewno męska, tam ustawili kibelek.

- Uważaj! - Ralph niemal wrzeszczał. - Jezu Chryste, Steve...

Kot prychnął, jakby pluł. Coś łupnęło głośno. Steve krzyknął; nie potrafiła powiedzieć, czy krzyczał ze strachu, czy z bólu. Jego krzykowi zawtórowały dwa strzały. Na ścianie naprzeciw toalety błysnęło odbicie tryskającego z luf ognia, oświetlając na moment gaśnicę, na której ktoś powiesił dziurawe stare sombrero. Cynthia skuliła się instynktownie i tak skulona skręciła w prawo, wprost do toalety.

Ralph Carver całym ciężarem opierał się na otwartych drzwiach, przytrzymując je w tej pozycji. Toaletę oświetlała wyłącznie latarka starego, leżąca w rogu i skierowana na ścianę; odbitego od kafelków, rozproszonego światła wystarczało raptem na tyle, żeby w ogóle coś widzieć. To słabe światło w połączeniu z dymem po wystrzałach Ralpa nadawało toczącym się tu błyskawicznie wydarzeniom atmosferę napiętą lecz senną - atmosferę, która Cynthii natychmiast skojarzyła się z kilkoma jej eksperymentami z meskaliną i peyotlem.

Billingsley, oszołomiony, czołgał się w kierunku pisuarów. Głowę opuścił tak nisko, że praktycznie wlokła się po podłodze. Koszulę i podkoszulek miał rozdarte aż do pasa. Z pleców krew ciekła mu strumieniami. Wyglądał jak wybiczowany przez szaleńca.

Pośrodku toalety tańczono zaś przedziwnego wręcz walca. Puma stała na zadnich łapach, przednie trzymała na ramionach Steve'a Amesę. Krew spływała jej po bokach, nie była chyba jednak poważnie ranna. Jeden

ze strzałów Ralpa najwyraźniej chybił; Cynthia dostrzegła, że połowa wymalowanego na ścianie konia rozpadła się w proch i pył. Steve skrzyżował ramiona na piersi, łokcie i przedramiona oparte miał na szyi zwierzęcia.

- Strzelaj! - wrzeszczał. - Na litość boską, człowieku, strzelaj!

Ralph, z twarzą wyglądającą w świetle latarki jak maska z cienia, podniósł broń, wymierzył i... opuścił ją. W jego oczach pojawił się na chwilę wyraz cierpienia - chciał strzelać, lecz bał się trafić w człowieka.

Wielki kot skrzeknął dziwnie i uderzył trójkątnym łbem. Steve cofnął głowę. Zataczali się tak w pijackim tangu, pazury pumy zagłębiły się w barkach człowieka i Cynthia dostrzegła na jego ramionach, pod poduszkami łap zwierzęcia, rozszerzające się plamy krwi. Puma wściekle machała ogonem.

Tak złączeni wykonali kolejne pół obrotu i Steve trafił nogami w stojącą pośrodku podłogi turystyczną toaletę. Przewrócił ją na bok. Zachwiał się, niemal stracił równowagę; rozpaczliwie przy tym odpychał pumę skrzyżowanymi ramionami. Stary Tom doczołgał się w kąt ubikacji, lecz nadal próbował przeć przed siebie, jakby atak i rany zmieniły go w coś w rodzaju nakręcanej zabawki, skazanej na to, by poruszać się, póki nie rozkręci się sprężyna.

- Strzel wreszcie do tej cholery! - krzyknął Steve. Udało mu się jakoś postawić nogę między dolną częścią toalety i doczepionym do niej płóciennym workiem, nie przewrócił się na szczęście, ale nie mógł się już dalej cofać, jeszcze sekunda, a puma go przewróci. - Strzelaj Ralph, niech cię, strzelaj!

Ralph znów podniósł broń do ramienia. Oczy otwarte miał szeroko, gryzł dolną wargę, był chyba gotów zaryzykować... w tym momencie Cynthia odskoczyła na bok, odepchnięta z całej siły przez Marinville'a. Wykręciła pirueta i w ostatniej chwili złapała się środkowej umywalki w rzędzie trzech; tylko dzięki niej nie trafiła twarzą w biegnące przez całą ścianę stalowe lustro.

Odwróciła się, oszołomiona. Johnny Marinville wkroczył do ubikacji z kolbą strzelby Mary pewnie opartą o ramię. Brudne siwe włosy podskakiwały mu i opadały w rytm kroków. Cynthia pomyślała, że w życiu nie widziała człowieka tak przerażonego, lecz Johnny, raz wykonawszy ruch, nacierał bez wahania, aż wreszcie oparł obie lufy dubeltówki na łbie wielkiego kota.

- Pchnij! - ryknął i Steve pchnął z całej siły.

Trójkątna głowa wielkiego kota odchyliła się w tył, jego błyszczące oczy wyglądały jak podświetlone od środka, jakby nie był żywym zwierzęciem, lecz jedynym w swoim rodzaju abazurem. Johnny skrzywił się, odwrócił głowę nieco w bok i strzelił z obu luf naraz.

Huk był wręcz ogłupiający; strzał z karabinu Ralpa wypadł przy nim jak kłaśnięcie. Z luf trysnął jaskrawy płomień, Cynthia poczuła zapach tłętego się futra. Puma upadła na bok, właściwie bez łba. Z sierści na jej karku unosił się dym.

Steve zamachał rękami, usiłując utrzymać równowagę. Półprzytomny Marinville wykonał niemrawy gest, udając tylko, że próbuje go złapać, i oto jej miły, nowy przyjaciel już leżał jak długi na podłodze.

- O Chryste, chyba zesrałem się w gacie - stwierdził pisarz spokojnym tonem salonowej rozmowy. - Nie, zdaje się, że to tylko wiatr w gałęziach wierzb. Steve, nic ci nie jest?

Cynthia już przy nim klęczała. Steve usiadł, rozejrzał się nieprzytomnie i syknął, kiedy lekko nacisnęła palcem plamę krwi na jego ramieniu.

- Chyba nic - powiedział. Próbował wstać; dziewczyna objęła go w pasie, mocno zaparła się na rozstawionych nogach i pociągnęła. - Dzięki, szefie.

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekł Marinville. Po raz pierwszy od czasu, kiedy go spotkała, Cynthia miała wrażenie, że mówi zupełnie naturalnie, że żyje swoim prawdziwym życiem, zamiast odgrywać napisaną dla siebie rolę. - Nie potrafię uwierzyć, że to zrobiłem. Ta baba tak mnie zawstydziła, że musiałem. Steven, na pewno nic ci nie jest?

- Mam poranione ramiona, ale to na razie nieważne. Musimy pomóc staremu.

W tym momencie pojawiła się Mary z nie nabitym karabinem Johnny'ego. Trzymała go za lufę, kolba sterczała jej nad ramieniem. Cynthii wydawało się, że jej twarz jest niesamowicie spokojna. Mary obrzuciła wzrokiem toaletę - dym po strzale Marinville'a zasnuł wnętrze, nadając tej scenie jeszcze bardziej niesamowitą atmosferę - i skoczyła ku leżącemu na ziemi starszukowi, który jeszcze dwukrotnie spróbował wpełznąć w ścianę i osunął się płynnie; głowa obróciła mu się i zjechała policzkiem po kafelkach, na podłogę.

Ralph wyciągnął rękę, by złapać Steve'a za ramię, dostrzegł krew i zdecydował się chwycić za biceps.

- Nie mogłem - wyznał. - Chciałem, ale nie mogłem. Strzeliłem dwa razy, a potem bałem się, że trafię ciebie. Kiedy wreszcie się odwróciłeś i mogłem strzelić jej w bok, Marinville załatwił sprawę.

- Nie ma o czym mówić - pocieszył go Steve. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Byłem mu to winien - stwierdził Johnny radośnie, niczym rozgrywający amerykańskiego futbolu po wyjątkowo dobrym podaniu. Cynthia poczuła, że zbiera jej się na mdłości. - Gdyby nie ja, nie byłoby go tutaj i...

- Chodźcie, szybko! - przerwała mu Mary. Głos odmawiał jej posłuszeństwa. - Jezu Chryste, ludzie, on tak strasznie krwawi!

We czwórkę stanęli wokół Mary i leżącego na posadzce Billingsleya, którego zdołała przewrócić na wznak. Cynthia skrzywiła się boleśnie, widząc to, co zobaczyła. Stary pijak nie miał dłoni, z palców, oprócz tych ostatnich, najmniejszych, pozostały zaledwie kikuty, ale nie to było najgorsze. Jego kark i plecy były jedną wielką raną. Krew lała się z nich strumieniami. A jednak nie stracił przytomności. Oczy miał błyszczące, czujne.

- Kiecka - szepnął ochryple. - Kiecka!

- Nic nie mów, starszuku - poprosił Marinville, a potem pochylił się, podniósł latarkę i oświetlił nią leżącego.

To, co w mroku wyglądało kiepsko, w świetle wyglądało wręcz fatalnie. Głowa Toma spoczywała w jeziorze krwi. Cynthia nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem człowiek ten jeszcze żyje.

- Muszę zatamować krwawienie - stwierdziła Mary. - Nie stójcie tak, umrze, jeśli w tej chwili nie zatamujemy krwawienia.

Umrze i tak, kochanie - pomyślała Cynthia, ale zachowała tę myśl dla siebie.

W jednej z umywalek Steve znalazł jakąś szmatę, która okazała się bardzo starą koszulką z wizerunkiem wielbłąda Joe. Złapał ją bez wahania, złożył na pół i jeszcze raz, po czym podał Mary, która złożyła ją po raz trzeci, a potem przytknęła do boku szyi Billingsleya.

- Chodź - zaproponowała Cynthia, biorąc Steve'a za rękę. - Wracamy na scenę. Jeśli nie znajdziemy nic innego, przynajmniej przemiję ci to wodą z baru. Na dolnej półce jest jej peł...

- Nie - szepnął stary. - Zostańcie. Musicie... musicie mnie wysłuchać.

- Nie wolno ci mówić - zaprotestowała Mary, mocniej przyciskając mu szmatę do szyi. Krew już zdążyła przez nią przesiąknąć. - Gadaj dalej, a nigdy nie zatamuję ci krwi.

Stary Tom spojrział na nią.

- Za późno... opatrywać. - Głos miał ochryply. - Umrę.

- Nie umrzesz. To śmieszne.

- Umrę - powtórzył Billingsley i nagle gwałtownie poruszył się pod jej rękami. Jego obdarty grzbiet zapisał, trąc o kafelki posadzki. Cynthię zemdlilo. - Pochylcie się... wszyscy się pochylcie... musicie wysłuchać...

Steve spojrzął na dziewczynę, która w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Uklękli przy nogach starego, Cynthia tuż przy Mary Jackson. Marinville i Carver stali z boku, pochyleni.

- Nie powinien mówić - ostrzegła Mary, ale w jej głosie brakowało pewności.

- Niech mówi, jeśli uważa, że musi - odparł Johnny. - O co chodzi, Tom?

- Za krótka do interesów - szepnął Billingsley. Patrzył na nich, wzrokiem błagając, by zrozumieli.

- Nie rozumiem. - Steve potrząsnął głową.

Stary Tom oblizał wargi.

- Przedtem tylko raz widziałem ją w sukience. Dlatego tak długo nie rozumiałem... co jest nie tak.

Na twarzy Mary pojawiło się zrozumienie.

- Racja! Mówiła, że miała się spotkać z księgowym! Księgowy przyjeżdża aż z Phoenix, żeby rozmawiać o czymś bardzo ważnym, o wielkich pieniądzech, a ona wkłada sukienkę tak krótką, że widziałby jej majtki, gdyby założyła nogę na nogę? Nie wierzę.

Po bladej, nie dogolonej twarzy starego weterynarza pot ściekał niczym łzy.

- Stary dureń ze mnie. Ale... to przecież nie moja wina. Nie. Nie znałem jej dobrze. Nie było mnie w gabinecie, kiedy przyszła po maść. Widywałem ją z daleka, a kobiety tu zawsze noszą dzinsy. Już... już to prawie miałem. Tylko że zacząłem pić. Zapomniałem. - Spojrzął na Mary. - Sukienka była dobra, kiedy ją włożyła. Rozumiesz? Rozumiesz?

- O czym on mówi? - zdziwił się Ralph. - Jakim cudem miała być dobra, kiedy ją włożyła, a za krótka później?

- Wyższa - szepnął stary Tom.

Johnny spojrzął na Steve'a.

- Co on powiedział? Brzmiało jak...

- Wyższa - powtórzył Billingsley.

Wymówił to słowo, po czym rozkaszał się. Trzykrotnie złożona koszula, którą Mary trzymała mu przy szyi i ramieniu, była już całkiem przemoczona krwią. Oczy starego przeskakiwały z twarzy na twarz. Obrócił głowę na bok, wypluł krew. Kaszel ustał.

- Mój Boże! - westchnął Ralph. - Jest jak Entragian? O to ci chodzi? Że jest jak ten gliniarz?

- Tak... nie - szepnął Billingsley. - Nie wiem na pewno. Zorientowałbym się... zaraz, ale...

- Panie Billingsley, czy pana zdaniem jest łagodniejszym przypadkiem Entragiana? - spytała Mary.

Stary spojrzął na nią z wdzięcznością i uściśnął jej dłoń.

- Z pewnością nie krwawi jak on - zauważył Johnny.

- Może i tak, tylko tam, gdzie nie widzimy - powiedział Ralph. - Przynajmniej na razie.

Billingsley spojrzął nad ramieniem Mary.

- Gdzie... gdzie...

Znów się rozkaszał i nie był w stanie skończyć zdania. Ale nie musiał go kończyć. Zgromadzeni wokół niego ludzie popatrzyli na siebie, zaskoczeni, Cynthia odwróciła się.

Audrey wśród nich nie było.

I nie było wśród nich Davida Carvera.

Rozdział 4

1

Istota, która była niegdyś Ellen Carver, jeszcze wyższa i nadal nosząca policyjny znaczek, choć już nie pas Sama Browne'a, stała na stopniach ratusza, spoglądając na północ wzdłuż pokrytej piaskiem ulicy, za tańczące na wietrze, migające żółte światelko na skrzyżowaniu. Nie widziała stąd kina, ale wiedziała, gdzie jest. Co więcej, wiedziała też, co się dzieje w środku. Nie wszystko, ale wystarczająco dużo, by poczuć gniew. Pumie nie udało się zamknąć starego na czas, no ale przynajmniej odciągnęła ich od chłopca. Wszystko byłoby więc w porządku, gdyby nie to, że chłopiec zdołał się ukryć przed drugim jej wysłannikiem. Przynajmniej na razie.

Gdzie się ukrył? Stwór nie wiedział, nie był w stanie zobaczyć i to było źródłem jego strachu i złości. On był źródłem strachu i złości. David Carver. Przeklęty głupi Bożychłopczyk. Powinien go zabić, gdy był w policyjancie i miał szansę, powinien zabić go na progu jego własnego przeklętego kampera, powinien zabić go i zostawić ścierwnikom. Nie mógł jednak i wiedział, dlaczego nie może. Młodego pana Carvera otaczała nicość, nicość była jego tarczą. To właśnie nicość ocaliła wcześniej Bożegochłopczyka.

Istota zacisnęła dłonie w pięści. W podmuchach wiatru krótkie, złotoblond włosy Ellen Carver powiewały jak flaga. Skąd on się tu w ogóle wziął, skąd wziął się tu ktoś taki jak on? Czy to przypadek? Czy został przysłany?

Kim jesteś? Czy pojawiłeś się przypadkiem? Czy zostałeś przysłany?

Pytania te nie miały najmniejszego sensu. Istota знаła swój cel, *tak ah lah*, i to wystarczyło jej w zupełności. Zamknęła oczy Ellen, a potem na moment sięgnęła do wnętrza, lecz okazało się to bardzo nieprzyjemne. Jej obecne ciało już zaczęło zawodzić. To nie kwestia rozkładu, lecz raczej intensywności płomienia; wewnętrzna siła - *can de lach*, serce nieuformowanych - rozsadyła je od środka... a jego zastępca uciekł ze spizarni.

Z powodu Bożegochłopczyka.

Gównianego rozmodlonego Bożegochłopczyka.

Stwór spojrzał na zewnątrz, nie chcąc myśleć o ściekającej po udach krwi, o dokuczliwym skrobaniu w gardle i o tym, że kiedy drapał się po głowie Ellen, paznokciami wyrywał wielkie kłęby złotorudych włosów Ellen.

Zamiast patrzeć w siebie, wysłał swój wzrok do kina.

To, co zobaczył, widział w formie nakładających się na siebie i często zaprzeczających sobie nawzajem obrazów. Zupełnie tak, jakby obserwował szereg ekranów telewizyjnych, odbijających się w kupce rozbitego szkła. Patrzył przede wszystkim przez oczy pajaków, lecz także much, karaluchów, szczurów wyglądających z nor w gipsowych ścianach i nietoperzy, wiszących pod wysokim sufitem. Nietoperze przekazywały dziwne, monochromatyczne obrazy, stanowiące echa ich radarów.

Widział mężczyznę z półciężarówki, tego, który przyjechał do miasta bez jego udziału, i chudą przyjaciółkę tego mężczyzny. Właśnie prowadzili resztę towarzystwa na scenę. Ojciec wykrzykiwał imię syna, syn jednak mu nie odpowiadał. Pisarz podszedł do krawędzi sceny, dłonie złożył w trąbkę wokół ust i wrzasnął: "Audrey". Audrey... gdzie jest Audrey? Stwór nie miał sposobu, by stwierdzić to na pewno. Nie był w stanie

patrzeć jej oczami, jak patrzył oczami pomniejszych stworzeń. Z pewnością szuka chłopca. A może już go znalazła? Sądził, że nie, jeszcze nie. To niewątpliwie by wyczuł.

Stwór uderzył dłonią Ellen w udo Ellen w geście świadczącym o niepokoju, o frustracji, przez co pozostawił na skórze siniak niczym zgniły ślad na skórze jabłka, i jeszcze zmienił punkt obserwacji. Dopiero teraz zauważyła, że nie, nie wszyscy byli na scenie, sposób jego widzenia niczym przez pryzmat tym razem zwiódł go na chwilę.

Mary pozostała przy starym. Stwór pomyślał, że gdyby udało się ją porwać, podczas gdy reszta zajęta jest Audrey i Davidem, oszczędziłoby to wielu późniejszych problemów. Krytyczny moment wprawdzie jeszcze nie nadszedł, obecne ciało nadal nadaje się do użytku i jeszcze trochę wytrzyma, ale kiepsko byłoby, gdyby odmówiło posłuszeństwa w najważniejszym momencie. Lepiej, bezpieczniej będzie, jeśli...

Przed oczami stwora pojawił się obraz pajęczyny z wiszącymi na niej, uwięzionymi muchami. Unieruchomionymi jadem, lecz bynajmniej nie martwymi.

- Żelazna racja - szepnął stwór głosem Ellen Carver i w języku Ellen Carver. - Hej ho, uhu ha, mały piesek kostkę ma.

Zniknięcie Mary zdemoralizuje resztę, odbierze pozostałym pewność siebie, której zapewne nabrali po udanej ucieczce, znalezieniu schronienia i zabiciu pumy. Stwór zakładał, że pumę zabić się im uda, w końcu mieli broń, a kot był zwierzęciem z ciała i kości, *sarx, soma i pneuma*, a nie złym duchem z metafizycznego śmietnika. Któż jednak zdołałby się domyślić, że ta pretensjonalna stara nadęta kupa gówna dokona tego, czego dokonała?

Zadzwoił do tego drugiego z telefonu, który udało mu się zachować. Tego też się nie domyśliłeś. O niczym nie wiedziałeś, aż do przyjazdu tej żółtej półciężarówki.

Owszem, niezauważenie telefonu było błędem, wpadką, Marinville myślał o telefonie, stwór zatem powinien natychmiast to wyczuć, niemniej nie miał do siebie pretensji, że tego nie zrobił. W tym momencie przecież głównym celem było zapuszkowanie starego durnia i zastąpienie ciała Entragiana, zanim całkiem się rozpadnie. A poza tym żałował Entragiana. Był bardzo silny.

Jeśli w ogóle chce dostać Mary, to lepszej okazji nie znajdzie. Tymczasem Audrey może zdąży znaleźć i zabić chłopca. To dopiero byłoby cudowne. Niczym już nie musiałyby się martwić. Nigdzie już nie musiałyby zakradać się potajemnie. Po Ellen miałyby Mary, a resztę zostawiłby sobie jako rezerwę, na później.

A co potem? Co jeśli ograniczony zapas ciał wreszcie się wyczerpie? Polowanie na drodze? Być może. A kiedy ludzie zdziwieni tym, co dzieje się w Desperation, przybędą tu tłumnie, co wtedy? Cóż, przekroczymy ten most, kiedy do niego dojdziemy; stwór praktycznie nie miał pamięci i nie interesował się przyszłością. Jeśli zaś chodzi o teraźniejszość, to uszczęśliwiłoby go zabranie Mary do Chińskiej Jamy.

Tak zszedł po schodach ratusza, zerknął na radiowóz i przeszedł przez ulicę na piechotę. Samochód na nic się nie przyda, przynajmniej tym razem. Kiedy znalazł się na chodniku, ruszył przed siebie długim krokiem. Spod pantofli, rozerwanych na bokach przez za wielkie dla nich stopy, tryskał piasek.

2

Audrey słyszała, jak tam, na scenie, wykrzykują imię Davida... i jej imię. Wkrótce rozpoczną systematyczne poszukiwania. Mieli broń. Broń sprawiła, że byli niebezpieczni. Możliwość śmierci nie robiła na

niej wrażenia, a jeśli już to niewielkie, nie takie jak na początku, ale możliwość śmierci przed zabiciem chłopca, ooo... to już zupełnie inna sprawa. Puma złapana została na głos stwora z głębi ziemi jak ryba na haczyk, w przypadku Audrey Wyler stwór zachowywał się bardziej jak wąż pokryty kwasem, który się w nią wdierał, który wypierał kobietę zajmującą kiedyś to ciało, obejmując ją jednocześnie swym uściskiem. Uczucie wypierania okazało się wręcz nieprawdopodobnie przyjemne, przypominało trochę jedzenie czegoś miękkiego i słodkiego. Z początku nie było takie rozkoszne, z początku było wręcz przykre, jak początek grypy, lecz w miarę jak zbierała kolejne *con tah*, niczym dziecko znajdujące ukryte zabawki, grypa stopniowo mijała. Teraz interesowało ją tylko znalezienie chłopca. Tak nie dysponując formą, nie śmiał się do niego zbliżyć, więc ona musi zająć jego miejsce.

Kobieta, która podczas pierwszego spotkania z Tomem Billingsleyem miała metr siedemdziesiąt wzrostu, zatrzymała się u szczytu schodów, by się rozejrzeć. Właściwie nie powinna widzieć nic, pomieszczenie oświetlało tylko jedno okno, a przez jego brudną szybę przenikały wyłącznie promienie migającego na skrzyżowaniu żółtego światła oraz jednej słabej lampy, stojącej naprzeciwko "Bud's Suds". Z każdym zebraniem lub danym jej *can tah* widziała jednak coraz lepiej, miała już niemal wzrok kota, toteż zaśmiecony korytarz nie krył już dla niej żadnej tajemnicy.

Ludzie, dla których domem stała się ta część kina, nie troszczyli się o czystość nawet w przybliżeniu tak bardzo jak stary Tom i jego przyjaciele. Rozbijali butelki po kątach, zamiast gromadzić je w kartonowych pudłach, a zamiast fantastycznych ryb i galopujących koni malowali na ścianach... coś zupełnie innego. Jeden z rysunków, znacznie prymitywniejszy od tych, które można zobaczyć na ścianach jaskiń, ukazywał rogate, zniekształcone dziecko wiszące przy gigantycznej piersi. Poniżej artysta wypisał niewinny wierszyk: KOCHANE DZIDZI POROŚNIĘTE W SIERŚĆ, WIDZĘ CIĘ GRYZĄCE MACIERZYŃSKĄ PIERSĆ. Strzępy papieru: torby po hamburgerach, pudełka po papierosach, opakowania po kondomach dekorowały obie strony korytarza. Wyżutą gumę ktoś przykleił na drzwiach z napisem KIEROWNIK KINA; wisiała tam na resztkach swych zaschniętych soków niczym martwy ślimak.

Drzwi do gabinetu dyrektora miała po prawej. Naprzeciw nich znajdowały się drzwi opatrzone napisem DOZORCA. Przed sobą widziała trzecie, bez napisu, za nimi zaś otwierał się łuk z nagryzmołonym na nim czarną, złuszczoną farbą słowem, którego nawet jej oczy nie były w stanie odczytać, przynajmniej z tej odległości. Wystarczyło jednak kilka kroków, by je rozpoznała: BALKON.

W jakichś zamierzchłych czasach wejście na balkon zostało zabite deskami, lecz potem deski odbito i ułożono pod ścianami po obu stronach. Ze szczytu łuku zwisała natomiast nadmuchiwana lalka, w tej chwili niezbyt dobrze napompowana, za to wyposażona w blond włosy, ostro podmalowane na czerwono usta i łysą, uproszczoną pochwę. Na szyję nałożoną miała pętlę ze sznura szerniałego ze starości, a także, spadającą na wątłą sztuczną pierś, tekturową plakietkę, dzieło najwyraźniej pilnego pierwszoklasisty. NIE PODHOĆ - głosił napis na plakietce. - PSZYGOTUJ SIĘ NA UPADEK. NIE ŻARTUJE.

W korytarzu, z boku, znajdowała się także wnęka, w której kiedyś umieszczony był zapewne bar, a dalej ciemne schodki, prowadzące w ciemność, najprawdopodobniej do kabiny operatora.

Audrey podeszła do drzwi oznaczonych słowem DYREKTOR, chwyciła klamkę i oparła o nie czoło. Wiatr jęczał jak zdychające zwierzę.

- Davidzie? - powiedziała cichym, łagodnym głosem. - Davidzie, słyszysz mnie? To ja, Audrey, Davidzie. Audrey Wyler. Chcę ci pomóc.

Żadnej odpowiedzi. Otworzyła drzwi, a za nimi dostrzegła nie używaną najwyraźniej od dłuższego czasu salkę z prastarym plakatem z *Bonnie and Clyde* na ścianie i porwanym materacem na podłodze. Pod plakatem, flamastrem, który rozpoznała z wcześniej widzianych arcydzieł, ktoś napisał: W NOCY CHODZĘ, W DZIEŃ ŚPIĘ NA PODŁODZE.

Zajrzała do pokoiku dozorczy, niewiele większego od schowka i zupełnie pustego. Drzwi bez żadnych oznaczeń odsłoniły niegdysiejszy magazynek; nozdrza Audrey, równie wyczulone teraz co jej wzrok, wyczuły zapach popcornu sprzed lat. Nie brakło tu także padłych much oraz ekskrementów myszy, ale poza tym nie znalazła niczego ciekawego.

Podeszła do łuku, odsunęła wiszącą na nim lalkę i zajrzała do środka. Z miejsca, w którym się teraz znajdowała, nie widziała sceny, lecz jedynie górną część ekranu. Chuda dziewczyna nadal wrzeszczała "David!", reszta jednak zachowywała się cicho. Zapewne nie oznaczało to niczego, Audrey jednak bardzo nie podobało się to, że nie wiedziała, gdzie są.

Uznała, że ostrzeżenie na tabliczce zdobiącej szyję lalki to nie żart. Na balkonie nie było siedzeń, dzięki czemu szczeliny i dziury w podłodze łatwiej dawało się zauważyć. Audrey przypomniał się czytany w szkole wiersz, coś o malowanym statku na malowanym oceanie. Jeśli tego małego łobuza nie było tu, był gdzie indziej, gdzieś blisko. Nie mógł przecież uciec. A na balkonie się nie ukrył, tyle zdołała stwierdzić z pewnością. Na balkonie wymontowano fotele, nie miał się więc gdzie ukryć, nie zawieszono tu zasłon, na ścianach nie widniał nawet skrawek szmaty.

Opuściła ramię, którym do tej pory podtrzymywała nadmuchiwaną sekslalkę. Lalka zakotłosała się; pętla na jej szyi zaszurała głośno. Pustymi oczami wpatrywała się w Audrey. Dziurą ust, przeznaczonych do jednego tylko celu, najwyraźniej z niej kpiła, śmiała się z niej. Tylko popatrz, co ty wyprawiasz - wydawała się mówić Freda Do Pieprzenia. - Miałś zostać najlepiej opłacanym geologiem płci żeńskiej w całych Stanach Zjednoczonych, przed trzydziestką piątką prowadzić własną firmę konsultingową, przed pięćdziesiątką może zdobyć Nobla... czy nie o tym marzyłaś? Geolog, naukowiec, specjalistka od dewonu, znana i ceniona, jej artykuł o płytach tektonicznych publikowany był nawet w *Geology Review*, ściga teraz po rozpadającym się kinie małego chłopca. Niezwykłego małego chłopca, niezwykłego tak, jak kiedyś ty siebie uważałaś za niezwykłą. Załóżmy, że go znajdziesz, Aud... i co potem? Jest mocny.

Złapała za pętlę i pociągnęła ją mocno, zerwała zleżały sznur i jednocześnie wyszarpnęła lalce wielki kłęb jasnych włosów. Lalka wylądowała u jej stóp; Audrey kopniakiem posłała ją na balkon; Freda poleciała tam wdzięcznym hakiem i zniknęła.

Nie dorównuje Takowi - pomyślała Audrey. - Nie obchodzi mnie, kim jest, jak długo pozostanie słabszy od Taka. Nie jest nawet silniejszy od *can tah*. Teraz miasteczko należy do nas. Niech diabli wezmą przeszłość i marzenia o przyszłości, mamy terażniejszość i terażniejszość jest taka słodka. Słodka, kiedy się ją zabija, kiedy się ją zabiera, słodka, kiedy się ją ma. Słodka, kiedy się nią włada, nawet na pustyni. Chłopiec jest w końcu tylko chłopcem. Reszta to wyłącznie pożywienie. Tak jest tu, jest teraz, mówi głosem dawnej epoki, mówi głosem nieufornowanych.

Spojrzała na schody. Skinęła głową i sięgnęła do kieszeni, by dotknąć tego, co tam miała, by potrzeb to o udo. Chłopiec był w kabinie operatora. Na drzwiach prowadzących do piwnicy wisiała wielka kłódka, gdzież więc mógł być?

- *Him en tow* - szepnęła, robiąc pierwszy krok. Oczy miała szeroko otwarte, jej prawa ręka niezmordowanie poruszała się w kieszeni, a to, czym się bawiła, cicho stuknęło.

3

Gówniarze, spędzający pysznie czas na balkonie "The American West", dopóki nie zawaliło się wyjście awaryjne, byli właśnie tym, gówniarzami; ich terenem był jednak przede wszystkim korytarz i gabinet kierownika kina, pozostałe pokoje sprawiały wrażenie względnie nie tkniętych, a już kabina operatora wraz z maleńkim pokoikiem i toaletą mniejszą od przeciętnej szafy pozostały niemal dokładnie w takim stanie jak w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy pojawiło się tu siedmiu nie wyjmujących papierosów z ust facetów z Nevada Sunlite Entertainment, którzy rozebrali projektory na włóknach węglowych i zabrali je do Reno, gdzie dożywały emerytury w magazynie wypełnionym podobnym sprzętem niczym posągami upadłych bóstw.

David klęczał z opuszczoną głową, zamkniętymi oczami i splecionymi dłońmi, na których podparł głowę. Klęczał na prostokacie jaśniejszym niż zakurzone linoleum podłogi, przed sobą miał zaś drugi jasny prostokąt. To tu stały stare projektory - dinozaury z zamierzchłej ery, rozgrzewające się do czerwoności, w niektóre letnie niedzielne wieczory podnoszące temperaturę w pomieszczeniu do pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Po lewej znajdowały się otwory, przez które światło biło niegdyś w ciemność, przecinając ją jak miecz, rzucając na płótno cienie większe niż samo życie: Gregory Peck i Kirk Douglas, Sophia Loren i Jane Mansfield, młody Paul Newrnan grający w bilard, stara, lecz jakże żywotna Bette Davis, torturująca przykutą do wózka inwalidzkiego siostrę.

Brudne kawałki filmów zaścielały podłogę niczym zdechłe węże. Na ścianach ktoś porozwieszał zdjęcia i plakaty filmowe; chyba najnowszy z nich ukazywał Marilyn Monroe, stojącą na kratce klimatyzacji metra i obciągającą sukienkę. Pod odręcznie namalowaną strzałką, wskazującą na jej majtki, jakiś dowcipniś napisał: "Zachowując konieczną ostrożność włóż pręt A w otwór B, uważając, by utkwiał w otworze i nie mógł się wyslizgnąć". Pachniało tu dziwnie, zgnilizną, nie całkiem pleśnią jednak i nie całkiem rozkładem, raczej zepsuciem, jakby coś zestarzało się tu spektakularnie, nim zdążyło całkiem wyschnąć.

David nie zwrócił uwagi na zapach, tak jak nie zwrócił uwagi na głos Audrey, kuszący go z prowadzącego wprost na balkon korytarzyka. Przyszedł tu, gdy wszyscy inni pobiegli do Billingsleya; nawet Audrey podeszła do lewego zejścia ze sceny, być może po to, by upewnić się, że oni wszyscy zniknęli w korytarzyku prowadzącym do toalet. Przyszedł tu, bo ogarnęła go nieprzewidywana potrzeba modlitwy. Miał wrażenie, że tym razem musi tylko znaleźć spokojne miejsce, że musi tylko otworzyć drzwi i Bóg przemówi do niego, a nie tylko on do Boga. To było dobre miejsce do modlitwy. Módl się w ukryciu, nie na ulicy - mówiła Biblia; zdaniem Davida była to doskonała rada. Teraz, gdy zamknął drzwi oddzielające go od reszty towarzystwa, mógł otworzyć drzwi swej duszy.

Nie obawiał się, że będą go obserwować pająki, węże czy szczury. Jeśli Bóg życzy sobie, by ich spotkanie odbyło się w cztery oczy, odbędzie się w cztery oczy. Kobieta, którą znaleźli Steve i Cynthia, stanowiła prawdziwy problem, z jakiegoś powodu niepokoiła go i miał wrażenie, że on też ją niepokoi. Pragnął znaleźć się tak daleko od niej, jak to tylko możliwe, ześlizgnął się więc ze sceny i pobiegł środkowym przejściem między fotelami. Znalazł się pod balkonem, nim Audrey wyszła na scenę przez lewe wejście. Z holu przedostał się na piętro,

po czym pozwolił prowadzić się swemu wewnętrznemu kompasowi, czy też może głosowi, który wielebny Martin nazywał "cichym, niemal niesłyszalnym".

Przeszedł przez kabinę, nie widząc rolek starych filmów, nie widząc plakatów, praktycznie nie czując zapachu celuloidowych marzeń, wyprazonych pustynnym słońcem, aż rozpadły się na kawałki. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył na dziury w rogach jaśniejszych kwadratów linoleum, dziury w miejscach, gdzie niegdyś mocowano projektory. Przypomniały mu

(widzą dziury niczym oczy)

coś, coś mu przypominały, nim jednak uświadomił sobie co, obraz zniknął. Czym był - fałszywym wspomnieniem, prawdziwym wspomnieniem, przeblyskiem intuicji? Wszystkim po trochu? Nie wiedział i tak naprawdę niewiele go to obchodziło. Jego najważniejszym zadaniem było nawiązanie kontaktu z Bogiem, jeśli to tylko możliwe. Jeszcze nigdy tak bardzo go nie potrzebował.

Tak - usłyszał w głowie spokojny głos wielebnego Martina. - I tu właśnie twoja ciężka praca powinna przynieść owoce. Modlisz się do Boga, gdy twoja lodówka jest pełna, żeby móc się do niego pomodlić, kiedy jest pusta. Ile razy powtarzałem ci to przez całą zimę i początek wiosny?

Wiele razy. David miał tylko nadzieję, że Martin, który zdaje się pił więcej, niż powinien, i zapewne nie był godzien zaufania, a w każdym razie nie w stu procentach, mówił to szczerze, a nie tylko głosił coś, co Ralph nazywał: "sloganami firmy". Całym swym umysłem i całym swym sercem chłopiec wierzył, że wielebny wiedział, co mówi.

Bo w Desperation rządzą inni bogowie.

Co do tego nie miał najmniejszych nawet wątpliwości.

Rozpoczął modlitwę, jak zaczynał ją zazwyczaj, nie głośno, lecz w myśli, formułując słowa jej czystymi, czytelnymi pulsami: Wejrzyj we mnie, Boże. Bądź we mnie. Przemów do mnie, jeśli chcesz, jeśli taka jest Twoja wola.

Jak zawsze wtedy, gdy czuł, że rzeczywiście potrzebuje Boga, umysł miał spokojny, przynajmniej na powierzchni, lecz głębiej, tam, gdzie wiara toczyła ciągłą bitwę z wątpliwościami, odezwał się paniczny strach przed milczeniem, przed brakiem odpowiedzi. W gruncie rzeczy problem był bardzo prosty. Nawet teraz, po wszystkich tych lekturach, modlitwach i naukach, nawet po tym, co zdarzyło się jego przyjacielowi, David wątpił w istnienie Boga. Czy Bóg naprawdę użył jego, Davida Carvera, by uratować życie Briana Rossa? Dlaczego Bóg miał popęlić takie zwariowane szaleństwo? Czy nie wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, że rzeczywiście nastąpiło to, co doktor Waslewski nazwał klinicznym cudem, i to, co on, David, uznał za odpowiedź na modlitwę, w istocie było niczym więcej niż medycznym przypadkiem? Ludzie potrafią rzucać cienie wyglądające jak ptaki, lecz ich ptaki mimo wszystko są przecież tylko cieniami, pomniejszych sztukami z wykorzystaniem światła. Jakże prawdopodobne, że Bóg jest tylko taką sztuką, niczym więcej niż tylko jeszcze jednym cieniem.

David mocniej zacisnął powieki, koncentrując się na mantrze, próbując oczyścić umysł.

Wejrzyj we mnie. Bądź we mnie. Przemów do mnie, jeśli taka jest Twoja wola.

I zstąpiła na niego szczególna ciemność, ciemność jak nic, co kiedykolwiek poznał, czego kiedykolwiek doświadczył. Opadł na podłogę, między dwa kawałki linoleum, jaśniejszego w miejscach, gdzie stały kiedyś projektory. Oparł się bokiem o ścianę. Oczy wywróciły mu się tak, że widać było tylko białka, ręce opadły na kolana, z gardła wydobył się niski, ochryply głos, a po nim słowa z sennego koszmaru, które zrozumiałaby prawdopodobnie tylko jego matka.

- O cholera, mumia nas ściga - szepnął i umilkł.

Półośzał oparty o ścianę; z kącika ust, będących ciągle jeszcze ustami małego dziecka, ciekł mu cienki jak pajęczyna strumyk srebrnej śliny.

Za drzwiami, które zamknął, by być sam na sam ze swym Bogiem (niegdyś był w nich zamek, ale pozostało po nim wyłącznie wspomnienie), rozległy się kroki. Zbliżyły się. Ucichły. Przez długą chwilę panowała cisza, potem klamka obróciła się powoli. Drzwi uchyliły się lekko. Na progu stanęła Audrey Wyler. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła nieprzytomnego chłopca.

Audrey weszła do dusznego, małego pokoju. Zamknęła drzwi. Rozejrzała się, szukając wzrokiem czegoś, czegokolwiek, czym mogłaby je podeprzeć, deski, krzesła. Nie, by deska czy krzesło mogły powstrzymać ich na długo, gdyby ją tu znaleźli, lecz nawet kilka sekund mogło w tym momencie spowodować różnicę między sukcesem a klęską przedsięwzięcia.

- O kurwa! - szepnęła.

Spojrzała na chłopca. Bez zdziwienia zdała sobie sprawę z tego, że się go boi, że boi się nawet do niego podejść.

Tak ah wan! - odezwał się głos w jej głowie.

- *Tak ah wan* - odpowiedziała.

Ustąpiła. Pod przymusem, lecz jednocześnie z własnej woli.

Po dwóch schodkach zesza do kabiny projekcyjnej. Krzywiąc się za każdym razem, kiedy ze zgrzytem stawiała nogę na brudnej podłodze, zbliżyła się do miejsca między dwoma wycięciami w ścianie, miejsca, w którym nieprzytomny chłopiec tkwił oparty o ścianę. Spodziewała się, że lada-chwila otworzy oczy, oczy wypełnione bładobłękitną elektryczną mocą. Prawa, zanurzona w kieszeni ręka mocniej przycisnęła do siebie dodające siły *can tah*, po czym niechętnie je puściła.

Z wyciągniętymi przed sobą zimnymi, drżącymi palcami padła na kolana obok Davida. Wydawał się jej potworny, a przede wszystkim straszny był jego zapach; nic dziwnego, że trzymała się od niego z daleka - wyglądał jak gorgona, a śmierdział niczym zepsute mięso i skwaśniałe mleko.

- Bożychłopczyk - wysyczała. - Wstrętny rozmodlony Bożychłopczyk.

Jej głos zmienił się, nie sprawiał teraz wrażenia ani kobiecego, ani męskiego. Pod skórą policzków i czoła Audrey poruszały się niewyraźne ciemne kształty, niczym cieniutkie skrzydła jakichś owadów.

- To właśnie powinnam zrobić, gdy tylko po raz pierwszy zobaczyłam twój żabi pysk.

Dłonie Audrey - mocne, opalone, w kilku miejscach poznaczone bliznami, widomymi śladami jej zawodu - zacisnęły się na gardle Davida Carvera. Powieki Davida Carvera zadrżały, gdy ucisk tych palców przerwał dopływ powietrza do płuc, zadrżały raz.

Tylko raz.

4

- Dlaczego przestałaś? - spytał Steve.

Stał pośrodku nieprawdopodobnego, wyrosłego na scenie przed ekranem starego kina pokoju, tuż przy eleganckim barku, zakupionym z licytacji mebli Circle Ranch, marząc o jednym - o świeżej koszuli. Przez cały

dzień piekł się (ryder wyposażony był wprawdzie w klimatyzację, lecz największym komplementem, jaki można było jej powiedzieć, to stwierdzić, że jest niedoskonała). A teraz zamarzał. Woda, której Cynthia użyła obficie do przemycia ran na ramionach, spływała mu po plecach zimnymi strumykami. No, przynajmniej udało mu się odwieść ją od próby użycia w tym celu whisky z zapasów Billingsleya; za bardzo przypominałaby dobrą złą dziewczynę ze starych westernów, opatrującą rany rewolwerowca.

- Zdawało mi się, że coś widziałam - powiedziała cicho.

- Indian za oknem, moja słodka?

- Bardzo śmieszne - odparowała i głośno zawołała: - David! Daaaviiiiid!

Poza nimi na scenie nie było nikogo. Steve bardzo chciał pomóc Marinville'owi i Ralphowi w poszukiwaniach chłopca, Cynthia jednak stwierdziła stanowczo, że musi "przemyć mu dziury w pancerzu", jak to ujęła. Oni obaj tymczasem poszli w kierunku holu wejściowego i zniknęli im z oczu. Marinville poruszał się nowym, sprężystym krokiem, broń zaś trzymał w sposób, który nasunął Steve'owi na myśl inny gatunek starych filmów, w których bohaterski, choć podstarzały biały myśliwy przebywa dżunglę mimo kłód rzucanych mu pod nogi przez naturę i krajowców, by na końcu zdjąć szmaragd jak pięść wprawiony w posąg pogańskiego bożka, strzegący zaginionego miasta.

- Co? Co widziałas?

- Właściwie to nawet nie wiem. Coś dziwnego. Tam, na balkonie. Przez chwilę miałam wrażenie... będziesz się śmiać... że to lecące ciało.

Nagle coś się w nim zmieniło. Nie tak, jakby w głowie zapaliło mu się światełko, bardziej jakby zgasło. Zapomniał o bólu skaleczeń na ramionach, tyle że nagle w plecy zrobiło mu się jeszcze zimniej. Tak zimno, że prawie zadrzał. Po raz drugi tego dnia przypomniał sobie, jak był nastolatkiem w Lubbock i jak na moment przed pojawieniem się trąby powietrznej otulonej płaszczem wiatru, często niosącego ze sobą śmierć, świat zdawał się zamierać.

- Nie śmieję się. Lepiej chodźmy na górę.

- Pewnie to tylko cień.

- Nie sądzę.

- Steve? Dobrze się czujesz?

- Nie. Czuję się dokładnie tak jak wtedy, kiedy przyjechaliśmy do miasta.

Cynthia spojrzała na niego zaniepokojona.

- No... dobrze. Ale przecież nie mamy broni...

- Pieprzyć broń - przerwał jej gwałtownie. Chwycił ją za ramię. Strach rozszerzył mu oczy, usta miał zaciśnięte. - Idziemy, ale już! Chryste, przecież dzieje się coś strasznego. Nic nie czujesz?

- Ja... tak, chyba tak. Mam iść po Mary? Została z Billingsleyem...

- Nie ma czasu. Możesz iść albo zostać. Jak chcesz.

Jednym ruchem naciągnął kombinezon na ramiona. Zeskoczył ze sceny, potknął się, chwycił za oparcie fotela z przedniego rzędu, by utrzymać równowagę, i pobiegł środkowym przejściem. Cynthia dogoniła go, gdy już prawie dopadł do wyjścia - i znów nawet się nie zadyszała. Mała miała potężny silnik, to trzeba jej było przyznać bez dwóch zdań.

Szef wychodził właśnie z pomieszczenia biletera; Ralph Carver deptał mu po piętach.

- Wyrzeliśmy na ulicę - powiedział. - Burza zdecydowanie... Steve? Co się stało?

Steve nawet nie odpowiedział. Przystanął, rozejrzał się, dostrzegł prowadzące na górę schody i wbiegł po dwa stopnie. Nadal, gdzieś w tle, czuł zdumienie tym, jak błyskawicznie pojawiło się uczucie zagrożenia. Przede wszystkim był jednak przerażony.

- Davidzie! Davidzie, odpowiedz, jeśli mnie słyszysz!

Nic. Cisza. Ponury, zaśmiecony korytarz prowadził prawdopodobnie obok balkonu i wnęki, w której mieścił się bufet. Kończył się wąskimi, wiodącymi jeszcze wyżej schodkami. Nie dostrzegł nikogo, czuł jednak wyraźnie, że ktoś tu był, i to całkiem niedawno.

- Davidzie! - krzyknął.

- Steve? Panie Ames? - rozległ się głos Ralph Carvera. Brzmiał w nim strach, niemal równie wielki jak ten, który czuł Steve. - Co się stało? Czy coś się stało mojemu synowi?

- Nie wiem.

Cynthia prześlizgnęła się pod jego ramieniem. Pobieгла korytarzem do wejścia na balkon. Steve deptał jej po piętach.

Z łuku przy wejściu zwisał kawałek postrzępionej liny, ciągle jeszcze kołysząc się lekko.

- Popatrz! - krzyknęła dziewczyna, wyciągając rękę.

Steve miał początkowo wrażenie, że wskazuje zwłoki, ale niemal natychmiast rozpoznał włosy - sztuczne włosy. Lalka. Lalka z pętlą na szyi.

- To ją widziałas?

- Tak. Ktoś zerwał ją ze sznurka, a potem chyba kopnął. - Spojrzała na niego. Twarz miała ściągniętą, napiętą. Głosem tak cichym, że trudno byłoby uznać go nawet za szept, dodała jeszcze: - Boże, Steve, to mi się strasznie nie podoba.

Steve cofnął się o krok. Spojrzał w lewo; szef i tata Davida przyglądali mu się z napięciem; obaj przyciskali broń do piersi. Zerknął w prawo. Tam - podpowiedziało mu serce... a może nos, który podchwycił wiszący jeszcze w powietrzu ślad zapachu perfum Opium.

- To tam - powiedział. - W kabynie projekcyjnej. Z pewnością.

Pobiegł, jakby od szybkości zależało jego życie. Cynthia, jak zwykle bez trudu, dotrzymywała mu kroku. Kilkomna skokami przebiegł wąskie schody. Macał w poszukiwaniu klamki, kiedy dziewczyna złapała go za pasek od spodni i wyjaśniła mu pewne podstawowe fakty.

- Mały miał pistolet. Jeśli go tam dopadła, to pewnie ma teraz pistolet. Uważaj na siebie, Steve.

- Davidzie! - wrzasnął ile sił w płucach Ralph. - Davidzie, nic ci nie jest?

Steve pomyślał, że mógłby przecież uświadomić Cynthii, iż nie ma teraz czasu na ostrożność, że ten czas minął, kiedy stracili z oczu Davida... ale przecież na rozmowy też nie mieli czasu.

Obrócił klamkę i mocno pchnął drzwi ramieniem. Spodziewał się zamka lub jakiejś - jakiegokolwiek - przeszkody, nie natrafił na żadną. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a on równie gwałtownie wpadł do środka.

David i Audrey znajdowali się naprzeciwko niego, pod ścianą z otworami, przez które padało niegdyś na ekran światło projektorów. David oczy miał na pół otwarte, wyrócone tak, że widać było tylko białka, a jego twarz, nadal zielonkawa od mydła, nabrała straszliwej, szarobladej, trupiej barwy. Pod oczami i wysoko na policzkach w alarmującym tempie rosły wielkie, sine plamy. Rękami spazmatycznie bił w szwy na nogawkach dzinsów. Dławił się. Prawa ręka Audrey zaciśnięta była na jego gardle; kciuk tkwił głęboko w miękkim ciele pod szczęką, po prawej, palce również wbite były w ciało pod szczęką, tyle że po lewej. Twarz pani geolog, niegdyś

ładną, wykrzywił teraz grymas nienawiści i wściekłości takiej, jakiej Steve nie widział jeszcze nigdy w życiu; wydawało się wręcz, że skóra jej od tego pociemniała. W lewej ręce ścisnęła czterdziestkępiątkę, której David użył, by zabić kojota. Strzeliła trzykrotnie, za czwartym razem rozległ się tylko trzask spuszczonego kurka.

Dwa schodki w dół, prowadzące do kabiny projekcyjnej, oszczędziły Steve'owi co najmniej jednej dodatkowej dziury w jego i tak już podziurawionej skórze, a być może nawet ocaliły mu życie. Upadł ciężko jak każdy, kto źle obliczył liczbę stopni, wbiegając po schodach, toteż wszystkie trzy kule poszły mu nad głowę. Jedna rozłupała prawą framugę drzwi, w których stała Cynthia, obsypując drzazgami jej egzotycznie barwne włosy.

Audrey zawyła śpiewnie, przeraźliwie, dokumentując tym wyciem swe głębokie rozczarowanie. Rzuciła pustym rewolwerem - Steve uchylił się, odtrącając go jednocześnie wyciągniętą ręką - i natychmiast odwróciła się ku leżącemu chłopcu. Dusiła go teraz oburącz, potrząsając wściekle jego głowę, niczym podczas jakiejś przeraźliwej zabawy z lalką.

Dłonie Davida, drgające do tej pory spazmatycznie, znieruchomiały nagle. Spoczywały bezwładnie na dżinsach chłopca i przypominały martwe rozgwiadzy.

5

- Boję się - skrzeknął Billingsley.

Były to, przynajmniej o tyle, o ile mogła stwierdzić Mary, dwa ostatnie wypowiedziane przez niego słowa. Wpatrywał się w jej twarz wzrokiem jednocześnie napiętym i w jakiś sposób niepewnym. Próbował powiedzieć coś jeszcze, lecz tylko zacharczał słabo.

- Nie bój się, Tom. Jestem przy tobie - próbowała go pocieszyć.

- Ach. Ach...

Billingsley spojrział na prawo od jej głowy, potem na lewo, aż wreszcie jego oczy trafiły na jej twarz i zamarzyły na niej. Odetchnął jeszcze raz, głęboko, wypuścił powietrze z płuc... i nie zaczerpnął już następnego oddechu.

- Tom?

Odpowiedziało jej tylko wycie wiatru i szelest rzucanych nim w okna ziarenek piasku.

- Tom!

Potrząsnęła nim. Głowa starego weterynarza przetoczyła się bezwładnie z boku na bok, jego oczy pozostały jednak wlepione w jej twarz, co sprawiało raczej przerażające wrażenie. Przypominały oczy tych portretów, które wydają się wpatrywać w widza niezależnie od tego, w którym kącie muzealnej sali stanie. Gdzieś - z bardzo daleka, choć przecież z wnętrza tego samego budynku - dobiegał ją głos tego pomocnika Marinville'a wołający Davida. Jego mała hippiska też niezgorzej krzyczała. Mary pomyślała, że jeśli David i Audrey rzeczywiście zaginęli, to powinna chyba pójść, pomóc w poszukiwaniach, ale nie chciała zostawić starego Toma, zanim się upewni, że on rzeczywiście nie żyje. Była prawie pewna, że nie żyje, ale w rzeczywistości z pewnością nie jest tak jak w telewizji, kiedy od razu się wie...

- Ratunku...

Głos, niepewny, pytający, niemal zbyt cichy, by usłyszeć go wśród wycia nawet słabnącego wiatru, mimo wszystko sprawił, że Mary podskoczyła i zakryła usta dłonią, by powstrzymać krzyk.

- Ratunku... Jest tam kto? Proszę... pomocy... boli...

Kobięcy głos. Głos Ellen Carver? Chryste, czy to możliwe?

Choć w towarzystwie matki Davida spędziła bardzo niewiele czasu, Mary nabrała pewności, że słyszy Ellen Carver w tej samej chwili, kiedy myśl ta powstała jej w głowie. Poderwała się na równe nogi. Jeszcze raz zerknęła na skrzywioną twarz biednego Toma Billingsleya i jego wytrzeszczone oczy. Nogi zdążyły jej zdrętwieć, więc zatoczyła się, z trudem utrzymując równowagę.

- Proszę... - jęknął głos.

Dolatywał z alejki biegnącej za budynkiem starego kina.

- Ellen? - spytała Mary, żałując nagle, że nie potrafi udawać, że mówi z innego miejsca niż stoi, jak brzuchomówca. Miała wrażenie, że nie wolno jej uwierzyć nikomu, nawet przerażonej, rannej kobiecie. - Ellen, czy to ty?

- Mary! - Głos wyraźnie się przybliżył. - Tak, to ja, Ellen. Czy to ty, Mary?

Mary otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, lecz zamknęła je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Oczywiście, tam była Ellen Carver, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, jednak mimo wszystko...

- Co z Davidem? - rozległ się głos jak jęk, a zaraz po nim stłumiony szloch. - Proszę, powiedz mi, że nic mu się nie stało!

- O ile wiem, nic mu się nie stało - odparła uspokajająco Mary, podchodząc do uchylonego okna.

Ominęła kałużę krwi pumy i wyrzała na ulicę.

Rzeczywiście, stała tam Ellen Carver i Ellen Caryer nie wyglądała najlepiej. Pochylała się - niemal kuliała - nad lewym ramieniem, które przyciskała do piersi prawą ręką. Twarz, a przynajmniej jej widoczne fragmenty, miała kredowobiała, z jednego nozdrza i z dolnej wargi ciekła krew. Patrzyła na Mary oczami tak ciemnymi, pełnymi takiej rozpacz, że wcale nie wydawały się oczami człowieka.

- Jakim cudem udało ci się uciec Entragianowi? - Nie uciekłam mu. Po prostu... umarł. Krwawił, cały był we krwi, a potem po prostu umarł. Wiózł mnie swoim samochodem... chyba do kopalni, ale właściwie nie wiem... wtedy umarł. Samochód zjechał z drogi i przeokoziółkował. Jedne tylne drzwi otworzyły się. Miałam szczęście, gdyby się nie otworzyły, nadal siedziałabym w środku, jak mucha w zamkniętym słoiku. Do... do miasta wróciłam piechotą.

- Co ci się stało w rękę?

- Złamana - odparła Ellen i jeszcze niżej pochyliła się nad lewym ramieniem. W tej jej pozycji było coś nieprzyjemnego, groźnego; przypominała trolla z bajki, tulącego do siebie worek nieprawnie zdobytego złota. - Pomożesz mi? Chcę zobaczyć męża... i chcę zobaczyć Davida.

Coś w Mary krzyknęło wręcz z niepokoju na ten pomysł, coś próbowało wytłumaczyć jej, że nic tu nie jest w porządku, lecz Ellen uniosła zdrowe ramię, a Mary dostrzegła na nim ziemię i krew. Kiedy zobaczyła, jak jego mięśnie drżą z wyczerpania, jej jakże dobre serce zwyciężyło ostrożną jaszczurkę instynktu. Ta kobieta straciła przecież zamordowaną przez szaleńca córeczkę, przeżyła wypadek w samochodzie, którym, na co wskazywały wszystkie oznaki, jechała na miejsce zbrodni w roli ofiary tejże zbrodni, przebijała się przez pustynny wiatr, by powrócić do miasta trupów... i po co to wszystko? By pierwsza napotkana po drodze żywa osoba odmówiła jej pomocy z powodu chorobliwego przewrażliwienia?

Oho - pomyślała Mary - nic z tego. A jej wewnętrzny głos, niewątpliwie całkiem bezsensownie, dodał: Nie tak zostałam wychowana.

- Nie dasz rady wejść przez to okno - powiedziała. - Jest tu mnóstwo zbitego szkła. To... to zwierzę tędy wskoczyło. Pójdź kawałek dalej wzdłuż tylnej ściany kina. Znajdziesz się pod damską toaletą. Tam ci będzie wygodniej. Przy murze są skrzynki, na których można stanąć. Pomogę ci wejść. Dobrze?

- Jasne, świetnie. Dziękuję ci, Mary. Bogu niech będą dzięki, że was znalazłam.

I Ellen uśmiechnęła się do niej straszonym uśmiechem; skrzywiła twarz w wyrazie wdzięczności, głębokiej pokory i czegoś, co mogło być strachem. Skulona, chroniąc zranione ramię, poszła przed siebie. Dwanaście godzin temu była typową panią domu w drodze do Lake Tahoe na typowe wakacje klasy średniej; pewnie nawet przygotowała sobie na te wakacje nowe, wakacyjne ciuchy od Talbota do włożenia na nową, wakacyjną bieliznę z Victoria Street. W dzień opalanie się z dziećmi, w nocy seks z wygodnym, dobrze znanym partnerem, kartki do przyjaciół: "Bawimy się świetnie, powietrze jest tu takie czyste, szkoda, że Was z nami nie ma". A teraz wyglądała jak ocalona z masakry, jak bezwieczna ofiara jakiejś krwawej bitwy na pustyni.

Zaś Mary Jackson... słodka i dobra, głosząca na demokratów, regularnie co dwa miesiące oddająca krew poetka... ta Mary Jackson naprawdę zastanawiała się, czyby przypadkiem nie zostawić jej jęczącej z bólu na ulicy, póki nie zasięgnie opinii mężczyzn. O co tu chodziło? Mary miała wrażenie, że chodziło po prostu o to, iż ona też była na wojnie. Tak myśli i tak zachowuje się człowiek, kiedy zdarza mu się coś straszego. Tyle że ona nie będzie tak myśleć i nie będzie tak się zachowywać. Niech ją diabli, jeśli choćby spróbuje.

Wyszła na korytarz. Nastawiła uszu, nic nie usłyszała, kiedy jednak otwierała drzwi damskiej toalety, jeden po drugim rozległy się trzy strzały, a po nich krzyki. Zamarła - z równą siłą pragnęła biec w dwu kierunkach naraz.

Podjęła decyzję, kiedy zza nie domkniętych drzwi damskiej toalety usłyszała szloch.

- Ellen? Co się stało? Co ci się stało!?

- Jestem głupia, to wszystko. Jestem taka głupia! Ustawiałam skrzynki, żeby włożyć po nich do środka, i uderzyłam się w złamaną rękę.

Stojąca na ulicy kobieta - przez matowe szkła okienka nie było jej prawie widać - rozszlochała się jeszcze rozpaczliwiej.

- Spokojnie, zaraz ci pomogę.

Mary bez zastanowienia szybko podeszła do okna. Zdjęła butelki po piwie, które ustawił na parapecie Tom Billingsley, i już odchyłała okno, zastanawiając się, jak najlepiej pomóc rannej Ellen, by nie przyczynić jej dodatkowych cierpień, kiedy przypomniała sobie, co stary Tom powiedział o policjancie - że urósł. "Dobry Boże - jęknął ojciec Davida. Na twarzy miał wyraz przerażenia... i zrozumienia. - Ona jest jak ten glina? Jak Entragian?"

Może rzeczywiście złamała rękę - pomyślała chłodno. - Może rzeczywiście złamała rękę, ale z drugiej strony...

Z drugiej strony ktoś garbiący się w ten sposób skutecznie ukrywa swój wzrost, prawda?

Jaszczurka instynktu, na ogół chowająca się w ciemnej norze jej umysłu, wyskoczyła nagle, piszcząc ze strachu. Mary zdecydowała, że najlepiej będzie, jeśli cofnie się teraz, jeśli przez chwilę spokojnie pomyśli, lecz nim zdążyła się cofnąć, na jej ramieniu zacisnęła się mocno gorąca dłoń. Druga uderzyła w okno, otwierając je i nagle z siły Mary nie pozostało nic, siła wyciekła z jej ciała niczym woda z dziurawego naczynia, zniknęła na widok zwróconej ku niej skrzywionej w uśmiechu twarzy. Była to twarz Ellen, zgoda, niżej jednak dostrzegła znaczek

(widzę, że zarejestrował się pan jako dawca)

znaczek należący niegdyś do Entragiana.

Patrzyła na Entragiana. Colliego Entragiana, jakimś cudem żyjącego w ciele Ellen Carver.

- Nie! - krzyknęła, szarpiąc się, nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na palce Ellen wbijające się w jej ciało, raniące je do krwi. - Nie! Puść mnie!

- A guzik, chyba że zaśpiewasz *Leavin' on a Jet Plane*, ty cipo - powiedział stwór, który był Ellen.

Szarpnął Mary, wyrwał ją przez okno, które nadal podtrzymywała drugą ręką, i w tym momencie z obu nozdrzy Ellen trysnęła krew. Krew niczym gęste łyżki kapła także z jej lewego oka. "Wstaje świt. Nadszedł wczesny ranek..."

Mary doznała dziwnego, nieprzyjemnego uczucia, że leci w powietrzu ku sztachetom ogrodzenia po drugiej stronie alejki.

"Taksówkarz pod oknem czeka..."

Zdołała podnieść ramię, osłonić twarz, nie całkiem skutecznie, bo uderzyła w ogrodzenie przede wszystkim czołem. Padła na kolana, w uszach jej dzwoniło. Na wargach i brodzie poczuła ciepłą wilgoć. Witamy w klubie krwawych nosów - pomyślała, niezdarnie podnosząc się na nogi.

"Już teraz z samotności mógłbym płakaaaaać..."

Rzuciła się przed siebie, zrobiła dwa długie kroki, nabierając rozpędu, i gliniarz (nadal myślała o tej istocie jako o gliniarzu, tylko teraz gliniarzu w peruce i z fałszywymi cyckami) złapał ją za ramię i obrócił, omal nie urywając rękawa bluzki.

- Puść... - wycharczała.

Ellen-stwór uderzył ją w czubek brody, tym prostym, lecz soczystym ciosem odbierając jej przytomność. Upadając Mary złapał pod pachy i przytulił do ciała Ellen, a kiedy na skórze Ellen poczuł oddech, przez moment goszczący na twarzy Ellen, niepokój rozwiął się.

- Jejku jej, kocham tę piosenkę - powiedział, przerzucając sobie Mary przez ramię niczym worek ziarna. - Aż się od niej rozpląwam gdzieś w środku.

W chwilę później zniknął za rogiem wraz ze swym ciężarem. Nie minęło pięć minut, kiedy zakurzony caprice Colliego Entragiana zmierzał już w kierunku kopalni. Światła samochodu grzęzły w chmurach piasku, przewiewanych coraz wyraźniej słabnącym wiatrem. Gdy radiowóz mijał warsztat Harveya i znajdującą się tuż za nim winiarnię, na niebie pojawił się cienki, niebiesko-biały sierp księżycyca.

Rozdział 5

1

Nawet kiedy jeszcze pił i ćpał, John Marinville potrafił patrzeć... i pamiętać. W osiemdziesiątym szóstym na przykład siedział na tylnym siedzeniu czegoś, co Sean Hutter nazywał swym "partymobilem". Sean obwoził jego i trzy inne osoby po zabawach w East Hampton wielkim cadillakiem z sześćdziesiątego piątego i spowodował wypadek. Zbyt pijany, by iść, nie wspominając już o prowadzeniu samochodu, próbował skrócić z Eggamoggin Lane w drogę B bez zdejmowania nogi z gazu. Przekoziółkowali dwukrotnie. Siedząca koło kierowcy dziewczyna zginęła, kręgosłup Huttera pękł jak zapalka i odtąd jedynym partymobilem, jakim jeździł, był wyposażony w silnik wózek inwalidzki Cadding z rodzaju tych, którymi steruje się podbródkiem. Poza nimi poważnych ofiar nie było; Johnny uważał się za szczęściarza, wyszedł bowiem z wypadku wyłącznie z urazem wątroby i złamaną stopą. Najciekawsze jednak wydawało mu się to, że tylko on pamiętał, co właściwie zaszło. Nie mógł nie uznać tego faktu za zdumiewający, dziwił się zaś do tego stopnia, że dokładnie przepytał wszystkie ocalałe uczestniczące w nim osoby, nawet samego Seana, z początku szlochającego tylko histerycznie i błagającego go, żeby się wynosił. Wyniósł się, oczywiście, ale dopiero wtedy, gdy uzyskał odpowiedź na wszystkie swe pytania. (Nie miał wyrzutów sumienia, bo co, do diabła, nie on przecież siedział za kierownicą.) Patti Nickerson powiedziała mu, że pamięta, jak Sean tuż przed wypadkiem ostrzegł: "Trzymajcie się, będzie zabawa", ale nie jest tego całkiem pewna, jeśli zaś chodzi o resztę, to ich wspomnienia kończyły się tuż przed wypadkiem i zaczynały w którymś momencie po nim, jakby wymazano ich część atramentem powodującym amnezję. Sean twierdził nawet, że nie pamięta niczego od chwili, gdy wyszedł spod prysznica i wytarł parę z lustra, żeby się ogolić, aż do momentu, kiedy obudził się w szpitalnym łóżku. Być może łął, Johnny miał jednak wrażenie, że mówił prawdę.

On jednak pamiętał wszystko. Sean nie powiedział: "Trzymajcie się, będzie zabawa", tylko: "Trzymajcie się, spycha nas w prawo". I śmiał się. Śmiał się, mówiąc te słowa, i nie przestał się śmiać nawet, gdy caddy przewrócił się na bok. Johnny pamiętał, że Patti krzyczała: "Moje włosy! Cholera, co z moimi włosami!", a jak po pierwszym koziołku z rozmachem wylądowała mu na jajach. Pamiętał wrzask Bruno Gartnera. Pamiętał trzask składającego się dachu partymobila, wbijającego głowę Rachel Timorov w jej szyję, rozbijającego czaszkę, aż wyglądała jak tulipan z kości. Był to taki wysoki trzask, jaki można usłyszeć podczas zgniatania w zębach kostki lodu. Pamiętał wszystko. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, iż pamiętać to część zawodu pisarza, nie wiedział jednak, czy to nauka, czy talent, przyczyna, czy skutek. Miał jednak wrażenie, że nie jest to kwestia istotna. Co najważniejsze: że pamiętał wszystko, nawet jeśli było równie trudne do zarejestrowania, co ostatnie trzydzieści sekund wielkiego pokazu fajerwerków. Wszystko mogło dziać się jednocześnie, w jego głowie układało się jednak porządnie niczym opiłki żelaza pod działaniem magnesu. Aż do tego wieczoru, kiedy Sean Hutter wykonał salto mortale partymobilem, cieszył się z tego swojego talentu. Potem aż do dziś także się z niego cieszył, teraz jednak dałby sporo za buteleczkę magicznego atramentu, wylaną na komórki pamięci.

Audrey strzeliła - dostrzegł drzazgę, odpryskującą z framugi drzwi prowadzących do sali projekcyjnej i lądującą we włosach Cynthii. Czuł świst kuli, przelatującej tuż obok jego prawego ucha. Widział, jak Steve, klęczący na jedno kolano, lecz najwyraźniej nie draśnięty, odbija rewolwer, którym rzuciła w niego kobieta.

Widział, jak Audrey unosi wargi, jak warczy na niego niczym zapędzony w kąt pies; widział, jak się odwraca i zaciska dłoń na gardle chłopca.

Pospiesz się! - krzyknął sam na siebie. - Pospiesz się, pomóż mu! Jak wtedy, kiedy zabiłeś pumę!

A jednak nie był w stanie. Widział wszystko i nie był w stanie drgnąć.

Od tego momentu zdarzenia zaczęły się na siebie nakładać, tylko że jego mózg nie potrafił przestać ustawiać ich w logiczną całość; porządkował je, nadawał im formę, jak przy próbie opisu. Widział Steve'a, skaczącego na Audrey, krzyżącego, żeby zostawiła go, zostawiła chłopca, jedną ręką łapiącego ją za szyję, drugą za nadgarstki. W tej samej chwili Johnny wyleciał w powietrze, mijając w locie tę chudą dziewczynę, a przyspieszenie miał niczym kaskader wystrzelony z armaty. To oczywiście Ralph walnął go w plecy, z całych sił wykrzykując imię syna.

Przeleciał nad oboma stopniami schodów absolutnie pewien, że przy lądowaniu wszystko sobie połamie, absolutnie pewien, że David umiera albo już umarł, absolutnie pewien, że Audrey Wyler zwariowała z napięcia i w swym szaleństwie wykoncypowała sobie, że chłopiec jest albo gliniarzem, albo maskotką gliniarza, a przez cały ten czas jego szeroko otwarte oczy dostarczały mózgowi informacji, które mózg przyjmował i katalogował. Widział rozkraczone, muskularne nogi Audrey, widział, jak napięły materiał jej sukienki. Widział także, że wyląduje w jej bezpośrednim sąsiedztwie.

Wylądował na jednej nodze jak łyżwiarz figurowy, który zapomniał włożyć łyżew. Kolano się pod nim ugięło. Nie prostował go; rzucił się na kobietę, złapał ją za włosy. Audrey szarpnęła głową i spróbowała ugryźć go w rękę. W tym samym momencie (tyle że w umyśle Johnny'ego był to następny moment, nawet w tej chwili jego umysł próbował zredukować to szaleństwo do czegoś spójnego, do ciągu zdarzeń) Steve rozerwał dłoń, zaciśniętą na gardle Davida. Lecąc dalej siłą rozpędu, Johnny dostrzegł na szyi chłopca białe ślady palców. Audrey nie zdążyła go ugryźć, co prawdopodobnie powinien uważać za szczęście, jemu jednak nie udało się utrzymać w garści jej włosów, co szczęściem oczywiście nie było.

Audrey Wyler zawyla ochryple dokładnie w chwili, gdy John Marinville uderzył w ścianę. Lewa ręka aż po ramię przeleciała mu na wylot przez szczelinę dla projektora; przez jedną straszną chwilę miał wrażenie, że za ramieniem przez szczelinę przecisnę się reszta jego osoby - wypadam, właśnie wypadłem, do widzenia, przyjaciele. Było to oczywiście niemożliwe, otwór nie miał nawet w przybliżeniu odpowiednich rozmiarów, ale to nie przeszkadzało mu myśleć.

Jednocześnie (choć w jego umyśle nie było to oczywiście jednocześnie, lecz w następnej chwili; następne zdarzenie, kolejne zdanie) Ralph Carver wrzasnął:

- Puść mojego chłopca, ty suko!

Johnny wyciągnął ramię ze szczeliny, całe i nienaruszone. Odwrócił się plecami do ściany. Widział, jak Steve i Ralph odciągają wyjącego nieludzko stwora od nieprzytomnego chłopca. Widział, jak chłopiec pada na ścianę i osuwa się po niej, widział wyraźnie ślady duszenia na jego ciele. Widział Cynthię, schodzącą po dwóch stopniach do kabiny projekcyjnej, próbującą patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

- Niech pan zabiera małego, szefie - wydyszał Steve. Walczył z Audrey, jedną ręką trzymał ją za ramię, drugą obejmował w pasie. Miotła się pod nim jak dziki mustang. - I wynosi się stąd w...

Audrey wrzasnęła i wyrwała się. Ralph niezdarnie próbował założyć jej nelsona, lecz ona tylko podłożyła mu nasadę dłoni pod brodę i odepchnęła go mocno. Cofnęła się o krok, dostrzegła Davida, znów zawarczała, szczerząc zęby. Pochyliła się w jego kierunku.

- Dotknij go jeszcze raz, a zabiję cię. Obiecuję - powiedział Ralph.

Niech to jasna cholera - pomyślał Johnny chwytając chłopca w ramiona. Ciało Davida było ciężkie, ciepłe, bezwładne. W krzyżu, mocno nadwyrężonym motocyklową podróżą przez kontynent, strzyknęło ostrzegawczo.

Audrey spojrzała na Ralpa, jakby wzywała go do dotrzymania słowa, po czym zamarła, gotując się do skoku na Johnny'ego. Steve zaatakował jednak po raz drugi, nim zdążyła się poruszyć. Złapał ją w pasie i wykręcił pirueta, patrząc jej wprost w twarz. Audrey wydawała z siebie cienkie kocie wrzaski; Johnny miał wrażenie, że wypadają mu od nich plomby.

W połowie drugiego obrotu Steve wypuścił Audrey z objęć. Wyleciała w powietrze niczym wystrzelony z procy kamień, wrzeszcząc nieprzerwanie i wlokąc stopy po podłodze. Stojąca tuż za nią Cynthia padła na czworaki z instynktem prawdziwej weteranki dyskotekowych szaleństw. Audrey potknęła się o nią i przewróciła się na plecy. Wylądowała na drugim jaśniejszym kwadracie linoleum, pamiętając o projektorze. Spojrzała na nich przez spadające na oczy włosy, wzrok miała nieprzytomny.

- Niech pan go stąd zabierze, szefie. - Steve machnął ręką w kierunku drzwi, prowadzących z kabiny projekcyjnej na korytarz. - Coś się z nią stało. Jest jak zwierzę.

A dlaczego "jak zwierzę"? - pomyślał Johnny. - Przecież, kurwa, zmieniła się w zwierzę. Słyszał, co powiedział do niego Steve, ale ani drgnął. Po raz kolejny nie był w stanie zrobić kroku. Stał jak sparaliżowany.

Audrey powoli uniosła się, szorując plecami po ścianie w rogu kabiny projekcyjnej. Jej górna warga nadal to podnosiła się, wtedy obnażała zęby, to opadała, oczy przeskakiwały z Johnny'ego i nieprzytomnego chłopca w jego ramionach na Ralpa i na Cynthię, która pozbierała się już z podłogi i stała przyciśnięta do Steve'a. Johnny pomyślał krótko, lecz tęsknie o rossim i rugerze .44, pozostawionych w holu wejściowym, przy kasie. Stamtąd dobrze widzieli ulicę, ale miejsca mieli niewiele i broń wygodniej im było zostawić w holu. Ani jemu, ani Ralphowi nie przyszło do głowy, by wziąć ją na górę. Nagle nabrał graniczącego z pewnością przekonania, że jedną z najprzeróżniejszych lekcji, jakich nauczyło ich to doświadczenie, była lekcja na temat ich beznadziejnej niezdolności do przetrwania. A jednak jakoś przetrwali. Na razie. I nie wszyscy.

- *Tak ah lah!*

Audrey przemówiła głosem przerażającym i mocnym, zupełnie innym niż niepewny, pełny wahania głos, którym przedtem relacjonowała swą historię. Johnny miał wrażenie, że ten jej głos zaledwie o stopień, najwyżej dwa, różnił się od szczekania psa. I... czyżby się śmiała? Zapewne jakaś jej część tak. I... czym była ta dziwna czarna powłoka, widoczna tuż pod jej skórą? Czy widzi ją rzeczywiście, czy też jest to tylko złudzenie?

- *Min! Min! Min en tow!*

Cynthia, zdumiona, spojrzała na Steve'a.

- Co ona mówi?

Steve tylko potrząsnął głową, więc zerknęła na Johnny'ego.

- To język Entragian - wyjaśnił Johnny.

Skupił się i dzięki zdumiewającym właściwościom swej pamięci przypomniał sobie, jak to było, kiedy Entragian poszczuł na niego ścierwniki.

- *Timoh!* - warknął na Audrey Wyler. - *Candylatch!*

Być może coś pomylił, ale jeśli nawet, to z pewnością niewiele. Audrey uchyliła się przed nim; na twarzy przez krótką chwilę miała bardzo ludzki wyraz zdumienia. Jej górna warga podwinęła się jednak niemal natychmiast, a w oczach znów błysnął szalony uśmiech.

- Co pan do niej powiedział? - spytała Cynthia.

- Nie mam pojęcia.

- Szefie - przerwał im Steve. - Niech pan zabiera stąd chłopca. Już!

Johnny cofnął się o krok, zamierzając spełnić jego życzenie. Audrey sięgnęła do kieszeni sukienki i coś z niej wyjęła. Spojrzała na niego, tylko na niego, na Johna Edwarda Marinville'a, Wybitnego Pisarza i Równie Wybitnego Myśliciela, spojrzała na niego tymi swoimi oczami wściekłego zwierzęcia. Wyciągnęła ku niemu zaciśniętą pięść, nadgarstkiem w górę.

- *Can tah!* - krzyknęła... i śmiała się. - *Can tah, can tak!* To, co bierzesz jest tym, czym jesteś! Oczywiście! *Can tah, can tak, mi tow!* Weź to! Weź *tah!*

Kiedy otworzyła pięść, ukazując mu swój dar, wicher uczuć Johnny'ego natychmiast zmienił kierunek, a jednak nadal widział wszystko i porządnie układał w głowie zdarzenia - jak wtedy, kiedy ten cholerny partymobil Seana Huttera wywinął kozła. Wówczas, pewien, że zaraz zginie, rejestrował wszystko i teraz również rejestrował wszystko, rejestrował nienawiść, którą poczuł nagle do trzymanego w ramionach chłopca, nienawiść przytłoczoną tylko wszechogarniającym pragnieniem, by przyłożyć mu coś - kluczyki do harleya doskonale by się nadały - do gardła i otworzyć tego cholernego Bożegochłopczyka jak puszkę piwa.

Najpierw pomyślał, że na otwartej dłoni Audrey leżą trzy dziwne maskotki na szczęście, takie jakie dziewczyny noszą czasami przy bransoletach, lecz na maskotki figurki te były za duże, za ciężkie. Już raczej należałoby uznać je za rzeźby, kamienne rzeźby o długości przeszło pięciu centymetrów każda. Jedna przedstawiała węża. Druga ścierwnika z oberwanym skrzydłem; spod łysej czaszki patrzyły na niego szalone, wylupiaste oczy. Trzecia wyobrażała szczura, stojącego na zadnich łapach, wszystkie zaś były stare i obtłuczone.

- *Can tah!* - wrzeszczała Audrey. - *Can tah, can tak,* zabij chłopca, zabij go teraz, zabij go natychmiast!

Steve zrobił krok w przód. Audrey zauważyła go za późno, całą uwagę skupiła na Johnnym, zdołał więc wytrącić jej figurki z dłoni z taką siłą, że aż przefrunęły w kąt pokoju. Jedna z nich, wąż, rozpadła się na połowy.

Audrey wrzasnęła ze strachu i wściekłości.

Mordercza furia, która przez chwilę panowała nad umysłem Johnny'ego, zmaląła teraz, lecz bynajmniej nie zniknęła. Czuł, że jego oczy pragną przyjrzeć się figurkom, jakby rządziły się własną wolą. Figurki czekały na niego, właśnie na niego. Wystarczy tylko schylić się, by je podnieść.

- Wypierdalaj z nim, szefie! - wrzasnął Steve.

Audrey rzuciła się po swoje skarby; złapał ją za ramię i szarpnął do tyłu. Jej skóra ciemniała, zapadała się; Johnny miał wrażenie, że proces, któremu podlegała do tej pory, usiłuje się teraz odwrócić. Bez wielkiego powodzenia. Audrey jakby się... co?... kurczyła? Zmniejszała? Nie potrafił znaleźć właściwego słowa, ale...

- Zabierz stąd chłopca! - krzyknął Steve, mocno waląc Johnny'ego w ramię.

To go wreszcie obudziło. Próbował się odwrócić, kiedy nagle obok niego jak spod ziemi wyrósł Ralph i wyrwał mu z ramion ciało syna, niemal nim Johnny zorientował się, o co właściwie chodzi. Ralph natychmiast rzucił się ku schodom, niezgrabny, lecz przecież silny, i zniknął z kabiny projekcyjnej, nie obejrzawszy się za siebie ani razu.

Audrey dostrzegła jego ucieczkę. Zawyla - w jej głosie brzmiała teraz przede wszystkim rozpacz - i jeszcze raz spróbowała dosięgnąć figurek. Steve znów ją szarpnął, rozległ się dziwny dźwięk, jakby coś się darło, i prawe ramię Audrey po prostu odpadło od tułowia. Steve trzymał je za dłoń niczym udko rozgotowanego kurczaka.

2

Audrey najwyraźniej nie przejęła się tym, co przydarzyło się jej przed chwilą. Jednoręka, z prawą połową sukienki pokrywającą się błyskawicznie krwią, rzuciła się w kierunku figurek, bełkocząc w tym jej niesamowitym języku. Steve zamarł, z niedowierzaniem wpatrując się w swą zdobycz - nieco piegowatą ludzką rękę z zegarkiem Casio na przegubie. Szefa sparaliżowało co najmniej w tym samym stopniu. Gdyby nie Cynthia - myślał później - mimo braków cielesnych ta niesamowita baba jednak dopadłaby figurek. Jeden Bóg wie, co by się stało, gdyby ich dopadła; mimo iż najwyraźniej w świecie koncentrowała swą moc na szefie, on też odczuwał jej promieniowanie, w którym tym razem nie było niczego seksualnego. Tym razem chodziło o morderstwo. Zwyczajnie i po prostu.

Nim Audrey zdołała paść na kolana i chwycić figurki, Cynthia kopnęła je zręcznie aż pod przeciwległą ścianę, tę ze szczelinami do projekcji filmów. Znów rozległo się przeraźliwe wycie; tym razem towarzyszył mu strumień tryskającej z ust krwi. Audrey spojrzała na Steve'a, Steve zaś uniósł jej ramię, jakby zasłaniał się nim przed obrzydliwym widokiem.

Niegdyś ładna twarz Audrey odpadała teraz z czaszki falami rozpuszczającej się skóry. Oczy wisiały jej w zbyt dużych na nie oczodołach, skóra na całym ciele czerniała i pękała. Nie to jednak było najgorsze, najgorsze nastąpiło, gdy Steve wypuścił ohydnie ciepłą rękę, a Audrey uniosła się na nogi.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, a jej zdławiony, cichy głos był głosem kobiety, a nie gnijącego potwora. - Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić. Nie dotykajcie *can tah*. Cokolwiek jeszcze miałyby się stać, nie dotykajcie *can tah*.

Steve popatrzył na Cynthię. Cynthia odpowiedziała mu spojrzeniem. W szeroko rozwartych oczach odczytał jej myśli. Dotknęłam *can tah* - myślała. - Dwukrotnie. Ile miałam szczęścia?

Dużo - odpowiedział w duchu Steve. - Moim zdaniem miałaś dużo szczęścia. Oboje mieliśmy mnóstwo szczęścia.

Audrey ruszyła ku nim, oddalając się od leżących w kącie figurek. Czuł bijący od niej straszny odór krwi i zgnilizny. Wyciągnął rękę, lecz nie zdobył się na to, by ją powstrzymać, a przecież szła w stronę schodków, korytarza... szła w kierunku, w którym pobiegł z chłopcem Ralph. Nie zdobył się na to, bo wiedział, że palce zagłębią mu się w to, co było kiedyś jej ciałem.

Słyszał ciche, mokre pacnięcia - to jej ciało opadało na podłogę kawałkami jak wielkie krople deszczu. Jakoś dotarła jednak do schodów, wyszła na korytarz. Cynthia przez chwilę przyglądała się Steve'owi; twarz miała nieruchomą i bardzo bladą. Steve objął ją, przytulił. Ruszyli za Marinville'em.

Audrey udało się zejść do połowy krótkich, stromych schodów prowadzących do foyer balkonu. Upadła, a spod przesiąkniętego krwią ubrania rozległ się wstrętny odgłos przypominający chlapnięcie. A jednak nadal żyła. Zaczęła się czołgać; zwisające w strąkach włosy łaskawie ukrywały to, co pozostało z jej twarzy.

Przy prowadzących na parter schodach stał Ralph Carver, trzymając w ramionach ciało syna. Z niedowierzaniem patrzył na zbliżającego się do niego potwora.

- Zastrzelcie ją! - wrzasnął Johnny. - Na litość boską, niech ktoś ją zastrzeli!

- Nie da rady - odparł Steve. - Nie mamy broni. Tylko rewolwer chłopaka, już wystrzelany.

- Ralph, zejdź na dół z Davidem - powiedział Johnny, ostrożnie, powoli idąc korytarzem. - Zejdź nim...

Lecz stwór, który niegdyś był Audrey Wyler, najwyraźniej nie interesował się już Davidem. Dotarł do łuku prowadzącego na widownię balkonu i przepelznął przez niego. Niemal natychmiast podpierające balkon belki, wysuszone w pustynnym klimacie, nadgryzione przez pokolenia termitów, stęknęły groźnie.

Steve pospieszył za Johnnym, nadal obejmując Cynthię. Ralph ruszył im na spotkanie. Dotarli na miejsce w sam czas, by zobaczyć istotę w zakrwawionej sukience docierającą do barierki balkonu. Po drodze Audrey przeczołgała się przez seklalkę, z której powietrze uszło już prawie do końca. Pozostawiła na niej ślad krwi i innych, trudniejszych do zdefiniowania płynów. Zaciśnięte usta Friedy wyrażały zapewne oburzenie takim traktowaniem.

To, co było jeszcze resztką Audrey Wyler, nadal kurczowo trzymało się poręczy, nadal próbowało wspiąć się na nią, skoczyć na parter, gdy wspierające balkon belki wyrwały się ze ściany z głębokim, stłumionym hukiem. Balkon przesunął się początkowo w poziomie, jak taca lub tratwa, odrywając belki od ściany korytarza, co zmusiło Steve'a i resztę do błyskawicznego cofnięcia się w głąb korytarza. Stara wykładzina pękła; pod nią widniała dziura niczym szczelina po trzęsieniu ziemi. Metalowa siatka pod warstwą gipsu na ścianach zaczęła się rwać, gwoździe z głośnym jękiem wychodziły z desek, w które wbito je dziesiątki lat temu. Dopiero wówczas balkon przechylił się. Audrey spadła z poręczy; przez moment Steve widział jeszcze jej stopy wystające z unoszącego się w powietrzu pyłu, a potem zniknęły i stopy, i sam balkon; balkon poleciał w dół jak kamień, po czym z donośnym hukiem runął na siedzenia parteru. Pył uniósł się w powietrze chmurą w kształcie grzyba.

- David! - krzyknął Steve. - Co z Davidem? Żyje??

- Nie wiem - odparł Ralph. Patrzył na nich nieprzytomnym wzrokiem załzawionych oczu. - Jestem pewien, że żył, kiedy wynosiłem go z kabiny projekcyjnej, ale teraz nie wiem. Nie czuję jego oddechu.

3

Od podmuchu powietrza otworzyły się wszystkie drzwi na widownię. Hol wejściowy wypełniony był kurzem, wzbitym przez spadający balkon. Zanieśli Davida pod jedno z wyjść na ulicę, gdyż przeciąg wywiał stamtąd najgęstszy pył.

- Połóż go - powiedziała Cynthia. Próbowała przypomnieć sobie, co powinna teraz zrobić, do diabła, co już powinna robić, ale myślenie z jakiegoś powodu przychodziło jej z trudem. - Niech leży prosto. Będzie mu łatwiej oddychać.

Położyli ciało chłopca na wytartym dywanie. Ralph z nadzieją przyjrzał się chudej dziewczynie.

- Wiesz coś o czymś... takim?

- Zależy, o co pytasz. Znam zasady pierwszej pomocy, łącznie ze sztucznym oddychaniem, uczyli tego u "Cór i sióstr". Jeśli jednak pytasz, czy wiem coś o kobietach, zmieniających się w maszyny do zabijania, a potem gnijących, to nie, nie wiem niczego.

- Tylko on mi pozostał. Z całej rodziny pozostał mi tylko on.

Cynthia zamknęła oczy i pochyliła się nad Davidem. Słaby, lecz wyraźny oddech, który poczuła na policzku, przyniósł jej wielką ulgę.

- Żyje. Czuję jego oddech. - Z uśmiechem spojrzała na Ralpa. - Nie dziwię się, że niczego nie poczułeś. Twarz masz spuchniętą jak napompowany balon.

- Owszem. Być może to dlatego. Ale przede wszystkim... tak się bałem.

Ralph starał się odpowiedzieć jej uśmiechem, lecz bez powodzenia. Westchnął ciężko i oparł się o zabite deski stoisko ze słodczymi.

- Teraz spróbuję mu pomóc - powiedziała dziewczyna. Spojrzała na bladą twarz chłopca, na jego zamknięte oczy. - Mam zamiar pomóc ci, nic więcej, Davidzie. Mam zamiar trochę przyspieszyć bieg wydarzeń. Nie przeszkadzaj mi w tym, dobrze? Chcę ci tylko pomóc.

Łagodnym, delikatnym ruchem przekreśliła mu głowę. Skrzywiła się, widząc ślady po duszeniu na szyi. Gdzieś, na sali kina, zwisające resztki balkonu zrezygnowały z beznadziejnej walki o życie i runęły z trzaskiem. Mężczyźni odwrócili głowy jak na komendę, uwaga Cynthii pozostała jednak skoncentrowana na Davidzie. Palcami lewej ręki rozwarła mu usta, palcami prawej delikatnie ścisnęła nozdrza. Przyłożyła usta do jego ust i tchnęła mu w płuca swój oddech.

Gdy odsunęła się od niego, puszczając jednocześnie jego nos, pierś Davida, która uniosła się nieco wyżej, opadła. Cynthia znów pochyliła się i wyszeptowała mu do ucha:

- Wróć do nas, Davidzie. Potrzebujemy cię. I ty potrzebujesz nas.

Jeszcze raz wciągnęła powietrze, po czym tchnęła je w usta chłopca.

- Wróć do nas - powtórzyła, wydychając z płuc jego i swój oddech.

Spojrzała mu w twarz. Miała wrażenie, że samodzielnie oddycha teraz nieco głębiej, widziała, jak poruszają mu się oczy pod zamkniętymi, sinymi powiekami, nie zdradzał jednak żadnych objawów przebudzenia.

- Wróć do nas, Davidzie. Wróć do nas.

Johnny rozejrzał się. Mrugał nieprzytomnie oczami jak ktoś, przed chwilą jeszcze bardzo głęboko pogrążony w myślach.

- Gdzie Mary? - spytał. - Ten cholerny balkon nie spadł jej chyba na głowę, prawda?

- Niemożliwe - odparł Steve. - Została przy starym.

- Myślisz, że nadal z nim jest? Że nie słyszała, jak wrzeszczymy pod niebiosami? Że nie słyszała, jak ten pieprzony balkon runął z pieprzonym hukem?

- Jasne, coś tu nie gra.

- No to mamy problem. Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. Chyba powinniśmy jej poszukać. Chodź.

Cynthia nie zwróciła uwagi na tę wymianę zdań. Klęczała z twarzą tuż przy twarzy chłopca, obserwując ją z napięciem.

- Nie wiem, gdzie jesteś, mały, ale rusz tyłek i wracaj - zażądała. - Czas osiodłać konie i wynieść się z Tej Pomysłowej Dziury.

Johnny wziął dubeltówkę i karabin, który podał Ralphowi.

- Zostań ze swoim chłopcem i z panią. Póki nie wrócimy.

- Tak? A jeśli nie wrócicie?

Johnny przez chwilę przyglądał mu się niepewnie i nagle uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli nie wrócimy, spal dokumenty, rozbij radiostację i łyknij kapsułkę z cyjankiem.

- Co?

- A skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć? Rusz głową. Jedno mogę ci powiedzieć z całą pewnością,

Ralph: jak tylko znajdziemy panią Jackson, nasze przygody w tym miasteczku przechodzą do historii. Chodź, Steve. Idziemy lewym korytarzem, chyba że masz ochotę na wspinaczkę na Mount Balkon.

Ralph odprowadził ich wzrokiem, a kiedy zniknęli w korytarzu, zwrócił się do Cynthii.

- Wie pani, co się stało z Davidem? Czy ta cholera dusiła go tak długo, że zapadł w śpiączkę? Ma przyjaciela, który kiedyś zapadł w śpiączkę. Wyszedł z niej cudem. Wszyscy twierdzili, że to cud, ale czegoś takiego nie życzyłbym najgorszemu wrogowi. Jak myślisz, czy on też zapadł w śpiączkę?

- Moim zdaniem w ogóle nie jest nieprzytomny, nie mówiąc już o śpiączce. Widzisz, jak drgają mu powieki? Zupełnie jakby zasnął i śnił... albo wpadł w trans.

Cynthia uniosła głowę. Ich oczy spotkały się na moment, a potem Ralph ukląkł przy synu, naprzeciw niej. Odgarnął mu włosy z czoła i pocałował go pomiędzy brwiami, tam gdzie na skórze widać było lekką pionową zmarszczkę.

- Wróć, Davidzie - powiedział. - Proszę, wróć.

David oddychał lekko przez zaciśnięte usta. Przykryte sinymi powiekami oczy poruszały mu się nieustannie.

4

W męskiej toalecie znaleźli martwą pumę z odstrzelonym prawie całkiem łbem, sztuk jeden, i martwego weterynarza z otwartymi oczami, sztuk jeden. W damskiej toalecie nie znaleźli niczego... a przynajmniej tak wydawało się Steve'owi.

- Poświęć mi tu, dobrze? - odezwał się Johnny, a kiedy Steve skierował promień latarki na okno, dodał: - Nie, nie tu. Niżej, na podłogę.

W świetle latarki dostrzegli kilka butelek po piwie, stojących porządnie po prawej, pod oknem.

- Pułapka naszego doktora. Nie zbite, tylko porządnie odstawione na bok. Interesująca sprawa.

- Nawet nie zauważyłem, że nie ma ich na parapecie. Punkt dla ciebie, szefie.

- Chodź no tu. - Johnny podszedł do okna, unióś je, wyjrzał na ulicę i usunął się na bok na tyle, by Steve też mógł wyjrzieć. - Rzuć okiem w przeszłość, do chwili gdy przybyliśmy wreszcie do tego wiejskiego pałacu marzeń, mój Stevenie. Jaka była twoja ostatnia czynność przed wślizgnięciem się przez okno do toalety? Pamiętaj?

- Oczywiście. Ustawiliśmy skrzynkę na skrzynce, żeby łatwiej nam było wejść. Zepchnąłem górną z dolnej, ponieważ gdyby Entragian zastał je porządnie ustawione, byłoby to jak strzałka, wskazująca mu drogę do nas.

- Racja. A co widzisz teraz?

Steve poświecił latarką, choć tak naprawdę wcale nie potrzebował światła. Wiatr praktycznie całkowicie się uspokoił, pył osiadł, wyjąwszy najlżejsze ziarenka. Na niebie widać było nawet cieniutki sierp księżycyca.

- Ktoś je ustawił z powrotem! - Steve spojrzął na Johnny'ego z niepokojem. - O, cholera! Kiedy byliśmy zajęci Davidem, Entragian wrócił. Wrócił i... - Chciał powiedzieć "zabrał ją", ale dostrzegł, że szef kręci głową, i umilkł.

- Butelki mówią nam coś innego. - Marinville odebrał mu latarkę i oświetlił nią podłogę pod oknem. - Nie są rozbite, stoją porządnie, w szeregu. Kto to zrobił? Audrey? Nie, Audrey poszła w drugą stronę, za Davidem. Billingsley? Niemożliwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdował się przed śmiercią. Pozostaje tylko Mary, czy jednak Mary zrobiłaby coś takiego dla Entragiana?

- Bardzo w to wątpię - stwierdził Steve.

- Ja również. Mam wrażenie, że gdyby pojawił się nasz gliniarz, Mary przybiegłaby do nas, wrzeszcząc jak oszalała. I dlaczego miałby z powrotem ustawić skrzynki? Znam osobiście Colliego Entragiana i z moich doświadczeń wynika, że ma co najmniej dwa piętnaście, a pewnie więcej. Nie potrzebował stopnia, żeby sięgnąć do okna. Mnie te skrzynki sugerują, że mamy do czynienia z kimś niższym, z pułapką mającą zwabić Mary pod okno, gdzie łatwiej ją było schwycić, albo z jednym i drugim. Mogę oczywiście przesadzać, niemniej jednak...

- Więc może ich być więcej? Stworów takich jak Audrey?

- Może, ale to, co widzimy, tego nie sugeruje. Po prostu nie sądzę, żeby nasza Mary zlikwidowała pułapkę dla każdego, kto zechciałby wejść do środka. Nawet gdyby tym każdym było płaczące dziecko. Wiesz, moim zdaniem przybiegłaby do nas.

Steve zabrał mu latarkę i oświetlił nią rybę na ścianie, piękną i niesamowitą. Nie zdziwiło go, że już jej nie lubi. Teraz była jak śmiech rozlegający się w nawiedzonym domu, jak błazen ukazujący się o północy.

Wyłączył światło.

- Więc co pan sądzi, szefie? - spytał.

- Proszę, nie mów mi "szefie". Od początku niezbyt mi się to podobało.

- Doskonale. O czym myślisz Johnny?

Johnny rozejrzał się. Chciał być pewien, że nadal są sami. Jego twarz, której głównym akcentem był spuchnięty, skrzywiony nos, sprawiała wrażenie zmęczonej i napiętej jednocześnie. Właśnie wytrząsał z buteleczki kolejne trzy aspiryny i wrzucał je do ust, kiedy Steve zdał sobie sprawę z rzeczy zdumiewającej - Marinville wyglądał młodziej. Mimo wszystkiego co przeszedł, Marinville rzeczywiście wyglądał młodziej!

Johnny przełknął aspiryny na sucho, krzywiąc się od gorzkiego smaku starych pigulek.

- Mama Davida - powiedział.

- Co?

- To mogła być ona. Wstrzymaj się na chwilkę i przemyśl to sobie. Śliczna sprawa, na swój własny upiorny sposób.

Steve wstrzymał się na chwilkę, przemyślał to sobie. I zrozumiał, jak prześlicznie wszystko się zgadza. Nie wiedział oczywiście, w którym momencie, opowiadając swą historię, Audrey Wyler rozstała się z prawdą, wiedział jednak, że w którymś momencie figurki, te nazwane przez nią *can tah*, dopadły ją i zaczęły... zmieniać. Zmieniać? Może raczej zaszczepiły jej coś w rodzaju strasznej, prowadzącej do degeneracji wściekliczny. To, co przydarzyło się jej, równie dobrze mogło przydarzyć się Ellen Carver.

Nagle odkrył, iż w głębi serca ma nadzieję, iż Mary Jackson nie żyje. Okropne to, ale w podobnych sytuacjach lepiej dla człowieka, kiedy nie żyje, prawda? Lepiej nie żyć, niż znajdować się pod wpływem *can tah*. Lepiej nie żyć, niż przejść przez to, przez co najwyraźniej trzeba przejść, utraciwszy *can tah*.

- I co robimy? - spytał.

- Wynosimy się z miasteczka. Wykorzystując każdy możliwy sposób.

- Doskonale. Jeśli David nadal jest nieprzytomny, poniesiemy go. Do roboty!

Poszli z powrotem do holu wejściowego.

5

David Carver szedł Anderson Avenue. Właśnie minął szkołę West Wenworth. Na murze szkoły żółtą farbą w sprayu wypisane były słowa: Z TEJ CISZY COŚ ZRODZIĆ SIĘ MOŻE.

Skręcił na rogu Ohio i poszedł ulicą Niedźwiedzia. Zabawne - ulica Niedźwiedzia i Lasek Niedźwiedzi odległe były od szkoły o dziewięć sporych, podmiejskich przecznic, no ale nie takie rzeczy zdarzają się przecież człowiekowi w snach. A w ogóle to zaraz obudzi się w swej własnej sypialni i o wszystkim zapomni. Zauważył przed sobą trzy stojące pośrodku ulicy na kierownicach i siodelkach rowery. Ich koła kręciły się na wietrze.

- "Faraon rzekł do Józefa: »miałem sen« - powiedział jakiś głos. - Ja zaś słyszałem, jak mówiono o tobie, że skoro usłyszysz sen, zaraz go wytłumaczysz".

David podniósł głowę i po drugiej stronie ulicy zobaczył wielebnego Martina, pijanego i nie ogolonego. Wielebny ścisnął w rękę butelkę whisky Seagram Seven. Stał rozkraczony nad żółtą kałużą rzygowin. Patrzeć na niego aż bolało. Martin oczy miał puste, martwe.

- "A Józef odpowiedział faraonowi mówiąc: »To nie ja, niech Bóg da faraonowi zapowiedź pokoju«". - Wielebny zasalutował chłopcu butelką. - Idź i załatw ich - rozkazał. - Teraz dowiemy się, czy wiesz, gdzie był Mojżesz, kiedy zgasło światło.

David ruszył przed siebie. Pomyślał, że mógłby się odwrócić, lecz nagle do głowy przyszedł mu dziwny, za to straszny pomysł - jeśli się odwróci, zobaczy truchającą jego śladem mumię, otoczoną chmurą antycznych bandaży i zapachu olejków.

Przyspieszył kroku.

Minął stojące pośrodku ulicy rowery. Koło jednego z nich obracało się, zgrzytając nieprzyjemnie. Przypominał to zgrzyt kurka na dachu "Bud's Suds"; kurka wyobrażającego karła z dzbanem złota pod pachą. Kurka w...

Desperation! Jestem w Desperation i śnię. Zasnąłem, próbując się modlić, na balkonie starego kina!

- "A wśród was powstanie prorok i ten, który śni sny" - powiedział ktoś.

Po drugiej stronie ulicy David zauważył martwego kota, pumę, zwisającą ze znaku ograniczenia prędkości. Puma miała ludzką głowę. Głowę Audrey Wyler. Jej oczy powoli przesunęły się i spojrzały na niego; chłopiec miał wrażenie, że głowa próbuje się uśmiechnąć.

"Lecz jeśli powie ci: »Znajdźmy innego Boga«, nie usłuchasz".

Skrzywił się, odwrócił głowę i oto po swojej stronie ulicy dostrzegł słodkiego Słodyczka, stojącego na ganku domu jego przyjaciela Briana (dom Briana nigdy przedtem nie stał na Niedźwiedziej, ale we śnie obowiązywały najwyraźniej inne prawa).

- A jednak on był Wielkim Straszylem - odezwała się dziewczynka. - Teraz i ty już o tym wiesz, prawda?

- Tak, wiem, Słodyczku.

- Powinieneś iść jeszcze trochę szybciej, Davidzie. Wielkie Straszyle cię ściga.

Zapach pustyni, zapach starych bandaży i olejków coraz mocniej wiercił mu w nosie. David przyspieszył kroku. Z przodu widział już przerwę między krzakami znaczącą wejście na Szlak Ho Szi Mina. Przedtem nigdy nic tu nie było, może z wyjątkiem pojawiającego się od czasu do czasu diagramu do gry w klasy albo wypisanego kredą na chodniku oświadczenia: KATHI KOCHA RUSSELLA, dziś jednak wejścia na szlak strzegła stara kamienna figura o wiele za duża, by być *can tah* - małym bogiem. Był to *can tak*, wielki bóg - szakal z przechylonym łbem, wyszczerzonymi zębami i ślepiami błyszczącymi niepomowaną wściekłością, wywalonymi niczym w komiksowym rysunku. Jedno ucho miał urwane; może zresztą po prostu odpadło ze starości. W miejscu jezora widniało coś, co trudno byłoby uznać za jezor - ludzka głowa, głowa Colliego Entragianiana w szerokoskrzydłym kapeluszu i tak dalej.

- Lękaj się mnie i zawróć z tej ścieżki - powiedział na jego widok gliniarz w pysku szakala. - *Mi tow, can de lach*, strzeż się nieufornowanych. Są inni bogowie niż twój Bóg, *can tah, can lah*. Wiesz, że mówię prawdę.

- Tak, lecz mój Bóg jest silny - odparł David tonem towarzyskiej rozmowy.

Sięgnął w głąb otwartego pyska szakala i złapał jego szalony ozór. Usłyszał krzyk Entragianiana... a także poczuł go, niczym wibrację; krzyk wibrował mu pod palcami jak jakieś elektroniczne cacko. W następnej chwili łeb szakala wybuchł w bezgłośnie, nie tryskającej odłamkami eksplozji światła. Pozostał tylko kamienny kształt cielska szakala, kończący się poniżej szyi.

David poszedł Szlakiem Ho Szi Mina, świadom tego, że widzi tu rośliny, których nigdy przedtem nie widział w Ohio: kaktusy zwykłe i barylkwate, opuncje, ostre trawy, a także... biegacze stepowe.

Z krzaków rosnących przy ścieżce wyszła jego matka. Twarz miała czarną, pomarszczoną niczym stary pączek. Z oczu jej ciekło. Jej widok - w takim stanie - wypełnił chłopca smutkiem, żalem i strachem.

- Tak, twój Bóg jest mocny, bez dwóch zdań - powiedziała matka. - Ale tylko popatrz, co mi zrobił. Czy taka moc warta jest, by ją podziwiać? Czy takiego Boga warto mieć?

Wyciągnęła ku niemu rękę, ukazując gnijące, odpadające palce.

- To nie jest dzieło Boga - odparł David i rozplakał się. - To nie jest dzieło Boga, tylko policjanta!

- Ale Bóg pozwolił, by tak się stało! - krzyknęła matka. Oko wypadło jej z oczodołu. - Ten sam Bóg, który pozwolił Entragianowi zepchnąć Kirsten ze schodów, pozwolił mu powiesić jej ciało na haku, żebyś ją taką znalazł. Co to za Bóg? Odwróć się od niego, zwróć ku mojemu bogowi. On przynajmniej otwarcie przyznaje się do okrucieństwa!

Cała ta rozmowa - nie tylko w doborze argumentów, lecz w brzmiącym w głosie tej istoty tonie arogancji i groźby - tak obca była wspomnieniom Davida o matce, że zdołał ruszyć przed siebie. Musiał iść dalej. W końcu przecież ściga go mumia, mumia jest powolna, to prawda, ale zdaje się, że właśnie stosuje jeden ze sposobów, dzięki którym dopadała swe ofiary - używa starej egipskiej magii, by rzucać im kłody pod nogi.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknął gnijący stwór-matka. - Trzymaj się ode mnie z daleka albo zmienię cię w kamień w pysku boga. Będziesz *can tah* w *can tak*!

- Nie zdołasz tego dokonać - odparł spokojnie David. - I nie jesteś moją matką. Moja mama jest z moją siostrzyczką u Boga, w niebie.

- Wolne żarty! - krzyknął z oburzeniem gnijący stwór. Głos miał bełkotliwy jak głos gliniarza, mówiący pluł krwią i zębami. - Niebo to wymysł, to coś, o czym twój wielebny przyjaciel może opowiadać godzinami, jeśli tylko będziesz kupował mu whisky i piwo, niebo jest równie rzeczywiste co konie i ryby Billingsleya! Nie powiesz mi, że dałeś się na to nabrać, taki inteligentny chłopiec jak ty. Dałeś się nabrać? Och, Davey, nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. - Gnijący stwór uśmiechnął się z wyższością: - Nie ma nieba, nie ma życia po śmierci... nie ma ich dla takich jak my. Tylko bogowie, *can tak, can tah*, są w stanie...

David nagle zdał sobie sprawę, czemu miało służyć to bełkotliwe kazanie. Miało służyć zatrzymaniu go tu, by mumia mogła go złapać i udusić. Zrobił krok, złapał bełkoczącą głowę i ścisnął ją w dłoniach. Ku swemu zdumieniu wybuchnął przy tym śmiechem, bo tak bardzo przypominało mu to scenę z występów tych szalonych kaznodziejów, którzy mają programy w telewizji kablowej. Łapią swe ofiary za głowy i wrzeszczą: "Odejdź, chorobo! Precz, guzie mózgu! Precz, reumatyzmie! W imię Jeeeeezusa!"

I tym razem rozblęsyło światło, któremu nie towarzyszył żaden dźwięk, a po jego wybuchu nie pozostało nawet ciało. Był sam na ścieżce.

Poszedł dalej. Serce przepelnione miał smutkiem, w myślach obracał to, co powiedział stwór-matka. "Nie ma nieba, nie ma życia po śmierci... nie ma ich dla takich jak my". Być może to prawda, być może ich nie ma, skąd niby miał wiedzieć? Stwór powiedział jednak także, że Bóg pozwolił na śmierć jego mamy i małej siostrzyczki, i tu nie kłamał, prawda?

Może. W końcu co dziecko wie o takich sprawach?

Widział już dąb, na którym znajdowała się Strażnica Wietkongu. Przy jego pniu leżał czerwono-srebrny papierek - opakowanie po baloniku Trzej Muszkietierowie. David pochylił się, podniósł je i wsadził w usta. Z zamkniętymi oczami wysysał z niego resztki czekolady. "Bierzcie i jedzcie" - usłyszał wielebnego Martina, było to zwykłe wspomnienie, a nie przemawiający w głowie głos, co za ulga! "Oto ciało moje, które będzie wydane... za was i za wielu" Otworzył oczy z obawą, że mimo wszystko zobaczy zapitą twarz i martwe oczy pastora, lecz pastora obok niego nie było.

Wypluł papierek i wspiął się do strażnicy, czując w ustach słodki smak czekolady. Wspiął się wprost w dźwięki rock and rolla.

W strażnicy ktoś siedział po turecku, wpatrując się w las. Siedział niemal tak, jak siadywał tu Brian - skrzyżowane nogi, głowa podparta dłońmi - i przez chwilę David był pewien, iż to jego stary przyjaciel, tylko że dorosły, choć jeszcze młody. Pomyślał też, że z tym potrafi sobie poradzić. Że to zjawisko nie dziwniejsze od gnijącego stworzenia-matki i pumy z twarzą Audrey Wyler, że to znacznie mniej przynębiające.

Na ramieniu młodego mężczyzny wisiało radio na pasku. Nie walkman i nie wielki radiomagnetofon; sprawiał wrażenie znacznie starszego. Na jego skórzanym futerale przyklejone były dwa znaczki, żółty z uśmiechniętą buźką i pacyfka. Muzyka wydobywała się z niego przez mały zewnętrzny głośnik. Dźwięk był słaby, płaski, lecz przecież w jakiś sposób wspaniałe, znakomita perkusja, genialna gitara rytmiczna, w jakiś sposób doskonale pasujący do rocka głos. "Czułem się... fatalnie... spytałem doktora, co mi jest..."

- Bri? - spytał David, łapiąc się platformy i wciągając do Strażnicy. - Bri, to ty?

Mężczyzna odwrócił się. Był szczupły, spod baseballowej czapeczki Jankesów wystawały ciemne włosy. Miał na sobie dzinsy i zwykły szary podkoszulek, na nosie zaś wielkie, lustrzane okulary przeciwsłoneczne; David

widział w nich odbicie własnej twarzy. Była to pierwsza osoba, którą tu spotkał - czymkolwiek to było - i której nie znał.

- Briana z nami nie ma - powiedział mężczyzna.

- Więc kim pan jest?

Jeśli ten człowiek zacznie gnąć i krwawić jak Entragian - pomyślał David - migiem opuszczam strażnicę i do diabła z mumią, która prawdopodobnie czai się już na mnie gdzieś w lesie.

- To nasze miejsce. Moje i Briana.

- Brian nie jest w stanie dotrzymać nam towarzystwa - wyjaśnił uprzejmie młody mężczyzna. - Bo widzisz, on żyje.

- Nie rozumiem.

Miał jednak wrażenie, że rozumie, i to aż za dobrze.

- Co powiedziałaś Marinville'owi, kiedy próbował przemówić do kojotów?

David nie od razu przypomniał sobie, co powiedział wtedy Marinville'owi, i nie było w tym nic dziwnego; to, co mu powiedział, nie pochodziło bowiem od niego, lecz raczej przeszło przez niego.

- Żeby nie mówił do nich w języku umarłych. Tylko że to nie były moje...

Mężczyzna w okularach uciszył go gestem.

- Marinville próbował porozumieć się z kojotami językiem podobnym do tego, w którym rozmawiamy teraz. *Si em, tow en can de lach*. Zrozumiałaś?

- Tak. "Rozmawiamy w języku nieuformowanych". W języku zmarłych. - David zadrzał. - Więc ja też nie żyję, prawda? Ja też nie żyję?

- Nie. Zły ruch, tracisz rundę. - Mężczyzna głośniejszym głosem puścił radio. "Powiedziałem doktorze... panie doktorze..." Uśmiechnął się. - The Rascals. Z Felixem Cavaliere'em. Fajne, co?

- Jasne - odparł szczerze David.

Miał wrażenie, że tej piosenki mógłby słuchać cały dzień. Sprawiała, że pomyślał o plaży i ładnych dziewczynach w kostiumach bikini.

Facet w czapeczce Jankesów słuchał radia jeszcze przez chwilę, a potem wyłączył je. Kiedy przekręcał potencjometr, David dostrzegł szramę na przegubie jego prawej ręki, jakby w którymś momencie swej kariery próbował on popełnić samobójstwo. A może nie tylko próbował? W końcu było to miejsce zmarłych.

Tym razem udało mu się powstrzymać drżenie.

Mężczyzna zdjął czapkę, wytarł nią sobie kark, włożył ją z powrotem na głowę i przyjrzał się Davidowi z powagą.

- Oto Kraina Zmarłych - wyjaśnił - ale ty jesteś wyjątkiem. Jesteś kimś wyjątkowym. Bardzo wyjątkowym.

- A kim pan jest?

- To bez znaczenia. Jestem zwykłym członkiem Klubu Wielbicieli Young Rascals i Felixa Cavaliere'a, szczerze mówiąc. - Rozejrzał się, westchnął i skrzywił lekko. - Jedno ci tylko powiem, młody człowieku. Wcale się nie dziwię, że Kraina Zmarłych znajduje się na przedmieściach Columbus w Ohio.

Spojrzał na Davida i słaby uśmiech znikł z jego wargi.

- Mam wrażenie, że pora przejść do interesów - oznajmił. - Mamy niewiele czasu. Przy okazji, kiedy się obudzisz, szja będzie cię mocno bolała i z początku nie zorientujesz się, gdzie jesteś. Przenoszą cię do

półciężarówki, którą Steve Ames przyjechał do miasteczka. Marzą o tym, by wynieść się z "American West"... może nawet z amerykańskiego Zachodu w ogóle, rozum to, jak chcesz. Nie mogę powiedzieć, że bym ich za to winił.

- Co pan tu robi?

- Mam zamiar upewnić się, czy wiesz, co ty tu robisz, Davidzie... no, przynajmniej od tego zaczniemy.

Więc powiedz mi, co ty tu robisz?

- Nie wiem, o co panu...

- Och, daj spokój! - Lustrzane okulary błysnęły w słońcu. - Jeśli rzeczywiście nie wiesz, tkwisz po szyję w gównie. Co robisz na Ziemi? Po co stworzył cię Bóg?

David spojrzął na niego zmieszany.

- Odpowiedz, nie siedź tak - zażądał niecierpliwie mężczyzna. - Przecież to łatwe pytania. Po co Bóg stworzył mnie? Po co Bóg stworzył kogokolwiek?

- Żeby Go kochał i służył Mu - odparł powoli chłopiec.

- Dobra, nieźle. W każdym razie na początek starczy. A czym jest Bóg? Jak doświadczyłeś natury Boga?

- Nie chcę odpowiadać. - David opuścił wzrok na dłonie, po czym podniósł go na tego poważnego, skupionego mężczyznę. Dziwnie znajomego mężczyznę. - Boję się, że wpadnę w kłopoty. - Zawahał się, wyznał wreszcie, czego naprawdę się boi. - Boję się, że to pan jest Bogiem.

Mężczyzna roześmiał się krótkim, niewesołym śmiechem.

- W pewien sposób bardzo to zabawne, ale dajmy sobie spokój. Skupmy się na tym, co tu mamy. Co wiesz o naturze Boga, Davidzie? Z doświadczenia.

Wahając się, walcząc ze sobą, David odparł:

- Bóg jest okrutny.

Znów opuścił wzrok na dłonie i powoli policzył do pięciu. Skończył, grom z jasnego nieba go nie ugodził, więc podniósł oczy. Mężczyzna w dżinsach i podkoszulku nadal był poważny i skupiony, nie zdradzał jednak żadnych objawów gniewu.

- Słusznie - zgodził się. - Bóg jest okrutny. W końcu zawsze zwalniamy, mumia zawsze nas dogania i Bóg jest okrutny. A dlaczego Bóg jest okrutny, Davidzie?

Chłopiec przez chwilę nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie, nagle przypomniał sobie jednak, co powiedział mu kiedyś wielbny Martin; stojący w kącie telewizor z wyłączoną fonią nadawał wiosenny mecz treningowy baseballu.

- Okrucieństwo Boga nas uszlachetnia.

- Jesteśmy kopalnią, a Bóg jest górnikiem?

- No...

- I każde okrucieństwo jest dobre? Bóg jest dobry i okrucieństwo jest dobre?

- Nie. Nic z tego nie jest dobre.

Przez jedną straszną chwilę David miał przed oczami obraz Słodyczka, powieszzonego na haku, Słodyczka, który omijał maszerującą chodnikiem mrówkę, żeby jej przypadkiem nie skrzywdzić.

- Czym jest okrucieństwo popełnione dla zła?

- Chęcią zadania cierpienia. Kim pan jest, proszę pana?

- Nieważne. Kto jest ojcem cierpienia?

- Szatan... a może któryś z tych bogów, o których mówiła matka.
- Zostawmy na boku *can tah* i *can tak*. Przynajmniej na razie. Czym jest wiara?

Przynajmniej to pytanie było łatwe.

- Istotą naszych nadziei, dowodem na to, czego nie widzimy.
- Słusznie. A co czuje wierzący?
- Cóż... miłość i akceptację, jak mi się zdaje.
- Co jest przeciwieństwem wiary?

To już było trudniejsze... nawet bardzo trudne. Jak któryś z tych diabelskich testów na inteligencję. Wybierz a), b), c) albo d). Tyle że nie miał z czego wybierać.

- Niedowiarstwo? - zaryzykował.
- Nie. Nie niedowiarstwo, lecz niewiara. Pierwsze przychodzi naturalnie, drugie trzeba w sobie wyrobić.

A jaki stan ducha wywołuje niewiara?

David myślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Nie wiem - wyznał.
- Owszem, wiesz.

Pomyślał dłużej i stwierdził, że rzeczywiście wie.

- Stanem duchowym niewiary jest desperacja - powiedział.
- Tak! A teraz popatrz w dół, dobrze?

Dave spojrział w dół i zdumiał się. Strażnica Wietkongu nie znajdowała się już na drzewie. Leciąca teraz, niczym latający dywan z desek, nad smutnym krajobrazem całkowitego zniszczenia. Pomiędzy skupiskami szarych, bezlistnych roślin tu i tam widział budynki. Jednym z nich była przyczepa z napisem o pijącym i Clintona lejącym sukinsynu, innym barak z blachy falistej, który widzieli wjeżdżając do miasta, jeszcze innym ratusz; był tu także bar "Bud's Suds". Z tej martwej, uduszonej we własnych odpadach dżungli patrzył na nich uśmiechnięty gnom z dzbanem złota pod pachą.

- Oto zatrute pola - objaśnił mężczyzna w lustrzankach. - Przy tym, co działało tutaj, gaz X wydaje się mniej więcej tak szkodliwy jak czekoladka, nie? Tej ziemi już nie nawieziesz, trzeba wysypać ją solą i zorać. A wiesz dlaczego?

- Bo zło będzie stąd promieniować?
- Nie. Nie jest w stanie. Zło jest równie kruche co głupie. Zatrzuwa ekosystem i ginie wkrótce po jego zatruciu.
- Więc czemu...

- Ponieważ obraża to Boga. Inne powody nie istnieją. Niczego nie ukrywamy, niczego nie zostawiamy na później, nic nie jest wypisane drobnym drukiem. Zatrute pola to perwersja natury i obraza Boga. A teraz popatrz.

David usłuchał. Przelecieli już nad drzewami i budynkami, Strażnica Wietkongu unosiła się teraz nad wielką dziurą w ziemi. Z ich perspektywy przypominała ranę, od której wygniła skóra ziemi i ciało pod skórą. Jej ściany biegly w dół, skośnie, równomiernymi zygzakami na podobieństwo schodów. Patrzenie w głąb jamy było, przynajmniej do pewnego stopnia, jak patrzenie

(przyspieszmy kroku)

na negatyw piramidy. Na południe od dziury, na wzgórzach, rosły sosny, na jej obrzeżach jakieś krzaki, ona sama była jednak sterylna, nie uświadczyleś w niej nawet jałowca. Po ich stronie - była to prawdopodobnie

strona północna, jeśli za zatrute pola uznać miasteczko Desperation - schludny wzór schodów kończył się niedaleko dna jamy. Ich miejsce zajął długi kamienisty piarg. W piargu, niedaleko szerokiej zwirowej drogi prowadzącej od krawędzi jamy, ziała czarna dziura, której widok mocno zaniepokoił Davida. Nagle poczuł się tak, jakby pogrzebany na pustyni potwór otworzył jedno oko. Piarg też sprawiał mocno niepokojące wrażenie... jakby został... no... zaplanowany.

Na dnie jamy, tuż poniżej nieregularnej dziury, znajdował się parking wypełniony ciężarówkami do wywozu rudy, koparkami, pikapami i jakimiś pojazdami na gąsienicach, przypominającymi trochę czołgi z czasów drugiej wojny światowej.

Obok parkingu stał przerdzewiały barak z blachy falistej. Z jego dachu wyrastała krzywa rura kuchni-kozy. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: WITAMY W GRZECHOTNIKU NR 2. TWORZYMY MIEJSCA PRACY W ŚRODKOWEJ NEVADZIE I PŁACIMY PODATKI OD 1951 ROKU. Na lewo od baraku, na płaskiej betonowej kostce, również wisiała tabliczka, tyle że napis na niej był krótszy:

MAGAZYN MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH
NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

Między tymi dwoma budynkami stał brudny caprice Colliego Entragiana. Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Światelko w kabinie paliło się, oświetlając wnętrze samochodu, wyglądające jak wnętrze rzeźni. Na desce rozdzielczej, obok kompasu, stał przyczepiony kiwający łebkiem niedźwiadek.

I nagle wszystko to znalazło się poza nimi.

- Znasz to miejsce, prawda, Davidzie?

- To Chińska Jama. Chińska Jama, prawda?

- Tak.

Zniżyli się nad jej krawędzią i David dostrzegł, że Chińska Jama była, na swój sposób, zatruta znacznie skuteczniej niż zatrute pola. W głębi ziemi nie dawało się znaleźć całej warstwy, całego kamienia, przynajmniej w zasięgu wzroku; wszystko zredukowane zostało do przeraźliwie żółtawego pyłu. Za parkingiem i budynkami znajdowały się wielkie kupy jeszcze drobniej sproszkowanej skały, ułożone na płachtach czarnego plastiku.

- To praktycznie śmieci - powiedział mężczyzna w lustrzankach tonem przewodnika wycieczek. - Tam, na płachtach, widzisz bezwartościowe resztki. Firma nawet im nie da jednak spokoju. Zawierają przecież metale: złoto, srebro, molibden, platynę... i, oczywiście, miedź. Chodzi przede wszystkim o miedź. Depozyty są tak rozdrobnione, jakby przywiał je tu wiatr i wydobywanie ich było nieekonomiczne, ale w miarę jak złoża kopalni na świecie wyczerpują się, co nieekonomiczne, staje się ekonomiczne. Te wielkie torby na śmieci to rodzaj zbiorników; cenne substancje przeciekają do nich i są z nich wyskrobywane. Proces przesiąkania. Będą tak pracować, aż góra, mająca niegdyś blisko dwa i pół tysiąca metrów, zmieni się w proch i pył.

- Te wielkie schody na ścianach... co to takiego?

- Ławy. Służą ciężkiemu sprzętowi jako drogi wokół kopalni, ale przede wszystkim mają zapobiegać osuwaniu się ziemi.

- Niezbyt dobrze zadziałały, o tam. - David wskazał kciukiem za siebie. - I tu też.

Zbliżali się właśnie to kolejnego osypiska. Wielkie schody prowadzące w głąb ziemi zasypane zostały stromą warstwą pokruszonej skały.

- Wada strukturalna.

Strażnica Wietkongu skrzyła nad osypisko. Za nim David zobaczył coś, co wydawało mu się początkowo czarną pajęczyną. Kiedy zbliżyli się do niej, dostrzegł, że włóknami tej pajęczyny są plastikowe rury.

- Ostatnio przestawiono się z pryskania na emitery. - Mężczyzna w lustrzankach wypowiedział te słowa tak, jakby je cytował. David przeżył moment *deja vu*, nim zorientował się, że rzeczywiście cytuje. Cytuje Audrey Wyler. - Kilka orłów zdechło.

- Kilka? - spytał słowami pana Billingsleya.

- No dobrze, około czterdziestu. Żaden problem w skali gatunku, nie była to wielka strata, w Nevadzie jest mnóstwo orłów. Widzisz, czym zastąpiono natryskiwanie, Davidzie? Te wielkie rury rozprowadzają kwas... powiedzmy, że są *can tak*.

- Wielkimi bogami.

- Tak jest. A te cienkie rurki, łączące je i wyglądające jak siatka, to emitery. *Can tah*. Wycieka z nich słaby kwas siarkowy. Uwalnia metale... i zatruwa ziemię. Chwileczkę, Davidzie.

Strażnica Wietkongu przechyliła się - w tym także przypominała latający dywan - i David musiał przytrzymać się jej krawędzi, żeby nie spaść. Nie chciał osunąć się na tę straszną spaloną ziemię, na której nic nie rosło, na ziemię, po której na czarny plastik zbiorników spływał jadowity płyn.

Zniżyli lot. Przelecieli nad zardzewiałym blaszakiem ze sterzącą z niego rurą kozy, nad magazynem prochu, nad zgromadzonymi u końca drogi pojazdami. Na zboczach jamy, ponad ziejącą w nim dziurą David dostrzegł spory teren oznaczony znacznie mniejszymi otworami. Jego zdaniem było ich z pięćdziesiąt, być może znacznie więcej. Z każdego sterczał kawałek czegoś zakończonego na żółto.

- Wygląda to jak największa na świecie kolonia świstaków - zauważył.

- To jest ściana do odstrzału, a to otwory strzałowe. Tu odbywa się właściwe wydobycie. Każda z tych dziur ma poniżej metra średnicy i mniej więcej dziewięć metrów głębokości. Przed strzelaniem w głąb każdej z tych dziur wpuszcza się łaskę dynamitu z umieszczonym na niej zapalnikiem. Służy ona jako rodzaj inicjatora. Potem dziurę wypełnia się kilkoma taczkami materiału wybuchowego zwanego ANFO *. Te dupki, które wysadziły w powietrze budynek władz federalnych w Oklahoma City, użyły właśnie ANFO. Zazwyczaj wygląda on jak biały ładunek śrutu osiemnastki, takiego do dubeltówki.

Mężczyzna w czapeczce Jankesów wskazał na magazyn materiałów wybuchowych.

- Znajdziesz tam mnóstwo tej mieszanki - powiedział. - Nie dynamit, resztki dynamitu zużyli w dniu, w którym wszystko się zaczęło, ale mieszanki ci nie zabraknie.

- Nie rozumiem, dlaczego pan mi to wszystko opowiada.

- Nic nie szkodzi, wystarczy, żebyś uważnie słuchał. Widzisz otwory strzałowe?

- Widzę. Wyglądają jak oczy.

- Słusznie. Widzisz dziury jak oczy. Nawiercono je w porfirze, który jest kryształem. Wybuch mieszanki kruszy skałę. Pokruszony materiał skalny zawiera rudę. Rozumiesz?

- Chyba tak.

* ANFO - skrót od Ammonium Nitrate and Fuel Oil (mieszanka saletry amonowej i oleju napędowego). W języku polskim skrót ten jest stosowany na równych prawach z nazwą saletrol.

- Materiał wywozi się ciężarówkami, układa na plastikowych zbiornikach, rury i emitery, czyli *can tah* i *can tak*, nasączają go kwasem i w ten sposób zaczyna się proces gnilny. *Voilà* i oto ługowanie w swej najczystszej postaci. Widzisz jednak, co odkrył odstrzał, prawda?

Wskazał wielką wyrwę. Na jej widok David poczuł straszne, paralizujące zimno. Miał wrażenie, że wyrwa spogląda na niego z czymś w rodzaju zaproszenia idioty.

- Co to jest? - spytał, choć miał wrażenie, że wie.

- Grzechotnik Numer Jeden. Znany także pod nazwą Chińskiej Jamy, Chińskiego Szybu lub Chińskiej Sztolni. Odkrył go ostatni odstrzał. Powiedzieć, że górnicy się zdumieili, to powiedzieć za mało. Nikt w tym biznesie w Nevadzie nie wierzył w te stare opowieści. Diabolo ogłosiła na przełomie wieków, że Numer Jeden został po prostu zamknięty z powodu wyczerpania się złoża, ale on tu był, Davidzie, on tu cały czas był. A teraz jest...

- Nawiedzony? - spytał David i zadrzał. - O to chodzi, prawda?

- O, tak! - Mężczyzna zwrócił na Davida lustra swych okularów. - Tak, oczywiście.

- Nie wiem, czego pan ode mnie chce, ale wiem, że nie zamierzam słuchać ani słowa więcej! - krzyknął chłopiec. - Proszę mnie stąd zabrać! Chcę do taty! Nienawidzę tego! Nienawidzę Krainy...!

Nagle uderzyła go straszna myśl. Ten człowiek powiedział przecież: "Kraina Zmarłych". Nazwał go wyjątkiem, co oznaczało...

- Wielebny Martin... widziałem go, kiedy szedłem do Lasku. Czy on...

Mężczyzna zerknął na swe staroświeckie radio, po czym spojrzął mu w oczy.

- Tak. Dwa dni po twoim wyjeździe, Davidzie.

- Był pijany?

- Pod koniec był pijany bez przerwy. Jak Billingsley.

- Popułnił samobójstwo?

- Nie - odparł mężczyzna w czapce Jankesów i łagodnym gestem położył dłoń na karku Davida. Dłoń miała miękka, ciepła, nie przypominającą w dotyku dłoni trupa. - W każdym razie nie było to świadome samobójstwo. Pojechał z żoną nad morze. Zrobili sobie piknik na plaży. Wszedł do wody zaraz po jedzeniu i wypłynął za daleko.

- Proszę mnie stąd zabrać - wyszeptał David. - Zmęczyły mnie wszystkie te śmierci.

- Zatrute pola to obraza Boga. Wiem, że brzmi to banalnie, ale...

- Więc niech Bóg je oczyści! - krzyknął chłopiec. - To nie w porządku, że woła mnie na pomoc, kiedy najpierw zabił mi siostrę... i mamę...

- Nie zabił...

- Nic mnie to nie obchodzi! Nic a nic! Nawet jeśli ich nie zabił, stał z boku i patrzył!

- To też nieprawda.

David zamknął oczy i zakrył uszy dłońmi. Nie chciał słyszeć nic więcej. Głos mężczyzny docierał jednak do niego mimo wszystko. Głos nieubłagany. Nie był w stanie przed nim uciec, tak jak Jonasz nie był w stanie uciec przed Bogiem. Bóg był bezlitosny, był jak chart na świeżym tropie.

Był także okrutny.

- Co robisz na Ziemi? - spytał głos, rozbrzmiewający teraz w głowie Davida. - Nie słyszę cię! Nic nie słyszę!

- Znalazłeś się na Ziemi, by kochać Boga....
 - Nie!
 - ...i służyć mu.
 - Nie! Pieprzę Boga! Pieprzę Jego miłość! Pieprzę służenie Mu!
 - Bóg nie może sprawić, byś zrobił cokolwiek, czego nie...!
 - Przestań! Nie będę słuchał! Nie będę decydował! Słyszysz mnie! Sły...
 - Ciii... Słuchaj.
- I, nie całkiem wbrew własnej woli, David wysłuchał go.

Część IV

**Chińska Jama:
Bóg jest okrutny**

Rozdział 1

1

Johnny miał właśnie zamiar zasugerować, żeby wynosili się stąd w cholerę, Cynthia może przecież trzymać głowę małego na kolanach, by chronić go przed wstrząsami, kiedy David uniósł dłonie, przycisnął je do skroni, a potem odetchnął głęboko. Niemal w tym samym momencie otworzył oczy i przyjrzał się uważnie im wszystkim: Johnny'emu, Steve'owi, Cynthii, swemu ojcu. Obaj starsi mężczyźni twarze mieli tak spuchnięte i posiniaczone jak dwaj początkujący bokserzy po kiepskich występach na ringu w jakiejś dziurze, wszyscy zaś, nie wyłączając dziewczyny, wyglądali na zmęczonych i przestraszonych, nerwowych jak niespokojne konie.

Oto nędzne pozostałości Stowarzyszenia Przetrvania Colliego Entragiana.

- Cześć, Davidzie - powiedział Johnny. - Fajnie, że wróciłeś. Jesteś...

- Jestem w samochodzie Steve'a, zaparkowanym niedaleko kina. Sprowadziliście go ze stacji Conoco. - David usiadł z wysiłkiem, przełknął ślinę i skrzywił się. - Rzuciła mną chyba jak kostką.

- Owszem. - Steve uważnie przyglądał się chłopcu. - Pamiętasz, co wyprawiała z tobą Audrey?

- Nie. Ale ktoś mi opowiedział.

Johnny zerknął na Ralpa. Ralph wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: "Nie mnie pytaj".

- Macie może trochę wody? Gardło mnie pali.

- Uciekaliśmy z kina, jakby się paliło. Zabraliśmy tylko broń - wyjaśniła Cynthia. - Ale jest to. - Wskazała skrzynkę jolt coli, już opróżnioną z kilku butelek. - Steve trzyma ją dla pana Marinville'a.

- Od kiedy przestałem pić, nie mogę się bez niej obejść - stwierdził Johnny. - Musi być jolt, nic innego, jeden Bóg wie czemu. Jest ciepła, ale...

David wziął butelkę i przechylił ją do ust. Skrzywił się, bo bąbelki drażniły mu gardło, mimo to pił dalej. Opróżnił dwie trzecie butelki, przerwał, położył głowę na burcie półciężarówki, zamknął oczy i beknął głośno.

Johnny uśmiechnął się szeroko.

- Strzał w dziesiątkę!

David otworzył oczy i odpowiedział uśmiechem. Marinville wyciągnął ku niemu fiolkę aspiryny, którą wyzwolił z niewoli w "Owrs".

- Chcesz? - spytał. - Przeteterminowane, ale działają jak nowe.

David myślał przez chwilę, po czym wziął dwie i popił je resztką coli.

- Wynosimy się stąd - uświadomił go Johnny. - Najpierw pojedziemy na północ; drogę blokują tam przyczepy, ale Steve twierdzi, że może da radę ominąć je od strony wjazdu do osiedla przyczep. Jeśli okaże się to niemożliwe, będziemy musieli pojechać na południe, do kopalni, a stamtąd, drogą dla sprzętu, pojedziemy na północny zachód, z powrotem na szosę numer pięćdziesiąt. My usiądziemy z przodu...

- Nie.

Brwi Johnny'ego podjechały wysoko na czoło.

- Przepraszam, mówileś coś?

- Musimy pojechać do kopalni, oczywiście, ale nie po to, żeby wydostać się z miasteczka. - Głos chłopca brzmiał ochryple, jakby od płaczu. - Tylko po to, żeby zejść na dół, na sam dół.

Johnny zerknął na Steve'a. Steve wzruszył ramionami i spojrzął na Davida.

- O co ci chodzi, Davidzie? Bo jeśli o matkę, to chyba lepiej dla ciebie, nie mówiąc już o nas wszystkich, żebyś...

- Nie, nie chodzi o mamę... Tato? - Chłopiec wyciągnął rękę i ujął dłoń ojca. Był to dziwnie dorosły gest pocieszenia. - Mama nie żyje.

Ralph pochylił głowę.

- Cóż, nie wiemy tego na pewno, synku, i nie wolno nam tracić nadziei, ale przypuszczam, że to bardzo prawdopodobne.

- Ja wiem na pewno. Nie zgaduję.

Twarz Davida w świetle krzyżujących się promieni latarek sprawiała wrażenie napiętej śmiertelnym zmęczeniem. Chłopiec odszukał wzrokiem Johnny'ego.

- Mamy tu coś do zrobienia. Pan o tym wie, prawda? Dlatego czekał pan, aż się obudzę.

- Nie, Davidzie. Nic z tych rzeczy. Po prostu nie chcieliśmy ryzykować przenoszenia cię, nie wiedząc, co się właściwie z tobą dzieje.

Jednak w głębi serca Johnny Marinville zdawał sobie sprawę z tego, że jego słowa brzmią nieszczerze. A poza tym dręczył go słaby, nieokreślony niepokój. Podobnie czuł się na kilka chwil przed rozpoczęciem pracy nad nową książką, kiedy wreszcie uświadamiał sobie, że nie da się już dłużej odkładać nieuniknionego, że wkrótce znów znajdzie się na cienkiej linie i z drągiem w dłoniach znów będzie po niej jeździł tym cholernym jedno-kołowym rowerkiem.

Tylko że teraz było gorzej. O wiele gorzej. Miał ochotę dzielić małego w łeb kolbą karabinu, który trzymał w dłoni. Po prostu po to, żeby mu zamknąć buzię, nim wypowie następne słowo.

Nie spieprzę tego, mały - pomyślał. - Nie teraz, kiedy wreszcie, wreszcie, widzimy słabe światełko na końcu tunelu.

David patrzył już na ojca. Nadal trzymał go za rękę.

- Nie żyje, ale nie zaznała spoczynku. Nie zazna spoczynku tak długo, jak długo Tak będzie zamieszkiwał jej ciało.

- Kto to jest Tak, Davidzie? - spytała Cynthia.

- Jeden z bliźniaków Wintergreenów - zażartował Johnny. - Drugi ma na imię Tik.

David spojrzął mu w oczy. Johnny nie wytrzymał, spuścił wzrok. Nienawidził się za to, ale po prostu musiał spuścić wzrok.

- Tak jest bogiem - wyjaśnił chłopiec. - Albo może demonem. Albo może niczym, takim nonsensownym słowem, ale jeśli jest niczym, to niebezpiecznym niczym, jak głos, który słychać w wyciu wiatru. Zresztą nie ma to najmniejszego znaczenia. Mama... mama musi zaznać spokoju. Potem połączy się z moją siostrzyczką w... no, dokądkolwiek idziemy po śmierci.

- Synu, liczy się tylko jedno - pouczył go Johnny. - Musimy się stąd wynieść. - Udało mu się nie podnieść głosu, ale w jego brzmieniu słyszał mimo to niecierpliwość... i strach. - Gdy tylko dotrzemy do Ely, skontaktujemy się z policją stanową... nie, do diabła, skontaktujemy się z FBI. Jutro w południe będzie tu stu policjantów i z tuzin helikopterów, to mogą ci obiecać. Teraz jednak...

- Mama nie żyje, ale Mary owszem - przerwał mu David. - Mary jeszcze żyje. Jest w kopalni.

Cynthia westchnęła ze zdumienia.

- Skąd wiesz, że w ogóle zniknęła?

Chłopiec uśmiechnął się słabo.

- No, po pierwsze nie widzę jej tutaj, ale tak naprawdę dowiedziałem się o niej w ten sam sposób, w jaki dowiedziałem się, że Audrey mnie dusiła. Powiedziano mi.

- Kto ci to powiedział? - spytał go Ralph.

- Nie wiem. I nie wiem, czy w ogóle ma to jakieś znaczenie. Najważniejsze, że dowiedziałem się od niego mnóstwa innych rzeczy. Prawdziwych rzeczy. Wiem, że były prawdziwe.

- Godzina opowieści minęła, przyjacielu.

Głos Johnny'ego był ostry, nieprzyjemny. Zdawał sobie z tego sprawę, ale zmienić go nie potrafił. I co w tym dziwnego? Nie uczestniczył przecież w dyskusji na temat realizmu magicznego albo prozy konkretnej. Godzina opowieści minęła, przyszła godzina odjazdu. Nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać gówna od tego Jezusowego harcerzyka.

Ale ten twój Jezusowy harcerzyk wy dostał się jakoś z celi, zabił kojota, którego Entragian pozostawił na straży i ocalił twoje nic nie warte tycie - odezwał mu się w głowie głos Terry. - *Może jednak powinieneś go wysłuchać, Johnny?*

I to przede wszystkim dlatego - pomyślał - rozwiodłem się z nią. W największym skrócie, niech ją diabli, dlatego. Boska z niej była dupcia, ale nie miała pojęcia, kiedy zamknąć dziób i z szacunkiem słuchać mądrzejszych od siebie.

Nieszczęście już się jednak stało. Za późno było, by powstrzymać tok myśli. Musiał myśleć o tym, co Billingsley miał do powiedzenia o ucieczce Davida z celi. "Nawet Houdini..." - tak powiedział, prawda? - "Z powodu głowy". Poza tym była jeszcze sprawa telefonu. I tego, jak zmusił kojoty do ucieczki. A sardynki i krakersy? On sam pomyślał wówczas o skromnym cudzie, prawda?

Nie wolno mu patrzeć w ten sposób. Bo Jezusowe harcerzyki z pewnością potrafią jedno: zabijać. Spójrzmy tylko na to, co przytrafiło się Janowi Chrzycielowi albo tym zakonnicom w Ameryce Południowej... Nawet Houdini... Z powodu głowy. Nagle Johnny zdał sobie sprawę, że nie musi dzielić włosa na czworo, nie musi uprawiać mentalnego tańca z figurami lub - najstarsza sztuczka na świecie - przedyskutowywać tematu różnymi głosami, aż wszystko się kompletnie rozmyje. Prawda brzmiała następująco: bał się już nie tylko gliniarza oraz innych sił, wyzwolonych i być może działających w miasteczku. Bał się także Davida Carvera.

- Tak naprawdę to nie gliniarz zabił moją mamę i siostrę - odezwał się chłopiec.

Spojrzał na Johnny'ego i jego spojrzenie zdumiewająco przypominało spojrzenie Terry. Tym spojrzeniem Terry doprowadzała go niemal do obłądu. Wiesz, o czym mówię - sugerowała tym spojrzeniem - wiesz bardzo dobrze, więc nie marnuj czasu udając, że nic nie rozumiesz.

- Tak naprawdę ktokolwiek mówił do mnie, kiedy straciłem przytomność, to mówił do mnie Bóg. Tylko że Bóg nie może ukazać się ludziom we własnej postaci, bo wystraszyłby ich śmiertelnie i nigdy niczego nie załatwił. Wiec pojawia się w przebraniu. Ptaki, kolumna ognia, ognisty krzak, trąba powietrzna...

- Albo człowiek - wtrąciła Cynthia. - Pewnie, jasne, Bóg to mistrz kamuflażu.

Stwierdziła to tak trzeźwo i z tak głębokim przekonaniem - dla mnie ma to sens - że Johnny stracił resztki cierpliwości.

- Przecież to kompletne szaleństwo! - wrzasnął. - Musimy się stąd wynosić, czyżbyście nie rozumieli tak prostej sprawy? Stoimy na cholernej głównej ulicy miasteczka, zamknięci w cholernej budzie bez jednego okna, on może być wszędzie, może nawet siedzieć w kabinie, za kierownicą! Albo... nie wiem... kojoty... ścierwniki...

- On odszedł - stwierdził spokojnie David, sięgając po kolejną butelkę jolt coli.

- Kto? - zdumiał się Johnny. - Enragian?

- *Can tak*. Nie ma znaczenia, w czym jest ciele... Enragiana, mojej mamy, w tym, w którym zaczął... zawsze jest tak samo. Zawsze jest *can tak*, wielki Bóg, strażnik. Nie czuje pan?

- Nic nie czuję.

Nie strugaj wariata - napomniął go głos Terry.

- Nie strugaj wariata - powiedział David, przyglądając mu się z napięciem.

Johnny pochylił się ku niemu.

- Czytasz mi w myślach? - spytał spokojnym, niemal łagodnym tonem. - Bo jeśli tak, byłbym ci wdzięczny, gdybyś wyniósł się w cholerę z mojej głowy, synu.

- Próbuję tylko skłonić pana, żeby wysłuchał pan tego, co mam do powiedzenia - odparł chłopiec bardzo stanowczo. - Wszyscy mnie wysłuchają, jeśli tylko pan mnie wysłucha! Jeżeli zaczniemy się kłócić, nie będzie już musiał wysyłać *can tah* ani *can tak*. Jak znajdzie okno z wybitą szybą, wejdzie do środka i rozszarpie nas na strzępy.

- Daj spokój, nie zmusisz mnie, żebym się kajał na klęczkach. Nie ponoszę winy za to, co się stało i dzieje.

- Wcale nie mówię, że tak. Chcę tylko, żeby mnie pan wysłuchał, dobrze? - W głosie Davida brzmiało błaganie. - Może mnie pan wysłuchać, mamy czas, on odszedł. I nie ma już na drodze przyczep, które tam przedtem stały. Czy pan nie rozumie? Chce, żebyśmy odjechali.

- Świetnie. Dajmy mu to, czego chce!

- Posłuchajmy, co ma do powiedzenia David - wtrącił Steve.

Johnny zaatakował go z furią.

- Chyba zapomniałeś, kto ci płaci!

Znienawidził się za te słowa, gdy tylko je wypowiedział, ale nie uczynił najmniejszego wysiłku, by je odwołać. Uczucie, że musi się stąd wynieść, że musi wskoczyć za kierownicę rydera i przejechać parę kilometrów, obojętnie w jakim kierunku, byle nie na południe, było teraz tak silne, że praktycznie niczym nie różniło się od paniki.

- Prosiłeś, żebym nie mówił ci "szefie". Spełniam tylko twoją prośbę.

- A poza tym, co z Mary? - zauważyła Cynthia. - On twierdzi, że Mary żyje.

Całą swą wściekłość Johnny wyładował na niej.

- Jak chcesz spakować walizki i wybrać się z Davidem na wycieczkę liniami lotniczymi Transpanbóg to twoja sprawa, ale ja rezygnuję, rozumiesz?

- Wysłuchamy go - stwierdził cicho Ralph.

Johnny spojrział na niego zdumiony. Nie dlatego, żeby spodziewał się pomocy, ale gdyby w ogóle miała nadejść, liczyłby przede wszystkim na ojca chłopca. "Tylko on mi pozostał - powiedział przecież Ralph jeszcze w kinie. - Tylko on pozostał mi z całej rodziny".

Rozejrzał się po twarzach otaczających go ludzi. Ze zdumieniem - i rozczarowaniem - stwierdził, że panuje wśród nich idealna zgoda. Tylko on pozostał poza kręgiem porozumienia. W dodatku Steve miał kluczyki

do wozu. David jednak patrzył na niego. Na niego. Ludzie patrzyli tak na Johna Edwarda Marinville'a od czasu, kiedy, niczym genialne dziecko, w niesłychanym wieku dwudziestu dwóch lat opublikował swą pierwszą powieść. Sądził, że dawno już przyzwyczał się do tego rodzaju spojrzeń, być może zresztą rzeczywiście się do nich przyzwyczał, tym razem jednak było zupełnie inaczej. Miał wrażenie, że nikt - ani nauczyciele, ani krytycy, ani czytelnicy, ani wydawcy, ani kumple od kieliszka, ani kobiety - nigdy nie chciał od niego tego, czego chciał od niego ten chłopiec. I nie chodziło tylko o wysłuchanie, co David ma do powiedzenia; słuchanie - przypuszczał Johnny - to tylko miłe złego początki.

Chłopiec nie patrzył na niego tak po prostu. Patrzył na niego błagalnie.

Daj sobie spokój, mały - pomyślał. - Kiedy tacy jak ty siadają za kierownicą, autobusy jakos dziwnie często staczają się do rowów.

Gdyby nie David, moim zdaniem twój osobisty autobus dawno już leżałby w rowie - odezwała się Terry ze swojego Der Suka Bunkier w głębi jego głowy. - Moim zdaniem byłbyś martwy, a twoje ciało wisiałoby gdzieś na jakimś haku. Wysłuchaj go, Johnny. Na miłość boską, wysłuchaj go!

- Enragian odszedł. Jesteś tego pewny, co? - Johnny mówił znacznie ciszej niż poprzednio.

- Tak - odparł David. - Zwierzęta też. Kojoty i wilki, setki, może nawet tysiące kojotów i wilków odciągnęło przyczepy. Zrzuciły je do rowów, zepchnęły na podjazd. Teraz większość z nich ukryła się w *mi him*, kręgu straży. - David napił się jolt coli. Ręka, w której trzymał butelkę, drżała lekko. Przyglądał się słuchaczom po kolei, ale jego wzrok za każdym razem wracał do Johnny'ego. - Chce tego, czego pan chce. Chce, żebyśmy wyjechali.

- Więc dlaczego w ogóle nas tu sprowadził?

- On nas tu nie sprowadził.

- Co?

- Myśli, że to jego dzieło, ale się myli.

- Nie mam zielonego pojęcia o czym...

- Bóg nas tu sprowadził. Żebyśmy go powstrzymali.

2

W ciszy, która zapadła po tym zdumiewającym stwierdzeniu, Steve odkrył, że wsłuchuje się w wycie wiatru... i że go nie słyszy. Usłyszał za to chyba dźwięk silników samolotowych. Jacyś zwykli normalni ludzie lecieli w jakieś zwykłe normalne miejsce jedząc, śpiąc lub czytając *US News & World Report*.

Oczywiście to Johnny przerwał milczenie i chociaż wydawał się równie pewny siebie co przedtem, w jego oczach był błysk, chytry błysk, który Steve'owi bynajmniej nie przypadł do gustu. W ogóle Steve miał wrażenie, że szalony Johnny, ten Johnny z dzikim wyrazem oczu i uśmiechem przerażonego Clyde'a Barrowa na wargach, ten Johnny, który odstrzelił łeb pumie, podobał mu się znacznie bardziej. Że w Johnnym jest coś z tępego bandyty, wiedział zawsze, ów tępy bandyta pojawiał się w nim od czasu do czasu, Steve wiedział też, iż jego właśnie bał się Bill Harris, kiedy formułował swoje pięć przykazań w gabinecie Jacka Ap-pletona, Clyde Barrow najwyraźniej wyniósł się jednak, pozostawiając po sobie innego Marinville'a, tego z kpiąco uniesioną brwią i nadętą retoryką Williama F. Buckleya.

- Mówisz tak, jakbyśmy wszyscy mieli tego samego Boga, Davidzie - powiedział ten John Edward Marinville. - Nie mam zamiaru przemawiać do ciebie z góry, moim zdaniem jednak jest wręcz przeciwnie.

- Nie jest - odparł spokojnie David. - W porównaniu z Takiem, pan i wódz plemienia kanibali mielibyście tego samego Boga. Widział pan *can tak*, wiem, że pan widział. I czuł pan, do czego są zdolne.

Wargi Johnny'ego drgnęły, co, zdaniem Steve'a, oznaczało, że Marinville przyjął cios, choć nie miał zamiaru się do tego przyznać.

- Być może masz rację, lecz człowiek, który mnie tu ściągnął, w niczym nie przypominał Boga. Był to wielki jasnowłosy policjant z poważnymi problemami dermatologicznymi. Najpierw wsadził mi do torby marychę, a potem pobił mnie prawie na śmierć.

- Tak. Wiem. Marycha pochodziła z samochodu Mary. I wyrzucił na drogę coś w rodzaju gwoździ, żeby nas zatrzymać. Kiedy się o tym pomyśli, aż śmiech bierze, taki straszny, nie "ha, ha, ha". Ten policjant przeszedł przez Desperation niczym wichur, strzelał do ludzi, wyrzucał ich z okien, bił ich, przejeżdżał samochodami, ale mimo to nie był w stanie podejść do nikogo z nas, wyjąć rewolweru i powiedzieć: "Idziecie ze mną". Musiał mieć... - Spojrzał na Johnny'ego bezradnie. - Nie wiem, jak to powiedzieć.

- Pretekst - podpowiedział były szef Steve'a.

- Tak, właśnie, pretekst. To jest tak, jak w tych starych horrorach: wampir nie może po prostu wejść do domu. Musi zostać zaproszony.

- Ale dlaczego? - spytała Cynthia.

- Może dlatego, że Entragian, autentyczny Entragian, nadal tkwił mu gdzieś w głowie. Jak cień. Albo jak ktoś, kogo zamknięto w domu, ale kto nadal może przecieź wyglądać przez okna i walić w drzwi. Teraz Tak jest w mojej mamie... w tym, co z niej pozostało... i zabiłby nas, gdyby tylko mógł, ale jestem pewien, że nadal potrafiłby upiec najlepszy w świecie sernik pomarańczowy, gdyby tylko chciał.

David na moment spuścił wzrok. Usta mu drżały. Opanował się jednak i podniósł głowę.

- To, że potrzebował pretekstu, żeby nas dopaść, naprawdę nie ma żadnego znaczenia. To, co mówi, też często nie ma znaczenia, to nonsensy, słowa wypowiedziane pod wpływem chwili. Chociaż zostawia ślady. Zawsze zostawia jakieś ślady. Zdradza się, pokazuje, kim jest naprawdę, jak ci ludzie, którzy widzą różne rzeczy w plamach atramentu.

- Jeśli to nie ma znaczenia, co ma? - spytał Steve.

- Że dopadł nas, a innym ludziom pozwolił odjechać! On wierzy, że wybrał nas przypadkowo, jak małe dziecko, które w supermarkecie wrzuca do koszyka mamy te puszki, które przypadkiem wpadną mu w oczy, ale to nie zdarzyło się w ten sposób.

- Tylko jak z Aniołem Śmierci w Egipcie, prawda? - spytała Cynthia dziwnie bezdzwięcznym głosem. - Ale na odwrót. Nosiliśmy na sobie znak, który naszemu Aniołowi Śmierci, temu Entragianowi, powiedział, że ma nas zatrzymać, dopaść, a innym pozwolić odjechać?

David skinął głową.

- Oczywiście. Wtedy nie wiedział. Teraz wie. *Mi him en tow*, mógłby powiedzieć. Że nasz Bóg jest mocny, że nasz Bóg jest z nami.

- Jeśli w ten sposób objawia się fakt, że mój Bóg jest ze mną, mam nadzieję, że nigdy nie zwrócę na siebie Jego uwagi, gdy jest wkurzony - stwierdził Johnny.

- Teraz Tak pragnie tylko, żebyśmy wyjechali - mówił dalej chłopiec. - I wie, że możemy wyjechać. Z powodu wolnej woli. Wielebny Martin często mówił o wolnej woli. Wielebny Ma... Ma...

- Synku? - zaniepokoił się Ralph. - Synku, co się stało? Nic ci nie jest?

David wzruszył ramionami.

- Nie, nic. To bez znaczenia. Najważniejsze, że Bóg nigdy nie zmusza nas, żebyśmy postąpili zgodnie z Jego wolą. Mówi nam, czego chce, a potem odsuwa się w cień i czeka, co będzie dalej. Żona wielebnego Martina przyszła kiedyś i słuchała, jak mówi o wolnej woli. Powiedziała, że jej matka lubiła powtarzać takie zdanie: "Bóg mówi, bierz, co chcesz... i płąć". Tak otworzył nam drogę z miasteczka, ale nie jest to droga, którą powinniśmy wybrać. Jeśli ją wybierzemy, jeśli opuścimy Desperation, nie wypełniwszy zadania, które nam Bóg przeznaczył, zapłacimy za to cenę.

Jeszcze raz przyjrzał się otaczającym go twarzom i znów ostatnią, tą, na której zatrzymał wzrok, była twarz Johna Marinville'a.

- Ja zostanę niezależnie od okoliczności - dodał jeszcze - ale żeby wypełnić zadanie, musimy pozostać wszyscy. Musimy oddać się Bogu, wypełnić Jego wolę i musimy być gotowi na śmierć. Bo śmierć może spotkać nas wszystkich.

- Jesteś szalony, mój chłopcze - stwierdził Johnny. - Na ogół w moich ustach to komplement, ale tym razem sprawy szły nieco za daleko, nawet dla mnie. Nie dożyłem swych zaawansowanych lat po to, by zostać zastrzelonym na pustyni albo zadziobanym przez ścierwniki. Jeśli zaś chodzi o Boga, dla mnie Bóg umarł w Strefie Zdemilitaryzowanej mniej więcej w sześćdziesiątym dziewiątym. Umarł przy wtórce *Purple Haze* Jimi Hendrixa, granej przez Radio Armii Amerykańskiej.

- Niech pan wysłucha reszty, bardzo proszę. Zrobi pan to dla mnie?

- A powinienem? Dlaczego?

- Bo to dobra historia - odparł David, pociągnął łyk jolt coli i skrzywił się, przelękając. - Bardzo dobra historia. Wysłucha jej pan?

- Przecież ci mówiłem. Godzina opowieści minęła.

David milczał.

W półciężarówce Steve'a zapadła cisza. Steve uważnie przyglądał się Johnny'emu. Gdyby Johnny wykonał choćby najdrobniejszy ruch ku tylnym drzwiom rydera, gdyby choć spróbował je podnieść, miał zamiar rzucić się na niego i przytrzymać. Nie marzył o tym, wiele lat spędził w rygorystycznie hierarchicznym świecie rockowych półgwiazd i półgwiazdek, więc coś takiego sprawiłoby, że czułby się jak Fletcher Christian przy kapitanie Blighu, ale miał zamiar przytrzymać Marinville'a, jeśli będzie do tego zmuszony.

Kiedy Johnny tylko wzruszył ramionami, uśmiechnął się, przysiadł obok Davida i wybrał sobie butelkę jolta, Steve poczuł więc wielką ulgę.

- Doskonale, godzina opowieści zostaje przedłużona. Ale tylko na dzisiejszy wieczór. - Wyciągnął rękę i zmierzył włosy Davida. Niezdarność tego gestu uczyniła go dziwnie wzruszającym. - Wiesz, dobre historie były moją piętą Achillesową praktycznie od chwili, kiedy wyszedłem z kojca. Jedno chcę ci jednak wyjaśnić. Chciałbym, żeby ta historia zakończyła się słowami: "A potem żyli długo i szczęśliwie".

- Nie tylko ty - westchnęła Cynthia.

- Sądzę, że facet, którego spotkałem, powiedział mi wszystko, ale wielu rzeczy nadal nie wiem - wyznał chłopiec. - Niektóre są jakby... zamazane albo po prostu ich nie ma. Może dlatego, że nie potrafiłem ich zrozumieć, może dlatego, że nie chciałem.

- Zrób wszystko, co w twojej mocy - poradził mu Ralph. - To z pewnością wystarczy.

David spojrzął w cienie i zastanowił się - choć Cynthii wydawało się, że raczej coś przywołuje - a potem zaczął mówić.

3

- Billingsley opowiedział nam legendę i jak chyba w większości legend, w niej też prawie wszystko było nieprawdziwe. To nie zawał zamknął Chińską Sztolnię, to po pierwsze. Została zamknięta celowo. I nie zdarzyło się to w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, choć wtedy rzeczywiście sprowadzono pierwszych Chińczyków, lecz we wrześniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. Na dole, kiedy to się zdarzyło, było pięćdziesięciu siedmiu górników, nie czterdziestu, i czterech białych, nie dwóch. A korytarz sięgał na sześćdziesiąt metrów w głąb, nie czterdzieści pięć, jak w opowieści pana Billingsleya. Wyobrażacie sobie? Sześćdziesiąt metrów w łupkach, które mogły zawalić się na nich lada chwila.

David przymknął oczy. Sprawiał wrażenie nieprawdopodobnie wręcz delikatnego, niczym dziecko, które właśnie wyszło z ciężkiej choroby; choroby, której nawrót może nastąpić lada chwila. Nieco z tego wyglądu zawdzięczał być może cienkiej warstwie zielonkawego mydła, nadal pokrywającej jego skórę, Cynthia nie sądziła jednak, by chodziło tylko o to. Nie wątpiła też w jego moc i nie miała najmniejszego problemu z zaakceptowaniem idei, że został dotknięty ręką Boga. Wychowała się w końcu na plebanii, widywała wcześniej podobnych mu ludzi... podobnych, lecz nie takich jak on.

- Dziesięć po pierwszej po południu dwudziestego pierwszego września górnicy na przodku przebili się do czegoś, co początkowo wzięli za jaskinię. Znaleźli tam stos tych kamiennych figurek. Były ich tysiące. Przedstawiały niektóre zwierzęta, niższe zwierzęta, *timoh sen cah*. Wilki, kojoty, węże, pająki, szczury, nietoperze. Strasznie ich to zdumiało. Zachowali się najnaturalniej w świecie, czyli zaczęli je podnosić i oglądać.

- Kiepski pomysł - mruknęła Cynthia.

David skinął głową.

- Bardzo kiepski. Niektórzy oszaleli od razu. Rzucali się na przyjaciół, do diabła, rzucali się na krewnych, by rozszarpać im gardła. Inni, nie tylko ci, którzy stali dalej, w korytarzu, więc nie mieli w rękach *can tah*, lecz i ci, którzy byli blisko i wzięli je, wydawali się zdrowi, przynajmniej na razie. Dwaj z nich byli braćmi, pochodzącymi z Tsing-tao, nazywali się Ch'an Lu-shan i Shih Lu-shan. Obaj zajrzeli przez otwór z korytarza do jaskini, będącej w zasadzie podziemną salą, okrągłą jak dno studni. Ściany zrobione miała z pysków, z tych zwierzęcych pysków. Pysków *can tak* chyba, ale tego nie jestem całkiem pewien. Po jednej stronie znajdowało się coś w rodzaju małego budynekczku, *pirin moh*, przepraszam, ale nie wiem, co to znaczy, a w środku dziura o średnicy jakichś czterech metrów. Dziura jak wielkie oko, albo kolejna studnia. Studnia w studni. Jak te rzeźby, które są w zasadzie zwierzętami z innymi zwierzętami w pyskach, zamiast języków. *Can tak w can tah, can tah w can tak*.

- Albo jak *camera w camera* - wtrącił Johnny. Uniósł przy tym brew, sygnalizując na swój sposób, że żartuje, ale David wziął jego słowa na serio. Skinął głową. Zadrzał.

- Było to miejsce Taka - powiedział. - *Ini*, studnia światów.

- Nie rozumiem - przerwał mu Steve bardzo łagodnie.

David nie zwrócił na niego uwagi, mówił przede wszystkim do Marinville'a.

- Siła zła z *ini*. Wypełnia *can tah* w ten sam sposób, w jaki minerały wypełniają ziemię. Są w każdej jej cząsteczce, jak dym. Salę, o której mówię, wypełniała w ten sam sposób. To nie jest dym, ale może najlepiej myśleć o tym jak o dymie. Działała na górników z różną intensywnością, jak zarazki choroby. Ci, którzy oszaleli od razu, rzucali się na przyjaciół. Ciała innych zaczęły się zmieniać, jak u Audrey na końcu. To u tych, którzy dotknęli *can tah*. Niektórzy chwyтали je garściami, a potem odkładali żeby... no wiecie... rzucać się na innych.

Niektórzy górnicy poszerzali otwór między korytarzem a salą-jaskinią. Inni się przez niego przeciskali. Niektórzy zachowywali się jak pijani, inni tak, jakby dostali konwulsji. Niektórzy biegli do jamy, po czym rzucali się w nią ze śmiechem. Bracia Lu-shan zauważyli mężczyznę i kobietę, jak się pieprzyli. Muszę użyć tego słowa, bo było to całkowite przeciwieństwo kochania się. Trzymali posążek. Trzymali go w zębach.

W korytarzu górnicy rzucali w siebie kamieniami i przepychali się brutalnie, żeby jako pierwsi dotrzeć do jaskini. - David przyjrzał się poważnie słuchaczom. - Tę część widziałem. W pewien sposób było to śmieszne, jak film rysunkowy. I przez to o wiele gorsze. Bo śmieszne. Rozumiecie?

- Oczywiście - powiedział Johnny. - Ja rozumiem to doskonale, Davidzie. Mów dalej.

- Bracia czuli to wokół siebie, to coś, co wydobywało się z jaskini, ale ich jeszcze nie opanowało, wtedy jeszcze nie. Jeden z *can tah* upadł u stóp Ch'ana. Ch'an pochylił się, żeby go podnieść, ale Shih go odepchnął. Wtedy już byli chyba ostatnimi pozornie normalnymi. Większość z tych, na których zło nie podziałało od razu, zginęła i coś, niby wąż z dymu, wydobywało się z tej drugiej studni. Skrzeczało, więc bracia uciekli.

Jeden z białych szedł korytarzem w ich kierunku, jakieś dwadzieścia metrów od nich. W ręce miał rewolwer. "Co to za zamieszanie, żółtki?", spytał.

Cynthia miała wrażenie, że nagle zrobiło się jej zimno. Wyciągnęła dłoń do Steve'a i z ulgą poczuła, że chwytają ją i ściska. David nie naśladował niskiego, szorstkiego głosu nadzorcy, raczej mówił tym głosem zamiast swoim.

- „No, chłopcy, wracać-praca-praca, jeśli nie chcecie dostać kuli w bebechy” - mówił dalej chłopiec. - Tylko, że to ten biały dostał kulę. Ch'an złapał go za szyję, a Shih zabrał mu rewolwer. Przyłożył go tu - David dotknął palcem miękkiego ciała pod szczęką - i odstrzelił mu głowę.

- Davidzie, wiesz może, o czym myśleli? - spytał Marinville. - Czy twój przyjaciel ze snu zdołał zabrać cię aż tak daleko?

- Właściwie to tylko widziałem.

- Te *can tah* musiały jednak jakoś ich dostać - stwierdził Ralph. - Inaczej nie zastrzeliliby białego człowieka. Niezależnie od tego, co się działo, i od tego, jak bardzo chcieli się stamtąd wyrwać.

- Może i tak - przyznał David - ale chyba Bóg był w nich też. Tak, jak teraz jest w nas: Bóg mógł skłonić ich do wykonania swej pracy niezależnie od tego, czy byli *mie em tak*, czy nie. Bo *mi him en tow*, nasz Bóg jest mocny. Rozumiecie?

- Ja chyba tak - odparła Cynthia. - I co się później stało?

- Bracia pobiegli korytarzem, celując z rewolweru nadzorcy do każdego, kto próbował zatrzymać ich lub choćby im przeszkodzić. Niewielu było takich, nawet biali nie zwracali na nich uwagi. Wszyscy biegli w drugą

stronę, ciekawi, co takiego znaleźli górnicy i co się w ogóle dzieje. To ich przyciągało, rozumiecie. Rozumiecie, że ich przyciągało, prawda?

Słuchacze poważnie kiwali głowami.

- Jakies dwadzieścia metrów przed końcem korytarza bracia Lu-shan zatrzymali się i zaczęli pracować nad nawisem. Nie rozmawiali ze sobą, niczego nie uzgadniali, po prostu zobaczyli kilofy i łopaty i zabrali się do roboty.

- Co to takiego ten nawis? - spytał Steve.

- Strop sztolni, a nad nim ziemia - wyjaśnił mu Johnny.

- Pracowali jak szaleńcy - mówił dalej David. - Skała była tak skruszała, że prawie od razu zaczęła się na nich sypać, ale sam strop trzymał. Z dołu dobiegały ich wrzaski, wycia, śmiech... znam słowa na opisanie dźwięków, które słyszałem, ale one nie oddają ich potworności. Niektórzy z tych górników, z tych ludzi, zmieniali się w zwierzęta. Widziałem kiedyś taki film, o doktorze na tropikalnej wyspie, zmieniającym zwierzęta w ludzi...

- "Wyspa doktora Moreau" - odpowiedział Marinville, kiwając głową.

- Te głosy, które słyszałem z przodka kopalni, te, które słyszałem uszami braci Lu-shan, były jak w tym filmie, tylko w drugą stronę. Jakby ludzie zmieniali się w zwierzęta. I pewnie tak się zmieniali. Myślę, że tak właśnie działają *can tah*. Że po to są.

Bracia... widzę ich, dwaj Chińczycy tak do siebie podobni, że mogliby być bliźniakami. Warkoczyki opadają im na nagie, spocone plecy, stoją tam z podniesionymi głowami, tłuką w nawis, strop powinien zwalić się im na głowy po jakichś sześciu uderzeniach, ale się nie zwała, co dwa-trzy uderzenia patrzą w głąb korytarza, by zobaczyć, kto się z niego wyłoni. Co się z niego wyłoni. Kawałki stropu opadały przed nimi, wielkie kawałki. Niektóre trafiały w nich, więc już wkrótce krwawiły im ramiona i głowy, krew spływała im na twarze, na szyje, na piersi. Tymczasem tam, z dołu, słyszeli już i inne dźwięki. Jakby coś ryczało. Jakby coś pluskało. A strop nadal nie chciał się zawalić.

Nagle zobaczyli światła, może świece, może lampy, jakie mieli szefowie zespołów.

- Jakie... - zdziwił się Ralph.

- Lampy naftowe. Jak podpalone pudełka z naftą, które przywiązywało się rafią do czoła. Pod nie wkładało się szmatę, żeby nie poparzyły skóry. Nagle z ciemności wybiegł ktoś... ktoś, kogo znali. Yuan Ti. To był chyba zabawny gość. Robił zwierzątka ze ścinków materiału i urządzał przedstawienia dla dzieci. Yuan Ti oszalał, ale to jeszcze nie wszystko. Był wyższy, o wiele wyższy, biegł chodnikiem prawie zgięty wpół. Rzucił w nich kamieniami, wymyślał im w dialekcie mandaryńskim, przeklinał ich przodków, rozkazywał im skończyć z tym, co robią. Shih zastrzelił go z rewolweru nadzorca. Musiał długo strzelać, nim Yuan Ti upadł wreszcie na ziemię i zgodził się umrzeć. Za nim z wyciem biegli inni żądni krwi. Widzicie, Tak wiedział, o co chodzi braciom.

Chłopiec przyjrzał się im z namysłem, każdemu z osobna. Czy miał nie całkiem przytomne, jakby znajdował się w bardzo płytkim transie, Cynthia nie wyczuwała jednak, by przestał ich widzieć. W pewien sposób była to najstraszniejsza z rzeczy, które się tu działy. David widział ich doskonale... i tak samo widziała ich jakaś siła w nim, siła, którą słyszała czasami, kiedy ujawniała się i wyjaśniała pewne szczegóły opowiadania, które mały mógł nie do końca zrozumieć.

- Shih i Ch'an rzucili się na strop, rąbali go kilofami jak szaleńcy, którymi oczywiście w końcu się stali. Ta część stropu, nad którą pracowali, była już niczym kupała. - David wykonał rękami odpowiedni gest, a Cynthia dostrzegła, że drżą mu palce. - Nie bardzo mogli dosięgnąć go kilofami, więc Shih, starszy brat, wspiął się na

ramiona młodszego i pracował w tej pozycji. Kamienie i ziemia spadały na nich jak deszcz, sięgały Ch'anowi niemal do kolan, a strop nadal się trzymał.

- Czy Bóg nimi zawładnął, Davidzie? - spytał Johnny. W jego głosie nie było już kpiny. - Czy Bóg nimi zawładnął? Jak myślisz?

- Sądzę, że nie. Mam wrażenie, że Bóg nie musi nikim zawładnąć, właśnie dlatego jest Bogiem. Myślę, że chcieli po prostu tego samego, czego chciał Bóg: pogrążyć Taka w głębi ziemi. Zawalić strop między nich samych i jego, jeśli tylko jest to wykonalne.

W każdym razie zobaczyli zbliżające się ku nim płomyki lamp. Słyszeli krzyki ludzi. Tłumu ludzi. Shih dał sobie spokój ze stropem i zaczął walić w szalunek, uderzać w jedną z desek trzonkiem kilofa. Górnicy, którzy biegli w ich kierunku, rzucali w nich kamieniami, często trafiali w Ch'ana, ale on niezamierzanie podtrzymywał brata. Kiedy belka szalunku złamała się, strop wreszcie runął. Ch'ana zasypało po kolana, Shiha tylko odrzuciło, nie odniósł żadnych obrażeń. Wyciągnął brata, posiniaczonego, ale nic więcej. No i znaleźli się po właściwej stronie zawału, co wówczas musiało wydawać się im najważniejsze. Słyszeli krzyki przyjaciół, kuzynów, w przypadku Ch'ana Lu-shana nawet narzeczonej, błagania, żeby ich odkopać. Ch'an zabrał się do tej pracy, ale Shih odciągnął go i zaczął mu wszystko tłumaczyć.

Widzicie, oni wtedy jeszcze byli w stanie myśleć.

Potem ludzie po drugiej stronie zawału zorientowali się, co się stało, więc krzyki o pomoc zmieniły się w nieludzkie wrzaski i wycie. W odgłosy wydawane przez ludzi... ludzi, którzy przestali już być ludźmi. Ch'an i Shih uciekli. Po drodze mijali biegnących w drugą stronę białych i innych Chińczyków. Ci o nic ich właściwie nie pytali, tylko o to, co najważniejsze, czyli co się stało, a ponieważ wydawało się oczywiste, co się stało, bracia nie mieli kłopotów. Tąpnięcie, uwięzieni ludzie. Ostatnią rzeczą, jaką się wówczas przejmowano, było dwóch przerażonych młodych Chińczyków, którym udało się wydostać dosłownie w ostatniej chwili.

David dopił jolt colę i odstawił butelkę.

- Wszystko, co opowiedział nam pan Billingsley - powiedział - to były: prawda, nieporozumienia i oczywiste kłamstwa zmieszane tak, że nie sposób ich rozdzielić.

- Fachowo nazywa się to procesem powstawania legendy - stwierdził Johnny, uśmiechając się niewyraźnym, pełnym napięcia uśmiechem.

- Górnicy i ludzie z miasteczka słyszeli krzyki zasypanych Chińczyków zza zawalonego stropu, ale to nieprawda, że tylko stali i słuchali. Próbowali ich odkopać i próbowali podeprzeć pierwsze dwadzieścia metrów chodnika. Tyle, że nastąpił kolejny, mniejszy zawał, szalunek pękł w kilku miejscach, więc wycofali się i postanowili zaczekać na specjalistów z Reno. Nikt nie zrobił sobie pikniku przy sztolni, to już stuprocentowe kłamstwo. Niemal dokładnie w chwili, gdy inżynierowie dojechali do Desperation, nastąpiły kolejne dwa tąpnięcia, prawdziwe, duże. Pierwsze od strony sztolni, z tej strony zawalonego przez braci Lu-shanów stropu, po której się oni znaleźli; dwadzieścia wolnych metrów korytarza zakorkowanych zostało jak butelka. Huk spowodowany tysiącami ton spadających skał i ziemi wywołał kolejny zawał, tym razem głębiej. Wówczas krzyki ucichły, przynajmniej te dobiegające z mniejszej głębokości, te, które ludzie słyszeli przedtem. Wszystko skończyło się, nim inżynierowie przyjechali na miejsce wozem do transportu rudy. Rozejrzeli się, wysondowali grunt w kilku miejscach, wysłuchali, co się stało, a kiedy usłyszeli o drugim tąpnięciu, od którego świat zdrzął jak przy trzęsieniu ziemi, aż spłoszyły się konie, potrzęsnęły tylko głowami i stwierdzili, że tam, na dole, nie ma już

kogo ratować. A nawet jeśli ktoś został, akcja ratunkowa mogłaby kosztować więcej ofiar, niż można spodziewać się uratowanych.

- A poza tym byli to przecież tylko Chińczycy - wtrącił Steve.

- Oczywiście. Mali bla-bla Chińczycy, pod tym względem pan Billingsley nie minął się z prawdą. W każdym razie przez cały ten czas dwaj mali Chińczycy, którym udało się uciec, siedzieli na pustyni koło Rose Rock, powoli pograżając się w szaleństwie. Bo widzicie, to ich w końcu dopadło. Dogoniło. Do Desperation wrócili nie po trzech dniach, lecz po prawie dwóch tygodniach. Ale rzeczywiście wkroczyli wprost do "Lady Day". Widzicie teraz, jak prawda pomieszała się z kłamstwem? Nikogo nie zabili. Shih wymachiwał rewolwerem, w którym nie było naboju. Gromada górników i kowbojów strzelała do nich jak do kaczek. Byli nadzy z wyjątkiem przepasek na biodrach, cali zakrwawieni. Zgromadzeni w "Lady Day" ludzie nie wątpili, że to krew mnóstwa ich ofiar, ale nie mieli racji. Bracia siedzieli na pustyni, przywoływali do siebie zwierzęta, dokładnie tak, jak Tak przywołał pumę, którą pan zastrzelił, panie Marinville. Tylko że im nie chodziło o nic takiego jak z pumą. Byli głodni. Jedli cokolwiek wpadło im w ręce: nietoperze, ścierwniki, pająki, grzechotniki.

David podniósł drżącą rękę do twarzy i dokładnie wytarł najpierw jedno oko, potem drugie.

- Bardzo żał mi braci Lu-shan - wyznał. - I nawet czuję się tak, jakbym ich trochę znał. Rozumiem, co musieli czuć. W jakiś sposób z pewnością byli wdzięczni losowi, kiedy wreszcie całkiem pograżyli się w szaleństwie i już nie musieli myśleć.

Chyba mogli pozostać tam, u stóp gór Desatoya praktycznie na zawsze, ale Tak miał tylko ich, a jest wiecznie głodny. Posłał ich do miasta, bo nic innego nie mógł zrobić. Shih zginął na miejscu, w "Lady Day", Ch'ana powieszono dwa dni później, dokładnie tam, gdzie stały na ulicy te trzy rowery... pamiętacie je? Wrzeszczał w języku Taka, języku nieuformowanych, wrzeszczał w nim aż do końca. Zerwał kaptur, więc powiesili go z gołą głową.

- Rany, ten twój Bóg, co z niego za facet! - stwierdził radośnie Marinville. - Doskonale wie, jak odplącić ludziom za przysługę, nie?

- Bóg jest okrutny - powiedział chłopiec tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

- Co? Mówiłeś coś?

- Pan wie co. Życie to jednak coś więcej niż tylko ucieczka przed bólem. To też pan kiedyś wiedział, prawda, panie Marinville? Prawda?

Johnny zapatrzył się w kąt budy półciężarówki Steve'a. Milczał.

4

Mary najpierw poczuła zapach - słodkawy, zgniły, mdlący. Och, Peter, niech to cholera - pomyślała niezbyt przytomnie. - Zamrażarka! Szlag trafił zamrażarkę.

Tylko że coś się tu nie zgadzało, zamrażarka popsuka się podczas ich podróży na Majorckę, a na Majorce byli bardzo dawno temu, przed poronieniem. Od tego czasu wiele się zdarzyło. Wiele zdarzyło się całkiem niedawno i nie były to zdarzenia przyjemne.

Tylko... co się właściwie zdarzyło?

W środkowej Nevadzie mieszka mnóstwo ludzi o... zdecydowanych poglądach.

Kto to powiedział? Marielle? Z pewnością brzmiało to jak słowa Marielle. Nie ma znaczenia kto, jak długo mówił prawdę. A mówił prawdę, nie?

Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Najbardziej pragnęła zapaść się z powrotem w tę ciemność, z której jakaś jej część chciała się wydostać. Bo tu były głosy

(co za cholerna banda)

i dźwięki

(skrzyp, skrzyp, skrzyp)

nad którymi wolałyby nie musieć się zastanawiać. Lepiej leżeć tylko i...

Coś przebiegło jej po twarzy, coś jednocześnie lekkiego i włochatego. Usiadła, dłońmi złapała się za policzki. Głowę przeszył jej straszny ból, jaskrawe plamki światła zatańczyły pod powiekami w rytm nagle bijącego szybciej serca... i przeszłość ukazała się jej niczym w błysku światła tak jasnego, że jego blasku pozazdrościłby jej nawet John Marinville.

Zraniłam się w złamane ramię, stawiając drugą skrzynkę.

Sekundkę, zaraz będziesz w środku.

A potem złapała ją. Ellen ją złapała. Nie, ta istota

(Tak)

która nałożyła Ellen na siebie. Ta istota dała jej w pysk i *bam, bam*, zgasło światło.

I - w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa - światło nadal było zgaszone. Mary zamruwała kilkakrotnie, szybko, tylko po to, by przekonać samą siebie, że oczy ma otwarte.

Och, są otwarte. Oczywiście, że są otwarte. Może po prostu jest tu bardzo ciemno... a może jesteś ślepa? Popatrz tylko, jaka miła perspektywa, prawda, Mare? Może uderzyła cię wystarczająco mocno, żeby cię oślepić i...

Coś maszerowało jej po grzbiecie dłoni. Dobiegło mniej więcej do połowy i zatrzymało się, drapiąc ją w skórę. Mary sieknęła głucho z obrzydzenia i histerycznie machnęła ręką jak matka odpędzająca od siebie uprzykrzone dziecko. Drapanie ustało, a to, co siedziało jej na dłoni, zniknęło. Mary zerwała się na równe nogi, przywołując kolejne paralizujące ciosy bólu, ale prawie kompletnie go zlekceważyła. Miała współlokatorów, czym jest przy tym zwykły ból głowy?

Obróciła się powoli, wdychając zgnięsłodki zapach, tak podobny do zapachu, który powitał ją i Pete'a, kiedy wrócili z miniwyprawy na Baleary. Ta podróż była prezentem pod choinkę od rodziców Pete'a w rok po ślubie. Wspaniale się bawili, póki nie weszli do domu z walizkami w rękach. Ten zapach uderzył ich jak pięść. Stracili wszystko: dwa kurczaki, żeberka i polędwicę kupioną u bardzo taniego rzeźnika, którego znalazła w Brooklynie, steki z dziczyzny (prezent od najlepszego przyjaciela Petera, Dona), truskawki, które zbierali w lecie, podczas pobytu w schronisku, w górach Mohonk. Zapach... pachniało identycznie...

Coś wielkości orzecha włoskiego spadło jej na głowę. Wrzasnęła i zaczęła bić to coś otwartą dłonią. Nic jej z tego nie przyszło, więc wsunęła palce we włosy i chwyciła to coś, co najpierw wiło się, a potem pękło pod palcami. Wydłubała wilgotne, płaskie ciało i wyrzuciła je. Usłyszała, jak trafia w coś z mokrym *plam*. Dłoń zaczęła ją swędzieć i zrobiła się gorąca niczym po wsadzeniu w trujący bluszcz. Wytarła ją o nogawkę dzinsów.

Boże, nie pozwól, żebym była następna. Cokolwiek się stanie, nie pozwól, żebym skończyła jak ten gliniarz. Jak Ellen.

Udało się jej powstrzymać pokusę panicznej ucieczki w ciemność. Gdyby popadła w panikę, zapewne rozbiłaby sobie głowę, wypatroszyła się lub nadziała na którąś z używanych w kopalni maszyn; skończyłaby jak

statysta w tanim horrorze. Tyle że nie to wydawało się jej najgorsze. Najgorsze, że poza lokatorami mógł znajdować się tu jeszcze ktoś, ktoś czyhający tylko na to, by wpadła w panikę i spróbowała ucieczki.

Czekała z wyciągniętymi ramionami.

Nagle poczuła - może wyobraziła sobie, ale nie sądziła, by była to tylko wyobraźnia - ruch. Coś poruszało się dookoła niej. Cicho. Szelest z lewej. Szmer z prawej. Za jej plecami rozległo się drapanie... i umilkło, nim krzyknęła.

To przecież nie świadczy o niczyjej obecności - powiedziała sobie. - A przynajmniej nie przypuszczam, by świadczyło. Przypuszczam, że to biegacz stepowy trafił na metal i poślizgnął się. Sądzę, że jestem gdzieś w małym budynku. Zamknęła mnie w małym budynku, żebym nie uciekła, lodówka wysiadła, przecież nie ma światła, i to, co było w lodówce, zaczęło się psuć.

Lecz... jeśli Ellen była Entragianem w nowym ciele, dlaczego on/ona nie wsadził jej po prostu do celi, od której wszystko przecież praktycznie się zaczęło? Ponieważ on/ona obawiał się, że inni ją znajdą i uwolnią? Była to możliwość równie prawdopodobna jak wszystkie inne, które przemknęły jej przez głowę, a poza tym zawierała w sobie ziarenko nadziei. Chwyciwszy się tej nadziei, Mary powoli ruszyła przed siebie z wyciągniętymi rękami.

Miała wrażenie, że idzie w ten sposób bardzo długo, całe lata. Spodziewała się, że lada chwila coś ją dotknie i wreszcie rzeczywiście dotknie. Prześlizgnęło się jej po bucie. Mary zamarła. To coś zeszło z buta i zajęło się własnymi sprawami, lecz potem nastąpiło wydarzenie znacznie gorsze. Przed nią, nieco z lewej, rozległo się suche grzechotanie. Według jej wiedzy, tylko jedna istota na świecie potrafiła grzechotać w ten sposób. Dźwięk ten nie ucichł, lecz raczej zamarł, jak śpiew cykady w gorące sierpniowe popołudnie. Powrócił za to cichy zgrzyt i tym razem Mary była już całkiem pewna, że to biegacz stepowy ślizgający się po metalu. Była w baraku kopalni, być może w tym, w którym Steve i ta dziewczyna o niesamowitych włosach znaleźli kamienną figurkę, która tak strasznie ich wystraszyła.

Ruszaj się.

Nie mogę. Jest tu grzechotnik. Być może nie jeden. Prawdopodobnie niejeden.

I pewnie coś więcej niż nie tylko jeden grzechotnik. Lepiej rusz się, Mary.

Ręka pulsowała jej bólem pochodzącym od rozgniecionego we włosach stworzenia. W uszach czuła uderzenia tętna. Najwolniej, jak to tylko możliwe, ruszyła przed siebie z wyciągniętymi rękami. Przed oczami wyobraźni przesuwają jej się straszne rzeczy. Widziała węża grubego jak ramię zwisającego tuż przed nią z belek sufitu, z wystawionymi zębami jadowymi i tańczącym rozwidlonym językiem. Wpadnie na niego, nie będzie go widziała, póki wąż nie zaatakuje, nie plunie jej jadem w oczy. Widziała prywatnego potwora swego dzieciństwa, straszdyło z jakiegoś powodu ochrzczone Jabłkowym Jackiem, skulone w kucki gdzieś w rogu, ze ściągniętą brązową jabłkową twarzą, uśmiechnięte, czekające, aż wpadnie mu w zabójcze objęcia; ostatnią rzeczą, którą poczuje, będzie zapach zgniłych jabłek, a on zadusi ją na śmierć, pokrywając jej twarz mokrymi całusami dobrego wujka. Widziała pumę, taką jak ta, która zabiła Toma Billingsleya, skuloną, z drżącym koniuszkiem ogona. Widziała Ellen z hakiem w dłoni, uśmiechającą się pełnym nadziei uśmiechem bardzo przypominającym hak, czekającą nieruchomo, aż ona znajdzie się w jej zasięgu.

Przede wszystkim jednak widziała węże.

Grzechotniki.

Dotknęła czegoś czubkami palców. Westchnęła, jej mięśnie napięły się, lecz był to tylko odruch; to, czego dotknęła, było twarde i z całą pewnością nieożywione. Prosta linia na wysokości talii. Stół? Pokryty ceratą?

Wydawało jej się, że owszem, tak. Przesunęła po nim palcami i całą siłą woli zmusiła się, by znieruchomieć, bo takie biegające coś znów jej dotknęło. Wspięło się na grzbiet dłoni i pobiegło w stronę przegubu; był to niewątpliwie jakiś pająk. Zszedł z ręki. Przesunęła dłonią nieco dalej i palcami trafiła na coś innego, coś z gatunku, który Audrey Wyler nazywała "dzikimi zwierzątkami". Nie pająk. Istota ta, czymkolwiek była, miała pazury i była twarda.

Mary wyteżyła nadwątloną nieco wolę i znieruchomiła, nie potrafiła jednak stłumić cichego, rozpaczliwego jęku. Pot ciekł jej po czole i policzkach niczym ciepły olej silnikowy, ściekał do oczu, drażnił je. Nagle to siedzące na jej ręce coś ścisnęło ją obszcenicznie i zniknęło. Słyszała, jak idzie po stole, postukując cicho.

Znów poruszyła dłonią, nie zwracając uwagi na głos w głowie szepczący, że musi ją cofnąć. Bo jeśli ją cofnie, co wtedy? Będzie tak stała w ciemności, drżąc na całym ciele, póki dobiegające z mroku tajemnicze dźwięki nie doprowadzą jej do szaleństwa, dopóki nie zacznie biegać w kółko, uderzy w coś głową i znów straci przytomność?

Dotknęła talerza... nie, wazy... pełnej czegoś. Zgęstniała zupa? Nieco dalej namacała łyżkę. A więc tak, zupa. Za wazą zupy trafiła na zestaw solniczki z pieprzniczką, a dalej na coś miękkiego, obwisłego. Nagle przypomniała sobie grę, w którą grali w Mamaroneck na całonocnych zabawach, kiedy była jeszcze dziewczynką. W grę tę należało grać w całkowitej ciemności. Podawało się sąsiadowi spaghetti, intonując: "Oto flaki trupa". Podawało się galaretkę, intonując: "Oto mózg trupa".

Uderzyła dłonią w coś twardego, okrągłego. To coś spadło z grzechotem, który rozpoznała natychmiast... a przynajmniej miała nadzieję, że rozpoznała.

Baterie w latarce.

Proszę, Boże - pomyślała, szukając w ciemności tego czegoś, co uznała za latarkę. Proszę, Boże, niech będzie to coś, czego szukam.

Z zewnątrz znów doleciał ją znajomy pisk, teraz jednak prawie nie zwróciła nań uwagi. Dłonią dotknęła zimnego kawałka mięsa

(oto twarz trupa)

i zupełnie go zignorowała. Serce biło jej w piersi, w gardle, nawet w zatokach.

Nareszcie. Nareszcie!

Zimny, gładki metal. Omal się jej nie wyslizgnął, ale złapała go mocno, bardzo mocno. Owszem, latarka, włącznik czuła pasemkiem ciała między kciukiem a palcem wskazującym.

Boże, błagam cię, niech działa. Niech działa!

Przycisnęła włącznik. Światło trysnęło rozszerzającym się stożkiem i jej mocno bijące serce stanęło na chwilę.

Wszystko stanęło na chwilę.

Stół był długi. Z jednej strony stał na nim sprzęt laboratoryjny i leżały próbki skał, z drugiej przykrywała go kraciasta cerata. Ta część stołu zastawiona została do kolacji; była tu i waza na zupę, i półmisek, i sztucce, i karafka z wodą. Do karafki wpadł pająk; nie mogąc się z niej wydostać, wił się i bezradnie wymachiwał nóżkami, przy gwałtowniejszych ruchach ukazując na odwłoku czerwony kształt klepsydry. Inne pająki, w większości także czarne wdowy, maszerowały po stole w poczuciu własnej ważności. Pomiedzy nimi kręciły się skorpiony z żądlami położonymi na grzbietach, ruchliwe niczym parlamentarzyści.

Przy końcu stołu siedział okazały, łysy mężczyzna w podkoszulku Diabolo Mining Company. Zabito go, przystawiwszy pistolet do gardła. To, co Mary namacała w wazie na zupe, to czego dotknęła palcami, nie było zupą, lecz jego stężoną krwią.

Jej serce powróciło do życia, krew wbiła się w jej mózg niczym tłok i całkiem niespodziewanie żółty promień światła latarki nabrał barw drżącej czerwieni. W uszach usłyszała wysoki, słodki ton.

Nie wolno ci zemdleć, nie wolno ci zemdleć...

Światło latarki przesunęło się w lewo. W kącie, pod plakatem głoszącym. ŚWIETNIE, ZAKAŹCIE DZIAŁALNOŚCI KOPALŃ, NIECH SUKINSYNY ZAMARZĄ W CIEMNOŚCI! dostrzegła gniazdo grzechotników. Przesunęła promień światła wzdłuż ściany, pomijając skupiska czarnych wdów (a niektóre z nich były rozmiaru jej dłoni); w drugim rogu znajdowało się kolejne gniazdo węży. Ich dzienna senność już minęła, wiły się, układając w półszytki, koniczynki, podwójne romby, od czasu do czasu potrząsając ogonami.

Nie zemdlej, nie zemdlej, nie zemdlej, nie wolno ci zemdleć...

Obróciła się, omiatając wnętrze światłem latarki, i kiedy światło to padło na trzy inne ciała, dotrzymujące jej towarzystwa, natychmiast zrozumiała kilka rzeczy. Fakt, że odkryła źródło zapachu zgnilizny, był z nich najmniej ważny.

Spozyciwające pod ścianą ciała w zaawansowanym stadium rozkładu aż roily się od robactwa, nie zostały tu jednak po prostu rzucone. Ułożono je porządnie, być może nawet z rozmysłem. Czarne, spuchnięte dłonie splecione miały porządnie na piersiach. Leżący pośrodku mężczyzna zapewne za życia był czarny - pomyślała, choć teraz trudno było określić to na pewno. Nie знаła ani jego, ani tego po prawej, lecz tego złożonego po lewej stronie od ciała Murzyna miała okazję poznać, co stwierdziła mimo robaków i daleko posuniętego rozkładu. W uszach zadźwięczał jej jego głos, mówiący "zabiję was" podczas odczytywania im praw przysługujących zatrzymanym.

Widziała, jak z ust Colliego Entragiana wybiega pająk.

Gdy jeszcze raz przesuwiała światłem latarki po zwłokach, ręka się jej trzęsła. Trzech mężczyzn. Trzech potężnych mężczyzn, żaden z nich nie miał mniej niż dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu.

Już wiem, dlaczego jestem tutaj, a nie w areszcie - pomyślała. - I wiem, dlaczego mnie nie zabiła. Jestem następna w kolejce. Kiedy Ellen się skończy... jestem następna.

I Mary zaczęła krzyżeć.

5

Sala *an tak* oświetlona była słabym czerwonym światłem; sprawiało to wrażenie, że świeci się samo powietrze. Stwór w ogólnych zarysach nadal przypominający Ellen Carver przeszedł przez nią w otoczeniu skorpionów i pajaków. Z góry i z boków spoglądały na niego kamienne twarze *can tak*. Po przeciwnej stronie sali znajdowała się *pirin moh*, pionowa ścianka wyglądająca trochę jak fasada meksykańskiej hacjendy. Przed sobą stwór miał jamę - *ini*, studnię światów. Być może światło pochodziło z niej, lecz nie sposób było powiedzieć tego z całą pewnością. Na krawędzi *ini* siedziały w kręgu kojoty i ścierwniki. Od czasu do czasu któryś z ptaków muskał sobie pióra dziobem, od czasu do czasu któryś z kojotów zastrzygł uchem; gdyby nie to, mogłyby uchodzić za kamienne figury.

Ciało Ellen szło powoli, głowa Ellen zwisała bezwładnie. W głębi brzucha Ellen pulsował ból. Po udach Ellen krew ciekła cienkim, nieprzerwanym strumieniem. Stwór wsadził w majtki Ellen podarty podkoszulek i to na pewien czas pomogło, lecz teraz już bluzka była całkiem przemoczona. Miał pecha, po prostu miał pecha, i to nie po raz pierwszy. Pierwszy miał raka prostaty, jeszcze nie rozpoznanego; tam się zaczął rozkład i rozszerzył na całe ciało z tak nieoczekiwaną szybkością, że stwór wyłącznie szczęściu mógł przypisać fakt, że zdążył na czas przeskoczyć w Josephsona. Josephson przetrwał nieco dłużej, Entragian zaś - okaz niemal doskonały - dłużej nawet niż Josephson. A Ellen? Ellen miała grzybicę. Grzybicę, nic szczególnego, nic niezwykłego, ale i grzybica wystarczyła, by wywołać efekt domina i...

Cóż, była jeszcze Mary. Stwór nie śmiał jednak jeszcze jej wykorzystać, nie śmiał jej wykorzystać, dopóki nie zorientuje się, co z resztą. Jeśli wygra pisarz i oni wszyscy ruszą w drogę, wskoczy w Mary, zabierze jeden z samochodów terenowych, załadowany *can takami* po granice pojemności i ruszy w góry. Wiedział nawet dokąd - do wegetariańskiej komuny w Desatoya.

Kiedy *Tak* pojawi się wśród nich, niedługo pozostaną wegetarianami.

Jeśli wygra ten wstrętny Bożychłopczyk i pojedą na południe, Mary posłuży jako przynęta bądź jako zakładnik. Nie mogłaby jednak posłużyć do niczego, gdyby Bożychłopczyk odkrył, że Mary nie jest już człowiekiem.

Stwór usiadł na brzegu *ini* i zapatrzył się w jej głębię.

Studnia miała kształt odwróconego stożka; jej nie wygładzone ściany zbiegały się, aż - jakieś dziewięć do dziesięciu metrów od powierzchni - czterometrowy otwór kurczył się do zaledwie dwóch centymetrów. Stamtąd pulsowało i biło w powietrze złowrogie szkarłatne światło, niemal zbyt jaskrawe, by na nie patrzeć.

To była dziura jak oko.

Jeden ze ścierwników próbował położyć łeb na kolanach Ellen; odepchnęła go. Stwór miał nadzieję, że spojrzenie w głąb *ini* przyniesie ulgę, pomoże zdecydować, co robić dalej (tak naprawdę bowiem żył w *ini*, Ellen Carver była tylko jego daleko wysuniętym posterunkiem), lecz najwyraźniej zwiększyło to tylko jego niepokój.

Wyglądało na to, że sprawy mogą potoczyć się bardzo, bardzo źle. Spojrzawszy wstecz, stwór uznał, że być może od początku działała przeciw niemu jakaś inna siła.

Bał się chłopca, zwłaszcza teraz, kiedy był tak słaby. Przede wszystkim jednak bał się, że znów zostanie zamknięty w głębi wąskiego gardła *ini* jak dzin w butelce. Ale to nie musiało przecież nastąpić. Nawet jeśli chłopiec ich tu sprowadzi, nic takiego nie musi się zdarzyć. Inni będą osłabieni wątpliwościami, chłopiec zaś będzie osłabiony swymi ludzkimi słabościami, przede wszystkim troską o matkę. Jeśli umrze, stwór zdoła zamknąć drzwi wejściowe, zamknąć je z trzaskiem, a potem zabierze się do reszty. Pisarz i ojciec chłopca muszą umrzeć, lecz dwójkę młodszych spróbuje oszołomić i zatrzymać. Później może oczywiście potrzebować ich ciała.

Pochylił się do przodu, nie zważając na krew płynącą po udach Ellen, jak nie zważał na zęby wypadające ze szczęki Ellen ani na trzy palce Ellen, które praktycznie eksplodowały, kiedy uderzył Mary. Patrzył w głąb studni, na małe czerwone oko na jej dnie.

Oko Taka.

Chłopiec może umrzeć.

Jest przecież w końcu tylko chłopcem. Nie demonem, nie Bogiem, nie zbawcą.

Stwór jeszcze niżej pochylił się nad studnią, ku jej zbiegającym się w dole ścianom, ku jej mrocznemu czerwonemu światłu. Słyszał teraz dźwięk, bardzo słaby, rodzaj atonalnego pomruku. Był to dźwięk idiotyczny,

lecz także cudowny, pociągający. Zamknął ukradzione człowiekowi oczy i westchnął głęboko, wdychając siłę, którą odczuwał, próbując wessać jej w siebie jak najwięcej, pragnąc spowolnić, przynajmniej tymczasowo, degenerację swego ciała. Będzie potrzebował Ellen jeszcze przez jakiś czas. A poza tym poczuł wreszcie pokój *ini*.

Nareszcie.

- *Tak* - szepnął w ciemność. - *Tak en tow ini, tak ah lah, tak ah won.*

Zapadła cisza. Z głębi studni, z głębi jej pomrukującej czerwonej ciszy, rozległ się lepki szelest czegoś ślizgającego się po kamieniach.

Rozdział 2

1

- Człowiek, który mi to wszystko pokazał, mężczyzna, który był moim przewodnikiem, kazał mi wytłumaczyć wam, że nie ma to nic wspólnego z przeznaczeniem - powiedział David. Siedział z opuszczoną głową, obejmując kolana rękami. Mogło się zdawać, że przemawia do własnych tramppek. - W pewien sposób to właśnie jest najstraszniejsze. Słodczyk nie żyje, pan Billingsley nie żyje, nie żyje nikt w Desperation, a wszystko przez to, że jeden człowiek nienawidził Organizacji Ochrony i Bezpieczeństwa Górnictwa, a drugi cechował się niepoahamowaną ciekawością oraz nienawidził siedzieć za biurkiem. Tylko tyle.

- Bóg powiedział ci to wszystko? - zainteresował się Johnny.

David skinął głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Tak więc mówimy tu o miniserialu - stwierdził Marinville. - Odcinek pierwszy to bracia Lu-shan. Odcinek drugi to Josephson, szalony recepcjonista. ABC pokochałoby ten pomysł.

- Nie mógłbyś się przypadkiem zamknąć? - spytała cicho Cynthia.

- Oto kolejny dowód mądrości ludu! - krzyknął Johnny. - Ta młoda kobieta, niezmordowana wędrowniczka o zdecydowanych poglądach, ten lśniący płomień kobiecego poświęcenia, wyjaśni teraz za pomocą zdjęć, przy nagranych akompaniamentach znanego zespołu rockowego Pear Jam...

- Stul pysk i siedź cicho - przerwał mu Steve. Johnny spojrzał na niego, zszokowany do tego stopnia, że rzeczywiście stulił pysk i siedział cicho. Steve, zażenowany, wzruszył ramionami, ale ani myślał przeprosić. - Czas gwizdania pod murem cmentarza minął - powiedział tylko. - Daj spokój tym bzdurom.

I spojrzał na Davida.

- O tym wiem więcej - wyznał chłopiec. - Nawet więcej, niżbym chciał. Byłem w tym człowieku. Byłem w jego głowie. - Przerwał na chwilę. - Nazywał się Ripton - dodał jeszcze. - Ripton. To on był pierwszy.

Obejmując dłońmi kolana, wpatrując się w swoje buty, zaczął kolejną opowieść.

2

Człowiekiem, który nienawidził OOiBG był Cary Ripton, szef nowego Grzechotnika. Miał czterdzieści osiem lat, wpadnięte oczy, łysiał, był cyniczny i ostatnio prawie bez przerwy cierpiał. W swoim czasie marzył o tym, by zostać inżynierem-górnikiem, nie poradził sobie jednak z matematyką i wylądował tu jako kierownik kopalni odkrywkowej. Ładował ANFO do otworów strzelniczych i całym wysiłkiem woli powstrzymywał się przed uduszeniem pewnego siebie małego pedała z OOiBG odwiedzającego ich regularnie we wtorkowe popołudnia.

Kiedy Kirk Tumer wbiegł tego popołudnia do jego biura na terenie kopalni z twarzą płonąca podnieceniem oraz z informacją, że ostatni odstrzał otworzył starą sztolnię, że są tam kości, że widać je wyraźnie, pierwszym odruchem Riptona było nakazanie mu zebrania ochotników, którzy weszliby do środka. Potem w głowie roić mu się zaczęły dziwne myśli. Był oczywiście za stary, by wierzyć w dziecięce fantazje o zapomnianych żyłach

złota i stosach indiańskich cudów, o wiele za stary, lecz kiedy biegł za Tumerem, myślał właśnie o tym, o tak, oczywiście o tym.

Pod ścianą po ostatnim odstrzale, przyglądając się odsłoniętej dziurze chodnika, stała niewielka grupa mężczyzn. Wliczając w to Turnera, sztygara, było ich dokładnie siedmiu. W Korporacji Górniczej Desperation pracowało ostatnio niespełna dziewięćdziesiąt osób. W przyszłym roku, gdyby dopisało im szczęście - gdyby złoża nie zostało doszczętnie wyeksploatowane i gdyby nie spadły ceny - mogłoby ich być czterokrotnie więcej.

Ripton i Tumer podeszli do otworu sztolni. Bił z niej duszący, dziwny zapach, który Riptonowi kojarzył się z gazem w kopalniach węgla w Kentucky i Wirginii Zachodniej. Rzeczywiście, kości nie dało się przeoczyć. Widział je, rozrzucone po schodzącej w dół, staroświeckiej, ciemnej, prostokątnej w przekroju sztolni, i choć niemożliwe było określenie pochodzenia wszystkich, widział żebra niemal na pewno ludzkie. Nieco dalej, kusząco blisko, a zarazem wystarczająco daleko, by nie sposób było oświetlić jej nawet najmocniejszą latarką, leżała czaszka, również zapewne ludzka.

“Co to takiego? - spytał go Turner. - Masz może jakiś pomysł?”

Oczywiście wiedział, co to takiego - Grzechotnik Numer Jeden, stara Chińska Sztolnia. Już prawie otworzył usta, żeby to powiedzieć, lecz pomyślał chwilę i nic nie powiedział. Nie była to sprawa na głowę pirotechnika typu Kirka Turnera, a już zwłaszcza nie na głowy jego ludzi, nitroglicerynowców spędzających weekendy w Ely na pokerku, picciu, dziewczynach i, oczywiście, gadaniu. Gadaniu o wszystkim i o niczym. Nie mógł także zabrać ich do sztolni. Był przekonany, że weszliby w stary chodnik, powodowani ciekawością zlekceważyliby oczywiste ryzyko (sztolnia tak stara, wybita w gruncie tak niepewnym, Jezu, wystarczyłoby pewnie jedno głośniejsze słowo, żeby strop się zawalił), ale plotki dotarłyby do pedałowatego waźniaka z OOIBG z szybkością światła, a kiedy by już dotarły, utrata pracy byłaby najmniejszym ze zmartwień pana Riptona. Pedal (wielki kapelusz siedzący na niczym - jak określił go Frank Geller, główny inżynier) lubił go mniej więcej tak, jak on lubił jego. Nadzorca robót, dziś prowadzący ekspedycję w głąb starego chińskiego chodnika, w ciągu dwóch tygodni znalazłby się zapewne przed sądem federalnym i został przez ten sąd skazany na pięćdziesiąt tysięcy dolarów grzywny być może z dodatkiem pięciu lat więzienia. Co najmniej pięć wypisanych czerwonym atramentem paragrafów zakazuje wchodzenia w “miejsca niebezpieczne i niedostatecznie zabezpieczone”... czyli to, co mieli przed sobą.

A jednak stare marzenia i te kości wołały go niczym rozpaczliwe głosy z dzieciństwa, niczym duchy wszystkich nie spełnionych marzeń i nie zrealizowanych ambicji, toteż Ripton wiedział od razu, że Chińskiej Sztolni nie odda posłusznie firmie i rządowym fiutom, że zajrzy do niej choćby raz.

Poinstruował Turnera, gorzko rozczarowanego, lecz nie próbującego się z nim spierać (on też znał przepisy OOIBG, być może jako facet od materiałów wybuchowych rozumiał je nawet lepiej niż Ripton), by wlot sztolni odgrodzić żółtą taśmą z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Potem wygłosił przemówienie do reszty obecnych. Uświadomił im, że odkryty właśnie stary tunel, mogący być skarbnicą wiedzy historycznej i rajem dla archeologów, znajduje się na terenie stanowiącym własność Korporacji Górniczej Desperation.

“Nie spodziewam się, byście w ogóle o tym nie rozmawiali - powiedział - ale proszę jak o osobistą przysługę, byście trzymali gęby na kłódkę przez najbliższe parę dni. Nie mówcie nic nawet żonom. Pozwólcie, że najpierw zawiadomię szefostwo. Przynajmniej to powinno być łatwe. Symes, księgowy firmy, przyjeżdża z Phoenix w przyszłym tygodniu. Zrobicie to dla mnie?”

Obiecali, że zrobią. Nie wszyscy mieli oczywiście dotrzymać słowa nawet przez dwadzieścia cztery

godziny, niektórzy mężczyźni po prostu nie potrafią powstrzymać się od gadania, ale Ripton miał nadzieję, że cieszy się wśród nich szacunkiem wystarczającym, by załatwić sobie dwanaście godzin, a przecież mogły mu wystarczyć i cztery. Cztery godziny po fajrancie. Cztery godziny sam w tunelu, z latarką, aparatem fotograficznym i elektrycznym wózkiem na te pamiątki, które będzie miał ochotę zabrać. Cztery godziny sam na sam z marzeniami dzieciństwa, na które teraz już jest, oczywiście, za stary. A jeśli strop wybierze sobie akurat ten moment, by po niemal stu czterdziestu latach i niezliczonej liczbie wybuchów wstrząsających skalą dookoła niego zawalić mu się na głowę? Doskonale, niech się zawala. Ripton był człowiekiem samotnym, nie miał żony ani dzieci, nie miał rodziców, a obaj bracia zapomnieli już, że żyje. Miał za to niepokojące przecucie, że nawet w przypadku zawału nie straci tak znowu wielu lat życia. Od pół roku czuł się fatalnie, a ostatnio zaczął nawet sikać krwią. Jak na razie niewiele jej było, ale nawet niewiele krwi wygląda jak bardzo wiele, kiedy widzi się ją na dnie sedesu.

Jeśli wyjdę z tego cały, może pójść do lekarza - obiecał sobie. - Potraktuję to jako znak, że powinienem pójść do lekarza. Jak ci się to podoba?

Przed wyjściem z pracy Turner chciał jeszcze zrobić parę zdjęć korytarza. Ripton mu na to pozwolił w przekonaniu, że to najprostszy sposób, żeby się go pozbyć.

“Jak myślisz, jak głęboko sięgnęliśmy?” - spytał Turner, stojąc nieco ponad pół metra za zaklejonym żółtą taśmą wnętrzem i raz za razem pstrykając nikonem; jego zdjęcia, zrobione bez lampy błyskowej, nie mogły ukazać niczego poza czarną dziurą i kilkoma rozrzuconymi kośćmi, równie dobrze jelenimi.

“Nie sposób powiedzieć” - odparł Ripton, robiąc w pamięci spis ekwipunku, który będzie mu potrzebny na wyprawę.

“Nie popełnisz żadnego cholernego głupstwa, kiedy zostaniesz sam?” - upewnił się Turner.

“Żadnego - obiecał mu Ripton. - Zbyt wielkim szacunkiem darzę OOIBG, by myśleć o czymś takim w ogóle powstała mi w głowie”.

“Och, oczywiście!” - roześmiał się Turner.

Tej nocy, około drugiej, znacznie większy Cary Ripton miał odwiedzić go w domu i zastrzelić w łóżku, które dzielił z żoną. Kobiety też zastrzelił. Tak!

Cary Ripton miał ciężką noc. Musiał zabijać - żaden z ludzi Turnera nie dożył ranka, musiał rozkładać can tah; kiedy opuszczał kopalnię, miał ich ze sobą cały worek, było ich w nim przeszło sto. Niektóre rozpadły się na kawalki, Cary wiedział jednak, że nawet fragmenty zachowują część niezwykłej mocy, której skutków nie sposób przewidzieć. Większą część nocy spędził, rozkładając figurki, zostawiając je w przeróżnych niezwykłych miejscach: w skrzynkach na listy i skrytkach samochodów, nawet w kieszeniach ubrań. No! Tu, na pustyni, ludzie na ogół nie zamykają domów, na ogół wcześniej chodzą spać, a domy pracowników z zespołu Turnera nie były jedynymi, które tej nocy odwiedził Cary Ripton.

Potem wrócił do kopalni, zmordowany jak Święty Mikołaj, wracający na biegun północny po gwiazdce, tyle, że dla Świętego Mikołaja robota kończy się po rozdaniu ostatnich prezentów, a praca Riptona dopiero się zaczęła. Była za piętnaście piąta; miał jeszcze ponad dwie godziny do przyjazdu pierwszych ludzi z niewielkiego sobotniego zespołu Pascala Martineza. Powinno mu to wystarczyć, ale z pewnością nie mógł pozwolić sobie na zmarnowanie choćby sekundy. Ciało Cary'ego Riptona krwawiło już wówczas aż tak, że wypchał sobie gacie papierem toaletowym; w trakcie jazdy do kopalni dwukrotnie musiał się zatrzymać, by odpłuć krew za okno swego pikapa. Zabrudził nią całe drzwi. W pierwszych promieniach wstającego w jakiś sposób złowrogiego słońca krew ta wyglądała jak sok tytoniowy.

Mimo iż zdawał sobie sprawę z konieczności pośpiechu, kiedy dojechał już na dno kopalni, zatrzymał się na moment jak zaczarowany tym, co ukazało się w światłach reflektorów.

Po północnej stronie Chińskiej Jamy zgromadziło się tyle zwierząt, że wystarczyłoby ich chyba do wypełnienia arki. Były tu wilki i kojoty, lyse podskakujące ścierwinki, machające skrzydłami sowy o oczach niczym wielkie, złote ślubne obrączki, pумы, żbiki i nawet kilka obdrapanych kotów - śmietnikowców. Były tu dzikie psy o ostrych żebrach sterczących okrutnie spod skóry pokrytej rzadką sierścią - wiele z nich, o czym doskonale wiedział, uciekło z tej cholерnej komuny w górach - a po ziemi, nie niepokojone przez nikogo, biegały hordy pająków i armie czarnookich szczurów.

Każde z wychodzących z Chińskiej Jamy zwierząt trzymało w pysku can tah. Szły, biegły, skakały, pelzały drogą niczym jacyś przedziwni uchodźcy z podziemnego świata. Poniżej, z cierpliwością bezrobotnych u wrót centrum Armii Zbawienia na dwa dni przed gwiazdką - weź numerek i czekaj - siedziało jeszcze więcej zwierząt. Czekwały na swoją kolej, by wejść w ciemność.

Tak roześmiał się przez gardło Cary'ego Riptona.

"Ale jaja!" - krzyknął.

Następnie podjechał do biura terenowego, otworzył drzwi kluczem Riptona i zabił Joego Pruduma, nocnego dozorcę. Jako dozorca Joe praktycznie się nie liczył - przychodził o zmroku, nigdy nie miał najmniejszego pojęcia, co właściwie dzieje się w kopalni, i nie uznał za niezwykły fakt, że Cary Ripton pojawia się w pracy w sobotę wczesnym rankiem. Korzystał właśnie z pralki w rogu, zającąc przy tym swą odwrotną kolację i wszystko w ogóle było świetnie do chwili, kiedy umarł z przestrzelonym gardłem.

Zalutwiwszy tę sprawę, Ripton zadzwonił do "Owl's Club". "Owl's" było otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, choć jak wampir naprawdę nie żyło ani przez sekundę. Tam właśnie Brad Josephson o cudownej czekoladowej skórce i wielkim stromym brzuchu jadał śniadania... i zawsze o tej samej nieludzkiej godzinie. Przynajmniej raz jego zwyczaje miały posłużyć czemuś użytecznemu. Ripton chciał mieć Brada pod ręką już, teraz, zanim skażą go can tah. Can tah bywają bardzo, bardzo przydatne, czynią jednak człowieka nieużytecznym dla wyższych celów Taka. Ripton zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że mógłby użyć kogokolwiek z ekipy Martineza, być może nawet samego Pascala, wolał jednak (a przynajmniej Tak wolał) Brada. Brad miał się mu przydać na wiele sposobów.

Jak długo wytrzymują doskonale zdrowe ciała? - spytał sam siebie, podchodząc do telefonu. - Jak długo wytrzyma eksploatowane bez miłosierdzia ciało bez początków całkiem przyzwoitego raka?

Nie wiedział, miał jednak wrażenie, że wkrótce zyska szansę, by zaspokoić ciekawość.

"Owl's" - powiedział kobiecy głos w słuchawce.

Słońce jeszcze na dobre nie weszło, a w tym kobiecym głosie brzmiało zmęczenie.

"Cześć, Denise. Jak leci?"

"Kto mówi?" - zabrzmiało to bardzo podejrzliwie.

"Cary Ripton, kochanie. Nie poznałaś mnie po głosie?"

"Musisz mieć cholernego kaca, skarbie. A może raczej się przeziębilesz".

"Raczej się przeziębilem - odparł Ripton, uśmiechając się i wycierając krew z dolnej wargi. Czuł się tak, jakby oberwały mu się wszystkie flaki i pływały tam, w dole, w morzu krwi. - Słuchaj, kochanie, masz może pod ręką Brada?"

"Siedzi w rogu, tam gdzie zawsze, wielki i potwornie nażarty: cztery jajka, frytki, z ćwierć kilo

pólsurowego boczku. Mam nadzieję, że kiedy w końcu zablokują go gazy, nie zdarzy to się u nas. Czego chcesz od Brada o tej nieludzkiej godzinie, i to w sobotę?”

“Sprawy firmy”.

“Milczenie jest złotem. Ale... ostrożnie z tym katarem, Rip. Charczysz jak nie wiem co”.

“Bo i kocham cię jak nie wiem co”.

“Aha” - powiedziała Denise.

Rozległ się trzask odkładanej na bok słuchawki i krzyk: “Brad! Telefon! Do ciebie! Pan Dowcipas!” Nastąpiła przerwa, podczas której Brad prawdopodobnie próbował się dowiedzieć, o co chodzi. “Sam go spytaj!” rozległo się jeszcze i w chwilę później rzuconą słuchawkę podniósł Brad Josephson. Powiedział “Halo!” tonem człowieka doskonale świadomego faktu, że Księgarnia Taniej Książki nie dzwoni o piątej nad ranem, by poinformować cię, że wygrałeś ich comiesięczny konkurs.

“Brad, tu Cary Ripton - powiedział Ripton. Doskonale wiedział, jak przywabić Josephsona, pomyśl na to zaczerpnął od świętej pamięci wielkiego i cudownego Kirka Turnera. - Słuchaj, masz w samochodzie aparat fotograficzny i całą resztę?”

Jasne że facet nie rozstaje się z aparatem. Wśród wielu innych zainteresowań Brad był także zapalonym obserwatorem ptaków. Uważał się nawet za ornitologa amatora. Tego ranka Cary Ripton mógł mu pokazać nie tylko ptaki. O tak, nie tylko ptaki!

“Jasne, oczywiście, o co właściwie chodzi?”

Ripton oparł się o plakat, przyklejony na ścianie, w kącie, ten, na którym brudny górnik ucharakteryzowany na Wuję Sama mówi: JASNE, ZAKAŹCIE DZIAŁALNOŚCI KOPALŃ, NIECH SUKINSYNY ZAMARZNĄ W CIEMNOŚCI.

“Jeśli wskoczysz do samochodu i przyjedziesz tu przed Pascalem Martinezem i jego chłopcami, dam ci szansę zrobienia takich zdjęć, że lepszych nie zrobisz w życiu”.

“O czym ty gadasz?” - W głosie Josephsona brzmiało teraz co najmniej zainteresowanie.

“O szkieletach czterdziestu do pięćdziesięciu Chińczyków, tak na początek. Jak ci się to podoba?”

“Co...?”

“Wczoraj po południu przy odstrzale otworzyliśmy starą Chińską Sztolnię. Wystarczy wejść na pięć metrów, żeby zrobić najlepsze... “

“Już jadę. Siedź na miejscu. Jeśli ruszysz tytek...”

Połączenie zostało przerwane. Ripton uśmiechnął się zakrwawionymi wargami.

“Nie ruszaj tyłka - powiedział. - O to nie musisz się martwić. Can de lach! Ah ten! Tak!”

W dziesięć minut później, krwawiąc nie tylko z odbytnicy i członka, lecz także z pępka, przeszedł po pokruszonych skalach dna kopalni w stronę Chińskiej Ściany. Zatrzymał się, rozłożył ramiona jak kaznodzieja i przemówił do zwierząt w języku nieuformowanych. Zwierzęta jak jeden mąż albo odleciały, albo wycofały się w głąb kopalni. Kiepsko byłoby, gdyby Bród Josephson je zobaczył. Tak, bardzo kiepsko.

Minęło jeszcze pięć minut i oto stromą drogą zjechał do kopalni stary buick. Brad Josephson siedział za kierownicą sztywno, jakby kij połknął. Na przednim zderzaku samochodu przyklepiona była nalepka z napisem GÓRNICY WCHODZĄ GŁĘBIEJ I ZOSTAJĄ DŁUŻEJ. Ripton obserwował go zza drzwi terenowego biura. Kiepsko byłoby, gdyby Brad go teraz zauważył. Przynajmniej, zanim znajdzie się wystarczająco blisko.

Z tym przynajmniej nie było żadnego problemu. Josephson zaparkował ze zgrzytem opon, wysiadł, złapał

co najmniej trzy aparaty fotograficzne i truchtem pobiegł w kierunku biura. Zatrzymał się tylko na chwilę, by pogapić się na czarną dziurę w ścianie, znajdującą się jakieś pięć metrów wyżej.

“O cholera, to Chińczycy, oczywiście - powiedział. - Nikt, tylko Chińczycy. Wylaż, Cary! Na litość boską Martinez może pojawić się lada chwila!”

“Nie, w sobotę zaczynają trochę później. - Ripton uśmiechnął się zakrwawionymi wargami. - Może byś się trochę schłodził?”

“Dobra, ale co ze starym Joem? Może robić proble... “

“Powiedziałem, żebyś się trochę schłodził. Joe jest w Reno. Wnuczka urodziła dzieciaka”.

“Świetnie! Doskonale! Damy mu w prezencie cygara, nie?” - Brad roześmiał się, jakby trochę dziko.

“Wejdz, dobra? Chcę ci coś pokazać”.

“Coś, co stamtąd wyniosłeś?”

„ Oczywiście ” - odparł Ripton i w pewien sposób wcale nie kłamał.

Rzeczywiście, chciał pokazać mu coś, co stamtąd wyniósł.

Brad stał, marszcząc brwi. Próbował rozplątać paski trzech aparatów fotograficznych. Ripton złapał go i wrzucił do biura. Josephson krzyknął, urażony i zaskoczony. Później miał się bać, jeszcze później miał być przerażony, teraz jednak, nim dostrzegł ciało Joego Pruduma, był tylko zaskoczony i urażony.

“Po raz ostatni powtarzam ci, żebyś się trochę schłodził - warknął Ripton, wychodząc i zamykając drzwi. - Jejku jej, odpręż się, człowieku”.

Nie przestając się śmiać, wszedł do samochodu. Jak wielu mieszkańców Zachodu Brad wierzył głęboko i z pasją że Amerykanom sam Pan Bóg dał święte prawo posiadania broni; w pikapie miał dubeltówkę na stojaku za siedzeniem oraz ukrytą w schowku bardzo nieprzyjemną zabawkę - rugera speed-six. Załadował dubeltówkę i położył ją sobie na kolanach. Rugera, zawsze załadowanego, przelożył po prostu ze schowka na siedzenie pasażera. W pierwszym odruchu chciał wsadzić go sobie za pasek, ale poniżej pasa praktycznie pływał już we krwi (ty stary durniu - pomyślał - przecież wiedziałeś, że mężczyzna w twoim wieku powinien badać sobie prostatę co mniej więcej rok) i wykąpanie w niej broni nie byłoby zapewne najlepszym pomysłem.

Kiedy walenie pięści Josephsona w drzwi biura zaczęło go denerwować, po prostu włączył radio, puścił głośno i śpiewał sobie wraz z Johnnym Paycheckiem o tym, jak to jest on jedyną awanturą jaką kiedykolwiek zrobiła jego mama.

Już wkrótce pojawił się Pascal Martinez, gotów zarobić milę sobotnie półtorej dniówki. Był z nim Miguel Rivera, jego amigo. Ripton pomachał im. Odmachnęli. Zaparkowali po przeciwnej stronie biura i kiedy z Migiem podeszli do pikapa, by dowiedzieć się, co Cary robi w kopalni w sobotę o tej nieludzkiej godzinie, Cary wystawił lufę dubeltówki przez okno i zastrzelił ich, nie przestając się uśmiechać. Było to bardzo łatwe. Ani jeden, ani drugi nawet nie próbowali uciekać. Umarli z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzach. Ripton przyglądał im się przez chwilę, myśląc o gołębiach pocztowych, o których opowiadał mu dziadek, ptakach tak głupich, że na ziemi można je zabijać kijem. Pracujący w kopalni mężczyźni nosili broń, żaden z nich nie wierzył jednak w głębi serca, by kiedykolwiek musiał użyć jej w samoobronie. Tyle że lubili się z nią obnosić. Wielki kapelusz na niczym, jeśli odpowiada wam to powiedzenie.

Ludzie Martineza przybywali pojedynczo lub w parach; w soboty nie przestrzegano tak rygorystycznie czasu pracy. Ripton zabijał ich, w miarę jak przyjeżdżali, i zanosił ciała za biuro, układając je pod wydechem suszarki do ubrań w zgrabny stosik, jak drewno. Kiedy skończyły mu się ładunki do dubeltówki (do rugera miał

amunicji od groma, pistolet jednak był bezużyteczny jako broń podstawowa, jego skuteczny zasięg nie przekraczał czterech metrów), znalazł klucze do samochodu Martineza, a w samochodzie, pod kocem, odkrył prześlicznego i całkiem nielegalnego automatycznego iver johnsona, do którego, w pudełku po butach Nike, miał dwanaście trzydziestopociskowych magazynków. Przybývający do pracy górnicy, zjeżdżając północnym zboczem kopalni, słyszeli strzały, myśleli jednak, że odbywają się zawody strzeleckie, w końcu od nich zaczynała się przecież niejedna pracująca sobota.

Do za piętnaście ósma Ripton zdołał zabić wszystkich ludzi z podstawowej ekipy Martineza oraz, w charakterze premii, jednonogiego kalekę z "Bud's Sud", który przyszedł naprawić automat do kawy. Za biurkiem zgromadziło się dwadzieścia pięć ciał.

Tymczasem znów pojawiły się zwierzęta, wędrujące do, a potem z Chińskiej Jamy, maszerujące do miasta z can tah w pyskach. Wkrótce miały przerwać na dzień, by znów zacząć pod osłoną nocy.

Tymczasem Tak miał kopalnię dla siebie... i nadszedł też czas, by dokonać przeskoku. Jeśli nie dokona go wkrótce, może nie dokonać go nigdy.

Kiedy Ripton otworzył drzwi, Brad Josephson rzucił się na niego. Słyszał strzały, słyszał krzyki ludzi, którzy nie zginęli natychmiast, i zdawał sobie sprawę, że to jego jedyna szansa. Spodziewał się, że również zostanie zastrzelony, ale Cary nie mógł przecież zastrzelić Brada. Zamiast strzelać, złapał go więc za ramiona i - używając całej siły, jaka pozostała w jego gnijącym ciele - popchnął go na ścianę wystarczająco mocno, by blaszak aż zatrzęsł się od uderzenia. Oczywiście nie była to siła Riptona, lecz siła Taka. Jakby chciał to potwierdzić, Josephson spytał go, jakim cudem urósł.

"Płatki kukurydziane! - odpowiedział mu radośnie Tak. Tak!"

"Co ty wyprawiasz? - krzyknął Brad, widząc zbliżającą się koszmarną twarz, rozwierającą się zakrwawione wargi. - Co ty wy..."

"Pocałuj mnie, ślicznotko!" - wrzasnął Ripton, przywierając ustami do ust Josephsona.

Zawarł z nim to dziwne przymierze krwi przypieczętowane wydychanym z płuc powietrzem. Ciało Brada zeszywniało mu w ramionach, a potem zaczęło drżeć, jakby miało się rozpaść. Tak wydychał, wydychał, wydychał, wypływał i wreszcie, wreszcie poczuł, że to się dzieje, poczuł transfer. Przez jedną straszną chwilę naga esencja Taka zawieszona była pomiędzy przewracającym się Riptonem a Josephsonem, puchnącym jak nadmuchiwany przed sylwestrowym balem balon, i nagle, zamiast patrzeć na świat oczami Riptona, Tak spojrział na świat oczami Josephsona.

Poczuł cudowne, nieopisanie cudowne odrodzenie. Wypełniła go nie tylko skoncentrowana na jednym celu siła Taka, lecz także płonąca wysokim płomieniem energia człowieka, który jadł na śniadanie cztery jajka na ćwierci kilograma nie wysmażonego boczku. Było mu tak... tak nieopisanie...

"Czuję się WSPANIALE!" - krzyknął Brad Josephson radosnym głosem Tony'ego Tygrysa.

Tak usłyszał dźwięczne trzaski rozciągającego się kręgosłupa Brada, szelest niczym jedwabiu na aksamicie - to pęczniały mięśnie Brada - trzaski rosnącej czaszki Brada niczym trzask pękającego lodu. Raz po raz puszczał wiatry; brzmiało to jak seria strzałów z pistoletu startowego.

Puścił ciało Riptona, ciało tak lekkie, jak pusty kłos zboża, i wielkimi krokami ruszył w stronę drzwi. Słyszał, jak pod naciskiem jego wydłużających się rąk i rozszerzających ramion pękają szwy należącej do Brada koszuli khaki. Stopy powiększyły mu się niewiele, ale wystarczająco, by zerwać sznurowadła tenisówek.

Tak stanął na rogu biura, uśmiechając się szeroko. Nigdy nie czuł się lepiej. Świat należał do niego, świat

ruchliwy i huczący jak wodospad. Rekordowa erekcja, prawdziwy drąg, wypchała mu spodnie w kroku jak namiot.

Tak zaistniał od nowa, wyzwolony ze studni światów. Tak znów był wielki, Tak będzie się żywić, Tak będzie rządzić jak rządził zawsze, tu, na jałowej pustyni, gdzie rośliny migrują, a ziemia ma własności magnetyczne.

Wsiadł do buicka, rozdzierając džinsy Brada na szwie aż do samego paska. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie nalepiony na zderzak znaczek: GÓRNICY WCHODZĄ GŁĘBIEJ I ZOSTAJĄ. DŁUŻEJ. Zakręcił wokół baraku biura terenowego i ruszył w kierunku Desperation. Za pędzącym buickiem ciągnęła się chmura kurzu.

3

David przerwał opowieść. Nadal siedział oparty o ściankę rydera, z opuszczoną głową, wpatrzony w trampki. Pod koniec zaczął chrypnąć. Słuchacze stali nad nim w półkołu, dokładnie tak, jak - zdaniem Johnny'ego - starcy plemienia stali wokół młodego Jezusa, gdy przekazywał im fakty, plotki, najświeższe informacje albo tylko to, co powinni wiedzieć. Johnny najlepszy widok miał na dziewczynę o włosach punka, ostatnią zdobycz Steve'a Amesa; wyglądała mniej więcej tak, jak on sam się czuł - sprawiała wrażenie oczarowanej, zdumionej, oszołomionej, ale nie wątpliwej. I to ostatnie spowodowało, oczywiście, że Johnny poważnie się zaniepokoił. Miał zamiar wynieść się z miasta, nic nie mogło go przed tym powstrzymać, lecz jego stare, zlachane ego lepiej zniosłoby ucieczkę, gdyby był w stanie uwierzyć, że chłopiec cierpi na halucynacje i że raczy ich opowieściami powstałymi wyłącznie w jego wyobraźni. Nie sądził jednak, by tak było, nie w tym przypadku.

Wiesz, że tak nie jest - powiedziała Terry ze swego przytulnego schronienia w Der Suczy Bunkier.

Johnny przykucnął, by wziąć sobie nową butelkę jolt coli. Nie czuł, jak jego portfel (autentyczna krokodyla skóra, od Barneya, trzysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów), już od jakiegoś czasu przeszło w połowie wysunięty z tylnej kieszeni, wypada z niej teraz na podłogę. Poklepał dłoń Davida szyjką butelki. Chłopiec podniósł głowę, spojrzał na niego i uśmiechnął się; Johnny aż drgnął, widząc jego ściągniętą zmęczeniem buzię. Pomyślał o tym, jak dzieciak wyjaśniał istotę Taka, uwięzionego w głębi ziemi jak ogr z legendy, używającego ludzi niczym papierowych kubków, bo tak szybko się zużywali, i po prostu musiał zadać sobie pytanie, czym w istocie różni się od niego Bóg tego dziecka.

- W każdym razie tak się to dzieje - powiedział David schrypniętym głosem. - Tak przechodzi w oddechu, jak nasionko rośliny na wietrze.

- Pocałunek śmierci zamiast pocałunku życia - zauważył Ralph.

Jego syn tylko skinął głową.

- Tylko co pocałowało Riptona? - spytała Cynthia. - Kiedy tamtej nocy poszedł do kopalni, co go pocałowało?

- Nie wiem - przyznał David. - Albo mi nie pokazano, albo nie zrozumiałem. Wiem tylko, że zdarzyło się to przy studni, o której wam mówiłem. Wszedł do jaskini... do tej sali... *can tah* go przywołały, ale nie pozwolono mu dotknąć żadnego z nich.

- Ponieważ *can tah* czynią ludzi bezużytecznymi dla Taka - zauważył Steve na pół twierdzącym, na pół pytającym głosem.

- Owszem.

- Lecz czy Tak istnieje fizycznie? To znaczy... nie rozmawiamy przecież o idei, o duchu, prawda?

David potrząsnął głową.

- Nie. Tak jest rzeczywisty, Tak istnieje. Musiał zwabić Riptona do kopalni, ponieważ nie mógł przedostać się przez *ini...* studnię. Ma ciało, wylot studni jest dla niego za mały. Może tylko łapać ludzi, zamieszkiwać w nich, czynić z nich *can tak*. I zmieniać ich, kiedy stają się nieprzydatni.

- Co się stało z Josephsonem, Davidzie? - spytał Ralph cichym głosem krańcowo wyczerpanego człowieka.

Johnny po prostu nie mógł patrzeć na Carvera spoglądającego na swego syna.

- Nie domykała mu się zastawka serca. Żaden problem. Mógł z tym pewnie żyć jeszcze wiele lat, ale Tak w niego wszedł i... - chłopiec wzruszył ramionami - ...i po prostu go wyczerpał. Wytrzymał dwa i pół dnia. Potem przyszła kolej na Entragiana. Entragian był silny, wytrzymał niemal tydzień, ale miał bardzo jasną skórę. Ludzie śmiali się z niego, że tyle olejków do opalania kupował.

- To wszystko powiedział ci twój przewodnik? - spytał Johnny.

- Owszem. Sądzę, że był właśnie tym, przewodnikiem.

- Nie wiesz jednak na pewno, kim był?

- Prawie wiem. Czuję się tak, jakbym powinien wiedzieć.

- Jesteś pewien, że nie był wysłańcem tego Taka? Jest takie stare powiedzenie o tym, że i diabeł może wyglądać pięknie.

- Nie był wysłańcem Taka, Johnny.

- Pozwól mu mówić - wtrącił Steve. - Dobrze?

Johnny wzruszył ramionami i usiadł. Kiedy siadał, dłonią niemal dotknął leżącego na podłodze portfela. Niemał... bo jednak go nie dotknął.

- W sklepie z narzędziami w Desperation, z tyłu, jest stoisko z ubraniami - podjął opowieść David. - Głównie z takimi roboczymi. Dzinsy, khaki, buty Red Wing i różne inne rzeczy. Zamawiali ciuchy dla takiego jednego faceta, nazywa się... nazywał... Curt Veoman i pracował dla firmy telefonicznej. Miał dwa metry dwadzieścia, był najwyższym człowiekiem w Desperation. Dzięki niemu ubranie Entragiana nie było podarte, kiedy nas zatrzymał, tato. W sobotę w nocy Josephson włamał się do "True Value", po czym ukradł spodnie i koszulę khaki rozmiaru Curta Veomana. Buty też. Zabrał je do ratusza, następnie schował w szafce Entragiana. Widzisz, już wtedy wiedział, kogo użyje jako następnego w kolejce.

- To wtedy zabił szefa policji? - spytał Ralph.

- Pana Reeda? Nie, nie wtedy. Zabił go w niedzielę w nocy. Pan Reed tak czy inaczej nie stanowił już wówczas problemu. Ripton zostawił mu *can tah* i panu Reedowi pomieszało się w głowie. Bardzo się pomieszało. *Can tah* różnie działają na różnych ludzi. Kiedy pan Josephson go zabił, pan Reed siedział za biurkiem i... - Odwróciwszy głowę, najwyraźniej bardzo zawstydzony, David zwinął dłoń w rurkę i szybko poruszył nią w powietrzu, w górę i w dół.

- Jasne - pospieszył mu z pomocą Steve. - Rozumiemy. A co z Entragianem? Gdzie był przez cały weekend?

- Za miastem, podobnie jak Audrey. Policja z Desperation miała kontrakt z hrabstwem na nadzór nad przestrzeganiem prawa. Oznaczało to mnóstwo rozjazdów. Piątkową noc, kiedy Ripton zastrzelił ludzi z kopalni,

Entragian spędził w Austin. Sobotnią noc przespał na rancho Davisów. Sobotnią noc, ostatnią, kiedy był prawdziwym Colliem Entragianem, spędził na ziemiach plemienia Szoszonów. Miał tam przyjaciela... chyba kobietę.

Johnny przeszedł do tylnych drzwi rydera. Odwrócił się.

- Co on zrobił, Davidzie? Co tu się dzieje? Jak wpakowaliśmy się w to, w co się wpakowaliśmy? Jak to wszystko mogło się zdarzyć tak, by nikt niczego nie zauważył? Jak to wszystko w ogóle mogło się zdarzyć? - Przerwał na chwilę. - Mam też inne pytanie - mówił dalej. - Czego chce Tak? Wydostać się z tej dziury w ziemi, żeby rozprostować nogi? Zjeść szynkę wieprzową? Wziąć działkę koki, popijając ją tequillą sunrise? Wypieprzyć kilka dziewczyn od dopingu z ligi hokejowej? Spytać Boba Dylana, co naprawdę oznaczają słowa Gates of Eden! Rządzić światem? Czego chce?

- To bez znaczenia - odparł spokojnie chłopiec.

- Co?!

- Liczy się wyłącznie to, czego chce Bóg. A Bóg chce, żebyśmy pojechali do Chińskiej Jamy. Wszystko inne to tylko... taka godzina opowieści.

Johnny uśmiechnął się napiętym i trochę nawet bolesnym uśmiechem. Uśmiech ten wydawał się za mały i nie pasował do jego ust.

- Powiem ci coś, kolego: to, czego chce twój Bóg, nic dla mnie nie znaczy.

Odwrócił się i podniósł tylne drzwi rydera. Do środka wtargnęło powietrze, duszne, nieruchome, przedziwnie ciepłe po burzy. Na skrzyżowaniu rytmicznie pulsowało żółte światło. Nawiany wiatrem piasek przekraczał ulicę regularnymi wydmami. Widziane w nieokreślonym świetle zachodzącego księżycy i pulsach żółtego światła miasteczko Desperation wyglądało jak stacja kosmiczna w filmie fantastycznonaukowym.

- Nie powstrzymam cię, jeśli rzeczywiście masz zamiar odejść - odparł David. - Steve i mój tata może daliby ci radę, ale i to niczego by nie załatwiło. Z powodu wolnej woli.

- Słusznie - stwierdził Johnny. - Dobra stara wolna wola.

Wyskoczył z półciężarówki i skrzywił się, tak go strzeliło w krzyżu. Nos znów pulsował bólem. Tak naprawdę to bolał go potężnie. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nie otaczają go ścierwinki, kojoty lub węże, i nie dostrzegł nic. Nawet małego robaczka.

- Szczerze mówiąc, Davidzie, nie zaufałbym twojemu Bogu nawet na tyle, żeby pozwolić mu przeprowadzić się przez ulicę. - Spojrzał na chłopca z uśmiechem. - Ty możesz Mu ufać, ile tylko zechcesz. Mam wrażenie, że nadal stać cię na ten luksus. Twoja siostrzyczka nie żyje, matka zmieniła się w nie wiadomo co, ale przecież Tak musi jeszcze załatwić tatę, nim dobierze się do ciebie osobiście.

David drgnął. Usta mu zadrżały, twarz skrzywiła się w rozpaczliwym grymasie, z oczu popłynęły łzy.

- Ty kurwo jedna! Ty mała pizdo! - wrzasnęła Cynthia, rzucając się na Johnny'ego.

Przebyła budę rydera jednym skokiem i wykonała przepięknego kopniaka. Mała stopa o centymetry minęła brodę pisarza. Poczul na twarzy podmuch powietrza. Dziewczyna tymczasem stała na krawędzi budy, machając ramionami i próbując zachować równowagę. Pewnie wypadłaby z samochodu, gdyby Steve nie złapał jej za ramiona.

- Szanowna pani, nigdy nie udawałem świętego - stwierdził Johnny.

Słowa te zabrzmiały dokładnie tak, jak chciał, by zabrzmiały - lekko, z ironią i odrobiną rozbawienia. Ale tak naprawdę Marinville był przerażony. David skrzywił się tak... tak, jakby dostał po twarzy od kogoś, kogo

uważał za przyjaciela. No, i nikt nigdy nie nazwał wielkiego pisarza kurwą, nie wspominając już o małej piździe.

- Wynoś się! - wrzeszczała Cynthia. Nieco za nią klęczał Ralph, który podtrzymywał syna niezdarnie i przyglądał się Marinville'owi z czymś w rodzaju pełnego zdumienia niedowierzania. - Nie potrzebujemy cię! Sami to załatwimy!

- Po co w ogóle cokolwiek załatwiać? - spytał Johnny, uważając, by trzymać się poza zasięgiem jej stopy. - O to mi właśnie chodzi. Po co w ogóle cokolwiek załatwiać? Bo Bóg sobie tego życzy? Co on zrobił dla ciebie takiego, żebyś miała spędzić życie, czekając, aż wezwie cię przez interkom albo wyśle ci faks? Czy Bóg ochronił cię przed facetem, który próbował pozbawić cię ucha i złamał ci nos?

- Widzisz mnie tutaj, prawda?

- Bardzo żałuję, ale moim zdaniem to żaden argument. Nie mam zamiaru być pointą w jakimś dowcipie Pana Boga. Nie wierzę, by którekolwiek z was na serio rozważało możliwość zejścia do kopalni. Już sam pomysł jest kompletnie szalony.

- A co z Mary? - spytał Steve. - Chcesz ją zostawić? Czy jesteś w stanie ją zostawić?

- A czemu nie? - odpowiedział pytaniem Johnny i zdołał się nawet roześmiać.

Był to śmiech krótki, ostry, niemal niczym nie różniący się od szczeknięcia, lecz przecież brzmiała w nim nutka rozbawienia. Dostrzegł, jak Steve cofa się z obrzydzeniem. Rozejrzał się raz jeszcze, szukając wzrokiem zwierząt, ale horyzont nadal był czysty, więc być może dzieciak miał rację. Tak, rzeczywiście chciał, by się wynieśli, i otworzył im drzwi.

- Nie znam jej, tak samo jak nie znam tych pustynnych szczurów, które Entragian, Tak, jeśli wolicie, pozabijał w miasteczku - dodał. - Większość z nich i tak pewnie nie miała już prawie mózgow i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że giną. Ludzie, czy wy nie widzicie, jakie to... bezsensowne? Jeśli odniesiecie sukces, to jakiej nagrody się spodziewasz, Steve? Dożywotniego członkostwa "Owl's Club"?

- Co ci się stało? - Steve sprawiał wrażenie autentycznie zdumionego. - Podszedłeś do tej pieprzonej pумы, jakby była jakimś cholernym rekwizytem, i z zimną krwią rozwaliliś jej łeb. Zrobiłeś to jak jakaś pieprzona Wolverine, więc wiem, że masz jaja. A w każdym razie miałeś. Kto ci je ukradł?

- Nie rozumiesz. Z pumą... no, to był po prostu impuls. Wiesz, jaki jest mój największy problem? Jeśli los daje mi szansę, by przystanąć i pomyśleć, to ją wykorzystuję. - Cofnął się o krok. Żaden Bóg go nie powstrzyma. - Życzę wam szczęścia, panie i panowie. Davidzie, cokolwiek to warte, wiedz, że uważam cię za wyjątkowego młodego człowieka.

- Jeśli odejdziesz, wszystko skończone - powiedział David. Twarz nadal tulił do ojcowskiej piersi, jego głos był stłumiony, lecz wyraźny. - Łańcuch zostaje przerwany. Tak wygrywa.

- Jasne, ale nie martw się, załatwimy go w play-offach.

I Johnny Marinville roześmiał się jeszcze raz. Ten dźwięk przypominał mu koktajle, kiedy takim śmiechem śmiał się z równie bezsensownych złośliwości, podczas gdy bezsensowny zespół grał bezsensowne powtórki bezsensownych standardów jazzowych, *Do You Know the Way to San Jose, Papa Loves Mambo*. Tym śmiechem śmiał się, kiedy wyląził z basenu w BelAir, trzymając w ręce butelkę piwa. No i co z tego. Nikt mu przecież nie zabroni śmiać się tak, jak mu się podoba. W końcu dostał kiedyś National Book Award!

- Mam zamiar zabrać któryś samochód z parkingu kopalni - dodał jeszcze. - Mam zamiar popędzić do Austin na złamanie karku. W Austin anonimowo poinformuję policję stanową, że coś złego zdarzyło się w Desperation. Potem wynajmę kilka pokoi w miejscowym "Best Western" i będę czekał z nadzieją, że pokażecie

się, żeby je wykorzystać. Jeśli przyjdziecie, pamiętajcie: ja stawiam. Tak czy inaczej, koniec z abstynencją. Desperation na zawsze wyleczyło mnie z trzeźwości. - Uśmiechnął się do Steve'a i Cynthii, stojących na krawędzi budy rydera i obejmujących się mocno. - Wy dwoje popełniacie szaleństwo, nie wynosząc się stąd ze mną. Wiecie, gdzieś, kiedyś moglibyście być naprawdę dobrzy. Widzę to. Tutaj zostanie z was tylko *can tah* dla kanibalistycznego Boga Davida.

Odwrócił się i odszedł z pochyloną głową. Serce tłukło mu się w piersi. Oczekiwał gniewu, obelg, być może błagań. Na to wszystko był przygotowany; być może jedyną rzeczą zdolną go zatrzymać były słowa, które Steve Ames wypowiedział cichym, bezdzwięcznym głosem człowieka stwierdzającego prosty fakt.

- Nie szanuję cię za to.

Johnny odwrócił się. Te kilka słów zraniło go dotkliwie; nie sądził, że cokolwiek w świecie może jeszcze tak go zranić.

- O mój drogi, jakie to straszne! Straciłem szacunek człowieka nadzorującego kiedyś wynoszenie z samolotu toreb, do których rzygał Steven Tyler. Niech mnie diabli!

- Nie znam żadnej twojej książki, ale przeczytałem to opowiadanie, które mi dałeś, i książkę o tobie. Tego profesora z Oklahomy. Był z ciebie kawał awanturника, gównianie traktowałeś swoje kobiety, ale pojechałeś do Wietnamu bez broni, na miłość boską, i dziś... ta puma... co się z tym wszystkim stało?

- Spłynęło jak szczyzny po nodze pijaka - odparł Johnny. - Przypuszczam, że nie wierzysz, by coś takiego mogło się zdarzyć, lecz jednak się zdarzyło. Reszta mnie spłynęła w basenie. Dobra definicja absurdu, nie?

David dołączył do stojących z tyłu półciężarówce Steve'a i Cynthii. Był blady i bardzo zmęczony, lecz już się opanował.

- Nosisz na sobie jego znak - powiedział. - Tak pozwoli ci odejść, ale kiedy poczujesz na skórze jego zapach, pożalujesz, że nie zostałeś.

Johnny przyglądał się chłopcu przez długą, bardzo długą chwilę, walcząc z pokusą powrotu do ciężarówce, angażując w tę walkę całą swą, niemałą przecieź, siłę woli.

- Więc chyba będę musiał oblewać się wodą po goleniu - rzucił w końcu. - Do widzenia, chłopcy i dziewczęta. Zostańcie z Bogiem.

Odszedł. Szedł szybko, bardzo szybko. Gdyby choć odrobinę przyspieszył kroku, biegłby.

4

W półciężarówce Steve'a panowała cisza. Spoglądali za Johnnym, dopóki nie zniknął im z oczu, a kiedy zniknął, nadal nie rozmawiali. Ralph Carver obejmował syna, David zaś myślał o tym, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki pusty, jakby nic z niego nie pozostało. A więc wszystko skończone. Przegrali. Kopnął butelkę po coli. Patrzył, jak toczy się po podłodze budy, odbija się od jej ściany i nieruchomieje obok...

Zrobił krok w przód.

- Zobaczcie, portfel Johnny'ego - powiedział głośno. - Pewnie wypadł mu z kieszeni.

- Biedny Johnny - uzalila się nad Marinville'em Cynthia.

- Zdumiewające, że nie zgubił go wcześniej - odezwał się Steve głuchym, obojętnym tonem człowieka, który myśli o czymś zupełnie innym. - Ile razy powtarzałem mu, że facet, który jeździ na motocyklu, powinien

trzymać portfel na łańcuchu? - Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu. - Wygląda na to, że nie uda mu się wynająć w Austin tych pokoi tak łatwo, jak przypuszcza.

- Mam nadzieję, że będzie spał na jakimś cholernym parkingu - odezwał się Ralph. - Albo przy drodze.

David prawie ich nie słyszał. Czuł się tak samo jak tego dnia w Lasku Niedźwiedzim - nie wtedy, kiedy Bóg do niego mówił, lecz wtedy, kiedy uświadomił sobie, że zaraz przemówi. Pochylił się, by podnieść portfel Johnny'ego, a gdy go dotykał, w jego głowie coś eksplodowało jak kula elektryczności. Stęknął głucho. Ściskając w dłoni portfel, opadł na podłogę, oparł się o ścianę rydera.

- Synku? - Głos Ralpa dobiegł go echem, które przemierzyć musiało przedtem tysiące kilometrów.

Zignorował ojca i otworzył portfel. W jednej kieszonce znalazł pieniądze, w drugiej papiery: notatki, wizytówki i tak dalej. Nie obchodziły go. Rozpiął zatrask po wewnętrznej lewej stronie portfela, uwalniając harmonię włożonych do plastikowych kieszzonek fotografii. Niejasno zdawał sobie sprawę, że inni gromadzą się wokół niego, nie poświęcił im jednak chwili uwagi; przewracał fotografie, przesuwał lata między palcami: brodaty Johnny i piękna ciemnowłosa kobieta o wysokich kościach policzkowych i spiczastych piersiach, Johnny z siwymi wąsami przy relingu jachtu, Johnny z kucykiem w tęczowym jabbho obok aktora wyglądającego jak Paul Newman, nim Newmanowi przyśniło się w ogóle, że będzie sprzedawał majonez do sałatek. Każdy kolejny Johnny był odrobinę młodszy od poprzedniego - włosy na brodzie, wąsach i głowie miał odrobinę ciemniejsze, zmarszczki na twarzy mniej wyraźne...

- Tu - szepnął David. - O mój Boże, tu!

Spróbował wyjąć fotografię z plastikowej kieszonki i nie mógł, tak bardzo drżały mu ręce. Steve wziął portfel, wydobyl zdjęcie i podał je chłopcu. David wpatrzył się w nie z przerażonym zdumieniem astronoma, który właśnie odkrył nową planetę.

- Co się stało? - Cynthia zajrzała mu przez ramię.

- To szef - wyjaśnił jej Steve. - Był tam... tak właśnie mówi o Wietnamie, "tam"... Prawie rok zbierał materiały do książki. Mam wrażenie, że napisał też parę artykułów o wojnie. - Spojrzał na Davida. - Wiedziałeś, że to zdjęcie tu jest?

- Wiedziałem, że coś tu jest - odparł chłopiec tak cicho, że prawie nie sposób było usłyszeć jego słów. - Gdy tylko zobaczyłem portfel na podłodze. Przecież... to był on! - Zamilkł, a potem powtórzył z niebotycznym zdumieniem. - To był on.

- Kim był kto? - zdumiał się Ralph.

David nie odpowiedział, gapił się tylko na zdjęcie. Przedstawiało trzech mężczyzn, stojących przed ceglana ruderą - barem, sądząc z widocznego w oknie znaku Budweisera. Na chodniku tłoczyli się Azjaci. Po lewej stronie, zatrzymana na wieczność przez migawkę starego aparatu, rozmyta i zamazana, jechała na motorowerze dziewczyna.

Mężczyźni po lewej i prawej ubrani byli w koszulki polo i luźne spodnie. Jeden z nich, wyjątkowo wysoki, trzymał w ręku notes. Drugi obwieszony był kamerami.

Pośrodku trójki stał mężczyzna w dżinsach i szarym podkoszulku. Na tył głowy zsuniętą miał czapkę baseballową Jankesów. Pierś przecinał mu pasek, na jego biodrze wisiało zaś coś dużego, w skórzanym pokrowcu.

- Radio. - David wskazał palcem to coś. Steve przyjrzał się zdjęciu z większą uwagą.

- Nie - zaopiniował w końcu. - To magnetofon z sześćdziesiątego ósmego roku.

- Kiedy spotkałem go w Krainie Zmarłych, miał radio.

David nie mógł oderwać oczu od zdjęcia. Wargi miał spieczone, suchy język nie chciał zmieścić się w ustach. Mężczyzna pośrodku zdjęcia uśmiechał się, w dłoni trzymał przeciwsłoneczne lustrzanki. Nie było żadnej wątpliwości, kim jest.

Nad jego głową, nad drzwiami baru, z którego wszyscy trzej wyszli zapewne przed chwilą, widniał namalowany ręcznie znak z nazwą: "Strażnica Wietkongu".

5

Nie straciła przytomności, krzyczała jednak, dokąd coś nie przeskoczyło jej w głowie, dokąd siła nie odpłynęła nagle z jej mięśni. Mary zatoczyła się. Chwyciła brzeg stołu, próbując zachować równowagę, wcale nie chciała łapać się stołu, łąziły po nim skorpiony i pająki, by nie wspomnieć obecności trupa z przestrelonym gardłem, siedzącego nad wazą pysznej krwi, jeszcze mniej podobała się jej jednak perspektywa upadku na podłogę.

Podłoga była królestwem węży.

Pozostało jej tylko paść na kolana, nie puszczając stołu tą dłonią, w której nie trzymała latarki. W tej pozycji było coś niesłychanie pocieszającego. Uspokajającego. Niemal natychmiast domyśliła się, o co chodzi. O Davida, oczywiście. Klęczała, a to przypomniało jej, jak wtedy w celi, którą dzielił z Billingsleyem, David klęknął tak zwyczajnie, po prostu, z ufnością. Usłyszała nawet jego słowa, wypowiedziane lekko przepraszającym tonem: "Czy mogłaby się pani odwrócić? Muszę zdjąć spodnie..." Uśmiechnęła się, a kiedy zdała sobie sprawę z tego, że uśmiecha się mimo otaczającego ją koszmaru, że jest w stanie się uśmiechnąć, uspokoiła się jeszcze bardziej. Nawet o tym nie myśląc, sama pogrążyła się w modlitwie - po raz pierwszy od czasu, kiedy miała jedenaście lat. Była wtedy na obozie letnim, leżała na kretańskiej twardej pryczy w kretańskiej chacie, w której aż roiło się od komarów, za towarzystwo miała bandę kretańskich dziewcząt, po których oczekiwała wyłącznie złośliwości i szczypania. Tęskniła do domu jak nie wiem co. Modliła się do Boga, żeby przysłał jej mamusię, Bóg nie wysłuchał modlitwy, więc uznała, że jest zdana sama na siebie, i tego się później trzymała.

- Boże - powiedziała - potrzebuję pomocy. Tu, gdzie jestem, aż roi się od różnych obrzydlistw, przeważnie jadowitych, i śmiertelnie się boję. Jeśli tam jesteś, z pewnością docenię Twą pomoc niezależnie od formy, a...

Miała zamiar powiedzieć "amen", ale nie powiedziała. Umilkła gwałtownie, patrząc przed siebie szeroko rozwartymi oczami, bowiem w jej głowie rozległ się wyraźny głos... i to nie jej głos, tego była całkiem pewna. Odbyło się to zupełnie tak, jakby ktoś od dłuższego czasu czekał, mocno zniecierpliwiony, aż przemówi pierwsza.

Nic tu nie jest w stanie cię skrzywdzić - powiedział głos.

W świetle latarki pod przeciwległą ścianą pokoju widziała starą pralkę z suszarką Maytag. Nad nią umieszczono tabliczkę: ŻADNEGO OSOBISTEGO PRANIA. CIEBIE TEŻ TO DOTYCZY. Po tabliczce, szybko przebiegając długimi nogami, w tę i w tę maszerowały pająki. Na maytagu ulokowała się cała ich kolonia. Nieco bliżej, na stole, mały skorpion badał uważnie zgniecionego pająka, którego wyciągnęła z włosów. Dłoń nadal pulsowała jej bólem na pamiątkę tego spotkania; trucizna musiała aż przelewać się w stworzeniu; starczyłoby jej pewnie, by zabiła Mary, gdyby została wstrzyknięta pod skórę, a nie rozlana. Nie, Mary nie wiedziała, do kogo należał głos w jej głowie, lecz jeśli Bóg w ten sposób odpowiada na modlitwy - pomyślała - to

nic dziwnego, że świat tkwi po szyję w gównie. Wszystko tu mogło zrobić jej poważną krzywdę, dosłownie wszystko.

Nie - powiedział głos, spokojnie i cierpliwie, choć Mary właśnie przejechała światłem latarki po leżących pod ścianami ciałach w pełni rozkładu i odkryła kolejne gniazdo wijących się obrzydliwie węży. - *Nic cię nie skrzywdzi. I doskonale wiesz dlaczego.*

- Nie, niczego nie wiem - jęknęła, kierując światło latarki na dłoń.

Była czerwona, obolała, lecz nie puchła. Pająk jej nie ukąsił.

Hmmm. Całkiem interesujące, prawda?

Oświetliła latarką ciała: pierwsze, to anonimowe, potem Josephsona i Entragiana. Wirus, który je zaatakował, był teraz w Ellen. Jeśli ona, Mary Jackson, przeznaczona została na jego kolejne schronienie, nic tu rzeczywiście nie mogło jej zrobić krzywdy. Nie niszczy się kupionego towaru.

- Pająk powinien mnie ukąsić - szepnęła do siebie. - Ale nie ukąsił. Za to pozwolił się zabić. Nic tu nie może mnie skrzywdzić. - Roześmiała się piskliwym, histerycznym śmiechem. - Jesteśmy przyjaciółmi!

Musisz się stąd wydostać - mówił głos. - *Zanim on wróci. A wróci. Już niedługo.*

- Będziesz mnie chronił, prawda? - Mary poderwała się na równe nogi. - Będziesz? Jeśli jesteś Bogiem albo mówisz w imieniu Boga, to będziesz mnie chronił!

Głos nie odpowiedział. Być może jego właściciel nie chciał jej chronić. Być może nie mógł.

Mary, drżąc na całym ciele, wyciągnęła rękę w stronę stołu. Czarne wdowy i mniejsze, brązowe pająki uciekły przed nią we wszystkich kierunkach. Skorpiony poszły w ich ślady, jeden się nawet tak rozpędził, że zleciał na podłogę. Panika na ulicach miasta.

Dobrze. Doskonale. Ale to nie wszystko. Musi jakoś się stąd wydostać.

Przeszywała ciemność światłem latarki, aż trafiła na drzwi. Przeszła do nich na sztywnych nogach, które na dodatek wydawały jej się jakieś takie bardzo dalekie. Rozpaczliwie próbowała nie deptać po rozłazącej się na wszystkie strony armii pajaków. Klamka obróciła się w jej dłoni, drzwi poruszyły się jednak może o centymetr, to wszystko. Szarpnęła nimi mocno i usłyszała po drugiej stronie grzechot jakby łańcucha i kłódki. Prawdę mówiąc, nawet się nie zdziwiła.

Po raz kolejny dokładnie przyjrzała się pomieszczeniu w świetle latarki. Plakat NIECH SKURWYSYNY ZAMARZNA W CIEMNOŚCI, zardzewiały zlew, blat z ekspresem do kawy i małą kuchenką mikrofalową, zestaw pralka/suszarka. Część biurowa z biurkiem, kilkanaściami starymi szafkami na akta i zegarem do podbijania kart pracy na ścianie. Pękaty piecyk, szafka na narzędzia, kilka zardzewiałych kilofów i łopat rzuconych niedbale w kąt, kalendarz z blondynką w bikini. Drzwi. Pełne koło. Żadnych okien, nawet jednego okienka. Poświeciła na podłogę, myśląc niejasno o łopatach i kilofach, deski zachodziły jednak pod metalowe ściany baraku, a poza tym istota w ciele Ellen Carver z pewnością nie da jej aż tyle czasu, ile wymagałoby zrobienie podkopu.

Spróbuj suszarki, Mare.

Z pewnością sama to powiedziała, musiała sama to powiedzieć, ale niech ją diabli, jeśli ten głos brzmiał jak jej głos... a poza tym ta myśl wcale nie sprawiała wrażenia jej myśli.

A zresztą nie miała przecież czasu, żeby zajmować się teraz takimi drobiazgami. Niemal podbiegła do suszarki, nie troszcząc się już aż tak bardzo o to, gdzie stawia nogę, toteż rozdeptała kilka pajaków. Zapach zgnilizny był tu bogatszy, bardziej gęsty; dziwne, bo ciała znajdowały się przecież po przeciwnej stronie pomieszczenia, no ale...

Wielki grzechotnik wystawił łeb z kłapy suszarki i zaczął z niej powoli wypelzać. To zupełnie jakby znaleźć się twarzą w twarz z najohydniejszym diabłem z pudełka - pomyślała Mary. Głowa węża kołysała się na boki, jego czarne, paciorkowate oczy kaznodziei wlepione były w jej oczy. Mary instynktownie cofnęła się o krok, po czym zmusiła się do odrobienia dystansu i wyciągnięcia ręki. Co do pajaków i skorpionów mogła się mylić, była tego doskonale świadoma. Tylko że nawet jeśli ten gość ośmielił się ją ukąsić, co z tego? Czy śmierć od ukąszenia grzechotnika będzie gorsza niż ostatnie chwile życia Entragiana, zabijanie każdego, kto wejdzie ci w drogę, dopóki ciało nie wybuchnie jak bomba?

Wąż otworzył pysk, ukazując zęby jadowe, wielkie i zakrzywione jak igły z fiszbinu. Syknął ostrzegawczo.

- Pieprz się, bracie - poradziła Mary.

Złapała gada, wyciągnęła z suszarki - miał dobrze ponad metr - i rzuciła przez barak. Uderzyła w klapę korpusem latarki; wcale nie pragnęła bardziej bezpośrednio zetknąć się z niczym, co jeszcze może kryć się w suszarce, a potem odsunęła ją od ściany. Rozległo się suche pyk - to pleciana plastikowa rura odprowadzająca ciepło oderwała się od dziury w ścianie. Pajaki - dziesiątki pajaków - prysnęły spod urządzenia na wszystkie strony świata.

Pochyliła się i przyjrzała otworowi. Miał jakieś sześćdziesiąt centymetrów średnicy, był zbyt mały, by się przez niego przecisnąć, ale ściana wokół wyglądała na mocno skorodowaną i...

Jeszcze raz przeszła przez barak, tym razem rozgniatając jakiegoś skorpiona - chrzrrup - i kopniakiem usuwając sobie z drogi szczura, kryjącego się do tej pory za ciałami i prawdopodobnie pożywiającego się którymś z nich. Wzięła kilof, wróciła pod dziurę, po czym jeszcze trochę odsunęła suszarkę, by zrobić sobie więcej miejsca do pracy. Zapach rozkładu był teraz jeszcze silniejszy, ale nie zwracała już na to uwagi. Krótsze ramię kilofa wsadziła w otwór, szarpnęła trzonek w górę i aż cicho krzyknęła z radości, bo wyrył w blasze pas niemal półmetrowej długości.

Pospiesz się, Mary! Pospiesz się!

Otarła pot z czoła, wetknęła kilof w szczelinę u jej końca i jeszcze raz szarpnęła za trzonek. Kilof przedłużył szczelinę, a potem wyskoczył z niej tak gwałtownie, że Mary puściła narzędzie i upadła na wznak. Poczula, jak plecami rozgniata kolejne pajaki, szczur zaś, którego kopnęła przedtem - lub być może jakiś jego krewny - z piskiem wdrapał się na jej szyję. Wąsami połaskotał ją w podbródek.

- Odpieprz się! - wrzasnęła, zrzucając go z siebie.

Wstała, zdjęła latarkę z suszarki, umieściła ją pod lewą pachą, pochyliła się i podwinęła blachę z obu stron wrytej wcześniej szczeliny.

Dziura wyglądała na wystarczająco dużą. Zaledwie wystarczająco.

- Dzięki ci, Boże - powiedziała Mary. - Zostań ze mną jeszcze przez chwilę, dobra? A jeśli mnie przez to przeprowadzisz, to obiecuję ci, że pozostanę w kontakcie.

Opadła na kolana i wyjrzała na świat. Smród był teraz tak straszny, że zaczęła się dławić. Poświeciła latarką, na zewnątrz i w dół.

- Boże! - wrzasnęła wysokim, zdyszonym głosem. - O Jezu, nie!

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że za barakiem, w którym została uwięziona, złożono setki trupów. Obwisłe blade twarze, nieruchome, odbijające światło latarki oczy, rozerwane ciała najwyraźniej wypełniały świat. Mary zobaczyła, jak ścierownik siedzący na piersi jakiegoś mężczyzny i pożywiający się drugim,

podskoczył ciężko, po czym odleciał; jego skrzydła przypominały suszące się i kłapiące na wietrze prześcieradło.

- Nie jest ich aż tyle - powiedziała sobie stanowczo. - Nie aż tyle, Mary, stara przyjaciółko, a nawet gdyby było ich z tysiąc, w niczym nie zmienia to twojej sytuacji, prawda?

Mimo wszystko jednak na chwilę zamarła. Otwór był wystarczająco duży, żeby się przecisnąć, w to nie wątpiła, ale...

- Ale przecież wyląduję na niech - szepnęła.

Latarka w jej ręce drżała szaleńczo, oświetlając to policzki, to czoła, to pęki uszu; przypomniało jej to tę scenę na końcu "Psycho", w której pokryta pajęczynami żarówka w piwnicy kołysze się, oświetlając pomarszczoną twarz mumii - nieżyjącej matki Normana.

Musisz się wydostać, Mary - tłumaczył jej cierpliwie głos. - *Musisz się wydostać teraz albo będzie za późno.*

Dobrze, w porządku... ale nie musi przecież patrzeć na lądowisko. Nic z tych rzeczy. Nie chce i nikt jej do tego nie skłoni.

Zgasiła latarkę i wyrzuciła ją przez dziurę. Z cichym *plum* latarka wylądowała na... na czymś. Mary wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy, a potem wyslizgnęła się z baraku. Zardzewiały metal wyciągnął jej koszulę z dzinsów, podrapał brzuch. Przechyliła się do przodu i spadała, spadała nie patrząc na co. Wyciągnęła ręce przed siebie. Jedna wylądowała na czyjejs twarzy, pod dłonią poczuła zimny grzbiet nosa, pod palcami brwi, z pewnością krzaczaste. Druga wpadła w zimną galaretę i obsunęła się w niej.

Zacisnęła usta, powstrzymując to, co bardzo pragnęło się z nich wydostać - dziki wrzask, a może tylko stęknienie obrzydzenia. Jeśli krzyknie, będzie musiała odetchnąć. Jeśli odetchnie, poczuje smród ciał, leżących tu, na słońcu pustynnego lata, jeden Bóg wie jak długo.

Wylądowała na trupach, które przesuwają się pod nią, bekały gazami rozkładu. Powtarzając sobie: "Nie wpadaj w panikę, trzymaj się, trzymaj", potoczyła się w bok. Nieświadomie wycierała w spodnie tę rękę, która ugrzęzła w zimnej galarecie.

Nagle poczuła piasek z ostrymi okruchami skalnymi. Przetoczyła się jeszcze raz, na brzuch, podciągnęła kolana i natychmiast wsadziła dłonie w piach, pocierała je o siebie, myła je tak na sucho najlepiej, jak potrafiła. Otworzyła oczy. Latarka leżała przy czyjejs wyciągniętej, białej jak papier dłoni. Podniosła wzrok na niebo... Pragnęła - więcej - potrzebowała jego czystości, jego spokojnej obojętności. Dostrzegła wiszący nisko nad horyzontem sierp księżyca, niemal nadzianego na ostry diabli róg, wyrastający po wschodniej stronie ze ściany Chińskiej Jamy.

Wydostałam się - pomyślała, chwytając latarkę. - Tyle przynajmniej udało mi się osiągnąć. Dzięki Ci, wielki Boże.

Na kolanach odsunęła się od rzuconych na stos ciał. Latarkę znów trzymała między lewym ramieniem i lewą piersią, rękami wlokła po ziemi, nadal próbując je oczyścić.

Po lewej zobaczyła światło. Spojrzała w jego kierunku... i przeraziła się straszliwie, widząc, że to radiowóz Entragianana. "Zechce pan wysiąść z samochodu, panie Jackson?" - powiedział gliniarz i, przynajmniej jej zdaniem, wtedy właśnie wszystko się zaczęło, wtedy właśnie wszystko, co do tej pory uważała za nienaruszalne, rozpadło się w proch i pył.

Jest pusty, samochód jest pusty, widzisz przecież, że jest pusty, prawda?

Oczywiście. Od razu zauważyła, że jest pusty, strach jednak wcale nie chciał ustąpić. Smakował miedzią,

jakby trzymała w ustach drobne monety.

Zakurzony radiowóz - nawet kogut na dachu zabity był niesionym przez burzę piachem - stał obok niewielkiego budynku przypominającego stanowisko ogniowe bunkra. Drzwi od strony kierowcy były otwarte; to dzięki nim świeciło się światelko w kabinie. To tym samochodem Ellen przywiozła ją do baraku, a potem gdzieś sobie poszła. Miała inne sprawy do załatwienia, inne ślady do wytropienia, inne skręty do skręcenia. Ach, gdyby tylko zostawiła kluczyki w stacyjce!

Mary zerwała się na równe nogi i skulona niczym żołnierz przemierzający ziemię niczyją podbiegła do samochodu. Radiowóz śmierdział krwią, szczykami, bólem i strachem. Deska rozdzielcza, kierownica i przednie siedzenie pokryte były grubą warstwą zakrzepłej krwi. Wskazań zegarów na desce nie dałoby się nawet odczytać. Na podłodze po stronie pasażera leżał mały kamienny pająk. Stary, zerodowany, ale wystarczyło, że spojrzała na niego, i zaraz poczuła się słabo. Dostała dreszczy.

Nie musiała się jednak przesadnie o niego martwić. Kluczyków w stacyjce nie było.

- O cholera! - szepnęła. - Wlazłam w gówno.

Odwróciła się, oświetlając latarką najpierw kilka maszyn górniczych, a potem, wyżej, drogę prowadzącą na północne zbocze nasypu kopalni. Porządnie wyżwirowana i ugnieciona, wyglądała najmarniej jak czteropasmówka; w końcu przeznaczona była przecież dla ciężkich maszyn, którym przyglądała się przed chwilą. Była pewnie gładsza od tej choleryjnej szosy, na której gliniarz zatrzymał ją i Petera. Mary nie mogła jednak wykorzystać policyjnego radiowozu, ponieważ nie miała pieprzonych kluczyków.

Jeśli ja nie mogę, muszę zadbać o to, by nie mógł i on. A może ona? Coś, czymkolwiek jest ta cholera.

Znow wsadziła głowę do samochodu, krzywiąc się na bijący z wnętrza kwaśny smród. Uważnie obserwując leżącą na podłodze statuetkę, jakby mogła podskoczyć i ugryźć, pociągnęła za dźwigienkę zwalniającą zamek maski, potem poszła na przód samochodu i przesunęła palcami nad przednim pasem. Znalazła zatrzask. Uniosła maskę caprice. Silnik był ogromny, ale bez problemu rozpoznała filtr powietrza. Pochyliła się, złapała śrubę motylkową, spróbowała ją przekręcić i... nic.

Syknęła, zawiedziona. Zamrugła powiekami, by strząsnąć z nich pot, który zalewał jej oczy i szczypał. Nieco ponad rok temu czytała wiersze na wieczorku kulturalnym odbywającym się pod hasłem "Poetki świętują swą wrażliwość i seksualność". Miała na sobie garsonkę od Donny Karan, a pod garsonką jedwabną bluzkę. Włosy, specjalnie ułożone na tę okazję, spadały jej w loczkach na czoło. Poemacik "Waza" był prawdziwym przebojem wieczoru. Lecz, oczywiście, miało to miejsce przed wizytą w zabytkowej, pięknej Chińskiej Jamie, w której mieścił się jedyny w swoim rodzaju, fascynujący Grzechotnik Numer Dwa. Miała poważne wątpliwości, czy ktokolwiek słuchający tego wieczoru "Wazy"...

gładka

taka gładka

zapach lodyg

krawędź z cienia

wygięta jak linia

ramion

linia uda

poznałby ją teraz, w tej chwili. Prawdę mówiąc, sama się nie poznawała.

Prawa ręka, ta której używała do odkręcenia filtra, nadal swędziała ją i bolała. Spocone palce ześlizgnęły się ze śruby. Zadarła sobie paznokieć. Syknęła z bólu.

- Boże, proszę, pomóż mi, nie odróżnię palca rozdzielacza od bagnetu oleju, to musi być gaźnik. Proszę, daj mi siłę... Tym razem śruba obróciła się pod naciskiem jej palców.

- Dzięki - wydyszała Mary. - O tak, tak, strasznie Ci dziękuję, tylko proszę, nie odchodź jeszcze. I zaopiekuj się Davidem i resztą, dobra? Niech nie wyjadą z tego szamba beze mnie.

Odkręciła śrubę, która oczywiście natychmiast wpadła do silnika. Nie szkodzi. Zdjęła filtr powietrza i odrzuciła go. Gaźnik był wielki... no, prawie tak wielki jak waza. Śmiejąc się, Mary przykucnęła, złapała garść żwiru i piasku, ściągnęła metalowe coś tam, po czym wepchnęła piach i żwir przez to coś do jednej z komór gaźnika. Zmieściły się jeszcze dwie garście - dysza była zapchana.

Mary zrobiła krok do tyłu, podziwiając swe dzieło.

- Spróbuj zapalić silnik, suko - wydyszała.

Pospiesz się, Mary, musisz się pospieszyć.

Przejechała światłem latarki po zaparkowanych tu maszynach. Wśród ciężkiego sprzętu stały dwa pikapy. Podeszła do nich i oświetliła wnętrze szoferek. Tu też nie znalazła kluczyków, ale w budzie forda 150, wśród porzucanych tam narzędzi, leżał toporek strażacki. Użyła go do przebicia opon. Po dwie na wóz. Zamierzała odrzucić toporek, ale zmieniła zdanie. Jeszcze raz zatoczyła krąg latarką i tym razem, jakieś dwadzieścia metrów nad dnem kopalni, zobaczyła w ścianie otwór o przekroju mniej więcej prostokąta.

To tu. Stąd bije źródło wszystkiego, co się stało.

Nie wiedziała, skąd wzięła się ta wiedza, czy podpowiedział jej to głos Boga, czy też może intuicja, jakie miało to jednak znaczenie? W ogóle jedna tylko rzecz miała teraz jakieś znaczenie - a mianowicie wynieść się stąd w diabły, i to jak najszybciej.

Wyłączyła latarkę - blask księżycy był nawet jaśniejszy niż ten, jakiego potrzebowała, przynajmniej na razie - i truchtem ruszyła drogą prowadzącą z Chińskiej Jamy na szeroki świat.

Rozdział 3

Lew literatury przystanął obok zgrupowanych przy końcu długiego stołu komputerów. Patrzył na przeciwległą ścianę, gdzie na wbitych w nią hakach wisiało kilkanaście ciał, niczym zwłoki ludzi, na których hitlerowcy przeprowadzali eksperymenty w obozach śmierci. Wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak opisali Steve i Cynthia, z jednym znaczącym wyjątkiem: kobieta wisząca pod tabliczką informującą: MUSISZ NOSIĆ KASK!, ta z głową przekrzywioną w prawo do tego stopnia, że jej policzek spoczywał na ramieniu, była niesamowicie podobna do Terry.

Zdajesz sobie sprawę z tego, że to tylko twoja wyobraźnia?

Zdaje? Być może, ale... Boże! Te same złotorude włosy... wysokie czoło... lekko skrzywiony nos...

- Nie zajmuj się jej skrzywionym nosem - powiedział do siebie Lew literatury. - Jeśli musisz zajmować się skrzywionymi nosami, to martw się o swój. Dobra, wynośmy się stąd. Co ty na to?

Tylko że nie od razu zdołał się ruszyć. Oczywiście wiedział, co powinien teraz zrobić - podejść do trupów i zabrać się do przeszukiwania im kieszeni, bo tam powinny być kluczyki do samochodów - ale wiedzieć to jeszcze nie wszystko. Wsadzać im rękę do kieszeni, czuć martwą skórę, od której jego palce oddzielać będzie tylko cienka warstwa materiału... brać w dłoń ich rzeczy, nie tylko kluczyki, ale być może scyzoryki, nożyczki do paznokci, fiolki aspiryny...

Co jeszcze noszą w kieszeniach ludzie? - pomyślał z chora ciekawością. - Aha...

...połówki biletów do kina, portmonetki, chusteczki...

- Przestań! - szepnął. - Rusz się i zrób, co masz zrobić.

Radio plunęło trzaskiem zakłóceń jak karabin maszynowy kulami. Podskoczył. Nie grało, oczywiście, minęła już północ, miejscowi dżokeje z butami w gnoju odpłynęli do miękkich łóżeczek. O wschodzie słońca oczywiście znów się pojawia, zagrają Trávisa Tritta i Tanyę Tucker, lecz przy odrobinie szczęścia John Edward Marinville, człowieka, którego Harper's nazwało kiedyś jedynym liczącym się białym pisarzem Ameryki, będzie już daleko stąd.

“Jeśli odejdziesz, wszystko skończone”.

Przesuwając ręką po twarzy, jakby ta myśl była natrętną muchą, którą trzeba koniecznie odpędzić, Johnny przeszedł przez laboratorium. Myślał o tym, że rzeczywiście, można by nazwać go dezerterskim, ale doprawdy, bądźmy dorośli, przecież i oni mogą wyjechać, jeśli tylko zechcą. Niczego im nie brakuje, prawda? A jeśli o niego chodzi, to on wybiera sobie świat, w którym ludzie nie gadają w nonsensownych językach i nie gniją żywcem. Wybiera sobie świat, w którym ludzie rosną maksimum do osiemnastego roku życia.

Skórzane motocyklowe legginsy szeleściły, ocierając się o siebie przy każdym kroku. Jasne, w porządku, czuje się teraz nie jak Lew literatury, lecz raczej któryś z tych żołtów z armii Wietnamu Południowego, których widział w Quang Tri; obdzierali trupy, zrywali z nich złote medaliki, a czasami zaglądali im nawet między pośladki w poszukiwaniu diamentów i pereł, było to jednak porównanie niedoskonałe... a samo uczucie też miało mu szybko przejść, tego był całkiem pewien. Przecież nie zamierzał obdzierać trupów. Szukał tylko kluczyków, kluczyków, pasujących do któregoś z zaparkowanych przed barakiem samochodów. A poza tym...

Poza tym martwa dziewczyna pod tabliczką: MUSISZ NOSIĆ KASK naprawdę wyglądała jak Terry. Rudawa blondynka z dziurą po kuli w białym laboratoryjnym fartuchu. Oczywiście, Terry nie była już tak

wspaniałą rudawą blondynką, włosy miała teraz przede wszystkim siwe, niemniej jednak...

“Pożałujesz, że nie zostałeś, kiedy na skórze poczujesz zapach Taka”.

- Och, bardzo proszę - odparł głośno Johnny - nie bądzmy dziećmi.

Spojrzał w lewo, po prostu po to, by nie patrzeć już na trupa dziewczyny, która tak bardzo przypominała mu Terry z tych lat, kiedy Terry potrafiła doprowadzić go do ekstazy, zakładając nogę na nogę, seksownie poruszając biodrem... i to, co zobaczył sprawiło, że uśmiechnął się pełnym nadziei uśmiechem. Zobaczył terenówkę, a ponieważ parkowała w zamkniętym garażu, istniała więcej niż szansa, że kluczyki zostały w stacyjce. Gdyby były, oszczędziłoby mu to upokorzenia związanego z grzebaniem w kieszeniach ofiar Entragiana... a może Josephsona, wszystko jedno. Musiałby tylko odłączyć przyczepkę na próby, podnieść drzwi garażu, wrzucić jedynekę i w drogę.

“...kiedy poczujesz na skórze zapach Taka”.

Być może rzeczywiście będzie go czuł, przynajmniej na początku, ale szybko mu to minie. David Carver może sobie być prorokiem, lecz jeśli nawet, to jest bardzo młodym prorokiem, nie zdającym sobie sprawy z wielu istotnych spraw, choć może i ma domowy telefon pana Boga. Nie wiedział na przykład, że gównu łatwo się spiera. Tak, owszem, bardzo łatwo. Była to jedna z niewielu życiowych prawd, których prawdziwości John Marinville był całkowicie pewien.

A kluczyki do terenówki były, dzięki Bogu, w stacyjce.

Johnny pochylił się, przekręcił kluczyk pół obrotu i odczytał z paliwomierza, że ma ponad trzy czwarte baku benzyny.

- Dziesiątka, kochanie - stwierdził ze śmiechem. - Przynajmniej raz trafiliśmy w dziesiątkę.

Obejrzał sobie od tyłu mały, podobny do dzipa samochodzik; interesowała go przyczepa na próbki skał. Żaden problem. Dwa kółka i trzpień. Na trzpień wystarczy młotek i...

Nawet Houdini nie byłby w stanie tego dokonać - powiedział głos, tym razem nie Terry jednak, lecz tego starego pijaka, Billingsleya. - *Z powodu głowy. A telefon? A sardynki?*

- A sardynki co? Było ich po prostu o kilka puszek więcej, niż przypuszczałem.

A jednak Johnny się pocił. Pocił się tak, jak parę razy w Wietnamie. Nie z upału, choć było tam gorąco, i nie ze strachu, choć bał się bezustannie, czasami nawet we śnie; ten śmiertelny pot wywoływała świadomość, że jest w złym miejscu i w złym czasie w towarzystwie przede wszystkim przeciętnych przyzwyczajonych ludzi niszczących samych siebie być może nieodwracalnie, ponieważ przyszło im wykonać brudną robotę.

Skromne cuda - pomyślał i znów usłyszał głos starego pijaka. Boże, ta cholera więcej gadała po śmierci niż za życia!

Ale przecież, gdyby nie chłopiec, nadal siedziałbyś w celi aresztu, przyjacielu, prawda? Albo byś nie żył. Albo jeszcze gorzej. A teraz go opuściliś. Zdezercerowałeś.

- Gdybym nie odwrócił uwagi kojota moją kurtką, David już by nie żył - odparł głośno Johnny. - Zostaw mnie w spokoju, stary durniu.

Dostrzegł młotek, leżący na warsztacie pod ścianą. Ruszył w jego kierunku.

- Powiedz mi coś, Johnny - odezwał się donośny, wyraźny głos Terry i Johnny zamarł jak wmurowany w ziemię. - Kiedy dokładnie uznałeś, że strach przed śmiercią da się pokonać wyłącznie rezygnacją z rzeczywistego życia?

Ten głos nie odezwał się w jego głowie, co do tego miał prawie całkowitą pewność. Nie, do diabła, miał

całkowitą pewnością! Przemówiła do niego Terry wisząca na haku. Nie ktoś do niej podobny, nie miraż, nie halucynacja, lecz Terry. Jeśli odwróci się teraz, zobaczy ją z podniesioną głową - policzek nie będzie już dotykał szyi - patrzącą na niego tak, jak zawsze patrzyła, kiedy Johnny Marinville spieprzył sprawę: cierpliwie, ponieważ Johnny Marinville w sposób całkowicie naturalny pieprzył sprawy, z rozczarowaniem, ponieważ jako jedyna osoba na świecie spodziewała się, że być może tej nie spieprzy. Co, oczywiście, było z jej strony zwykłą głupotą, jak stawianie na Byki z Tampa Bay w meczu o superpuchar. Tylko, że czasem przy niej - dla niej - udawało mu się zrobić coś dobrze, wznieść się ponad to, co z konieczności przywykł uważać za swą naturę. Ale kiedy się wysilił, kiedy był najlepszy, kiedy, kurka wodna, nogi odrywały mu się od ziemi, czy wtedy Terry miała coś do powiedzenia? Och, oczywiście. "Zmieńmy kanał, sprawdzimy, co jest na PBS". Nic więcej.

- Żebyś jeszcze zrezygnował z życia dla pisania - powiedział wyraźny głos Terry. - To, choć godne pogardy, byłoby przynajmniej zrozumiałe. Zrezygnowałaś z życia dla gadania o pisaniu. Jezu Chryste, Johnny!

Johnny podszedł do stołu na drżących nogach. Miał zamiar rzucić w cholerę młotkiem, sprawdzić, czy młotek jej nie uciszy. Nagle z lewej usłyszał niski warkot. Odwrócił głowę i zobaczył wilka, najprawdopodobniej tego samego wilka, który przyniósł Steve'owi i Cynthii *can tah*, stojącego w prowadzących do biura drzwiach. Oczy mu płonęły. Na moment wilk zawahał się i Johnny pozwolił sobie na odrobinę nadziei - może się przestraszył, może się cofnie - lecz wilk skoczył na niego, podwijając wargi, spod których ukazały się wielkie zęby.

2

Stwór, który był Ellen, koncentrował się na wilku - użył wilka, by skończyć z pisarzem - z taką siłą, że znajdował się w stanie podobnym do hipnozy. Nagle coś, jakieś zakłócenie w spodziewanym przebiegu zdarzeń przerwało jego skupienie. Wycofał się na moment, zatrzymując wilka tam, gdzie był, resztę swej strasznej ciekawości, potwornej uwagi zwrócił ku ryderowi. Coś stało się w półciężarówce, Tak nie potrafił jednak powiedzieć co. Czuł się zdezorientowany, jakby przebudził się w pokoju, w którym ktoś nieznacznie pozmieniał ustawienie mebli.

Może gdyby nie próbował być w dwóch miejscach naraz...

- *Mi him en tow* - warknął i posłał wilka na pisarza.

To tyle, jeśli chodzi o człowieka, który pragnął być Steinbeckiem; stworzenie na czterech łapach było szybkie i silne, stworzenie na dwóch powolne i słabe. Tak wycofał swój umysł z wilka i widziany jego oczami obraz Johnny'ego Marinville'a odwracającego się, macającego po warsztacie w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, patrzącego przerażonym spojrzeniem, najpierw rozmył się, a potem zniknął.

Tak zwrócił całą swą uwagę na półciężarówkę i tych innych, chociaż spośród tych innych liczył się tylko jeden, teraz i zawsze (gdyby tylko zorientował się wcześniej). Przeklęty Bożychłopczyk.

Jaskrawożółta półciężarówka stała zaparkowana tam gdzie przedtem - nakładający się na siebie obraz z oczu pająków i żabia perspektywa uczulonych na ciepło oczu węży ukazywały ją wyraźnie, kiedy jednak Tak próbował dostać się do środka, odkrył, że nie może. Czyżby niczego tam nie miał? Nawet najmniejszego pajączka? Czyżby? A może jego wizję znów blokuje zaszary Bożychłopczyk?

Bez znaczenia. Tak nie miał czasu, by przywiązywać do tego wagę. Byli tam, w środku, byli wszyscy,

musieli być, Tak musiał się tym zadowolić, ponieważ coś jeszcze poszło źle. Coś znacznie mu bliższego.

Coś się stało z Mary.

Tak poczuł się dziwnie - nieprzyjemnie poganiany, wręcz do czegoś zmuszony - dał więc spokój półciężarówce i skupił się na biurze terenowym kopalni, badając je poruszającymi się niespokojnie oczami wypełniających je stworzeń. Najpierw zauważył przesuniętą suszarkę, a potem zarejestrował fakt, że Mary zniknęła.

- Ty dziwko! - krzyknął.

Z ust Ellen trysnęła mgiełka rozpylonej krwi. Słowo "dziwka" niezbyt dobrze wyrażało jego uczucia, więc wrócił do starego języka, syjąc przekleństwami. Spróbował wstać... i - na krawędzi *ini* - omal nie stracił równowagi. Słabość tego ciała postępowała w sposób wręcz przerażający. Co znacznie gorsze, Tak nie miał ciała, w które mógłby przenieść się natychmiast; na razie skazany był na to. Pomyślał o zwierzętach, nie dysponował jednak żadnym nadającym się do natychmiastowego użytku. Jego obecność doprowadzała do śmierci w ciągu kilku dni nawet najsilniejsze ludzkie organizmy; gdyby znalazł się w którymś z pomniejszych zwierząt, wąż, kojot, szczur lub ścierwnik po prostu by eksplodowały, niczym blaszana puszka rozsadzona łaską dynamitu. Wilk wytrzymałby godzinę, może dwie, lecz w tych okolicach żył tylko jeden wilk, a w dodatku znajdował się obecnie przeszło cztery kilometry stąd, gdzie atakował (a teraz już najprawdopodobniej zajądał) pisarza.

Musiał mieć kobietę.

Musiał mieć Mary.

Stwór przypominający Ellen prześlizgnął się przez szczelinę w ścianie *an tak* i niezgrabnie ruszył kopalnianym chodnikiem ku słabej fioletowej poświacie widocznej w miejscu, gdzie chodnik wyprowadzał teraz na wielki świat. Szczury towarzyszyły mu na każdym kroku, biegając z piskiem między nogami Ellen, gdyż czuły krew wypływającą z durnej, chorej dziurki Ellen. Tak kopał je nogami Ellen i przeklinał w starym języku.

Przy wyjściu z Chińskiej Sztolni przystanął i spojrzał w dół. Księżyc zaszedł za przeciwległą krawędź nasypu kopalni, lecz nadal rzucał odrobinę światła. Lampka w kabinie radiowozu rzucała go nieco więcej; wystarczyło to oczom Ellen, by dostrzegły, że maska samochodu została podniesiona. Istota, która opanowała mózg Ellen, natychmiast zrozumiała, że fałszywa *os pa* w jakiś sposób uszkodziła silnik. Jakim cudem udało się jej wydostać z baraku? Jak śmiała zrobić to, co zrobiła? Jak śmiała?!

Po raz pierwszy Tak poczuł strach.

Rozejrzał się i dostrzegł, że oba pikapy stoją na kapciach. Zupełnie jak kamper Carverów, tyle że na odwrót; to Tak brał teraz łanie i strasznie mu się to nie podobało. Pozostał mu do dyspozycji tylko ciężki sprzęt i chociaż wiedział, gdzie przechowywane są kluczyki - jeden komplet do wszystkiego w którejś z szuflad w szafce na akta - nie mógł z nich skorzystać, ponieważ nie umiał operować ciężkim sprzętem. Cary Ripton umiał, Tak stracił jednak wszystkie jego umiejętności przy transferze do Josephsona. Jako Ellen Carver posiadał pewną ilość wspomnień z czasów Riptona, Josephsona i Entragiana (choć i te wspomnienia bładły niczym fotografia zrobiona przy za długim czasie naświetlania), nie miał już jednak ich umiejętności.

Co za dziwka! *Os pa! Can fin!*

Zaciskając nerwowo pięści Ellen, świadom przesiąkniętych krwią majtek i wetkniętej w nie, równie przesiąkniętej krwią bluzki, świadom okrwawionych ud Ellen, Tak zamknął oczy Ellen i rozpoczął poszukiwanie Mary.

Mi him, en tow! En tow! En TOW!

Nic, tylko cisza i powolne skurcze głęboko w podbrzuszu Ellen. I strach. Strach, że dziwka *os pa* zdołała już uciec. Nagle dostrzegł to, czego szukał, nie oczami Ellen jednak, lecz uszami wewnątrz uszu Ellen; usłyszał nagłe obce echo odbitego dźwięku, przybierające kształt kobiety.

To nietoperz dostrzegł Mary. Uciekała drogą prowadzącą na północną krawędź nasypu kopalni. Była mocno sfatygowana, dyszała ciężko i oglądała się za siebie co kilkanaście, czasem co kilka kroków. Szukała śladów pogoni. Nietoperz bez trudu rozpoznał bijący od niej zapach, a to, co Tak odczytał z przekazu nietoperza, prezentowało się bardzo zachęcająco. W zapachu Mary był przede wszystkim strach. Taki strach, który jedno mocniejsze pchnięcie może zmienić w panikę.

Mimo wszystko od grzbietu nasypu dzieliło ją zaledwie czterysta metrów, a potem droga biegła w dół. Mimo wszystko, choć była zmęczona, choć oddychała ciężko, nietoperz nie wyczuł w jej pocie gorzkiego, metalicznego zapachu wyczerpania. Nie było go, przynajmniej na razie. Poza tym Mary nie krwawiła jak zarżnięta świnia, a niemal już bezużyteczne ciało Ellen Carver owszem. Krwawienie dawało się kontrolować - jeszcze - ale to już wkrótce miało się zmienić. Być może zrobienie sobie chwili przerwy na odzyskanie sił przy *ini* było błędem, któż jednak śmiałyby podejrzewać, że coś takiego w ogóle jest możliwe!

A gdyby tak wysłać *can toi*, by ją powstrzymały? Przynajmniej te, które nie były częścią *mi him*?

Mógł to oczywiście zrobić, tylko po jaką ciężką cholere? Mógł otoczyć Mary węzami i pajakami, ryczącymi pumami i chichoczącymi kojotami, ale ta suka pewnie tylko przeszłaby przez nie, rozdzieliła je jak Mojżesz, który podobno suchą nogą przeszedł przez Morze Czerwone. Mary po prostu musi zdawać sobie sprawę z tego, że "Ellen" nie wolno uszkodzić jej ciała ani przy pomocy *can toi*, ani żadnej innej broni. Gdyby o tym nie wiedziała, nadal siedziałaby w baraku, prawdopodobnie skulona w kącie, w wywołanym strachem stanie zbliżonym do katatonii, niezdolna wydać najłżejszego dźwięku z obolałego od nieprzytomnych wrzasków gardła.

Skąd wiedziała? Od zasranego Bożychłopczyka? A może dowiedziała się od Boga Bożychłopczyka, *can tak* Davida Carvera? Co za różnica? To, że ciało Ellen zaczęło się rozsypywać, a Mary miała prawie kilometr przewagi, także nie stanowiło różnicy.

- Ruszam za tobą, kochanie - szepnął stwór i podążył jedną z ław, oddalając się od wlotu korytarza, a zbliżając do drogi.

Właśnie. Rusza za nią. Być może będzie musiał zniszczyć to ciało, przerobić je na gnój, by dogonić *os pa*, ale był w stanie je dogonić.

Ellen odwróciła głowę, splunęła krwią i uśmiechnęła się. W niczym nie przypominała już kobiety, która rozważała możliwość kandydowania w wyborach do rady szkolnej, kobiety, która lubiła chodzić z przyjaciółkami do "China Happines", kobiety, której najgłębiej ukrytą, najczarniejszą fantazją seksualną było kochanie się z mięśniakiem z reklamy Diet Coke.

- Nie ma znaczenia, jak szybko biegniesz, *os pa*. Nie uciekniesz mi.

Coś ciemnego znów zaatakowało ją z góry. Mary odgoniła to machnięciem ręki.

- Spieprzaj! - wydyszała.

Nietoperz z piskiem wyrwał w górę, ale nie odleciał daleko. Okręzał ją jak jakiś cholerny samolot obserwacyjny; Mary z niepokojem uznała, że w gruncie rzeczy tym właśnie jest. Podniosła głowę. Krawędź nasypu kopalni, znajdująca się przed i nieco nad nią, była już blisko. Blisko, zaledwie jakieś dwieście metrów, lecz nadal tak strasznie daleko. Miała wrażenie, że każdy oddech musi wyrywać powietrze, a z pewnością każdy oddech wywoływał ból. Kiedy myślała, że jak na trzydziestoparoletnią kobietę jest w niezłej formie, jakby wizyty trzy razy w tygodniu w sali gimnastycznej wyposażonej w symulatory narciarstwa klasycznego i bieganie po schodach mogły przygotować człowieka na coś takiego.

Nagle poślizgnęła się na drobnym żwirze, droga uciekła jej spod stóp, a drżące nogi nie zdołały na czas skorygować zachwianej równowagi. Nie upadła na twarz tylko dlatego, że zdążyła opaść na kolano, rozdarła jednak dzinsy, poczuła ostre kamienie kaleczące jej skórę i strumyczek krwi na łydce.

Nietoperz zaatakował natychmiast, z piskiem mierzwił jej włosy skrzydłami.

- Spadaj, wypierdku! - krzyknęła i wymierzyła mu cios zaciśniętą pięścią.

Miała szczęście. Poczuła, że trafia w ziarnistą powierzchnię skrzydła, i oto nietoperz wił się już na drodze tuż przed nią, to otwierając, to zamykając pyszczek, i gapił się na nią - tak to przynajmniej wyglądało - bezużytecznymi małymi ślepkami. Mary z trudem podniosła się na nogi i przydepnęła go; słysząc trzask kruszących się pod butem kości wydała cichy, piskliwy okrzyk tryumfu.

Już miała ruszyć przed siebie, kiedy za sobą dostrzegła coś - cień poruszający się wśród innych cieni.

- Mary? - dobiegł ją z dołu głos, głos Ellen Carver nie będący głosem Ellen Carver, bełkotliwy, stłumiony. Ktoś, kto nie przeszedł piekła ostatnich sześciu czy ośmiu godzin, mógłby przypuścić, że Ellen zapadła na poważne przeziębienie. - Zaczekaj, Mare. Chcę pójść z tobą! Chcę zobaczyć Davida. Razem pójdziemy zobaczyć Davida!

- Pójdiesz, ale do diabła - szepnęła Mary.

Ruszyła przed siebie, wydzierając powietrze każdy kolejny oddech i masując sobie bok, w którym narodził się ostry ból. Biegłaby... gdyby była w stanie.

- Mary, Mary, Mary babsztyl stary! - W głosie brzmiał śmiech, niewyraźny, lecz łatwo słyszalny. - Nie uciekniesz przede mną, kochanie. Czyżbyś nie zdawała sobie z tego sprawy?

Szczyt nasypu kopalni wydawał się jej tak daleki, że Mary postanowiła na niego nie patrzeć. Opuściła głowę i wpatrzyła się w swe buty. Kiedy znów usłyszała głos, "Ellen" najwyraźniej była już bliżej. Zmusiła się, by nieco przyspieszyć kroku. Nim dotarła na krawędź nasypu, upadła jeszcze dwa razy; raz tak ciężko, że straciła oddech oraz kilka cennych, bardzo cennych sekund, najpierw na klęknięcie, a potem powstanie z opuszczoną głową i rękami na udach. Pragnęła, by Ellen znów ją zawołała, ale Ellen milczała. Mary nie zamierzała się na nią oglądać. Zbyt bała się tego, co mogłaby zobaczyć.

Pięć metrów od szczytu obejrzała się jednak. Ellen dzieliło od niej niespełna dwadzieścia metrów; oddychała bezgłośnie ustami otwartymi tak szeroko, że wyglądały jak wlot powietrza do klimatyzatora. Za każdym wydechem buchała z nich mgła drobno rozpylonej krwi, krwią przesiąknięta była jej bluzka. Dostrzegła gapiącą się na nią Mary, skrzywiła się, wyciągnęła rękę z palcami skręconymi jak szpony i spróbowała podbiec, by złapać swą ofiarę.

Nie mogła już podbiec.

Mary - wręcz przeciwnie. Mary odkryła nagle, że stać ją na sprint. Przyczynił się do tego głównie wyraz oczu Ellen Carver. Nie było w nich ani odrobiny człowieczeństwa. Ani odrobiny.

Dotarła na szczyt nasypu oddychając płytko, ze świstem wciągając w płuca małe hausty powietrza i zaraz je wydychając. Przez jakieś trzydzieści metrów droga biegła prosto, a potem opadała. Przed sobą Mary Jackson widziała drobną, żółtą iskierkę na tle czerni pustyni w nocy, to zapalającą się, to gasnącą - mrugające światełko na skrzyżowaniu ulic w Desperation.

Utkwiła w niej wzrok. Przyspieszyła... odrobinę.

4

- Co robisz, Davidzie? - spytał Ralph zdławionym głosem.

Po niedługiej chwili koncentracji, będącej prawdopodobnie cichą modlitwą, David ruszył w kierunku tylnych drzwi rydera. Ralph instynktownie zastąpił mu drogę; własnym ciałem zasłonił klamkę. Steve zauważył ten jego ruch, rozumiał, co zmusiło Ralpha do jego wykonania, nie sądził jednak, by miał on jakieś znaczenie. Jeśli David zdecydował, że wychodzi, to z całą pewnością wyjdzie.

Chłopiec pokazał ojcu portfel Johnny'ego.

- Zwrócę mu go - powiedział po prostu.

- Nie, nie zwrócisz! - Ralph energicznie potrząsnął głową. - Nie ma mowy. Na miłość boską, synku, nie wiesz nawet, dokąd poszedł ten facet. Moim zdaniem nie ma go już w miasteczku. I dobrze. Niepotrzebny nam taki ludzki śmieć.

- Wiem, gdzie on jest - wyjaśnił mu spokojnie syn. - Znajdę go. Nie trzeba daleko szukać. - Zawahał się, a potem dodał: - Mam go znaleźć.

- Davidzie? - Głos Steve'a w jego własnych uszach brzmiał niepewnie i jakoś tak przedziwnie młodo. - Przecież sam powiedziałeś, że łańcuch został przerwany.

- To było przedtem, nim zobaczyłem zdjęcie w portfelu. Muszę do niego iść. Muszę iść do niego teraz. To nasza jedyna szansa.

- Nie rozumiem - stwierdził Ralph, ale odstąpił od drzwi. - Co właściwie oznacza to zdjęcie?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia, tato. A nawet gdybym miał, wątpię, czy potrafiłbym to wyjaśnić.

- Mamy iść z tobą, Davidzie? - spytała Cynthia i zaraz sama odpowiedziała sobie na to pytanie. - Nie mamy, prawda?

David potrząsnął głową.

- Wrócę, jeśli zdołam. Z Johnnym, jeśli zdołam.

- Toż to szaleństwo - orzekł Ralph, w jego cichym głosie brakowało jednak choćby odrobiny przekonania. - Jak będziesz sam się tu włóczył, zostaniesz pożarty żywcem.

- Kiedy wydostałem się z celi, kojot nie pożarł mnie żywcem. Niebezpieczeństwo czyha na nas, jeśli wszyscy zostaniemy tutaj, a nie na mnie, jeśli wyjdę poszukać Johnny'ego.

Spojrzał na Steve'a, a potem na tylne drzwi rydera. Steve skinął głową i otworzył mu je. Do środka wtargnęła pustynna noc, położyła się na ich twarzach jak zimny pocałunek.

David podszedł do ojca, by go uściskać. W momencie, gdy otoczyły go jego ramiona, poczuł nagle, jak chwytą go niezmierna siła, jak przebiega przez ciało niczym stalowy deszcz. Drgnął konwulsyjnie w ramionach Ralpha, zachłysnął się oddechem i na ślepo cofnął o krok. Wyciągnął przed siebie drżące nieopanowanie ręce.

- Synku! - krzyknął Ralph. - Synku, co...

I nagle wszystko się skończyło. Tak szybko, tak błyskawicznie. Po przenikającej go sile nie pozostał nawet ślad, lecz David miał ciągle przed oczami obraz Chińskiej Jamy takiej, jaką dostrzegł w ramionach ojca - jakby przyglądał się jej z lecącego nisko samolotu. Błyszczała w resztkach księżycowego światła; przeraźliwy alabastrowy zbiornik na odpady. W uszach słyszał szum wiatru i wzywający go

(mi him, en tow! Mi hitn, en tow!)

głos. Głos, który nie należał do człowieka. Z wysiłkiem oczyścił umysł z tej wizji. Rozejrzał się... jakże niewiele ich pozostało z pierwotnego składu Stowarzyszenia Przetwarzania Colliego Enragiana. Steve i Cynthia, stojący ramię przy ramieniu, ojciec, pochylający się ku niemu, a za nimi noc, obłana księżycowym światłem.

- Co się stało? - spytał niepewnie Ralph. - Jezu Chryste, i co teraz?

David zauważył, że upuścił portfel; pochylił się i podniósł go. Nie wolno mu o nim zapomnieć, jeżku jej, to by dopiero było! Już miał włożyć go do tylnej kieszeni dzinsów, kiedy przypomniał sobie, że Johnny'emu portfel wypadł właśnie z tylnej kieszeni, więc wsadził go za koszulę.

- Musicie pojechać do kopalni - zwrócił się do ojca. - Ty, tatusiu, Steve i Cynthia musicie pojechać do Chińskiej Jamy. Natychmiast. Mary wzywa pomocy. Czy mnie rozumiecie? Mary wzywa pomocy!

- O czym ty...

- Uciekła. Biegnie drogą do miasteczka, a Tak ściga ją i jest tuż-tuż. Musicie jechać. Natychmiast. Teraz.

Ralph znów wyciągnął ku niemu ramiona, tym razem jednak z wahaniem; w jego geście nie było prawdziwej siły. David z łatwością uniknął jego uścisku. Wyskoczył z samochodu na ulicę.

- Hej! - krzyknęła za nim Cynthia. - Słuchaj, rozdzielamy się... jesteś pewien, że tak będzie dobrze?

- Nie! - odrzyknął chłopiec. Był zrozpaczony, zmieszany i bardzo, bardzo oszołomiony. - Wiem, jak źle to wygląda, mnie też wcale się nie podoba, ale nie możemy zrobić niczego innego! Przysięgam! Nie możemy zrobić niczego innego.

- Masz tu natychmiast wrócić! - wrzasnął ile sił w płucach Ralph.

David odwrócił się. Jego ciemne oczy spojrzały wprost w pełne niepokoju i cierpienia oczy ojca.

- Jedź, tatusiu. Ruszajcie wszyscy. Natychmiast, już. Nie macie wyboru. Musicie jej pomóc. Pomóżcie jej, na litość boską pomóżcie Mary.

I nim ktokolwiek zdołał zadać mu jakiegokolwiek jeszcze pytanie, David pędem pobiegł w ciemność. Poruszał w biegu jedną ręką, drugą przyciskał do piersi schowany za koszulą portfel Johna Edwarda Marinville'a, portfel z prawdziwej krokodylej skóry, trzysta dziewięćdziesiąt pięć dolców u Barneya w Nowym Jorku.

5

Ralph próbował wyskoczyć za synem. Steve chwycił go za ramiona, Cynthia chwyciła go w talii.

- Puśćcie mnie! - krzyknął, szarpiąc się... ale nie szarpał się zbyt mocno.

Steve'a to pocieszyło. Odrobinę.

- Chcę iść z synem!

- Nie - zaproponowała Cynthia. - Musimy wierzyć, że chłopak wie, co robi.

- Nie mogę stracić i jego - szepnęła Ralph, lecz nie szarpał się już, nie próbował wyrwać z ich objęć. - Nie mogę!

- Może najlepszym sposobem niedopuszczenia do tej ostateczności jest spełnić jego życzenie - zauważyła dziewczyna.

Ralph odetchnął głęboko.

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale mój David poszedł szukać tego cholernego dupka. - Mówił to tak, jakby mówił do siebie, jakby próbował coś sobie wyjaśnić. - Poszedł szukać tego cholernego egoistycznego dupka, żeby oddać mu zgubiony portfel, a kiedy zapytałem dlaczego, odparł, że Bóg mu kazał. Tak było?

- Mniej więcej. - Cynthia położyła dłoń na ramieniu Ralpha. Gdy otworzył oczy, uśmiechnęła się do niego. - A wiesz, co w tym wszystkim najcholerniejsze? Zapewne mówił prawdę.

Ralph zerknął na Steve'a.

- Nie zostawicie go, prawda? - spytał. - Nie zabierzecie Mary i nie uciekniecie z Desperation tą tam drogą dla sprzętu? Nie zostawicie mojego chłopca?

Steve tylko pokręcił głową.

Ralph Carver ukrył twarz w dłoniach. Zebrał się w sobie, opuścił ręce i spojrzał im prosto w oczy. Twarz miał nieruchomą, kamienną. Decyzja została podjęta, mosty spalone. Przez głowę Steve'a przeleciała i zaraz nikła dziwna myśl: dopiero teraz, po raz pierwszy od czasu, gdy się spotkali, dostrzegł, ile jest w synu z ojca.

- No i dobrze - powiedział Ralph. - Do naszego powrotu opiekę nad moim synem sprawuje Bóg. - Wyskoczył z samochodu, patrząc w głąb ulicy ponurym spojrzeniem. - Tylko Bóg - dodał jeszcze. - Ten sukinsyn Marinville z pewnością spieprzyłby sprawę.

Rozdział 4

1

Kiedy wilk go zaatakował, Johnny Marinville przypomniał sobie, jak David mówił, że istota reżyserująca do przedstawienie chce, by opuścili miasteczko, i będzie szczęśliwa, jeśli je opuszczą. Może prorocza wizja Davida uległa lekkiemu, chwilowemu zamroczeniu, a może Tak po prostu dostrzegł szansę dorwania jednego z nich w chwili słabości i postanowił ją wykorzystać? Darowanemu koniowi... i tak dalej.

W każdym razie - stwierdził w duchu - to przesrana sprawa. Przesrana do końca.

Sam ją przesralesz, przyjacielu - powiedziała mu zza pleców Terry.

Jasne, to musiała być Terry, jak zwykle pomocna w trudnej chwili.

Johnny zamierzył się młotkiem na atakującego go wilka.

- Won, cholero! - wrzasnął piskliwym głosem, w którym z trudem rozpoznał swój głos.

Wilk skoczył w lewo i zatoczył ciasny łuk. Warczał, szczyrzył kły, zadem prawie zamiatał ziemię, ogon miał podwinięty. Potężnym barkiem trącił po drodze szafkę, z której z trzaskiem spadł na podłogę spodeczek. Radio wypluło z siebie długą, głośną serię trzasków.

Johnny zrobił krok w stronę drzwi, wyobrażając sobie, jak to pędzi korytarzem w stronę wyjścia na parking, niech szlag trafi samochód w garażu, cztery kółka znajdzie sobie gdzie indziej. Lecz wilk nagle znalazł się właśnie w korytarzu, łeb trzymał nisko, jeżył się i gapił na niego przeraźliwie inteligentnymi, przeraźliwie świadomymi, świecącymi niesamowitym blaskiem ślepiami. Johnny cofnął się. Młotek trzymał przed sobą niczym rycerz salutujący mieczem swego króla i kręcił nim lekko. Czuł swą spoconą dłoń na pokrytym perforowaną gumą trzonku. Wilk był wielki co najmniej jak dobrze wyrośnięty owczarek alzacki; w porównaniu z nim młotek sprawiał wrażenie absurdalnie małego - domowe narzędzie, nadające się zaledwie do naprawienia półki albo wbicia gwoźdźcia pod obrazek.

- Boże, pomóż - westchnął Johnny, nie odczuł jednak obecności Boga.

Bóg to było tylko ot, takie sobie słowo, słowo, które wypowiada się, kiedy człowiek nagle zdaje sobie sprawę z tego, że i jego obowiązuje prawo grawitacji, więc skoro poślizgnął się w gównie, to i w nim siądzie. Nie ma Boga, nie ma Boga, Johnny nie jest przecież dzieckiem z przedmieścia jakiejś cholernej dziury w Ohio, którego najmarniej trzy lata dzielą od pierwszego spotkania z maszynką do golenia, Johnny wie, że modlitwa to manifestacja tego, co psychologowie nazywają "myśleniem magicznym" i że Boga po prostu nie ma.

A gdyby nawet był, czy przyszedłby mi na pomoc? Czemu niby miałby się trudzić, skoro zostawiłem ich tam, w samochodzie?

Wilk szczyknął nagle. Był to dźwięk wręcz śmieszny, piskliwe szczyknięcie, którego można byłoby się spodziewać raczej po pudlu albo cocker-spanielku. Zęby wilka wcale nie sprawiały jednak wrażenia śmiesznych. Wielkie kule śliny wylatywały spomiędzy nich raz za razem.

- Won! - wrzasnął Johnny cienkim, łamiącym się głosem. - No już! Wynoś się stąd!

Zamiast się wynosić, wilk przykucnął zabawnie i przez moment Johnny miał wrażenie, że zaraz się zesra, że jest równie przerażony jak on i zaraz zesra się na podłogę laboratorium. Nagle, na ułamek sekundy przed

atakami, zdał sobie sprawę z tego, że wilk nie będzie srał, lecz skoczy. Na niego.

- Boże, nie, nie, prooszę! - wrzasnął i obrócił się, by uciec, uciec do samochodu i sztywnych, wiszących na hakach ciał.

A przynajmniej był pewien, że odwraca się, by uciec. Jego ciało poruszyło się bowiem w przeciwnym kierunku, naprzód, niczym kierowane dłońmi, których nie potrafił dostrzec. Nie czuł się jak ktoś nawiedzony, doznał natomiast czystego, jasnego uczucia, że nie jest już sam. Przestał się bać. Zniknął też rządzący nim do tej pory pierwotny instynkt każący mu tylko i wyłącznie uciekać. Zrobił krok naprzód, odbijając się od stołu wolną ręką. Zamachnął się młotkiem zza prawego ramienia i rzucił nim w momencie, gdy wilk odrywał się od podłogi.

Spodziewał się, że młotek wywinie kozła i był absolutnie pewien, że przeleci nad łbem atakującego zwierzęcia. Jakieś tysiąc lat temu, jako uczeń szkoły Lincoln Park, narzucał w szkolnej drużynie baseballowej i nadal pamiętał wrażenie, jakiego doznawał w chwili wypuszczenia z dłoni piłki, która miała przejść o wiele za wysoko. Żadne z tych nieszczęść jednak nie nastąpiło. Nie walczył Excaliburem, tylko zwykłym młotkiem Craftsman z gumową, poprawiającą uchwyt wykładziną na trzonku, lecz jego broń nie wywinęła kozła i nie przeleciała nad łbem wilka.

Zwyczajnie i po prostu walnęła go wprost między ślepia.

Rozległ się taki odgłos, jakby ktoś upuścił cegłę na dębowy kłoc. Zielony płomień zgasł w ślepiach zwierzęcia jak zdmuchnięty; zmieniły się martwe kamyki, jeszcze nim z pękniętej czaszki popłynął cienki strumyczek krwi. Ciało wilka uderzyło Johnny'ego w pierś, cisnęło nim o stół, wywołując jaskrawy błysk bólu w mocno nadużytych krzyżu. Przez chwilę czuł zapach wilka, suchy, niemal cynamonowy, przypominający zapach olejków, używanych przez Egipcjan do konserwowania ciał zmarłych, przez moment krwawy pysk dotykał jego twarzy, szczerząc bezsilne zęby, które powinny przecież rozerwać mu gardło. Johnny widział z bliska wywieszony jęzor i ukrytą pod sierścią starą bliznę w kształcie półksiężyca.

Potem trup wilka upadł mu u stóp niczym coś ciężkiego, zapakowanego w stary koc.

Dysząc i zataczając się, Johnny cofnął się o krok. Pochylił się, podniósł młotek i nagle odwrócił się tak niezdarnie, że omal przy tym nie upadł, pewien, że wilk właśnie zerwał się na wszystkie cztery łapy i zaraz znów go zaatakuje. Niemożliwe, żeby dał się ukatrupić nędznym lekkim młotkiem, nie, to całkiem niemożliwe, przecież sam czuł, że młotek leci za wysoko, nie ma mowy, mała, mięśnie pamiętają rzut, po którym piłka szła wprost w tylny aut, pamiętają go doskonale.

Wilk leżał tam, gdzie padł.

Czyżby nadszedł czas głębszego przemyślenia kwestii Boga Davida Canera? - spytał go głos Terry. Teraz już Terry przemawiała do niego stereo; miała swoje miejsce w jego głowie i miała swoje miejsce pod tabliczką z napisem MUSISZ WŁOŻYĆ KASK!

- Nie - odparł jej głośno Johnny. - Po prostu miałem szczęście. Szansa jedna na tysiąc, jak wtedy, kiedy na jarmarku wygrywa się wbrew wszystkiemu wielką pluszową pandę dla dziewczyny.

Zdaje się, że byłeś pewien, iż rzuciłeś za wysoko.

- No więc pomyliłem się. Prawda, że się pomyliłem? Przecież kiedyś co najmniej pięć razy dziennie powtarzałaś mi, że nic, tylko się myślę, ty cholerna dziwko. - Zdumiało go brzmienie własnego głosu, ochryplego jak od szloch. - Czy nie ten refren wyśpiewywałaś nieustannie podczas trwania naszego cudownego związku? "Pomyliłeś się, Johnny, pomyliłeś się, Johnny, nic tylko się mylisz, Johnny, wszystko pieprzysz, Johnny".

Zostawiłeś ich - stwierdziła Terry i tym, co go powstrzymało, nie była pogarda w jej głosie (w końcu był

to przecież tylko jego głos, jego umysł robiący mu starą, parlamentarną sztuczkę, izba reprezentantów przeciw senatowi), lecz brzmiąca w nim rozpacz. - *Zostawiłeś ich, żeby zdychali. Co gorsza, zaprzeczasz istnieniu Boga zaraz po tym, jak go wezwalesz i jak odpowiedział na twoje wezwanie. Jakim ty jesteś człowiekiem, Johnny?*

- Jestem człowiekiem, który potrafi rozpoznać różnicę między Bogiem a szybkim prostym narzutem - wyjaśnił kobiecie o rudo-blond włosach i dziurze po kuli w białym laboratoryjnym fartuchu. - A także człowiekiem wystarczająco obytym w świecie, by brał, kiedy dają.

Czekał na odpowiedź Terry, lecz Terry mu nie odpowiedziała. Rozważył to, co się przed chwilą zdarzyło, używając daru swej zdumiewającej pamięci i ta właśnie pamięć upewniła go, że działało tylko jego ramię, które najwyraźniej nie całkiem zapomniało, jak narzucić dobrą szybką prostą piłkę, oraz zwykły młotek Craftsman. I po co błękitne światło błyskawicy? Po co efekty specjalne niczym z filmów Cecila B. DeMille'a? Po co londyńscy filharmonicy piłujący struny tysiąca skrzypiec, by zbudować od początku do końca oszukańczy nastrój? Strach, pustka, rozpacz; czuł je, owszem, lecz były to wyłącznie przelotne uczucia, było, minęło. Teraz pozostało mu już tylko pozabawić terenowy samochódzik towarzystwa przyczepki na próbki przez wybite trzpień, do czego mały młotek Craftsman przyda mu się w sam raz. A potem wystarczy wcisnąć gaz do dechy i wreszcie wydostanie się z tego straszego zadu...

- Nieźle, asie - rozległ się głos od strony drzwi.

Johnny obrócił się błyskawicznie. W drzwiach stał chłopiec, David. Przyjrzał się wilkowi, a potem uniósł poważną twarz i spojrzał na pisarza.

- Miałem szczęście - powiedział Johnny.

- Twoim zdaniem była to kwestia szczęścia?

- Ojciec wie, że się im urwalesz, Davidzie?

- Wie.

- Jeśli przyszedłeś, by nakłonić mnie do pozostania, masz cholernego pecha.

Johnny pochylił się nad złączką między samochodem a przyczepką. Spróbował wybić trzpień, ale spudłował straszliwie i tylko rąbnął prawą ręką w metalowy kątownik. Wrzasnął przeraźliwie. Skaleczone palce natychmiast wsadził w usta. Tym samym młotkiem trafił atakującego wilka wprost między ślepią i...

Postanowił nie myśleć. Wyjął palce z ust, mocniej zacisnął dłoń na gumowej okładzinie trzonka i spróbował jeszcze raz. To uderzenie było lepsze - nie w dziesiątkę, o nie, ale wystarczająco blisko, by trzpień wyskoczył ze złączki i potoczył się wprost pod nogi martwej kobiety w laboratoryjnym fartuchu, wyglądającej kropka w kropkę jak Terry.

Tego też nie mam zamiaru nadinterpretować.

- Jeśli przyszedłeś podyskutować na tematy teologiczne, to masz podobnego cholernego pecha - stwierdził Johnny. - Jeśli jednak jesteś tu, by towarzyszyć mi w drodze do Austin...

Przerwał. Zauważył, że chłopiec trzyma coś w dłoni i że mu to coś podaje. Pomiędzy nimi, na podłodze laboratorium, leżał martwy wilk.

- A to co? - spytał Johnny, choć przecież wiedział.

Wzrok dopisywał mu całkiem dobrze.

Nagle poczuł suchość w ustach. Dlaczego mnie ścigasz? - pomyślał ni z tego, ni z owego. Nie wiedział, kogo właściwie ma na myśli, lecz jednego był pewien: nie chłopca. - Dlaczego nie zgubisz mego tropu? Zostaw mnie w spokoju.

- Twój portfel - odparł David, patrząc mu wprost w oczy. - Wypadł ci z kieszeni w półciężarówce Steve'a. Przyniosłem ci go. Są w nim wszystkie twoje dowody tożsamości. Będą pod ręką na wypadek, gdybyś zapomniał, kim jesteś.

- Bardzo zabawne.

- Wcale nie żartuję.

- Więc czego właściwie chcesz? - spytał Johnny schrypniętym głosem. - Nagrody? Jasne, nie ma sprawy. Zapisz mi adres, przyślę ci dwadzieścia dolarów albo egzemplarz książki z autografem. Chcesz kartę baseballową podpisaną przez Alberta Belle'a? To się da załatwić. Spełnię wszystkie twoje życzenia. Czego sobie życzysz?

Chłopiec przyjrzał się martwemu wilkowi.

- Niezły strzał jak na faceta, który z dziesięciu centymetrów nie potrafi trafić w trzpień.

- Zamknij się, cwaniaczku. Przyjdź tu z portfelem, jeśli jedziesz ze mną, rzuć mi go, jeśli zostajesz, albo po prostu zachowaj go sobie na pamiątkę.

- Jest w nim jedno zdjęcie. Twoje i dwóch innych gości stojących przed czymś, co nazywało się "Strażnica Wietkongu". Barem, chyba?

- Tak, barem. - Johnny niespokojnie zacisnął dłoń na trzonku młotka. Niemal nie czuł kłującego bólu w skaleczonych kostkach palców. - Ten wysoki facet to David Halbestram. Bardzo znany pisarz. Historyk. Wielki wielbiciel baseballu.

- Bardziej zainteresował mnie zwykleszy facet w środku - stwierdził David i nagle jakąś częścią umysłu, częścią ukrytą bardzo, bardzo głęboko Johnny uświadomił sobie, do czego mały zmierza. Ta część jego umysłu jęknęła w rozpaczliwym proteście. - Facet w szarym podkoszulku z czapczką Jankesów na głowie. Ten facet pokazał mi Chińską Jamę z mojej Strażnicy Wietkongu. Ten facet był tobą.

- Ale gówno. Takie samo cholerne gówno jak to, którym chlapałeś, od kiedy...

Cichym, zdumiewająco czystym głosem, nadal wyciągając rękę z portfelem w jego stronę, David Carver zaśpiewał: "Powiedziałem doktorze... panie doktorze..."

Johnny poczuł się nagle tak, jakby wielka pięść trafiła go w sam środek klatki piersiowej. Młotek wypadł mu z dłoni.

- Przestań - szepnął.

- "Niech mi pan powie... co mi dolega... a on na to tak, tak, tak..."

- Przestań! - wrzasnął Johnny, ile sił w płucach.

Radio plunęło długą serią zakłóceń.

John Edward Marinville poczuł się tak, jakby w jego ciele coś zaczęło się poruszać. Jakby w jego ciele coś strasznego zaczęło się obsuwać, niczym lawina ruszająca po powierzchni, która wyglądała solidnie. Dlaczego ten chłopiec musiał do niego przyjść? Oczywiście dlatego, że został przysłany. To nie była jego wina. Właściwie pytanie brzmiało zupełnie inaczej - dlaczego jego straszliwy Pan nie zostawi ich obu w spokoju?

- The Rascals - powiedział David. - Tylko, że wtedy ciągle jeszcze byli The Young Rascals. Wokalista: Felix Cavaliere. Bardzo dobre. To tę piosenkę grali, kiedy umarłeś, prawda, Johnny?

Obrazy ruszyły lawiną w umyśle Johnny'ego, podczas gdy Felix Cavaliere śpiewał "Czuję się tak źle". Południowowietnamscy żołnierze, wielu z nich wzrostu amerykańskich szóstoklasistów, zagląający trupom między pośladki, szukający tam zaginionych skarbów, obrzydliwa uczta sępów w obrzydliwie sępiej wojnie, *can tah* w *can tak*, powrót do Terry z chorobą weneryczną i na narkotycznym głodzie, potrzebował działki tak bardzo,

że niemal odchodził od zmysłów, uderzył ją w twarz, bo powiedziała coś sprytnego o wojnie (jego wojnie, tak do niego powiedziała, jakby to on wymyślił tę cholerę), uderzył ją tak mocno, że krew pociekła jej z nosa i ust, i choć ich małżeństwo ciągnęło się dalej, mniej lub bardziej kulawo, przez jakiś rok, tak naprawdę skończyło się przy wyjściu B terminalu United na lotnisku La Guardia, wybuchło w trzasku tego uderzenia, kiedy Entragian kopał go, wijącego się po asfalcie szosy numer pięćdziesiąt, to nie kopał ani lwa literatury, ani zdobywcy National Book Award, ani jedyne białego pisarza Ameryki, który coś znaczy, lecz brzuchatego starucha w przepłaconej motocyklowej kurtce, winnego Bogu śmierć jak wszyscy inni ludzie, i - wreszcie - obraz ostatni: Entragian mówiący, że książka Johnny'ego doprowadziła go do furii, do furii takiej, że aż mdło mu się robi.

- Nie wrócę - powiedział Johnny tym samym ochrypłym głosem. - Nie wrócę ani dla ciebie, ani dla Steve'a Amesa, ani dla twojego ojca, ani dla Mary, nie wrócę, nawet gdyby dawano mi cały świat. Nie wrócę. - Walnął młotkiem w przyczepkę na próbki, podkreślając tym gestem swój sprzeciw. - Słyszałeś, co mówię, Davidzie? Nie wrócę. Nie wrócę, nie wrócę, nie wrócę!

- Z początku nie rozumiałem, jakim cudem mogłeś to być ty - mówił dalej David, jakby w ogóle go nie słyszał. - Przecież właśnie od ciebie dowiedziałem się, że to Kraina Zmarłych. Ty jednak żyłeś. Przynajmniej wtedy tak sądziłem. Nawet po tym, jak zobaczyłem bliznę. - Wskazał na przegub dłoni Johnny'ego. - Umarłeś... kiedy? W sześćdziesiątym szóstym? Sześćdziesiątym ósmym? Przypuszczam, że to bez znaczenia. Kiedy człowiek przestaje się zmieniać, przestaje czuć, wtedy umiera. Później, ilekroć próbowałeś się zabić, tylko doganiałeś los, prawda?

I mały chłopiec uśmiechnął się do niego z sympatią, której nie sposób opisać, taka była niewinna, taka szczerą, taka bezinteresowna.

- Johnny - powiedział David Carver. - Bóg może wskrzeszać z martwych.

- O Jezu, nie mów nic - szepnął John Edward Marinville. - Nie chcę zostać wskrzeszony. Jego głos dobiegał go jednak z daleka, jakimś przedziwnym echem, jakby rozpadał się w sposób niezrozumiały, lecz ostateczny. Jakby pękał niczym łupki.

- Za późno. Już zostałeś wskrzeszony.

- Pieprz się, mały mój bohaterze, ja jadę do Austin. Słyszysz? Jadę do pieprzonego Austin!

- Tak będzie tam przed tobą - ostrzegł spokojnie David.

W wyciągniętej ręce nadal trzymał portfel, portfel ze zdjęciem Johnny'ego, Davida Halberstama i Duffy'ego Pinette'a, stojących przed tą nędzną dziurą, "Strażnicą Wietkongu". Cholerna dziura, ale mieli najlepszą szafę grającą w całym Wietnamie. Wurlitzera. Johnny bez najmniejszego problemu przypomniał sobie teraz smak piwa Kirin i The Rascals, szaloną perkusję, organy jak sztylet i to, jak było gorąco, jak zielono i jak gorąco, słońce niczym grom, ziemia pachnąca piczką po każdym deszczu i ta piosenka dobiegająca zewsząd, z każdego klubu, z każdego radia, każdej szafy grającej w każdej zasranej dziurze, w pewien sposób była ona Wietnamem: "Czułem się tak źle, wezwałem doktora, spytałem, co mi jest..."

To tę piosenkę grali, kiedy umarłeś, prawda, Johnny?

- Austin - wyszeptał słabym, gasnącym głosem. Nadal miał to uczucie dwoistości. Uczucie rozdwojenia.

- Jeśli teraz odjedziesz, Tak będzie na ciebie czekać nie w jednym, lecz w wielu miejscach - dodał David, nieprześlągany strażnik w jego prywatnym więzieniu. W wyciągniętej dłoni nadal trzymał portfel, grób strasznego zdjęcia. - Nie tylko w Austin, lecz w pokojach hotelowych, w salach wykładowych, na wystawnych kolacjach, na których rozmawia się o książkach i mądrych rzeczach. Kiedy będziesz z kobietą, ty ją rozbierzesz, lecz Tak będzie

się z nią kochał. A najgorsze jest to, że możesz w ten sposób przeżyć bardzo wiele lat. Będziesz *can de lach*, sercem nieuformowanego. Będziesz *mi him can ini*, pustą studnią oka.

“Nie będę!” - próbował krzyknąć Johnny, lecz tym razem nie udało mu się wydobyć głosu, a kiedy jeszcze raz rąbnął w przyczepkę, młotek wypadł z jego bezsilnej nagle dłoni. Mięśnie ud osłabły mu gwałtownie, kolana ugięły się pod nim, upadł na klęczki i z gardła wydarł mu się zduszony szloch. Rozdwojenie - dwoistość - odczuwał z coraz większą siłą; z rozpaczą, lecz i z rezygnacją przyjął wreszcie do wiadomości, że jest to uczucie prawdziwe. Że całkiem dosłownie dzieli się na dwoje. Oto John Edward Marinville nie wierzący w Boga i nie pragnący, by Bóg uwierzył w niego, marzący wyłącznie o tym, by uciekać, doskonale pojmujący, iż Austin jest tylko pierwszym przystankiem na trasie tej ucieczki. Oto Johnny, bardzo pragnący zostać. Więcej, bardzo pragnący walczyć. Johnny wystarczająco zaawansowany w tym szalonym supernaturalizmie, by chcieć umrzeć w imię Boga Davida, spalić sobie w Jego imię mózg, odejść niczym ćma igrająca z lampą naftową.

Samobójstwo! - krzyknęło jego serce. - Samobójstwo! Samobójstwo!

Południowowietnamscy żołnierze, ślepi wojenni optymiści, szukający diamentów między pośladkami trupów. Pijak z butelką piwa w dłoni wylazący z hotelowego basenu, śmiejący się do strzelających fleszy aparatów fotograficznych. Krew ciekąca z nosa Terry i jej szeroko otwarte w szoku oczy, a głos z nieba oznajmia, że pasażerowie lotu 507, United Airlines do Jacksonville, proszeni są o udanie się do wejścia B-7. Gliniarz kopiący go, wijącego się po białej linii na dwupasmowej pustynnej drodze. “Doprowadza mnie to do szaleństwa. Doprowadza mnie to do mdłości!”

Johnny poczuł, jak opuszcza swe ciało, poczuł, jak chwytają go dłonie nie będące jego dłońmi, jak wyjmują go z ciała niczym drobne z kieszeni. Jak duch stał obok klęczącego mężczyzny. Dostrzegł, że klęczący mężczyzna wyciąga ręce.

- Wezmę go - powiedział klęczący mężczyzna. Płakał. - Wezmę portfel, a co mi tam, oddaj go.

Widział, jak chłopiec podchodzi do klęczącego mężczyzny i jak klęka obok niego. Widział, jak klęczący mężczyzna bierze portfel i wkłada go do przedniej kieszeni dżinsów, pod skórzane motocyklowe legginsy, by móc złożyć ręce tak, by stykały się palcami... tak jak to zrobił chłopiec.

- Co mam powiedzieć? - spytał z płaczem klęczący mężczyzna. - Davidzie, proszę, powiedz mi; jak zacząć, co mam powiedzieć?

- Tylko to, co czujesz w sercu - odparł chłopiec i wówczas duch dał sobie spokój i wrócił do ciała.

Jasność jak napalm rozświetliła świat, rozświetliła również Johnny'ego. Usłyszał głos Felixa Cavaliere'a śpiewającego: “Powiedziałem mała, jedno tylko się liczy, gdy ja jestem chory, możesz mnie wyleczyć”.

- Pomóż mi, Boże - zaczął Johnny, unosząc dłonie na wysokość oczu, by dobrze się im przyjrzeć. - O Boże, proszę, pomóż mi. Pomóż mi zrobić to, po co zostałem wysłany, pomóż mi znów być całym, pomóż mi żyć. Boże, pomóż mi znowu żyć.

2

Dorwę cię, suko - pomyślał z tryumfem Tak. Początkowo szanse na sukces miał niewielkie. Tuż pod szczytem nasypu kopalni znalazł się wprawdzie zaledwie jakieś dwadzieścia metrów od *os pa* - nędzne dwadzieścia metrów - suka wydusiła jednak z siebie jeszcze trochę i na samą górę dotarła pierwsza. Potem, mając

już z górki, Mary bardzo szybko powiększyła dystans: z dwudziestu metrów do sześćdziesięciu, z sześćdziesięciu do stu pięćdziesięciu. Mary mogła oddychać głęboko, ciało Mary radziło sobie z długim tlenowym organizmem, w odróżnieniu od ciała Ellen Carver, które gwałtownie traciło zdolność zarówno do jednego jak do drugiego. Krwawienie z pochwy zmieniło się w potop, który miał zabić ciało Ellen w ciągu najbliższych mniej więcej dwudziestu minut... lecz jeśli Tak dopadnie Mary, nie ma przecież znaczenia, jak bardzo krwawiły doczesne szczątki Ellen, będzie miał się dokąd przenieść. W momencie przekraczania krawędzi nasypu coś jednak pękło w płucu Ellen. Teraz za każdym wydechem z nosa i ust tryskała już nie mgiełka, lecz strumienie krwi zmieszanej z tkanką. Ciało nie otrzymywało wystarczającej ilości tlenu, by kontynuować pościg; nie przy jednym ledwie pracującym płucu.

I nagle zdarzył się cud. Biegąc za szybko jak na takie nachylenie terenu i próbując jednocześnie obejrzeć się za siebie, obrzydliwa suka potknęła się o własne nogi i runęła przepięknie na żwir szczupakiem. Przejechała niemal trzy metry, nim się zatrzymała, pozostawiwszy po sobie wryte ciemne ślady jak koleiny. Nie wstała, leżała twarzą w dół, z wyciągniętymi rękami, drżąc na całym ciele. W świetle gwiazd jej dłonie wyglądały jak blade ryby, pozostałe na plaży po przypląwie. Tak dostrzegł, że próbuje podciągnąć kolano; udało się jej to, częściowo, a potem noga wyprostowała się pozornie sama z siebie i znieruchomiła.

Teraz! Teraz! Tak ah wan!

Tak zmusił ciało Ellen do czegoś w rodzaju biegu, ryzykując resztki jego energii, postawił na jego zręczność, mającą zapobiec upadkowi podobnemu do upadku tej suki. Oddech Taka przechodził przez gardło Ellen z dźwiękiem przypominającym mokry gulgot, niczym tłok poruszający się w gęstym oleju. Zmysły Ellen traciły powoli swą wysoką rozdzielczość, gotowe lada chwila całkowicie odmówić posłuszeństwa. Ellen miała jednak wytrzymać jeszcze trochę. Jeszcze troszeczkę. A troszeczkę to wszystko, czego Tak potrzebował.

Sto czterdzieści metrów.

Sto dwadzieścia metrów.

Tak zbliżał się do leżącej na drodze kobiety, wyrzaskując swój niemy okrzyk tryumfu.

3

Mary słyszała, jak coś się do niej zbliża, coś wykrzykującego nonsensowne słowa zduszonym, bełkotliwym głosem. Słyszała uderzenia butów o żwir. Słyszała, że się zbliżają. A jednak wydawało się jej to nieważne. Wydawało się jej snem. Bo przecież musi być snem, prawda?

Wstawaj, Mary. Musisz wstać.

Obejrzała się i dostrzegła coś przerażającego, lecz z pewnością rzeczywistego, co rzucało się na nią. Włosy tego czegoś powiewały dookoła głowy. Jedno oko pękło. Z każdym oddechem z ust tryskał strumień krwi. Na twarzy zaś to coś miało wyraz zwierzęcej, potwornej bezmyślności, bezmyślności drapieżnika stawiającego wszystko na jedną kartę, jeden skok.

Wstawaj, Mary! Wstawaj!

- Nie mogę, wszystko mnie boli i tak czy inaczej jest już za późno - jęknęła w odpowiedzi głosowi, lecz, jeszcze jęcząc, już zginała kolano, by podciągnąć je pod ciało.

Tym razem cud nastąpił i mogła się już unieść. Kolana stanowiły teraz jej środek ciężkości, a ona

próbowała ten ostatni raz przezwyciężyć siłę grawitacji.

To, co niegdyś było Ellen, osiągnęło najwyższą możliwą szybkość. Zbliżając się do Mary, jednocześnie niemal eksplodowało z ubrania. I wyło, wyło zduszonym przez zalewającą krew wyciem wściekłości i pragnienia.

Mary wstała. Ona też krzyknęła, kiedy coś rzuciło się na nią, kiedy wyprostowana ręka dotknęła jej ciała. Skoczyła przed siebie w pełnym pędzie, oczy wyszły jej z orbit, usta otwarte miała szeroko niczym w kolejnym, tym razem niemym krzyku.

Dłoń, chorobliwie gorąca, trafiła ją między łopatki. Palce próbowały uchwycić bluzkę. Mary zgarbiła się... i znów omal nie upadła, omal nie straciła równowagi. Na szczęście dłoń ześlizgnęła się z bluzki.

- Dziwka!

Słowo to wycharczane było gardłowym, nieludzkim głosem, a głos ten dobiegł tuż zza jej pleców! Tym razem chorobliwie gorąca dłoń chwyciła ją za włosy. Być może udałoby się resztkom Ellen je utrzymać, gdyby włosy Mary były suche, były jednak mokre od potu... praktycznie ociekały potem... Na moment poczuła jeszcze palce tego czegoś na szyi, a potem już ich nie czuła. Biegła w dół wydłużając krok, a strach wypierała z jej serca rosnąca, dzika radość.

Za plecami usłyszała łomot. Zaryzykowała i obejrzała się. Coś, co kiedyś było Ellen Carver, upadło ciężko. Leżało na zwirze, a jego dłonie otwierały się i zamykały, jakby nadal spodziewały się chwycić Mary, której udało się umknąć im dosłownie w ostatniej sekundzie.

Odwrociła się, całą swą uwagę skupiając na migającym żółtym świetelku. Znacznie teraz bliższym... poza nim dostrzegła także inne światła, tak, bez wątplenia były to zbliżające się reflektory samochodu. Skupiła się na nich i pobiegła w tamtą stronę.

Nie zauważyła wielkiego ciemnego kształtu, który cicho przemknął nad jej głową.

4

Wszystko skończone.

A był tak blisko. Dotknął nawet włosów tej suki. W ostatniej chwili jednak Mary udało się umknąć i gdy zaczęła się oddalać, nogi Ellen splątały się, a jej ciało upadło. Tak słyszał, jak coś się w nim przy tym upadku przerywa ostatecznie i nieodwołalnie. Przekręcił je na bok, dłońmi Ellen łapał powietrze, jakby mógł się go uchwycić.

Przewrócił się na plecy Ellen. Patrzył w usiane gwiazdami niebo, jęcząc z bólu i nienawiści. Przegrać, kiedy było się tak blisko!

To wówczas zobaczył ciemny kształt na niebie, formujący wśród gwiazd zarys czarnego krzyża. Nagle poczuł przypływ nadziei.

Myślał o wilku, lecz porzucił myśl o nim, bowiem wilk był za daleko, popełnił jednak błąd, wierząc, że to zwierzę jest jedynym naczyniem *can toi*, zdolnym utrzymać go choćby przez krótki czas.

Było jeszcze to.

- *Mi him* - wyszeptał niewyraźnym, stłumionym płynącą krwią głosem. - *Can de lach, mi him, min en tow.*

Tak!

Przybądź do mnie. Przybądź do Taka, przybądź do starej istoty, przybądź do serca nieufornowanych.

Przybądź do mnie, naczynie.

Wyciągnął ramiona umierającej Ellen. Spłynął na nie orzeł i zachwyconymi ślepiami wpatrzył się w twarz umierającego Taka.

5

- Nie patrz na ciała - przestrzegł Johnny, zajęty odpychaniem przyczepki na próbki od terenowego samochodu. Przy pomocy Davida.

- Możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru - odparł chłopiec. - Widziałem tyle ciał, że mam dość na całe życie.

- Chyba to nam starczy.

Johnny ruszył w kierunku samochodu i potknął się o coś. David złapał go za ramię, choć groźbę upadku trudno było uznać za realną.

- Uważaj, dziadku.

- Ale masz gadane, mały.

Johnny potknął się o młotek. Podniósł go i już miał wyrzucić, lecz w ostatniej chwili zmienił plany, więc wsadził trzonek za pasek skórzanych motocyklowych legginsów, tak brudnych i zakrwawionych, że naprawdę upodobniły się do swych kowbojskich przodków. Młotek jakoś dziwnie do nich pasował.

Po prawej stronie blaszanych drzwi garażu znajdowała się kontrolka. Johnny przycisnął niebieski guzik opisany jako "Góra", w duchu przygotowany na nową porcję kłopotów, drzwi podniosły się jednak gładko. Do garażu wpłynęło wypełnione zapachem szałwi nocne powietrze, czyste i słodkie, wręcz niebiańskie. Chłopiec wciągnął je głęboko w płuca i odwrócił się do swego towarzysza.

- Fajne - skomentował z uśmiechem.

- Jasne. Dobra, wskakuj do tej ślicznotki. Zabieram cię na przejażdżkę.

David wspiął się na siedzenie pasażera samochodziku przypominającego najbardziej wysoko zawieszony, nieco przyduży wózek golfowy. Johnny przekręcił kluczyk; silnik zaskoczył od razu. Kiedy wyjeżdżali na ulicę, przyszło mu do głowy, że nic z tego nie dzieje się naprawdę, że to tylko jakiś odprysk pomysłu na nową powieść. Powieść fantastyczną, a może nawet zwykły, prosty horror, w każdym razie coś nowego w dorobku Johna Edwarda Marinville'a. Nie z takiego materiału powstaje prawdziwa literatura? I co z tego? Posunął się w latach, jeśli zatem pragnie wziąć siebie mniej serio niż dotychczas, to chyba ma do tego absolutne prawo. Zarzucać sobie na ramię każdą kolejną książkę niczym plecak wypełniony kamieniami, a potem gnać z nią pod górę... przecież to nie ma sensu. Dobra zabawa dla gówniarzy, dla jakichś pieprzonych rekrutów, lecz te szczęśliwe dni on zostawił już daleko za sobą. Co zresztą sprawiło mu sporą ulgę.

Nic z tego nie jest rzeczywiste, nic a nic, nie, nie ma mowy. Tak naprawdę siedzi sobie teraz w swym starym kabriolecie, zabrał na przejażdżkę syna, dziecko wieku średniego. Jadą do "Milly's" na Times Square. Zaparkują przy budce z lodami, zjedzą po porcji, może opowie dzieciakowi kilka mrozących krew w żyłach historii ze swego dzieciństwa, nie tyle jednak, by go znudzić, dzieci mają słabą tolerancję na opowieści zaczynające się od słów: "Kiedy byłem w twoim wieku...", pewnie doskonale zdaje sobie z tego sprawę każdy tata, któremu zdarzyło się spojrzeć dalej niż koniec własnego nosa, zdaje sobie z tego sprawę, no więc jedna, najwyżej

dwie, na przykład jak zaczął grać w baseball po prostu po to, żeby się wyszumieć, i niech mnie diabli jeśli trener...

- Johnny? Nic ci nie jest?

Johnny uświadomił sobie nagle, że cofnął samochodzik prawie na drugą stronę ulicy i teraz tak sobie w nim po prostu siedzi; wcisnął sprzęgło, silnik chodzi na jałowych obrotach...

- Co? Nie, nic mi nie jest.

- O czym myślałeś?

- O dzieciach. Jesteś pierwszym, z którym siedzę w samochodzie od czasu... Chryste, od czasu, kiedy mój najmłodszy poszedł do Duke. Niezły z ciebie numer, Davidzie. Masz lekką obsesję na punkcie Boga, ale poza tym niezły z ciebie numer.

- Dziękuję za komplement - uśmiechnął się David.

Johnny cofnął samochodzik jeszcze trochę, skręcił kierownicę i wrzucił jedynkę. Wysoko umieszczone światła omiotły Główną; w ich blasku dostrzegł dwie rzeczy. Gnom z dzbanem złota siedzący niegdyś na dachu "Bud's Sud" spadł na ulicę. Półciężarówka Steve'a odjechała.

- Jeśli zrobili to, o co prosiłeś, są pewnie w drodze tam, na górę.

- Kiedy znajdą Mary, poczekają na nas.

- A jak myślisz, znajdą ją?

- Jestem prawie pewny, że tak. I jestem prawie pewny, że nic jej nie będzie. - David spojrzał na Johnny'ego i tym razem uśmiechał się szeroko. Był to bardzo piękny uśmiech. - Jestem też prawie pewny, że wyjdiesz cało z tej przygody. Może nawet o niej napiszesz?

- Piszę przeważnie o tym, co mi się przydarzyło. Ozdabiam to tu i tam i jakoś leci. Ale teraz... nie wiem.

Mijali właśnie "The American West". Johnny pomyślał o Audrey Wyler leżącej pod ruiną balkonu. O tym, co z niej zostało.

- Davidzie, słuchaj... ile było prawdy w tym, co opowiedziała nam Audrey?

- Większość. - Chłopiec też przyglądał się kinu. Odwrócił nawet głowę, by móc patrzeć na nie nieco dłużej, a potem spojrzał na Johnny'ego. Twarz miał zamyśloną i chyba smutną. - Ona wcale nie była zła, wiesz. To, co się jej przydarzyło, to jak z ofiarami lawiny albo powodzi. Coś takiego.

- Ręka boska?

- Tak.

- Ręka naszego Boga? Twojego i mojego?

- Tak.

- A Bóg jest okrutny.

- Jeszcze raz tak.

- Wiesz, jak na dziecko myślisz dobrze i jesteś cholernie twardym facetem.

Minęli ratusz. To tu zginęła siostra Davida, a jego matka została porwana, by w końcu utonąć w oceanie jakiejś przeraźliwej nocy. David przyjrzał się Johnny'emu; jego oczy nie wyrażały uczuć, które Johnny byłby w stanie odczytać. Podniósł dłonie i przeciągnął nimi po twarzy. Ten gest sprawił, że znów wyglądał na swoje lata. Johnnym wstrząsnęła świadomość tego, jaki jest młody.

- Bardziej twardym, niżbym chciał - odparł David. - Wiesz, co Bóg powiedział Hiobowi, kiedy wreszcie znudziły go jego żale?

- Mniej więcej tyle, żeby się od niego odczepił, prawda?

- Owszem. A chcesz usłyszeć coś naprawdę złego?

- Nie mogę się doczekać.

Samochód przejechał kilka nawianych przez wiatr wydm, podskakując przy tym, aż szczękali zębami. Johnny widział już przed sobą granicę miasteczka. Bardzo pragnął przyspieszyć, ale prowadzenie na każdym biegu powyżej drugiego graniczyło z lekkomyślnością ze względu na ograniczony zasięg świateł. Może i byli w rękę Boga, ale Bóg przecież wielokrotnie udowydniał, że najchętniej pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Zapewne stąd ten młotek.

- Mam przyjaciela. Nazywa się Brian Ross. Jest moim najlepszym przyjacielem. Raz zrobiliśmy nawet Partenon z kapsli od butelek.

- Żartujesz.

- Nie żartuję. Tata Briana trochę nam pomógł, ale właściwie zrobiliśmy go sami. W sobotę, późno wieczorem, lubiliśmy oglądać stare horrory. Te czarno-białe. Naszym ulubionym potworem był Boris Karloff. "Frankenstein" jest fajny, ale "Mumia" bije go na głowę. Mówiliśmy sobie różne rzeczy. "O cholera, mumia nas ściga, lepiej przyspieszmy kroku". Takie trochę niesamowite, ale dla zabawy. Rozumiesz?

Johnny uśmiechnął się i skinął głową.

- No, w każdym razie Brian miał wypadek. Jechał na rowerze do szkoły i pijak go potracił. Wyobrażasz sobie? Za piętnaście ósma rano, a gość jest tak pijany, że nie może ustać na nogach. Czy to możliwe?

- Jasne. Oczywiście, że możliwe. Możesz mi wierzyć na słowo.

David przyjrzał się Johnny'emu z uwagą, przez chwilę milczał, a potem skinął głową.

- Brian zranił się w głowę. Poważnie. Pęknięta czaszka, uszkodzony mózg. Zapadł w śpiączkę. Lekarze twierdzili, że umrze. Ale...

- Pozwól, że dopowiem resztę - przerwał mu Johnny. - Poprosiłeś Boga, żeby twój przyjaciel wyzdrowiał, i bingo, w dwa dni później chodził już o własnych siłach, chwalmy Pana, alleluja, amen.

- Nie wierzysz mi?

Johnny roześmiał się wesoło.

- Ależ oczywiście, że wierzę. Po tym, co przytrafiło mi się dziś wieczorem, taki drobiazg wydaje się całkiem zwykły i normalny.

- Poszedłem się pomodlić na miejsce, które było czymś wyjątkowym dla mnie i dla Briana. Takiej platformy, którą wybudowaliśmy na drzewie. Nazwaliśmy ją "Strażnicą Wietkongu".

Johnny przyjrzał mu się poważnie.

- Nie żartujesz sobie ze mnie, prawda?

David potrząsnął głową.

- Już nie pamiętam, który z nas tak ją nazwał, nie mam pewności, ale tak właśnie ją nazwaliśmy. Myśleliśmy, że to z jakiegoś starego filmu, lecz jeśli tak, to nie pamiętam z jakiego. Mieliśmy znak i wszystko. To było nasze miejsce, tam poszedłem, powiedziałem... - przymknął oczy, pomyślał - ...powiedziałem: "Boże, ulecz go. Jeśli go uleczysz, zrobię coś dla Ciebie. Obiecuję". - Otworzył oczy. - Brian wyzdrowiał niemal natychmiast.

- A teraz płacisz. I to jest złe, prawda?

- Nie! Nie chodzi mi o płacenie. W zeszłym roku założyłem się z tatą, że Pacers wygrają mistrzostwo NBA, a kiedy nie wygrali, próbował zwolnić mnie z zakładu, powiedział, że jestem jeszcze dzieckiem, myślę sercem nie głową. Może miał rację...

- Najprawdopodobniej miał rację.

- ...ale i tak mu zapłaciłem. Bo to świństwo nie płacić długów i to świństwo nie zrobić tego, co obiecało się zrobić. - David pochylał się w tym momencie ku niemu i zniżył głos, jakby się bał, że Bóg go podsłucha. - Naprawdę złe było to, że Bóg wiedział, że tu przyjedziemy, i wiedział, co mam zrobić. Wiedział, co będę musiał wiedzieć, żeby to zrobić. Moi rodzice nie są religijni, do kościoła chodzą na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Do wypadku Briana ja też nie byłem religijny. Z całej Biblii znałem tylko fragment Ewangelii św. Jana ustęp trzeci, wers szesnasty, bo ten cytat zawsze mają na transparentach zellisi, chodzący po parku przy stadionie. "Bo Bóg pokochał świat".

Mijali winiarnię, tę, przed którą leżała przewrócona tablica. Wielkie butle z gazem wybuchły, wrywając boczną ścianę budynku; leżały teraz na pustyni jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów dalej. Przed nimi wznosił się pod niebo nasyp Chińskiej Jamy. W świetle gwiazd przypominał pobielany grób.

- Kim są zellisi?

- Maniacy religijni. Zeloci. Nazywał ich tak mój przyjaciel, wielbny Martin. Sądzę, że nie... sądzą, że coś mu się stało. - David zamilkł na chwilę i wpatrywał się w drogę. Nawiany wiatrem piasek upodobił ją do otaczającej ich pustyni. Wydmy pogłębiły się, ale nie stanowiły najmniejszego problemu dla ich samochodziku. - W każdym razie aż do wypadku Briana nie wiedziałem nic o Jakubie i Esau, o wielobarwnym płaszczu Józefa, ani o żonie Putyfara. Wtedy, dawno temu - Johnny doznał w tym momencie wrażenia, że to mówi dziewięćdziesięciolatek, opisujący dawne wojny i zapomniane bitwy - interesowało mnie głównie, czy Albert Belle dostanie tytuł Najwartościowszego Gracza ligi amerykańskiej.

Spojrzał na Johnny'ego. Twarz miał poważną.

- Złe nie było to, że Bóg postawił mnie w sytuacji, w której byłem jego dłużnikiem, tylko to, że skrzywdził Briana, żebym miał dług.

- Bóg jest okrutny.

Chłopiec skinął głową. Johnny dostrzegł, że jest bliski też.

- Pewnie, że okrutny. Może i lepszy od Taka, ale mimo wszystko wystarczająco groźny.

- Ale okrucieństwo Boga nas uszlachetnia... tak przynajmniej głoszą plotki, prawda?

- No... może.

- W każdym razie twój przyjaciel żyje.

- Żyje, ale...

- Może nie chodziło tylko o ciebie? Może pewnego dnia twój przyjaciel znajdzie lekarstwo na raka lub AIDS. Może wybije bez pudła w sześćdziesięciu kolejnych grach?

- Może.

- Davidzie, ta rzecz, tam... Tak... co to właściwie jest? Wiesz coś o nim? Jest może duchem Indian, jak manitou albo wendigo?

- Nie sądzą. Tak jest bardziej jak choroba niż duch czy demon. Indianie mogli nawet nie wiedzieć, że tam jest. Tak był na pustyni na długo przed nimi. Na bardzo długo. Tak jest stary, to nieuformowane serce. A to miejsce, gdzie żyje, po drugiej stronie przewężenia studni... wcale nie jestem pewien, czy to miejsce jest na Ziemi albo w ogóle w normalnej przestrzeni. Tak pochodzi z zewnątrz, jest od nas różny w tym stopniu, że nie potrafilibyśmy go nawet zrozumieć. David drżał lekko, a jego twarz wyraźnie pobladła. Być może był to efekt spowodowany światłem gwiazd, Johnny'emu wydawało się jednak, że nie.

- Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. Dobrze?

Chłopiec skinął głową, a potem wyciągnął palec, wskazując coś znajdującego się wprost przed nimi.

- Zobacz, tam stoi ryder. Z pewnością znaleźli Mary. Czy to nie cudowne?

- Jasne, że cudowne - zgodził się Johnny. Światła ciężarówki oddalone były od nich o niespełna kilometr, oświetlając podstawę wału kopalni. Jechali w ich kierunku w milczeniu, obaj zatopieni w myślach. Johnny myślał przede wszystkim o tożsamości; nie był w tej chwili pewny, kim właściwie jest. Obrócił się ku Davidowi, by spytać go, czy nie wie, skąd tu zdobyć jeszcze trochę sardynek - był tak głodny, że nie zmarszczyłby nosa nawet na talerz zimnej fasoli jasia - kiedy nagle, w głowie, bezgłośnie wybuchło mu oślepiające światło. Wyprostował się sztywno w fotelu kierowcy. Drżał na całym ciele. Krzyknął zduszonym głosem. Kąciki jego zaciśniętych ust opadły do tego stopnia, że twarz upodobniła się do maski klauna. Samochód zjechał na lewy pas i jechał dalej w krawędzi drogi.

Nie spadli z nasypu wprost na pustynię, bo David złapał kierownicę i skorygował kierunek jazdy. Johnny tymczasem zdążył już otworzyć oczy. Wcisnął hamulec; chłopiec poleciał na deskę rozdzielczą.

Zatrzymali się. Ich samochodzik stał pośrodku drogi niespełna dwieście metrów od zaparkowanego na niej rydera. Widzieli stojących na drodze, obserwujących ich ludzi oświetlonych czerwonym blaskiem świateł pozycyjnych.

- No, niech mnie - westchnął David. - Przez chwilę myślałem...

Johnny patrzył na niego, oszołomiony i zdumiony, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, a potem spojrział przytomniej i roześmiał się, nieco histerycznie.

- "No, niech mnie" to całkiem właściwe określenie sytuacji - powiedział cichym, niemal niesłyszalnym głosem człowieka, który przeżył właśnie ciężki szok. - Dzięki, Davidzie.

- Bóg ci spuścił bombę?

- Co?

- Wielką bombę. Jak na Saula w Damaszku, kiedy katarakta, czy co to tam było, spadła mu z oczu i mógł wiedzieć? Wielebny Martin nazywał to bombą Bożą. Właśnie ci wybuchła, nie?

Nagle Johnny wcale już nie pragnął patrzeć na Davida. Bał się tego, co chłopiec może wyczytać z jego wzroku. Więc utkwił spojrzenie w światła pozycyjne rydera.

Od razu dostrzegł, że Steve nie wykorzystał niezwykłej szerokości tej drogi, by zawrócić. Jego samochód nadal stał maską na południe. Oczywiście! Cwany Teksaszyk musiał podejrzewać, że to jeszcze nie koniec. Miał rację. David też miał rację, muszą wrócić do Chińskiej Jamy, ale mały wpadł też na inne pomysły, już wcale nie tak dobre.

A teraz oczy, Johnny - podpowiedziała mu Terry. - Pilnuj oczu, tak żebyś mógł spojrzeć mu w oczy i nawet nie mrugnąć. Wiesz, jak to zrobić, prawda ?

Och, jasne, wiedział doskonale. Pamiętał, co powiedział mu kiedyś jego stary nauczyciel angielskiego, a były to czasy, kiedy dinozaury chodziły po Ziemi i Ralph Houk był menedżerem nowojorskich Jankeśów. "Kłamstwo to fikcja - powiedział mu ten suchy stary dinozaur z cynicznym uśmiechem - fikcja jest sztuką, a więc sztuka jest niczym więcej niż kłamstwem".

A teraz, panie i panowie, odstepcie o krok i przygotujcie się na niezwykle widowisko, jakim będzie praktykowanie sztuki kłamstwa na tym oto młodym proroku.

Spojrzał na Davida, który patrzył na niego z troską, i skrzywił wargi w uśmiechu, najwyraźniej zawstydzony.

- To nie była żadna bomba - powiedział. - Przykro mi, jeśli czujesz się zawiedziony.

- Więc co?

- Miałem atak. Wszystko nagle zważyło się na mnie i miałem atak. Kiedyś miałem je co trzy, cztery miesiące. Niewinna epilepsja. Brałem lekarstwa i to mi pomogło. Kiedy zacząłem pić nałogowo, w wieku czterdziestu lat... no, raczej trzydziestu pięciu i chyba chodziło nie tylko o alkohol... ataki powróciły. Już nie takie niewinne. Właśnie przez nie regularnie próbowałem przestać pić i to mi się udało. Ten, którego byłeś właśnie świadkiem, to pierwszy od - przerwał, udając, że liczy - ...od prawie jedenastu miesięcy. Tym razem nie spowodowała go ani whisky, ani kokaina, tylko zwykły prosty stres.

Wrzucił bieg i przycisnął gaz. Nie chciał teraz patrzeć na chłopca; gdyby na niego spojrział, to po to, by sprawdzić, ile kupił z tej historii, ale wtedy mały prawie na pewno nie dałby się nabrać. Brzmiało to wprawdzie przeraźliwie paranoicznie, Johnny wiedział jednak, że ma rację. Chłopak był zdumiewający, trochę nawet przerażający... jak starotestamentowy prorok wracający właśnie ze starotestamentowej pustyni, ze skórą spaloną słońcem i mózgiem spalonym wiadomościami z najlepiej poinformowanego źródła, informacjami wprost od Boga.

Lepiej nie kusić licha, patrzeć przed siebie. Przynajmniej na razie.

Kątem oka widział, że David przygląda mu się nieco zdezorientowany.

- Czy to prawda, Johnny? - spytał w końcu. - Nie kantujesz mnie?

- Prawdziwa prawda. - Nadal nie patrzył mu w oczy. - Nie kantuję cię.

Mały powstrzymał się od dalszych pytań, lecz zerkał na niego co chwila. Johnny zorientował się nagle, że czuje te jego spojrzenia jak miękkie, zręczne palce obmacujące framugę okna w poszukiwaniu otwierającego je zatrzasku.

Rozdział 5

1

Tak siedział po północnej stronie nasypu kopalni. Pazury wbił w zgniłą korę dawno zwalonego drzewa. Swym - teraz oczywiście dosłownie orlim - okiem bez trudu dostrzegł stojące na drodze samochody. Widział nawet dwie osoby w terenówce: siedzącego za kierownicą pisarza i obok niego chłopca.

Zasranego Bożegochłopczyka.

A jednak jest tutaj.

A jednak obaj tu są.

Tak spotkał chłopca, na moment, w jego wizji. Próbował zawrócić go z drogi, przerazić, odesłać stąd, nim spotka się z tym, który go tu przysłał. Nie był w stanie tego dokonać. "Mój Bóg jest silny" - oznajmił mu chłopiec i najwyraźniej mówił prawdę.

Pozostało tylko sprawdzić, czy Bóg chłopca jest wystarczająco silny.

Terenowy samochód zatrzymał się w pewnej odległości od półciężarówki. Chłopiec i pisarz najwyraźniej ze sobą rozmawiali. *Dama* chłopca z bronią w ręku ruszył w kierunku ich samochodu, a potem zatrzymał się, bo samochód ruszył w jego stronę.

Połączyli się, oni wszyscy, ci, którzy ocaleli; połączyli się znów mimo wysiłków Taka.

A jednak nie wszystko było jeszcze stracone. Ciało orla nie przetrwa długo, godzinę, najwyżej dwie, teraz jednak było jeszcze świeże, mocne, gotowe do akcji - sprawna broń, którą Tak władał, jakby się w nim urodził. Rozpostarł skrzydła ptaka i wznosił się w powietrze w chwili, gdy *dama* i *damane* padli sobie w objęcia (błyskawicznie zapominał ludzkiej mowy; mały orli *can toi* nie był w stanie go używać, Tak musiał więc wrócić do prostszego, lecz potężnego języka nieufornych).

Zawrócił i prześlizgnął się nad otchłanią mroku, jaką była w tej chwili Chińska Jama, zawrócił raz jeszcze i spłynął ku czarnemu prostokątowi otworu sztolni. Skrzeknął krótko, pazury orla szukały tymczasem dobrego oparcia wśród żwiru. Trzydzieści metrów dalej płonął czerwonoróżowy płomień. Tak przyglądał mu się przez chwilę, pozwalając *an tak* wypełnić i uspokoić mały mózdzek ptaka. Potem w niezdarnych podskokach wszedł do sztolni. Niedaleko otworu, po lewej, znajdowała się mała nisza. Orzeł ukrył się w niej, stał nieruchomo z ciasno zwiniętymi skrzydłami.

Czekał.

Czekał na nich wszystkich, lecz głównie na Bożegochłopczyka.

Jedną potężną łapą orla rozerwie mu gardło, drugą wyrwie oczy; zasrany Bożychłopczyk umrze, nim którekolwiek z nich zda sobie sprawę z tego, co się stało. *Os dam* też nie zdąży zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje; umrze, nie wiedząc nawet, że umiera ślepy.

2

Steve zabrał ze sobą koc - stary, kraciasty, wypłowiały - by przykryć nim harleya, gdyby zaszła jednak konieczność przetransportowania motocykla szefa na Zachodnie Wybrzeże w półciężarówce. Kiedy dołączyli do nich Johnny i David, Mary siedziała okryta tym kocem niczym tartanowym szalem. Tylne drzwi rydera były podniesione; siedziała sobie z nogami na zderzaku, ręką przytrzymując koc na piersi. W drugiej trzymała jedną z niewielu pozostałych butelek jolt coli. Popijała ją tak, jakby w życiu nie miała w ustach nic słodsze.

Zlepione potem włosy przylegały jej do głowy niczym kask. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami. Drżała na całym ciele mimo koca i czuła się trochę jak pokazywana w telewizji jedyna osoba ocalała z katastrofy - coś z ogniem, może trzęsienie ziemi. Widziała, że Ralph z całej siły objął syna ramieniem (w drugiej dłoni trzymał rugera .44), widziała też, że uniósł go, a potem postawił na ziemi.

Sama też ześlizgnęła się na ziemię i zachwiała lekko. Mięśnie nóg drżały po długim biegu. Wygrałam wyścig o życie - pomyślała - i nigdy nie będę w stanie wyjaśnić nikomu tego uczucia ani nie opowiadając o nim, ani nawet pisząc wiersz. Nie będę w stanie wyjaśnić nikomu, jak to jest, kiedy wygrywa się życie, nie medal, nie nagrodę, nawet w postaci złapania uciekającego pociągu, lecz własne pieprzone życie.

Cynthia położyła jej dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Nic mi nie będzie. Jeszcze jakieś pięć lat i nawet nogi przestaną mi drzeć.

- Zniknęła bez śladu - powiedział, podchodząc do nich Steve. Prawdopodobnie chodziło mu o Ellen. Wyniósł się zresztą zaraz, zainteresowany Davidem i Marinville'em. - Mały, a co z tobą? Wszystko w porządku?

- Tak - odparł chłopiec. - Z Johnnym też.

Steve spojrział na mężczyznę, którego kazano mu chronić i bronić. Twarz miał nieruchomą.

- Naprawdę? - rzucił tylko.

- Mam nadzieję - stwierdził Johnny. - Miałem... - spojrział na chłopaka. - Ty im powiedz, kapuściany łbie. Masz głowę, że ho, ho.

David uśmiechnął się słabo na te słowa.

- Johnny zmienił zdanie - wyjaśnił. - A jeśli czekaliście tu na moją mamę... na to, co było w mojej mamie, to możecie przestać czekać. Mama nie żyje.

- Jesteś pewien?

- Znajdziecie jej ciało mniej więcej w połowie drogi na górę. - David palcem wskazał kierunek. Potem głosem, który miał być spokojny i rzeczowy, lecz wcale taki nie był, dodał jeszcze: - Nie chcę na nią patrzeć. To znaczy, kiedy będziecie usuwać ją z drogi. Tato, uważam, że ty też nie powinieneś.

Podeszła do nich Mary, masując uda z tyłu; tam ból mięśni był najgorszy.

- Więc Ellen... ciało Ellen... jest skończone, a temu czemuś nie udało się mnie dopaść. To znaczy, że znów jest uwięzione w studni, prawda?

- Nooo... tak.

Nie spodobał się jej wyraźnie słyszalny w głosie Davida ton powątpiewania. Zupełnie jakby raczej zgadywał, niż wiedział.

- Czy jest tu ktokolwiek inny, nadający się do użytku? - spytał Steve. - Jakiś pustelnik? Poszukiwacz skarbów?

- Nie - powiedział chłopiec, tym razem pewniej.

- Upadło i nie mogło się podnieść! - Cynthia uniosła w rozgwieżdżone niebo zaciśniętą w pięść dłoń. -

Zwycięstwo!

- Davidzie? - odezwała się Mary.

Chłopiec spojrział na nią pytająco.

- Dla nas to nie koniec, nawet jeśli to coś zostało uwięzione w kopalni, prawda? Mamy jeszcze zamknąć sztolnię.

David skinął głową.

- Najpierw *on tak*, a potem sztolnię. Zamknąć ją, jak przedtem była zamknięta. - Zerknął na ojca.

- Jeśli tak twierdzisz. - Ralph przytulił go mocno.

- Jestem za - wtrącił Steve. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, gdzie ten gość zdejmuje buty i kładzie nogi na stołek.

- Wcale nie spieszyło mi się do Bakersfield - dodała Cynthia.

David spojrział na Mary.

- Musimy - stwierdziła zdecydowanie. - To Bóg pokazał mi, jak uciec z baraku, wiecie? No i jest jeszcze Peter. To coś zabiło mi męża. Jestem mu coś winna za Petera.

Pozostał już tylko Marinville.

- Mam dwa pytania - oznajmił Johnny. - Po pierwsze: co się stanie, kiedy to wszystko się skończy? Co się stanie tutaj? Jeśli Kompania Górnicza Desperation zdecyduje się dalej eksploatować Chińską Jamę, najprawdopodobniej znów otworzą Chińską Sztolnię, prawda? Więc po co to wszystko?

David, do którego skierowane było to pytanie, jakimś cudem zdołał uśmiechnąć się szeroko. Mary miała wrażenie, że spodziewał się czegoś trudniejszego.

- To już nie nasz problem, tylko Boga - odparł. - Naszym zadaniem jest zamknąć *an tak* i drogę, prowadzącą z *an tak* w świat. Potem odjeżdżamy, nie oglądając się za siebie. A drugie pytanie?

- Czy pozwolisz zabrać się na lody, kiedy skończymy? I opowiedzieć sobie kilka mrozących krew w żyłach szkolnych opowieści?

- Jasne. Jeśli tylko nie będziesz się wściekał, że ci przerywam, bo zrobiły się... no wiesz... nudne.

- W moim repertuarze nie ma nudnych opowieści - stwierdził dumnie Johnny.

David z Mary, obejmując ją w talii i tuląc głowę do jej ramienia, jakby była jego matką, poszedł do rydera. Pomyślała, że owszem, może nią być, przynajmniej przez jakiś czas. Jeśli zajdzie taka konieczność.

Steve i Cynthia wsiedli do kabiny. Johnny i Ralph usadowili się na podłodze budy, naprzeciw Mary i chłopca.

Kiedy samochód zatrzymał się mniej więcej w połowie drogi, Mary poczuła, jak obejmujące ją ramię zaciska się kurczowo, i sama objęła Davida. Byli oto w miejscu, gdzie jego matka - a w każdym razie jej ciało - dotarła do kresu swych dni. On wiedział o tym równie dobrze jak ona. Oddychał przez usta, płytko i szybko. Mary położyła mu rękę na głowie; skorzystał z tej zachęty, tuląc twarz do jej piersi. Nadal oddychał ustami; zaczął płakać - poczuła, jak lży moczą jej bluzkę.

Ralph siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę, ukrywając twarz w dłoniach.

- Płacz, Davidzie - szepnęła, gładząc go po głowie. - To nic złego. Płacz.

Trzasnęły drzwi. Rozległ się zgrzyt butów na żwirze, a potem, z pewnej odległości, zdumiony, przerażony, słaby głos Cynthii Smith:

- Jezu Chryste, a co to?

- Cicho, głupia. Usłyszą cię.
- O cholera, przepraszam.
- Podejź. Pomóż mi.

Ralph odjął dłonie od twarzy, otarł łzy rękawem, przeszedł na drugą stronę budy, usiadł, a potem objął syna. David po omacku znalazł jego dłoń i ścisnął ją mocno. Ralph spojrział na Mary załzawionymi oczami, w których był taki ból, że i ona zaczęła płakać.

Z zewnątrz dobiegł ich odgłos ciężkich, powolnych kroków - to Cynthia i Steve usuwali z drogi zwłoki Ellen. Potem przerwa, ciche sieknięcie z wysiłku - dziewczyna - i lżejsze kroki, zbliżające się do ciężarówki. Mary nabrała nagle całkowitej pewności, że Steve podejździe do budy, że spróbuje sprzedać chłopcu i jego ojcu jakieś straszliwe łgarstwo, jak to Ellen wyglądała po śmierci na szczęśliwą, jakby po prostu drzemała tu, pośrodku niczego. Próbowwała przekazać mu telepatycznie: "Nie rób tego, nie przychodź tu, nie kłam, choćby i w dobrej wierze, możesz tylko pogorszyć sytuację. Oni obaj byli w Desperation, widzieli, co się tu działo, nie próbuj nawet oszukiwać ich, wiedzą, co widziałeś".

Kroki ucichły. Cynthia szepnęła coś, Steve jej odpowiedział. Wsiedli do szoferki, trzasnęły drzwi, silnik zaczął pracować nieco głośniejsze i ruszyli. David jeszcze przez chwilę tkwił przytulony do Mary, a potem podniósł głowę.

- Dziękuję ci - powiedział.
- Nie ma za co - odparła i pocałowała go. - Naprawdę.

Objęła kolana dłońmi i wpatrzyła się w świat widoczny przez otwarte tylne drzwi półciężarówki. Żółte światelko na skrzyżowaniu migotało miarowo; mała iskierka we wszechogarniającej ciemności. Świat - a taka była pewna, że nie ma poza nim innego - także wydawał się oddalać; świat centrów handlowych, restauracji, MTV, ćwiczeń w "Gold's Gym", popołudni, podczas których kochali się z Peterem czasami gwałtownie.

Tak po prostu - pomyślała. - Znika tak po prostu, jak wypadająca z kieszeni moneta.

- Davidzie? - odezwał się Johnny. - Nie wiesz przypadkiem, w jaki sposób Tak dostał się do ciała tego Riptona?

David zaprzeczył gestem.

Johnny skinął głową, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał, oparł głowę o burtę półciężarówki i przymknął oczy. Mary zdała sobie nagle sprawę z tego, że chociaż potrafił być nieznośny, to jednak w jakiś sposób go lubi. I nie tylko dlatego, że jednak wrócił z Davidem; lubiła go również przedtem, od chwili... chyba od chwili, kiedy razem szukali broni. Przeraziła go, ale przecież jakoś wrócił do siebie. Miała wrażenie, że to ten rodzaj człowieka, dla którego wracanie do siebie po ciężkich przeżyciach stało się drugą naturą. A kiedy nie był zajęty robieniem z siebie kompletnego idioty, potrafił być nawet zabawny.

Obok niego leżała dubeltówka. Johnny poszukał jej ręką, nie podnosząc głowy, podniósł, po czym położył sobie na kolanach.

- Mam wrażenie, że nie wygłoszę jutro zamówionego odczytu - wyznał sufitowi. - Taki ciekawy temat: "Punki i postczytelnicy, amerykańskie pisarstwo w XXI wieku". Będę chyba musiał zwrócić zaliczkę. "Przykre to, przykre, przykre, George'u i Martho". To z...

- "Kto się boi Yirginii Woolf?" - dokończyła za niego. - Edward Albee. Nie wszyscy tu jesteśmy analfabetami.

- Bardzo przepraszam - mruknął z zaskoczeniem Johnny.

- Tylko nie zapomnij umieścić tych przeprosin w swoim pamiętniku - odgryzła się, nie mając zresztą zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

Johnny popatrzył na nią, zmarszczył brwi i nagle roześmiał się. Mary też się roześmiała, a w chwilę później dołączyli do nich David i Ralph. Ralph śmiał się zdumiewająco piskliwie jak na tak potężnego mężczyznę, prychnął trochę komiksowym "he, he, he" i ta myśl jeszcze bardziej ją rozbawiła. Bolał ją otarty brzuch, ale to nie powstrzymało ataku wesołości.

Steve zabębnił w przednią ścianę budy: Nie sposób było powiedzieć, czy w jego stłumionym głosie słychać niepokój, czy rozbawienie.

- Hej, co się dzieje!?

Swym najlepszym, prawdziwie lwim głosem John Marinville ryknął:

- Zamknij się, teksański byku! Tu się dyskutuje o literaturze!

Mary znowu wybuchnęła śmiechem. Jedną rękę przyłożyła do gardła, drugą przycisnęła do obolałego brzucha. Śmiała się tak aż do chwili, gdy dojechali na szczyt wykopu i zaczęli zjeżdżać w głąb kopalni. Wówczas to dobry humor opuścił ją jak ręką odjął. Innych zresztą też.

- Czujesz to? - spytał ojca David.

- Czuję coś - odparł Ralph.

Mary zadrzała. Bardzo chciała przypomnieć sobie, czy drżała przedtem, kiedy się śmiała, ale nie potrafiła powiedzieć na pewno. Czuli coś, tak, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Czuli by pewnie znacznie więcej, gdyby byli tu przedtem, gdyby musieli wiać pod górę tą drogą, ścigani przez krwawiącego potwora...

Musisz o tym zapomnieć, Mare. Musisz wyrzucić to z pamięci, zamknąć drzwi.

- Mary? - odezwał się David.

Spojrzała na niego pytająco.

- To już nie potrwa długo.

- Doskonale.

W pięć minut - pięć bardzo długich minut - później samochód zatrzymał się. Otworzyły się drzwi kabiny i Steve z Cynthią dołączyli do nich.

- Wyskakujcie - zarządził Steve. - To ostatni przystanek.

Mary wyszła z półciężarówki, krzywiąc się przy każdym kroku. Wszystko ją bolało, a najgorzej nogi. Gdyby musiała siedzieć choćby odrobinę dłużej, to teraz pewnie nie byłaby w stanie się w ogóle ruszyć.

- Johnny, zostało ci może trochę tej aspiryny?

Podał jej fiolkę. Wzięła trzy, popijając je resztką jolt coli. Potem podeszła do kabiny rydera.

Znaleźli się oto na dnie Chińskiej Jamy, oni po raz pierwszy, ona po raz drugi. Zatrzymali się niedaleko baraku biura terenowego; kiedy tam popatrzyła, kiedy przypomniła sobie, co jest w środku i jak niewiele brakowało, by sama tam skończyła, miała ochotę krzyczeć. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w radiowóz, w jego nadal otwarte przednie drzwiczki, w filtr powietrza nadal leżący przy lewym przednim kole.

- Obejmij mnie - poprosiła Johnny'ego.

Uśluchał. Przyglądał się jej z uniesioną brwią.

- A teraz chodź ze mną do tego samochodu.

- Po co?

- Jest coś, co muszę zrobić.

- Mary, im wcześniej zaczniemy, tym wcześniej skończymy.

- To potrwa tylko chwilę. Chodź, Szekspirze. Idziemy.

Podeszli do radiowozu; obejmował ją jedną ręką, w drugiej trzymał dubeltówkę. Mary była prawie pewna, że Johnny czuje jej drzenie, ale to było mniej więcej w porządku. Przygryzła dolną wargę, zbierając siły; pamiętała jazdę do Desperation na tylnym siedzeniu radiowozu. Ona i Peter za stalową siatką. Zapach old spice'a i metaliczny zapach strachu. Drzwi pozbawione klamek i korbek otwierających okna. Nie było na co patrzeć oprócz czerwonego, spalonego słońcem karku Entragiana i tego idiotycznego niedźwiadka o pustych oczach, kiwającego łebkiem na desce rozdzielczej.

Pochyliła się, wdychając smród Entragiana - tyle że teraz wiedziała, iż jest to smród Taka. Zerwała misia z deski. Teraz jego ślepe oczy *can toi* patrzyły wprost w jej oczy, jakby maskotka pytała ją, dlaczego zachowuje się tak głupio i o co tu w ogóle chodzi, jakie dobro można uczynić tym gestem, jakiemu złu zapobiec.

- No - powiedziała - z tobą koniec, sukinsynu, i to jest pierwszy krok we właściwym kierunku.

Upuściła misia na twardy żwir i przydepnęła go mocno. Usłyszała trzask. Po raz pierwszy od początku tej ponurej makabry poczuła głęboką satysfakcję.

- Nic mi nie tłumacz - odezwał się Johnny. - To jakiś nowy wariant terapii psychoanalitycznej. Symboliczna afirmacja przeznaczona na momenty szczególnego napięcia. "Nic mi nie będzie, bo cię rozgniotłam". Albo...

- Zamknij się - warknęła, ale bez złości. - No i możesz mnie już puścić.

- A muszę? - Dłoń, która obejmowała ją w talii, poruszyła się. - Wcale nieźle poznałem już topografię.

- Masz pecha. Nie jestem mapą.

Johnny puścił ją. Wrócili do towarzystwa.

- Davidzie? - spytał Steve. - Czy to tu?

Wskazał palcem poza maszyny zaparkowane nieco na lewo od zardzewiałego baraku ze sterczącą z dachu rurą kozy. Jakieś dwadzieścia metrów powyżej dna znajdowała się czarna dziura o kształcie zbliżonym do prostokąta, którą Mary już wcześniej widziała. Wówczas nie poświęciła jej uwagi, miała inne sprawy do załatwienia - musiała przede wszystkim pozostać przy życiu - kiedy jednak teraz na nią spojrzała, poczuła się bardzo kiepsko. Mówiąc dokładniej - poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

Świetnie - powiedziała sobie - w każdym razie załatwiłam misia. Już nigdy nie spojrzysz na nikogo wsadzonego na tylne siedzenie tego radiowozu. Dobre i to.

- To tu - zakomunikował David. - Chińska Sztolnia.

- *Can tak* w *can tah* - powiedział jego ojciec, niczym we śnie.

- Właśnie.

- I mamy wysadzić ją w powietrze? - upewnił się Steve. - A jak się do tego zabierzemy?

- Przede wszystkim musimy dostać się tam - chłopiec wskazał palcem betonowy budynek, stojący niedaleko baraku.

Podeszli do magazynu materiałów wybuchowych. Ralph pociągnął za kłódkę, jakby pragnął sprawdzić, czy mocno trzyma, a potem przygotował rugera. Metaliczny trzask przeladowywanej broni wyjątkowo głośno zabrzmiał w otaczającej ich ciszy.

- Odejdźcie - zakomenderował. - W filmach zawsze się udaje, ale w życiu kto wie, jak to będzie?

- Zaczekaj! Zaczekaj sekundkę! - krzyknął Johnny i pobiegł do rydera. Słyszeli, jak grzebie w kartonach ułożonych za kabiną kierowcy, a potem rozległo się: - A! Tu jesteś, potworze.

Wrócił, trzymając kask motocyklowy Bella z pełną osłoną twarzy. Podał go Ralphowi.

- Ochrona deluxe! - wyjaśnił. - Nie używam go, za dużo tu tego wszystkiego; wystarczy, żebym włożył go na głowę, i zaraz dostaję klaustrofobii. Ale dla ciebie będzie w sam raz.

Ralph włożył kask. Wyglądał w nim jak futurystyczny spawacz. Johnny odszedł, a on skupił całą swą uwagę na kłódce. Inni też się odsunęli; Mary położyła ręce na ramionach Davida.

- Moglibyście się jeszcze odwrócić - poprosił Ralph stłumionym przez kask głosem.

Mary spodziewała się, że David zaprotestuje - niepokój o ojca, nawet przesadny niepokój, nie byłby niczym niezwykłym, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin stracił dwóch członków rodziny - David jednak nie odezwał się ani słowem. Jego twarz była jedynie jasną plamą w ciemności, jej wyrazu nie sposób było odczytać, Mary nie wyczuła w nim jednak napięcia. A już z pewnością nie napięły się mięśnie ramion, na których trzymała dłonie.

Może widział, że wszystko będzie dobrze - pomyślała. - W tej wizji, którą miał... czy cokolwiek to było. Albo może... Nie chciała kończyć myśli, ale myśl dokończyła się sama.

...może po prostu wie, że nie ma innego wyboru.

Przez chwilę - Mary miała wrażenie, że przez bardzo długą chwilę - panowała cisza, a potem padł strzał, głośny i ostry. Powinien wzbudzić echo, lecz go nie wzbudził; zostało wchłonięte przez ściany, ławy i wyźłobienia kopalni. Usłyszała tylko, jak jakiś przerażony ptak skrzeknął głośno, a potem nic. Zastanowiła się przelotnie, dlaczego Tak nie wysłał przeciwko nim zwierząt, w końcu użył zwierząt przeciwko wielu mieszkańcom Desperation. Może dlatego, że w szóstkę tworzyli jakąś specjalną całość? Jeśli tak, było to dziełem Davida, który, niczym wyjątkowo charyzmatyczny gracz, na ten mecz zdołał podnieść poziom całej drużyny.

Odwrócili się. Ralph stał, pochylony, nad kłódką (w oczach Mary wyglądał niczym Pieman pochylony nad Szymonem Prostaczkim na szyldach Howarda Johnsa), studiując ją przez opuszczoną szybkę kasku. Kłódka była pogięta, pośrodku miała wielką dziurę od kuli, ale kiedy nią szarpnął, okazało się, że nadal trzyma.

- Jeszcze raz - powiedział i pokręcił palcem, każąc im się odwrócić.

Odwrócili się. Huknął kolejny strzał. Tym razem nie odpowiedział mu krzyk ptaka; Mary uznała, że ten, który krzyczał poprzednio, jest już daleko, choć nie słyszała przecież łopotu skrzydeł. Nic dziwnego zresztą; od huku mocno dzwoniło jej w uszach.

Po tym strzale, kiedy Ralph znów nią szarpnął, kłódka po prostu się rozleciała. Odrzucił ją od siebie. Kiedy zdjął kask Johnny'ego, dostrzegła, że się uśmiecha.

David podbiegł do niego. Uderzył dłonią we wzniesioną dłoń ojca.

- Dobra robota, tatau! - krzyknął, ucieszony.

Steve zajrzał do środka betonowego budyneczku.

- O, cholera! - skrzywił się. - Ciemno jak w d... u Murzyna.

- Gdzieś tu musi być światło - zauważyła Cynthia. - Nie ma okien, więc musi być światło.

Steve przeciągnął dłonią po ścianie najpierw na lewo, potem na prawo od drzwi.

- Uwważaj na pająki - ostrzegła go nerwowo Mary. - Tu może być mnóstwo pajaków.

- Jest. Mam. - Rozległo się kliknięcie, potem drugie, ale światło się nie zapaliło.

- Kto jeszcze ma latarkę? - spytała Cynthia. - Swoją zostawiłam chyba w tym cholernym kinie. W każdym razie z pewnością jej nie mam.

Nikt nie odpowiedział. Mary także miała - kiedyś - latarkę, tę którą znalazła w baraku, była także pewna, że zatknęła ją za dzinsy po unieruchomieniu samochodów. Jeśli już o to chodzi, toporek także. Straciła jedno i drugie. Zapewne uciekając przed Ellen.

- O, cholera! - mruknął Johnny. - Żadni z nas harcerze.

- Mam latarkę w samochodzie, za siedzeniem - oznajmił Steve. - Pod mapami.

- To może byś ją przyniósł? - zaproponował Johnny.

Przez kilka krótkich chwil Steve ani drgnął. Patrzył na Marinville'a z dziwnym wyrazem twarzy, którego znaczenia Mary nie potrafiła odczytać.

Johnny też to dostrzegł.

- Co? Coś się stało? - spytał.

- Nie, szefie - odparł Steve Ames. - Wszystko w porządku.

- No to gazem.

3

Steve Ames potrafił dokładnie określić moment, kiedy dowództwo nad ich małą ekspedycją przeciw Takowi przejął od Davida Johnny; moment, kiedy szef znów stał się szefem. "To może byś ją przyniósł?" - powiedział; zadał pytanie, które wcale nie było pytaniem, lecz pierwszym prawdziwym poleceniem wydanym mu przez Marinville'a od czasu, gdy razem opuścili Connecticut - Johnny na motocyklu, Steve komfortowo rozparty w pół-ciężarówce, pykając od czasu do czasu tanie cygaro. Nazywał go szefem (dopóki Johnny nie kazał mu przestać), ponieważ tego wymagała tradycja przemysłu rozrywkowego: w teatrze mechanicy sceny nazywali szefem scenografa, na planie filmowym asystenci reżysera nazywali szefem reżysera, podczas tur koncertowych technicy-akustycy mówili "szefie" do dyrektora trasy lub członków zespołów. Steve po prostu przeniósł tę część swego dawnego życia do nowej pracy, nie myślał jednak o Johnnym jako o szefie, mimo jego donośnego głosu, mimo wojowniczo wysuniętej szczęki, mimo zachowania głoszącego wszem i wobec "wiem, co robię". Aż do teraz. A tym razem, kiedy nazwał Marinville'a szefem, Marinville nie zaprotestował.

To może byś ją przyniósł?

Na pozór zwykłe pytanie, zaledwie pięć słów, a wszystko się zmieniło. Co się zmieniło? Co dokładnie się zmieniło?

- Nie mam pojęcia - burknął do siebie, otwierając drzwiczki rydera i grzebiąc w śmieciach za siedzeniem.

- W tym cała cholera, że nie mam zielonego pojęcia.

Latarka - długa, na sześć baterii - leżała pod pogniecionymi mapami wraz z apteczką i kartonowym pudłem, w którym było kilka rac. Upewnił się, że świeci, po czym podbiegł do reszty towarzystwa.

- Najpierw sprawdź, czy nie ma pajaków - poprosiła go Cynthia głosem, który był nieco zbyt piskliwy jak na zwykłą rozmowę. - Pajaków i węży, jak w tej starej piosence. Boże, jak ja ich nienawidzę.

Steve wszedł do magazynu materiałów wybuchowych i oświetlił go światłem latarki, najpierw podłogę, potem ściany, w końcu sufit.

- Nie ma pajaków - oznajmił. - Nie ma węży.

- Davidzie, zostań tuż za drzwiami - polecił chłopcu Johnny. - Moim zdaniem nie powinniśmy wszyscy pchać się do środka. Jeśli zobaczysz kogokolwiek lub cokolwiek...

- ...krzyknij - dokończył za niego chłopiec. - O mnie możesz się nie martwić.

Steve oświetlił stojącą pośrodku podłogi tabliczkę, podobną do tych, jakie czasami stoją w restauracjach, informując PROSZĘ POCZEKAĆ NA WSKAZANIE MIEJSCA. Na tej jednak, wielkimi czerwonymi literami napisane było:

UWAGA! UWAGA! UWAGA!
MATERIAŁY WYBUCHOWE I ZAPALNIKI
MUSZĄ BYĆ TRZYMANE OSOBNO!
TO PRAWO FEDERALNE!
NIEOSTROŻNE OBCHODZENIE SIĘ Z MATERIAŁAMI
WYBUCHOWYMI NIE BĘDZIE TOLEROWANE!

Tylna ściana magazynu najeżona była kółkami wbitymi w bloki betonu. Wisiały na nich zwoje drutu i grubego białego kabla, zdaniem Steve'a kabla do odpalania. Pod prawą i lewą ścianą, przodem do siebie, jak podpórki do książek na półce, na której nie ma książek, stały dwie wielkie drewniane skrzynie. Jedna, ta z napisem DYNAMIT, ZAPALNIKI i ZACHOWAĆ MAKSYMALNĄ OSTROŻNOŚĆ, była otwarta, uchylone wieko wyglądało niczym wieko dzieciennego pudła z zabawkami. Druga, czarnymi literami na pomarańczowym tle podpisana po prostu MATERIAŁ WYBUCHOWY, zamknięta była na kłódkę.

- To ANFO - powiedział Johnny, wskazując ją. - Mieszanka saletry amonowej i oleju napędowego.

- Skąd wiesz? - zainteresowała się Mary.

- Przeczytałem gdzieś - poinformował ją niedbale, jakby myślał o czymś innym. - Po prostu gdzieś przeczytałem.

- No, jeśli myślicie, że odstrzelę tę kłódkę, to macie źle w głowie - wtrącił Ralph. - Macie jakieś pomysły nie uwzględniające użycia broni palnej?

- Na razie nie - odparł Johnny, ale nie sprawiał wrażenia zmartwionego. Steve podszedł do otwartej skrzyni.

- Nie ma w niej dynamitu - stwierdził Johnny tym samym dziwnie spokojnym głosem.

Co do dynamitu miał rację, skrzynia jednak wcale nie była pusta. Wcisnięto w nią ciało mężczyzny w dzinsach i podkoszulku Georgetown Hoyas. Ciało z przestrzeloną głową. Martwe oczy wpatrywały się w Steve'a spod włosów, które kiedyś zapewne były jasne. Teraz trudno jednak było powiedzieć na pewno.

Wstrzymując oddech, by nie czuć smrodu rozkładu, Steve obmacał je i przy pasku znalazł kółko z kluczami.

- Co się stało? - spytała Cynthia i zrobiła krok w kierunku skrzyni.

Z otwartych ust martwego mężczyzny wypełził żuk i pobiegł mu po brodzie. Steve usłyszał też słaby chrobot. Pod trupem było więcej żuków, może nawet kilka z tych jakże ukochanych przez jego nową sympatyczną przyjaciółkę grzechotników.

- Nic - powiedział. - Tylko nie podchodź.

Kółko z kluczami okazało się uparte. Po kilku nieudanych próbach odpięcia sprzączki, którą przypięte było do szlufki dżinsów, Steve zrezygnował z delikatnych zabiegów i zwyczajnie wyrwał je wraz z kawałkiem materiału. Zamknął wieko, po czym podszedł do reszty towarzystwa. Dostrzegł, że Johnny, stojący jakieś trzy kroki od wejścia, wpatruje się w motocyklowy kask.

- Szkoda cię, biedny Urynale - odezwał się. - Znałem cię tak dobrze.

- Johnny? Nic ci nie jest?

- Nie, nic.

Marinville wsadził sobie kask pod pachę i uśmiechnął się do niego ujmującym uśmiechem... ale w oczach miał strach. Steve oddał klucze Ralphowi.

- Jeden z nich może ci się przyda.

Nie zabrało im to wiele czasu. Trzeci klucz bez problemu otworzył skrzynię z napisem MATERIAŁY WYBUCHOWE. W chwilę później wszyscy już zagłądali do środka.

Wnętrze skrzyni podzielone zostało na trzy części. Lewa i prawa były puste, w środkowej zaś znajdowało się coś, co najbardziej przypominało torebki z cienkiej gazy. Pomiędzy nimi wałało się kilka porcji tychże torebek luzem: okrągłe tabletki przypominające Steve'owi białe kuleczki cienkiego śrutu. Torebki zawiązane były sznurkiem. Podniósł jedną z nich. Wyglądała jak gruba kiełbasa, a ważyła jakieś pięć kilogramów. Na boku, czarnymi literami wypisany był skrót ANFO, pod nim informacja: OSTROŻNIE. PALNE. WYBUCHOWE.

- I świetnie - powiedział - tylko jak mamy odpalić je bez zapalnika? Miałeś rację, szefie, dynamitu nie ma, nie ma też zapalników. W tamtej skrzyni znalazłem tylko faceta z fryzurą kaliber trzydzieści.

Johnny spojrzał najpierw na niego, potem przebiegł wzrokiem po wpatrzonych w niego twarzach.

- Słuchajcie, moglibyście wyjść teraz do Davida - poprosił. - Chciałbym porozmawiać ze Steve'em w cztery oczy.

- Dlaczego? - spytała natychmiast Cynthia.

- Ponieważ muszę - wyjaśnił jej Johnny dziwnie łagodnie. - Chodzi o drobną nie załatwioną sprawę, nic więcej. Przepraszam. Przepraszam kiepsko w każdych okolicznościach, a w towarzystwie... w towarzystwie mogłoby mi się to w ogóle nie udać.

- To chyba nie jest najwłaściwsza pora... - zaczęła Mary.

Steve dostrzegł, że szef coś mu sygnalizuje. Wzrokiem. Niemal rozpaczliwie.

- Nic się nie dzieje - przerwał jej. - Zajmie nam to tylko chwilkę.

- Tylko nie wychodźcie z pustymi rękami - dodał jeszcze Johnny. - Każdy z was niech weźmie porcję tego Czwartego Lipca w proszku.

- Jak rozumiem, bez środka wybuchowego odpalającego to чудо, mamy raczej obozowe ognisko w proszku - stwierdził Ralph.

- Chcę wiedzieć, o co tu chodzi - upierała się Cynthia. W jej głosie brzmiał niepokój.

- Nic się nie dzieje, naprawdę - próbował uspokoić ją Johnny.

- Jak cholera, nic - odparła żałośnie, ale wyszła z innymi.

Wszyscy nieśli po torbie ANFO.

Nim Johnny zdążył coś powiedzieć, w magazynie pojawił się David. Na policzkach nadal miał ślady zaschniętego mydła, a jego powieki były sine. Steve chodził kiedyś z dziewczyną, która malowała sobie oczy na podobny kolor, tyle że Davidowi nie podnosiło to urody; u niego było po prostu skutkiem szoku.

- Wszystko w porządku? - spytał chłopiec.

Zerknął na Steve'a, ale interesował się głównie Johnnym.

- Oczywiście. Steve, daj mu torbę.

David wziął torbę, ale nie ruszył się z miejsca. Patrzył na nią, zatopiony w myślach. Nagle podniósł wzrok na Johnny'ego.

- Wywróc kieszenie. Wszystkie - polecił mu.

- Co... - zaczął Steve.

- Ciii... - syknął Johnny, uśmiechając się dziwnie. Sprawiał wrażenie kogoś, kto rozgryzł coś jednocześnie gorzkiego i bardzo smacznego. - David wie, co robi.

Odpiął skórzane motocyklowe legginsy i wywrócił kieszenie dzinsów, wręczając Steve'owi swe dobra doczesne: słynny portfel, kluczyki, młotek, poprzednio wetknięty za pasek. Pochylił się, by chłopiec mógł zajrzeć w kieszenie koszuli. Potem rozpiął spodnie i ściągnął je. Pod spodniami miał skąpe niebieskie gatki, nad którymi wisiał okazały brzuszek. Steve'owi przypominał tych bogatych facetów, których widzi się czasami przechadzających się po plaży. Od razu wiadomo, że są bogaci - nie tylko dlatego, że noszą rolexy i okulary Oakley, lecz dlatego, że mają czelność przechadzać się w tych minimalnych kąpielówkach z błyszczącego elastiku. Zupełnie jakby po osiągnięciu odpowiednio wysokich dochodów brzuch stawał się kolejną pozycją na liście aktywów.

Szef przynajmniej nie nosił elastiku, tylko zwykłą siermiężną bawełnę.

Wykonał teraz pełny obrót z lekko uniesionymi ramionami, ukazując chłopcu wszystko, co miał do ukazania, z sadelkiem i siniakami na czele. Potem podciągnął dzinsy i zapiął skórzane legginsy.

- Zadowolony? - spytał. - Bo jeśli nie, mogę jeszcze ściągnąć buty.

- Nie musisz. - David na wszelki wypadek wsadził ręce do kieszeni legginsów. Minę miał mocno niepewną, lecz w jego twarzy nie było strachu. - Dobra, pogadajcie, jak musicie - przyzwolił. - Ale pospieszcie się. Odszedł, zostawiając ich samych.

Johnny cofnął się ku tylnej ścianie magazynu, tak daleko od drzwi, jak to tylko możliwe. Steve poszedł za nim. Czuł teraz zapach trupa w skrzyni po dynamicie, przebijający przez wszechobecną tu woń oleju napędowego, i marzył wyłącznie o tym, by jak najszybciej się stąd wydostać.

- Chciał się upewnić, że nie masz przy sobie paru tych *can toi*, prawda? Jak Audrey?

Johnny skinął głową.

- Mądry dzieciak.

- Chyba rzeczywiście. - Steve przestąpił z nogi na nogę, przyjrzał się swym butom i wreszcie podniósł wzrok na szefa. - Słuchaj, nie musisz przeproszać za to, że się wtedy zmyłeś. Naprawdę. Ważne, że postanowiłeś wrócić. Dlaczego nie mielibyśmy...

- Powiniennem przeprosić za bardzo wiele rzeczy - przerwał mu Johnny. Odbierał od niego swoje rzeczy, szybko rozkładając je do właściwych kieszeni. Jako ostatni wsadził za pasek młotek. - Doprawdy zdumiewające, ile rzeczy może spieprzyć człowiek w ciągu jednego życia. Pod tym względem najmniej jednak martwię się o ciebie, Steve. Zwłaszcza teraz. Zamknij się i słuchaj, dobrze?

- Dobrze.

- I naprawdę musimy się spieszyć. David już podejrzewa, że mam jakieś swoje sprawy. To jeszcze jeden powód, dla którego kazał mi wywrócić kieszenie. Nadejdzie chwila, a jest bardzo blisko, kiedy będziesz go musiał

złapać i przytrzymać. A kiedy go już przytrzymasz, trzymaj mocno, bo będzie się wrywał jak cholera. Nie wolno ci go puścić, rozumiesz?

- Dlaczego?

- Czy ta twoja przyjaciółka o wymyślnym uczesanku pomoże ci, jeśli ją o to poprosisz?

- Prawdopodobnie, ale...

- Steve, musisz mi zaufać.

- A niby czemu miałbym ci ufać?

- Ponieważ tam, na górze, doznałem objawienia. Tylko że to zbyt dostojne słowo, określenie Davida podoba mi się znacznie bardziej. Spytał mnie, czy zostałem trafiony bombą Boga. Powiedziałem mu, że nie, ale to było tylko kolejne kłamstwo. Dasz wiarę, że Bóg wybrał w końcu mnie, ponieważ jestem takim dobrym łgarzem? Wydaje mi się to zabawne, ale też w jakiś sposób obrzydliwe, wiesz?

- Co ma się stać? Wiesz?

- Nie. Nie w szczegółach.

Johnny wziął karabin w jedną rękę, a motocyklowy kask w drugą. Patrzył to na broń, to na kask, jakby porównywał ich wartość.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Steve głosem bez wyrazu. - Nie ufam ci wystarczająco, żeby zrobić to, o co mnie prosisz.

- Nie masz wyboru - stwierdził Johnny, wręczając mu karabin. - Teraz zostałem wam już tylko ja.

- Ale...

Marinville zrobił krok w jego stronę. Steve miał wrażenie, że patrzy na człowieka innego niż ten, który wsiadł na harleya tam, w Connecticut, skrzypiąc tą swoją śmieszna nową skórą i pokazując wszystkie zęby uwijającym się wokół niego, pstrykającym niezmordowanie fotografom z *Look* i *Daily News*. Zmiana nie ograniczała się bynajmniej do kilku siniaków oraz złamanego nosa, o nie - wydawał się teraz młodszy, silniejszy. Z jego twarzy zniknęła i zarozumiałość, i jakaś taka niepokojąca niedookreśloność. Dopiero teraz, kiedy zniknęły, Steve zdał sobie sprawę z tego, jak często tam gościli, jakby niezależnie od tego, co robił lub mówił, John Edward Marinville interesował się tylko tym, czego nie robi i nie mówi, czymś takim jak zagubiony drobiazg, zapomniany obowiązek do wypełnienia.

- David sądzi, że Bóg chce, by zginął podczas zamykania Taka w tym jego cholernym korytarzu. Ostatnia ofiara, jeśli wolno użyć tego określenia. Lecz David się myli. - Głos Johnny'ego załamał się na ostatnim słowie; Steve stwierdził nagle, ze zdumieniem, że jego szef niemal się popłakał. - Nie będzie mu aż tak łatwo.

- Co u...

Johnny złapał go za ramię chwytem tak silnym, że aż bolesnym.

- Zamknij się, Steve. Po prostu chwyć go, kiedy nadejdzie czas. Sam zdecydujesz, co robić. A teraz idziemy.

Sięgnął do skrzyni, złapał torbę ANFO za sznurki i rzucił ją Steve'owi. Sam też wziął jedną.

- Wiesz, jak spowodować wybuch bez dynamitu i zapalników, prawda, szefie? - spytał go jeszcze Steve. - Myślisz, że wiesz. Co się stanie? Bóg strzeli błyskawicą?

- Tego właśnie oczekuje David - odparł Johnny. - Po sardynkach i krakersach... no, wcale mu się nie dziwię. Ja jednak nie sądzę, by zaszła konieczność użycia środków ostatecznych. Idziemy. Godzina jest późna.

Wyszli z magazynku. Wszyscy razem wkroczyli w to, co pozostało jeszcze z nocy.

Na dnie kopalni, jakieś dwadzieścia metrów pod dziurą - otworem do tego, co pozostało z Chińskiej Sztolni - Johnny zatrzymał się i kazał związać torby po dwie. Jedną z tych par zawiesił sobie na szyi; worki zwisały mu na pierś niczym wahadła starego zegara. Steve wziął drugą parę; Johnny zaś nie zaprotestował, kiedy David zabrał ojcu trzecią i zawiesił ją sobie na szyi. Ralph zerknął na niego z niepokojem, Johnny z kolei zerknął na Davida, dostrzegł, że chłopiec stoi z uniesioną głową, przyglądając się wejściu do sztolni, po czym spojrzał jego ojcu w oczy, potrząsnął głową i przyłożył palec do warg. Ani słowa, tatuśku.

Ralph nie sprawiał wrażenia usatysfakcjonowanego tym wyjaśnieniem, ale i nie protestował.

- Wszystko w porządku? - spytał głośno Johnny.

- Co teraz? - odpowiedziała pytaniem Mary. - Chodzi mi o to, jaki jest plan.

- Zrobimy to, co rozkaże nam Bóg - odparł David. - Taki mamy plan.

I to on poprowadził ich w górę; szedł bokiem, dostawiając nogę do nogi, by nie upaść. Nie było tu szerokiej zwirowej drogi, nie było nawet ścieżki, grunt zaś wydawał się wręcz wyjątkowo zdradziecki. Johnny czuł, jak przy każdym trudnym kroku naprzód usiłuje skruszyć się pod jego butami. Wkrótce serce zaczęło łomotać mu w piersi, a złamany nos akompaniował sercu do taktu. Przez ostatnie kilka miesięcy był dobrym chłopcem, teraz jednak dopadły go wreszcie wszystkie zjedzone kurczaki, wszystkie pieczone gęsi, nie mówiąc już o paru bażantach nadziewanych kawiozem, i wywierały na nim straszną zemstę.

Mimo to czuł się doskonale. Od tej pory wszystko miało być takie proste. Co za cudowna odmiana.

David szedł na czele ich grupki; za nim jego ojciec, a dalej Steve i Cynthia. Johnny i Mary zamykali procesję.

- Po co dźwigasz ze sobą ten kask? - spytała Mary.

Johnny uśmiechnął się szeroko. W dziwny sposób ta dziewczyna przypominała mu Terry. Terry z dawnych, dobrych czasów. Uniósł kask nałożony na dłoń jak lalkę w przedstawieniu lalkowym.

- Nie pytaj nawet, ile liczy się za bella - odparł - bo to raczej beli mógłby policzyć sobie za ciebie, ty moje słodkie kochanie.

Mimo zmęczenia zdyszana Mary zdołała roześmiać się krótko.

- Jesteś wariat - orzekła.

Gdyby musieli wdrapać się na czterdzieści metrów, nie na dwadzieścia, Johnny prawdopodobnie nie dokończyłby wspinaczki. Nim David dotarł na samą górę, serce biło mu jak szalone - jego uderzenia zlewały się w jeden ciągły łomot. Mięśnie ud miał jak rozgotowane spaghetti.

Nie waż się paść teraz - powtarzał sobie. - Wyszedłeś na ostatnią prostą.

Zmusił się do szybszej wspinaczki, przestraszony nagle tym, że David może po prostu odwrócić się i wejść do sztolni, nim on sam dostanie się na górę. Nie było to całkiem niemożliwe. Steve uważał wprawdzie, że jego szef wie, co robi, ale tak naprawdę szef wiedział bardzo niewiele. Dostawał scenariusz o kartkę wcześniej niż reszta obsady, to wszystko.

David zaczekał jednak na nich i już wkrótce wszyscy razem stłoczyli się przy otworze prowadzącym do Chińskiej Sztolni. Z wnętrza płynęło wilgotne stęchłe powietrze, chłodne, lecz jednocześnie śmierdzące spalenizną. Słychać też było dźwięk, który Johnny na ogół kojarzył z windami - cichy ni to gwizd, ni to szmer.

- Powinniśmy się pomodlić - powiedział David, nieco nieśmiało, wyciągając dłonie na boki.

Jedną z nich ujął jego ojciec, drugą Steve, który przedtem odłożył karabin. Cynthia chwyciła wolną dłoń Steve'a, Johnny ujął dłonie kobiet, przytrzymując kask między nogami, i tak zamknął się krąg.

Stali w ciemności Chińskiej Sztolni, czując wydychany przez ziemię wilgotny oddech, słuchając dobiegających z jej głębi niewyraźnych odgłosów, patrząc na Davida Carvera, który ich tu doprowadził.

- Do czyjego Ojca cię modlimy? - spytał David.

- Naszego - odparł Johnny i wkroczył na drogę starej modlitwy tak łatwo, jakby nigdy z niej nie zszedł. - Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Inni dołączyli swe głosy do jego głosu - Cynthia, córka pastora, pierwsza, Mary ostatnia.

- ...bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

“Amen” powiedzieli wszyscy oprócz Cynthii, która kontynuowała: “Bo Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki. Amen”. Podniosła głowę i spojrzała na nich z błyskiem w oku, który Johnny u niej polubił, i to nawet bardzo.

- Tak się tego nauczyłam w domu, wiecie? - wyjaśniła. - Coś w rodzaju protestanckiej wiązanek tańców różnych.

David przyglądał się teraz Johnny'emu.

- Pomóż mi dać z siebie wszystko - powiedział Johnny. - Jeśli tam jesteś, Boże, a mam teraz wszelkie powody, by sądzić, że rzeczywiście jesteś, pomóż mi dać z siebie wszystko i nie spartolić spraw jeszcze raz. I lepiej, żebyś potraktował tę moją prośbę poważnie, bo jestem znany z tego, że partolę sprawy. Davidzie, co z tobą? Masz coś do powiedzenia?

David wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Nie, już wszystko powiedziałem. - Puścił dłonie, które do tej pory ścisnął, i krąg się rozpadł.

Johnny skinął głową.

- Dobra, no to do roboty - oznajmił rażno.

- Jakiej roboty? - spytała Mary. - Co my właściwie mamy zrobić? Czy ktoś zechciałby mi to wyjaśnić?

- Mam wejść do środka - powiedział David. - Sam.

Johnny potrząsnął głową.

- Nic z tego. I nie tłumacz mi, że “Bóg mi to powiedział”, ponieważ w tej chwili Bóg nie mówi ci niczego. Na twoim telewizorze pojawiła się plansza z napisem “Wkrótce dalszy ciąg programu”. Prawda?

Chłopiec spojrzał na niego niepewnie, oblizując wargi.

John Marinville uniósł rękę, wskazując czekającą na nich ciemność, i rzekł tonem człowieka udzielającego komuś wielkiej łaski.

- Ale możesz iść pierwszy. Jak ci się to podoba?

- Tata...

- Tata pójdzie zaraz za tobą. Złapie cię, gdybyś się poślizgnął.

- Nie! - David wyglądał teraz na przestraszonego, więcej: przerażonego. - Nie, nie chcę. Nie chcę, żeby w ogóle tam wchodził. Strop może się zawalić albo...

- Davidzie! To, czego chcesz lub nie chcesz, nie ma teraz najmniejszego znaczenia.

Cynthia złapała Johnny'ego za ramię. Wbiłaby mu paznokcie w skórę, gdyby nie to, że obgryzła je do żywego ciała.

- Zostaw go w spokoju! Chryste, on przecież ocalił ci życie! Mógłbyś w końcu przestać go gnębić!

- Nie gnębię go. W tej chwili to on gnębi samego siebie. Gdyby tylko sobie odpuścił, gdyby tylko nie zapomniał, kto tu rządzi...

Spojrzał na chłopca, stojącego ze zwieszoną głową i mamroczącego coś pod nosem, zbyt cicho jednak, by dało się usłyszeć słowa. Ale Johnny nie musiał ich słyszeć, by wiedzieć, jak brzmią.

- Masz rację - powiedział - jest okrutny. Ale przecież to dla ciebie żadna nowina. W każdym razie nie masz kontroli nad naturą Boga. Nikt z nas nie ma. Więc czemu sobie nie odpuścisz?

David nie odpowiedział. Stał z opuszczoną głową, ale nie modlił się. Johnny pomyślał, że opuścił głowę, bo się poddał. W pewien sposób wiedział, co się stanie, i to było chyba najgorsze. Lub, jeśli ktoś woli, najokrutniejsze. "Nie będzie to dla niego aż tak łatwe" - wyznał Steve'owi wtedy, w magazynie materiałów wybuchowych, ale wówczas tak naprawdę wcale nie rozumiał, jak może być trudne. Najpierw siostrzyczka, potem matka, teraz...

- No... - odezwał się głosem tak oschłym, tak suchym jak ziemia, na której stali - ...idziemy. David pierwszy, potem Ralph, potem ty, Steve, a ja za tobą. Tej nocy, przepraszam, tego ranka, gwałcimy zasady grzeczności i panie zostają na końcu.

- Jeśli mamy tam wejść, chcę iść ze Steve'em - zaprotestowała Cynthia.

- Świetnie, doskonale - zgodził się Johnny tak łatwo, jakby przewidział jej sprzeciw. - Ty i ja możemy się zamienić miejscami.

- A w ogóle, to kto mianował cię wodzem? - spytała Mary.

Johnny obrócił się ku niej błyskawicznie jak wąż. Przestraszyła się i cofnęła o krok, omal nie spadła na sam dół.

- Chcesz porządzić? - spytał ją uprzejmie, lecz była to niebezpieczna uprzejmość. - Bo jeśli chcesz, kochanie, to chętnie ustąpię ci miejsca. Nie prosiłem się o ten zaszczyt, tak jak nie prosił się o niego David. No to jak? Masz ochotę założyć pióropusz Wielkiego Wodza?

Zmieszana Mary potrząsnęła głową.

- Spokojnie, szefie - mruknął cicho Steve.

- Jestem spokojny - odparł Johnny, ale wcale nie był spokojny.

Spojrzał na Davida i Ralpa, stojących ramię przy ramieniu, trzymających się za ręce i wcale nie był spokojny. Niemalże nie potrafił pojąć ogromu tego, na co właśnie pozwalał. Nie potrafił w to nawet uwierzyć. Nie, wcale w to nie wierzył. Bo jak mógłby iść przed siebie, nie osłoniwszy się tarczą miłosiernej ignorancji? Jak ktokolwiek mógłby iść przed siebie bez tej tarczy?

- Może chcesz, żebym wzięła od ciebie te torby, Johnny? - spytała go nieśmiało Cynthia. - Ciągle nie możesz złapać tchu i wyglądasz na wykończonego. Przepraszam, że to mówię.

- Nic mi nie będzie. Już niedaleko. Prawda, Davidzie?

- Niedaleko - powtórzył David cichym, drżącym głosem.

Mogło się wydawać, że nie tyle ściska dłoń ojca, co wręcz pieści ją niczym kochanek. Patrzył na Johnny'ego beznadziejnie smutnym, błagalnym wzrokiem; wzrokiem kogoś, kto prawie wie.

Johnny odwrócił się. Czuł mdłości, było mu jednocześnie zimno i gorąco. Spojrzał w zdumione, zatroskane oczy Steve'a i spróbował przekazać mu wzrokiem prostą wiadomość: "Przytrzymaj go. Kiedy przyjdzie właściwy czas".

Głośno powiedział zaś:

- Daj Davidowi latarkę, dobrze, Steve?

Przez chwilę nie był pewien, czy Steve usłucha polecenia. Usłuchał jednak, wyjął latarkę z tylnej kieszeni spodni i dał ją chłopcu.

Johnny znów uniósł rękę, wskazując nią mrok sztolni, zimny, martwy smród starego ognia i słaby, głęboki ryk wydobywający się z trzewi zamordowanej góry. Czekał na jakieś pocieszające słowo Terry, ale Terry zmyła się z widowni. Mała strata, krótki żal.

- Davidzie - powiedział. Głos mu drżał. - Davidzie, czy powiedzisz nas w naszej drodze?

- Nie chcę - odparł drżącym głosem chłopiec. Wziął głęboki oddech, podniósł wzrok na niebo, na którym bladły gwiazdy, i krzyknął: - Nie chcę! Czy nie wystarczająco wiele zrobiłem? Czy nie dokonałem wszystkiego, czego ode mnie chciałeś? To nie w porządku. To nie w porządku i nie chcę!

Dwa ostatnie słowa były tylko rozpaczliwym, rozrywającym gardło krzykiem. Mary zrobiła krok przed siebie. Johnny złapał ją za ramię.

- Precz z łapami - warknęła, próbując mu się wyrwać.

- Nie ruszaj się - zażądał i szarpnięciem przyciągnął ją ku sobie.

Tym razem nie zaprotestowała.

Johnny spojrzał na Davida i jeszcze raz wskazał mu gestem wejście do sztolni. Chłopiec spojrzał na ojca. Po policzkach ciekły mu łzy.

- Odejdź, tato - poprosił. - Wracaj do samochodu.

Ralph potrząsnął głową.

- Jeśli ty tam wchodzisz, to ze mną - odparł stanowczo.

- Lepiej nie. Mówię ci. To nie będzie dla ciebie dobre.

Ralph nie ruszył się z miejsca. Patrzył na syna spokojnym, cierpliwym wzrokiem.

David przyglądał mu się przez chwilę, a potem spojrzał na wyciągniętą rękę Johnny'ego - w tej chwili nie był to już gest zaproszenia, lecz rozkaz. Usłuchał go, odwrócił się i wszedł do środka. Jednocześnie włączył latarkę; w jej świetle Johnny dostrzegł kłęбки kurzu... i coś jeszcze. Coś, czego widok z pewnością poruszyłby serce każdego starego poszukiwacza skarbów. Złoto błysnęło w świetle, na krótko wprawdzie, lecz wystarczająco długo, by dać się rozpoznać.

Ralph poszedł za synem, a za Ralphem Steve. Latarka tańczyła w dłoni chłopca, oświetlając to skalną ścianę, to stary szalunek z wrytymi na nim trzema symbolami: imieniem chińskiego górnika lub może jego ukochanej, pozostawionej daleko stąd, w barakach na bagnach Po Yang, to podłogę zaśmieconą kośćmi - popękany czaszkami, żebrami wygiętymi niczym upiorna wersja uśmiechu kota z Cheshire. Światło padło na ścianę po lewej i znów błysnęło złoto.

- Hej, uważajcie! - krzyknęła Cynthia. - Tu coś jest!

W ciemności rozległ się łopot niczym wybuch. Johnny znał ten dźwięk, pamiętał go z dzieciństwa spędzonego w Connecticut, tak o zmierzchu bażanty podrywały się do lotu. Zapach starej kopalni stał się nagle silniejszy; niewidzialne skrzydła były im w twarz nieruchomym dotychczas powietrzem.

Mary wrzasnęła. Latarka zaświeciła na moment skośnie do góry, oświetlając koszmarnego wiszącego w powietrzu stwora, coś ze skrzydłami, złotymi oczami, wyciągniętymi przed siebie szponami. Ślepią wpatrzone były w Davida; to David był celem ataku.

- Uwważaj! - krzyknął Ralph, skoczył na syna, przycisnął go do pokrytej szkieletami podłogi chodnika.

Padając, chłopiec upuścił latarkę. Z ziemi rzuciła ona akurat tyle światła, by tylko przyczynić się do ogólnego zamieszania. W jej blasku widoczne były zamazane kształty: David przyciśnięty do ziemi ciałem ojca, cień orła rozpostarty nad nimi.

- Strzelaj! - wrzeszczała Cynthia. - Steve, strzelaj, on mu urwie głowę!

Johnny chwycił lufę karabinu, który Steve podnosił do ramienia.

- Nie! Strzał zawali na nas strop!

Orzeł skrzeczał, uderzając skrzydłami w głowę Carvera seniora. Ralph próbował odpędzić go lewą ręką. Ptak chwycił jeden z jej palców w dziób i urwał go, a potem wbił szpony w twarz swej ofiary tak, jak mocne palce wbijają się w miękkie ciasto.

- Tato, nie! - pisnął David.

Steve wskoczył w ten taniec cieni. Przy okazji kopnął latarkę i Johnny obdarowany został widokiem lepszym, niż chciał, widokiem ptaka trzymającego w szponach głowę Ralpha. Skrzydła wzbijały chmury kurzu z podłogi i ścian starego chodnika. Głowa Ralpha skakała szaleńczo na boki, jego ciało jednak przykrywało ciało Davida niemal całkowicie.

Steve uniósł karabin, by posłużyć się nim jak maczugą, i uderzył kolbą w strop. Na przyzwoity cios po prostu brakowało miejsca, lufą posłużył się więc niczym lancą. Orzeł zwrócił na niego swój przeszywający wzrok, poruszając jednocześnie zatopionymi w ciele Ralpha szponami. Machające skrzydła wypełniały wichrem niewielką przestrzeń sztolni. Z ptasiego dzioba sterczał urwany palec.

Steve znów pchnął lufą karabinu. Tym razem trafił ptaka wprost w łeb i wytrącił mu palec. Łeb orła uderzył o ścianę. Szpony napięły się. Jedna łapa pogrzyżyła się głębiej w twarzy Ralpha, druga powędrowała w górę, chwyciła jego gardło i rozdarła je. Ptaszyko skrzeknęło znowu, być może z wściekłości, być może w tryumfie. Mary wrzasnęła mu do wtóru.

- BOŻE, NIE! - zawył David łamiącym się głosem. - O BOŻE, NIECH ON PRZESTANIE SIĘ ZNĘCAĆ NAD TATA!

Oto piekło - pomyślał Johnny bardzo spokojnie. Zrobił krok przed siebie, przyklęknął i chwycił łapę pogrążoną w gardle Ralpha. Miał wrażenie, że trzyma jakieś ohydne dzieło sztuki oprawione w skórę aligatora. Skręcił ją jak najmocniej potrafił i usłyszał dźwięk drącego się materiału. Za jego plecami pojawił się Steve, po raz kolejny zadał cios lufą karabinu, a uderzył tak mocno, że łeb orła z trzaskiem gniecionych kości walnął w ścianę korytarza.

Johnny poczuł uderzenia skrzydła w głowę. I znów przeżywał scenę ze ścierwnikiem, tę z parkingu przy Urzędzie Miejskim. "Powrót do przyszłości" - pomyślał, puścił łapę, złapał za skrzydło i szarpnął. Orzeł zwrócił się ku niemu, wydał kolejny ze swych obrzydliwych wrzasków, jednocześnie podnosząc Ralpha szponami

zatopionymi w jego policzku, skroni i lewym oku. Johnny pomyślał, że Ralph albo jest nieprzytomny, albo już nie żyje. Miał nadzieję, że Ralph już nie żyje.

Oszołomiony David wypełził spod ojca; koszulę przesiąkniętą miał jego krwią. Jeśli się nie pospieszą, za chwilę złapie latarkę i skoczy w głąb chodnika.

- Steve! - krzyknął Johnny, sięgając za siebie na ślepo i łapiąc ptaka za kark. Czuł wyginanie się i szarpnięcia kręgosłupa, zupełnie jakby ujeżdżał byka na rodeo. - Steve, wykończ go! Wykończ go!

Steve uderzył kolbą karabinu w gardło orła. Pod wpływem ciosu ptak zadarł łeb ku stropowi chodnika. W tym momencie Mary skoczyła w przód, złapała jego szyję i skrzyła mu kark jednym szybkim, zdecydowanym ruchem. Rozległ się kolejny trzask i nagle szpony wbite w ciało Ralpha rozluźniły się, on sam zaś upadł do przodu, czołem rozbijając w proch jakąś leżącą na ziemi kość.

David odwrócił się. Zobaczył leżącego nieruchomo ojca i... skinął głową, jakby chciał powiedzieć: "No tak, tego właśnie się spodziewałem". Następnie pochylił się i podniósł latarkę. Dopiero kiedy Johnny złapał go w pasie, jego spokój prysnął i chłopak zaczął się szarpać.

- Puść mnie! - wrzasnął. - To moje zadanie! Moje!

- Nie, Davidzie - sapnął Johnny, trzymając go tak, jakby od tego zależało jego życie. - Nie twoje.

Lewą ręką mocniej chwycił go przez pierś, krzywiąc się przy tym, bo chłopak kopał go piętami po голениach. Prawą ręką przesunął mu po biodrze; jego dłoń poruszała się niewyczuwalnie, niczym dłoń dobrego kieszonkowca. Johnny zabrał Davidowi to, co nakazano mu zabrać... ale też coś mu zostawił.

- Nie może odebrać mi ich wszystkich i nie pozwolić dokończyć zadania! Nie może mi tego zrobić! Nie może!

Johnny skrzywił się jeszcze przeraźliwiej - to stopa Davida trafiła go wprost w rzepkę kolanową.

- Steve! - wrzasnął.

Steve z przerażeniem - lecz i fascynacją - wpatrywał się w drgające ciało orła. Jedno ze skrzydeł ptaka poruszało się powoli.

- Steve, niech cię diabli!

Steve drgnął, po czym uniósł głowę jak człowiek przebudzony ze snu. Cynthia klęczała obok Ralpha, macając jego przegub w poszukiwaniu pulsu i płacząc głośno.

- Chodź tu, cholera! - krzyknął Johnny. - Pomóż mi!

Steve podskoczył i chwycił Davida. Chłopak wyrywał mu się jeszcze potężniej.

- Nie! - krzyczał, kręcąc głową to w prawo, to w lewo. - Nie, to moje zadanie. Moje! Nie może zabrać ich wszystkich, a mnie zostawić! Słyszysz? NIE MOŻE ZABRAĆ ICH WSZYSTKICH...

- Uspokój się!

David nagle przestał walczyć. Obwisł w ramionach Steve'a jak lalka, której przecięto sznurki. Oczy miał zaczerwienione, pełne straszliwego cierpienia. Johnny nigdy jeszcze nie widział ludzkiej twarzy, w której odbijałyby się taka rozpacz, taki żal.

Kask motocyklowy leżał tam, gdzie upadł w momencie ataku orła. Johnny pochylił się i podniósł go. Spojrzał na chłopca, wiszącego w ramionach Steve'a Amesa wyglądającego dokładnie tak, jak on się czuł - pełnego obrzydzenia, zdumienia, zgrozy.

- Davidzie... - powiedział.

- Czy Bóg jest w tobie? - spytał chłopiec. - Czy czujesz jego obecność? Jak rękę na ramieniu? Jak ogień w duszy?

- Tak.

- Więc zrozumiesz, o co mi chodzi - stwierdził David, a potem splunął mu w twarz.

Ciepła ślina zawisała na policzku Johnny'ego jak łza. Johnny nie próbował jej nawet obetrzeć.

- Posłuchaj mnie, Davidzie. Chcę ci powiedzieć coś, czego nie nauczy cię ani twój kapłan, ani twoja Biblia. Z tego, co wiem, być może jest to informacja pochodząca od samego Boga. Słuchasz mnie?

Chłopiec patrzył mu w oczy. Milczał.

- Mówisz "Bóg jest okrutny" jak ktoś, kto całe życie przeżył na Tahiti, a twierdzi: "Śnieg jest zimny". Wiesz, ale nie rozumiesz. - Podszedł bliżej i przyłożył dłonie do zimnych policzków Davida Carvera. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki okrutny potrafi być twój Bóg? Jaki nieprawdopodobnie okrutny?

David milczał. Być może słuchał, być może nie, nie sposób było tego stwierdzić.

- Czasami pozwala nam żyć.

Johnny wziął latarkę i ruszył chodnikiem. Nagle przystanął, odwrócił się i dodał:

- Wróć do swojego przyjaciela. Do Briana. Wróć do przyjaciela i stań się jego bratem. A potem zacznij sobie wmawiać, że mieliście wypadek, ciężki wypadek, pijak za kierownicą zjechał na lewy pas, wasz kamper przewrócił się i tylko ty ocalałeś. Przecież coś takiego zdarza się co chwila. Wystarczy poczytać gazety.

- Przecież to nieprawda!

- Przecież to mogłaby być prawda. Kiedy wrócisz do Ohio czy Indiany, czy gdziekolwiek zdecydujesz się zamieszkać, módl się do Boga, żeby cię uzdrowił. Żeby uczynił cię znów sobą. A teraz, kolego, jesteś zwolniony.

- Już nigdy... co? Co powiedziałeś?

- Jesteś zwolniony przed końcem lekcji - powtórzył Johnny, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. Potem spojrzał na Steve'a. - Zabierz ich stąd - rozkazał mu. - Jak najszybciej.

- Szefie, co...?

- Trasa skończona, Teksaszczyku. Załaduj ich do samochodu i wynoście się stąd. Jeśli chcecie być bezpieczni, wynoście się stąd natychmiast.

A potem ruszył truchtem w głąb korytarza. W ciemności widzieli podskakujące światełko latarki, później nie widzieli już niczego.

5

Potknął się o coś, omal się nie przewrócił, złapał równowagę i ruszył przed siebie marszowym krokiem. Chińscy górnicy porzucali, co mieli ze sobą, próbując uciec z zawałonego chodnika, aż w końcu sami padli tam, gdzie stali. Szedł wśród kości, rozpadających się w proch przy najlżejszym dotknięciu, rysując światłem latarki regularne trójkąty: z lewa na prawo, w dół i na lewo, by nie stracić obrazu otoczenia. Widział ściany zapisane

chińskimi ideogramami, jakby ocaleli po zawale wpadli w manię pisania, czekając na zbliżającą się śmierć. Śmierć, która wreszcie ich znalazła.

Poza kośćmi w korytarzu znalazł także blaszane kubki, staroświeckie kilofy z krótkimi trzonkami, zardzewiałe małe pudełka na paskach (zapewne lampki naftowe z opowieści Davida), zgniłe ubrania, kapcie z jeleniej skóry - małe, sprawiające wrażenie dziecięcych - i co najmniej trzy pary drewnianych chodaków. W jeden z nich wstawiono świeczkę wyglądającą tak, jakby wytopiła się na rok przed wyborami, które wygrał Abraham Lincoln.

I wszędzie, dosłownie wszędzie, między tymi nieszczęsnymi szczątkami widział *can tah*: kojoty z pajakami zamiast jęzorów, pająki z dziwnymi białymi sznurami wystającymi z otworów gębowych, nietoperze o rozwiniętych skrzydłach z jęzorami w kształcie dzieci z buziami skrzywionymi w obscenicznym uśmiechu. Niektóre przedstawiały stworzenia z koszmarów, nigdy nie żyjące na Ziemi, potworne mieszańce, od których obrazu bolały oczy. Johnny słyszał *can tah* wołające do niego, wzywające go, przyciągające go jak księżyc przyciąga oceany. Czasami podobnie przyciągał go kieliszek, słodki deser, gładkie, aksamitne kobiece usta, które można pieścić językiem. *Can tah* przemawiały do niego głosem szaleństwa, który rozpoznawał z własnej przeszłości, słodkim, rozsądnym głosem proponującym mu coś, czego nie sposób zamknąć w słowa. Nie miały jednak nad nim władzy, przynajmniej dopóki nie zatrzyma się i nie dotknie któregoś z nich. Jeśli uda mu się tego uniknąć, jeśli uda mu się uniknąć rozpacz w masce ciekawości, prawdopodobnie wszystko będzie w porządku.

Czy Steve zdołał już zabrać ich z kopalni? Musi mieć tę nadzieję i musi mieć nadzieję, że zdołają oddalić się na przyzwoitą odległość tym cholernym zardzewiałym gratem. Koniec miał nadejść w całkiem przyzwoitym wybuchu; choć dysponował zaledwie dwoma torbami ANFO, związanymi trokami i wiszącymi mu na szyi, te dwie torby miały wystarczyć aż nadto. Tyle że gadanie o tym na prawo i lewo nie wydawało mu się rozsądne. Nie wydawało mu się bezpieczne.

Słyszał teraz cichy jęk, o którym wspominał David; skały przesuwwały się i tarły o siebie, a było to tak, jakby protestowała sama ziemia. Protestowała przeciw jego obecności. Wprost przed sobą widział już niewyraźny zygzak czerwonego światła; na razie trudno mu było określić jak daleko. Zapach też był mocniejszy i łatwiejszy do zdefiniowania - zimne popioły. Po jego lewej stronie, przy ścianie, klęczał szkielet, nie chiński chyba, sądząc po rozmiarach. Zupełnie jakby ktoś umarł podczas modlitwy.

Nagle szkielet obrócił głowę i obdarzył Johna Edwarda Marinville'a szerokim uśmiechem swej czaszki.

- Wynos się stąd, póki jeszcze jest czas. *Tak ah won. Tah ah lah.*

Johnny kopnął czaszkę jak piłkę. Rozleciała się, niemal jak rozniesiona wybuchem, na drobne kawałki, on zaś pospieszył ku czerwonemu światłu, przenikającemu przez szczelinę w skale. Sprawiała wrażenie wystarczająco szerokiej, by się przez nią prześlizgnąć. Z trudem.

Zatrzymał się przed nią, patrząc w światło. Od strony korytarza widział niewiele. W głowie słyszał echo słów Davida, zupełnie tak, jak człowiek poddawany hipnozie słyszy głos hipnotyzera. "Dziesięć minut po pierwszej, dwudziestego pierwszego września, górnicy z przodka przebili się do czegoś, co początkowo wzięli za jaskinię..."

Johnny odrzucił latarkę - nie miała już być mu potrzebna - i przecisnął się przez szczelinę. Przeszedł w *an tak* i cichy świst, przed wejściem do korytarza kojarzący się z dźwiękiem wydawanym przez winę, wypełnił mu głowę szepczącymi głosami; głosami kuszącymi go, zapraszającymi, zakazującymi. Wszędzie wokół, czyniąc z *an tak* fantastyczną, pustą w środku kolumnę, oświetloną słabym szkarłatnym światłem, widział wyrzeźbione na

ścianach głowy: kojotów, jastrzębi i orłów, szczurów i skorpionów. Z ich pysków wystawały nie łby innych zwierząt, lecz amorficzny, nieco węzowy kształt, na który Johnny ledwie odważył się patrzeć i którego nie mógł wyraźnie zobaczyć. Czy był to Tak? Tak, spoczywający na dnie *ini*?

Czy w ogóle miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Jakim cudem Tak dopadł Riptona?

Jeśli uwięziony był tam, na dole, jakim cudem dopadł Riptona?

Johnny, nagle, zdał sobie sprawę z tego, że kroczy przez *an tak*, że idzie ku *ini*. Usiłował powstrzymać swe nogi i uświadomił sobie, że nie zdoła tego dokonać. Spróbował wyobrazić sobie Cary'ego Riptona pokonującego tę samą drogę i stwierdził, że z tym nie ma najmniejszych trudności.

Najmniejszych trudności.

Długie torby ANFO kołysały mu się na piersi. W jego głowie tańczyły szaleńcze obrazy: Terry szarpiąca pasek jego dzinsów i przytulająca go do siebie w momencie wytrysku, najlepszy orgazm, jaki miał w życiu, a spuścił się nie dalej niż w gacie, opowiedzcie to Ernestowi Hemingwayowi; on sam wychodzący z basenu w Bel-Air, z mokrymi włosami przyklejonymi do głowy, śmiejący się i ściskający w garści butelkę piwa, podczas gdy wokół trzaskają aparaty fotoreporterów, Bill Harris mówiący mu, że podróż przez Amerykę na starym harleyu może odmienić jego życie i karierę, oczywiście pod warunkiem, że się na nią zdecyduje, i wreszcie puste, szare oczy gliniarza, patrzące na niego ze wstecznego lusterka, gliniarz tłumaczący mu, że wkrótce Johnny więcej dowie się o *pneumie*, *somie* i *sarx*, niż wiedział do tej pory.

Co do tego miał absolutną rację.

- Boże, chroń mnie, póki nie załatwię sprawy - powiedział i pozwolił przyciągnąć się do *ini*.

Czy potrafiłby się zatrzymać, gdyby chciał? Zapewne lepiej nie wiedzieć.

Wokół dziury w podłodze - studni światów Davida Carvera - leżał krąg martwych, rozkładających się zwierząt, głównie kojotów i ścierwników, dostrzegł jednak wśród nich także pająki i kilka skorpionów. Miał wrażenie, że ci ostatni obrońcy Taka zdechli wraz ze śmiercią orła. Jakaś wycofująca się siła odebrała im życie w ten sam sposób, w jaki odebrała życie Audrey Wyler, gdy Steve wytrącił jej z dłoni *can tah*.

Z *ini* wzniosł się w powietrze dym... tylko że tak naprawdę wcale nie był to dym, wcale nie, lecz tłuste brązowoczarne błoto. Kiedy zaczęło się do niego zbliżać, Johnny poczuł, że owo błoto żyje. Wyglądało niczym zaciśnięte w pięści trójpalczaste dłonie na końcu chudych ramion. Ramiona te nie były bynajmniej jakąś ektoplazmą, lecz i nie substancją całkowicie materialną. Podobnie jak w przypadku łbów wyrzeźbionych na ścianie jaskini patrzenie na ramiona przyprawiało Johnny'ego o ból głowy - taki, jaki zdarza się czasami u dzieci, gdy zataczając się wychodzą z wagoników szczególnie udanej kolejki górskiej w jakimś wesołym miasteczku. To te ramiona oczywiście doprowadziły górników do szaleństwa. To one zmieniły Riptona. Okna bez szyb *pirin moh* patrzyły na niego łakomie, przemawiały do niego, lecz... co właściwie mówiły? Prawie słyszał ich głos.

(*cay de mun*)

Otwórz usta.

No i oczywiście usta miał otwarte, szeroko otwarte jak u dentysty. Proszę szeroko otworzyć usta, panie Marinville, otwórz szeroko gębę, ty nędzna i godna pogardy karykatury pisarza, doprowadzasz mnie do szału, mdli mnie z gniewu, ale otwórz gębę, otwórz gębę, jak najszerzej potrafisz, ty pieprzony siwy, pretensjonalny sukinsynu, a naprawimy cię, będziesz jak nowy, będziesz nowym modelem, otwórz gębę, otwórz gębę, *cay de mun* otwórz gębę...

Dym. Błoto. Cokolwiek. Na końcu ramion nie było już dłoni, lecz rurki... nie, nie rurki...

Dziury.

Tak, oczywiście, dziury. Dziury jak oczy. Trzy dziury. Może i więcej, ale trzy widział wyraźnie. Trójkąt dziur, dwie na górze, jedna na dole, dziury jak szepczące oczy, jak otwory strzelnicze...

Masz rację - powiedział głos Davida. - *Masz rację, Johnny. Są po to, by wstrzelić Taka w ciebie, jak przedtem wstrzeliły go w Cary'ego Riptona, to jedyny sposób, w jaki Tak może wydostać się z tej dziury tam, w dole, dziury zbyt malej, by przedostało się przez nią cokolwiek oprócz tego, tego błota, tej galarety, dwie dla nosa, jedna dla ust.*

Brązowoczarne błoto, wijąc się, ruszyło ku niemu, jednocześnie potworne i pociągające; dziury-usta, usta-oczy. Oczy, które szeptały. Oczy, które obiecywały. Johnny zdał sobie nagle sprawę z tego, że ma erekcję. Nie najlepszy czas na tego rodzaju przyjemności, lecz czy to go kiedyś powstrzymało?

Syk... czuje... dziury wysysają mu powietrze z ust... z nosa.

Gwałtownie zacisnął wargi, jednocześnie włożył na głowę motocyklowy kask. Zdążył, ale niewiele brakowało. W następnej chwili brązowe wstęgi napotkały plastikową szybkę i przylgnęły do niej z nieprzyjemnym mokrym cmoknięciem. Przez moment widział macki niczym całujące usta, lecz zaraz zniknęły, pozostawiając po sobie smugi drobnej brązowej materii.

Johnny wyciągnął ręce, zacisnął palce na unoszącej się przed nim kolumnie i skrzył dłonie w przeciwnych kierunkach, jakby wyżywał ręcznik. Poczul w nich ukłucia, potem drętwienie... lecz brązowy dym oderwał się od szybki kasku, częściowo cofnął się w stronę *ini*, częściowo spadł na podłogę skalnej sali.

Dotarł do krawędzi *ini* i zatrzymał się między kupką piór będącą niegdyś ścierwnikiem a leżącym na boku zdechłym kojotem. Spojrzał w dół, pieszczotliwym gestem gładząc jednocześnie torby ANFO dłońmi, w których mimo zdrętwienia czuł klucze.

“Wiesz, jak odpalić to coś bez dynamitu, bez zapalników?” - spytał go Steve. - “Wiesz, prawda? A przynajmniej zdaje ci się, że wiesz”.

- Mam nadzieję, że tak - powiedział głosem, który pod kaskiem brzmiał dziwnie, bezdźwięcznie. - Mam szczerą nadzieję...

- *A WIĘC CHODŹ!* - krzyknął z *ini* szalony głos. Johnny cofnął się, zaskoczony i przerażony. To był głos gliniarza. Głos Entragiana. - *CHODŹ. TAK AH LAH, PRIM MOH! CHODŹ, TY ZGNIŁY PIERDOLCU! ZOBACZYMY, JAKI JESTEŚ DZIELNY! TAK!*

Johnny próbował zrobić krok do tyłu, być może po to, by przemyśleć sobie wszystko jeszcze raz, ale macki błota zacisnęły mu się wokół kostek i szarpnęły stopy. Wpadł do studni ciężko, niezdarnie, nogami naprzód, uderzając tyłem głowy w jej krawędź. Gdyby nie kask, prawdopodobnie zmiażdżyłby sobie czaszkę. Torby ANFO przytulił do siebie obronnym gestem. Wyglądały jak wielkie piersi.

I wówczas pojawił się ból, najpierw tylko dokuczliwy, potem przejmujący, wreszcie pożerający go żywcem. *Ini* miała kształt lejka, lecz jego wewnętrzne, zbiegające się ściany najeżone były kryształami kwarcu oraz pokruszoną skałą. Johnny zjeżdżał po niej niczym dziecko na zjeżdżalni, która wyhodowała sobie szklane kolce. Nogi, przynajmniej do pewnego stopnia, chroniły mu skórzane motocyklowe legginsy, głowę ciężki kask, ale ciało na plecach i pośladkach od razu pokrojone zostało na paski. Próbował zahamować upadek ramionami. Skalne odłamki natychmiast przebiły materiał koszuli. Dostrzegł jeszcze, jak czerwienieją jej rękawy, a potem zostały z nich tylko cienkie wstążki.

- *PODOBA CI SIĘ?* - zakpił dobiegający ze studni głos, tym razem Ellen Carver. - *TAK AH LAH, TY WŚCIBSKI SUKINSYNU! EN TOW! TEN AH LAH!* - Pełen wściekłości i szaleństwa głos przeklinał go w dwóch językach.

Szalony w każdym kierunku - pomyślał Johnny i roześmiał się mimo bólu. Usiłował pochylić się, zrobić fikołka lub umrzeć podczas tej próby. Jajka sadzone na dwie strony - pojawiło się skojarzenie i wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem. Czuł, jak krew ścieka mu do butów niczym strumień ciepłej wody.

Brązowoczarna para była wszędzie, szeptała, przysawkami niczym usta przysysała się do szybki kasku. Pojawiała się, znikwała i pojawiała znowu, ocierała się o szybkę, wydając uwodzicielskie cmoknięcia. Johnny nie mógł oderwać pleców od skały, nie mógł fiknąć fikołka, choć usilnie próbował, spadek był na to zbyt ostry. Obrócił się więc na bok, chwycił tnące go niemiłosiernie krystaliczne ostrza, raniąc sobie dłonie, ale nie dbał o to, próbował, rozpaczliwie próbował zatrzymać się, nim odarty zostanie ze skóry i ciała.

I nagle wszystko się skończyło.

Leżał skulony na dnie skalnego leja, krwawiąc, jak mu się wydawało, całą powierzchnią ciała; obnażone nerwy tłumiły każdą jego rozsądną myśl tęnym wrzaskiem. Spojrzał w górę - szeroka ścieżka krwi znaczyła jego drogę na dno. Na niektórych ostrzach kryształów wisiały strzępki płótna i skóry - jego koszula, jego dżinsy, jego motocyklowe legginsy.

Z otworu w dnie wypłynął dym, otulił mu nogi, sięgnął jąder.

- Puść - powiedział Johnny. - Mój Bóg ci rozkazuje. Dym cofnął się i zwinął wokół jego ud.

- Mogę dać ci życie - powiedział głos. Johnny pomyślał, że to nic dziwnego, iż Tak uwięziony był po drugiej stronie skalnego leja. Otwór, w który ten lej się zwał, był niewielki, miał najwyżej dwa centymetry średnicy. - Mogę cię uleczyć, mogę cię naprawić, mogę dać ci życie.

- Jasne, ale czy możesz załatwić mi pieprzonego literackiego Nobla?

Johnny zdjął z szyi torby materiału wybuchowego, wyrwał młotek zza paska. Musi pracować szybko, ciało ma w strzępach, od utraty krwi już powoli traci wzrok. Znow przypomniało mu się Connecticut i to, jak w noce w końcu marca i początku kwietnia przychodziła mgła. Starzy nazywali to truskawkową wiosną, jeden Bóg wie, dlaczego?

- Tak, tak, tak, mogę ci to załatwić. - W głosie dobiegającym z drugiej strony lejka brzmiał entuzjazm... i strach. - Wszystko! Sukces! Kobiety! Forsa... i mogę cię uzdrowić. Nie zapomnij o tym, mogę cię uzdrowić.

- A możesz wskrzesić tatę Davida?

Z *ini* odpowiedziała mu cisza. Brązowoczarna, wydobywająca się z niej mgła odnalazła rany na jego plecach i nogach... i nagle Johnny poczuł się tak, jakby zaatakowało go stado elektrycznych węgorzy lub piranii.

Wrzasnął.

- Mogę stłumić ból! Tylko poproś mnie o to... i przestań, oczywiście.

Pot spływał mu do oczu i szczypał. Johnny użył rozwidlonej części obucha młotka do rozerwania jednej z toreb ANFO. Przechylił ją nad małą dziurką i zaczął sypać materiał wybuchowy przez zwiniętą, zakrwawioną dłoń. Czerwone światło zgasło jak zdmuchnięte, jakby Tak bał się, że sam niechcący może odpalić ładunek.

- Nie możesz! - wrzasnął. Głos miał stłumiony, Johnny jednak słyszał go w głowie wystarczająco wyraźnie. - Nie możesz! Bądź przeklęty! *Ah lah! Ah lah! Os dam!* Oooo... sukinsynu!

W dupę sobie wsadź *ah lah* - pomyślał Johnny. - I przybij *os dam*, jak nie wejdzie.

Pierwsza torba pusta. W dziurce w dnie lejka widział teraz mętną biel zamiast pulsującego czerwonego światełka. Szlak prowadzący do świata Taka... jego wymiaru... jego płaszczyzny, czegokolwiek... nie był więc aż tak długi. Nie, jeśli mierzyć go miarą fizyczną. I... czyżby ból ran się zmniejszył?

Może po prostu tracę czucie? - zastanowił się Johnny. - Nic nowego pod słońcem.

Złapał drugą torbę ANFO i dostrzegł, że z jednej strony jest przemoczona krwią. Czuł się coraz słabszy, widział coraz gorzej, musi się spieszyć. Musi być szybki jak wiatr.

Obuchem rozdarł i tę torbę. Próbował nie zwracać uwagi na wrzaski Taka, który darł się jak opętany wyłącznie już w tym drugim języku.

Przechylił torbę nad dziurą i patrzył, jak wysypują się z niej tabletki ANFO. W miarę jak otwór się wypełniał, biel stawała się coraz wyraźniejsza. Gdy Johnny opróżnił torbę, warstwa środka wybuchowego znajdowała się zaledwie jakieś dziesięć centymetrów od krawędzi otworu.

Akurat wystarczy - uznał.

Uświadomił sobie, że w studni zapanowała cisza, że cisza panuje w znajdującej się nad nią *an tak*; słychać było tylko ciche szepty, które mogły być głosami duchów, uwięzionych tu od dnia dwudziestego pierwszego września tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku.

Jeśli tak, Johnny zamierzał uwolnić te duchy.

Grzebał w kieszeniach skórzanych ochraniaczy przez czas, który wydawał mu się wiekiem. Walczył z duszącą mu myśli w głowie mgłą, walczył z fizyczną słabością. Wreszcie, wreszcie, palce natrafiły na znajomy kształt, ześlizgnęły się z niego, odnalazły go znowu, dotknęły, zacisnęły się i wyciągnęły gruby zielony patron - ładunek dubeltówki.

Johnny wsunął go w otwór w dnie lejka i nie zdziwił się, stwierdziwszy, że doskonale do niego pasuje. Gruby, okrągły spód ładunku opierał się o skałę.

- Gotowy do odpalenia, sukinsynu - wycharczał.

Nie - szepnął głos w jego głowie. - *Nie ośmielisz się.*

Spojrzał na mosiężny walec, zatykający dziurę w dnie *ini*. Chwytał trzonek młotka. Siły opuszczały go szybko. Przypomniał sobie słowa gliniarza, wypowiedziane tuż przed tym, nim gliniarz wsadził go do radiowozu. "Jesteś nędzną karykaturą pisarza. I jesteś też nędzną karykaturą mężczyzny".

Nasadą lewej dłoni Johnny zerwał kask. Podnosząc nad głowę prawą dłoń zaciśniętą na rączce młotka, śmiał się. Śmiał się, gdy opuścił młotek wprost na tkwiący w dziurze nabój.

- Boże, przebacz, nienawidzę krytyków!

Miał jeszcze ułamek sekundy, by zwątpić, czy mu się udało... po czym otrzymał odpowiedź w postaci wybuchu bezgłośniejszej, jaskrawej czerwieni. Zupełnie jakby upadł w kwiat róży.

John Edward Marinville nie bronił się przed tym upadkiem. Ostatnią myśl poświęcił Davidowi, temu, czy David zdołał uciec, czy jest bezpieczny, czy nic mu się nie stało, czy nic mu nie będzie.

Zwolniony przed końcem lekcji - pomyślał... a potem już nie myślał.

Część V

**Szosa numer pięćdziesiąt:
zwolniony przed końcem lekcji**

1

Wokół półciężarówki leżały kręgiem martwe zwierzęta, przede wszystkim ścierwniki i kojoty, lecz Steve nie poświęcił im ani odrobiny uwagi. Uczucie, że koniecznie musi wynieść się stąd jak najszybciej, wręcz pożerało go żywcem. Wiszące nad nimi strome ściany Chińskiej Jamy wydawały mu się ścianami otwartego grobu. Dotarł do samochodu jako pierwszy (Cynthia i Mary eskortowały Davida, trzymając go z obu stron za ramiona, chociaż chyba się nie potykał) i jednym szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera.

- Steve, co... - próbowała dowiedzieć się Cynthia.

- Wsiadaj. Pytać będziesz później. - Pchnął ją za pupę na siedzenie. - Przesuń się. Zrób miejsce!

Przesunęła się i zrobiła miejsce. Steve spojrzął na Davida.

- Masz zamiar sprawiać nam kłopoty?

David tylko potrząsnął głową. Wyraz twarzy miał tępy, apatyczny, ale to nie przekonało Steve'a, nie do końca. Mały był cholernie pomysłowy, co udowodnił, nim mieli okazję go poznać.

Wsadził go do kabiny. Spojrzął na Mary.

- Wsiadaj - zdecydował. - Będzie nam trochę ciasno, ale jeśli nie zaprzyjaźniliśmy się do tej pory...

Mary wgramoliła się do środka i zatrasnęła drzwiczki, Steve tymczasem obiegł rydera, nadeptując po drodze na jednego ze ścierwników. Miał wrażenie, że to poduszka wypchana kośćmi.

Ile czasu minęło, odkąd pożegnali się z szefem? Minuta? Dwie? Kiedyś może i miał niezłe poczucie czasu, ale teraz nic z niego nie zostało.

Wskoczył na siedzenie kierowcy. Sekundę poświęcił na rozważenie, co mogliby zrobić, gdyby silnik nie zapalił. Na to pytanie odpowiedział bez wahania: nic. Skinął głową, przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik ryknął potężnie. Tym razem obyło się bez niespodzianek. Dzięki Bogu.

Zawrócił, wielkim łukiem omijając ciężkie maszyny, barak biura terenowego oraz magazyn materiałów wybuchowych. Między tymi dwoma budynkami stał brudny radiowóz policyjny z otwartymi drzwiami od strony kierowcy i przednim siedzeniem zachlapanym krwią Entragianą. Steve spojrzął na radiowóz... do radiowozu... i poczuł chłód oraz lekki zawrót głowy; podobnie czuł się, spoglądając w dół z wysokiego piętra.

- Pieprz się - powiedziała cicho Mary, odwracając głowę, by raz jeszcze popatrzeć na radiowóz. - Pieprz się. I mam nadzieję, że dobrze mnie słyszysz.

Trafili na próg na drodze. Stary ryder zatrzęsł się przerażająco. Steve dosłownie wyleciał z siedzenia, uderzając udami w kierownicę, a głową w dach. Usłyszał stłumiony chrobot przewracających się w budzie rzeczy - przede wszystkim rzeczy szefa.

- Hej! - krzyknęła Cynthia. W jej głosie brzmiał niepokój. - Na żwirze nie powinieneś chyba dociskać go aż tak, przyjacielu.

- Powiniennem - stwierdził krótko Steve.

Zerknął w boczne lustro. Byli już na drodze prowadzącej z kopalni. Szukał wzrokiem wejścia do Chińskiej Sztolni, ale nie dostrzegł go; w tej chwili otwór znajdował się po przeciwnej stronie samochodu.

Mniej więcej w połowie drogi trafili na drugi próg i przez chwilę mogło się wydawać, że ryder naprawdę leci w powietrzu. Jego światła na moment oświetliły niebo, a potem ziemię; tak głęboko osiedli na amortyzatorach.

Mary i Cynthia wrzasnęły ze strachu. David nie krzyknął; siedział między nimi, ściśnięty, częściowo na siedzeniu, a częściowo na kolanach Mary, nieruchomy niczym lalka naturalnej wielkości.

- Zwolnij! - krzyknęła Mary. - Wylecisz z drogi i zwalimy się aż na sam dół. Zwolnij, ty kretynie!

- Nie - powtórzył spokojnie, nie trując się wyjaśnianiem nikomu, że wypadnięcie z tej drogi, szerokiej jak kalifornijska autostrada, w ogóle nie wchodziło w grę.

Widział krawędź wykopu kopalni. Niebo nad nim nie było już czarne, lecz ciemnofioletowe... i jaśniało.

Spojrzał w lusterko od strony pasażera, szukając czarnego wlotu do Chińskiej Sztolni, *can tak w can tah*, a potem nie musiał go już szukać. Kwadrat białego światła, tak jaskrawego, że nie sposób było patrzeć na nie wprost, oświetlił nagle dno kopalni. Trysnął ze sztolni niczym biała pięść, wypełniając blaskiem kabinę rydera.

- Jezu Chryste, a to co?! - krzyknęła Mary, zasłaniając twarz ramieniem.

- Szef - odpowiedział jej cicho.

Głuchy łoskot dobiegał niemal bezpośrednio spod samochodu; stłumiony dźwięk tarana walącego w ziemię. Ryder drżał niczym przerażony pies. Steve usłyszał, jak skały i ziemia zsuwają się po zboczach kopalni. Wyjrzał przez okno i w ciemniejącym już blasku wybuchu dostrzegł, że czarna sieć rur i emiterów zaczyna ześlizgiwać się na dno wyrobiska. Jego zbocza runęły. Chińska Jama waliła się.

- O mój Boże, pogrzebie nas żywcem - jęknęła Cynthia.

- To się jeszcze okaże - odparł. - Trzymajcie się.

Docisnął gaz do deski - prawdę mówiąc, niewiele musiał dociskać - i w odpowiedzi usłyszał gniewny ryk silnika. Jeszcze tylko trochę, skarbie - pomyślał. - Już niedługo, zrób to dla mnie, jeszcze trochę, troszeczkę...

Głuchy huk rozsadzający ziemię pod nimi trwał, chwilami cichnąc, to znów powracając jak fala. Gdy docierali już do krawędzi nasypu, Steve dostrzegł głąz wielkości stacji benzynowej spadający w dół po ich prawej stronie. Usłyszał też dźwięk znacznie groźniejszy niż ciągły ryk z wnętrza ziemi - coraz głośniejszy syk dobiegający spod samochodu. Wiedział, co to jest - żwirowa nawierzchnia drogi. Jechali na północ, droga opadała na południe. Lada chwila spadnie na dno kopalni, niczym zwijający się dywan ze schodów.

- Jedź, ty męska dziwko! - wrzasnęła, waląc w kierownicę pięścią lewej ręki. - Jedź! Do roboty!

Ryder wspinał się na krawędź kopalni powoli niczym niezdarny, żółtonosy dinozaur. Przez chwilę ocalenie wydawało się wątpliwe; ziemia ustąpiła spod tylnych kół i samochód poślizgnął się, najpierw w bok, potem w tył.

- Jedź! - krzyknęła Cynthia, prostując się i chwytając za półeczkę pod przednią szybą. - Błagam, jedź! O Boże, wydostańmy się stąd wre...

Przyspieszenie rzuciło ją na oparcie fotela. Tyłne koła znalazły oparcie; na chwilę tylko, ale ta chwila przesądziła sprawę. Przednie światła przestały świecić w niebo i już byli za krawędzią. Jechali na północ. Za nimi, z głębi Chińskiej Jamy były w powietrze chmury piasku, jakby dziwna burza piaskowa zaczęła się na nowo, tym razem jednak ograniczona do jednego tylko miejsca. Bijący z kopalni piasek wyglądał jak kolumna dymu nad stosem pogrzebowym.

Droga w dół północną krawędzią nasypu nie obfitowała w przygody. Kiedy znaleźli się na trzykilometrowym odcinku pustyni między kopalnią a miasteczkiem, niebo na wschodzie nabrało łososiowego koloru, a gdy mijali winiarnię, na horyzoncie pojawił się łuk wschodzącego słońca.

Steve zatrzymał samochód tuż za winiarnią, na południowym krańcu Głównej.

- O, cholera! - jęknęła Cynthia.

- Matko McCree - westchnęła Mary, przykładając dłoń do skroni, jakby bolała ją głowa.

Steve nie był w stanie powiedzieć nic.

Do tej pory i on, i Cynthia widzieli Desperation albo w ciemności, albo przez chmury niesionego wiatrem piasku, a to, co widzieli, widzieli fragmentami, w kawałkach, poświęcając uwagę tylko tym nielicznym rzeczom, które mogły pomóc im przeżyć. Kiedy człowiek próbuje przeżyć, dostrzega tylko to, co musi; reszta, przynajmniej czasowo, wędruje za burzę.

Teraz jednakże widzieli wszystko.

Szeroka ulica była pusta - z wyjątkiem jednego toczącego się po niej leniwie biegacza stepowego. Na chodnikach leżała gruba warstwa piasku, w niektórych miejscach przykrywała je całkowicie. Tu i tam błyskało szkło stłuczonych szyb. Wszędzie wały się śmieci. Szyldy pospadały na ulice. Kable elektryczne leżały splątane na ziemi, tworząc siatkę na wzór siatki emiterów w kopalni. Markiza "The American West" spadła na środek ulicy. Przypominała teraz piękny, stary jacht, który dokonał żywota na skałach. Odpadła z niej jedyna pozostała litera R.

I wszędzie, dosłownie wszędzie, widać było martwe zwierzęta, zupełnie jakby miała tu miejsce jakaś ekologiczna tragedia. Steve widział dziesiątki kojotów, kręty sznur szczurów, ciągnący się od wejścia do "Bud's Suds"; niektóre były na pół przysypane piaskiem nawiewanym przez rzeński poranny wiatr. Martwe skorpiony otaczały leżący na chodniku kurek w kształcie gnoma z dzbanem złota. Zwierzęta sprawiały na Stevie wrażenie rozbitków, którzy po katastrofie statku zginęli ciężką śmiercią na jałowej wyspie. Ulice i dachy zaścielały ścierwniki, wyglądające jak wielkie, rozrzucone krople smoły.

- I ustawisz granice ludziom wokół siebie - powiedział David. Głos miał bez wyrazu, martwy. - I powiedz: zapamiętajcie, że nikomu nie wolno wejść na tę górę.

Steve spojrział we wsteczne lusterko. Zobaczył w nim nasyp kopalni niczym kleks na pogodnym niebie, zobaczył pył bijący z jej sterylnego brzucha i zadrżał.

- Nie wchodź na górę ani nie dotknij jej granic, a kto to zrobi, zostanie uśmiercony. Nie dotknie jej żadna ręka, a kto by dotknął, ma być ukamienowany lub przeszyty strzałą. Człowiek czy zwierzę, nie ma prawa żyć.

David spojrział na Mary. Jego martwa twarz ożyła, skrzywiła w grymasie, stała się ludzka.

Zapłakał.

- Davidzie... - Mary próbowała coś powiedzieć.

- Jestem sam. Czy ty to rozumiesz? Weszliśmy na górę i Bóg zabił ich wszystkich. Całą moją rodzinę. Teraz jestem sam.

Objęła go, a on przytulił twarz do jej twarzy.

- Słuchaj, wodzu - odezwała się Cynthia, kładąc dłoń na ramieniu Steve'a. - Wynośmy się z tego gównianego miasteczka gdzieś, gdzie można się napić zimnego piwa. Co ty na to?

I znów byli na szosie numer pięćdziesiąt.

- Tędy - powiedziała Mary. - Jesteśmy już blisko.

Po drodze minęli kampera Carverów. Kiedy się do niego zbliżali, David ukrył twarz na piersi Mary, a ona objęła go za głowę i przytuliła. Nie ruszał się przez dobre pięć minut; miała wrażenie, że nawet nie oddychał. O tym, że w ogóle żyje, świadczyły wyłącznie gorące, płynące powoli łzy, moczące jej bluzkę. W pewien sposób sprawiało jej przyjemność, że chłopiec płacze - uznała to za dobry znak.

Zauważyła, że burza dała się we znaki także drodze. Piach miejscami pokrywał ją całkowicie. Steve kilkakrotnie zmuszony był zwalniać i pokonywać niewielkie wydmy na pierwszym biegu.

- Czyżby została zamknięta? - spytała go w pewnym momencie Cynthia. - Przez gliny? Zarząd dróg w Nevadzie? O cholera, przez kogokolwiek?

Steve pokręcił głową.

- Prawdopodobnie nie. Ale założę się, że tej nocy nie było na niej ruchu. Mnóstwo ciężarówek kursujących między stanami zostało zablokowane w Austin i Ely.

- Jest! - krzyknęła Mary.

Jakieś pół kilometra dalej, wprost przed nimi, słońce odbiło się w samochodowej szybie. W trzy minuty później zatrzymali się przy acurze Deirdre.

- Chcesz pojechać ze mną, Davidzie? - spytała. - Zakładając, że ten cholerny silnik w ogóle zaskoczy.

David wzruszył ramionami.

- Entragian zostawił ci kluczyki? - zdumiała się Cynthia.

- Nie, ale przy odrobinie szczęścia...

Wysiadła z półciężarówki, zapadła się w piasku i dojrzała do małego samochodziku. Jego widok natychmiast przywołał jej przed oczy Petera, tak cholernie, absurdalnie dumnego ze swej monografii Jamesa Dickeya, nie przypuszczającego, że planowany ciąg dalszy nigdy się nie urzeczywistni...

Samochód rozdziwił się jej w oczach, a potem rozpadł na kolorowe kawałki.

Tłumiąc szloch, Mary przejechała po oczach rękawem. Następnie uklękła i zaczęła macać pod przednim zderzakiem. Nie od razu znalazła to, czego szukała, a sam pomysł w ogóle przestał się jej podobać. Dlaczego właściwie postanowiła jechać za ryderem do Austin tym samochodem? Otoczona wspomnieniami? Otoczona obecnością Petera?

Przyłożyła policzek do zderzaka - wkrótce rozgrzeje się tak, że nie będzie można go dotknąć, na razie jednak był chłodny po nocy - i rozplakała się.

Poczuła lekki, niepewny dotyk palców na dłoni. Obejrzała się. David stał za nią; jego chuda, nazbyt dorosła twarz wyrastała na wątych ramionach, wystających z okrwawionego podkoszulka. Patrzył na nią poważnie; nie ścisnął jej dłoni, lecz dotykał jej palcami, jakby chciał ścisnąć.

- Co się stało, Mary?

- Nie mogę znaleźć małego pudełka - odparła, mocno wciągając powietrze przez zatłoczony nos. - Małego pudełka na magnesie, w którym były zapasowe kluczyki. Wsadziliśmy je pod przedni zderzak, ale chyba odpadło. A może chłopcy, którzy zdjęli tablicę rejestracyjną, je zabrali?

Zaszlochała.

David klęknął obok niej. Skrzywił się, gdy coś strzeliło mu w krzyżu. Nawet przez łyżę widziała sińce na jego szyi, w miejscu, gdzie zacisnęły się palce Audrey - obrzydliwe, fioletowoczerwone plamy jak burzowe chmury.

- Ciiii, Mary - poprosił i zaczął obmacywać zderzak. Słyszała, jak jego palce poruszają się w ciemności i nagle zapagnęła krzyknąć: "Uważaj! Tam mogą być pająki! Pająki!"

Pokazał jej małe, szare pudełeczko.

- Może spróbujesz, co? Jeśli nie zapali... - wzruszył ramionami na znak, że to żaden problem.

Tak czy inaczej, zawsze mogą pojechać półciężarówką.

Tak, zawsze mogą pojechać półciężarówką. Tylko że Peter nigdy nie jechał półciężarówką, a ona może i chciała dłużej czuć jego zapach? Może dłużej chciała czuć jego obecność? "Widzę tu dwa niczego sobie melony" - powiedział, dotykając jej piersi.

Wspomnienie jego zapachu, jego dotyku, jego głosu. Okulary, które wkładał do prowadzenia. Wspomnienia będą boleć, ale...

- Oczywiście, pojedę z tobą - powiedział David. Klęczeli przed maską samochodu Deirdre Finney, twarzą do siebie. - To znaczy, jeśli zapali. I jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie - odparła. - Nie mam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie.

4

Dołączyli do nich Steve i Cynthia. Pomogli im wstać.

- Czuję się tak, jakbym miała sto dwadzieścia lat - wyznała Mary.

- Nie martw się, wyglądasz najwyżej na osiemdziesiąt dziewięć - zażartował Steve i uśmiechnął się, kiedy wykonała taki gest, jakby go chciała uderzyć. - Naprawdę chcesz jechać do Austin tym samochodzikiem? Co będzie, jak ugrzęzniesz w piasku?

- Po kolei. Nie wiemy nawet, czy zapali, prawda, Davidzie?

- Nie wiemy - powtórzył chłopiec z westchnieniem. Oddalał się od niej, a Mary nie wiedziała, jak temu zapobiec. Stał z pochyloną głową, wpatrując się w maskę acury, jakby kryła sekrety życia i śmierci, a z jego twarzy spłynęły uczucia i stała się nieruchoma, zamyślona. W ręce trzymał małe metalowe pudełko.

- Jeśli zapali - zaproponowała - pojedziemy kolumną. Ty pierwszy, ja za tobą. Jak się zakopię, przeskoczmy do twojego grata. Ale nie sądzę, by do tego doszło. To całkiem niezły samochód. Gdyby tylko moja szwagierka nie używała go jako skrytki na narkotyki... - Głos jej zadrżał, więc mocno zacisnęła wargi.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli jechać daleko, nim wydostaniemy się na czystą drogę - odezwał się David, nie podnosząc wzroku w białego w maskę samochodu. - Czterdzieści pięć, pięćdziesiąt kilometrów? Potem powinno być lepiej.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Mary uśmiechnęła się do niego.

- Jest jeszcze jedna, odrobinę poważniejsza sprawa - stwierdziła Cynthia. - Co opowiemy policji? Mam na myśli prawdziwą policję.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je David, nadal wpatrzony w maskę acury.

- To, co oczywiste. Reszty niech się domyślają sami.

- Nie rozumiem cię - zdziwiła się Mary, choć miała wrażenie, że rozumie go... i to całkiem niezłe.

Chciała jednak, żeby mówił. Chciała, żeby z nimi był, nie tylko ciałem, lecz także duchem.

- Ja opowiem, jak złapaliśmy gumę i zły gliniarz przywiózł nas do miasta. Jak skłonił nas, żebyśmy wsiedli do radiowozu, mówiąc, że na pustyni jest zły człowiek z karabinem. Mary, ty opowiesz im, jak zatrzymał ciebie i Petera. Steve, ty powiesz, że szukałeś Johnny'ego i Johnny do ciebie zadzwonił. Ja powiem, jak uciekliśmy po tym, kiedy zabrał mamę. I jak poszliśmy do kina. I jak zadzwoniliśmy do ciebie, Steve. Potem opowiesz, jak dotarłeś na miejsce. Całą noc spędziliśmy w kinie. W kinie.

- Nigdy nie byliśmy w kopalni, co? - skonstatował z namysłem Steve. Wypróbowywał wersję Davida. Na gorąco.

Chłopiec skinął głową. Sińce na jego szyi błyszczały w coraz mocniej świecącym słońcu. Już robiło się gorąco.

- Oczywiście - przytaknął.

- A... przepraszam cię, ale muszę... a twój tata? Co z nim?

- Poszedł szukać mamy. Chciał, żebym został z wami w kinie, więc zostałem.

- I niczego w ogóle nie widzieliśmy, co? - spytała Cynthia.

- Nie, właściwie to nie widzieliśmy niczego. - David otworzył pudełko i dał Mary kluczyki. - Może spróbujesz, czy silnik zapali?

- Za chwilę. Co władze pomyślą sobie o tym wszystkim? O martwych ludziach i martwych zwierzętach? Co powiedzą? O czym poinformują?

- Wiecie, są ludzie, którzy wierzą, że w latach czterdziestych niedaleko stąd rozbił się latający talerz - powiedział nagle Steve. - Wiedziałaś o tym?

Mary pokręciła głową.

- W Roswell, w Nowym Meksyku. Plotki głoszą, że byli nawet rozbitkowie. Astronauci z innej planety. Nie wiem, co z tego jest prawdą, ale przecież wszystko możliwe. Są dowody na to, że w Rockwell zdarzyło się coś mocno niecodziennego. Rząd wszystko ukrył. Tak samo będzie z tym.

Mary uderzyła go po ramieniu.

- Paranoja to mówi, nie ty, malutki.

Steve tylko wzruszył ramionami.

- A jeśli chodzi o to, co sobie pomyślą... może trujący gaz? Jakies straszne gówno wystrzeliło z głębi ziemi i wszyscy powariowali. Prawie jak w życiu, nie?

- Prawie jak w życiu - przytaknęła Mary. - Myślę, że najważniejsze, żebyśmy wszyscy opowiedzieli tę samą historię, dokładnie tak, jak nam poradził David.

Cynthia wzruszyła ramionami. Wróciło coś z dawnej, ujmującej pozy dziewczyny, która wszystko ma w nosie.

- A jeśli się załamiemy w krzyżowym ogniu pytań i powiemy prawdę, to nam uwierzą bez zastrzeżeń, nie?

- Może i nie uwierzą - zgodził się z nią Steve - ale wolałbym nie spędzić następnych dwóch miesięcy na wpatrywaniu się w kleksy i rozwiązywaniu zagadek, jeśli mogę je spędzić, wpatrując się w twą egzotyczną, tajemniczą twarz.

Znów klepnęła go w ramię, tym razem mocniej. Dostrzegła, że obserwuje ich David.

- A ty jak sądzisz, mam egzotyczną i tajemniczą twarz? - spytała go.

Chłopiec odwrócił się i zapatrzył w widoczne na północy góry.

Mary obeszła samochód i otworzyła drzwiczki, myśląc o tym, że musi przesunąć siedzenie - Peter był o dobre trzydzieści centymetrów wyższy od niej. Skrytka była otwarta od chwili, gdy szukała w niej dowodu rejestracyjnego, ale taka mała żaróweczka nie mogła chyba wyczerpać akumulatora, prawda? No, w każdym razie nie jest to przecież kwestia ży...

- O mój Boże - jęknął Steve cichym, bezdźwięcznym głosem. - O mój Boże, patrzcie.

Obróciła się. Na horyzoncie widniał nasyp Chińskiej Jamy. Z tej odległości wydawał się bardzo mały. Nad nim unosiła się gigantyczna chmura szarego pyłu. Wisiała w powietrzu, nadal połączona z kopalnią niewyraźną nitką piasku i wyrzuconej wybuchem ziemi jak grzyb wyrastający w niebo z zatrutego wybuchem nuklearnym gruntu. Miała kształt wilka, którego ogon wskazywał wschodzące słońce, a groteskowo wydłużony pysk noc, uparcie trzymającą się nieba na zachodzie.

Pysk wilka był otwarty. Wyrastało z niego coś dziwnego, nieokreślonego, lecz jakby gadziego, przypominającego trochę skorpiona, a trochę jaszczurkę.

Can tak, can tah.

Mary wrzasnęła w podniesione do twarzy ręce. Patrzyła w widoczny na niebie kształt, oczy nad brudnymi palcami miała wytrzeszczone, kręciła głową w absurdalnym geście zaprzeczenia.

- Przestań - powiedział David, obejmując ją w talii. - Przestań, Mary. To nie może zrobić nam krzywdy. I przecież zaraz odjeżdżamy. O, widzisz?

Miał rację. Skóra wilka na niebie rozdzierała się w kilku miejscach, w innych najwyraźniej topniała. Słońce przeświecało przez nią złotymi promieniami, pięknymi, lecz jednocześnie nieco śmiesznymi - takiego ujęcia spodziewać się można na zakończenie superprodukcji ze scenariuszem z Biblii.

- Myślę, że powinniśmy ruszać - stwierdził Steve.

- Myślę, że nie powinniśmy w ogóle tu przyjechać - odparła Mary bardzo cicho i wsiadła do samochodu. Natychmiast poczuła zapach płynu po goleniu, którego używał jej nieżyjący mąż.

5

David stał, patrząc, jak Mary przesuwając siedzenie i wkładając kluczyk do stacyjki. Czuł się tak, jakby od jego ciała dzieliły go tysiące kilometrów, jakby unosił się w przestrzeni kosmicznej, gdzieś między ciemną i jasną gwiazdą. Myślał o tym, jak siadywał w domu przy kuchennym stole i grał w łapki ze Słodczykiem. Myślał o tym, że chętnie widziałby Steve'a i Cynthię - choć bardzo ich polubił - martwych i w piekle, gdyby dzięki temu jeszcze raz mógł zagrać w łapki ze Słodczykiem - Słodczyk ze szklanką soku jabłkowego, on z pepsi, oboje zaśmiewający się jak szaleni. Jeśli już o to chodzi, chętnie zobaczyłby w piekle samego siebie. W końcu jak daleko leży piekło od Desperation? Mary przekręciła kluczyk w stacyjce. Rozrusznik zakręcił się energicznie i silnik zapalił niemal natychmiast. Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie.

- Gotów do drogi? - spytała Davida.

- Jasne. Czemu nie?

- Hej! - Cynthia położyła mu dłoń na karku. - Nic ci nie jest, przyjacielu?

Skinął głową, nie podnosząc na nią wzroku. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Musisz z tym walczyć - szepnęła mu do ucha. - Musisz z tym walczyć, wiesz?

- Spróbuję - odparł, ale czekające go dni, tygodnie i miesiące wydawały mu się niemożliwe do przeżycia.

“Wróć do swego przyjaciela. Do Briana - powiedział mu Johnny. - Wróć do przyjaciela i stań się jego bratem”. Może i dobra rada, przynajmniej na początek... ale co potem?

Miał w duszy pulsujące bólem dziury. Będą pulsować bólem... jak długo? Jedna po matce, jedna po ojcu, jedna po siostrze. Dziury jak twarze. Dziury jak oczy.

Na niebie wilk już się rozplątał. Pozostała po nim tylko łapa i coś, co było być może koniuszkiem ogona. Po gadziej istocie w miejsce jezora nie pozostało nic.

- Pobiliśmy cię - szepnął David, obchodząc acurę, by wsiąść od strony pasażera. - Pobiliśmy cię, ty sukinsynu, i to jest to.

Tak - wyszeptał mu w głowie radosny, cierpliwy głos. - *Tak ah lah. Tak ah wan.*

Z wysiłkiem zmusił serce i umysł do zamilknięcia.

“Wróć do przyjaciela i stań się jego bratem”.

Może. Ale najpierw - Austin. Z Mary, Steve'em i Cynthia. Miał zamiar zostać z nimi, jak długo to tylko możliwe. Oni przynajmniej potrafili go zrozumieć... w sposób, w który oprócz nich nikt go nigdy nie zrozumie.

W końcu to oni byli z nim w kopalni.

Sięgając po klamkę, zamknął małe metalowe pudełko i machinalnie schował je do kieszeni. Nagle zamarł z wiszącą w powietrzu ręką, którą sięgał do klamki.

Coś zniknęło.

Ładunek do dubeltówki.

Na jego miejscu znalazło się coś innego.

Sztywny kawałek papieru.

- Davidzie? - zawołał Steve z otwartego okna rydera. - Coś się stało?

Potrząsnął głową, jedną ręką otwierając drzwiczki acury, drugą zaś wyjmując z kieszeni kawałek papieru. Niebieski kawałek papieru. Było w nim coś znajomego, choć nie przypominał sobie, by podobny świstek miał w kieszeni wczoraj. Na środku kartki widniała nieregularna dziura, jakby został kiedyś na coś nabity. Jakby...

Zastaw przepustkę.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział do niego głos, kiedy modlił się do Boga o zdrowie Briana. Nie zrozumiał polecenia, ale je wypełnił. Powiesił przepustkę na gwoździu. Kiedy następnym razem odwiedził Strażnicę Wietkongu - w tydzień później, dwa tygodnie? - przepustki już nie było. Mógł ją zabrać chłopak, który chciał zanotować sobie numer dziewczyny, mógł ją zwiać wiatr. Tylko... że znalazła się teraz.

Chcę tylko miłości, potrzebuję miłości.

Felix Cavaliere jako wokalista, doprawdy fajny.

Nie - stwierdził w duchu David - to niemożliwe.

- Davidzie! - głos Mary dobiegł go z bardzo daleka. - Davidzie, co się stało?

To niemożliwe - powtórzył w myślach - lecz kiedy rozwinął kartkę, słowa wypisane na górze były znajome.

A pod tym napisem, wielkimi literami:

ZWOLNIONY PRZED KOŃCEM LEKCJI

I, na samym dole:

Rodzice zwolnionego ucznia muszą podpisać przepustkę.

Przepustka musi być zwrócona dyrekcji szkoły.

Tylko że teraz na kartce było jeszcze coś - krótka napisana odręcznie notatka. Coś poruszyło się w jego duszy. Coś wielkiego. Gardło zacisnęło się, a potem otwarło, by wydać straszny krzyk, którego żał był tylko dekoracją. Zachwiał się, chwycił dachu acury, złożył czoło na ramionach i zapłakał. Z daleka, z bardzo daleka dobiegł go trzask zamykanych drzwiczek rydera, tupot nóg biegnących ku niemu Steve'a i Cynthii. A on płakał. Myślał o siostrzyczce, trzymającej pod pachą laleczkę i uśmiechającej się do niego z uniesioną głową. Myślał o matce, tańczącej w pralni w takt melodii płynącej z radia, z żelazkiem w uniesionej ręce; matce śmiejącej się z tego, że jest taka dziecinna. Myślał o ojcu, siedzącym na ganku z nogami na poręczu, z książką w jednej ręce i piwem w drugiej; myślał o tym, jak tata machał do niego, kiedy o gęstym zmroku wracał od Briana, pchając rower podjazdem w kierunku garażu. Myślał o tym, jak bardzo ich kochał, i o tym, jak bardzo zawsze będzie ich kochał.

I myślał o Johnnym. Johnnym, stojącym u wejścia do ciemnej Chińskiej Sztolni, mówiącym: "Czasami pozwala nam żyć".

David szlochał z opuszczoną głową, z przepustką szkolną zgniecioną w zaciśniętej pięści, a to coś, coś wielkiego, nadal poruszało mu się w duszy niczym lawina ziemi... coś wielkiego, lecz być może wcale nie takiego złego.

Być może, w końcu, wcale nie takiego złego.

- Davidzie! - Steve potrząsał nim. - Davidzie!

- Nic mi nie jest - powiedział, podnosząc głowę i ocierając oczy drżącą dłonią.

- Co ci się stało?

- Nic. Nic mi nie jest. Jedźcie. Pojedziemy za wami.

Cynthia przyglądała mu się z powątpiewaniem.

- Jesteś pewien? - spytała jeszcze.

Skinął głową.

Wrócili do półciężarówki, po drodze oglądając się przez ramię. Był w stanie nawet im pomachać. Potem wsiadł do acury i zatrzasnął drzwiczki.

- Co się stało? - niepokoila się Mary. - Co takiego znalazłeś w kieszeni?

Sięgnęła po zgnieciony kawałek papieru, ale David jej go nie oddał. Na razie.

- Pamiętasz, jak Entragian wrzucił cię do aresztu, w którym siedzieliśmy? - spytał. - Jak rzuciłeś się na dubeltówkę?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Kiedy z nim walczyłaś, z biurka spadł nabój do dubeltówki i potoczył się w moim kierunku. Kiedy tylko pojawiła się szansa, podniosłem go. Johnny musiał wyjąć mi go z kieszeni, kiedy się ze mną szarpał. I włożył coś na jego miejsce.

- Włożył coś? Co takiego?

- Przepustkę z mojej szkoły w Ohio. Jesienią zostawiłem ją na wbitym w drzewo gwoździu.

- Drzewo w Ohio. Jesienią. - Mary patrzyła na niego z namysłem, szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami. - Jesienią?

- Tak, jesienią. Więc nie wiem, skąd ją miał... i nie wiem, gdzie ją trzymał. Kiedy byliśmy tam, w magazynie, kazałem mu opróżnić kieszenie. Bałem się, że może wziął jakieś *can tah*. Wtedy z pewnością jej nie miał. Rozebrał się do gatek i wtedy z pewnością jej nie miał.

- Och, Davidzie!

Skinął głową i wręczył jej karteczkę.

- Steve będzie wiedział, czy to jego charakter pisma. Założę się o milion dolarów, że tak.

Davidzie, nie daj dogonić się mumii

Jan 1, 4/8. Pamiętaj!

Mary przeczytała nabazgraną pospiesznie notatkę, poruszając wargami przy jej lekturze.

- Gdybym miała milion, sama założyłabym się o milion, że tak - stwierdziła. - Słuchaj, wiesz, o co mu chodziło?

David odebrał jej niebieski arkusik.

- Oczywiście. Pierwszy list świętego Jana, rozdział 4, wers 8. "Bóg jest miłością".

Mary patrzyła na niego przez długą, bardzo długą chwilę.

- A jest, Davidzie? - spytała w końcu. - Czy jest miłością?

- Och, oczywiście. - Chłopiec troskliwie złożył karteczkę wzdłuż zagięć. - Przypuszczam, że jest... wszystkim.

Cynthia pomachała im. Mary odmachala jej, a potem pokazała wyprostowany kciuk. Steve ruszył i ona ruszyła za nim. Koła acury poślizgnęły się na nawianym wiatrem piasku, złapały przyczepność.

David położył głowę na zagłówku, zamknął oczy i pogrążył się w modlitwie.

Bangor, Maine

1 listopada 1994 - 5 grudnia 1995